

JUDITH MCNAUGHT

JAK W RAJU

Przełożyła Anna Maria Nowak

ROZDZIAŁ 1

Piętnastu posłańców w charakterystycznych błękitno - srebrnych liberiach rodu Cameronów wyruszyło z Havenhurst tego samego dnia o świcie. Wszyscy wieźli takie same, pilne listy, które Julius Cameron, stryj hrabianki Elizabeth, polecił dostarczyć do piętnastu rezydencji na terenie całej Anglii.

Adresatów łączyło tylko jedno, każdy kiedyś oświadczył się o hrabiankę Elizabeth.

Żaden też nie zareagował obojętnie na treść listu. Kilku nie wierzyło własnym oczom, inni prychnęli z pogardą, paru odczuwało złośliwą satysfakcję. Dwunastu odpisało natychmiast, odrzucając skandaliczną propozycję Juliusa, a potem udało się do przyjaciół, by się z nimi podzielić tą niezwykłą, smakowitą plotką.

Trzej mężczyźni jednak zachowali się inaczej.

Lord John Marchman właśnie wrócił z polowania - swojej ulubionej rozrywki - kiedy w jego rezydencji pojawił się służący z Havenhurst. Lokaj przyniósł list.

- Niech mnie kule biją! - zdziwił się lord, czytając.

Pan Cameron pisał bowiem, że pragnie, by jego bratanica, hrabianka Elizabeth Cameron jak najszybciej stanęła na ślubnym kobiercu z odpowiednim kandydatem. Dlatego też - kontynuował Julius - mimo wcześniejszej odmowy, jest teraz skłonny przychylić się do prośby sir Johna. A ponieważ ewentualni narzeczeni nie widzieli się od półtora roku, proponuje, że przyśle swoją bratanicę, naturalnie z przyzwoitką. Niech spędzi tydzień pod dachem konkurenta, co pozwoli im na „odnowienie znajomości”.

Lord Marchman nie wierzył własnym oczom. Krążył po gabinecie i jeszcze dwukrotnie przeczytał list.

- Niech mnie kule biją! - powtórzył.

Przeciagnał ręką po jasnych włosach i odruchowo zerknął na ścianę, całkowicie pokrytą jego najcenniejszymi trofeami: łbami zwierząt, upolowanych w Europie i poza nią. Łoś popatrzył na niego szklistymi ślepiami, obok szczyrzył kły niedźwiedź polarny. Lord wyciągnął rękę i podrapał łosia między rogami czułym, choć zgoła niestosownym gestem, dziękując zwierzęciu za wspaniały dzień, jaki spędził, ścigając go po kniejach.

Przed oczami mężczyzny zamajaczyła przesliczna twarz Elizabeth Cameron: niezrównane rysy, zielone oczy, jasna, czysta cera i uśmiechnięte, delikatne usta. Kiedy ją poznał, półtora roku temu, natychmiast przykuła jego uwagę niezwykłą urodą. A wystarczyły dwa spotkania i ta czarująca, niezepsuta siedemnastolatka tak go zauroczyła, że popędził do

jej brata oświadczyć się o nią, spotykając się wszakże z chłodną odmową.

Najwyraźniej stryj Elizabeth, który teraz pełnił rolę jej opiekuna, łaskawszym okiem spoglądał na sir Johna.

A może sama dziewczyna stała za tym listem? Może tamte dwa spotkania w parku znaczyły dla niej równie dużo co dla niego?

John wstał i podszedł do ściany, na której wisiły niezliczone wędki. Starannie wybrał jedną. Dziś będzie łowił pstrągi - postanowił, przypominając sobie jednocześnie cudowne włosy Elizabeth. Jej loki w kolorze miodu połyskiwały w promieniach słońca, przywodząc na myśl złocistą łuskę pięknego pstrąga, przecinającego fale rzeki. Porównanie było tak idealne, a przy tym poetyckie, że lord znieruchomiał, zdumiony własną inwencją, i odłożył wędkę. Właśnie tymi słowami złoży hołd włosom Elizabeth, kiedy za miesiąc pojawi się w jego progach, postanowił, przyjmując propozycję Juliusa Camerona.

Sir Francis Belhaven, czternasty adresat listu Juliusa Camerona, przeczytał propozycję w sypialni, ubrany w jedwabny szlafrok. W głębi pokoju, na łóżku, czekała na niego naga kochanka.

- Francis, kochanie - zamruczała, przeciągając palcami po aksamitnej pościeli - co takiego ważnego jest w tym liście, że nad nim siedzisz zamiast przyjść do mnie?

Podniósł wzrok znad kartki i zmarszczył brwi na odgłos drapania paznokci o gładki materiał.

- Uważaj na pościel, moja słodka - upomniał ją. - Samo prześcieradło kosztuje trzydzieści funtów.

- Gdybyś mnie kochał - poskarżyła się, pilnując, by w jej głosie nie zabrzmiał wyrzut - nie obchodziłyby cię pieniądze.

Francis Belhaven był takim skąpcem, że Eloise czasem zastanawiała się, czy jeśli za niego wyjdzie, dostanie więcej niż jedną albo dwie suknie rocznie.

- A gdybyś ty mnie kochała - odparował błyskawicznie - bardziej byś się liczyła z moim groszem.

Czterdziestopięcioletni Francis Belhaven, choć nigdy się nie ożenił, nie narzekał na brak damskiego towarzystwa. Przepadał za kobietami - ich ciałami, twarzami, pięknnością...

Teraz jednak potrzebował dziedzica, a zatem należało rozejrzeć się za żoną. Od roku układał w myślach listę wymagań, jakie musi spełnić szczęśliwa kandydatka, godna stać się jego małżonką. Wybranka przede wszystkim musi być młoda, ładna i majątna, żeby nie szastała jego pieniędzmi.

Podniósłszy wzrok znad listu Juliusa, łakomie popatrzył na piersi Eloise i w duchu

dorzucił kolejny wymóg dla przyszłej oblubienicy: musi rozumieć jego apetyty i konieczność urozmaicenia seksualnego menu. Nie życzy sobie Skromnisi, która będzie się dąsać, bo uciął sobie na boku jakiś romansik. W tym wieku nie pozwoli, by nim dyrygowała jakaś nabożna smarkula o surowych poglądach na cnotę i wierność.

Zamiast swojej nagiej kochanki zobaczył Elizabeth Cameron. Jakaż była zmysłową pięknoscią, kiedy się o nią oświadczał niemal dwa lata temu. Dojrzałe piersi, szczupłutka talia, twarz... niezapomniana uroda. Majątek... wystarczający. Jak głosiła plotka, po tajemniczym zniknięciu brata dziewczyna została właściwie bez grosza, ale stryj dawał do zrozumienia, że narzeczona wniesie znaczny posąg, co oznacza, że plotka, jak zwykle, mijają się z prawdą.

- Francis!

Mężczyzna wstał, podszedł do łóżka i usiadł przy kochance. Pieszczotliwie pogładził jej piersi, ale drugą ręką szarpnął za taśmę dzwonka.

- Jeszcze chwilka, najdroższa - odezwał się, kiedy do sypialni wbiegł służący. Podał mu list. - Niech mój sekretarz odpowie twierdząco - polecił.

Ostatni list Juliusa Camerona przesłano z londyńskiego domu Iana Thorntona do Montmayne, wiejskiej rezydencji młodego dżentelmena. Tam trafił na biurko wraz z górą korespondencji - towarzyskiej i związanej z interesami - która czekała na odpowiedź. Kiedy Ian otworzył kopertę z bombą Juliusa, w zawrotnym tempie przekazywał właśnie swojemu nowemu sekretarzowi instrukcje. Na podjęcie decyzji nie potrzebował jednak tyle czasu co lord John Marchman czy sir Francis Belhaven.

Zdumiony i oniemiały wpatrywał się w list, podczas gdy sekretarz, Peters, który pracował u Iana dopiero od dwóch tygodni, w duchu dziękował niebiosom za krótką przerwę i najszybciej, jak się dało, pisał, bezskutecznie usiłując nadażyć za poleceniami pracodawcy.

- Ten list - oświadczył krótko Thornton - to albo pomyłka, albo żart. W każdym razie uważam, że jest wyjątkowo niesmaczny.

Na moment w jego pamięci ożyła Elizabeth Cameron - chytra, płocha kokietka, której ciało i uroda zaćmiły mu rozum. Kiedy się poznali, była już zaręczona z wicehrabią. Jak widać nie wyszła za niego za mąż - zapewne rzuciła go, licząc na złowienie grubszej ryby. Angielska szlachta, o czym już zdążył się przekonać, zawierała małżeństwa tylko dla pozycji i majątku, a potrzeby seksualne zaspokajała gdzie indziej. Najwyraźniej rodzina Elizabeth Cameron postanowiła położyć jej głowę na małżeńskim szafocie. Zdaje się, że niezwykle im zależy na pozbyciu się dziewczyny, skoro są gotowi poświęcić tytuł dla pieniędzy Iana ... Ta koncepcja była tak nieprawdopodobna, że Thornton natychmiast ją odrzucił. Nie ulega

wątpliwości, że ten list to głupi żart, autorstwa kogoś, kto zapamiętał plotki, jakie krążyły po pamiętnej dwudniowej zabawie w pewnej wiejskiej rezydencji; kto sądził, że taka propozycja rozbawi Iana .

Całkowicie usuwając z myśli dowcipnisa oraz Elizabeth Cameron, zerknął na spłoszonego sekretarza, który pisał, aż pióro skrzypiało.

- Ten pozostawiamy bez odpowiedzi - oświadczył.

To powiedziawszy, rzucił epistołę na biurko, lecz biały arkusz przesunął się po wypolerowanym dębowym blacie i sfrunął na podłogę. Peters rzucił się, by go złapać, ale kiedy się przechylił, listy, które już wcześniej dał mu pracodawca, poleciały na podłogę.

- B... bardzo przepraszam - wyjąkał i poderwał się, usiłując zebrać kartki, które rozsypały się po dywanie. - Ogromnie przepraszam, panie Thornton - powtórzył, rozpaczliwie zgarniając umowy, zaproszenia oraz listy i układając je w nierówną stertkę.

Pracodawca zachowywał się, jakby go nie słyszał, rzucał już kolejne instrukcje i podsuwał sekretarzowi następne zaproszenia i notatki.

- Na pierwsze trzy odmów, czwarte przyjmij, piąte - odmowa.

Na szósty wyślij wyrazy współczucia. Tu odpisz, że jadę do Szkocji.

Dołącz zaproszenie wraz ze wskazówkami, jak dotrzeć na miejsce.

Peters wynurzył się spod biurka, przyciskając do piersi korespondencję.

- Tak, panie Thornton - odrzekł, usiłując nadać głosowi pewny ton.

Trudno jednak zachować pewność siebie, kiedy jest się na klęczkach. A jeszcze trudniej, jeśli ma się tylko mętne pojęcie, których listów dotyczą poszczególne instrukcje.

Ian Thornton spędził resztę popołudnia zamknięty z Petersem, zasypując biedaka kolejną górą poleceń.

Wieczorem zaś spotkał się z hrabią Melbourne'em, swoim przyszłym teściem, uzgadniając szczegóły umowy przedślubnej.

Tymczasem Peters przez pół wieczoru usiłował wyciągnąć od lokaja, które zaproszenia jego pracodawca by przyjął, a które odrzucił.

ROZDZIAŁ 2

Lady Elizabeth Cameron, hrabianka Havenhurst, zeskoczyła z wiekowej klaczy, wspierając się na stangrecie, który - o ile wymagała tego sytuacja, a często wymagała - przejmował też obowiązki stajennego.

- Dziękuję, Charles - powiedziała, uśmiechając się serdecznie do starego sługi.

W tej chwili dziewczyna bynajmniej nie uosabiała tradycyjnego wyobrażenia o arystokratce ani modnej damie. Włosy przykryła niebieską chustką związaną na karku. Suknię miała prostą, pozbawioną ozdób i niemodną. Na ramieniu nosiła wiklinowy kosz, który zawsze brała na zakupy w miasteczku. Ale nawet mimo podniszczonego stroju, koszyka oraz starej klaczy nikt nie uznałby Elizabeth Cameron za pospolitą. Złociste, gęste włosy, osłonięte chusteczką, opadały kaskadą loków na ramiona i plecy. Zwykle nosiła je rozpuszczone i wtedy otaczały jej twarz o zapierającej dech w piersi, nieskazitelnej urodzie: delikatnie rzeźbione, wysokie kości policzkowe, mleczna cera, promieniejąca zdrowiem, pełne, miękkie usta. Lecz najbardziej przykuwały uwagę oczy: ukryte pod łukowatymi brwiami i długimi, zakręconymi rzęsami, niezwykle zielone tęczówki. Nie piwne, nie szarozielonkawe, tylko intensywnie zielone. Cudownie wyraziste zielone oczy, które błyszczały niczym szmaragdy, gdy Elizabeth była szczęśliwa, albo ciemniały, kiedy się zadumała.

Stangret z nadzieją zerkał do koszyka na zawinięte w papier sprawunki, ale dziewczyna ze smutnym uśmiechem pokręciła głową.

- Nie ma dziś placków, Charles. Były za drogie, a panu Jenkinsowi nie można przemówić do rozumu. Proponowałam, że kupię cały tuzin, ale nie chciał opuścić ceny nawet o grosz, więc nie kupiłam ani jednego. Dla zasady. Wiesz - zwierzyła się ze śmiechem - że w ubiegłym tygodniu na mój widok schował się za workami z mąką? - Co za tchórz! - odrzekł Charles z szerokim uśmiechem, bowiem wszyscy kupcy i sklepikarze doskonale wiedzieli, że Elizabeth Cameron tak mocno ścisnęła każdego szylinga, aż piszczał, i zdawali sobie sprawę, że kiedy przychodziło do targowania z nią, rzadko wychodzili zwycięsko z takiej próby.

W owych zmaganiach dziewczyna nie wykorzystywała swojej urody, lecz inteligencję. Nie tylko dodawała i mnożyła w pamięci, ale jeszcze z taką energią i talentem wyliczała, czemu należy jej się lepsza cena, że sprzedawcy ustępowali - albo dla świętego spokoju, albo dlatego że ich przekonała.

Nie tylko podczas wypraw na targ liczyła się z każdym groszem, również w samym Havenhurst oszczędzała, na czym się dało, i dobrze sobie radziła. Ta dziesiętnastolatka, na

której młodzieńczych barkach spoczywał ciężar utrzymania rodowej posiadłości oraz osiemnaściorga z niegdyś dziewięćdziesięciu służących, nie tylko rzadko musiała zwracać się do niechętnego stryja o wsparcie finansowe, ale także uratowała swe rodzinne dziedzictwo przed licytacją i jeszcze zapewniała wikt oraz ubranie pozostałej służbie. Jedynym „luksusem”, na jaki pozwoliła sobie Elizabeth, było zatrzymanie panny Lucindy Throckmorton - Jones, swojej przyzwoitki, a teraz i towarzyszki, która zgodziła się u niej zostać mimo znacznie okrojonej pensji. Co prawda dziewczyna spokojnie mogłaby mieszkać w Havenhurst sama, ale zdawała sobie sprawę, że gdyby się na coś takiego zdecydowała, resztki jej reputacji nieodwracalnie ległyby w gruzach.

Elizabeth wręczyła lokajowi koszyk.

- Zamiast placków kupiłam truskawki - oznajmiła pogodnie. - Z panem Thergoodem znacznie łatwiej można się dogadać niżli z panem Jenkinsem. On się zgadza, że jeśli klient kupuje dużo jednego towaru, powinien mniej płacić od sztuki.

Charles podrapał się w głowę na te wywody, ale usiłował robić mądrą minę.

- Oczywiście - przyznał, odprowadzając konia. - Byle osioł to zrozumie.

- Święte słowa - przytaknęła hrabianka, odwróciła się i lekko wbiegła po schodach.

Zamierzała przejrzeć księgi rachunkowe, ale Bentner szeroko otworzył przed nią drzwi. Twarz starego sługi rozjaśniało podniecenie.

- Ma panią gościa - oświadczył tonem człowieka, którego rozsadza radość, lecz poczucie własnej godności nie pozwala mu na okazanie emocji.

Od półtora roku nikt nie zaglądał do Havenhurst, nic więc dziwnego, że Elizabeth poczuła podobny przyptyw radości, a potem ogarnął ją niepokój. Nie powinien to być wierzyciel, przecież spłaciła wszystkie długi, wyprzedając po kolei wszelkie cenne przedmioty i większość mebli.

- Kogo? - spytała, wchodząc do holu i rozwiązując chusteczkę.

Twarz Bentnera rozjaśnił promienny uśmiech.

- Aleksandrę Lawrence... Eee... teraz Townsende. - Lokaj poprawił się, przypomniawszy sobie, że mówi o mężatce.

Radosne niedowierzanie sprawiło, że Elizabeth na moment znieruchomiała, po czym odwróciła się i nieprzystojącej damie biegiem ruszyła do salonu, po drodze ściągając z głowy chusteczkę. W drzwiach gwałtownie wyhamowała i zapatrzyła się na czarującą, młodą brunetkę, stojącą na środku pokoju, ubraną w szykowny, czerwony strój podróżny. Brunetka się odwróciła i dziewczęta chwilę przyglądały się sobie, a nieśmiałe uśmiechy pojawiły się na ich twarzach i rozpromieniły oczy.

- Aleksa? To naprawdę ty? - wyszeptała Elizabeth głosem pełnym podziwu, niedowierzania i nieskrywanej radości.

Brunetka skinęła głową i szerzej się uśmiechnęła.

Stały bez ruchu, pełne wahania, a każda odnotowała dramatyczne zmiany, jakie w ciągu ostatniego półtora roku zaszły w wyglądzie przyjaciółki; obie też z niepokojem zastanawiały się, czy owe zmiany nie sięgnęły zbyt głęboko. W cichym pokoju budziły się echa dawnej długiej przyjaźni jeszcze z dziecięcych lat, każąc dziewczętom postawić najpierw jeden, niepewny krok, potem drugi... i nagle obie podbiegły ku sobie, rzuciły się jedna drugiej na szyję i mocno objęły z okrzykami radości.

- Och, Alekso, cudownie wyglądasz! Tak za tobą tęskniłam - śmiała się Elizabeth, ściskając przyjaciółkę.

Wielki świat znał tamtą jako księżnę Hawthorne, lecz dla Elizabeth była to Aleksa, jej najdawniejsza przyjaciółka. Przyjaciółka, która wyruszyła w długą podróż poślubną i dlatego zapewne jeszcze nie usłyszała, w jakie tarapaty wpakowała się hrabianka.

Elizabeth pociągnęła przybyłą na kanapę i zasypała Aleksę gradem pytań.

- Kiedy wróciłaś z podróży poślubnej? Jesteś szczęśliwa? Co cię tu sprowadza? Na jak długo zostaniesz?

- Ja też za tobą tęskniłam - odrzekła Aleksandra ze śmiechem, o czym zaczęła kolejno odpowiadać na pytania - - Wróciliśmy trzy tygodnie temu, jestem niebiańsko szczęśliwa, przyjechałam, by cię odwiedzić, to oczywiste, i jeśli tylko zechcesz, mogę zostać na parę dni.

- Naturalnie, że zechcę - odpowiedziała radośnie Elizabeth. - Nie mam żadnych planów z wyjątkiem dzisiejszego dnia. Odwiedzi mnie stryj.

Prawda wyglądała tak, że towarzyski kalendarz hrabianki Cameron na najbliższe dwanaście miesięcy nie przewidywał zupełnie nic, a okresowe wizyty Juliusa były nawet gorsze od braku rozrywek. Ale to wszystko przestało się już liczyć. Elizabeth tak uradował widok przyjaciółki, że z jej twarzy nie zniknął uśmiech.

Zupełnie jak za dawnych czasów zrzuciły pantofelki, podwinęły nogi i przez długie godziny rozmawiały z łatwością i ożywieniem bliskich przyjaciółek, które mimo kilkuletniego rozstania łączyły radosne, czułe i smutne wspomnienia z lat dziecińczych.

- A pamiętasz - spytała ze śmiechem Elizabeth po dwóch godzinach - nasze turnieje, urządzone podczas urodzin u Mary Ellen?

- Nigdy ich nie zapomnę - oświadczyła z mocą Aleksa, uśmiechając się do wspomnień.

- Zawsze wysadzałaś mnie z siodła.

- Za to ty wygrywałaś w strzelaniu. Przynajmniej do momentu, kiedy twoi rodzice dowiedzieli się o tych konkursach i uznali, że podobne rozrywki nie przystoją takiej dorosłej i eleganckiej panie jak ty - wróciła na ziemię Aleksa. - Brakowało cię nam.

- Nawet nie masz pojęcia, jak tęskniłam za naszymi zabawami. Zawsze doskonale wiedziałam, kiedy odbywają się turnieje i krążyłam po domu ponura, myśląc o tym, jak wspaniale się bawicie. W końcu zaczęliśmy z Robertem urządzać własne turnieje i zmuszaliśmy służących, by się do nich przyłączali - dodała, ze śmiechem przypominając sobie dawne szaleństwa własne i przyrodniego brata.

Po chwili z twarzy Aleksy zniknął uśmiech.

- Właśnie, a gdzie on się podział? Ani słowem o nim nie wspomniałaś.

- Cóż... - Hrabianka zahała się, wiedząc, że nie może opowiedzieć przyjaciółce o zniknięciu przyrodniego brata, nie wspominając o wydarzeniach, które je poprzedziły, z drugiej jednak strony, w spojrzeniu tamtej dostrzegała współczucie i zastanawiała się, czy aby Aleksandra już nie zna całej tej okropnej historii. - Półtora roku temu Robert zniknął - wyjaśniła wreszcie rzeczowym tonem. - Zdaje się, że wiązało się to z... cóż... długami. Nie mówmy już o tym - dodała pośpiesznie.

- Jak sobie życzysz - zgodziła się Aleksa z wymuszonym uśmiechem. - W takim razie o czym chcesz pogawędzić?

- O tobie - odparła natychmiast Elizabeth.

Aleksa była starsza od Elizabeth i czas szybko płynął na opowieściach o mężu, którego po prostu uwielbiała. Elizabeth uważnie słuchała opisów cudownych miejsc na całym świecie, do których książę zawiózł żonę.

- Opowiedz mi o Londynie - poprosiła, kiedy wyczerpały się już historyjki z dalekich stron.

- A co cię interesuje? - zapytała przywołana do rzeczywistości Aleksa.

Elizabeth pochyliła się w fotelu i już chciała zadać pytanie, które najbardziej ją dręczyło, lecz powstrzymała ją duma.

- Och, nic szczególnego - skłamała.

Chcę wiedzieć, czy przyjaciele mnie potępiają, czy drwią ze mnie, albo - co gorsza - litują się nade mną, myślała. Chcę wiedzieć, czy już wszędzie dotarła wieść, że zostałam bez grosza. A przede wszystkim - czemu nikt nie raczył mnie odwiedzić ani nie dał znaku życia.

Prawie dwa lata temu, kiedy po raz pierwszy zjawiała się w stolicy, odniosła natychmiastowy sukces towarzyski, a rekordowa liczba konkurentów ubiegała się o jej rękę. Teraz, gdy miała dziewiętnaście lat, to samo towarzystwo, które niegdyś ją naśladowało,

wychwalało pod niebiosa i rozpieszczało, uznało ją za wyrzutka. Elizabeth złamała reguły wielkiego świata i stała się bohaterką skandalu, który wzbudził wrzenie w wyższych sferach.

Patrząc na Aleksandrę, zastanawiała się, czy w arystokratycznych kręgach znano prawdziwą historię, czy tylko plotkę; czy nadal rozmawiano o całej sprawie, czy rzecz wreszcie przycichła. Aleksa wyruszyła w podróż tuż przed skandalem i teraz Elizabeth zachodziła w głowę, czego przyjaciółka się dowiedziała.

Owo pytanie nieustannie cisnęło jej się na usta, ale nie odważyła się go wypowiedzieć z dwóch powodów: po pierwsze odpowiedź mogłaby wywołać łyzy, a ona nie zamierzała płakać; a po drugie, żeby zadać pytanie, musiałaby powiadomić przyjaciółkę, co się wydarzyło. Prawda zaś wyglądała tak, że osamotniona i pozbawiona życzliwych osób Elizabeth nie mogła ryzykować, że Aleksa pozna fakty i też ją opuści.

- Co najbardziej cię interesuje? - powtórzyła tamta, przykleiwszy do ust pogodny uśmiech, który miał ukrywać życzliwość i współczucie dla dumnej przyjaciółki.

- Wszystko! - padła błyskawiczna odpowiedź.

- Niech pomyślę... - zaczęła Aleksa, by wypędzić z pokoju bolesne, nie zadane pytanie. - Lord Dusenberry zaręczył się z Cecylią Lacroix!

- Bardzo się cieszę - odrzekła Elizabeth z nieskrywaną radością, uśmiechając się uroczo. - Jest bardzo bogaty i pochodzi z doskonałego rodu.

- To nieuleczalny uwodziciel i w miesiąc po ślubie znajdzie sobie kochankę - odparowała Aleksa z bezpośredniością, która zawsze szokowała i zachwycała Elizabeth.

- Obyś się myliła.

- Na pewno nie. Ale jeśli sądzisz, że się mylę, może się założymy? - ciągnęła Aleksa. Tak ją uradował wesoły ogień, który znowu pojawił się w oczach przyjaciółki, że palnęła bez namysłu: - Na przykład o trzydzieści funtów.

Elizabeth poczuła, że już dłużej nie znieśie niepewności. Musiała się dowiedzieć, czy to lojalność sprowadziła tu Aleksę, czy też przyjaciółka znalazła się tu, bo sądzi, że hrabianka Cameron nadal jest najbardziej rozchwytywaną panną w Londynie.

- Nie mam trzydziestu funtów - odpowiedziała ze spokojną dumą, patrząc w niebieskie oczy przyjaciółki.

Tamta wytrzymała jej spojrzenie, mruganiem próbując ukryć łyzy współczucia.

- Wiem.

Elizabeth nauczyła się z wysoko podniesioną głową znosić wrogość i ukrywać strach, teraz w obliczu dobroci i lojalnościomal nie uległa zniechęceniu, których wcześniej nie zdołała wycisnąć jej z oczu przeżyta tragedia.

- Dziękuję - wykrztusiła cicho przez zaciśnięte gardło.

- Nie ma za co dziękować. Usłyszałam całą tę odrażającą historię i nie wierzę w ani jedno słowo. Co więcej, chcę, żebyś pojechała ze mną do Londynu na cały sezon towarzyski i zatrzymała się u nas. - Ujęła Elizabeth za rękę. - Przez wzgląd na samą siebie musisz stawić im czoło. Pomogę ci. Albo jeszcze lepiej, namówię babkę męża, żeby wzięła cię pod opiekę. Wierz mi - dokończyła Aleksa z uczuciem i serdecznym uśmiechem - nikt się nie odważy zrobić ci afrontu, jeśli stanie za tobą księżna wdowa Hawthorne.

- Proszę, przestań, sama nie wiesz, co mówisz. Nawet gdybym się zgodziła, co, nie nastąpi ona nigdy by na to nie przystała. Nie znam księżnej, ale z pewnością wystarczająco dużo o mnie słyszała.

Miasto aż trzęsło się od plotek.

Aleksa wytrzymała jej spojrzenie.

- W jednym się nie mylisz. Rzeczywiście, słyszała plotki, które krążyły pod moją nieobecność. Ale omówiłam z nią tę sprawę i postanowiła, że spotka się z tobą i sama podejmie decyzję. A kiedy to już się stanie, poruszy niebo i ziemię, by wielki świat cię przyjął z powrotem.

Elizabeth pokręciła głową, przełykając dławiacą ją kulę wdzięczności i upokorzenia.

- Doceniam twoje starania, ale nie zniosłabym tego.

- Już postanowiłam - oświadczyła stanowczo Aleksa. - Mąż szanuje moje zdanie i też się zgodzi. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Jeśli zaś chodzi o suknie, w mojej szafie wisi mnóstwo, których jeszcze nie nosiłam. Chętnie ci pożyczę...

- Wykluczone! - wybuchnęła Elizabeth. - Błagam cię - zaklinała, zdając sobie sprawę, że zachowuje się jak niewdzięcznica - zostaw mi choć odrobinę dumy. Zresztą - dodała z łagodnym uśmiechem - nie jestem aż taka nieszczęśliwa. Mam ciebie. I Havenhurst.

- Pamiętam. Ale wiem też, że nie możesz tu spędzić całego życia. Jeśli nie będziesz chciała, nie musisz bywać w towarzystwie, ale przynajmniej spędzimy razem parę tygodni. Stęskniłam się za tobą.

- Nie będziesz miała czasu - opierała się Elizabeth, która doskonale pamiętała szaf i wielość rozrywek londyńskiego sezonu towarzyskiego.

- Zamierzam raczej siedzieć w domu - wyznała Aleksandra. W jej oczach lśnił tajemniczy uśmiech. - Jestem przy nadziei.

Elizabeth z całej siły chwyciła ją w ramiona.

- Przyjadę - zgodziła się bez namysłu. - Ale zatrzymam się w domu stryja, jeśli nie będzie go w stolicy.

- U nas - nie ustępowała Aleksa.

- Zobaczymy - odrzekła z równym uporem Elizabeth. - Dziecko! - zawołała radośnie.

- Przepraszam, panienko Aleksa - przerwał im Bentner, potem zakłopotany zwrócił się do Elizabeth. - Właśnie przyjechał stryj. Prosi, by panienka natychmiast stawiała się w gabinecie.

Aleksa powiodła wzrokiem od lokaja do Elizabeth.

- Kiedy przyjechałam, Havenhurst wydało mi się opuszczone. Ile służby zostało?

- Osiemnaścioro - odpowiedziała Elizabeth. - Przed zniknięciem Roberta zeszliliśmy z dziewięćdziesięciu osób do czterdziestu pięciu, ale stryj wszystkich ich zwolnił. Uznał, że nie są potrzebni, a po zbadaniu ksiąg majątku udowodnił, że stać nas wyłącznie na zapewnienie im dachu nad głową i jedzenie. Osiemnaście osób mimo wszystko zostało - ciągnęła, uśmiechając się do Bentnera. - Całe swoje życie spędzili w Havenhurst. To również ich dom. - Wstała tłumiąc niepokój, który nieodmiennie towarzyszył rozmowom ze stryjem. - To nie potrwa długo. Stryj zatrzymuje się tutaj tylko na tyle, ile musi.

Bentner został pod pozorem uprzątnięcia talerzyków i filiżanek i odprowadził wzrokiem swą panią. Kiedy hrabianka zniknęła, zwrócił się do księżnej Hawthorne, którą znał jeszcze z czasów, kiedy biegała w chłopięcych spodniach.

- Wasza książęca mość daruje - odezwał się oficjalnie, a na jego poczciwej twarzy malowała się troska. - Czy wolno mi wyrazić radość z pani obecności? Zwłaszcza teraz, kiedy pojawił się pan Cameron.

- Bardzo dziękuję, Bentner. Ja też się cieszę, że znowu cię widzę. Czyżby pan Cameron przywoził jakieś złe wieści?

- Na to się zanosi. - Lokaj podszedł do drzwi, wyjrzał na korytarz, wrócił do gościa i odezwał się konfidencjonalnie: - Aaronowi, znaczy się stangretowi, i mnie także nie podobała się mina pana Camerona. I jeszcze coś - oświadczył, biorąc tacę z zastawą. - Nikt z tych, co zostali, nie zrobił tego z przywiązania do Havenhurst. - Na białych policzkach starego sługi pojawił się rumieniec, wzruszenie odbierało mu głos. - Nie odeszliśmy ze względu na panienkę. Tylko my jej pozostaliśmy.

To zapewnienie o lojalności sprawiło, że Aleksę pod powiekami zaszczypały łzy.

- Nie możemy dopuścić, by stryj wpędził ją w smutek - dodał jeszcze lokaj. - A nieodmiennie to robi.

- Da się go jakoś powstrzymać? - spytała z uśmiechem młoda księżna.

Bentner wyprostował się i skinął głową.

- Ja uważam, że powinno się go zepchnąć z londyńskiego mostu - oznajmił z mocą. -

Aaron zaś jest za trucizną.

W jego głosie brzmiały gniew i bezsilność, ale nie prawdziwa wola mordy, więc Aleksa odrzekła z konspiracyjnym uśmiechem:

- Chyba wolę twoją metodę, Bentner. Jest czystsza.

Żartowała, ale lokaj odpowiedział formalnym ukłonem. Popatrzyli na siebie; nie potrzebowali więcej słów, by się porozumieć. Bentner zapewnił Aleksę, że gdyby potrzebowała wsparcia służących, może na nich liczyć. Odpowiedź księżnej uspokoiła go, że młoda dama nie tylko nie pognewała się za ową śmiałość, ale także zapamiętała jego słowa i w razie czego nie omieszka skorzystać z pomocy.

ROZDZIAŁ 3

Kiedy bratanica weszła do gabinetu, Julius Cameron podniósł wzrok i zmrużył oczy ze złości. Nawet teraz, kiedy była niczym więcej jak biedną sierotą, chodziła z niemal królewską godnością, a delikatny podbródek dumnie zadzierała do góry. Tkwiła po uszy w długach i z miesiąca na miesiąc coraz bardziej się pograżała, a mimo to nosiła głowę wysoko zupełnie jak jej zarozumiały ojciec, ten niespokojny duch. W wieku trzydziestu pięciu lat zginął na morzu wraz z matką Elizabeth, gdy zatonął ich żaglowiec, ale już wtedy zdążyli przehulać większą część znacznego majątku i potajemnie zastawić część rodzinnych dóbr. Mimo to aż do ostatniej chwili zachował dumę i żył niczym zamożny arystokrata.

Julius urodził się jako młodszy syn hrabiego Havenhurst, dlatego nie odziedziczył ani tytułu, ani fortuny, ani posiadłości ziemskich. Tymczasem jednak to właśnie on - upartą pracą i skąpieniem na wszystkim - zgromadził znaczny majątek. W nieustannej walce o poprawę losu odmawiał sobie wszystkiego; ograniczył się do niezbędnego minimum, nie ulegając pokusom i czarowi wyższych sfer, nie tylko dlatego że wiązało się to z olbrzymimi kosztami, ale również dlatego, że nie zamierzał wyłącznie krążyć po orbicie wielkiego świata.

Po wszystkich tych poświęceniach, po spartańskiej egzystencji, jaką wiódł z żoną, los wystrychnął go na dudka - żona nie dała mu dziedzica. Wieczna gorycz Juliusa brała się stąd, że nie miał potomka, któremu pozostawiłby swój majątek i ziemie - otrzyma je dziecko Elizabeth, która oczywiście musi najpierw dobrze wyjść za mąż.

Teraz, kiedy patrzył na siedzącą po drugiej stronie biurka dziewczynę, ze zdwojoną, bolesną siłą uderzyła go ironia losu. Całe życie harował i ciułał, a co zyskał w zamian? Przekaze bogactwo wnukowi swego rozrzutnego brata. Jakby tego było mało, spoczął na nim ciężar uporządkowania bałaganu, jaki zostawił po sobie przyrodni brat Elizabeth, Robert, znikając przed dwoma laty. Dlatego teraz Julius musiał spełnić polecenie, zawarte w testamencie ojca Elizabeth i wydać dziewczynę za człowieka posiadającego najlepiej i tytuł, i majątek. Miesiąc wcześniej, przystępując do tego zadania, Julius nie spodziewał się najmniejszych problemów. W końcu kiedy przed dwoma laty bratanica pojawiła się w Londynie, jej uroda, nieskazitelne pochodzenie i pogłoski o bogactwie sprawiły, że w ciągu zaledwie czterech tygodni oświadczyło się o nią aż piętnastu konkurentów. Teraz, ku zdumieniu jej stryja, na jego list odpowiedziało twierdząco zaledwie trzech kandydatów, wielu zaś nawet nie raczyło odpisać. Oczywiście, wszyscy już wiedzieli, że hrabianka zubożała, ale Julius obiecywał duży posag, byle się pozbyć dziewczyny. Ponieważ zawsze

myślał wyłącznie o pieniądzach, spodziewał się, że wiano wystarczy, by uczynić z Elizabeth partię godną zainteresowania. Prawie nie pamiętał o strasznym skandalu, jaki rozpętała i nic go on nie obchodził. Odrzucał wielki świat ze wszystkimi jego plotkami, frywolnością i brakiem zasad. Z gniewnej zadumy wyrwało go pytanie bratanicy.

- O czym chciałeś ze mną rozmawiać, stryju?

Wrogość w połączeniu z niechęcią na myśl o rychłym i niewątpliwym wybuchu gniewu ze strony Elizabeth, sprawiły, że Julius przybrał jeszcze bardziej oschły ton niż zwykle.

- Przyjechałem, by omówić kwestię twojego bliskiego zamążpójścia.

- Mojego... czego? - wykrztusiła, tak zaskoczona, że na chwilę zapomniała o pozorach dumy.

Wyglądała i czuła się jak dziecko, oszołomione, wstrząśnięte i schwyte w pułapkę.

- Chyba słyszałaś. Wybrałem trzech kandydatów - ciągnął ostrym tonem Julius, odchyliwszy się na krześle. - Dwóch ma szlachecki tytuł, trzeci nie. Ponieważ twój ojciec przywiązywał dużą wagę do pochodzenia, wybiorę kandydata, stojącego najwyżej w hierarchii. Oczywiście, pod warunkiem że będę miał wybór.

- Jak... - Elizabeth urwała, by zebrać myśli. - Można wiedzieć, w jaki sposób wybrałeś owych kandydatów?

- Poprosiłem Lucinę o nazwiska mężczyzn, którzy w czasie twojego pobytu w Londynie rozmawiali z Robertem o małżeństwie z tobą. Podała mi je, a ja pchnąłem do wszystkich posłańców, deklarując twoją i moją - jako twojego opiekuna - gotowość, by wziąć ich pod uwagę jako kandydatów do twojej ręki.

Elizabeth zacisnęła dłoń na poręczy fotela, próbując zapanować nad przerażeniem.

- Czy dobrze rozumiem - odezwała się zduszonym szeptem - że ogłosiłeś przetarg na moją rękę, ofiarując ją każdemu, kto zechce?

- Tak! - wyrzucił, kipiąc z gniewu, że śmie insynuować, jakoby nie zachował się w sposób godny jego i jej urodzenia. - Co więcej, warto, byś sobie uświadomiła, że straciłaś swoją legendarną władzę nad mężczyznami. Z całej piętnastki tylko trzech konkurentów zgodziło się odnowić z tobą znajomość.

Upokorzona do samej głębi Elizabeth tępo wpatrywała się w ścianę za stryjem.

- Nie mieści mi się w głowie, że mogłeś zrobić coś takiego!

Uderzył otwartą dłonią w biurko, aż zadudniło.

- Postąpiłem zgodnie z moim prawem opiekuna i spełniając wolę twojego ojca - utracjusza. Pozwolisz, że przypomnę: po mojej śmierci to moje pieniądze zostaną przekazane

twojemu mężowi, a następnie waszemu synowi - Moje.

Elizabeth od wielu miesięcy próbowała zrozumieć stryja i w głębi serca wiedziała, skąd się bierze jego gorycz. Nawet mu współczuła.

- Żałuję, że nie dochowałeś się syna - odpowiedziała zduszonym głosem. - Ale to nie moja wina - Nie zrobiłam ci nic złego i nie dałam powodu, żebyś mnie aż tak znienawidził, by w ten sposób mnie traktować... - Umilkła, widząc, że oblicze Juliusa twardnieje wobec, jak sądził, jej błagań. Dlatego podniosła głowę, próbując zachować resztki godności. - Co to za mężczyźni?

- Sir Francis Belhaven - odrzekł krótko.

Dziewczyna wpatrywała się w niego zdumiona i pokręciła głową.

- W Londynie poznałam setki ludzi, ale nie przypominam sobie tego nazwiska.

- Drugi to lord John Marchman, hrabia Canford. Znowu pokręciła głową.

- Brzmi znajomo, ale nie kojarzę twarzy.

- Widać masz słabą pamięć - oświadczył rozdrażniony stryj, wyraźnie rozczarowany jej reakcją - - Skoro nie możesz sobie przypomnieć szlachcica ani hrabiego - dodał sarkastycznie - zapewne nic ci też nie powie nazwisko nie poprzedzone żadnym tytułem.

- Kim jest trzeci kandydat? - spytała chłodno, dotknięta tą krzywdzącą uwagą.

- Pan Ian Thornton. Jest...

To nazwisko sprawiło, że Elizabeth zerwała się na równe nogi, ogarnięta furją, przerażeniem i odrazą.

Ian Thornton! - krzyknęła, opierając się o blat biurka, żeby nie upaść. - Ian Thornton! - powtórzyła podniesionym głosem, w którym brzmiał gniew i histeryczny śmiech. - Stryju, nawet jeśli Ian Thornton rozmawiał z Robertem o ślubie ze mną, to nad pistoletem! Nigdy nie zamierzał się ze mną ożenić, a mój brat pojedynkował się z nim, broniąc mej reputacji. Co więcej, nawet go postrzelił!

Stryj nie okazał skruchy ani gniewu, tylko patrzył na Elizabeth z zimną obojętnością.

- Nie rozumiesz? - zawołała.

- Rozumiem jedynie - odrzekł wyniośle - że odpowiedział na mój list nie tylko twierdząco, ale wręcz serdecznie. Może żałuje swojego zachowania i pragnie zgody.

- Zgody?! Nie wiem, czy czuje do mnie odrazę, czy tylko pogardę, ale zapewniam cię, że nie pragnie mnie poślubić i nigdy nie miał takiego zamiaru! To przez niego nie mogę się pokazać w towarzystwie!

- Moim zdaniem, lepiej na tym wyjdiesz, jeśli nie będziesz się obracać w zepsutym londyńskim świecie. Ale nie w tym rzecz, Ian Thornton zaakceptował moje warunki.

- Jakie warunki?

Nie przejmując się uczuciami roztrzęsionej bratanicy, Julius rzeczowo wyjaśnił:

- Wszyscy trzej kandydaci zgodzili się udzielić ci krótkiej gościny, w czasie której przekonacie się, czy do siebie pasujecie. Lucinda będzie ci towarzyszyć jako przyzwoitka.. Wyruszysz za pięć dni.

Najpierw odwiedzisz Belhavena, potem Marchmana, a następnie Thorntona.

Pokój zawirował jej przed oczami.

- Nie wierzę własnym uszom! - wybuchnęła i zdesperowana zwróciła uwagę na najmniejsze ze swoich zmartwień. - Lucinda wyjechała na pierwsze od lat wakacje. Odwiedza siostrę w Devon.

- W takim razie weź zamiast niej Bertę, a Lucinda przyłączy się do ciebie, kiedy będziesz jechać do Szkocji do Thorntona.

- Bertę! To przecież tylko pokojówka! Moja reputacja legnie w gruzach, jeśli spędzę tydzień w domu kawalera ze służącą w roli przyzwoitki.

- To nie przyznawaj się, że jest służącą - warknął. - Ponieważ w listach zapowiadałem, że zjawisz się z Lucinda Throckmorton - Jones jako przyzwoitką, przedstawiaj Bertę jako ciotkę. Bez żadnych sprzeciwów, moja panno - zakończył. - Sprawę uważam za zamkniętą. To na razie wszystko. Możesz odejść.

- Wcale nie wszystko! Musiało dojść do jakiejś strasznej pomyłki! Pan tak samo jak ja nie ma ochoty na to spotkanie!

- Nie doszło do żadnej pomyłki - oznajmił Julius tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Ian Thornton otrzymał mój list i przyjął propozycję. Zamieścił nawet wskazówki, jak dotrzeć do jego majątku w Szkocji.

- Twoją propozycję - wykrzyknęła bratanica - nie moją!

- Nie zamierzam dłużej roztrząsać szczegółów, Elizabeth. Koniec dyskusji.

ROZDZIAŁ 4

Hrabianka wolno szła korytarzem do pokoju Aleksandry, ale kolana tak jej się trzęsły, że musiała stanąć i oprzeć się o ścianę. Pan Thornton... Spotkanie z Ianem Thorntonem jest wyłącznie kwestią dni.

Jego nazwisko dźwięczało jej w głowie i wprost trzęsła się z upokorzenia, nienawiści i strachu. Musiała wejść do małego saloniku, gdzie opadła na kanapę, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w jaśniejszą plamę na ścianie w miejscu, gdzie kiedyś wisiał obraz Rubensa.

Ani przez moment nie wierzyła, by Ian Thornton zamierzał się z nią ożenić. Nie miała pojęcia, jakie pobudki mogły go skłonić do przyjęcia oburzającej propozycji stryja. Jeśli chodzi o Iana Thorntona, Elizabeth zawsze była naiwną, łatwowierną gąską.

Teraz, siedząc z odchyloną głową i zamkniętymi oczami, sama nie wierzyła, że kiedyś mogła być tak szalona - i bezmyślna - jak owego dnia, kiedy go poznała. Wtedy nie wątpiła, że otwiera się przed nią cudowna, jasna przyszłość. Ale cóż, nie miała powodów sądzić, iż jest inaczej.

Kiedy jako jedenastolatka straciła rodziców, życie stało się mroczne, lecz miała Roberta, który ją pocieszał i obiecywał, że wkrótce znowu wszystko nabierze barw. Robert, o osiem lat starszy, nie był jej rodzonym bratem, tylko synem matki z pierwszego małżeństwa, ale dziewczynka od pierwszych chwil kochała go i darzyła zaufaniem. Rodzice tak często wyjeżdżali, że myślała o nich raczej jak o wspaniałych gościach, którzy trzy, cztery razy w roku pojawiali się w jej życiu, zasypując prezentami, a potem znikali wśród pożegnań.

Z wyjątkiem utraty matki i ojca dzieciństwo Elizabeth upływało niemal bez trosk. Dzięki swojej pogodzie ducha była ulubienicą służących, którzy za nią przepadali. Kucharka dawała jej łakocie, lokaj nauczył grać w szachy, Aaron, stangret, zdradził tajniki wista, a parę ładnych lat później również strzelania z pistoletu, gdyby kiedyś musiała się bronić.

Lecz spośród wszystkich swoich przyjaciół z pałacu, Elizabeth najwięcej czasu spędzała z Oliverem, głównym ogrodnikiem, który zjawił się w Havenhurst, kiedy dziewczynka miała jedenaście lat. Ten cichy mężczyzna o łagodnym spojrzeniu pracował w oranżerii i przy klombach i cicho przemawiał zawsze do kwiatów i roślin.

- Rośliny potrzebują uczucia - wyjaśnił, kiedy Elizabeth przyłapała go raz w oranżerii na piesszczotliwych zachętach, skierowanych do więdnącego fiołka. - Zupełnie jak ludzie. Śmiało - zachęcił, ruchem głowy wskazując kwiat - podnieś biedulkę na duchu.

Hrabianka czuła się trochę dziwnie, ale posłuchała Olivera, nikt bowiem nie śmiał wątpić w jego umiejętności - od przybycia tego człowieka ogrody w Havenhurst zmieniły się nie do poznania. Dlatego pochyliła się nad kwiatem i zwróciła się do niego z powagą:

- Mam nadzieję, że wkrótce wydobrzejesz i znowu będziesz tak samo śliczny, jak dawniej.

Potem odsunęła się i czekała, aż pożółkłe liście podniosą się ku światłu.

- Dałem jej trochę mojego specyfiku - oświadczył ogrodnik, ostrożnie przestawiając kwiat na półkę, do pozostałych chorych. - Przyjdź za parę dni: sama pokaże ci, jakie poczyniła postępy.

Dopiero później Elizabeth uświadomiła sobie, że dla Olivera każdy kwiatek doniczkowy to „ona”, pozostałe zaś to „oni”.

Następnego dnia dziewczynka pobiegła do oranżerii, ale fiołek wyglądał tak samo mizernie jak wcześniej. Po pięciu dniach zapomniała o kwiatku i w oranżerii zjawiła się tylko po to, by poczęstować ogrodnika ciastem.

- Przyjaciółka pragnie się z tobą przywitać, panienko - powiedział.

Elizabeth podeszła do stołu z pacjentami Olivera i zobaczyła tam fiołek - delikatne główki kwiatów mocno trzymały się na młodych łodygach, jędrne listki sterczały dookoła.

- Oliverze! - wykrzyknęła zachwycona. - Jak to zrobiłeś?

- Wyzdrowiała dzięki twoim miłym słowom. No i trochę pomogła moja mikstura - odrzekł.

A ponieważ dostrzegł w oczach Elizabeth prawdziwą fascynację - a może chciał wyrwać świeżo osieroconą dziewczynkę ze smutku oprowadził ją po oranżerii, pokazując rośliny i tłumacząc, jakie odmiany próbuje wyhodować. Potem spytał, czy nie chciałyby założyć własnego ogródka; gdy się zgodziła, przeszli do sadzonek i zaczęli planować, jakie kwiaty powinna zasadzić.

Tego dnia narodziła się miłość Elizabeth do wszystkiego, co rolne. Pracując u boku Olivera, w fartuchu osłaniającym sukienkę, poznała wszystkie jego „lekarstwa”, nawozy i marzenia o stworzeniu własnych odmian roślin.

Kiedy zaś ogrodnik nauczył ją wszystkiego, co wiedział, Elizabeth zaczęła dzielić się z nim swoją wiedzą, gdyż miała nad Oliverem niewątpliwą przewagę: umiała czytać, a jej dziadek zgromadził imponujący księgozbiór. Ramię w ramię siedzieli aż do zmroku na ławce w ogrodzie i dziewczynka czytała przyjacielowi o starych i nowoczesnych metodach wspomagania rozwoju roślin, dzięki czemu rosły jędrne i krzepkie. Po pięciu latach „ogródek” hrabianki rozprzestrzenił się na niemal wszystkie klomby. Wystarczyło, że

klęknęła ze swoim małym szpadlem, a rośliny natychmiast zaczynały kwitnąć.

- Wiedzą, że je kochasz - powiedział pewnego dnia Oliver, kiedy przycupnęła wśród różnobarwnych stokrotek. Jego zwykle poważną twarz rozjaśniał uśmiech. - One zaś okazują ci swoją miłość, starając się przedstawić jak najlepiej.

Kiedy ogrodnik podupadł na zdrowiu i musiał się przenieść w cieplejsze strony, Elizabeth bardzo za nim tęskniła i z tym większym zapałem poświęciła się pracy w ogrodzie. Puściła wodze wyobraźni, szkicowała własne projekty, a potem realizowała je, zagoniwszy do roboty wszystkich lokajów i stajennych. Klomby zajęły teraz cały zniwelowany teren na tyłach domu.

Elizabeth uważała za cenny skarb nie tylko ogrodnictwo i towarzystwo służby, ale również przyjaźń z Aleksandrą Lawrence. Aleksa była najbliższą sąsiadką w odpowiednim wieku; choć nieco starsza od Elizabeth, tak samo jak ona uwielbiała opowiadać nocą mrozące krew w żyłach historie o duchach, aż obie zaczynały chichotać nerwowo ze strachu, albo siedzieć w okazałym domku na drzewie i zwierzać się z dziewczęcych sekretów i marzeń.

Nawet kiedy Aleksa wyszła za mąż i wyjechała, Elizabeth nigdy nie czuła się samotna, bo miała coś, co kochała i co zajmowało jej myśli i czas: Havenhurst. Pierwotna warownia powstała w dwunastym wieku, była prawdziwym zamkiem z fosą i murami obronnymi, zbudowała ją jakaś praprapraprababka Elizabeth. Mąż owej protoplastki wykorzystał wpływy, jakie posiadał u króla i dołączył do aktu własności liczne kodycyle, dzięki którym posiadłość miała należeć do jego żony i potomków obojga tak długo, jak będą chcieli go zatrzymać. Dziedziczyć tytuł mogli tak mężczyźni, jak i kobiety.

Dlatego też po śmierci ojca jedenastoletnia Elizabeth została hrabianką Havenhurst, a choć to niewiele dla niej znaczyło, majątek z jego barwną historią był dla niej wszystkim. Jako siedemnastoletnia panna znała jego dzieje równie dobrze jak własne. Pamiętała szczegóły oblężeń, łącznie z nazwiskami napastników i fortelami, do jakich uciekali się hrabiowie oraz hrabiny Havenhurst, by bronić swej własności. Mogła też bez zająknięcia wyrecytować imiona wszystkich właścicieli, ich osiągnięcia i słabostki - od pierwszego hrabiego, słynącego z męstwa na polu walki (a w skrytości ducha panicznie bojącego się własnej żony) po jego syna, który zranił Bogu ducha winnego konia, kiedy spadł z niego podczas nauki strzelania.

Fosę zasypano już parę wieków temu, mury obronne rozebrano, budowlę zaś powiększono i przebudowywano, aż do obecnego kształtu, który w niczym nie przypominał oryginalnej warowni. Teraz Havenhurst stał się obszerną wiejską rezydencją, malowniczym połączeniem wielu stylów. Mimo to dzięki starym pergaminom i obrazom Elizabeth

doskonale wiedziała, gdzie co niegdyś się znajdowało, łącznie z fosą, murami, a nawet błoniami, na których średniowieczni rycerze ćwiczyli się w sztuce walki.

Trudno zatem się dziwić, że siedemnastoletnia Elizabeth Cameron w niczym nie przypominała typowej dobrze urodzonej panny. Niezwykle odczytana i pewna siebie, obdarzona zmysłem praktycznym, który coraz wyraźniej dawał o sobie znać, uczyła się od zarządcy tajników administrowania majątkiem. Wychowana wśród wiernych, godnych zaufania służących, w swojej naiwności sądziła, że wszyscy ludzie są równie odpowiedzialni i uczciwi jak mieszkańcy Havenhurst.

Nic dziwnego, że owego pamiętnego dnia, gdy z Londynu nieoczekiwanie przybył Robert, by oderwać ją od róż, które właśnie przycinała, i z szerokim uśmiechem oświadczył, że za pół roku Elizabeth zadebiutuje w stolicy, dziewczyna przyjęła wiadomość z radością i bez cienia obawy.

- Wszystko już ustalone - mówił podniecony. - Lady Jameson zgodziła się wprowadzić cię w wielki świat, przez wzgląd na pamięć o mamie. Całe to przedsięwzięcie będzie kosztowało majątek, ale warto.

Zdumiona Elizabeth wpatrywała się w brata.

- Nigdy jeszcze nie narzekałeś, że coś drogo kosztuje. Czyżbyśmy borykali się z problemami finansowymi, Robercie?

Już nie - skłamał. - Mam tu prawdziwą fortunę, choć wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Gdzie?

Elizabeth była oszołomiona nowinami, ale równocześnie nie mogła się pozbyć niepokoju. Brat ze śmiechem zaciągnął ją do lustra, ujął jej twarz w dłonie i zmusił, by się sobie przyjrzała. Zerknęła na własne odbicie i parsknęła śmiechem.

- Czemu od razu nie powiedziałaś, że jestem brudna? - spytała, ścierając z policzka smugę ziemi.

- Elizabeth - zaśmiał się - naprawdę tylko to widzisz w lustrze?

Trochę brudu?

- Nie. Widzę swoją twarz.

- Co to za twarz?

- Moja - odrzekła, jakby tłumaczyła coś dziecku.

- Właśnie ona jest naszym majątkiem! - zawołał. - Uświadomiłem to sobie dopiero wczoraj, kiedy Bertie Krandell wspomniał, jak wspaniale jego siostra urządzi się w życiu dzięki lordowi Cheverleyowi.

Elizabeth nadal nie rozumiała.

- O czym ty mówisz?

- O twoim małżeństwie - wyjaśnił, nie przestając się uśmiechać.

Jesteś dwa razy ładniejsza od siostry Bertiego. Z twoją urodą Havenhurst jako wianem będziesz mogła złapać męża, którego pozazdrości ci cała Anglia. Dzięki małżeństwu zaś otrzymasz klejnoty, suknie i wspaniałe posiadłości, a ja zdobędę koneksje warte więcej niż największe pieniądze. Zresztą - zażartował - gdyby czasem zabrakło mi grosza, uszczkniesz trochę ze swych pieniędzy na fatałaszkę i poratujesz brata paroma tysiącami funtów.

- Czyli jednak mamy kłopoty finansowe? - nie ustępowała Elizabeth.

Niepokój sprawił, że zapomniała o swym debiucie. Robert spuścił wzrok i z westchnieniem poprowadził ją do kanapy.

- Rzeczywiście, pojawiły się przejściowe trudności - zaczął, gdy siostra przy nim usiadła.

Elizabeth miała zaledwie siedemnaście lat, ale doskonale wiedziała, kiedy brat ją oszukiwał. Jej mina wyraźnie świadczyła, że dziewczyna nie wierzy uspokajającym zapewnieniom Roberta.

- No dobrze - przyznał niechętnie - jest fatalnie. Bardzo źle.

- Jak to? - spytała, a mimo coraz silniejszego lęku udało jej się zachować pozory spokoju.

Na przystojnej twarzy Roberta pojawił się rumieniec wstydu.

- Po pierwsze, tata zostawił straszne długi, w tym również karciane. Ja również dorzuciłem parę swoich. Do tej pory wierzyciele nie dawali mi się nadmiernie we znaki, ale teraz zaczęli się domagać zwrotu pieniędzy. A to nie wszystko. Utrzymanie Havenhurst pochłania straszne sumy. Dochody nie pokrywają wydatków, zresztą nigdy nie pokrywały. No i skutek oczywisty: jesteśmy zadłużeni po uszy. Trzeba sprzedać część mebli i obrazów, żeby zaspokoić wierzycieli, inaczej żadne z nas nie będzie mogło się pokazać w Londynie. Na tym nie koniec. Havenhurst należy do ciebie, nie do mnie, jeśli więc szybko nie wyjdiesz dobrze za mąż, wkrótce trzeba będzie wystawić posiadłość na licytację.

- Sam powiedziałaś, że debiut w Londynie pochłonie mnóstwo pieniędzy, których, jak widać, nie posiadamy - zwróciła mu uwagę Elizabeth.

Głos tylko trochę jej drżał, ale w duszy kłębiła się burza strachu i zdumienia.

- Wierzyciele uspokoją się, gdy tylko zaręczysz się z bogatym arystokratą, a, zapewniam cię, nie będziemy mieli najmniejszych problemów ze znalezieniem ci kandydata na męża.

Elizabeth uważała ów pomysł za zimny i wyrachowany, lecz Robert pokręcił głową. Tym razem to on kierował się zmysłem praktycznym.

- Jesteś kobietą, siostrzyczko i chyba zdajesz sobie sprawę z tego, że musisz kiedyś wyjść za mąż. Każda panna musi znaleźć męża.

Zamknięta w Havenhurst nie trafisz na odpowiedniego kandydata.

Nie każę ci przyjmować oświadczyń pierwszego lepszego konkurenta. Wybiorę tego, którego mogłabyś obdarzyć głębokim uczuciem, a potem - zapewnił - zażądam długiego narzeczeństwa, tłumacząc to twoją młodością. Żaden przyzwoity mężczyzna nie będzie zmuszał siedemnastolatki do małżeństwa, dopóki sama do tego nie dorośnie. To jedyne wyjście - uprzedził jej protesty.

Elizabeth wychowano pod kloszem, ale zdawała sobie sprawę, że brat ma prawo od niej oczekiwać, że dobrze wyjdzie za mąż. Rodzice też jasno dawali kiedyś jej do zrozumienia, że powinnością córki jest znalezienie kandydata na męża, którego zaakceptowałaby rodzina. W tym wypadku obowiązek wyboru narzeczonego spadał na jej przyrodniego brata i Elizabeth ufała mu bez zastrzeżeń.

- Przyznaj się - Robert uderzył w żartobliwą nutę - nigdy nie marzyłaś, by nosić piękne suknie i by otaczali cię przystojni wielbiciele?

- Może, parę razy...

Zawstydzona Elizabeth uśmiechnęła się lekko, ale nie powiedziała całej prawdy. Była normalną, zdrową dziewczyną, obdarzoną gorącym sercem, która chętnie czytywała romanse. Ostatni argument Roberta do niej trafił.

Niech będzie - zgodziła się w końcu. - Spróbujemy. Nie możemy tylko spróbować, musi nam się powieść albo skończysz jako zubożała guwernantka, która uczy cudze dzieci, zamiast wychowywać własne. Ja zaś trafię do więzienia za długi.

Na myśl, że Robert miałby gnić w wilgotnej celi, a ona zostałaby pozbawiona Havenhurst, Elizabeth była gotowa zgodzić się niemal na wszystko.

Zostaw to mnie - zakończył i tak się stało. W ciągu następnych sześciu miesięcy Robert skupił się na usunięciu każdej przeszkody, która mogłaby utrudnić triumf siostry w stolicy. Przyjął niejaką panią Porter, by nauczyła Elizabeth ogłady i manier, czego zaniedbały matka i poprzednia guwernantka dziewczyny. Od pani Porter Elizabeth dowiedziała się, że pod żadnym pozorem nie wolno jej się przyznać, że jest inteligentna, czytana oraz interesuje się ogrodnictwem.

Drożej krawcowej w Londynie polecono zaprojektowanie i uszycie sukni, które pani Porter uznała za niezbędne dla debutantki. Panna Lucinda Throckmorton - Jones, z

powodzeniem wprowadzającą na scenę towarzyską Londynu kolejne debiutantki, została Utrudniona jako dama do towarzystwa i przyzwoitką Elizabeth. Ta pięćdziesięcioletnia, siwa kobieta, zawsze uczesana w surowy kok i wyprostowana jak struna, nieustannie marszczyła nos, jakby czuła nieprzyjemną woń, a była zbyt dobrze wychowana, by głośno o tym wspomnieć. Oprócz onieśmielającej postury damę do towarzystwa Elizabeth charakteryzowała też rzadka umiejętność: potrafiła godzinami siedzieć nieruchomo, nie poruszywszy nawet palcem.

Dziewczyna nie dała się zmylić kamiennej twarzy przyzwoitki i postanowiła zmiękczyć surową damę. Żartobliwie nazywała ją „Lucy”, a kiedy owo zdrobienie spotkało się z groźnym zmarszczeniem brwi, Elizabeth poszukała innego sposobu. Wkrótce go znalazła. Parę dni po przybyciu do Havenhurst, Lucinda zastała swą podopieczną w bibliotece: siedziała w fotelu pogrążona w lekturze.

- Lubisz czytać? - spytała burkliwie starsza dama i zaskoczona spojrzała na tytuł książki, wypisany złoconymi literami.

- Tak - odrzekła Elizabeth z uśmiechem. - A ty?

- Znasz Christophera Marlowe'a?

- Owszem, choć wolę Szekspira.

Od tamtej pory co wieczór po kolacji dyskutowały o przeczytanych książkach. Elizabeth szybko się zorientowała, że udało jej się zdobyć niechętny szacunek Lucindy. Nie wiedziała, czy zaskarbiła sobie jej sympatię, ta dama bowiem okazywała wyłącznie jedno uczucie: gniew. I pozwoliła sobie nań tylko raz, wobec bezczelnego sklepikarza z miasteczka. Rozzłoszczona Lucinda Throckmorton - Jones stanowiła niezapomniany widok. Dźgając oszołomionego kupca swoim nieodłącznym parasolem, zapędziła biedaka z powrotem do sklepu, jednocześnie zaś zasypała go gradem pełnych furii epitetów, wymówionych lodowatym tonem.

- Wybuchy furii - wyjaśniła potem swej podopiecznej, zapewne traktując to wytłumaczenie jako rodzaj przeprosin - to moja jedyna wada.

W głębi duszy dziewczyna podejrzewała, że Lucinda, siedząc tak bez ruchu, tłumi w sobie uczucia, w końcu jednak wybuchają one ze zdwojoną siłą, zupełnie jak owe góry, o których czytała: rośnie w nich tak olbrzymie ciśnienie, że w pewnym momencie eksplodują, wyrzucając z siebie gorącą lawę.

Zanim Cameronowie wraz z panną Throckmorton - Jones i niezbędną służbą zjawili się w Londynie na sezon towarzyski, dziewczyna zdążyła już przyswoić sobie całą wiedzę pani Porter i uważała, że doskonale stawia czoło wszelkim zagrożeniom, jakie przed nią

odmalowała jej mentorka. A kiedy nie wbijała sobie do głowy zasad etykiety, zastanawiała się, czemu wszyscy robią tyle szumu wokół jej debiutu. Przecież wystarczyło jej pół roku na opanowanie tajników tańca, od trzeciego roku życia potrafiła mówić i rozmawiać, a, jeżeli zrozumiała nauki pani Porter, wielki świat oczekiwał od niej, by umiała prowadzić konwersację wyłącznie na lekkie tematy, za wszelką cenę ukrywała inteligencję i ładnie tańczyła.

Kiedy Elizabeth i Robert już się rozgościli w wynajętym domu, odwiedziła ich lady Jamison, która zobowiązała się wprowadzić pannę w wielki świat. Obie córki - Valerie i Charise - już wypuściła spod swych skrzydeł. Mająca osiemnaście lat Valerie zadebiutowała rok wcześniej, starsza o pięć lat Charise zdążyła owdowieć. Jej mąż, stary hrabia Dumont, miesiąc po ślubie przeniósł się na łono Abrahama, dzięki czemu szczęśliwa młoda wdowa zyskała majątek oraz całkowitą niezależność.

Dwa tygodnie pozostałe do rozpoczęcia sezonu towarzyskiego Elizabeth spędziła w towarzystwie młodych, posażnych debutantek, które gromadziły się w salonie Jamisonów na bez troskie ploteczki o wszystkim i niczym. Każdą pannę sprowadzał do Londynu ten sam zaszczytny cel: mariaż zgodny z wolą rodziny, wybranie najbogatszego z kandydatów i podniesienie statusu rodziny oraz powiększenie jej majątku.

Właśnie w tym salonie ostatecznie pogłębiła swoją wiedzę i zakończyła nauki. Do głębi wstrząśnięta przekonała się, że pani Porter miała rację, zalecając, by śmiało rzucała znanymi nazwiskami własność rodów. Okazało się również, że w wielkim świecie nie uważano za nietakt rozmów o sytuacji finansowej - zwłaszcza o statusie i perspektywach kawalera. Pierwszego dnia omal nie zdradziła własnej ignorancji, kiedy z trudem powstrzymywała okrzyki zgrozy, słuchając absurdalnej paplaniny dziewcząt.

- Hrabia Peters to świetna partia. Ma dwadzieścia tysięcy funtów rocznego dochodu i jest prawie pewne, że odziedziczy tytuł baroneta po stryju. Oczywiście, o ile stryja zmoże w końcu choroba serca, a wszystko na to wskazuje - oznajmiła jedna z dziewcząt.

- Shoreham ma cudowny majątek w Wiltshire - natychmiast zawtórowała inna. - Mama siedzi jak na szpilkach, nie może się doczekać, kiedy wreszcie się zdeklaruje... Pomyślcie: szmaragdy Shorehamów! Co prawda Robelsly jeździ cudowną, błękitną dwukółką, ale papa oświadczył, że tkwi po uszy w długach i w ogóle nie należy brać go pod uwagę.

- Elizabeth, zobaczysz, co będzie, kiedy poznasz Richarda Shipleya! Tylko nie daj mu się oczarować; to skończony łajdak, a choć ubiera się zgodnie z najnowszą modą, jest goły jak święty turecki.

Ostatnia rada padła z ust Valerie Jamison, którą Elizabeth uważała za swą najbliższą przyjaciółkę w tym gronie.

Hrabianka z radością przyjmowała przyjaźń wszystkich dziewcząt, udawała też, że słucha ich rad, ale nie umiała się pogodzić /./ tym, jak traktowały osoby, które uważały za niżej postawione od siebie - co nie dziwiło u panny, uznającej lokaja i stajennego za równych sobie.

Równocześnie jednak dziewczyna zakochała się w Londynie: w jego ruchliwych ulicach, wymuskanych parkach i pełnej podniecenia atmosferze miasta. Z niekłamaną przyjemnością też cieszyła się towarzystwem przyjaciółek, które - o ile nie plotkowały - stanowiły niezwykle miłą kompanię.

Ale nadszedł wieczór pierwszego balu i Elizabeth nagle straciła pewność siebie i wszelki entuzjazm. Kroczyła po schodach u boku Roberta, gdy wtem ogarnęło ją przerażenie. Wspominała urywki zakazów i nakazów, których nigdy nie chciało jej się uczyć, i coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że spędzi cały sezon towarzyski, podpierając ściany. Kiedy jednak weszła do sali balowej, błyskawicznie zapomniała o swych obawach. Jej oczy rozpromieniły się z zachwytu. Setki tysięcy płomyków świec odbijały się w kryształowych żyrandolach. Wszędzie widziała przystojnych mężczyzn i wytwornie ubrane kobiety, spowite w jedwabie i ałas.

Nie dostrzegła, że młodzi dżentelmeni się za nią oglądają. Podniosła promienne, zielone oczy ku uśmiechniętemu bratu.

- Robercie - szepnęła - czy kiedykolwiek sądziłeś, że na świecie może być tylu pięknych ludzi i takie wspaniałe pomieszczenia?

Ubrana w białą suknię z tiulu w złoty wzorek, z wplecionymi w złociste włosy białymi różami i błyszczącymi, zielonymi oczami Elizabeth Cameron wyglądała jak księżniczka z bajki.

Była oczarowana i to dodawało jej eterycznego blasku. Wreszcie oprzytomniała na tyle, by powitać uśmiechem Valerie i pozostałe dziewczęta.

Pod koniec wieczoru Elizabeth miała wrażenie, jakby rzeczywiście przeniosła się w świat baśni. Młodzi kawalerowie otaczali ją wianuszkami, zabiegając, by zostali jej przedstawieni i mogli z nią zatańczyć albo przynieść szklankę ponczu. Uśmiechała się i tańczyła, ale nie uciekała się do flirtu i sztuczek, których chwytaly się jej przyjaciółki. W przeciwieństwie do tamtych z autentycznym zaangażowaniem i życzliwym uśmiechem słuchała, co do niej mówili wielbicieli. Sprawiała, że czuli się przy niej swobodnie, prowadząc podczas tańca niezobowiązujące pogawędki. Udzieliła jej się ogólna radość,

czarowała ją cudowna muzyka, do głowy uderzał powszechny zachwyt, a wszystkie te uczucia odbijały się w promiennych oczach i uśmiechu dziewczyny. Stała się księżniczką z bajki, która przyszła na swój pierwszy bal. Oczarowała wszystkich, bez końca wirując w tańcu pod kryształowymi żyrandolami, w otoczeniu pięknych książąt. Wydawało się, że ta chwila będzie trwała wiecznie. Anielsko piękna, złocistowłosa, zielonooka hrabianka Cameron szturmem wzięła Londyn. Nie była zwykłą pięknoscią - była pięknoscią sezonu.

Już następnego ranka pod drzwiami londyńskiego domu Elizabeth ustawiały się kolejki gości i właśnie tam, a nie w sali balowej dokonywała największych podbojów, gdyż wielbiciele mogli się napawać nie tylko jej widokiem, lecz i towarzystwem. W ciągu trzech tygodni oświadczyło się o nią czternastu kawalerów i cały Londyn aż huczał, gdyż nawet panna Mary Gladstone, słynna pięknosc, która królowała aż dwa sezony, nie mogła się pochwalić takim wynikiem.

Dwunastu wielbicieli Elizabeth było młodych, zakochanych nieprzytomnie i dobrze urodzonych; dwaj, znacznie od niej starsi, wydawali się równie zadurzeni. Robert wyniośle, z wyjątkowym brakiem taktu, wydrwił owych konkurentów i bez litości ich odrzucił jako niegodnych ręki jego siostry. Wytrwale czekał, dotrzymując słowa danego dziewczynie, że wybierze jej idealnego męża, z którym będzie szczęśliwa.

Piętnasty pretendent do ręki Elizabeth spełnił wszystkie wymagania przyrodniego brata. Wicehrabia Mondevale miał dwadzieścia pięć lat, był bogaty jak Krezus, przystojny i obdarzony miłym charakterem. Bezdiskusyjnie stanowił najlepszą partię sezonu. Robert o tym wiedział i - jak przyznał się wieczorem siostrze - był taki uradowany, że omal się nie zapomniał i nie przeskoczył przez biurko, by powinszować młodemu wicehrabiemu rychłych zaręczyn.

Elizabeth uradowała się i wzruszyła, że dżentelmen, którego wyjątkowo podziwiała, oświadczył się o jej rękę i został przyjęty.

- Och, Robercie, jest bardzo miły. Nie... nie byłam pewna, czy podobałam mu się na tyle, żeby się o mnie oświadczył.

Brat czule ucałował ją w czoło.

- Księżniczko - zażartował - wystarczy na ciebie spojrzeć, by nieodwołalnie stracić głowę. To tylko kwestia czasu.

Elizabeth lekko się uśmiechnęła i wzruszyła ramionami. Miała serdecznie dość zachwytów nad swoją urodą, tak jakby umysł się nie liczył. Co więcej: szaleńcze tempo sezonu i nieustanne pasmo rozrywek, które początkowo tak ją zachwyciły, coraz szybciej trafiły swój urok. Tak więc w chwili gdy Robert oświadczył, że wybrał dla niej męża, poczuła

przede wszystkim ulgę.

- Mondevale zamierza złożyć ci wizytę po południu - ciągnął starszy brat - ale ostatecznej odpowiedzi udzielę mu nie wcześniej niż za tydzień albo dwa. Czekanie tylko wzmocni jego pragnienie, zresztą, zasługujesz na parę dni wolności, nim oficjalnie staniesz się narzeczoną.

Narieczona. Na dźwięk tego słowa Elizabeth ogarnęło dziwne uczucie. Poczwała się co najmniej nieswojo, choć zdawała sobie sprawę, że to niemądre.

- Przyznam, że z duszą na ramieniu mówiłem mu, iż dostaniesz tylko pięć tysięcy funtów posagu, ale to najwyraźniej mu nie przeszkadzało. Sam tak powiedział. Oświadczył, że pragnie jedynie ciebie i zamierza obsypać cię rubinami wielkości twoich dłoni.

- To... cudowne - odrzekła słabym głosem, usiłując wzbudzić w sobie coś więcej niż ulgę i opanować niewyflumaczalny dreszcz obrzydzenia.

- Ty jesteś cudowna. - Potargał jej włosy. - Dzięki tobie ojciec, ja i Havenhurst odzyskaliśmy dobre imię.

O trzeciej zjawił się wicehrabia Mondevale. Elizabeth przyjęła go w żółtym salonie. Konkurent wszedł, rozejrzał się po pokoju, chwycił dłonie dziewczyny i ciepło się do niej uśmiechnął.

- Odpowiedź brzmi: tak? - spytał, ale przypominało to raczej stwierdzenie.

- Rozmawiał pan już z moim bratem, hrabio? - zdziwiła się Elizabeth.

- Nie.

- To skąd pan wie, że został przyjęty? - dopytywała się zdumiona, z uśmiechem.

- Bo po raz pierwszy od miesiąca nie widzę u twego boku nieodłącznej, sokolookiej panny Lucindy Throckmorton - Jones.

Szybko pocałował ją w czoło. Zaskoczona dziewczyna spłonęła rumieńcem.

- Zdajesz sobie sprawę, jaka jesteś piękna?

Elizabeth miała o tym niejaki pojęcie, ponieważ wszyscy jej to powtarzali, dlatego zapanowała nad odruchem, by odparować: „A czy zdajesz sobie sprawę, jaka jestem inteligentna?”.

Bynajmniej nie rościła sobie pretensji do miana sawantki, lecz lubiła czytać, myśleć i dyskutować na różne tematy, a nie była pewna, czy owe cechy zachwyciłyby jej przyszłego męża. Do tej pory ani razu nie wypowiedział się na poważniejsze tematy, ograniczając się wyłącznie do ogólników i nigdy nie zachęcał jej do dłuższej dyskusji.

- Jesteś rozkoszna - szepnął i Elizabeth zastanawiała się, czemu tak uważał.

Nie miał pojęcia, że przepadała za łowieniem ryb, uwielbiała się śmiać, doskonale

strzelała z pistoletu i niemal zawsze trafiała do celu. Nie wiedział też, że kiedyś urzędowała na dziedzińcu Havenhurst wyścigi zaprzęgów konnych ani że kwiaty kwitną specjalnie dla niej. Nie była też pewna, czy chciałby wysłuchać wszystkich cudownych, barwnych opowieści o zamku Havenhurst i jego dawnych właścicielach. Tak słabo ją znał, a ona jego jeszcze mniej.

Bardzo pragnęłyby zasięgnąć rady Lucindy, lecz ta od kilku dni leżała w łóżku zmożona gorączką, zapaleniem gardła i niestrawnością.

Wszystkie owe niepokoje towarzyszyły dziewczynie następnego dnia po południu, kiedy wyruszała ze stolicy na dwudniowe przyjęcie, podczas którego los postawił na jej drodze Iana Thorntona - ten zaś diametralnie odmienił jej życie. Zabawa odbywała się w ślicznej wiejskiej rezydencji starszej siostry Valerie, lady Charise Dumont. Kiedy Elizabeth przybyła na miejsce, w pałacu było już pełno gości. Flirtowali, śmiali się i hojnie raczyli szampanem, tryskającym z kryształowych fontann w ogrodzie. Jak na londyńskie warunki zebrało się tam niewiele, bo zaledwie sto pięćdziesiąt osób, z czego jedynie dwadzieścia pięć, w tym również Elizabeth i jej trzy przyjaciółki, miało zostać na całe dwa dni. Gdyby hrabianka nie była tak niedoświadczona, natychmiast by się zorientowała, że zebrano tu dość swobodne towarzystwo. Dostrzegłaby, że goście są znacznie starsi, bardziej doświadczeni i nieskrępowani niż krąg osób, z którymi do tej pory się spotykała. I wróciłaby do Londynu.

Teraz - siedząc w saloniku w Havenhurst i wspominając swoją nieskończoną głupotę - zdumiewała się, jak mogła być tak łatwowierna i naiwna.

Odchyliła głowę na oparcie kanapy, zamknęła oczy i usiłowała przełknąć bolesną kulę upokorzenia, która utkwiała jej w gardle. Czemu, myślała zrozpaczona, radosne wspomnienia tak się zamazały, że z trudem można je przywołać, podczas gdy straszne chwile nadal rysują się w jej pamięci z bolesną ostrością? Do tej pory pamiętała tamtą noc. Widziała ją, słyszała i czuła.

Wyszła do parku, szukając przyjaciółek. Na klombach kwitły niezliczone kwiaty. Róże. Wszędzie otaczał ją zapach róż, uderzając niemal do głowy. W sali balowej orkiestra stroiła instrumenty i nagle wybuchła melodia czarującego walca, napędzając ogród słodkimi dźwiękami. Zapadał zmierzch, służba kręciła się po ścieżkach, zapalając pochodnie. Oczywiście, nie wszędzie zapłoną. Poniżej stopni tarasu będą się rozciągać ciemności dla tych par, które pragnąc odosobnienia, ukryją się w labiryncie żywopłotów albo w oranżerii. Ale to wszystko Elizabeth rozumiała dopiero później. Dopiero po półgodzinie odnalazła przyjaciółki, które zaszyły się na ploteczki w głębi ogrodu, ukryte za wysokim, przyszyżonym żywopłotem. Kiedy się zbliżyła, zauważyła, że nie stoją przy żywopłocie,

tylko zerkają przez gałązki, z podnieceniem rozprawiając <> kimś, kogo bacznie obserwowały - a towarzyszyło temu niezwykle podniecenie i ciekawość.

- To właśnie - zachichotała Valerie, spoglądając przez listowie - moja siostra nazywa „samczym urokiem”.

Cała trójka w nabożnym skupieniu obserwowała mężczyznę, który zasłużył na tak wysoką pochwałę z ust cudownej i światowej siostry Valerie, Charise. Elizabeth właśnie zauważyła na lawendowym pantofelku plamę z trawy i z przerażeniem myślała o zawrotnej sumie, jaką trzeba będzie wydać na nowe, równocześnie zastanawiając się, czy nie dałoby się kupić tylko jednego.

- Ciągle nie mieści mi się w głowie, że jednak się zjawił - szeptała Valerie. - Charise wspomniała, że może przyjechać, ale nie wierzyłam. Wszystkie dziewczęta zemdleją z zazdrości, kiedy po powrocie do Londynu powiemy im, że go widziałyśmy. - Dostrzegła przyjaciółkę i przywołała ją do żywopłotu. - Spójrz, Elizabeth, czyż on nie jest boski, a przy tym taki tajemniczy i nieokiełznany?

Zamiast patrzeć przez gałęzie, Elizabeth wysunęła się zza żywopłotu i przebiegła wzrokiem po grupce wytwornie odzianych mężczyzn i kobiet, którzy gawędząc, leniwie kierowali się ku sali balowej, gdzie zaczynało już tańce. Potem miała być późna kolacja. Spojrzenie hrabianki prześlizgnęło się po mężczyznach w jasnych satynowych spodniach i barwnych kamizelkach oraz surdutach, które upodabniały ich do pawi i pstrokatych papug.

- Na kogo mam zwrócić uwagę?

- Na pana Iana Thorntona, gąsko! Czekaj, teraz go nie zobaczysz, ukrył się w cieniu.

- Kim jest ów Ian Thornton?

- W tym rzecz. Nikt właściwie nie wie. Niektórzy powiadają, że to wnuk księcia Stanhope'a - dodała tonem osoby, która dzieli się rozkosznie nieprzyzwoitym sekretem.

Podobnie jak wszystkie debutantki Elizabeth musiała przestudiować „Księgę rodów” Debretta, którą wielki świat traktował z podobnym nabożeństwem jak pobożny prezbiterianin Biblię.

- Księgę Stanhope jest stary - oświadczyła po krótkim namyśle - i nie ma dziedzica.

- O tym wiedzą wszyscy. Ale podobno Ian Thornton jest jego... - Valerie zniżyła głos do szeptu - ...wnukiem z nieprawego łoża.

- Musisz wiedzieć - uświadomiła ją Penelopa - że księzę Stanhope miał syna, ale przed wielu laty go wydziedziczył. Mama mi to opowiedziała. Sprawie towarzyszył prawdziwy skandal.

Na słowo „skandal” dziewczęta spojrzały na nią pytająco.

- Syn starego księcia ożenił się z córką jakiegoś szkockiego chłopca, która, na domiar nieszczęść, okazała się pół - Irlandką! Podobno była to okropna kobieta, bez żadnej ogłady. Pan Ian Thornton może być wnukiem księcia.

- Ludzie przypuszczają tak ze względu na jego nazwisko - dodała jak zwykle trzeźwa Georgina - ale ono wcale nie jest tak znowu rzadko spotykane.

- Podobno jest taki bogaty - wtrąciła Valerie - że raz, w czasie towarzyskiej partyjki kart w Paryżu, postawił dwadzieścia pięć tysięcy funtów!

- Na litość boską - prychnęła Georgina - nie zrobił tego dla pieniędzy, bo opływa w dostatki, tylko dlatego że jest hazardzistą! Mój brat zna Iana Thorntona i nazwał go zwyczajnym szulerem. To człowiek bez pochodzenia, wychowania, koneksji i rodzowego majątku!

- Ja też słyszałam takie plotki - przyznała Valerie, ponownie zerkając przez żywopłot.

- Spójrz! Teraz możesz mu się przyjrzeć. Lady Mary Watterly niemal się na nim uwiesiła.

Dziewczęta tak się wychyliły, że omal nie upadły na ostry krzak.

- Daję słowo, zemdlałabym, gdyby tylko na mnie spojrział!

- Założę się, że nie - odrzekła Elizabeth, uważając, że powinna przyłączyć się do rozmowy.

- Poczekaj, aż sama zobaczysz.

Nie musiała się przyglądać. Doskonale wiedziała, jaki typ urody sprawiał, że jej przyjaciółki mdlały z zachwytem: dwudziestokilkuletni, niebieskooki dandys o blond lokach.

- Wokół Elizabeth kręci się tyłu bogatych i utytułowanych adoratorów, że nie obchodzi jej zwykły śmiertelnik, nawet najbardziej intrygujący i przystojny - oświadczyła Valerie, kiedy dziewczyna zachowała spokój.

Elizabeth odniosła wrażenie, że za tym komplementem kryły się zazdrość i złośliwość, ale natychmiast odrzuciła to niemiłe podejrzenie. Nie skrzywdziła Valerie ani nikogo innego, więc nie zasługiwała na wrogość. Od przyjazdu do Londynu z jej ust nie padło ani jedno złe słowo, co więcej nigdy nie przyłączała się do złośliwych plotek ani nie powtarzała tego, co usłyszała. Teraz także czuła się bardzo niezręcznie, słuchając uwag przyjaciółek o tajemni - czym nieznanym. Była przekonana, że każdy człowiek - bez względu na wysokie czy niskie urodzenie - zasługuje na szacunek. Oczywiście, w wielkim świecie mało kto podzielał tę opinię, ocierającą się wręcz o herezję, dlatego z nikim się nie podzieliła swym zdaniem.

Elizabeth uznała, że postępuje nielojalnie, myśląc krytycznie o przyjaciółkach i że pewnie zachowuje się dziecinnie, nie przyłączając się do zabawy i nie dzieląc ich podniecenia.

- Nie mam aż tylu adoratorów - zwróciła się z uśmiechem do Valerie, próbując się dostosować do ich nastroju - a gdybym go zobaczyła, zapewne byłabym równie zaintrygowana jak wy.

Nie wiadomo czemu na te słowa Valerie i Penelopa popatrzyły na siebie znacząco. Ale po chwili Valerie wyjaśniła powód owych konspiracyjnych spojrzeń.

- Dzięki Bogu, że się zgadzasz, bo mamy kłopot i liczyliśmy na twoją pomoc.

- Co to za kłopot?

- Otóż, rozumiesz... - zaczęła wyjaśniać bez tchu, co Elizabeth złożyła na karb mocnego wina, które służba nieustannie nalewała gościom, także dziewczętom, do kieliszków - ...z trudem ubłagałam Charise, żeby nas zaprosiła na tę zabawę.

Elizabeth doskonale o tym wiedziała, dlatego skinęła głową i czekała.

- A kiedy Charise dziś potwierdziła, że Ian Thornton faktycznie się pojawi, nie potrafiłyśmy zapanować nad podnieceniem. Ona jednak oświadczyła, że Thornton nawet nas nie zauważy, bo jesteśmy za młode i nie w jego typie...

- Pewnie ma rację - beztrąsko przyznała Elizabeth.

- Och, ale musi nas zauważyć! - Valerie powiodła wzrokiem po przyjaciółkach, jakby szukała u nich zachęty. - Po prostu musi, bo wszystkie trzy założyłyśmy się z Charise! Postawiłyśmy nasze kwartalne kieszonkowe, że pan Thornton poprosi dziś do tańca jedną z nas. A nie zrobi tego, jeśli któraś nie wpadnie mu w oko.

- Wszystkie wasze pieniądze? - powtórzyła Elizabeth przerażona ich rozrzutnością. - Przecież zamierzałaś kupić ametysty, które sobie upatrzyłaś u jubilera na Westpool Street.

- Ja zaś chciałam przeznaczyć moje kieszonkowe na zakup ślicznej klaczy, bo nie udało mi się naciągnąć na nią papy - dodała Penelopa i ponownie wyjrzała przez żywopłot.

- Wła... właściwie chcę się wycofać z zakładu - wtrąciła Georgina, którą wyraźnie gnębiło coś więcej niż tylko pieniądze. - Chyba jednak nie należało...

- Idzie w tę stronę! I to sam! - przerwała jej Penelopa. - Taka okazja już się nie powtórzy. Jeśli nie zmieni kierunku, będziemy mogły zwrócić na siebie uwagę.

Nagle Elizabeth pomyślała, że ten wariacki zakład to rzeczywiście wspaniała, bo zakazana zabawa i wybuchnęła śmiechem.

- W takim razie typuję do tego Valerie, zwłaszcza że to ona wpadła na taki pomysł, a pan Thornton niezwykle jej się podoba.

- My zaś wybieramy ciebie - oświadczyła tamta zdecydowanym tonem.

- Mnie? Ale dlaczego?

- Bo to ty otrzymałaś już czternaście propozycji małżeństwa, zatem istnieje największe

prawdopodobieństwo, że podołasz zadaniu. Zresztą - dodała, ignorując protesty Elizabeth - wicehrabia Mondevale będzie pod wrażeniem, kiedy się dowie, że Ian Thornton, ten sam tajemniczy mężczyzna, za którym rok temu bezskutecznie uganiała się Mary Jane Morrison, poprosił cię do tańca i wyróżnił spośród innych dam. Kiedy tylko pan Mondevale o tym usłyszy, natychmiast tu przypędzi!

Zgodnie z regułami, jakimi kierował się wielki świat, Elizabeth nigdy nie wyróżniała wicehrabiego, dlatego była wstrząśnięta, gdy sobie uświadomiła, że dziewczęta odgadły tajemnicę jej serca. Oczywiście, nie domyślały się, że przystojny młodzieniec już się oświadczył i wkrótce zostanie przyjęty.

- Szybko, decyduj się, zaraz tu podejdzie! - błagała Penelopa do wtóru nerwowego chichotu Georginy.

- To jak, zgodzisz się? - nie ustępowała Valerie.

Penelopa i Georgina już się wycofywały w stronę domu.

Elizabeth po raz pierwszy zanurzyła usta w kieliszku, który wciśnięto jej do ręki, kiedy wychodziła z domu. Zawahała się lekko.

- Niech będzie - ustąpiła i uśmiechnęła się do przyjaciółki.

- Doskonale. I pamiętaj: musi dziś z tobą zatańczyć albo zostaniemy bez grosza przy duszy!

Ze śmiechem popchnęła hrabiankę w stronę ścieżki, a potem odwróciła się na pięcie i pobięła za przyjaciółkami.

Przystrzyżony żywopłot, przez który dziewczęta oglądały gości, zasłaniał Elizabeth. Zrobiła dwa szybkie kroki i stanęła na ścieżce, zastanawiając się, czy lepiej zostać w miejscu, czy usiąść na białej kamiennej ławeczce. Pobięła w lewo i przysiadła na niej. W tej samej chwili zachrzącił żwir. Jeden krok, drugi... i w alejce pojawił się Ian Thornton.

Nieświadomy obecności dziewczyny zrobił kolejny krok, zatrzymał się przy pochodni i wyciągnął z kieszeni cienkie cygaro. Elizabeth obserwowała przybyłego. Serce waliło jej jak młotem, drżała z dziwnego podniecenia, wywołanego nie tylko jej tajną misją, lecz również widokiem mężczyzny. Spodziewała się kogoś zupełnie innego. Przede wszystkim był znacznie starszy - oceniła go na co najmniej dwadzieścia siedem lat - niezwykle wysoki, miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt, potężne bary i długie, umięśnione nogi. Gęste włosy okazały się nie jasne, tylko ciemnobrązowe, chyba naturalnie kręcone. Zamiast modnej kolorowej kamizelki i jasnych wąskich spodni, od stóp do głów był odziany w czerń, z wyjątkiem śnieżnobiałej koszuli i fontazja, które ostro odcinały się od kruczo - czarnego surduta i kamizelki. Elizabeth z niepokojem pomyślała, że Ian Thornton przypomina jej

wielkiego, groźnego jastrzębia, który znalazł się w gronie barwnych, oswojonych paw. Przyglądała się, jak zapala cygaro, pochyliwszy ciemną głowę nad pochodnią i osłaniając płomień dłońmi. Spod rękawów czarnego surduta wysunęły się białe mankiety koszuli. W pomarańczowym blasku ognia dziewczyna zauważyła, że mężczyzna ma bardzo opalone dłonie i twarz.

Dopiero kiedy wypuściła powietrze, uświadomiła sobie, że zamarła bez tchu. To ciche westchnienie zwróciło uwagę Thorntona, zmrużył oczy - zaskoczony, a może niezadowolony, Elizabeth nie potrafiła tego odgadnąć. Przyłapaną, że kryje się w cieniu i obserwuje obcego mężczyznę, dziewczyna rzuciła pierwsze, co jej przyszło na myśl.

- Nigdy jeszcze nie widziałam mężczyzny palącego cygaro. Panowie... zawsze wtedy przechodzą do drugiego pokoju.

Uniósł brwi.

- Przeszkadza to pani? - spytał, wypuszczając dym.

Uwagę Elizabeth zwróciły teraz przenikliwe oczy mężczyzny - o niezwyklej, bursztynowej barwie - i jego głęboki, aksamitny głos, który sprawiał, że po plecach przeszły ją ciarki.

- Czy co mi przeszkadza? - powtórzyła odruchowo.

- Cygaro.

- Och... Ależ skąd. Nie, wcale - zapewniła pośpiesznie, lecz odniosła wrażenie, że ten mężczyzna zjawiał się tu, by w samotności i spokoju wypalić cygaro, a gdyby powiedziała, że jej to przeszkadza, odwróciłby się na pięcie i odszedł, zamiast zgasić je i dotrzymać jej towarzystwa.

Pięćdziesiąt kroków dalej, na drugim końcu długiego, wąskiego trawnika rozległ się dziewczęcy śmiech. Elizabeth mimowolnie się obejrzała, w blasku pochodni mignęła jej różowa suknia Valerie i żółta Georginy. Potem obie panny zniknęły za żywopłotem.

Elizabeth poczerwieniała, zawstydzona zachowaniem przyjaciółek, a kiedy się odwróciła, zobaczyła, że Ian Thornton bacznie się jej przygląda. Ręce wsunął do kieszeni, cygaro ścisnął w zębach białych jak jego koszula. Niemal niedostrzegalnym ruchem głowy wskazał miejsce, w którym mignęły dziewczęta.

- To pani przyjaciółki? - spytał.

Elizabeth ścisnęło się serce na myśl, że odgadł prawdę, iż cała ta sytuacja została zaaranżowana. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie skłamać, ale nie lubiła oszukiwać, mężczyzna zaś nie spuszczał z niej wzroku.

- Tak.

Poprawiła lawendową spódnicę, uniosła głowę i uśmiechnęła się nieśmiało. Uświadomiła sobie, że nikt ich sobie nie przedstawił, a ponieważ w okolicy nie było nikogo, kto mógłby dokonać prezentacji, postanowiła sama rozwiązać ten problem.

- Nazywam się Elizabeth Cameron - oznajmiła. Mężczyzna leciutko schylił głowę w parodii ukłonu.

- Panno Cameron... - odrzekł. Nie pozostawił jej wyboru.

- Pan zaś nazywa się...? - drażyla.

- Ian Thornton.

- Miło mi pana poznać, panie Thornton.

Wyciągnęła do niego rękę, tak jak nakazywało dobre wychowanie. Na widok jej gestu mężczyzna szeroko się uśmiechnął. Nie miał już innego wyjścia - musiał podejść i ująć jej dłoń.

- Bardzo mi miło - oznajmił, ale w jego głosie brzmiała drwina.

Elizabeth, która już żałowała, że przystała na plan koleżanek, rozpaczliwie usiłowała wymyślić jakiś temat rozmowy, co do tej pory zwykle było zmartwieniem zadurzonych młodzieńców, którzy koniecznie pragnęli nawiązać z nią konwersację. W wielkim świecie zawsze mile widziano pogawędkę o znajomych i Elizabeth uczepiła się tego jak ostatniej deski ratunku. Wachlarzem wskazała miejsce, w którym zniknęły jej przyjaciółki.

- Panna w różowej sukni to Valerie Jamison. W żółtej zaś to Georgina Granger. - Kiedy Thornton nie zareagował, wyjaśniła: - Panna Jamison jest córką lordostwa Jamisonów.

Mężczyzna nadal patrzył na nią bez szczególnego zaciekawienia, Brnęła dalej.

- Pochodzą od Jamisonów z Herfordshire. Wie pan, to ten hrabiowski ród.

- Doprawdy? - spytał, lekko rozbawiony.

- O, tak - trzepała, coraz bardziej skrepowana. - Panna Granger zaś pochodzi z Wiltshire, jest córką baronostwa Grangerlych.

- Doprawdy? - rzucił drwiąco i przyglądał jej się w milczeniu.

Dopiero wtedy Elizabeth przypomniała sobie, co dziewczęta mówiły o jego wątpliwym pochodzeniu i nogi się pod nią ugięły ze wstydu. Jak mogła rozmawiać o tytułach z człowiekiem, którego pozbawiono szlachectwa? Dłonie jej się spociły. Wytarła ręce o suknię i natychmiast uniosła je, skrepowana. Odchrząknęła i zaczęła machać wachlarzem.

- Przy... przyjechałyśmy do Londynu na sezon towarzyski - zakończyła żałośnie.

W chłodnych, bursztynowych oczach mężczyzny zagościło nagle rozbawienie i współczucie.

- Dobrze się panie bawią? - spytał.

- Tak, bardzo.

Elizabeth odetchnęła z ulgą. Wreszcie włączył się do rozmowy.

- Z tej odległości nie mógł pan zobaczyć, ale panna Granger jest bardzo ładna. I ma czarujące maniery. Zdobyła mnóstwo wielbicieli.

- I wszyscy z pewnością utytułowani?

Nie mogła wypędzić z głowy myśli o tytule książęcym, którego pozbawiono pana Thorntona, i o bólu, jakiego zapewne mu to przysporzyło. Przygryzła wargę i skinęła głową.

- Niestety tak - przyznała pokornie i ku jej zdumieniu dopiero to wywołało u niego leniwy, miły uśmiech, który całkowicie odmienił jego twarz.

Ale to nic w porównaniu z reakcją Elizabeth. Serce mocno zabiło jej w piersi. Poderwała się z ławki, cała drżąca.

- Panna Jamison również jest bardzo ładna - wróciła do poprzedniego tematu. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Iluż to adoratorów ubiegało się o jej rękę?

Wreszcie zrozumiała, że Thornton żartuje i beztroska, z jaką podchodził do tematu traktowanego ze śmiertelną powagą przez wszystkich pozostałych, sprawiła, że parsknęła śmiechem.

- Z dobrze poinformowanych źródeł wiem - oświadczyła, usiłując się dostosować do jego tonu, pełnego żartobliwego przejęcia - że pod gabinetem jej papy ustawiają się kolejki wielbicieli.

W oczach mężczyzny błysnęło rozbawienie. Elizabeth nadal stała z uśmiechem na ustach. Nagle opuściły ją napięcie i trema; poczuła się, jakby byli starymi przyjaciółmi: oboje kpili sobie z obyczajów wielkiego świata, tyle że on nie ukrywał swoich uczuć, ona zaś jeszcze próbowała je tłumić.

- A pani?

- Jak to?

- Ilu wielbicieli prosiło o pani rękę?

Zaskoczona wybuchnęła śmiechem, ale pokręciła głową. Mogła się szcycić osiągnięciami przyjaciółek, jednak chwalenie się własnymi podbojami było już nie do przyjęcia i on niewątpliwie o tym wiedział.

- Nieładnie - skarciła go z udawaną surowością. - Jak pan może?

- Proszę o wybaczenie. - Kpiąco pochylił głowę, ale w kącikach jego ust nadal drżał uśmiech.

Nad ogrodem zapadł zmrok i Elizabeth zdawała sobie sprawę, że powinna wrócić do

pałacu, a mimo to zwlekała, nie chciała jeszcze opuszczać zacisznego kącika. Mocno zaplotła palce za plecami i zapatrzyła się na gwiazdy, które zajaśniały na wieczornym niebie.

- Tę porę dnia lubię najbardziej - wyznała cicho.

Zerknęła, by sprawdzić, czy mężczyzny nie nudzi ten temat, ale on również się odwrócił i spoglądał w niebo, jakby dostrzegł tam coś interesującego.

Odszukała Wielki Wóz.

- Niech pan spojrzy. - Ruchem głowy wskazała najjaśniejsze światło na niebie. - To Wenus. A może Jowisz? Nigdy nie mam pewności.

- Jowisz. A tam jest Wielka Niedźwiedzica.

Elizabeth ze śmiechem pokręciła głową i przeniosła spojrzenie na rozmówcę.

- Może pan i reszta świata potrafią się doszukać na niebie Wielkiej Niedźwiedzicy, ale dla mnie wszystkie te konstelacje wygląda ją po prostu jak kobierzec rozsypanych gwiazd. Wiosną potrafię wypatrzeć gwiazdozbiór Kasjopei, ale wcale nie przypomina mi Iwa, jesienią zaś udaje mi się znaleźć Strzelca, choć nie pojmuję, jakim cudem ludzie widzą tam łuk. Sądzi pan, że tam, wysoko, żyją ludzie?

Spojrzał na nią rozbawiony, ale i zafascynowany.

- A jak pani uważa?

- Wierzę, że tak. Co więcej, moim zdaniem to tylko skrajna arogancja ludzi każe nam przypuszczać, że wśród tylu tysięcy gwiazd i planet jedynie na naszej istnieje życie. Uważam to za równie przemądrzałe, jak dawne przekonanie, że Ziemia stanowi ośrodek wszechświata i wszystko krąży wokół niej. Co prawda ludzie nie okazali Galileuszowi szczególnej wdzięczności za to, że dowiódł czegoś wręcz przeciwnego. Niech pan sobie wyobrazi - stanąć przed inkwizycją i zostać zmuszonym do wyparcia się czegoś, o czym jest się przekonany i nawet ma się na to dowody!

- Od kiedy to debiutantki studiują astronomię? - spytał, gdy Elizabeth podeszła do ławki po swój kieliszek.

- Miałam na to całe lata - wyjaśniła, nie dostrzegając pełnego napięcia wzroku, jakim mężczyzna śledził każdy jej ruch. Wzięła wino i odwróciła się do Thorntona. - Muszę wracać do środka i przebrać się przed balem.

W milczeniu skinął głową. Elizabeth wyminęła go i ruszyła w stronę domu. Nagle jednak się zawahała, przypomniawszy sobie o zakładzie dziewcząt i o tym, jak bardzo na nią liczyły.

- Mam do pana dość oryginalną prośbę - odezwała się wolno.

Modliła się, by Thornton podobnie jak ona poczuł, że przez chwilę łączyło ich coś

bliskiego przyjaźni. Uśmiechnęła się nieśmiało, spoglądając w jego nieprzeniknione oczy.

- Zgodziłby się pan... choć nie mogę panu wyjaśnić moich pobudek... - Urwała, nie mogła przemóc skrępowania i zażenowania.

- Co to za prośba? Dziewczyna głęboko odetchnęła.

- Może mnie pan poprosić do tańca? - wyrzuciła z siebie.

Jej prośba ani nim nie wstrząsnęła, ani mu nie pochwlebiła. Elizabeth bez tchu wpatrywała się w usta mężczyzny, czekając na odpowiedź.

- Nie.

Była zaskoczona i upokorzona odmową, lecz jeszcze bardziej zdumiał ją nieskrywany żal, jaki zabrzmiał w głosie jej towarzysza i na moment pojawił się na jego twarzy. Przez dłuższą chwilę próbowała przeniknąć to nieodgadnione oblicze, ale niedaleko rozległy się śmiechy i czar prysnął. Usiłując z godnością wybrnąć z niezręcznej sytuacji, w której z własnej woli się znalazła, Elizabeth uniosła spódnicę i zamierzała odejść. Zapanowała nad swymi emocjami i powiedziała spokojnie:

- Życzę miłego wieczoru, panie Thornton. Rzucił cygaro i skinął jej głową.

- Nawzajem, panno Cameron. I odszedł.

Dziewczęta pobiegły już na górę, by się przebrać w suknie balowe, ale kiedy Elizabeth weszła do ich wspólnego saloniku, natychmiast umilkły rozmowy i śmiechy. Odniosła nieprzyjemne wrażenie, że to o niej rozmawiają przyjaciółki i z niej się śmieją.

- No i? - spytała Penelopa. - Nie trzymaj nas w niepewności.

Oczarowałeś go?

Elizabeth nadal nie opuszczało podejrzenie, że urządziły sobie zabawę jej kosztem. Wodziła wzrokiem po ich roześmianych, zaciekawionych twarzach. Tylko Valerie miała chłodną i nieco wyniosłą minę.

- Nie ulega wątpliwości, że zrobiłam na nim wrażenie - odrzekła z zażenowaniem. - Ale nie przypuszczam, by było ono pozytywne.

- Ale tak długo rozmawialiście - drażyła inna. - Obserwowałyśmy was z daleka. O czym konwersowaliście?

Elizabeth poczuła, że płoną jej policzki na wspomnienie przystojnej, opalonej twarzy mężczyzny i uśmiechu, który błyszczał w jego oczach, łagodząc surowe rysy.

- Właściwie nie pamiętam.

Nie kłamała. Pamiętała tylko, że kiedy Thornton na nią patrzył, kolana dziwnie się pod nią uginały, a serce biło jak szalone.

- Jaki on jest?

- Przystojny - odpowiedziała z rozmarzeniem, nie zdążywszy zapanować nad głosem.
- Czarujący. Ma piękny głos.

- I nie wątpię - dodała nieco sarkastycznie Valerie - że właśnie w pośpiechu wypytuje, gdzie przebywa twój brat, żeby jak najszybciej się o ciebie oświadczyć.

Pomysł był tak absurdalny, że Elizabeth wybuchnęłyby śmiechem, gdyby nie czuła takiego zażenowania i dziwnego zawodu po ich chłodnym rozstaniu w ogrodzie.

- Zapewniam was, że nic nie zakłóci spokoju mojego brata. Co więcej - uśmiechnęła się smutno - obawiam się, że przegrałyście zakład, bo pan Thornton nie zamierza poprosić mnie do tańca.

Rozłożyła ręce przepaszającym gestem i poszła się przebrać, gdyż właśnie rozpoczynał się bal.

Kiedy Elizabeth znalazła się w zaciszu własnej sypialni, pogodny uśmiech, jaki pokazywała przyjaciółkom, zniknął, a na twarzy dziewczyny pojawiła się zaduma. Hrabianka usiadła na łóżku i automatycznie wodziła palcem po haftowanej, złotej róży na narzucie, usiłując zrozumieć uczucia, jakie ją ogarniały w obecności Iana Thorntona.

Kiedy stali razem w ogrodzie, czuła przerażenie, ale i uskrzydającą wręcz radość. Ten mężczyzna pociągał ją wbrew jej woli, jakby promieniował tajemniczym magnetyzmem. Sama nie rozumiała czemu, ale pragnęła zyskać jego aprobatę. Cieszyła się, kiedy jej się to udało i była zmartwiona, gdy poniosła klęskę. Nawet teraz na wspomnienie jego uśmiechu oraz przenikliwego spojrzenia robiło jej się na przemian to zimno, to gorąco.

Z sali balowej dobiegała muzyka. Elizabeth wreszcie otrząsnęła się z zadumy i zadzwoniła po Bertę, żeby pomogła jej się przebrać.

- Co powiesz na to? - spytała pół godziny później, wirując przed lustrem i pokazując się dawnej mamce, która ostatnio awansowała na pokojówkę hrabianki Cameron.

Berta zaplatała pulchne palce, a choć z niepokojem obserwowała swoją młodą panienkę w znacznie bardziej dojrzałym wydaniu, nie mogła powstrzymać czułego uśmiechu. Elizabeth uczesała włosy w wytworny kok, jej twarz okalały pojedyncze loki, w uszach błyszcząły odziedziczone po matce kolczyki z szafirów i brylantów.

W przeciwieństwie do pozostałych sukien - pastelowych, ze skromnym dekolcikiem - ta była szafirowa. Nie ulegało wątpliwości, że to strój dorosłej, wyrafinowanej kobiety. Z płaskiej kokardy na lewym ramieniu spływały aż do samej ziemi niebieskie jedwabne wstęgi. Drugie ramię było odsłonięte. Mimo niezwykle prostego fasonu, wąska suknia wspaniale podkreślała piersi dziewczyny i jej szczupłą talię.

- Dziwię się - oświadczyła w końcu Berta - że pani Porter uszyła dla ciebie taki strój.

W niczym nie przypomina pozostałych sukien.

Elizabeth uśmiechnęła się konspiracyjnie i wciągnęła szafirowe rękawiczki do łokci.

- Tej jednej pani Porter nie widziała - przyznała się. - Lucinda zresztą również.

- W to nie wątpię.

Elizabeth znowu stanęła przed lustrem i bacznie się przyglądała swojemu odbiciu.

- Tamte dziewczęta mają po siedemnaście lat, lecz ja już za parę miesięcy skończę osiemnaście. Poza tym - tłumaczyła, biorąc wysadzaną szafirami i brylantami bransoletkę po matce i zapinając ją na lewej ręce - perswadowałam pani Porter, że szkoda tyle wydawać na rzeczy, które już za rok albo dwa nie będą się dla mnie nadawać. Tę zaś będę mogła nosić, nawet kiedy skończę dwadzieścia lat.

Berta wzniosła oczy ku niebu i pokręciła głową, aż zafurkotały wstążki na jej czepku.

- Wątpię, czy wicehrabia Mondevale pozwoli ci się pokazać w tej samej sukni częściej niż dwa razy, a już na pewno nie tyle razy, żeby miała się zniszczyć - oznajmiła, poprawiając rąbek szafirowej spódnicy.

ROZDZIAŁ 5

Uwaga Berty przypomniwała Elizabeth, że właściwie jest już niemal zaręczona z wicehrabią i błyskawicznie ją otrzeźwiła, tak że kiedy hrabianka schodziła do sali balowej, serce nie biło jej szybciej na wspomnienie spotkania z panem Ianem Thorntonem. Nie pozwoliła sobie również na żal, że jednak z nim nie zatańczy, a nawet na myślenie o nim. Z wrodzonym wdziękiem sunęła po schodach, obserwując tańczące pary, choć większość gości stała w grupkach, gawędząc i śmiejąc się beztrząsco.

Zanim weszła na salę, zatrzymała się i powiodła wzrokiem po zebranych, szukając przyjaciółek. Stały parę metrów dalej. Penelopa pomachała do niej, a Elizabeth skinęła głową i uśmiechnęła się lekko.

Nadal uśmiechnięta odwróciła głowę i wtedy jej spojrzenie zderzyło się z pełnymi zdumienia, bursztynowymi oczami. U stóp schodów, w grupie mężczyzn znajdował się Ian Thornton. Nie odrywał od niej wzroku, zastygłszy z kieliszkiem przy ustach. Bezcelnym spojrzeniem obejmował lśniące, złociste włosy dziewczyny, jej piersi, biodra i niebieskie, satynowe pantofelki, a potem zatrzymał się na twarzy. W jego oczach lśnił nieskrywany podziw. Jakby na po - twierdzenie, mężczyzna delikatnie uniósł brew i leciutko przechylił kieliszek w geście aprobaty, a dopiero potem wypił wino.

Elizabeth udało się zachować spokój i dalej wolno sunęła po schodach, lecz jej zdradzieckie serce biło w szaleńczym tempie, a w głowie miała zamęt. Gdyby inny mężczyzna zmierzył ją takim wzrokiem i zachował się tak jak Ian Thornton, byłaby oburzona albo rozbawiona - bądź jedno i drugie. Tymczasem uśmiech w jego oczach i żartobliwy toast sprawiły, że poczuła się, jakby prowadzili ją im tylko znaną grę. W dodatku odwzajemniła uśmiech.

U stóp schodów czekał na nią lord Howard, krewniak wicehrabiego Mondevale'a. Ten światowy dżentelmen o nieskazitelnych manierach nigdy nie należał do jej wielbicieli, ale zaprzyjaźnili się, a młody lord robił, co w jego mocy, by doszło do zaręczyn Elizabeth z jego kuzynem. Obok niego stał lord Everly, jeden z jej najbardziej upartych wielbicieli: przystojny, porywczy młodzieniec, który podobnie jak hrabianka w dzieciństwie odziedziczył tytuł wraz z dobrami. Jednak w odróżnieniu od niej wszedł również w posiadanie fortuny.

- Daję słowo! - wyrzucił z siebie Everly, podając Elizabeth ramię. - Powiedziano nam, że pani tu będzie. Zachwycająco pani wygląda.

- Zachwycająco - powtórzył jak echo lord Howard i znacząco spojrzął na wyciągnięte

ramię Thomasa Everly'ego. - Everly - skarcił go - dżentelmen zwykle prosi damę o zaszczyt poprowadzenia jej i nie podsuwa pod nos ramienia. - Odwrócił się ku Elizabeth i uklonił. - Pani pozwoli...? - spytał, podając jej ramię.

Dziewczyna wybuchnęła śmiechem, a ponieważ była zaręczona, pozwoliła sobie na drobne odstępstwo od reguł.

- Z przyjemnością, panowie - odrzekła i położyła dłonie na łokciach obu młodzieńców. - Mam nadzieję, że docenicie poświęcenie, z jakim staram się nie dopuścić do rozlewu krwi - zażartowała. - Teraz wyglądam jak schorowana staruszka, którą trzeba podtrzymywać z obu stron, żeby nie upadła!

Cała trójka wybuchnęła śmiechem i właśnie tę scenę zobaczył Ian Thornton, obok którego przechodziło rozbawione trio. Elizabeth zapanowała nad sobą i nawet na niego nie spojrzała, ale kiedy już niemal go minęli, ktoś zawołał lorda Howarda i na chwilę się zatrzymali. Wtedy uległa pokusie i przelotnie zerknęła na wysokiego, barczystego mężczyznę, który z pochyloną głową słuchał uważnie roześmianej kobiety, jedynej w tej grupce mężczyzn. Nawet jeśli zdawał sobie sprawę z obecności Elizabeth, w żaden sposób tego nie okazał.

- Przyznam - odezwał się po chwili lord Howard, kiedy już szli dalej - że byłem nieco zaskoczony, kiedy się dowiedziałem, że pani tu będzie.

- Czemu? - spytała Elizabeth, przysięgając sobie w duchu, że nigdy już nie pomyśli o Ianie Thorntonie. Przecież nie da się omotać zupełnie obcemu mężczyźnie, zwłaszcza że właściwie jest już zaręczona.

- Bo Charise Dumont otacza się towarzystwem niezbyt godnym szacunku - wyjaśnił.

Zaskoczona Elizabeth całą uwagę skupiła na przystojnym blondynie.

- Ale panna Throckmorton - Jones, moja przyzwoitka, nigdy się nie sprzeciwiała, bym odwiedzała panie z tej rodziny. Zresztą Charise przyjaźniła się z moją mamą.

Lord Howard uśmiechnął się uspokajająco, ale i z troską.

- W Londynie - podkreślił - Charise jest przykładną panią domu, jednak poza miastem jej przyjęcia są... jak by to ująć...? nieco swobodniejsze i mniej formalne.

Zatrzymał lokaja krążącego z tacą pełną kieliszków szampana i wziął jeden dla Elizabeth.

- Nie twierdzę, że obecność tutaj jest równa zepsuciu sobie opinii. W końcu - dodał lekko - zaproszono mnie i Everly'ego, co oznacza, że znajduje się tu przynajmniej kilka osób, stanowiących wzór Wszelkich cnót.

- W przeciwieństwie do innych gości - wtrącił z oburzeniem lord Everly, ruchem

głowy wskazując Thorntona - których nie wpuszczono by do żadnego szanującego się londyńskiego domu!

Hrabiankę paliła ciekawość połączona z niepokojem. Nie zdołała się powstrzymać od pytania.

- Ma pan na myśli pana Thorntona?

- Właśnie.

Wypiła łyk szampana i skorzystała z okazji, by przyjrzeć się wysokiemu, opalonemu mężczyźnie, który od ich pierwszej rozmowy zajmował podejrzanie dużo miejsca w jej myślach. Zdaniem Elizabeth w każdym calu wyglądał na wytwornego, nieznoszącego ostentacji dżentelmena. Ciemny surdut i spodnie podkreślały jego szerokie bary i długie, muskularne nogi, a doskonały krój ubrania zdradzał mistrzowską rękę najlepszego londyńskiego krawca, śnieżnobiały fontaż był doskonale zawiązany, ciemne włosy starannie ułożono. Nawet teraz, kiedy odprężony mężczyzna gawędził z przyjaciółmi, jego wysoka, umięśniona sylwetka przywodziła na myśl dyskobola, podczas gdy na opalonej twarzy malowała się chłodna wyniosłość arystokraty.

- Naprawdę... jest aż taki straszny? - spytała, odrywając wzrok od wspaniale rzeźbionego profilu Thorntona.

Jego elegancja i klasa wywarły na niej takie wrażenie, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że lord Everly mówi z jadem i nienawiścią.

- Gorzej niż straszny! To pospolity szuler, pirat, szubrawiec, i wszystko jeszcze zbyt łagodnie powiedziane!

- Nie... nie chce mi się wierzyć.

Wstrząśnięta i rozczarowana Elizabeth nie potrafiła zachować pokoju.

Lord Howard zmroził spojrzeniem swego towarzysza, a potem uspokajająco uśmiechnął się do dziewczyny, opacznie zrozumiałwszy jej obawę.

- Proszę się nie przejmować lordem Everlym, hrabianko. Przemawia przez niego gorycz, bo dwa tygodnie temu przegrał do Thorntona w karty dziesięć tysięcy funtów. Ani słowa, Thom! - dolał, kiedy rozdrażniony młodzieniec próbował coś wtrącić. - Przez ciebie hrabianka Cameron będzie się dziś bała zasnąć.

Myśli Elizabeth ciągle krążyły wokół Iana Thorntona, dlatego niezbyt uważnie słuchała, co mówią przyjaciółki, do których wlane się zbliżali.

- Nie pojmuję, co oni w niej widzą - oburzała się Georgina. - Wcale nie jest od nas ładniejsza.

- Zauważyliście - dodała filozoficznie Penelopa - że mężczyźni zachowują się jak

stado owiec? Gdzie pójdzie jeden, tam i reszta.

- Niech wreszcie wybierze sobie narzeczonego i odda nam innych wielbicieli - ciągnęła Georgina.

- Chyba wpadł jej w oko.

- Tylko traci czas - prychnęła Valerie, ze złością ściskając w dłoniach fałdę różowej sukni. - Już wcześniej wam mówiłam: Charise twierdzi, że jego nie obchodzą „młode, niewinne panny”. Choć z drugiej strony - dodała z tęsknym westchnieniem - byłoby wspaniale, gdyby się w nim zadurzyła. Parę tańców, kilka przeciągłych spojrzeń i miałybyśmy ją z głowy, gdy tylko wiadomość o tym dotarłaby do jej zadurzonych konkurentów... Ach, Elizabeth! - zawołała, dopiero teraz zauważając przyjaciółkę, która stanęła tuż za nią. - Sądziłyśmy, że tańczysz z lordem Howardem!

- Doskonały pomysł - natychmiast skorzystał z okazji hrabia. - Co prawda prosiłem o następny taniec, hrabianko, ale może zatańczymy już teraz?

- Zanim uda ci się całkowicie zagarnąć hrabiankę, pozwól, że spytam ją o coś - warknął lord Everly i ponuro spojrzał na Howarda, którego mylnie uważał za rywala o względy Elizabeth. - Jutro rano odbędzie się wycieczka do wioski - zwrócił się do dziewczyny. - Mogę prosić o zaszczyt towarzyszenia pani, hrabianko?

Elizabeth pragnęła jak najszybciej uciec od dziewcząt i zapomnieć o ich bezwzględnych słowach, dlatego chętnie przyjęła to zaproszenie i wraz z lordem Howardem przyłączyła się do tańczących.

- Zdaje się, że zostaniemy kuzynami - odezwał się z uśmiechem, gdy zaczęli sunąć w takt muzyki. Widząc jej zaskoczenie, wyjaśnił: - Mondevale zwierzył mi się, że zamierza pani uczynić go najszcześliwszym człowiekiem pod słońcem. Oczywiście, pod warunkiem że pani brat nie doszuka się w nim jakichś strasznych mankamentów. Ponieważ Robert chciał potrzymać wicehrabiego w niepewności, Elizabeth odpowiedziała wymijająco: - Decyzja należy do mojego brata. - I tak powinno być - pochwalił ją hrabia. Przez następną godzinę Howard nie odstępował na krok Elizabeth i uświadomiła sobie, że chyba uznał się za jej opiekuna i przyzwoitkę w tym niestosownym dla młodej panny towarzystwie. A kiedy na moment się oddalił, żeby przynieść jej poncz, zauważyła, że część gości - tak mężczyzn jak i kobiet - przeniosła się do sąsiedniego pokoju karcianego. Zazwyczaj pokój karciany stanowił wyłącznie męski przybytek, w którym mogli się schronić panowie (na ogół żonaci i w podeszłym wieku), sprowadzeni przez małżonki siłą na bal i odmawiający udziału w tak frywolnych rozrywkach. Wiedziała, że Ian Thornton zniknął tam już na początku wieczoru, a teraz nawet jej przyjaciółki spoglądały tęsknie w tam - tym kierunku.

- Czy w pokoju karcianym dzieje się coś wyjątkowego? - spytali lorda Howarda, kiedy wrócił z ponczem i chciał ją zaprowadzić do pozostałych dziewcząt.

Przytaknął z drwiącym uśmieszkiem.

- Thornton przegrywa i to od początku wieczoru, co rzadko mu się zdarza.

Penelopa i pozostałe panny słuchały tego z żywym zainteresowaniem.

- Zdaniem hrabiego Tilbury'ego pan Thornton postawił wszystko, co posiada. Na stole leży cała jego gotówka i weksle.

Elizabeth aż serce się ścisnęło z żalu.

- Sta... stawia wszystko? - spytała swego samozwańczego opiekuna. - Uzależnia całą przyszłość od kart? Czemu to robi?

- Dla dreszczu emocji. To normalne u hazardzistów.

Nie umiała zrozumieć, czemu jej ojciec, brat i inni mężczyźni z taką nonszalancją ryzykują olbrzymie sumy dla czegoś tak absurdalnego jak gra w karty, ale nie zdążyła podzielić się swoimi uwagami z resztą, bo Penelopa z czarującym uśmiechem poprosiła w imieniu swoim, Georginy, Valerie, a nawet Elizabeth:

- Bardzo byśmy chciały przyjrzeć się grze, milordzie, a gdyby pan nam towarzyszył, nie byłoby w tym nic niestosownego. To takie podniecające, a w pokoju i tak zebrała się już połowa gości.

Lord Howard nie mógł pozostać obojętny na błagalnie wzniesione ku niemu trzy ładne twarzyczki, ale zawahał się i zerknął na Elizabeth. Jego poczucie obowiązku kolidowało z ciekawością i pragnieniem przekonania się na własne oczy, co się dzieje w pokoju karcianym.

- Nikt nie uzna tego za niestosowne - nalegała Valerie - bo inne panie też obserwują grę.

- Niech więc tak będzie - ustąpił, uśmiechając się bezradnie.

Prowadząc hrabiankę pod ramię, otoczony wianuszkiem dziewcząt wkroczył do męskiego przybytku gry.

Elizabeth z trudem się powstrzymała, by głośno nie zaprotestować, że nie zamierza się przypatrywać, jak Ian Thornton traci cały majątek. Z pozornym spokojem powiodła wzrokiem po grupkach gości zgromadzonych wokół największego dębowego stołu, zasłaniających graczy. W porównaniu z salą balową obite ciemną boazerią pomieszczenie z bordowym dywanem wydawało się mroczne. Na środku stały dwa artystycznie rzeźbione stoły bilardowe, nad nimi wisiały żyrandole. Resztę pokoju zajmowało osiem stolików. Choć gracze na chwilę od nich odeszli, nadal leżały tam odwrócone figurami do blatu karty i sztony.

Elizabeth domyśliła się, że mężczyźni przerwali własną grę i przyłączyli się do gapiów, którzy otoczyli największy stół, gdzie toczyły się najbardziej pasjonujące zmagania. W tej samej chwili jeden z obserwatorów oświadczył, że pora wracać do stolika i czterech mężczyzn się wycofało. Lord Howard zgrabnie wprowadził dziewczęta na świeżo zwolnione miejsce i Elizabeth znalazła się tam, gdzie najmniej by sobie życzyła - tuż obok Iana Thorntona, i mogła bez przeszkód oglądać jego finansową klęskę.

Oprócz przegrywającego przy stoliku siedziało czterech mężczyzn, między innymi lord Everly, zaczerwieniony z radości. Był najmłodszy wśród graczy i tylko jego twarz oraz zachowanie zdradzały emocje. Całkowicie odmiennie zachowywał się Ian Thornton: wygodnie rozparty w fotelu, w rozpiętym surducie, swobodnie wyciągnął nogi, a z jego oblicza nic nie dawało się wyczytać. Pozostała trójka całą uwagę skupiła na własnych kartach, oni też mieli nieodgadnione miny.

Księżę Hammund, który siedział naprzeciwko Elizabeth, przerwał milczenie.

- Moim zdaniem bluffujesz, Horn - oświadczył z lekkim uśmiechem. - Od początku wieczora karta się od ciebie odwróciła. Dlatego dodaję pięćset funtów.

Przesunął na środek stołu pięć sztonów.

Elizabeth zauważyła dwie rzeczy: po pierwsze, przezwisko Iana brzmiało Horn, po drugie zaś, jego wysokość księżę Hammund, pierwszy szlachcic w królestwie, odnosił się do tamtego po przyjacielsku. Pozostali mężczyźni jednak nadal zimno obserwowali Iana, ale każdy dorzucił po pięć sztonów.

Kiedy nadeszła kolejka pana Thorntona, Elizabeth z przerażeniem dostrzegła, że ten nie ma przed sobą stertki monet, tylko pięć białych żetonów. Ze ściśniętym sercem patrzyła, jak zgarnia je teraz i dorzuca do puli. Mimowolnie wstrzymała oddech i zastanawiała się z rozpaczą, czemu rozsądny człowiek stawia cały dorobek życia na głupią grę w karty.

Ostatni gracz dorzucił pieniądze i księżę Hammund pokazał karty: parę asów. Dwaj pozostali widocznie mieli słabsze karty, bo się wycofali.

- Wygrałem! - oświadczył z triumfalnym uśmiechem lord Everly i pokazał trójkę króli. Już zaczął zgarniać wygraną, kiedy powstrzymał go leniwy głos Iana Thorntona.

- To, zdaje się, należy do mnie - oznajmił i odsłonił swoje karty: trzy dziewiątki i parę czwórek.

Z piersi Elizabeth wyrwało się głośne westchnienie ulgi. Mężczyzna się obejrzał, i dopiero teraz ją dostrzegł. Zauważył również jej pełne obawy spojrzenie. Uśmiechnął się niezobowiązująco i odezwał do pozostałych graczy:

- Może obecność pięknych pań sprawiła, że los w końcu się do mnie uśmiechnął -

powiedział lekko.

Mówił o paniach, ale Elizabeth czuła... wiedziała, że te słowa są skierowane wyłącznie do niej.

Niestety, fortuna znowu się odwróciła. Przez następne pół godziny Elizabeth stała jak skamieniała, ze ściśniętym sercem, w niewyobrażalnym napięciu obserwując, jak Ian tracił pieniądze, które zdobył, gdy pojawiła się przy stoliku. Cały czas siedział wygodnie rozparty, a jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Dziewczyna nie mogła dłużej patrzeć na jego klęskę, czekała jednak na zakończenie partii, żeby odejść, nie przeszkadzając graczom. Kiedy runda dobiegła końca, księżę Hammund oznajmił:

- Przydałoby się coś na wzmocnienie sił.

Skinął głową na służącego, który natychmiast zebrał ze stołu puste kieliszki i postawił świeże.

- Pan daruje - odezwała się Elizabeth do lorda Howarda cichym, pełnym napięcia głosem.

Uniosła spódnicę i odwróciła się, chcąc odejść. Po żarcie o odmianie losu Ian nawet nie zerknął w jej stronę, więc sądziła, że o niej zapomniał, słysząc jednak te słowa, podniósł głowę i popatrzył dziewczynie prosto w oczy.

- Boi się pani zostać aż do tragicznego końca? - zapytał lekko.

Trzej mężczyźni, którzy wygrali już niemal wszystkie jego pieniądze, wybuchnęli głośnym, lecz nie beztróskim śmiechem.

Elizabeth zawahała się; pomyślała, że chyba całkiem straciła rozum, bo naprawdę czuła, że Thornton pragnie, by została. Niepewna, czy nie poniosła jej wyobraźnia, zdobyła się na uśmiech.

- Zamierzałam tylko pójść po wino - skłamała na poczekaniu. - Nawet przez chwilę nie straciłam wiary, że... - szukała odpowiedniego słowa - ...karta się odwróci.

Zacytowała określenie, które czasem słyszała z ust Roberta. Służący usłyszał jej uwagę i natychmiast podszedł z tacą, więc Elizabeth pozostała u boku Iana Thorntona.

W tej samej chwili do pokoju karcianego wkroczyła pani domu i obrzuciła pełnym wyrzutem spojrzeniem zgromadzonych przy stoliku widzów. Potem skupiła uwagę na Ianie.

- Doprawdy, Thorn, przesadziłeś. Dokończ partię i wracaj na salę balową.

Surowe słowa łagodził promienny uśmiech, z jakim Charise je wypowiedziała. Potem z wyraźnym trudem oderwała wzrok od Thorntona i popatrzyła na pozostałych graczy.

- Panowie - ostrzegła żartobliwie - za dwadzieścia minut odetnę dostawy cygar i koniaku.

Większość kibiców wyszła razem z nią. Albo dręczyło ich poczucie winy, że zapomnieli o obowiązkach wzorowych gości, albo znudzili się patrzaniem, jak Ian przegrywa cały swój majątek.

- Mam już dość kart na ten wieczór - oświadczył książę Hammund.

- Ja też - zawtórował drugi gracz.

- Tylko jedną partię - nalegał lord Everly. - Thornton nadal ma jeszcze trochę moich pieniędzy, pragnę je odzyskać w najbliższym rozdaniu.

Mężczyźni przy stoliku popatrzyli po sobie zrezygnowani. Książę skinął głową.

- Zgoda, Everly, ostatnia tura, a potem wracamy na salę balową.

- I dowolne stawki, skoro to ostatnia gra? - dopytywał się młody hrabia.

Gracze przytaknęli, jakby to się rozumiało samo przez się, po czym Ian rozdał karty.

Licytacja zaczęła się od tysiąca funtów. W ciągu pięciu minut na środku stołu leżały sztony o wartości dwudziestu pięciu tysięcy. Gracze wycofywali się jeden po drugim, aż pozostali tylko lord Everly oraz Ian Thornton i tylko po jednej karcie dla każdego z nich. W pokoju zapanowała pełna napięcia cisza. Elizabeth nerwowo zaplatała palce, kiedy lord Everly sięgnął po czwartą kartę.

Spojrzał na nią, a potem na Iana. Dziewczyna dostrzegła w jego oczach triumfalny blask i serce jej się ścisnęło.

- Thornton - oznajmił młodzieniec - ta karta będzie cię kosztowała dziesięć tysięcy. Pod warunkiem że nie odpadniesz z gry i zdołasz mnie sprawdzić.

Elizabeth ogarnęło gorące pragnienie uduszenia młodego aroganta i równie żywa chęć, by kopnąć Iana Thorntona w kostkę, co akurat było w zasięgu, nie tyle jej ręki, ile nogi, mężczyzna bowiem nie tylko dołożył żadaną sumę, ale jeszcze przebił ją o pięć tysięcy.

Nie mieściło jej się w głowie, że ten człowiek może być tak mało spostrzegawczy; nawet ona widziała po minie tamtego, że dostał świetną kartę. Nie mogąc dłużej wytrzymać napięcia, powiodła wzrokiem po innych patrzących. Wszyscy skupili uwagę na Everlym, ciekawi, czy podejmie wyzwanie. Ujęła spódnice, by odejść. Ten lekki ruch wystarczył, by Ian odwrócił uwagę od przeciwnika i po raz trzeci tego wieczoru popatrzył Elizabeth w oczy. Kiedy spojrzała na niego z rozpaczą, leciuteńko, prawie niedostrzegalnie odsunął karty, żeby mogła je zobaczyć.

Miał karete dziesiątek.

Poczuła nieopisaną ulgę, a zaraz potem przerażenie, że rozjaśniona twarz może ją zdradzić. Szybko się odwróciła, omal nie przewracając biednego lorda Howarda.

- Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza - powiedziała, ale on w takim napięciu

oczekiwał na reakcję Everly'ego, że tylko skinął głową i bez protestu puścił Elizabeth.

Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że pokazując karty, by ją uspokoić, Ian ryzykował, że zdradzi go jakąś głupią reakcją albo słowem. Nie pojmowała, czemu to zrobił. Jedynym wytłumaczeniem było przekonanie, które ją ogarnęło, kiedy przy nim stanęła, że on również wyraźnie czuje jej obecność i nawet go to cieszy.

Udało jej się odejść od stolika, ale nie wiedziała, jak zatuszować swoją nagłą rejteradę, a równocześnie zostać w pokoju, dlatego zatrzymała się przed obrazem przedstawiającym scenę z polowania i studiowała go z udanym zapałem.

- Twoja kolej, Everly - dobiegł ją głos Iana .

Zadrżała, gdy usłyszała odpowiedź jego przeciwnika.

- Dwadzieścia pięć tysięcy funtów - wycedził.

- Nie bądź durniem - mitygował go książę. - Nikt tyle nie stawia w jednej grze.

Spokojna, że zdoła zapanować nad sobą, Elizabeth wróciła do stolika.

- Stać mnie na to - oświadczył chłodno Everly. - Choć zastanawiam się, czy ty, Thornton, zdołasz mi się wypłacić, kiedy przegrasz.

Dziewczyna skrzywiła się, jakby to jej rzucono w twarz obelgę, tymczasem Ian wygodniej rozparł się na krześle i w milczeniu mierzył tamtego lodowatym wzrokiem.

- Stać mnie nawet - odezwał się w końcu niebezpiecznie spokojnym tonem - żeby podwyższyć stawkę jeszcze o dziesięć tysięcy.

- Nie masz tyle, żebraku - syknął Everly - a nie zamierzam stawiać pieniędzy przeciwko twojemu nic nie wartemu wekslowi.

- Dość tego! - uciał Hammund. - Za daleko się posuwasz, Everly.

Ręczę za jego wypłacalność. Przyjmujesz stawkę czy odchodzisz z gry?

Zapytany popatrzył z wściekłością na księcia i pogardliwie skinął głową Ianowi.

- Zatem proszę: moje dziesięć tysięcy, pokaż, co masz.

Ian bez słowa otworzył dłoń i na stolik upadł zgrabny wachlarzyk czterech dziesiątek.

Everly poderwał się z miejsca.

- Ty bezczelny oszuście! Widziałem: ostatnią kartę wzięłeś z dołu talii. Wiedziałem, ale nie chciałem wierzyć własnym oczom!

Na tę niewybaczalną obelgę w pokoju karcianym podniósł się gwar, jednak wyraz twarzy Iana wcale się nie zmienił, tylko drgał mu naprężony mięsień policzka.

- Kogo wybierasz na sekundantów, bękarcie? - syknął Everly, opierając się na zaciśniętych pięściach i kipiąc z wściekłości.

- W tej sytuacji - odparł lodowatym tonem znudzony Ian - wydaje mi się, że to ja mam

prawo decydować, czy zażądam satysfakcji.

- Nie bądź osłem, Everly - ostrzegł ktoś. - Zastrzeli cię jak muchę.

Elizabeth nawet nie usłyszała tych głosów, wiedziała tylko, że za chwilę dojdzie do bezsensownego pojedynku.

- To jakieś straszne nieporozumienie! - wybuchnęła.

Wszyscy mężczyźni popatrzyli na nią z gniewem i niedowierzaniem.

- Pan Thornton nie oszukiwał - tłumaczyła szybko. - Karetę miał, jeszcze zanim rozdał ostatnie karty. Zajrzałam mu w karty parę minut temu, kiedy zamierzałam odejść od stolika i widziałam.

Ku jej zdumieniu nikt w to nie uwierzył ani nie zwrócił uwagi na jej słowa, łącznie z hrabią Everlym, który uderzył dłonią w stół.

- Bodajbyś szczęł! Nazwałem cię oszustem, a powinienem jeszcze dodać: tch...

- Na miłość boską! - krzyknęła Elizabeth, żeby nie padło słowo „tchórz”, które każdego człowieka honoru sprowokowałoby do pojedynku. - Czy naprawdę nikt mnie nie słucha?

Powiodła wzrokiem po obserwujących zajście, w nadziei że skoro sprawa ich nie dotyczy, łatwiej kogoś przekona niż zaciętrzewionego hrabiego.

- Właśnie powiedziałam, że pan Thornton wcześniej dostał karetę dziesiątek i...

Na twarzach mężczyzn nadal malował się tylko wyniosły chłód i nagle Elizabeth zrozumiała sytuację i uświadomiła sobie, czemu nikt nie zwraca na nią uwagi: w tym pokoju znajdowali się sami hrabiowie i baronowie, świadomi swojej wyższości i przynależności do arystokracji, Ian Thornton był człowiekiem spoza ich kręgu. Uważali go za niżej urodzonego, a więc obcego. Everly należał do ich grona, a nigdy by się nie sprzymierzyli z obcym przeciwko członkowi ich klasy. Co więcej, nie przyjmując wyzwania Everly'ego, Ian subtelnie dawał do zrozumienia, że ten nie był wart jego czasu ani wysiłku, co arystokraci uznali za osobistą obrazę.

Lord Everly doskonale zdawał sobie z tego sprawę, dlatego nie ustępował i mierzył przeciwnika morderczym spojrzeniem.

- Jeśli jutro rano nie stawisz się na pojedynek, sam cię odnajdę, ty nędzny...

- Nie może pan, hrabio! - przerwała mu w nagłym olśnieniu.

Everly oderwał wzrok od Iana i rozdrażniony zerknął na Elizabeth. Z przytomnością umysłu, o którą sama siebie nie podejrzewała, wybrała jedynego mężczyznę w sali wrażliwego na jej wdzięki. Obdarzyła Thomasa Everly'ego promiennym uśmiechem i zwróciła się do niego lekkim, kokieterijnym tonem, licząc, że zadurzenie weźmie górę nad

gniewem.

- Jaki pan niemądry, hrabio. Przecież nie może pan się pojedynkować jutro rano, skoro już mi pan obiecał, że wspólnie pojedziemy na wycieczkę do wioski.

- Ależ, doprawdy, hrabianko, to coś zupełnie...

- Nie, bardzo mi przykro, milordzie, lecz muszę nalegać - upierała się, odgrywając słodkie, naiwne dziewczątko. - Nie pozwolę, by mnie zlekceważono jak... jak jakąś... Nie zgadzam się! - zakończyła żałośnie. - I jestem... Tak, jestem wstrząśnięta, że mógł pan w ogóle dopuścić myśl, by złamać dane mi słowo! - Przyparła Everly'ego do muru, posyłając młodzieńcowi czarujące spojrzenie cudownych, zielonych oczu i rozkoszny uśmiech.

- Pojadę z panią do wioski, później, gdy już o świcie rozprawię się z tym łajdakiem - upierał się zduszonym głosem.

- O świcie? - udała oburzenie Elizabeth. - Jeśli pan tak wcześnie wstanie, hrabio, potem będzie pan zmęczony i bez humoru. Zresztą, nie będzie żadnego pojedynku, chyba że pan Thornton postanowi pana wyzwać, a z pewnością tego nie zrobi, ponieważ... - odwróciła się do Iana i zakończyła triumfalnie - ...ponieważ nie byłby tak wstrętny i nie postrzeliby pana, wiedząc, że w ten sposób pozbawi mnie jutro miłego towarzystwa. - Nie dopuściła Iana do głosu, bo zwróciła się do pozostałych mężczyzn i oznajmiła radośnie: - Wspaniale, panowie, wszystko załatwione. Nikt nie oszukiwał, więc nie ma powodu do pojedynku!

Za swoje trudy została nagrodzona wrogimi, ponurymi spojrzeniami obecnych. Tylko księżę Hammund wyglądał, jakby się zastanawiał, czy ma do czynienia z kompletną idiotką, czy z utalentowaną dyplomatką, a Ian obserwował ją z chłodnym, nieprzeniknionym wyrazem twarzy, jakby czekał, co jeszcze wymyśli ta pannica.

Kiedy nikt się nie poruszył, Elizabeth uznała, że sama musi przejąć inicjatywę.

- Lordzie Everly, zdaje się, że grają walca, a pan prosił mnie właśnie o ten taniec.

W głębi pokoju rozległy się prychnięcia. Młody hrabia opacznie uznał, że to z niego się śmieją, nie z Elizabeth, i spurpurowiał. Popatrzył wściekle na dziewczynę, obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Została sama, czując ulgę pomieszana ze wstydem. Wreszcie lord Howard, ocknąwszy się, spokojnie podał dziewczynie ramię.

- Pozwoli pani, że zastąpię Everly'ego.

Dopiero kiedy znaleźli się na sali balowej, Elizabeth poczuła, jak opada z niej napięcie; ledwie trzymała się na drżących nogach.

- Od niedawna przebywa pani w wyższych sferach - zauważył łagodnie jej partner - mam nadzieję, że nie obrazi się pani, jeśli powiem, że takie zachowanie... wtrącanie się w męskie sprawy... to nie przystoi kobiecie.

- Wiem - przyznała z westchnieniem. - W każdym razie teraz już wiem. Działalam bez namysłu.

- Mój kuzyn - ciągnął Howard, mając na myśli wicehrabiego Mondevale'a - jest wyrozumiały. Dopilnuję, by poznał prawdę ode mnie, zanim dotrą do niego plotki, z całą pewnością wyolbrzymione.

Po tańcu Elizabeth przeszła do salonu, licząc na chwilę samotności. Niestety, zebrano się już tam wiele dam, które rozprawiały o wydarzeniach w pokoju karcianym. Hrabianka najchętniej schroniłaby się w zaciszu własnej sypialni, rezygnując z kolacji, którą miano podać o północy, lecz rozsądek podpowiadał, że byłaby to fatalna decyzja. Nie pozostało jej zatem nic innego, jak przywołać na twarz pogodny uśmiech i wyjść na taras, by tam zaczerpnąć powietrza.

Schody i oświetlony lampionami ogród zalewała księżycowa poświata. Elizabeth przez moment syciła się tym niebiańskim spokojem, ale to jej nie wystarczyło. Ruszyła dalej, wymieniając uprzejme ukłony z mijanymi parami. Na skraju ogrodu zatrzymała się, skrzyła w prawo i weszła do sadu. Głosy ucichły, z oddali dobiegała tylko kojąca muzyka. Dziewczyna stała tak przez kilka minut, kiedy nagle za jej plecami rozległ się aksamitny, gardłowy szept:

- Zatańcz ze mną, Elizabeth.

Odwróciła się gwałtownie, zaskoczona bezszelestnym nadejściem Iana, i mimowolnie uniosła rękę do piersi. Sądziła, że tam, w pokoju karcianym, rozgniewał się na nią, ale teraz na jego poważnej twarzy malowała się łagodność. W powietrzu dźwięczały słodkie tony walca, Ian Thornton uniósł ramiona.

- Zatańcz ze mną - powtórzył tym samym łagodnym głosem.

Elizabeth jak we śnie zbliżyła się do niego; poczuła, jak prawą ręką otoczył jej talię, przyciąga blisko do twardego torsu. Lewą dłoń zacisnął na jej palcach i nagle dziewczyna zaczęła wirować w ramionach mężczyzny, który sunął bez wysiłku, z gracją wytrawnego tancerza.

Przez rękawiczkę czuła twarde, mocne mięśnie barków Iana, je - go ramię otaczało ją niczym stalowa obręcz. Przysunął ją znacznie bliżej do siebie, niż na to pozwalały dobre obyczaje. Powinien ją ogarnąć niepokój, a nawet lęk - zwłaszcza że otaczały ich ciemności - tymczasem czuła się bezpieczna i otoczona męską opieką. Ale była również nieco skrepowana, więc uznała, że powinna zacząć towarzyską konwersację.

- Sądziłam, że pan się na mnie rozgniewał za interwencję - zwróciła się do swego partnera.

- To nie był gniew, raczej zdumienie. - W jego głosie zabrzmiał śmiech.

- Nie mogłam pozwolić, by nazywano pana oszustem, skoro wiedziałam, że pan nim nie jest.

- Słyszałem gorsze wyzwiska - odparł spokojnie. - Zwłaszcza z ust twojego zapalczywego przyjaciela, Everly'ego.

Elizabeth zastanawiała się, co może być gorszego od oskarżenia o oszustwo, ale dobre wychowanie nie pozwalało jej drażnić tematu. Uniosła głowę i niespokojnie spojrzała mu w oczy.

- Ale nie zamierza pan pojedynkować się z hrabią Everlym w innym terminie?

- Czy wyglądam na takiego niewdzięcznika, który zepsułby twoje mistrzowskie posunięcie? Zresztą, postąpiłbym bardzo nieelegancko, zabijając go, skoro jasno dałaś do zrozumienia, że jutro ma ci towarzyszyć podczas wycieczki.

Elizabeth parsknęła śmiechem i zaczerwieniła się ze wstydu.

- Wiem, że zachowałam się jak głupiutka gąska, ale tylko to przyszło mi do głowy. Mój brat też łatwo unosi się gniewem i już dawno przekonałam się, że najskuteczniejszą metodą uspokojenia go jest pochlebstwo, a nie próba przemówienia do rozumu.

- Niestety, obawiam się, że mimo wszystko Everly jutro nie będzie ci towarzyszył.

- Bo rozgniewała go moja interwencja?

- Bo najprawdopodobniej w tym momencie jego biedny pokojowiec został brutalnie wyrwany ze snu i otrzymał polecenie spakowania rzeczy jaśnie pana hrabiego. Po tym, co się wydarzyło w pokoju karcianym, Everly nie mógł tu gościć ani chwili dłużej. Próbując ocalić mu życie, upokorzyłaś go, a ja podwoiłem hańbę, nie podnosząc rękawicy.

Jej oczy pociemniały.

- Ale mimo wszystko lepiej żyć ze wstydem niż umrzeć w chwale - dodał.

Właśnie na tym, pomyślała Elizabeth, polega różnica między urodzonym szlachcicem, takim jak wicehrabia Everly, a farbowanym lordem jak Ian Thornton. Prawdziwy dżentelmen woli śmierć od hańby - jak wielokrotnie podkreślał Robert, który nieustannie zwracał jej uwagę, co odróżnia arystokratów od nisko urodzonych.

- Nie zgadzasz się z tym?

Elizabeth była za bardzo pogrążona we własnych myślach, by się zastanawiać, jak zabrzmiały jej słowa, dlatego skinęła głową i odparła:

- Lord Everly jest szlachcicem i dżentelmenem, a zatem pewnie wolałby śmierć od hańby.

- Lord Everly - odparował spokojnie Thornton - jest młodym zapaleńcem i durniem,

który ryzykuje życie dla gry w karty. Życie jest zbyt cenne. Kiedyś mi podziękuje, że nie zgodziłem się z nim pojedynkować.

- Dżentelmena obowiązuje kodeks honorowy.

- Śmierć dla błahostki to nie honor, tylko bezsensowna strata życia. Mężczyzna oddaje życie za sprawę, w którą wierzy, albo dla ratowania najbliższych. Każdy inny powód zawsze nazwę głupotą.

- Czy gdybym się nie wtrąciła, przyjąłby pan wyzwanie?

- Nie.

- Nie? - powtórzyła zaskoczona. - To znaczy, że dałby pan sobie wymyślać od oszustów i nawet nie ruszyłby pan palcem w obronie własnego honoru i dobrego imienia?

- Nie sądzę, by mój „honor” był zagrożony, a jeśli nawet, to nie pojmuję, jak śmierć tego chłopca miałyby go oczyścić. Jeśli zaś chodzi o moje „dobre imię”, również wielokrotnie je kwestionowano.

- Skoro tak, to czemu księżę Hammund traktuje pana jak dobrego przyjaciela, jak to było dzisiaj?

Z jego oczu zniknęła łagodność, uśmiech przygasł.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Zapatrzona w hipnotyzujące, bursztynowe oczy, otoczona silnymi, męskimi ramionami Elizabeth nie myślała rozsądnie. Sama nie wiedziała, czy teraz liczy się cokolwiek z wyjątkiem tego głębokiego cudownego głosu.

- Chyba nie - odrzekła z trudem.

- Jeśli pragniesz się upewnić, że nie jestem tchórzem, mogę oczywiście posiekać mu twarz. Skończyli grać - dodał cicho i dopiero teraz Elizabeth zdała sobie sprawę, że nie tańczą, tylko lekko się kołyszą.

Ukryła rozczarowanie, że nie ma już pretekstu, by pozostać w jego ramionach i próbowała się odsunąć, ale wtedy orkiestra zagrała inną melodię i ich ciała w idealnej harmonii zaczęły się poruszać w rytm muzyki.

- Skoro przeze mnie straciłaś towarzysza jutrzejszej wycieczki - odezwał się po chwili Ian - może wzięłabyś pod uwagę drobną zmianę?

Serce mocniej jej zabiło. Sądziła, że Thornton zaproponuje jej swoje towarzystwo. Znowu czytał w jej myślach. Ale po chwili spotkało ją rozczarowanie.

- Ja nie mogę ci towarzyszyć - powiedział. Uśmiech dziewczyny zgasł.

- Dlaczego?

- Nie bądź gąską. Moja asysta zrujnowałaby reputację debutantki.

Gwałtownie szukała argumentu, który stałby się przeciwwagą dla tego stwierdzenia. W końcu przyjaźnił się z księciem Hammundem... Ale choć księcia uważano za świetną partię, reputacja libertyna i hulaki sprawiała, że matki panien na wydaniu drżały na samą myśl o nim, choć równocześnie marzyły o takim zięciu. Poza tym Charise Dumont cieszyła się w wielkim świecie nieskalaną reputacją, więc nikt nie podejrzewałby, że pod jej dachem mogłoby dojść do jakichś nieprzystojnych wydarzeń. Tyle że lord Howard twierdził coś zgoła przeciwnego.

- To dlatego nie zgodził się pan ze mną zatańczyć, kiedy wcześniej o to poprosiłam?

- Między innymi.

- A jakie były inne powody?

Jego śmiech zabrzmiał gorzko.

- Możesz to nazwać silnie rozwiniętym instynktem samozachowawczym.

- Słucham?

- Twoje oczy są groźniejsze niż pistolety, moja miła - odparł sucho. - Sprawiają, że nawet święty zapomniałby o cnocie.

Elizabeth słyszała wiele kwiecistych komplementów, głoszących pochwałę jej urody, i wytrzymywała je z uprzejmą obojętnością, lecz te bezpośrednie, wypowiedziane wbrew sobie słowa wywołały na jej usta uśmiech. Dopiero później sobie uświadomiła, że właśnie w tej chwili popełniła swój największy błąd - zaczęła go traktować jak równego sobie, dobrze urodzonego dżentelmena, któremu można ufać i poczuć się przy nim bezpiecznie.

- A jaką propozycję miałby pan dla mnie na jutro?

- Obiad - odrzekł. - W jakimś zacisznym miejscu, gdzie będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Pikniki we dwoje Lucinda umieściła na liście rozrywek zakazanych młodej panie, podbijającej Londyn, ale mimo wszystko Elizabeth nie chciała odrzucać zaproszenia.

- Na świeżym powietrzu... nad jeziorem? - myślała głośno, usiłując usprawiedliwić swoją zgodę tym, że znajdowałiby się w miejscu publicznym.

- Jutro będzie padać, zresztą, ktoś mógłby nas zobaczyć.

- W takim razie gdzie?

- W lesie. Spotkajmy się o jedenastej w chacie drwala, blisko południowej granicy majątku, nad strumieniem, niedaleko stąd. Można tam dojechać duktem, za bramą trzeba skręcić z głównej drogi.

Elizabeth za bardzo przeraził ten pomysł, by się zastanawiać, kiedy to Ian Thornton zdążył tak dobrze poznać majątek Charise i tutejsze ustronne zakątki.

- Wykluczone - odparła bez tchu.

Chociaż nie była na tyle naiwna, by w ogóle brać pod uwagę spotkanie z mężczyzną w leśnej chacie, poczuła straszne rozczarowanie, że jej to zaproponował. Dżentelmen nie czyni podobnych zaproszeń damie, a dobrze wychowana panna ich nie przyjmuje. Lucinda często przestrzegała swą podopieczną przed takimi sytuacjami i Elizabeth przyznawała jej rację. Szarpnęła się, próbując się wyrwać z ramion Iana, on jednak przyciągnął ją do siebie. Usta mężczyzny prawie muskały jej włosy, kiedy pytał z rozbawieniem:

- Nie nauczono cię, że dama nigdy nie opuszcza partnera przed końcem tańca?

- Już się skończył - wykrztusiła Elizabeth i oboje wiedzieli, że ma na myśli nie tylko taniec. - Nie jestem aż taka naiwna, jak się panu wydaje - powiedziała groźnie w elegancki głos jego koszuli. Z fałdów białego fontazia mrugnął do niej rubin.

- Daję słowo - odrzekł cicho - że nie będę ci się jutro narzucał.

Co najdziwniejsze, Elizabeth mu uwierzyła, ale mimo wszystko zdawała sobie sprawę, że nie może przyjmować takich obietnic.

- Daję ci słowo dżentelmena - powtórzył mężczyzna.

- Gdyby pan był dżentelmenem, w ogóle by mi pan tego nie proponował - oświadczyła, usiłując zignorować bolesne rozczarowanie.

- To się nazywa niepodważalna logika - zauważył zimno. - Ale z drugiej strony, tylko takie mamy wyjście.

- Nieprawda. Zaczniemy od tego, że w ogóle nie powinniśmy tutaj rozmawiać.

- Będę czekał jutro do południa.

- Nie przyjadę.

- Będę czekał do południa - powtórzył.

- Szkoda pańskiego czasu. Proszę mnie puścić. To od początku był błąd.

- W takim razie możemy popełnić dwa - powiedział drżącym z podniecenia głosem i jeszcze mocniej ją do siebie przyciągnął. - Spójrz na mnie, Elizabeth - szepnął. Jego ciepły oddech muskał włosy na skroni dziewczyny.

W jej głowie rozdźwięczały się dzwonki ostrzegawcze - ponieważ, ale donośnie. Jeśli teraz podniesie oczy, Ian ją pocałuje.

- Nie życzę sobie, żeby pan mnie całował - uprzedziła go, lecz nie była do końca szczera.

- W takim razie pożegnaj się teraz ze mną.

Elizabeth uniosła głowę, z trudem odrywając wzrok od jego kształtnych ust, i popatrzyła mu w oczy.

- Dobranoc - oświadczyła, zdumiona, że głos jej nie zadrżał.

Mężczyzna wpatrywał się w nią, jakby chciał zapamiętać jej twarz, a potem zatrzymał spojrzenie na wargach. Przesunął dłońmi po jej ramionach i gwałtownie ją uwolnił.

- Do widzenia, Elizabeth.

Odwróciła się, zrobiła krok, ale smutek, jaki brzmiał w jego głosie, sprawił, że się odwróciła... A może to jej serce ścisnęło przecucie, że oto coś zostawia i będzie tego żałować. Fizycznie dzielił ich jeden krok, lecz jeśli chodzi o pozycję społeczną, rozciągała się między nimi przepaść. Spoglądali na siebie w milczeniu.

- Pewnie zauważono już naszą nieobecność - odezwała się w końcu zakłopotana.

Sama nie wiedziała, czy próbuje usprawiedliwić swoje odejście, czy liczy, że Thornton ją zatrzyma.

- Zapewne.

Z jego twarzy nie dało się nic wyczytać, mówił z chłodną uprzejmością i znowu jej się wymykał.

- Doprawdy, muszę wracać.

- Naturalnie.

- Rozumie pan to, prawda?

Umilkła i patrzyła na tego wysokiego, przystojnego mężczyznę, którego wielki świat traktował z góry, ponieważ nie mógł się poszczycić odpowiednim urodzeniem. Nagle ogarnęła ją wściekłość na granice i zasady, jakie narzucał idiotyczny układ społeczny. Przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz, pragnąc, by Ian albo kazał jej odejść, albo wziął ją w ramiona, jak wtedy, gdy poprosił ją do tańca.

- Rozumie pan, że nie mogę jutro się z panem spotkać...

- Elizabeth - przerwał chrapliwym szeptem.

W oczach Thorntona płonął ogień. Mężczyzna wyciągnął rękę, czując zwycięstwo, jeszcze nim Elizabeth zdała sobie sprawę, że przegrała.

- Chodź do mnie.

Ręka Elizabeth uniosła się sama, zacisnęły się na niej jego palce i nagle dziewczynę otoczyły stalowe obręcze jego ramion, a ciepłe, spragnione usta spoczęły na jej wargach. Czułe, rozchylone usta niecierpliwie pieściły jej wargi, pragnąc się dostosować do ich kształtu. Wtem pocałunek stał się bardziej natarczywy, Ian mocniej zacisnął ręce na jej plecach, pieszczotliwie, ale i władczo. Ciszę przerwało ciche westchnienie. Elizabeth nawet nie zdawała sobie sprawy, że to ona westchnęła. Wtuliła się w mężczyznę, zaciskając dłonie na jego silnych ramionach i szukając w nich wsparcia, bo nagle znalazła się w mrocznym,

cudownie zmysłowym świecie, gdzie nie liczyło się nic z wyjątkiem ciała i ust, zespolonych z jej wargami w gorącym pocałunku.

Wreszcie Ian przestał ją całować, lecz nie wypuścił Elizabeth z ramion. Przytuliła policzek do sztywnej, białej koszuli. Mężczyzna ustami muskał jej włosy.

- Okazuje się, że to znacznie większy błąd, niż się spodziewałem - powiedział i potem dodał, jakby do siebie: - Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

I właśnie te słowa sprowadziły Elizabeth na ziemię. Fakt, że zdaniem Iana posunęli się tak daleko, iż teraz potrzebują boskiej pomocy, podziałał na nią jak kubeł zimnej wody. Wysunęła się z ramion mężczyzny i zaczęła wygładzać pogniecioną suknię. Kiedy już uznała, że panuje nad sobą, podniosła głowę, spojrzała mu w oczy i oświadczyła ze stanowczością wywołaną przerażeniem:

- Ta sytuacja w ogóle nie powinna mieć miejsca. Ale jeśli wrócimy na salę balową i poszukamy towarzystwa innych gości, może nikt się nie domyśli, że byliśmy tu razem. Do widzenia, panie Thornton.

- Dobranoc, panno Cameron.

Była zbyt zmęczona, by zwracać uwagę na subtelny nacisk na słowie „dobranoc” w odpowiedzi na jej „do widzenia”. Wtedy też nie dostrzegła, że Thornton najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, iż powinien tytułować ją hrabianką.

Elizabeth wołała nie wchodzić bezpośrednio do sali balowej, więc postanowiła sprawdzić boczne drzwi domu. Nacisnęła klamkę i westchnęła z ulgą, kiedy się uchyliły. Wślizgnęła się do saloniku. W głębi zobaczyła drzwi, przez które - jak liczyła - dostanie się do pustego korytarza. Po pobycie w stosunkowo cichym ogrodzie rezydencja rozbrzmiewała ogłuszającą kakofonią śmiechów, głosów i muzyki, która drażniła jej napięte nerwy. Dziewczyna na palcach przemierzyła pusty pokój.

Szczyście jej dopisało, bo w korytarzu nikogo nie spotkała. Błyskawicznie zmieniła zdanie i postanowiła umknąć do sypialni, aby szybko się odświeżyć. Wbiegła na schody i na podeście usłyszała zaniepokojoną Penelopę, która wołała z dołu:

- Czy ktoś widział Elizabeth? Niedługo przejdziemy do stołu i lord Howard jej szuka.

Spiesznie poprawiła włosy i suknię, modląc się w duchu, by nie wyglądała jak ktoś, kto parę minut temu oddawał się w ogrodzie nieprzystojnym zabawom.

- Zdaje się - odezwała się chłodno Valerie - że ostatnio widziano ją, jak szła do ogrodu. Pan Thornton również zniknął...

Urwała zdumiona, bo Elizabeth majestatycznie sunęła w dół po schodach, na które przed chwilą w takim pędzie wbiegła.

- Wielkie nieba - odezwała się skruszona, uśmiechając się do Penelopy i Valerie - nie mam pojęcia, czemu upał tak daje mi się dzisiaj we znaki. Chciałam się przed nim schronić w ogrodzie, ale potem zdecydowałam, że jednak pójdę położyć się na chwilę.

Dziewczęta przeszły razem przez salę balową i minęły pokój karciany, w którym panowie grali w bilard. Elizabeth zabiło serce, gdy zobaczyła Iana Thorntona z kijem bilardowym, pochylonego nad stołem. Podniósł wzrok i dostrzegł trzy młode panny. Dwie wpatrywały się w niego zdumione. Z chłodną uprzejmością skinął im głową, a potem rozbił bile. Elizabeth słuchała dudnienia kul, uderzających o ścianki i wpadających do luz. Po chwili rozległ się pełen podziwu śmiech księcia Hammunda.

- Jest cudownie przystojny, a przy tym taki mroczny i przerażający - odezwała się szeptem Georgina. - I jest w nim coś... coś takiego... niebezpiecznego - przyznała z dreszczem zachwytu.

- Owszem. - Valerie wzruszyła ramionami. - Ale przedtem lepiej go scharakteryzowałaś: nie ma pochodzenia, klasy ani koneksji.

Elizabeth słyszała te szepty, lecz nie przejmowała się nimi. Cudowny łut szczęścia przed chwilą przekonał ją, że jednak istnieje Bóg, który od czasu do czasu nad nią czuwa, i teraz w duchu zanosila doń dziękczynienie wraz z obietnicą, że już nigdy, przenigdy nie dopuści do tak kompromitującej sytuacji. Właśnie zakończyła modlitwę bezgłośnym „amen”, kiedy uświadomiła sobie, że po uderzeniu Iana usłyszała dźwięk czterech kul wpadających do luz. Czterech! Rekordem Roberta były trzy, a uważał się za świetnego gracza.

Radość i ulga nie opuszczały dziewczyny, kiedy wsparta na ramieniu lorda Howarda podążała na kolację. Niestety, owe uczucia ulotniły się podczas posiłku. Choć przy ich stole toczyła się ożywiona konwersacja, Elizabeth olbrzymim wysiłkiem woli musiała się powstrzymywać, by nie wodzić wzrokiem po wielkim, wspaniale ozdobionym pomieszczeniu w poszukiwaniu Iana. Przy jej boku pojawił się nagle lokaj, serwujący homary. Elizabeth spojrzała na niego i skinęła głową. Dłużej nie wytrzymała, skorzystała z okazji, by obojętnie rozejrzeć się po sali. Powiodła wzrokiem po stołach nakrytych błękitnymi obrusami, po morzu fryzur mieniących się od drogocennych kamieni, po unoszonych i odstawianych kieliszkach i wreszcie go zobaczyła. Siedział na honorowym miejscu, między księciem Hammundem a piękną panią domu. Księżę rozmawiał z cudowną blondynką - ponoć jego ostatnią kochanką; Ian z leniwym uśmiechem na opalonej twarzy uważnie słuchał ożywionej opowieści Charise, która zaborczym gestem położyła dłoń na jego ramieniu. Roześmiał się nagle z jakiejś uwagi pięknej siostry Valerie. Elizabeth oderwała wzrok od tej pary, ale czuła się, jakby otrzymała cios w serce. Tych dwoje tak do siebie pasowało: oboje wyrafinowani,

ciemnowłosi, piękni; nie ulega wątpliwości, że mnóstwo ich łączy, pomyślała rozczarowana i sięgnęła po sztucę, by zająć się homarem.

Jej sąsiad, lord Howard, pochylił się i zażartował:

- Przecież biedak i tak już nie żyje.

Elizabeth spojrzała na niego, nie rozumiejąc, on zaś wskazał homara, którego nadal bezlitośnie atakowała nożem.

- Nie żyje - powtórzył. - Nie trzeba po raz drugi go zabijać.

Zawstydzona uśmiechnęła się, westchnęła i cały wysiłek skupiła na włączeniu się do rozmowy. Tak jak ostrzegał hrabia, już wszyscy słyszeli o występie Elizabeth w pokoju karcianym i w zachowaniu mężczyzn pojawił się wyraźny chłód, więc tym bardziej starała się posłużyć swoim czarem. To już po raz drugi świadomie wykorzystwała kobiecy wdzięk i kokieterię - wcześniej zrobiła to przy pierwszym spotkaniu z Ianem Thorntonem w ogrodzie - i zdumiało ją, jak łatwo odniosła sukces. Mężczyźni kolejno zapominali o dystansie i chętnie się śmiali i gawędzili. W czasie tej długiej, męczącej godziny Elizabeth nie opuszczało wrażenie, że Ian ją obserwuje; pod koniec, kiedy już nie mogła znieść niepewności, zerknęła w jego kierunku. Przyglądał jej się spod przymrużonych powiek, ale nie wiedziała, czy ta kokieteria go oburza, czy tylko zastanawia.

- Pozwoli pani, bym jutro zastąpił mojego kuzyna i towarzyszył jej w czasie wycieczki do wioski? - spytał lord Howard, kiedy wreszcie kolacja dobiegała końca i goście zaczęli wstawać od stołów.

Wybiła chwila próby. Elizabeth musiała podjąć decyzję, czy spotka się z Ianem w leśnej chacie, czy też nie. Tak naprawdę decyzja była oczywista i hrabianka doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

- Bardzo dziękuję - odparła z promiennym, sztucznym uśmiechem.

- Wyruszamy o wpół do jedenastej. O ile mi wiadomo, w programie są zakupy i późny obiad w tamtejszej gospodzie oraz spacer po najbardziej malowniczych zakątkach okolicy.

Przeraźliwie nudna perspektywa, przynajmniej tak ją wtedy oceniała Elizabeth.

- Czarująca wyprawa! - wykrzyknęła z takim entuzjazmem, że jej towarzysz spojrział na nią zdziwiony.

- Dobrze się pani czuje? - spytał, z niepokojem, patrząc na jej zarumienione policzki i błyszczące oczy.

- Doskonale - odparła, marząc tylko, by wrócić w zacisze swoje sypialni. - Pan daruje, ale boli mnie głowa i chciałabym już się położyć - oświadczyła, zostawiając zaskoczonego lorda Howarda samego.

Dopiero w połowie schodów uświadomiła sobie, co właściwie powiedziała. Zatrzymała się w pół kroku, pokręciła głową i wolno ruszyła dalej. Właściwie niezbyt ją obchodziło, co sobie pomyśli hrabia - bliski krewny jej narzeczonego. Była zbyt przygnębiona, żeby się zastanawiać, jak dziwnie to zabrzmiało.

- Berto, obudź mnie o ósmej - poprosiła pokojówkę przy rozbieraniu.

Służąca nie odpowiedziała, tylko krzątała się po sypialni, upuszczając wszystko na toaletkę i podłogę - widomy znak, że Bertę coś niepokoiło.

- Co się stało? - spytała Elizabeth, przerywając szczotkowanie włosów.

- Cała służba gada o tym, co zrobiłaś w pokoju karcianym. Zobaczysz, ta twoja okropna dama do towarzystwa całą winę zrzuci na mnie - poskarżyła się pokojówka. - Wystarczyło, by na chwilę spuścić cię z oczu, powie, i zostawić pod moją opieką, a od razu wpakowałaś się w tarapaty.

- Wyjaśnię jej, co naprawdę się wydarzyło - obiecała Elizabeth znużona.

- A co się wydarzyło?

Berta załamywała dłonie, już teraz z przerażeniem oczekując słownej chłosty groźnej panny Throckmorton - Jones. Elizabeth opowiedziała jej o wszystkim, a Berta, słuchając, coraz bardziej się uspokajała. Zdjęła narzutę w róże i pomogła swej pani położyć się do łóżka.

- Tak więc sama widzisz - zakończyła dziewczyna, ziewając - że nie mogłam milczeć i pozwolić, by uznano go za oszusta. A na pewno tak by się stało, bo nie jest jednym z nich.

Błyskawica rozcięła niebo, rozjaśniając pokój, a szyby zadrżały od grzmotu. Elizabeth zamknęła oczy i modliła się, by nie odwołano wycieczki do wioski. Wolała nie myśleć, co by się stało, gdyby musiała spędzić cały dzień pod jednym dachem z łanem Thorntonem, nie mogąc na niego patrzeć ani z nim rozmawiać. Mam chyba obsesję na jego punkcie, pomyślała i wtedy zmęczenie wzięło górę.

Śnił jej się gwałtowny sztorm i silne ramiona, które ratowały ją przed falami, wyciągały z odmętów, a potem znowu ciskały w rozszalałe morze.

ROZDZIAŁ 6

Do sypialni wpadły promienie zamglonego słońca. Elizabeth niechętnie przewróciła się na plecy. Niezależnie od tego, jak długo spała, zawsze budziła się oszołomiona i zagubiona. Robert wyskakiwał z łóżka rześki, ona zaś wtulała głowę w poduszkę i jeszcze przez dobre pół godziny wodziła wzrokiem po pokoju, usiłując oprzytomnieć. Z drugiej jednak strony o dziesiątej wieczorem Robert tłumił ziewanie, a jego siostra była całkiem wypoczęta i chętna do gry w karty, bilardu albo lektury. Dlatego idealnie się nadawała do londyńskiego życia, gdzie spało się przynajmniej do południa, a potem balowało do białego rana. Ubiegła noc stanowiła wyjątek.

Teraz też z trudem uniosła powieki; głowa jej ciążyła. Na stoliku przy łóżku stała taca ze śniadaniem: dzbanek gorącej czekolady i tost z masłem. Dziewczyna westchnęła i zmusiła się do przebudzenia. Oparła dłonie na materacu i podciągnęła się, by usiąść, a polem znowu popatrzyła na ręce, spojrzeniem zmuszając je, by sięgnęły po dzbanek parującej, smakowitej czekolady.

Dziś przebudzenie było trudniejsze niż zwykle; głowę Elizabeth rozsadał ból, dziewczynę dręczyła świadomość, że wydarzyło się coś niedobrego.

Nadal zawieszona gdzieś między jawą a snem zdjęła z porcelanowego dzbanka pikowane okrycie i naląła czekoladę do filiżanki. Dopiero wtedy przypomniała sobie wczorajszy wieczór i żołądek jej się zacisnął: dziś w chacie drwała będzie na nią czekał ciemnowłosy mężczyzna. Będzie czekał godzinę, a potem odejdzie - gdyż Elizabeth się nie zjawi. Nie może. To absolutnie wykluczone.

Lekko drżącymi palcami przytrzymała spodeczek i podniosła filiżankę do ust. W tej samej chwili do sypialni wpadła zaniepokojona Berta, która rozpogodziła się na widok siedzącej dziewczyny.

- Wspaniale. Już się bałam, czy nie zachorowałam.
- Czemu? - spytała Elizabeth, pijąc pierwszy łyk czekolady. Była zimna jak lód!
- Bo nie mogłam cię dobudzić...
- Która godzina? - zawołała hrabianka.
- Dochodzi jedenasta.
- Jedenasta?! Kazałam się obudzić o ósmej! Jak mogłaś mi pozwolić tak zaspać?

Jeszcze nie do końca przebudzona, szukała rozwiązania. Błyskawicznie się ubierze i dogoni towarzystwo. Albo...

- Próbowalam - broniła się Berta, dotknięta wyjątkowo ostrą reakcją swej pani - ale nie dałaś się obudzić.

- Nigdy nie chcę się obudzić, a ty najlepiej o tym wiesz!

- Ale dziś było gorzej niż zwykle. Jęczałaś, że boli cię głowa.

- Zawsze chwytam się każdej wymówki i potem sama nie wiem, co wygaduję. Powiem wszystko, byle wywalczyć jeszcze parę minut snu. Znasz wszystkie moje sztuczki i w domu zawsze mimo wszystko mnie budzisz.

- Ale tłumaczyłaś - upierała się Berta, gniojąc w rękach fartuch - że skoro w nocy tak padało, wyprawa do wioski zostanie przełożona, więc nie ma sensu wstawać.

- Berto, na miłość boską! - zawołała Elizabeth, wyskakując z łóżka z wyjątkową jak na nią energią. - Raz usiłowałam ci wmówić, że umieram na dyfteryt, a nie dałaś się nabrać.

- Ale wtedy - odparowała służąca, dzwoniąc po gorącą wodę - nie byłaś blada jak ściana ani nie miałaś gorącego czoła. I nie położyłaś się spać już o wpół do drugiej, wyglądając jak cień.

Dziewczyna z powrotem opadła na poduszki.

- To nie twoja wina, że śpię jak kłoda. Zresztą, jeśli nie pojechali do wioski, to i tak nic się nie stało.

Próbowała się pogodzić z myślą, że cały dzień spędzi pod jednym dachem z mężczyzną, którego jedno spojrzenie wystarczało, by serce zaczynało jej walić jak młotem.

- Ależ pojechali - odrzekła Berta. - W nocy właściwie tylko grzmiało, deszcz prawie nie padał.

Jej pani na chwilę przymknęła oczy i ciężko westchnęła. Minęła jedenasta, co oznaczało, że Ian rozpoczął daremne oczekiwanie w chacie.

- W takim razie pojedę do wioski i tam odnajdę towarzystwo.

Nie ma pośpiechu - dodała z naciskiem, kiedy Berta pobiegła wpuścić pokojówki z gorącą wodą do mycia.

Minęło wpół do pierwszej, kiedy Elizabeth zeszła na dół w brzoskwiniowej amazonce. Włosy przykrywał kapelusik do kompletu, z piórkiem opadającym na prawe ucho, włożyła też rękawiczki do jazdy konnej. Z pokoju dobiegały męskie głosy, co świadczyło, że nie wszyscy goście wybrali się na wycieczkę do wioski. Elizabeth zawahała się; korciło ją, by się upewnić, czy Ian Thornton już wrócił do domu. Przekonana, że tak się stało i chcąc uniknąć spotkania z nim, zawróciła i wyszła z domu frontowymi drzwiami.

Czekała przy stajni, aż chłopak osiodła konia. Serce mocno kołatało jej w piersi, ciągle miała przed oczami obraz samotnego mężczyzny, który na próżno czekał w lesnej chacie.

- Panienska życzy sobie towarzystwa stajennego? - spytał koniuszy. - W tej chwili nikogo nie ma, bo większość chłopców pojechała z państwem do wioski. Część powinna wrócić za jakąś godzinę.

Może panienska zaczekać. A jeśli panience szkoda czasu, to nie trzeba się bać: droga jest bezpieczna, nic panience nie grozi. Jaśnie pani zawsze jeździ do wioski sama.

Elizabeth marzyła, by pomknąć na złamanie karku i zostawić za sobą wszystkie troski.

- Pojadę sama - odparła, uśmiechając się do niego przyjaźnie, tak samo jak do swoich podwładnych w Havenhurst. - Przejeżdżałam już przez wioskę. To jakieś pół godziny jazdy stąd, wystarczy się trzymać głównej drogi?

- Tak, panienko - potwierdził mężczyzna.

Blade niebo przecięła błyskawica. Dziewczyna z niepokojem popatrzyła w górę. Nie chciała zostać w domu, ale też nie uśmiechała jej się perspektywa ulewy.

- Do wieczora nie powinno padać - uspokoił ją koniuszy. - O tej porze roku często tak grzmi. Przez całą noc straszło burzą, a nie spadła ani kropla deszczu.

Właśnie takiej zachęty potrzebowała Elizabeth.

Pierwsza kropla deszczu spadła po kwadransie.

- Cudownie - mruknęła dziewczyna, zatrzymując konia i przyglądając się chmurom.

Potem szarpnęła wodze i popędziła naprzód, do wioski. Po kilku minutach zauważyła, że wiatr, który delikatnie szumiał w gałęziach, teraz zaczął gwałtownie nimi szarpać. Temperatura wyraźnie spadła. Z chmur spadały duże krople deszczu, które w końcu przerodziły się w ulewę. Elizabeth była już na wpół mokra, kiedy zauważyła ścieżkę, wiodącą w głąb lasu. Licząc, że znajdzie schronienie wśród drzew, skierowała klacz z głównej drogi na dukt. Tu przynajmniej liście zastępowały parasol - choć okazał się on mocno podziurawiony. Niebo przecięła błyskawica, rozległ się potężny grzmot i dziewczyna zrozumiała, że wbrew zapowiedziom koniuszego za chwilę rozpęta się prawdziwa burza. Klacz też to wyczuła, ale choć drgnęła, gdy zagrzmiało, nadal była spokojna i posłuszna.

- Prawdziwy z ciebie skarb - powiedziała czule Elizabeth i poklepała jej gładką szyję.

Myślami jednak błądziła wokół chaty, która znajdowała się na końcu drogi. Przygryzła wargę, próbując wyliczyć czas. Na pewno minęła już pierwsza, więc Ian Thornton niewątpliwie dawno odjechał.

Przez dłuższą chwilę stała, zastanawiając się, co robić, w końcu doszła do wniosku, że to próżność każe jej sobie wyobrazać, jakoby wywarła na tym mężczyźnie głębsze wrażenie. Przecież wczoraj widziała, jak flirtował z Charise zaledwie godzinę po ich pocałunku w sadzie. Bez wątpienia stanowiła tylko przelotną rozrywkę. Ona zaś, naiwna gąska, wyobrażała

sobie, że krążył po chacie, spoglądając na drzwi. W końcu to hazardzista - hazardzista, a przy tym również i donzuan. Na pewno z wybiciem południa wrócił do domu w poszukiwaniu bardziej życzliwej towarzyszki, którą zresztą bez problemu znajdzie. Z drugiej strony, gdyby jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności jednak nadal tu był, zobaczy jego konia i po prostu zawróci do pałacu.

Po kilku minutach jazdy dostrzegła chatę - błogosławiony widok w tym gęstym lesie. Wyteżała wzrok, by przez listowie i podnoszącą się mgłę wypatrzeć konia Iana. Serce dudniło jej z podniecenia pomieszanego z niepokojem, kiedy przypatrywała się małej, krytej strzechą chacie. Jednak, jak szybko się przekonała, nie miała powodów ani do podniecenia, ani niepokoju. Domek stał pusty. To się nazywa prawdziwa głębia uczuć, pomyślała, ignorując dziwne ukłucie bólu.

Zeskoczyła z wierzchowca i zaprowadziła klacz za dom, gdzie znalazła daszek, pod którym ją uwiązała.

- Zauważyłaś, jacy zmienni są mężczyźni? - zwróciła się do towarzyszki. - I jakie głupie są kobiety we wszystkim, co ich dotyczy?

- dodała, nie mogąc opanować niewytłumaczalnego smutku.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że zachowuje się irracjonalnie. Nie zamierzała tu przyjeżdżać i nie chciała, by czekał, tymczasem teraz czuła pod powiekami łzy, bo go nie zastała.

Szarpnęła za wstążki kapelusika, zdjęła go, otworzyła drzwi chaty, weszła do środka - i zamarła z przerażenia.

W głębi, odwrócony do niej plecami, stał Ian Thornton. Z pochyloną głową przyglądał się wesołemu ogniowi, który płonął w kominku. Ręce wsunął za pasek szarych bryczesów, stopę w butach do konnej jazdy oparł na kratce. Zdjął surdut, pod miękką tkaniną koszuli widać było napięte mięśnie, kiedy przeciągnął ręką po ciemnych włosach. Elizabeth chłoneła piękno wspaniałych męskich ramion, szerokich barów i wąskich bioder.

Rezygnacja, która biła z całej jego sylwetki, oraz fakt, że czekał ponad dwie godziny, sprawiły, że Elizabeth przestała być taka pewna, iż rzeczywiście nic go nie obchodziło, czy ona się zjawi, czy nie. Zwłaszcza gdy zauważyła stolik. Serce jej się ścisnęło, kiedy zobaczyła, ile trudu zadał sobie Ian: na prymitywnym blacie leżał kremowy lniany obrus; stół nakryto dla dwojga osób. Niebiesko - złota porcelanowa zastawa niewątpliwie pochodziła z domu Charise. Na środku płonęła świeca, obok półmiska z wędlinami i serem stała do połowy opróżniona butelka wina.

Elizabeth nigdy jeszcze nie spotkała mężczyzny, który potrafiłby ułożyć jedzenie i

nakryć do stołu. To było zajęcie dla kobiet. Dla kobiet i służby, a nie dla mężczyzny, tak przystojnego, że na sam jego widok serce zaczynało bić szybciej. Wydawało jej się, że stoi tam długie minuty, a nie zaledwie parę sekund, kiedy nagle Ian zeszywniał, jakby wyczuł jej obecność. Odwrócił się i na jego surowej twarzy zagościł lekki uśmiezek.

- Nie jesteś szczególnie punktualna.

- Nie zamierzałam przyjść - wyznała, usiłując odzyskać panowanie nad sobą i nie zwracać uwagi na wyrzut w jego głosie i oczach. - W drodze do wioski złapała mnie ulewa.

- Przemokłaś.

- Wiem.

- Podejdź do ognia.

Kiedy nadal bacznie mu się przyglądała, podszedł do niej bliźutko. Elizabeth stała jak posąg, a w jej głowie kłębiły się ponure ostrzeżenia Lucindy na temat przebywania sam na sam z mężczyzną.

- Czego pan chce? - spytała bez tchu. Przytłaczał ją jego wzrost i bliskość.

- Daj mi ubranie.

- Nie. Zostanę tak, jak jestem.

- Zdejmuj. Żakiet jest cały mokry.

- Proszę mnie nie dotykać!

Cofała się do otwartych drzwi, zaciskając ręce na połach żakietu.

- Elizabeth - perswadował łagodnie Ian. - Dałem ci słowo, że nic ci tu dzisiaj nie grozi.

Na chwilę przymknęła oczy i skinęła głową.

- Pamiętam. Ale wiem również, że nie należało tu przychodzić. Powinnam natychmiast wrócić do domu. Prawda, że tak? - Spojrzała na niego błagalnym wzrokiem - ofiara prosiła o radę uwodziciela.

- Zdaje się, że to nie mnie powinnaś pytać o decyzję.

- Zostanę - oświadczyła po chwili i zobaczyła, że Ian wyraźnie się odprężył.

Rozpięła guziki i podała mu żakiet wraz z kapeluszem. Podszedł do kominka, by powiesić mokre rzeczy na kołku.

- Stań przy ogniu - rozkazał i nie spuszczał z niej oczu, nalał wina do kieliszków.

Włosy, których nie ochronił kapelusz, były wilgotne, więc Elizabeth wyjęła grzebienie, podtrzymujące fryzurę, i mocno potrząsnęła głową. Nie zdając sobie ze zmysłowości tego gestu, podniosła ręce i przeciągnęła palcami po bujnych lokach.

Zerknęła na Iana. Stał nieruchomo przy stole, nie spuszczał z niej oczu. Coś w jego wzroku sprawiło, że pośpiesznie opuściła ręce. Czas przysł, ale Elizabeth aż nadto wyraźnie

czuła na sobie gorące, natarczywe spojrzenie mężczyzny i z nagłym drżeniem uświadomiła sobie, jakie ryzyko podejmuje. Przecież wcale nie zna tego człowieka, spotkała go parę godzin temu, a mimo to patrzył na nią o wiele za... swobodnie. I zaborczo. Podał jej kieliszek, a potem ruchem głowy wskazał zniszczoną kanapę, która zajmowała niemal całe pomieszczenie.

- Jeśli się ogrzałaś, to zapraszam, kanapa jest czysta.

Zapewne pochodziła z pałacu i niegdyś była chyba w białe - zielone pasy, lecz teraz poszarzała ze starości.

Elizabeth usiadła najdalej jak się dało od Iana i podkuliła nogi, żeby je ogrzać. Obiecał, że będzie „bezpieczna”, ale - jak się właśnie przekonała - rozumiał to wyjątkowo swobodnie.

- Jeśli mam tu zostać - oświadczyła - sędzę, że powinniśmy pamiętać o zachowaniu reguł obowiązujących w kulturalnym świecie.

- Na przykład?

- Przede wszystkim proszę, żeby przestał pan zwracać się do mnie po imieniu.

- Po wczorajszym pocałunku w sadzie byłoby dziwne, gdybym wrócił do formy: panno Cameron.

Powinna go poprawić, że należy ją tytułować hrabianką, ale za bardzo wytrąciło ją z równowagi wspomnienie owych niezapomnianych - i całkowicie niedopuszczalnych chwil, żeby teraz zwracać sobie głowę tym drobiazgiem.

- Nie w tym rzecz - podjęła. - Wczorajsza sytuacja to już przeszłość i nie powinna rzutować na nasze dzisiejsze zachowanie. Dziś powinniśmy wręcz... tak, musimy nawet zachowywać się podwójnie poprawnie, żeby - brnęła desperacko i całkowicie nielogicznie - wymazać to, co się wydarzyło wczoraj.

- Czyli tak to się załatwia? - spytał, a w jego oczach błysnęło rozbawienie. - Szczerze powiedziawszy, nie sądziłem, że pozwalasz, by ograniczały cię konwenanse.

Tego hazardzistę pozbawionego zasad i zobowiązań niewątpliwie śmiertelnie nudziły reguły moralności i dobrego wychowania, lecz dziewczyna zdawała sobie sprawę, że musi go przekonać do swojego punktu widzenia.

- Naturalnie że tak - odrzekła. - Cameronowie są wyjątkowo konwencjonalni. Jak pan już zdążył się przekonać, wierzę, że honor jest cenniejszy od życia. Wierzymy również w Boga, ojczyznę, małżeństwo, króla i... i wszystko to, co wypada. Pod tym względem jesteśmy okropnymi nudziarzami.

- Rozumiem, ale powiedz mi - spytał niewinnym tonem - czemu tak bardzo licząca się

z konwenansami osoba jak ty, wczoraj stawiała czoło całemu pokojowi mężczyzn, by ratować opinię zupełnie obcego człowieka?

- A, to - zbagatelizowała sprawę Elizabeth. - Nazwijmy to... hm... moim konwencjonalnym pojmowaniem sprawiedliwości, Zresztą - ciągnęła, czując, jak na wspomnienie wczorajszych wydarzeń budzą się w niej emocje - bardzo mnie rozgniewało, kiedy sobie uświadomiłam, że żaden z obecnych nie wyperswadował lordowi Everly'emu pojedynku wyłącznie dlatego, że w przeciwieństwie do hrabiego, stoi pan niżej od nich w hierarchii społecznej.

- Równość społeczna? - zażartował z leniwym, obezwładniającym uśmiechem. - Cóż za niezwykle poglądy u tak pełnej zasad panny.

Elizabeth złapała się we własne sidła.

- Tak naprawdę - odparła drżącym głosem - sama obecność tutaj napawa mnie śmiertelnym przerażeniem.

- Wiem o tym, ale jestem ostatnią osobą, której powinnaś się bać.

Wypowiedziane przez Iana słowa sprawiły, że nogi jeszcze bardziej się pod nią ugięły, a serce biło jak szalone. Elizabeth pospiesznie wypita wino, modląc się, by ją uspokoiło. Mężczyzna zrećnie zmienił temat, jakby dostrzegł jej wewnętrzne zmagania.

- Czy myślałaś jeszcze o niesprawiedliwości, jaka spotkała Galileusza?

Pokręciła głową.

- Musiał mnie pan uważać za wariatkę, kiedy wczoraj opowiadałam, jak źle się z nim obeszła inkwizycja. Kto to widział, żeby rozmawiać na takie tematy, zwłaszcza z dżentelmenem?

- Uznałem to za przyjemną odmianę po codziennej porcji banałów.

- Naprawdę?

Przyglądała mu się bacznie z mieszaniną nadziei i niedowierzania, nie zdając sobie sprawę, że zrećnie odwrócił jej uwagę od dręczących obaw i przeniósł dyskusję na mniej zapalny grunt.

- Tak.

- Szkoda, że towarzystwo jest innego zdania. Uśmiechnął się współczująco.

- Od dawna musisz ukrywać fakt posiadania rozumu?

- Od czterech tygodni - wyznała, rozbawiona tym określeniem. - Nie ma pan pojęcia, jakie to straszne: klepać te same banały, kiedy marzy się, by pytać ludzi o to, co widzieli i czym się interesują. Ale mężczyźni, nawet gdybym zapytała, nie udzieliliby mi wyczerpujących odpowiedzi.

- A jak by zareagowali?

- Oświadczyliby - odparła - że to za trudne dla kobiety albo że nie chcą urazić moich delikatnych zmysłów i uszu.

- Jakie pytania zadawałaś?

W jej oczach pojawiło się rozbawienie i bezradność.

- Spytałam sir Elstona Greeleya, który wialnie wrócił z wojaży po świecie, czy był w koloniach. Odrzekł, że tak. Ale kiedy poprosiłam, by mi opisał tubylców: ich wygląd i obyczaje, chrząknął, po czym oświadczył, że nie wypada dyskutować z damą o dzikusach i że na pewno bym zemdlała, gdyby zaczął o nich mówić.

- Wygląd i obyczaje zależą od plemienia - zauważył Ian. - Niektóre plemiona można uznać za dzikie, jak na nasze standardy, choć sami tubylcy mają odmienne zdanie, inne zaś są do wszystkich nastawione pokojowo.

Dwie godziny minęły jak chwila. Elizabeth zadawała pytania i zafascynowana słuchała opowieści o miejscach, które Ian zwiedził. Ani razu nie uchylił się od odpowiedzi i nie lekcewał jej komentarzy. Rozmawiał z dziewczyną jak równy z równym i sprawiało mu przyjemność, ilekroć dzieliła się z nim swoim zdaniem. Zjedli posiłek i wrócili na kanapę. Elizabeth wiedziała, że już dawno powinna być w pałacu, ale nie chciała jeszcze kończyć tego kradzionego popołudnia.

- Często wydaje mi się - wyznała, kiedy Ian skończył opowiadać o Hinduskach, które zasłaniają twarze i włosy - straszną niesprawiedliwością losu, że urodziłam się kobietą i nigdy nie przeżyję takich przygód, i zobaczę zaledwie niektóre z tych miejsc. A nawet gdybym pojechała w tamte strony, i tak pokazano by mi cywilizowane okolice, takie jak... jak Londyn.

- Faktycznie, nie można mówić o równości płci - zgodził się jej towarzysz.

- Cóż, każdy ma swoje obowiązki - oznajmiła z udanym namaszczeniem. - I ponoć przynosi to prawdziwe zadowolenie.

- A na czym polegają twoje... hm... obowiązki? - dostroił się do jej żartobliwego tonu.

- To łatwe. Kobieta ma być żoną, która pod każdym względem stanowi chlubę swego małżonka. Obowiązek mężczyzny zaś polega na spełnianiu każdej własnej zachcianki, pod warunkiem że w razie nieszczęścia będzie gotów bronić ojczyzny, co w obecnych czasach raczej mu nie grozi. Mężczyźni - uświadomiła mu - zdobywają honor, oddając życie na polu walki, podczas gdy my składamy życie na ołtarzu małżeństwa.

Wybuchnął śmiechem, a Elizabeth też się uśmiechnęła. Wspaniale się bawiła.

- Co, jeśli głębiej się zastanowić, świadczy, że nasza ofiara jest znacznie większa i godna pochwały - dodała.

- Mianowicie?

- To oczywiste. Wojna trwa parę dni albo tygodni, w najgorszym wypadku kilka miesięcy, podczas gdy małżeństwo zawiera się na całe życie. Co mi przypomina o kolejnej kwestii, która nie daje mi spokoju - ciągnęła pogodnie, bez oporów dzieląc się z nim najgłębszymi przemyśleniami.

- Czyli? - spytał, patrząc na nią tak, jakby pragnął, by nigdy nie przestała mówić.

- Czemu, pańskim zdaniem, mężczyźni uparcie nazywają nas słabą płcią?

Spojrzeni na siebie rozbawieni, ale wtedy Elizabeth zdała sobie sprawę, jak obrazoburcze muszą mu się wydawać niektóre jej uwagi.

- Zwykle nie wdaję się w takie dyskusje - przeprosiła. - Pewnie pan sobie myśli, że jestem okropnie wychowana.

- Myślę - odrzekł cicho - że jesteś cudowna.

W jego głosie brzmiała taka szczerość, że dziewczynie zabrakło tchu. Otworzyła usta, rozpaczliwie szukając jakiejś lekkiej odpowiedzi, która przywróciłaby beztroski nastrój, ale zamiast słów wyrwało jej się tylko długie westchnienie.

- I - ciągnął spokojnie - sędzę, że sama to wyczuwasz.

Nie, to nie był żaden z owych banalnych komplementów, którymi zasypywali ją londyńscy wielbiciel. Słowa Iana przeraziły ją równie mocno jak zmysłowe spojrzenie bursztynowych oczu. Głębiej wtuliła się w kanapę i powtarzała sobie, że przesadnie reaguje na zwyczajne pochlebstwo.

- A ja myślę - udało jej się odparować ze śmiechem - że pan każdą kobietę uważa za cudowną.

- Czemu tak sądzisz?

Wzruszyła ramionami.

- Weźmy chociażby wczorajszą kolację. Pamięta pan lady Charise Dumont, naszą gospodynię? - wyjaśniła, gdy zmarszczył brwi, jakby mówiła w obcym języku. - To ta brunetka, której wczoraj pił pan z ust.

Miejsce zmarszczki zajął szeroki uśmiech.

- Zazdrosna?

Elizabeth uniosła drobny podbródek i pokręciła głową.

- Bynajmniej. Tak samo jak pan o hrabiego Howarda.

Poczuła satysfakcję, kiedy jego rozbawienie zniknęło.

- Mówisz o tym bawidamku, który nie potrafił zamienić z tobą jednego zdania, żeby cię nie dotknąć? - upewnił się jedwabistym głosem. - O tym lordzie Howardzie? Otóż pragnę

cię poinformować, że przez całą kolację zastanawiałem się, czy mu przesunąć nos pod prawe ucho, czy lewe.

Nie zdążyła nad sobą zapanować i wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Nie wierzę. Zresztą, skoro nie zamierzał pan się pojedynkować z lordem Everlym, choć nazwał pana oszustem, to z pewnością nie zrobiłby pan krzywdy biednemu hrabiemu Howardowi, który zaledwie dotknął mojego ramienia.

- Doprawdy? - zapytał cicho. - To dwie zupełnie różne sprawy.

Nie po raz pierwszy Elizabeth nie potrafiła go zrozumieć. Nagle powrócił niepokój, jak zawsze kiedy Ian przestawał grać rolę dowcipnego rozmówcy i stawał się mrocznym, tajemniczym nieznajomym. Dziewczyna odgarnęła włosy z czoła i wyjrzała przez okno.

- Pewnie już po trzeciej. Naprawdę, muszę wracać. - Zerwała się z kanapy i wygładziła spódnice. - Dziękuję za czarujące popołudnie. Sama nie rozumiem, czemu zostałam, choć nie powinnam, ale cieszę się, że to zrobiłam... - Zabrakło jej słów. Z obawą patrzyła czujnie, jak mężczyzna wstał również.

- Naprawdę nie wiesz? - spytał cicho.

- Czego nie wiem?

- Dlaczego nadal tu ze mną jesteś?

- Nawet pana nie znam! - zawołała. - Wiem, jakie kraje pan zwiedził, ale nie mam pojęcia, skąd pan pochodzi, z jakiej rodziny i z jakiego świata. Wiem również, że ryzykuje pan olbrzymie sumy, grając w karty, a nie uznaję hazardu...

- Ale również ryzykuje olbrzymie sumy, wydając je na statki i towary. Czy to sprawi, że spojrzysz na mnie łaskawiej?

- A przede wszystkim wiem... - ciągnęła z rozpaczą, gdy popatrzył na nią gorąco i namiętnie - ...nie mam co do tego cienia wątpliwości, że czuję się wyjątkowo niezręcznie, kiedy pan na mnie spogląda tak jak teraz.

- Elizabeth - oświadczył czule, ze spokojną pewnością - znalazłaś się tutaj, ponieważ oboje jesteśmy na najlepszej drodze, by się w sobie zakochać.

- Coooo?

- A jeśli tak cię niepokoi, kim jestem, łatwo odpowiem na to pytanie. - Poglądził ją po policzku, a potem ujął jej twarz w dłonie. - Jestem twoim przyszłym mężem.

- O, Boże!

- Chyba już za późno na modlitwę - zażartował.

- Pan... pan chyba oszalał - powiedziała drżącym głosem.

- Święte słowa - szepnął.

Dotknął ustami jej czoła, przytulił ją do siebie i stał bez ruchu, jakby wiedział, że jeśli posunie się dalej, dziewczyna zacznie się wrywać.

- Nie było cię w moich planach, droga panno Cameron.

- Błagam - zaklinała go - niech mi pan tego nie robi. Niczego nie rozumiem. Nie wiem, czego pan pragnie.

- Ciebie. - Wziął Elizabeth pod brodę i zmusił, by dziewczyna popatrzyła mu w oczy. - Ty zaś pragniesz mnie.

Kiedy pochylił się nad jej ustami, zaczęła drżeć, lecz mimo wszystko próbowała odwlec nieuniknione.

- Dobrze wychowana Angielka - zacytowała nauki Lucindy - czuje najwyżej sympatię. My się nie zakochujemy.

Ciepłe usta Iana spoczęły na jej wargach.

- Jestem Szkotem - szepnął gardłowo. - My się zakochujemy.

- Szkot! - jęknęła Elizabeth, gdy tylko się odsunął. Roześmiał się na widok jej przerażonej miny.

- Powiedziałem: „Szkot”, a nie: „morderca”.

Szkot i do tego hazardzistą! Havenhurst pójdzie pod młotek, służba trafi na bruk, a cały świat Elizabeth się rozsypie.

- Nie mogę, po prostu nie mogę za pana wyjść.

- Właśnie że tak, Elizabeth - szeptał, przesuwając usta od jej policzka do ucha. - Możesz.

Teraz czubkiem języka dotknął płatka jej ucha i delikatnie, niespiesznie wodził nim po wszystkich zagłębieniach, dopóki Elizabeth nie zaczęła drżeć, gdy przeszyły ją fale ognia. Poczul to, mocniej otoczył ją ramieniem i śmiało wsunął język dalej. Ciepły oddech muskał włosy dziewczyny, gdy Ian znowu powiodł ustami po jej policzku do ucha i szepnął:

- Nie bój się. Przerwę, kiedy mi każesz.

Otoczona jego ramionami, uspokojona tą obietnicą, uwiedziona pieszczotą ust i dłoni, przywarła do niego i wolno zapadła w mroczną otchłań pożądania, gdzie świadomie prowadził ich oboje.

Gwałtownie oderwał usta od jej policzka, a kiedy musnął kącik warg, odwróciła głowę, by przyjąć jego pocałunek. To słodkie oddanie wyrwało z piersi mężczyzny ni to śmiech, ni jęk. Pocałował ją żarliwie, rozpalając ich oboje do białości.

Nagle Elizabeth poczuła, że Ian ją podnosi, przyciska do siebie, a potem kładzie na kanapę - ani na chwilę nie przerywając pocałunku. Nachylony nad nią, językiem wypalał

gorącą linię między jej wargami, prosząc, szturmując, a wreszcie zmuszając do ich rozchylenia. Poczwała nagły dreszcz, obudził się w niej instynkt, odbierała pieszczotę każdym rozpalonym nerwem i bez pamięci oddała się temu gorącemu pocałunkowi. Rękami gładziła jego ramiona i barki mężczyzny, z coraz większym zapamiętaniem napierając na niego biodrami. Zaspokajała jego głód i nieświadomie jeszcze bardziej go podniecała.

Kiedy wreszcie - całą wieczność później - przerwał pocałunek, oboje ciężko oddychali. Elizabeth niechętnie wróciła z rajy zmysłów, który przed nią otworzył Ian, i zmusiła się do uchylenia ciężkich powiek. Wyciągnięty obok niej, nachylał się nad jej twarzą, jego opalona twarz pociemniała z pożądania, a bursztynowe oczy płonęły. Czule odgarnął z policzka Elizabeth złocisty kosmyk włosów. Próbował się uśmiechać, ale przychodziło mu to z trudem. Nie zdając sobie sprawy, jakim wysiłkiem woli usiłuje zapanować nad ich namiętnością, Elizabeth spojrzała na jego cudowne wargi, Ian gwałtownie wciągnął powietrze.

- Nie patrz tak na moje usta - ostrzegł ją chrapliwym głosem - chyba że chcesz, bym znowu cię całował.

Jeszcze nie potrafiła udawać. Spojrzała na niego, a w jej zielonych oczach wyraźnie płonęło błaganie o kolejny pocałunek, Ian z wysiłkiem wciągnął powietrze i znowu uległ pokusie, tłumacząc łagodnie Elizabeth, jak ma okazać, czego pragnie.

- Obejmij mnie ze szyję - wyszeptał czule.

Smukłymi palcami dotknęła jego karku. Opuścił głowę, ich usta niemal się stykały. A choć Elizabeth była przygotowana na gorącą pieszczotę, znowu dała się porwać szalonemu, nieopisanie słodkiemu pocałunkowi. Tym razem to ona dotknęła językiem warg Iana, a kiedy poczuła, że zadrżał, instynktownie pojęła, że jest na właściwej drodze.

On również to zrozumiał i przerwał pocałunek.

- Nie rób tego, Elizabeth - ostrzegł.

W odpowiedzi mocniej objęła go za szyję i wtuliła się w jego ramiona. Usta Iana natarły na jej wargi, ale teraz już nie protestowała. Czwała gwałtowne uderzenia jego serca, Ian całował ją z niepohamowaną namiętnością, a potem jego język zaczął się wolno wsuwać i wysuwać w jakimś tajemniczym, podniecającym, zakazanym rytmie, od którego Elizabeth dudniła krew. Dotknął ręką jej piersi i przykrył ją zaborczym ruchem. Dziewczyna poderwała się, gotowa protestować.

- Nie - wyszeptał w jej usta. - Na Boga, nie. Jeszcze nie...

Zdumiona nieskrywanym pragnieniem, jakie dźwięczało w jego głosie, znieruchomiła i patrzyła, jak podniósł głowę i wodził wzrokiem po wycięciu jej bluzki.

Mimo wcześniejszego protestu nie wykonał najmniejszego ruchu, dopiero po chwili oszołomiona dziewczyna zrozumiała, że dotrzymał obietnicy: przestał, kiedy nie chciała się posunąć dalej. Ona zaś bezradnie patrzyła na jego nieruchome, opalone palce, spoczywające na jej bluzce i nie umiała ani go powstrzymać, ani zachęcić. Wreszcie spojrzała mu w oczy. Płonął w ich żar. Z cichym jękiem zacisnęła ręce na szyi Iana i wtuliła się w niego.

Ta zachęta mu wystarczyła. Przykrył dłonią pierś Elizabeth, ale nie odrywał wzroku od dziewczyny, obserwując, jak na jej pięknej twarzy pojawia się najpierw strach, a potem rozkosz. Do tej pory Elizabeth traktowała piersi tak samo jak nogi - obie te części ciała spełniały konkretne zadanie. Nogi służyły do chodzenia, piersi wypełniały stanik sukni. Nie miała pojęcia, że potrafią się w nich rodzić takie odczucia; rozpalona do nieprzytomności pocałunkami, leżała spokojnie, podczas gdy on rozpiął jej bluzkę i zsuwał gorset, aż wreszcie odstąpił biust. Elizabeth chciała się zasłonić ręką, ale Ian błyskawicznie zaczął całować jej palce. Dziewczyna zeszywniała i wyrwała rękę, lecz usta mężczyzny natychmiast odnalazły jej pierś i powtórzyły pieszczotę. Elizabeth poczuła, że zalewa ją fala rozkoszy; jęknęła, serce dudniło jej jak szalone, ostrzegając, by kazała mu przestać.

Ian musnął drugą pierś i otoczył ustami sterczącą brodawkę. Elizabeth wyprężyła się, zaciskając dłonie na jego szyi. Nagle uniósł się, nie przestając pieścić wzrokiem jej nabrzmiałych piersi. Przełknął ślinę, z trudem wciągając powietrze.

- Elizabeth, musimy przestać.

Rozpłomieniona dziewczyna powoli zaczęła wracać do rzeczywistości i nagle oprzytomniała całkowicie. Miejsce namiętności zajął strach, a potem wstyd, kiedy zdała sobie sprawę, że oto leży w ramionach mężczyzny obnażona, w rozpiętej bluzce. Zamknęła oczy, by powstrzymać łzy, odepchnęła jego rękę i próbowała wstać. - Proszę mnie puścić - szepnęła.

Przepelniała ją odraza do samej siebie. Wzdrygnęła się, kiedy Ian zaczął zapinać jej guziki, ale przynajmniej ją puścił i wykorzystała ten moment, żeby się podnieść.

Odwróciła się plecami do niego i drżącymi palcami poprawiła bluzkę, a potem chwyciła suszący się żakiet. Ian poruszał się tak szybko, że zdała sobie sprawę z jego bliskości, kiedy położył ręce na jej ramionach.

- Nie bój się tego, co nas połączyło. Zapewnię ci dostatnie życie...

Całe jej zagubienie i niepokój znalazły ujście w wybuchu furii. Tak naprawdę Elizabeth była wściekła na siebie, ale wyładowała złość na nim.

- Zapewnisz mi dostanie życie? - zawołała. - Czyli co? Norę w Szkocji, gdzie będę gnić, podczas gdy ty będziesz udawał angielskiego szlachcica i przepuszczał cały majątek w

karty...

- Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli - przerwał jej spokojnie - za rok, najpóźniej dwa, stanę się jednym z najbogatszych ludzi w Anglii. Jeśli zaś nie, i tak będziesz żyła w dostatku.

Elizabeth chwyciła kapelusz i odsunęła się od Iana . Sama nie wiedziała, czego bardziej się boi: jego czy własnej słabości.

- To szaleństwo. Czyste szaleństwo! Ruszyła do wyjścia.

- Wiem - odrzekł cicho.

Chwyciła klamkę i szeroko otworzyła drzwi. Znieruchomiała w pół kroku, słysząc jego słowa.

- Gdybyś po wyjeździe stąd się rozmyśliła, do środy możesz mnie zastać w londyńskiej rezydencji Hammunda przy Upper Brook Street. Potem wyjeżdżam do Indii i nie wrócę do zimy.

- Życzę panu szczęśliwej podróży - odrzekła, zbyt wzburzona, by analizować ostre ukłucie bólu na myśl, że Ian wyjeżdża.

- Jeśli rozmyślisz się na czas - zażartował - zabiorę cię ze sobą.

Przerażona Elizabeth uciekła jak szalona, byle jak najdalej od tej spokojnej pewności, która brzmiała w jego głosie. Galopowała przez gęstą mgłę i wilgotne chaszcze. Gdzieś zniknęła ta roztropna, pewna siebie młoda panna, jej miejsce zajęła przerażona, oszołomiona dziewczyna, świadoma ciężaru odpowiedzialności, jaki na niej spoczywał i wychowana w przekonaniu, że pociąg, który czuła do Iana Thorntona, był grzeszny i niewybaczalny.

Zostawiwszy w stajni konia, z przerażeniem zobaczyła, że towarzystwo wróciło już z wycieczki do wsi. Znalazła tylko jedno wyjście: wysłała list do Roberta, prosząc, by zabrał ją jeszcze dziś wieczorem, zamiast jutro rano.

Zjadła kolację w sypialni, a w tym czasie Berta pakowała rzeczy. Elizabeth starannie omijała okno, z którego rozciągał się widok na ogród. Dwukrotnie wyjrzała i za każdym razem widziała tam Iana . Najpierw stał samotnie na tarasie z cygarem w ustach, wpatrując się w przestrzeń. Wydał jej się dziwnie samotny, aż serce jej ścisnęło się ze współczucia. Potem zobaczyła go w otoczeniu kobiet - Elizabeth ich nie знаła, widocznie przybyli nowi goście. Cała piątka najwyraźniej nie mogła się oprzeć jego urokowi. Dziewczyna wmawiała sobie, że jej to nie obchodzi. Nie może jej obchodzić. Ma obowiązki wobec brata i Havenhurst. Najpierw musi myśleć o nich. Niech Ian mówi sobie, co chce, ale jej nie wolno się wiązać z hazardzistą, nawet jeśli jest zarazem najprzystojniejszym Szkotem w historii tego narodu i najczulszym...

Zamknęła oczy, odganiając te myśli. Nie może tak myśleć o tym mężczyźnie. To głupie i niebezpieczne, zwłaszcza że Valerie i część gości wypytywali podejrzliwie, gdzie zniknęła na całe popołudnie i z kim. Elizabeth poczuła dreszcz strachu, gdy sobie przypomniała, jak z powodu wyrzutów sumienia zaraz po powrocie do pałacu łatwo dała się schwytać w pułapkę.

- Wielkie nieba, aleś ty zmokła! - zawołała ze współczuciem Valerie na powitanie. - Koniuszki powiedział, że wyjechałaś po dwunastej. Tylko nie mów, że cały czas byłaś na deszczu!

- Nie, przypadkowo... przypadkowo trafiłam na chatę w lesie i przeczekałam tam ulewę.

Uznała, że to najroztropniejsze wytłumaczenie, ponieważ przy domku nie było widać konia Iana, każdy zaś mógł zobaczyć jej klacz.

- O której to było?

- Gdzieś koło pierwszej.

- Nie spotkałaś gdzieś pana Thorntona? - dopytywała się Valerie ze złośliwym uśmiechem.

Rozmowy w salonie umilkły, a wszyscy odwrócili się w jej stronę.

- Leśniczy twierdził, że widział jakiegoś wysokiego bruneta na rośłym gniadoszu, jadącego w tamtą stronę. Uznał, że to gość, więc go nie zaczepiał.

- N... nie spotkałam go - wybąkała Elizabeth. - Było... bardzo mgliście. Mam nadzieję, że nie przytrafiło mu się nic złego.

- Nie wiemy. Jeszcze nie wrócił. Ale Charise bardzo się niepokoi. - Tamta nadal bacznie obserwowała przyjaciółkę. - Tłumaczę jej, że niepotrzebnie. Kucharki zapakowały mu posiłek dla dwóch osób.

Elizabeth odsunęła się, by przepuścić jakąś parę, a potem wyjaśniła Valerie, że postanowiła wyjechać już dzisiaj i zanim ta zdążyła spytać o powód, szybko odeszła, tłumacząc, że musi się przebrać w suche rzeczy.

Bercie wystarczyło jedno spojrzenie na bladą twarz swej pani, by odgadnąć, że wydarzyło się coś strasznego, zwłaszcza gdy Elizabeth nalegała, by posłać kogoś do Roberta z prośbą o odebranie ich jeszcze dzisiaj. Zanim hrabianka napisała list, Berta wyciągnęła z niej prawie całą historię i skutek był taki, że przez następne kilka godzin dziewczyna musiała uspokajać pokojówkę.

ROZDZIAŁ 7

- Co, pomoże ci, jeśli wydepczesz dziurę w dywanie? - zwróciła się Berta do Elizabeth. - Jeszcze zdążymy trafić na dywanik, kiedy panna Throckmorton - Jones dowie się o twoich wyczynach.

- O niczym się nie dowie - oświadczyła dziewczyna raczej z uporem niż z przekonaniem, a potem opadła na fotel i zaczęła nerwowo skubać materiał zielonej sukni podróżnej.

Czepek i rękawiczki leżały na łóżku obok kufrow, czekając na przyjazd Roberta. Kiedy rozległo się stukanie, podskoczyła nerwowo, chociaż się go spodziewała. Tymczasem gdy otworzyła drzwi, lokaj nie zapowiedział przybycia jej brata, tylko wręczył jej list.

Otworzyła go, modląc się, by nie była to wiadomość, że posłaniec nigdzie nie zastał Roberta. Przez chwilę wpatrywała się zdumiona na nabazgrane w pośpiechu, prawie nieczytelne zdanie: „Spotkajmy się w oranżerii. Musimy porozmawiać”.

Służący już wyszedł, więc Elizabeth przywołała go z powrotem.

- Kto dał ci ten liścik?

- Panienska Valerie, milady.

Elizabeth najpierw poczuła ulgę, że to nie list od Iana, a zaraz potem przerażenie, że tamta jakimś cudem poznała szczegóły jej popołudniowego zniknięcia.

- Valerie prosiła, żebym koniecznie się z nią spotkała w oranżerii - zwróciła się do Berty.

Pokojówka pobladła.

- Wie o wszystkim, prawda? Dlatego chce się z tobą spotkać. Nie powinnam tego mówić, ale nie potrafię jej polubić. Ma złe oczy.

Elizabeth nigdy nie uczestniczyła w żadnym spisku ani oszustwie, tak więc obecne wydarzenia wydawały jej się niewyobrażalnie skomplikowane i złe. Pominęła milczeniem uwagę o przyjaciółce i zerknęła na zegar. Dochodziła szósta.

- Robert przyjedzie najwcześniej za godzinę, w takim razie pójdę i dowiem się, czemu Valerie mnie wzywa.

Odsunęła kotary i przyjrzała się gościom, siedzącym na tarasie albo spacerującym po ogrodzie. Jeszcze tego brakowało, żeby Ian zobaczył, że ona idzie do oranżerii i ruszył jej śladem. Co prawda wątpiła, by do tego doszło, ale mimo wszystko wolała nie ryzykować. Aż nogi się pod nią ugięły, kiedy, uspokojona, zobaczyła jego wysoką sylwetkę na tarasie.

Doskonale go widziała, gdyż stał blisko płonącej pochodni wraz z trzema flirtującymi z nim damami. Obok tej grupki cierpliwie czekał lokaj, aż zostanie dostrzeżony. Ian zerknął w jego stronę, a służący coś mu podał - zapewne kieliszek, pomyślała Elizabeth.

Ignorując ukłucie bólu, które czuła, patrząc na ciemną głowę Iana, odwróciła się od okna. Nie wyszła z pałacu drzwiami ogrodowymi, prowadzącymi na taras, gdzie stał Thornton, tylko wybrała boczne wyjście. Trzymała się też z daleka od świateł pochodni.

Na progu oranżerii Elizabeth się zawahała.

- Valerie? - zawołała cicho, rozglądając się dokoła.

Księżycowa poświata wpadała przez szklany dach, a kiedy nikt nie odpowiedział, Elizabeth weszła do środka. Wszędzie wokół widziała kwiaty. Doniczki stały w rzędach na stołach i ławkach. Bardziej delikatne odmiany znajdowały się na półkach niżej, zasłonięte przed ostrymi promieniami słońca, które wpadały tu za dnia. Elizabeth krążyła po szklarni i dla uspokojenia nerwów podziwiała rośliny.

Oranżeria była większa niż w Havenhurst i częściowo pełniła rolę ustronnego miejsca wypoczynku, bowiem stały tam drzewa w donicach, a przy nich znajdowały się ozdobne kamienne ławy, zasłane barwnymi poduszkami.

Dziewczyna wciąż krążyła po pomieszczeniu, nie dostrzegając, że w drzwiach pojawił się cień, który bezszelestnie ruszył jej śladem. Z rękami zaplecionymi na plecach pochyliła się nad gardenią.

- Elizabeth? - odezwał się cicho Ian Thornton.

Odwróciła się gwałtownie. Serce biło jej jak młotem, nogi się pod nią ugięły, ręka pofrunęła do ust.

- Co się stało? - spytał.

- Prze... przestraszył mnie pan.

Zbliżał się do niej z dziwnie nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Nie spodziewałam się, że tu pana zastanę - dodała spłoszona.

- Doprawdy? - zadzwiał. - A kogo się spodziewałaś po tym liściku? Księcia Walii?

List! Kiedy sobie uświadomiła, że list wyszedł spod jego ręki, a nie Valerie, w pierwszej chwili ogarnęło ją zdumienie, że taki wykształcony człowiek może tak okropnie bazgrać. Potem zdała sobie sprawę, że Ian wygląda na zagniewanego. Bardzo szybko się dowiedziała, czemu.

- Zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego, choć spędziliśmy razem całe popołudnie, nie znalazłaś czasu, by wspomnieć, że nosisz tytuł lady, Elizabeth?

Dziewczyna zastanawiała się, jakby zareagował, gdyby się dowiedział, że tak

naprawdę jest hrabianką Havenhurst, a nie tylko najstarszą córką jakiegoś mało znaczącego szlachcica.

- Mów, słońce. Słucham.

Cofnęła się o krok.

- Skoro nie masz ochoty na pogawędkę - wycedził, wyciągając ku niej ramiona - to może wezwałaś mnie w tej sprawie?

- Nie! - Błyskawicznie się odsunęła. - Wolę rozmawiać.

Podszedł bliżej, a Elizabeth znowu się cofnęła.

- Przecież jest tyle ciekawych tematów do pogawędki, czyż nie?

- zawołała.

- Doprawdy? Ponownie się zbliżył.

- Oczywiście!

Tym razem cofnęła się o dwa kroki. Chwytnąjąc się pierwszego tematu, jaki jej przyszedł do głowy, ogarnęła ręką stół hiacyntów.

- Czy... czyż te hiacyny nie są piękne! - zachwyciła się pośpiesznie.

- Piękne - zgodził się Ian, nawet nie obdarzywszy ich spojrzeniem.

Wyciągnął rękę, najwyraźniej zamierzając ją objąć, lecz Elizabeth się wyślizgnęła i jego palce tylko musnęły tkaninę sukienki.

- Hiacyny... - Rozpaczliwie uczepiła się tego tematu.

Ian szedł za nią krok w krok. Minęli stół z sadzonkami bratków, potem lilie...

- Hiacyny... - ciągnęła dziewczyna - należą do gatunku *hyacinthus*, choć odmiana, którą tu widzimy, zwykle nazywane hiacynthem holenderskim, należy właściwie do *Hyacinthus orientalis*...

- Elizabeth - przerwał jej stanowczym tonem. - Nie obchodzą mnie kwiaty.

Znowu wyciągnął do niej rękę. Żeby uniknąć objąć Iana, dziewczyna chwyciła doniczkę z hiacynthem i wcisnęła mu w dłoń.

- Może bardziej zainteresuje pana mitologiczny rodowód hiacynta - kontynuowała uparcie.

Na twarzy mężczyzny nagle pojawiło się niedowierzanie, a potem rozbawienie i oczarowanie.

- Otóż hiacynt został tak nazwany od pięknego młodzieńca Sparty, Hiacynta, którego pokochali Apollo i Zefir. Pewnego dnia Zefir, bóg zachodniego wiatru, uczył Hiacynta rzucania dyskiem i przypadkowo go zabił. Podobno z krwi młodzieńca wyrósł kwiat, a na każdym jego płatku widniało greckie słowo „niestety”. - Głos jej lekko drżał, kiedy starannie

odstawiła na miejsce doniczkę z kwiatem. - Właściwie kwiat, który wyrósł z krwi Hiacynta, to raczej irys albo ostróżka, a nie współczesny hiacynt, ale historia pozostała.

- Fascynujące.

Ian Thornton spoglądał na nią nieprzeniknionym wzrokiem. Elizabeth wiedziała, że myśli o niej, a nie o micie, a choć postanowiła uciec jak najdalej przed jego ramionami, nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

- Po prostu fascynujące - mruknął znowu i dziewczyna niczym zahipnotyzowana patrzyła, jak Ian wyciąga ręce, delikatnie chwytając za ramiona i lekko je gładzi. - Wczoraj byłaś gotowa walczyć z kilkudziesięcioma mężczyznami, bo śmieli posądzić mnie o oszustwo, tymczasem dzisiaj tak się boisz. Czyżby mnie, najmilsza?

A może czegoś innego?

Czułe imię wypowiedziane głębokim aksamitnym głosem podziało na nią tak samo jak dotyk ust Iana .

- Boję się tego, co przy panu czuję - wyznała, usiłując odzyskać panowanie nad sobą i sytuacją. - Zdaję sobie sprawę, że to zaledwie... przelotna... krótka przygoda...

- Kłamczucha.

Pocałował ją czule. Wystarczyła sekunda, by Elizabeth zaszumiało w głowie, ale kiedy oderwał usta, natychmiast zalała go potokiem słów.

- Bardzo dziękuję. Hia... hiacynt to nie jedyny kwiat o ciekawym rodowodzie. Warto też wspomnieć o liliach, również należących do gatunku...

Na twarzy Thorntona zagościł leniwy, uwodzicielski uśmiech i Elizabeth, ku swemu przerażeniu, nie potrafiła oderwać wzroku od jego ust. Nie mogła powstrzymać dreszczu oczekiwania, kiedy Ian pochylił ku niej głowę. Rozsądek ostrzegał, że postradała rozum, ale serce wiedziało, że to ostateczne pożegnanie. Dlatego wspięła się na palce i odwzajemniła pocałunek, wkładając weń całe swoje zagubienie, bezradność i pragnienia. Słodczyz jej uległości i to, jak jedną dłoń położyła mu na sercu, a drugą na szyi każdy mężczyzna zinterpretowałby jako gest zakochanej kobiety albo doświadczonej kokietki. Naiwna, niedoświadczona i młodzianka Elizabeth kierowała się wyłącznie instynktem i nie zdawała sobie sprawy, iż każdy jej ruch utwierdzał Iana w przekonaniu, że kieruje nią miłość.

Nawet jednak w tym oszołomieniu nie zapomniała o rychłym przyjeździe Roberta. Niestety, nie przewidziała, że brat mógł wyruszyć w drogę, jeszcze zanim otrzymał list.

- Niech mnie pan wysłucha - wyszeptła z rozpaczą. - Wkrótce brat zabierze mnie stąd.

- W takim razie z nim porozmawiam. Twój ojciec może mieć obiekcje, nawet kiedy go

przekonam, że zdołam zapewnić ci dostatnią przyszłość...

- Moja przyszłość! - wykrzyknęła z autentycznym przerażeniem.

Ian Thornton uważał, że panuje nad sytuacją, a przecież był hazardzistą, zupełnie jak jej ojciec. Przed oczami dziewczyny stały niemal całkowicie ogołoczone z mebli komnaty Havenhurst, służba, która jej ufała, i przodkowie, którzy na nią liczyli. W tym momencie Elizabeth powiedziałaaby wszystko - wszystko! - byle ją zostawił, nim całkowicie straci nad sobą kontrolę i ulegnie tej bezsensownej, przerażającej słabości, jaką w niej budził ten mężczyzna. Odsunęła się od niego i usiłowała nadać drżącemu głosowi chłodny i obojętny ton.

- A cóż takiego mi pan obieca? Rubin wielkości mojej dłoni, który przyrzekł mi wicehrabia Mondevale? Sobolowe futro i podłogi wyściełane kobiercami, jak się zaklinał hrabia Seabury?

- Tego pragniesz?

- Naturalnie - oświadczyła ze sztuczną wesołością, choć z trudem tłumiała szloch. - Czyż nie tego żąda każda kobieta, a każdy mężczyzna jej to obiecuje?

Twarz Iana zastygła i przypominała pozbawioną wyrazu maskę, ale jego oczy przeszywały ją niczym sztylety, szukając odpowiedzi, jakby nie mógł uwierzyć, że biżuteria i futra znaczą dla niej więcej od uczucia.

- Niechże mnie pan puści! - zawołała, tłumiąc łzy i odpychając go od siebie.

Tak byli pochłonięci sobą, że nie dostrzegli mężczyzny, który zbliżał się ku nim szybkim krokiem.

- Ty podły draniu! - ryknął Robert. - Słyszałeś, co powiedziała!

Zabierz te brudne łapska od mojej siostry!

Ian chciał opiekuńczym gestem przytulić Elizabeth, lecz wyrwała się z jego uścisku i z płaczem podbiegła do brata.

- Robercie, posłuchaj, to nie tak, jak sądzisz! Brat objął ją, a ona zaczęła mu tłumaczyć.

- To pan Ian Thornton - wyjaśniła - i...

- I wbrew pozorom - przerwał jej z zadziwiającym spokojem Ian - moje zamiary wobec panny Cameron są jak najbardziej szlachetne.

- Ty zadufany łotrze! - wybuchnął Robert z furią i pogardą. - Dla takich jak ty: hrabianka Cameron! I nie potrzebuję prezentacji, wiem o tobie wszystko. Jeśli zaś chodzi o twoje zamiary, a raczej zapędy, to nie pozwoliłbym jej poślubić takiego łajdaka jak ty, nawet gdyby nie była już zaręczona.

Na te słowa Ian spojrział na Elizabeth i natychmiast wyczytał z jej twarzy prawdę. Dziewczyna z trudem powstrzymała okrzyk, widząc w jego oczach zimną pogardę.

- Skompromitowałeś moją siostrę, bękarcu pomiole, i odpowiesz za to!

Ian przeniósł wzrok z Elizabeth na Roberta; na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia. Przyjął wyzwanie i skinął głową.

- Oczywiście - odparł spokojnie, niemal uprzejmie, a potem ruszył do wyjścia.

- Nie! - krzyknęła rozpaczliwie Elizabeth, chwytając brata za ramię.

Po raz drugi w odstępie dwudziestu czterech godzin próbowała ratować Iana Thorntona przed pojedynkiem.

- Nie pozwolę na to, Robercie, słyszałeś? To nie była jego...

- Nie wtrącaj się, Elizabeth - uciął brat, zbyt rozwścieczony, by jej słuchać. Odsunął jej dłoń. - Berta czeka już w moim powozie na podjeździe. Obejdz pałac i przyłącz się do niej. Ten człowiek i ja mamy jeszcze do pogadania.

- Nie możesz... - próbowała znowu Elizabeth, ale urwała, słysząc stanowczy głos Iana Thorntona.

- Odejdź stąd! - syknął.

A choć Elizabeth gotowa była zlekceważyć polecenie Roberta, nie ośmieliła się przeciwstawić rozkazowi tamtego mężczyzny. Serce ścisnęło jej się z przerażenia. Popatrzyła na kamienną twarz Iana i drgający mięsień na jego policzku, a potem na Roberta. Niepewna, czy jej obecność zaostri sytuację, czy zapobiegnie rozlewowi krwi, próbowała jeszcze raz apelować do brata.

- Błagam... przyrzeknij, że do jutra nie przedsięweźmiesz żadnych kroków. Powinieneś ochłonąć, musimy porozmawiać...

Nie chciał jeszcze bardziej jej przestraszyć, dlatego dał jej słowo, choć wymagało to odeń nadludzkiego wysiłku.

- Zgoda. Zaraz cię dogonię - obiecał. - A teraz idź do powozu, nim tłum, który obserwuje całą tę scenę, postanowi tu wejść, żeby lepiej słyszeć.

Elizabeth zrobiło się niedobrze, kiedy wyszła z oranżerii i zobaczyła, że większość gości opuściła salę balową i zgromadziła się w ogrodzie. Była tam Penelopa, Georgina i inni, na twarzach starszych gości malowała się wesołość, u młodszych zaś dostrzegła zimne potępienie.

Wkrótce do powozu wsiadł Robert. Zachowywał się z lodowatym wręcz chłodem.

- Sprawa jest załatwiona - oznajmił, lecz mimo błagań siostry nie dodał ani słowa więcej.

Bezsilna i zrozpaczona dziewczyna oparła głowę o ściankę powozu i słuchała szlochania Berty, która płakała na myśl o burze, jaka ją czeka od panny Lucindy Throckmorton - Jones.

- Posłaniec mógł dotrzeć do ciebie najprędzej dwie godziny temu - wyszeptała po kilku minutach Elizabeth. - Jakim cudem znalazłeś się tu tak szybko?

- Nie dostałem od ciebie listu. Dziś po południu Lucinda wydobrzała na tyle, by zejść na dół. Kiedy jej powiedziałem, dokąd wyjechałaś, uświadomiła mnie, jakie to zabawy urządza twoja przyjaciółka Charise w swojej wiejskiej rezydencji. Wyruszyłem więc przed trzema godzinami, żeby zabrać ciebie i Bertę do domu. Spóźniłem się, niestety.

- Nie jest aż tak źle, jak ci się wydaje - skłamała Elizabeth.

- Porozmawiamy o tym jutro - uciał.

Odetchnęła z ulgą, licząc, że w takim razie Robert do jutra nie podejmie żadnych kroków.

- Elizabeth, jak mogłaś być taka naiwna! Nawet ty powinnaś się domyślić, że to skończony łajdak! Takich jak on należałoby... - Urwał i głośno zaczerpnął tchu, próbując zapanować nad gniewem.

- Ale co się stało, to się nie odstanie. To moja wina: jesteś zbyt młoda i niedoświadczona, żeby ruszać się gdziekolwiek bez Lucindy, która by cię ustrzegła przed fałszywym krokiem. Pozostaje mi tylko modlić się, żeby twój przyszły mąż podszedł do sprawy z równą wyrozumiałością.

Dopiero teraz Elizabeth zwróciła uwagę, że to już drugi raz tego wieczoru Robert otwarcie mówi o jej zaręczynach, jakby sprawa była przesądzona.

- Nie zaręczyłam się jeszcze z wicehrabią ani publicznie tego nie ogłosiliśmy, więc nie rozumiem, dlaczego miałyby się czymkolwiek przejmować. - Dawała jednak wyraz raczej swoim pobożnym życzeniom niż przekonaniu. - Nawet jeśli wokół tej sprawy zrobi się trochę szumu, po prostu odłożymy na później oficjalne zaręczyny, ale nie sądzę, żeby go to jakoś dotknęło, Robercie.

- Dziś podpisaliśmy umowę przedślubną - wycedził brat. - W kwestiach finansowych byliśmy jednomyślni. Dodam, że wicehrabia okazał się wręcz bardzo hojny. Dumny oblubieniec gorąco pragnął jak najszybciej podzielić się ze światem swoim szczęściem, a ja nie widziałem przeciwwskazań. W jutrzejszym numerze „Gazette” ukaże się ogłoszenie o zaręczynach.

Na tę przerażającą wieść Bercie wyrwał się głośny jęk, a potem znowu zaczęła szlochać i pociągać nosem. Elizabeth mocno zacisnęła powieki, by powstrzymać łzy. Miała

poważniejsze zmartwienia na głowie niż jej przystojny, młody narzeczony.

Potem w nocy długo leżała, nie mogąc zasnąć. Prześladowały ją wspomnienia ostatnich dwóch dni, nie dawał spokoju lęk, że nie zdoła odwieść brata od pojedynku z Ianem Thorntonem. Wpatrzona w sufit bała się to o Roberta, to o Iana. Z wypowiedzi lorda Howarda wywnioskowała, że ten drugi jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem, a mimo to nie bronił się, kiedy hrabia Everly nazwał go oszustem - co wielu mogłoby uznać za tchórzostwo. Może więc fama o umiejętnościach Thorntona była przesadzona? Robert nieźle władał pistoletami i Elizabeth zalewał zimny pot na myśl o samotnym, dumnym Ianie, który padnie od kuli jej brata. Nie. Powtarzała sobie, że daje się ponieść hysterii. Było niemal całkowicie wykluczone, by ci dwaj rzeczywiście zamierzali strzelać do siebie.

Prawo zakazywało pojedynków, zatem obecnie kodeks honorowy nakazywał, by Ian stanął się w umówionym miejscu - co obiecał w oranżerii - i by Robert strzelił w powietrze. W ten sposób Ian symbolicznie przyzna się do winy, składając życie w dłonie brata Elizabeth. Robertowi zaś wystarczy ów gest, wystrzeli w powietrze i obejdzie się bez rozlewu krwi. Właśnie tak zazwyczaj dżentelmeni ostatnio załatwiali sprawy honorowe.

Zazwyczaj. Zrozpaczona Elizabeth uświadomiła sobie, że na ogół Robert głośno okazywał swoją złość, dziś zaś był taki wściekły, że zapadł w zimne milczenie, co przeraziło ją znacznie bardziej niż normalne wybuchy gniewu brata.

Przed świtem zapadła w niespokojny sen, ale po kilku minutach wyrwał ją z niego odgłos kroków. Służba, pomyślała, zerkając w okno, za którym pierwsze blade promienie rozjaśniały atramentową ciemność nocy. Elizabeth już miała zasnąć, kiedy usłyszała skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi wejściowych.

Świt. Pojedynki. Przecież Robert obiecał, że porozmawia z nią, zanim cokolwiek zrobi, pomyślała przerażona i po raz pierwszy w życiu nie miała problemów ze wstawaniem. Strach poderwał ją z łóżka. W pośpiechu zarzuciła na siebie peniuar, zbiegła po schodach i otworzyła drzwi wejściowe, w chwili gdy powóz Roberta zniknął za rogiem.

- O, Boże! - jęknęła do pustego holu.

Nie zniosłaby samotnego oczekiwania i niepokoju, więc poszła na górę, obudzić jedyną osobę, na której rozsądek mogła zawsze liczyć, nawet jeśli świat stanął na głowie. Kiedy przyjechali wieczorem, Lucinda już na nich czekała i poznała większość wypadków z ostatnich dwóch dni, naturalnie z wyjątkiem scenki w chacie drwala.

- Lucindo - szepnęła Elizabeth, kiedy tamta otworzyła oczy, natychmiast czujne i przytomne. - Robert właśnie wyjechał z domu.

Na pewno zamierza się pojedynkować z panem Thorntonem.

Panna Lucinda Throckmorton - Jones, która mogła się poszczycić wydaniem swoich podopiecznych - dodajmy, że dziewczęta cieszyły się nieskazitelną opinią - za trzech książąt, jedenastu hrabiów oraz sześciu wicehrabiów, usiadła, oparła się o poduszki i spod zmrużonych powiek przyglądała się młodej paninie, która właśnie zepsuła jej doskonałą reputację.

- Jako że Robert nie należy do rannych ptaszków, jest to jedyne narzucające się wytłumaczenie.

- Co mam robić?

- Po pierwsze, przestań wyłamywać palce, bo to wyjątkowo nieeleganckie, a po drugie, idź do kuchni i zaparz herbatę.

- Nie chcę herbaty.

- Za to mnie ona dobrze zrobi, jeśli mamy oczekiwać na dole powrotu twojego brata, co, jak przypuszczam, zamierzasz uczynić.

- Och, Lucy... - Elizabeth z wdzięcznością i miłością popatrzyła na swą zagniewaną przyzwoitkę - ...co ja bym bez ciebie poczęła?

- Wpakowałabyś się w okropne tarapaty, co też właśnie uczyniłaś.

Spojrzawszy jednak na udręczoną twarz dziewczyny, złagodniała nieco i wstała z łóżka.

- Zwyczaj nakazuje, by pan Thornton stawił się na umówionym miejscu i dał twemu bratu satysfakcję zobaczenia go tam. Następnie Robert wystrzelił w powietrze. Co więcej może się wydarzyć? Nic.

Po raz pierwszy w trakcie ich znajomości przewidywania Lucindy okazały się wszakże błędne.

Zegar bił właśnie ósmą, kiedy do domu wkroczył Robert w towarzystwie lorda Howarda. Wszedł do salonu, zobaczył Elizabeth skuloną na kanapie i Lucinę, zajęętą robótką. Zatrzymał się i cofnął.

- Co tu robisz tak wcześnie? - spytał chrapliwym głosem.

- Czekam na ciebie. - Elizabeth zerwała się z miejsca. Przez chwilę nie umiała sobie wytłumaczyć obecności lorda Howarda, potem zrozumiała: Robert nie mógł się zjawić na pojedynku bez sekundanta. - Pojedynekowałeś się z nim, Robercie, tak?

- Tak.

- Nic mu się nie stało? - wyszeptała zduszonym głosem. Brat podszedł do stolika i nalał sobie whisky.

- Robercie! - krzyknęła, chwytając go za ramię. - Co się stało?

- Postrzeliłem go w ramię - warknął wściekły. - Mierzyłem w jego podłe serce, ale spudłowałem. Zaspokoiliś swoją ciekawość?

Odepchnął rękę siostry, jednym haustem wychylił całą szklanę i znowu sobie dolał. Dziewczyna czuła, że to nie wszystko. Badawczo popatrzyła mu w oczy.

- I na tym koniec?

- Nie, na tym nie koniec! - wybuchnął. - Kiedy go zraniłem, ten łajdak podniósł pistolet i mierzył do mnie, bawiąc się moją niepewnością. A potem odstrzelił klamerkę przy moim przeklętym bucie!

- C... co takiego? - Nie rozumiała furii brata. - Chyba nie jesteś zły, że spudłował?

- Do diaska, czy ty niczego nie rozumiesz? Wcale nie spudłował! Zadrwił sobie ze mnie! Krew tryskała mu z ramienia, mierzył mi w serce, a potem w ostatnim ułamku sekundy zmienił cel i zamiast do mnie, strzelił w klamerkę przy moim bucie. W ten sposób pokazał, że mógłby mnie zabić, gdyby tylko chciał i wszyscy to widzieli. Obraził mnie, wystawił na pośmiewisko. Bodaj go piekło pochłonęło!

- Za to ty nie dość, że nie wystrzeliłeś w powietrze - przerwał lord Howard, równie rozwścieczony jak Robert - to jeszcze wypaliłeś przed sygnałem. Okryłeś hańbą siebie i mnie. Co więcej, jeśli rozejdzie się wiadomość o pojedynku, wszyscy trafimy przez ciebie za kratki. Thornton postąpił, jak należało: stawiał się na miejscu i nie wyciągnął broni. Przyznał się do winy. Czego jeszcze chciałeś?

Hrabia odwrócił się na pięcie, jakby dłużej nie mógł patrzeć na Roberta. Bezradna Elizabeth podreptała za nim do holu, rozpaczliwie usiłując wymyślić coś na obronę brata.

- Na pewno jest pan zmarznięty i zmęczony - próbowała grać na zwłokę. - Może przynajmniej zostanie pan na herbacie?

Howard jednak pokręcił głową i szedł dalej.

- Wróciłem tylko, żeby zabrać swój powóz.

- Odprowadzę pana - nalegała Elizabeth.

Towarzyszyła mu do drzwi. Przez chwilę obawiała się, że Howard odejdzie, nawet się nie pożegnawszy. Ale on stanął w progu, zawahał się i odwrócił do niej.

- Do widzenia, hrabianko Elizabeth - powiedział dziwnie smutnym, pełnym żalu głosem i odszedł.

Elizabeth prawie nie zauważyła jego tonu ani odejścia. Po raz pierwszy tego ranka uświadomiła sobie, że może właśnie w tej chwili felczer wyciąga kulę z ramienia Iana. Oparła się o futrynę i przełykała ślinę, walcząc, żeby nie zemdleć na myśl, ile bólu mu przysporzyła. Wczoraj za bardzo przerażała ją sama perspektywa pojedynku, by się

zastanawiać, co poczuł Ian, gdy Robert powiedział o jej zaręczynach. Dopiero teraz w pełni ogarnęła sytuację i serce jej się ścisnęło z żalu. Ian pragnął się z nią ożenić, całował ją, tulił z taką czułością i gorąco zapewniał, że się w niej zakochał. I co go spotkało w zamian? Robert z pogardą oświadczył mu, że za wysokie progi na jego nogi, a zresztą Elizabeth już jest zaręczona. Dziś rano zaś postrzelił go, bo odważył się zbyt wysoko mierzyć.

Oparła głowę o drzwi, tłumiąc jęk rozpacz. Ian nie mógł się pochwalić przed wielkim światem tytułem ani szlacheckim pochodzeniem, lecz Elizabeth instynktownie wyczuwała w nim dumę. Emanowała z jego twardych rysów, widać ją było w postawie i każdym ruchu tego mężczyzny - a ona i Robert ją podeptali. Wczoraj w oranżerii oboje zrobili zeń głupca, a do tego zmusili go do pojedynku.

Gdyby Elizabeth wiedziała, gdzie szukać Iana, chyba stawiałaby czoło jego złości, udała się do niego i opowiedziała o Havenhurst i swoich obowiązkach wobec rodzinnego gniazda i próbowała go przekonać, że właśnie to - a nie jego urodzenie - nie pozwoliło jej przyjąć oświadczeń.

Wolno przeszła do holu i wróciła do salonu, gdzie siedział Robert z twarzą ukrytą w dłoniach.

- Nasze porachunki jeszcze się nie zakończyły - powiedział przez zaciśnięte zęby, podnosząc głowę. - Jeszcze go za to zabiję.

- Nic takiego nie zrobisz! - Głos Elizabeth drżał z przerażenia. - Bobby, posłuchaj, nic nie pojmujesz, nie znasz Iana Thorntona. Nie uczynił nic złego. Zrozum - ciągnęła z trudem - sądził, że... że się we mnie zakochał. Chciał się ze mną ożenić...

W cichym pokoju zabrzmiał pogardliwy śmiech brata.

- Tak ci powiedział? - prychnął.

Aż posiniał z furii na myśl o braku lojalności Elizabeth wobec rodziny.

- W takim razie otworzę ci oczy, kretynko! Pozwól, że zacytuję jego własne słowa: miał ochotę tylko się z tobą zabawić.

Dziewczynie krew odpłynęła z twarzy. Wolno pokręciła głowę.

- Nie, mylisz się. Kiedy na nas wpadłeś w oranżerii, powiedział, że ma czyste zamiary. Pamiętasz?

- Za to błyskawicznie zmienił zdanie, kiedy usłyszał, że jesteś bez grosza - odparował brat, spoglądając na nią z mieszaniną litości i gniewu.

Elizabeth bez sił opadła obok brata na kanapę. Przygniótł ją ciężar odpowiedzialności i cena, jaką przyjdzie im zapłacić za jej głupotę i łatwowierność.

- Przepraszam - szeptowała bezradnie. - Wybacz. Ryzykowałeś dziś dla mnie życie, a ja

nawet ci nie podziękowałam, że tyle dla mnie zrobiłeś. - Nic więcej nie przychodziło jej do głowy, więc objęła przygnębionego Roberta. - Wszystko się ułoży, jak zawsze - obiecywała bez przekonania.

- Nie tym razem. - W oczach brata pojawiła się rozpacz. - Wszystko stracone, Elizabeth.

- Nie wierzę, na pewno nie jest aż tak źle. Prawdopodobnie sprawa wkrótce przycichnie - ciągnęła, nie wierząc we własne słowa. - A hrabia Mondevale chyba mnie kocha. Nie wątpię, że pozwoli sobie wszystko wytłumaczyć.

- Na razie zaś - odezwała się Lucinda, jak zwykle rozsądna i praktyczna - Elizabeth musi się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Jeśli zaszyje się w domu, dopiero zaczną się plotki i domysły. Pan zaś, Robercie, musi jej towarzyszyć.

- To wszystko na nic, tłumaczę wam! Jesteśmy zrujnowani - upierał się Robert.

Miał rację. Tego wieczoru Elizabeth mężnie pojawiła się na balu, na którym towarzyszył jej narzeczony, najwyraźniej pozostający w błogiej nieświadomości co do wydarzeń z ostatnich kilku dni, choć w towarzystwie krążyły już wyolbrzymione plotki o skandalicznym zachowaniu dziewczyny. Opowiadano sobie o incydencie w oranżerii, dodając komentarz, że to Elizabeth wysłała liścik, w którym wyznaczała Thorntonowi spotkanie. Ale znacznie gorsza była pogłoska, że spędziła z nim całe popołudnie w ustronnej leśnej chacie.

- To ów łajdak puszcza w obieg takie kalumnie! - wściekał się następnego dnia Robert, kiedy dotarły do niego te rewelacje. - Od wszystkiego umywa ręce, twierdząc, jakobyś to ty wezwała go do oranżerii i uganiała się za nim. Zresztą nie ty pierwsza straciłaś dla niego głowę. Ale jesteś najmłodszą i najbardziej naiwną z jego ofiar. Tylko w tym roku romansował z Charise Dumont, jego imię łączono też z nazwiskami innych kobiet, tyle że one wszystkie okazały się bardziej przewidujące i nie dopuściły do takiego obrzydliwego skandalu.

Elizabeth była zbyt upokorzona, by się kłócić albo protestować. Kiedy wyrwała się spod zmysłowego uroku Iana Thorntona, uświadomiła sobie, że ten mężczyzna postępował dokładnie tak, jak się należało spodziewać po wytrawnym, pozbawionym skrupułów uwodzicielu. Wystarczyła mu parogodzinna znajomość, by oświadczyć, że jest o krok do zakochania się i że pragnie ją poślubić. Właśnie takim cynicznym kłamstwem donżuani omamiali swoje ofiary. Elizabeth czytała wystarczająco dużo romansów, by wiedzieć, że łowcy majątku, libertyni i donżuani zapewnijają dziewczęta o dozgonnej miłości, podczas gdy chodzi im wyłącznie o kolejny podbój. Tymczasem ona, skończona idiotka, uważała, że Thornton padł ofiarą uprzedzeń arystokratycznego świata.

Teraz, poniewczasie, zrozumiała, że obowiązujące w jej świecie zasady, które nie

dopuszczały do towarzystwa ludzi jego pokroju, miały na celu ochronę naiwnych dziewcząt przed takimi łotrami jak on.

Nie miała wiele czasu na rozpamiętywanie swego smutku. Przeczytawszy w prasie informację o zaręczynach, przyjaciele lorda Mondevale'a nie omieszkali poinformować szczęśliwego narzeczonego, jakie plotki krążą o jego wybrance.

Następnego ranka zjawił się na Ripple Street i wycofał oświadczyzny. Ponieważ Roberta nie było w domu, Elizabeth sama przyjęła wicehrabiego w salonie. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego kamienną twarz, by dziewczyna poczuła, że ziemia usuwa jej się spod nóg.

- Mam nadzieję, że nie dojdzie do żadnej nieprzyjemnej sceny - oświadczył prosto z mostu.

Elizabeth pokręciła głową. Nie mogła wykrztusić słowa, powstrzymując z trudem łzy wstydu i rozpacz. Mężczyzna odwrócił się i ruszył do drzwi, ale kiedy mijał dziewczynę, chwycił ją za ramiona.

- Czemu, Elizabeth? - spytał, a na jego przystojnej twarzy pojawił się ból, gniew i żal.
- Powiedz, dlaczego. Zrób dla mnie choć tyle.

- Dlaczego? - powtórzyła, marząc, by rzucić mu się w ramiona i błagać o przebaczenie.

- Rozumiem, że mogłaś przypadkowo trafić na niego w jakiejś leśnej chacie, kiedy szukałaś schronienia przed ulewą, zresztą tak właśnie, zdaniem mojego kuzyna, Howarda, to wyglądało. Ale czemu wysłałaś mu liścik, w którym wyznaczyłaś schadzki w oranżerii?

- Nie zrobiłam tego!

Tylko resztki dumy powstrzymały ją przed padnięciem ze szlochem u jego stóp.

- Kłamiesz - odparł chłodno jej niedawny wielbiciel, cofając ręce. - Valerie znalazła ten liścik. Thornton rzucił go na ziemię, gdy poszedł do siebie.

- Valerie się myli! - protestowała, ale wicehrabia już wyszedł.

Elizabeth sądziła, że nie może jej spotkać większe upokorzenie, lecz wkrótce się przekonała, jak bardzo się myli. Zerwanie zaręczyn przez narzeczonego uznano za pewny dowód jej winy i od tamtej pory do domu przy Ripple Street przestali napływać goście i zaproszenia. Na wyraźne polecenie Lucindy dziewczyna zebrała całą swą odwagę i poszła na ostatni bal, na który otrzymała zaproszenie jeszcze przed wybuchem skandalu - u hrabiostwa Hintonów. Wytrzymała tam zaledwie kwadrans, bo nikt, z wyjątkiem gospodarzy, którzy nie mieli innego wyjścia, nie odezwał się do niej ani nawet nie skinął jej głową.

Wielki świat uznał ją za bezwstydnicę, zbrukaną i wykorzystaną ladacnicę, która nie

zasługiwała, by przebywać w tych samych kręgach, co niewinne panny i łatwowierni, młodzi dziedzice rodzinnych fortun. Złamała zasady moralności obowiązujące w wytwornym towarzystwie, do tego nie z człowiekiem z własnej sfery, tylko z łajdakiem o okropnej reputacji i bez pochodzenia. Elizabeth zaś nie dość, że złamała reguły, to jeszcze cisnęła je ludziom w twarz.

Tydzień po pojedynku Robert zniknął nagle bez śladu. Elizabeth przede wszystkim bała się o jego życie, nie chcąc uwierzyć, że mógłby ją opuścić, bo wywołała skandal, lecz nie przychodziło jej do głowy inne, mniej bolesne wytłumaczenie. Tymczasem już wkrótce poznała prawdziwy powód. Podczas gdy siedziała samotnie w salonie, modląc się o bezpieczny powrót brata, po stolicy zaczęły krążyć plotki o jego zaginięciu. Do drzwi hrabianki zastukali wierzyciele z żądaniem uregulowania olbrzymich długów, zaciągniętych nie tylko na jej debiut, ale jeszcze wcześniejszych, wieloletnich zobowiązań karcianych, nawet nie samego Roberta, lecz jeszcze jej ojca.

Trzy tygodnie po balu u Charise Dumont pewnego słonecznego popołudnia Elizabeth i Lucinda zamknęły drzwi wynajętego domu i wsiadły do powozu. Kiedy mijaly park, ci sami ludzie, którzy jeszcze niedawno zasypywali ją pochlebstwami i szukali jej towarzystwa, zimno odwracali od niej głowy. Przez mgłę gorących łez upokorzenia dziewczyna zobaczyła przystojnego młodzieńca jadącego z ładną panną. Wicehrabia Mondeval zabrał Valerie na przejażdżkę. Dawna przyjaciółka posłała jej spojrzenie, które miało wyrażać litość, lecz przewrażliwionej Elizabeth wydawało się, że dostrzega w nim triumf. Niepokój o życie Roberta już dawno przerodził się w obawę, że brat uciekł przed więzieniem za długi.

Wróciła do Havenhurst i sprzedała wszystkie cenne przedmioty, żeby spłacić karciane długi Roberta, ojca i pożyczki zaciągnięte na jej debiut w stolicy. Potem spróbowała żyć dalej. Twardo i z odwagą poświęciła się ratowaniu posiadłości i starała się zapewnić byt osiemnastu służącym, którzy postanowili zostać w Havenhurst, choć mogła im obiecać jedynie dach nad głową, jedzenie i raz w roku nową liberię.

Po jakimś czasie na twarz Elizabeth powrócił uśmiech, a zagubienie i poczucie winy nieco ustąpiły. Nauczyła się nie wracać pamięcią do swoich pomyłek, bo rozpamiętywanie tamtych wydarzeń i straszliwych konsekwencji popełnionych błędów zbyt mocno bolało. Miała siedemnaście lat, była panią siebie i wróciła do domu, swojego prawdziwego gniazda. Znowu grała w szachy z Bentnerem i strzelała do celu z Aaronem. Całą miłość przelała na tę swoją niezwykłą rodzinę oraz Havenhurst - z wzajemnością. Żyła zadowolona, zajęta pracą, stanowczo nie dopuszczając do siebie myśli o Ianie Thorntonie oraz wypadkach, które doprowadziły ją do obecnego wygnania. Teraz, przez stryja, musiała nie tylko pomyśleć o

tym człowieku, ale również się z nim spotkać. Bez skromnego wsparcia finansowego Juliusa w żaden sposób nie zdołałaby samodzielnie utrzymać posiadłości jeszcze przez dwa lata. Dopóki nie zgromadzi pieniędzy na meliorację pól - co należało uczynić już dawno temu - ziemia nigdy nie da wystarczająco dużych plonów, by Elizabeth stała się niezależna.

Dziewczyna z ciężkim westchnieniem otworzyła oczy i smutno popatrzyła na pusty pokój. W końcu wolno wstała. Stawiała czoło znacznie gorszym wyzwaniom, powtarzała sobie w duchu. Jeśli pojawia się problem, musi też istnieć jakieś wyjście z sytuacji, trzeba tylko bacznie się rozejrzeć i wybrać najlepsze. Zresztą, przyjechała do niej Aleksa. Na pewno wspólnie wymyślą sposób, by przechytryć stryja Juliusa.

Potraktuję to jak trudne wyzwanie, postanowiła i poszła szukać swego gościa. Miała dziewiętnaście lat i nadal lubiła wyzwania, a życie w Havenhurst stało się odrobinę nudne. Parę krótkich wizyt - najwyżej dwie, trzy - na pewno ją rozerwie.

Kiedy wreszcie Elizabeth znalazła w ogrodzie Aleksę, prawie już zdążyła to sobie wmówić.

ROZDZIAŁ 8

Aleksandrze wystarczyło jedno spojrzenie na pozornie spokojną twarz i wymuszony uśmiech przyjaciółki, by się domyślić, że zaszło coś złego. Podobnie jak Bentnerowi, który zabawiał gościa opowieściami o fascynacji swej młodej pani ogrodem. Oboje popatrzyli na Elizabeth z niepokojem.

- Co się stało? - spytała Aleksa, z trudem się powstrzymując, żeby nie skoczyć na równe nogi.

- Właściwie nie wiem, jak ci to powiedzieć - odrzekła szczerze hrabianka, siadając obok przyjaciółki.

Lokaj, udając, że obrywa przekwitłe róże z krzewu, został w pobliżu i nasłuchiwał, by w razie czego służyć dziewczętom radą bądź pomocą. Im bardziej oszołomiona Elizabeth zastanawiała się nad decyzją stryja, tym dziwniejsza - niemal komiczna - jej się wydawała.

- Stryj - wyjaśniła - postanowił znaleźć mi męża.

- Doprawdy? - spytała Aleksa, bacznie się przyglądając rozbawionej teraz przyjaciółce.

- Owszem. Co więcej, uciekł się do wyjątkowo niezwykłego pomysłu, by osiągnąć swój cel.

- Mianowicie?

Elizabeth przełknęła ślinę, żeby nie wybuchnąć histerycznym śmiechem.

- Rozesłał posłańców do moich wszystkich piętnastu byłych adoratorów z zapytaniem, czy nadal chcą się ze mną ożenić...

- Wielki Boże! - jęknęła Aleksa.

- ...A gdyby byli zainteresowani, zaproponował, że przyśle mnie do nich na parę dni, oczywiście pod opieką przyzwoitki, Lucindy - wyjaśniała dalej Elizabeth zduszonym głosem - by owi kandydaci mogli się upewnić, czy do siebie pasujemy.

- Wielki Boże - powtórzyła księżna głośniej.

- Dwunastu odmówiło - ciągnęła jej przyjaciółka. Aleksa skrzywiła się ze współczuciem i zrozumieniem. - Ale trzech przyjęło propozycję i właśnie mam do nich pojechać. Ponieważ Lucinda wróci z Devon dopiero, kiedy udam się z wizytą do trzeciego... „adoratora”, który mieszka w Szkocji... - omal się nie zakrztusiła, określając Iana Thorntona tym mianem - ...w czasie dwóch pierwszych wizyt będę musiała podawać Bertę za swoją ciotkę.

- Berta! - wybuchnął oburzeniem Bentner. - Ciotką? Przecież ta niedojda boi się własnego cienia!

Elizabeth ponownie stłumiła śmiech i powiodła wzrokiem po obojgu przyjaciółach.

- Berta to moje najmniejsze zmartwienie. Ale proszę, Aleksa, nadal wzywaj imienia Pańskiego, bo tylko cud może sprawić, bym to przeżyła.

- Co to za wielbiciele? - spytała młoda księżna.

Z przerażeniem zobaczyła, że przyjaciółka znowu dziwnie się uśmiecha.

- Dwóch w ogóle nie pamiętam. Niezwykłe, prawda? - mówiła rozbawiona. - Dwaj dojrzały dżentelmeni poznali debiutantkę i natychmiast popędzili do jej brata, żeby się oświadczyć, ona zaś pamięta wyłącznie ich nazwiska i to jak przez mgłę.

- Nie - odezwała się ostrożnie Aleksa. - Nie ma w tym nic niezwykłego. Byłaś i nadal jesteś, piękną dziewczyną, a właśnie tak to się odbywa w towarzystwie. Siedemnastoletnia panna wkracza w wielki świat, panowie najpierw jej się przyglądają, często zresztą dość pobieżnie, a następnie decydują, czy ją chcą za żonę. Potem zaś oświadczenia się o nią. Ciągłe nie pojmuję, jakim cudem rodzice zaręczają córkę z mężczyzną, którego ona praktycznie nie zna, a potem oczekują, że po ślubie ową parę połączy głębokie uczucie, ale właśnie tak to się czyni w wielkim świecie i nazywa cywilizowanym sposobem kojarzenia małżeństw.

- Jeśli się zastanowić, to wcale nie jest cywilizowany sposób, tylko wręcz barbarzyński - oświadczyła Elizabeth, gotowa dyskutować o wszystkim, byle tylko zapomnieć o własnej hańbie.

- Słuchaj, a co to za wielbiciele? Może ich znam i pomogę ci ich sobie przypomnieć.

Elizabeth westchnęła.

- Pierwszy to sir Francis Belhaven...

- Żartujesz! - wybuchnęła Aleksa.

Bentner spojrział na nią zaniepokojony, a Elizabeth uniosła brwi, czekając na informację.

- To... to po prostu obrzydliwy, stary cap - podjęła gniewnie księżna. - Nie da się go opisać miłymi słowami. Jest krępy, łysieje, a jego rozpusta stała się niemal przysłowiowa. Wszyscy drwią z jego głupoty i błazeństw. Do tego to okropny skąpiec, prawdziwy dusigrosz.

- Przynajmniej coś nas łączy - usiłowała żartować jej przyjaciółka, ale nie odrywała wzroku od Bentnera, który pozabawiał krzew róży całkiem świeżych kwiatów. Wzruszona troską lokaja, powiedziała doń łagodnie: - Zwiędłe można odróżnić od zdrowych po kolorze.

- Kim jest drugi kandydat? - spytała coraz bardziej zaniepokojona Aleksa.

- Lord John Marchman, hrabia Canford - wyjaśniła, kiedy przyjaciółce nic nie

powiedziało samo nazwisko.

Ta wolno skinęła głową.

- Nie znam go osobiście, ale słyszałem o nim.

- Nie trzymaj mnie w niepewności. - Elizabeth stłumiła śmiech.

Cała za scena z minuty na minutę stawała się coraz bardziej nierealna. - Co o nim wiesz?

- W tym rzecz. Nie mogę sobie przypomnieć, ale chyba... Czekaj, już wiem! To... -
Niespokojnie zerknęła na przyjaciółkę. - To zawołany myśliwy, który rzadko przyjeżdża do Londynu. Podobno całe ściany ma obwieszane łbami zwierząt, które upolował i ryb, które złowił. W towarzystwie żartowano, że nie zdołał się ożenić, bo nie potrafił oderwać się od ulubionej rozrywki przynajmniej na tyle czasu, by znaleźć żonę. Zdaje się, że wcale do ciebie nie pasuje - zakończyła żałośnie, nie odrywając wzroku od swojego czerwonego pantofla.

- Nie obchodzi mnie, czy pasuje, bo nie zamierzam w ogóle wychodzić za mąż, chyba że naprawdę nie będę mogła tego uniknąć. Muszę wytrzymać jeszcze dwa lata, a wtedy otrzymam majątek po babce i stanę na nogi. Ale do tego czasu nie poradzę sobie bez pomocy finansowej stryja, a on grozi, że z dnia na dzień może mnie pozbawić tych pieniędzy. Jeśli przynajmniej nie stworzę pozorów, że przystałam na jego wariacki plan, zostanę bez grosza.

- Elizabeth - zaczęła ostrożnie Aleksa - wiesz, że chętnie ci pomogę. Mój mąż...

- Błagam, nie - przerwała jej przyjaciółka. - Nie przyjmę od ciebie żadnych pieniędzy. Po pierwsze, nie zdołałabym zwrócić ci długu. Pieniądze po babce wystarczą na pokrycie kosztów utrzymania Havenhurst, to wszystko. Teraz zaś muszę znaleźć wyjście z tarapatów, w które wpakował mnie stryj.

- Nie pojmuję, jakim cudem mógł uznać tych dwóch mężczyzn za odpowiednich kandydatów, skoro żaden z nich absolutnie się nie nadaje na męża dla ciebie! Ani trochę!

- My o tym wiemy - odparła sucho Elizabeth, wrywając źdźbło trawy, które wyrosło między kamieniami. - Najwyraźniej jednak moi „wielbiciele” nie zdają sobie z tego sprawy i właśnie na tym polega problem.

W tej samej chwili w jej głowie pojawiła się pewna myśl. Dziewczyna zastygła z trawą w dłoni. Siedząca obok Aleksa zaczerpnęła tchu, jakby chciała coś powiedzieć i w ten samą chwilę znieruchomiała także. Obu pomysłowym przyjaciółkom w jednej chwili zaświtało to samo rozwiązanie.

- Alekso - szepnęła Elizabeth - wystarczy, że...

- Elizabeth - szepnęła Aleksa - nie jest tak tragicznie. Wystarczy, że...

Elizabeth wolno się wyprostowała i odwróciła się do księżnej.

Przyjaciółki w milczeniu siedziały wśród róż i przypatrywały się sobie. Nagle czas się cofnął i obie znowu były tymi samymi dziewczynkami, które nocą zwierzały się sobie z marzeń i kłopotów, po czym wymyślały sposoby osiągnięcia celu. Wtedy zadanie nieodmiennie zaczynały się od: „Gdyby tak...”.

- Gdyby tak - odezwała się Elizabeth, a na jej twarzy pojawił się uśmiech. Identyczny zagościł na twarzy Aleksy. - Gdyby tak przekonać ich, że faktycznie do siebie nie pasujemy...

- A to nie będzie trudne - zawtórowała z entuzjazmem przyjaciółka - bo to szczerą prawdą!

Elizabeth poczuła radosną ulgę, że wreszcie znalazła wyjście i może zapanować nad biegiem wydarzeń, nie dopuszczając, by jej życie legło w gruzach. Z rozjaśnioną twarzą poderwała się z ławki.

- Biedny sir Francis - zachichotała, wodząc promiennym wzrokiem od Bentnera do Aleksy. - Obawiam się, że czeka go bolesne rozczarowanie, kiedy się przekona, jaką... jaką...
- zawahała się, szukając jak najmniej pożądaną cechy potencjalnej kandydatki na żonę -
...jaką straszną jestem skromnisią: dewotką.

- A do tego - dorzuciła Aleksa - okropnie sztasz groszem.

- Właśnie!

Elizabeth z radości omal nie klasnęła w dłonie. W jej złocistych włosach i zielonych oczach tańczyło słońce. Rozpromieniona popatrzyła na swych przyjaciół.

- Już moja w tym głowa, żeby nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Jeśli zaś chodzi o hrabiego Canforda...

- Wielka szkoda - wpadła jej w słowo Aleksa z udawaną boleścią - że nie zdołasz mu pokazać, jak świetnie umiesz się posługiwać wędką.

- Ryby? - wykrzyknęła piskliwie Elizabeth. - Mdleję na sam widok tych okropnych stworzeń!

- Z wyjątkiem tej wspaniałej sztuki, co ją wczoraj złowiłaś - zauważył kąśliwie Bentner.

- Masz rację.

Posłała serdeczny uśmiech nauczycielowi, który jej pokazał, jak się trzyma wędkę.

- Poszukasz Berty i przekażesz jej, że ze mną wyjeżdża? Kiedy wrócę do domu, powinna już przestać histeryzować i może wtedy zdołam spokojnie z nią porozmawiać.

Bentner odszedł, szeleszcząc przetartymi połami czarnego surduta.

- Teraz musimy tylko zniechęcić trzeciego kandydata - odezwała się radośnie Aleksa. - Kto to jest i co o nim wiemy? Znam go?

Tej chwili hrabianka Cameron najbardziej się obawiała.

- Usłyszałaś o nim dopiero parę tygodni temu, po powrocie do kraju.

- Ale co? - zapytała spokojnie przyjaciółka.

Elizabeth głęboko zaczerpnęła tchu i wytarła dłonie w niebieską spódnicę.

- Chyba - zaczęła z namysłem - powinnam ci dokładnie opowiedzieć, co się wydarzyło półtora roku temu... między mną a Ianem Thorntonem.

- Nie musisz mi mówić o niczym, co sprawiłoby ci ból. A teraz powinniśmy się skupić na trzecim pretendencie do twojej ręki.

- Trzecim konkurentem - przerwała jej przyjaciółka - jest właśnie Ian Thornton.

- Wielki Boże! - zawołała przerażona Aleksa. - Czemu? Przecież...

- Nie wiem, dlaczego - odrzekła zmieszana i rozgniewana Elizabeth. - Zgodził się na propozycję stryja. Albo doszło do jakiegoś strasznego nieporozumienia, albo uznał to za świetny żart. Ani jedno, ani drugie nie ma sensu...

- Żart! Ten człowiek cię skompromitował! Musi być potworem, jeśli go to śmieszy!

- Kiedy ostatni raz z nim rozmawiałam, nie było mu do śmiechu, wierz mi.

Elizabeth usiadła i opowiedziała całą historię przyjaciółce, za j wszelką cenę usiłując panować nad emocjami, żeby móc myśleć rozsądnie, kiedy będą z Aleksą układać plan.

ROZDZIAŁ 9

Berto, jesteście na miejscu - odezwała się hrabianka Cameron, kiedy ich powóz stanął przed obszernym pałacem sir Francisa Belhavena. Pokojówka od godziny siedziała z zamkniętymi oczami, lecz Elizabeth widziała, jak jej pierś podnosi się i opada w nierównym, płytkim oddechu i nie miała wątpliwości, że służąca nie śpi. Berta była przerażona, że ma odrywać rolę ciotki Elizabeth i żadne obietnice ani tłumaczenia nie zmniejszyły jej strachu. Nie chciała tu przyjechać, lecz stało się i teraz modliła się o wyzwolenie.

- Ciociu Berto! - odezwała się znacząco jej pani, kiedy otworzyły się drzwi wielkiego, zaniedbanego pałacu. Lokaj zrobił miejsce pokojowcowi, który podbiegł w ich stronę. - Ciociu Berto! - powtórzyła z desperacją w głosie. - Błagam, nie rób mi tego, Berto. Liczę, że będziesz się zachowywać jak moja ciotka, a nie jak przerażona szara mysz. Zaraz tu podejda.

Służąca skinęła głową, przełknęła ślinę, wyprostowała się i wygładziła fałdy czarnej sukni.

- Jak wyglądam? - spytała niespokojnie Elizabeth.

- Okropnie.

Berta zmierzyła wzrokiem surową, zapiętą po szyję, czarną suknię, wybraną przez hrabiankę na spotkanie z potencjalnym narzeczonym, którego Aleksa opisała jako odrażającego starego capa. Na dodatek Elizabeth ściągnęła włosy w skromny kok a la Lucinda i ozdobiła go czarnym welonikiem. Na szyi miała jedyną „biżuterię”, którą zamierzała nosić przez cały pobyt u sir Francisa - okropny, duży żelazny krzyż, zabrany z rodzinnej kaplicy.

- Po prostu strasznie, jaśnie panienko - dodała już nieco mocniejszym głosem Berta.

Od zniknięcia Roberta pokojówka uznała Elizabeth za swoją jedyną panią i zaczęła ją tak tytułować.

- Doskonale - odparła Elizabeth, uśmiechając się do niej zachęcająco. - Ty też wyglądasz strasznie.

Służący otworzył drzwi i opuścił stopnie. Pierwsza wysiadła Elizabeth, za nią „ciotka”. Odwróciła się i popatrzyła na Aarona, który siedział na koźle. Stryj pozwolił jej wziąć w podróż sześcioro służących z Havenhurst i Elizabeth starannie ich wybrała.

- Pamiętaj - po raz kolejny przypomniała stangretowi - śmiało plotkuj o mnie z tutejszą służbą. Wiesz, co masz mówić.

- Tak jest - odrzekł z szatańskim uśmiechem. - Będę opowiadał, jaka z ciebie straszna

pani. Dewotka, Skromnisia, a przy tym taka jędza, że przy niej sam diabeł wiódłby pobożne życie.

Elizabeth skinęła głową i niechętnie ruszyła w stronę domu. Los dał jej takie karty i musiała rozegrać tę partię najlepiej, jak potrafiła. Z dumnie uniesioną głową, lecz na trzęsących się nogach dogoniła Bertę. W drzwiach stał lokaj, bezczelnie mierząc wzrokiem przybyłe. Nie mieściło się to w głowie hrabianki, ale służący najwyraźniej usiłował dojrzeć jej biust pod czarną, bezkształtną suknią. Zrobił im przejście.

- Jaśnie pan przyjmuje gości, ale za chwilę zejdzie do pań - wyjaśnił. - Curbes zaprowadzi panie do pokoiów.

Przeniósł wzrok na Bertę i uśmiechnął się z uznaniem na widok jej krągłych pośladków, a następnie przywołał kamerdynera.

Błada jak kreda „ciotka” szła z zaciśniętymi ustami obok Elizabeth, rozglądając się z ciekawością po mrocznym holu i patrząc na czerwony dywan wyściełający schody. Na brzegach pozostał miękki i gruby - co świadczyło, że musiał niegdyś wiele kosztować - lecz wytarty środek sugerował, że chodnik należało wymienić. Na ścianach wisiały złoczone lichtarze, ale nie płonęły w nich świece i klatka schodowa wraz z podestem tonęły w mroku. To samo dotyczyło sypialni, co Elizabeth stwierdziła natychmiast, gdy kamerdyner wpuścił je po pokoju.

- Sypialnia lady Berty jest tam - odezwał się służący.

Dziewczyna usiłowała przeniknąć wzrokiem ciemności. Kamerdyner podszedł - zdaje się do ściany. Zaskrzypiały zawiasy i Elizabeth się domyśliła, że otworzył drzwi. Widziała jedynie cienie.

- Ciemno jak w grobie - odezwała się. - Proszę zapalić świece. Oczywiście, pod warunkiem że w ogóle są tu jakieś.

- Naturalnie, milady, tutaj, przy łóżku.

Przesunął się przed nią jak cień. Elizabeth skupiła się na dużym, dziwnym meblu. Sądząc po rozmiarach, zapewne było to łóżko.

- Proszę zapalić światło - ponagliła służącego. - Nic nie widzę.

- Jaśnie pan nie życzy sobie, żeby w sypialniach palono więcej niż jedną świecę. Powiada, że szkoda wosku.

Elizabeth mrugała, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać.

- Ach, rozumiem - oświadczyła w końcu obojętnym tonem.

Służący zapalił świeczkę w głębi pokoju i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

- Jaśnie panienko hrabianko? - szepnęła Berta, usiłując przeniknąć mrok. - Gdzie

panienka jest?

- Tutaj - odrzekła cicho Elizabeth.

Ruszyła ostrożnie, z wyciągniętymi rękami, żeby na coś nie wpaść, w stronę zewnętrznej ściany pomieszczenia, gdzie musiały być okna, zasłonięte szczelnie kotarami.

- Gdzie? - powtórzyła przerażonym szeptem Berta, wyraźnie szczękając zębami.

- Tutaj. Po twojej lewej stronie.

Pokojówka popatrzyła w kierunku, z którego dobiegał głos i omal głośno nie krzyknęła na widok ciemnej zjawy, poruszającej się z wyciągniętymi rękami.

- Niech panienka podniesie dłoń - zażądała - żebym się upewniła, że to naprawdę panienka.

Znając trwożliwość Berty, Elizabeth usłuchała natychmiast. Podniosła rękę, co uspokoiło pokojówkę, ale za to skończyło się zderzeniem z wysoką kolumną zwieńczoną jakąś rzeźbą, która zachwiała się niebezpiecznie.

- Na Boga! - zawołała Elizabeth, chwytając w objęcia kolumnę i marmurowe popiersie. - Berto, nie pora teraz na strach! Musisz mi pomóc. Wpadłam na coś. To chyba kolumna z jakąś figurą i nie wypuszczę ich z rąk, dopóki się nie upewnię, gdzie je odstawić. Na wprost mnie są kotary. Idź za moim głosem i rozsuń je, a wtedy natychmiast zrobi się tu jasno.

- Już idę, jaśnie panienko - zapewniła ją mężnie Berta.

Elizabeth westchnęła z ulgą.

- Znalazłam! - zawołała triumfalnie służąca po dłuższej chwili. - Są bardzo grube, aksamitne, a za nimi jeszcze okiennice.

Otworzyła pierwszą okiennicę, a potem ze zdwojonym zapałem szarpnęła drugą i odwróciła się, by popatrzeć na pokój.

- Wreszcie światło! - westchnęła Elizabeth.

Do pokoju wpadły promienie popołudniowego słońca, na chwilę ją oślepiając.

- Od razu lepiej - uznała dziewczyna, mrugając kilka razy.

Uspokoiwszy się, że kolumna stoi bez jej pomocy, już miała postawić na niej rzeźbę, kiedy zatrzymał ją okrzyk Berty.

- Święci pańscy!

Tuląc do piersi marmurowe popiersie, Elizabeth szybko się odwróciła. Jej oczom ukazał się oszałamiający widok: cały pokój urządzono w kolorach złotym i czerwonym. Sześć olbrzymich złotych kupidynów wisiało nad gigantycznym łóżem. Każdy ścisnął w jednej pulchnej łapce krwistoczerwone aksamitne draperie, a w drugiej strzały i łuk. Wezglowie

zdobiły kolejne amorki. Elizabeth szeroko otworzyła oczy, najpierw ze zdumienia, a potem z rozbawienia.

- Berto - szepnęła, tłumiąc śmiech - spójrz na to!

Jak zahipnotyzowana obracała się wokół własnej osi, chłonąc niewyobrażalną, złocistą ohydę. Nad kominkiem wisiał oprawiony w złote ramy obraz kobiety, osłoniętej jedynie skrawkiem czerwonego, półprzezroczystego materiału, okrywającego biodra. Elizabeth oderwała wzrok od tej nagości i stanęła twarzą w twarz z armią kupidynów. Zdobiły złoconą półkę nad kominkiem i szafki nocne, cała grupa otaczała również wysoki kandelabr na dwanaście świec, z których służący zapalił tylko jedną. Kolejne skrzydlate aniołki podtrzymywały olbrzymie lustro.

- To... - wykrztusiła Berta, a oczy miała wielkości spodeczków - to... brak mi słów.

Elizabeth już otrząsnęła się z szoku i czuła tylko rozbawieni.

- Nie wysłowione? - podsunęła, z trudem powstrzymując się od chichotu. - Nie... niewiarygodne?

Ramiona zaczęły jej się trząść ze śmiechu.

Berta wydała dziwny, zduszony dźwięk. Tego było już dla nich za wiele. Wreszcie odreagowały długie dni napięcia i śmiały się jak opętane. Co chwila któraś wybuchała kolejną kaskadą śmiechu, aż łzy im spływały po policzkach. Berta chciała wytrzeć je fartuchem, ale przypomniała sobie, że teraz jest krewną hrabianki i fartucha nie nosi, więc wyciągnęła z rękawa chusteczkę. Elizabeth, nadal ściskając w objęciach marmurowe popiersie, oparła brodę na śliskiej głowie figurki i śmiała się głośno. Tak się zapomniały, że zauważyły gospodarza, dopiero kiedy usłyszały jego radosne, tubalne powitanie:

- Hrabianka Elizabeth i lady Berta!

Bercie wyrwał się zdławiony okrzyk przerażenia, błyskawicznie przestała ocierać chusteczką oczy i zasłoniła nią usta.

Elizabeth spojrzała na odzianego w atłasy mężczyznę, uderzająco podobnego do kupidynów, które wyraźnie darzył wielką miłością i nagle, niczym kubeł zimnej wody, spadła na nią świadomość tego, co ją czeka. Natychmiast odechciało jej się śmiać. Wbiła wzrok w ziemię i gwałtownie usiłowała sobie przypomnieć plan oraz przywołać nadzieję na jego powodzenie. Musi jej się udać, bo jeśli nie, len podstarzały lubieżnik, mający słabość do złoconych amorków, zostanie jej mężem!

- Drogie, miłe panie - gruchał sir Francis, śpiesząc ku nim. - Cóż za długo wyczekiwana, radosna chwila!

Dobre wychowanie nakazywało, by najpierw przywitał się ze starszą damą i tak też

uczynił. Ujawszy pulchną dłoń Berty i przycisnął ją do ust.

- Pozwoli pani, że się przedstawię: sir Francis Belhaven.

Lady Berta dygnęła, nie odrywając od niego przerażonego wzroku i nadal zasłaniając usta chusteczką. Ku zdumieniu gospodarza nic nie odpowiedziała: ani że jest zachwycona tą znajomością, ani nie spytała o jego zdrowie, tylko ponownie dygnęła. I jeszcze raz.

- Proszę, nie trzeba. - Wymuszona jowialność miała ukryć jego zmieszanie. - Jestem zwykłym szlachcicem. Gdzież mi do księcia czy nawet hrabiego.

Lady Berta jeszcze raz dygnęła, a Elizabeth mocno szturchnęła ją łokciem.

- Bardzo mi miło - wyrzuciła z siebie pulchna dama.

- Ciocia jest odrobinę... hm... nieśmiała w kontaktach z nieznanymi - usprawiedliwiała ją słabym głosem Elizabeth.

Na dźwięk melodyjnego głosu dziewczyny serce sir Francisza zaśpiewało. Odwrócił się do przyszłej małżonki i zauważył, że opiekuńczym, wręcz pieszczotliwym gestem tuli do łona jego podobiznę. Nie ukrywał zachwytu.

- Wiedziałem, że tak będzie między nami. Żadnych gier, żadnej dziewiczej nieśmiałości - wyrzucił z radością, nie dostrzegając zaskoczenia i chłodu hrabianki, po czym ostrożnie wyjął jej z rąk marmurowe popiersie. - Ale, moja słodka, nie musisz darzyć pieszczotą tego kawałka kamienia, skoro masz tu mnie, we własnej osobie.

Elizabeth przez chwilę wpatrywała się nierozumiejącym spojrzeniem w rzeźbę, którą pan domu delikatnie odstawił na miejsce. Potem odwrócił się do niej wyczekująco, a jej przyszła do głowy przerażająca - i słuszna - myśl: sir Francis oczekuje, że teraz przyciągnie do łona jego łysiejącą czaszkę. Patrzyła na mężczyznę jak sparaliżowana.

- Ma... mam do pana małą prośbę, sir Francisie - wydusiła wreszcie.

- Co zechcesz, najmilsza - odparł głosem, w którym brzmiała namiętność.

- Chciałabym... odpocząć przed kolacją.

Cofnął się rozczarowany, ale przypomniał sobie o dobrym wychowaniu i skinął głową.

- Posiłki jadamy raczej późno. Kolację podajemy o wpół do dziewiątej.

Po raz pierwszy uważniej jej się przyjrzał. Wspomnienie jej zachwycającej twarzyczki i rozkosznej figurki było tak żywe, że do tej pory widział tylko hrabiankę Elizabeth Cameron sprzed dwóch lat. Teraz, ponieważ, dostrzegł prostą, nieładną suknię i surowy kok. Zatrzymał wzrok na brzydkim metalowym krzyżu na jej szyi i cofnął się z odrazą.

- Och, moja droga, zaprosiłem kilkoro gości - dodał znacząco, nie spuszczać wzroku z paskudnej sukni Elizabeth. - Wolałem cię uprzedzić, byś mogła bardziej stosownie się

ubrać.

Elizabeth przyjęła tę obraźliwą uwagę w milczeniu. Nie opuszczało jej odrętwienie, które ją ogarnęło z chwilą przyjścia gospodarza. Dopiero kiedy za sir Francisem zamknęły się drzwi, odzyskała zdolność ruchu.

- Berto - wybuchnęła, bez sił padając na pobliski fotel - jak mogłaś tak dygać? Jeśli tak dalej pójdzie, natychmiast się domyśli, że jesteś pokojówką! Wszystko pójdzie na marne!

- Czego panienka chce? - odparła urażona kobieta. - To nie ja tuliłam do łona jego marmurowy biust!

- Teraz już pójdzie nam lepiej - obiecała Elizabeth, przepaszając spoglądając przez ramię. Głos jej przestał drżeć; zabrzmiało w nim mocne postanowienie i upór. - Musi. Chcę już jutro stąd wyjechać. Najpóźniej pojutrze.

- Lokaj gapił się na moje piersi - poskarżyła się Berta. - Widziałam!

Elizabeth uśmiechnęła się do niej gorzko.

- A kamerdyner na moje. Żadna kobieta nie jest tu bezpieczna.

Padłyśmy ofiarą lekkiej... tremy, to wszystko. Jeszcze się nie oswoiliśmy ze swoimi rolami. Ale dziś wieczorem dam mistrzowskie przedstawienie, przekonasz się, ciociu. Nieważne, za jaką cenę, ale zrobię to.

Kiedy wreszcie hrabianka zeszła do jadalni, była dwie godziny spóźniona. Z premedytacją.

- Wielkie nieba, prawdziwa z ciebie spóźnialska, moja złota - oświadczył sir Francis, podrywając się z miejsca.

Elizabeth stała w progu, zbierając odwagę.

- Przedstawię ci moich gości.

Przelotnie, z rozczarowaniem odnotował ponurą suknię i surowy kok dziewczyny, potem zaś wprowadził ją do jadalni.

- Tak jak poleciłaś, nie czekaliśmy na ciebie z posiłkiem. Co tak długo trzymało cię na górze?

- Modliłam się - wyjaśniła z przejęciem, patrząc mu prosto w oczy.

Sir Francis otrząsnął się ze zdumienia na tyle, by ją przedstawić gościom: mężczyźnie w jego wieku i o podobnej posturze oraz dwóm mniej więcej trzydziestopięcioletnim damom w najbardziej wydekoltowanych sukniach, jakie hrabianka kiedykolwiek widziała.

Elizabeth zjadła kawałek zimnego mięsa, żeby uciszyć burczenie w brzuchu. Obie kobiety przyglądały jej się z nieskrywaną odrazą.

- Przyznam, że to niezwykle strój - zauważyła pierwsza z nich, nazwana Eloise. - Czy

w pani stronach wszystkie kobiety ubierają się równie... skromnie?

Elizabeth wzięła do ust kolejny kasek.

- Nie, ale nie uznaję przesadnych ozdób. - Niewinnie popatrzyła na sir Francisca. - Suknie są takie drogie. Uważam, że szkoda wyrzucać na nie pieniądze.

Pan domu ochoczo przytaknął, zwłaszcza że i tak zamierzał najczęściej widywać swą małżonkę nagą.

- Święte słowa - rozpromienił się i popatrzył na pozostałe damy z triumfem. - Nie ma sensu wydawać aż tyle na ubranie. W ogóle nie ma sensu.

- W pełni się z panem zgadzam - przytaknęła Elizabeth. - Wolę każdego szylinga przeznaczać na dobroczynność.

- Oddawać na dobroczynność? - omal nie warknął.

Już - już podrywał się z miejsca, ale zmusił się, by jeszcze raz spokojnie rozważyć decyzję o ich ewentualnym ślubie. Owszem, dziewczyna była czarująca - co prawda twarz miała znacznie poważniejszą, niż zapamiętał, ale nawet czarny welon i surowe uczesanie nie mogły odebrać urody cudownym, zielonym oczom i długim, gęstym rzęsom. Dostrzegł cienie pod oczami, których wcześniej nie zauważył, lecz złożył je na karb zbyt poważnego charakteru. Ale wniesie przyzwoity posag, a jej figura ukryta pod tym bezkształtnym worem... Chciałby zobaczyć jej kształty. Może i one przez owe dwa lata zmieniły się na niekorzyść?

- Liczyłem, moja droga - odezwał się, czule ściskając jej dłoń - że na kolację ubierzesz się bardziej światowo, tak jak prosiłem.

Elizabeth popatrzyła na niego wielkimi, niewinnymi oczami.

- Tyle tę suknię wzięłam.

- Tylko? P... przecież wyraźnie widziałem, jak lokaje wnosili na górę wielkie kufry.

- Wszystkie należą do cioci. Ja spakowałam się tylko w jeden - kłamała pośpiesznie, już przewidując następne pytanie i gorączkowo usiłując wymyślić przekonującą odpowiedź.

- Doprawdy?

Sir Francis nadal z głębokim niezadowoleniem przyglądał się jej sukni, po czym zadał dokładnie to pytanie, którego się spodziewała.

- Mogę spytać, co znajdowało się w owym kufrze, jeśli nie suknie? Nagle Elizabeth doznała olśnienia i uśmiechnęła się promiennie.

- Mój największy skarb. Coś bezcennego - oznajmiła z dumą. Wszyscy utkwili w niej wzrok, a zwłaszcza chciwy sir Francis.

- Nie trzymaj nas w niepewności, moja droga. Cóż tam ukrywasz?

- Doczesne szczątki świętego Jakuba.

Lady Eloise i lady Mortand wrzasnęły jednocześnie, sir William zakrzuszył się winem, sir Francis zaś popatrzył na swą wybrankę z przerażeniem, lecz Elizabeth jeszcze nie skończyła. Ostatni cios zadała po kolacji. Kiedy wszyscy wstali od stołu, zażądała, by z powrotem usiedli i wspólnie się pomodlili. Wzniósłszy głowę ku niebu, zamiast krótkiej modlitwy po posiłku wygłosiła płomienną tyradę przeciwko lubieżności, groziła grzesznikom sądem ostatecznym, na końcu zaś opisała męczarnie, jakie niechybnie czekają tych, którzy oddają się rozpuszceniu, wymieniając tu mitologicznego smoka biblijne wizerunki piekła i inne straszliwe wizje, jakie podsunęła jej bujna wyobraźnia. Następnie spuściła wzrok i, tym razem szczerze, modliła się o wyzwolenie oraz ratunek. Nic więcej nie mogła zrobić. Włożyła w tę grę cały swój talent i wszystkie siły.

Ale to wystarczyło. Po kolacji sir Francis odprowadził dziewczynę do sypialni i z udanym smutkiem oświadczył, że, niestety, chyba do siebie nie pasują. Wcale a wcale.

Elizabeth i Berta wyjechały następnego dnia o świcie, jeszcze nim wstała służba sir Francisa. Gospodarz, w szlafroku, patrzył z okna sypialni, jak stangret pomagał hrabiance wsiąść do powozu. Już miał się odwrócić, kiedy podmuch wiatru poderwał spódnicę dziewczyny, odsłaniając długą, wyjątkowo zgrabną nogę. Sir Francis gapił się na nią z zachwytem. Powóz objechał klomb i mężczyzna dostrzegł w otwartym oknie Elizabeth. Ze śmiechem rozpuściła włosy, a złociste loki rozsypały się na jej ramiona i zasłoniły twarz. Sir Francis w zadumie oblizał wargi.

ROZDZIAŁ 10

Wiejska rezydencja lorda Johna Marchmana, hrabiego Canford była budowlą o tak zapierającym dech w piersi, oryginalnym wyglądzie, że Elizabeth na moment zapomniała o celu swojej wizyty. Nigdy nie widziała aż tak dużego budynku: rozległy, niski, częściowo drewniany dwór, pochodził jeszcze z czasów Tudorów. Ale najbardziej zachwyciło dziewczynę otoczenie domu. Nad strumieniem, który od frontu przecinał park, rosły wierzby płaczące, a wśród nich kwitły bzy. Ich pastelowe kolory harmonijnie łączyły się z błękitem orlików i dzikich lili.

Powóz nie zdążył jeszcze zajechać przed dom, a już drzwi szeroko się otworzyły i po stopniach zbiegł wysoki, mocno zbudowany mężczyzna.

- Zdaje się, że tu zostaniemy przyjęte znacznie bardziej entuzjastycznie niż u sir Francisa - oświadczyła Elizabeth, choć głos drżał jej z niepokoju.

Włożyła rękawiczki i śmiało szykowała się, by stawić czoło kolejnej przeszkodzie dzielącej ją od szczęścia i niezależności.

Drzwi powozu otworzyły się z taką energią, że omal nie wypadły z zawiasów, do środka zajrzała męska twarz.

- Lady Elizabeth! - zahuczał lord Marchman, zaczerwieniony z radości albo od alkoholu, tego hrabianka nie potrafiła rozstrzygnąć. - Co za długo wyczekiwana niespodzianka! Długo wyczekiwana przyjemność, chciałem powiedzieć - poprawił się, potrząsnąwszy głową. - Niespodzianką jest, że przyjechała pani tak wcześnie.

Elizabeth stłumiła współczucie dla wyraźnie zawstydzonego gospodarza, tak samo jak nie dopuściła do siebie myśli, że to właściwie całkiem sympatyczny człowiek.

- Mam nadzieję, że nie przysporzyłyśmy panu wielu kłopotów, hrabio - powiedziała.

- Wielu nie. To znaczy - zająknął się Marchman, spoglądając w jej wielkie oczy i całkowicie w nich tonąc - wcale. Zupełnie. Żadnego.

- Ciocia Berta - Elizabeth dokonała z uśmiechem prezentacji, a następnie pozwoliła, by gospodarz poprowadził je do domu.

- Chyba jest tak samo zdenerwowany jak ja - szepnęła z satysfakcją pokojówka.

W porównaniu ze słonecznym dziedzińcem dom wydał się dość mroczny i ponury. Przechodząc obok salonu i bawialni, Elizabeth zerknęła na umeblowanie: wszędzie królowała ciemna skóra, niegdyś zapewne kasztanowobrązowa. Lord Marchman, który nie spuszczał oczu z gościa, rozejrzał się i nagle zobaczył swoje otoczenie w zupełnie innym świetle.

Pośpiesznie próbował usprawiedliwić wygląd domostwa.

- Ten dom bardzo potrzebuje kobiecej ręki. Cóż, jestem samotnym starym kawalerem, tak samo jak ojciec.

Berta spojrzała na niego zdumiona.

- Czy ja dobrze słyszę?! - zawołała wstrząśnięta, że gospodarz tak otwarcie przyznaje się do nieprawego pochodzenia.

- Oczywiście, nie chciałem przez to powiedzieć, że ojciec nie był żonaty - zapewnił szybko hrabia, nerwowo szarpiąc fontaż, jakby chciał go rozerwać. - Po prostu mama zmarła, kiedy byłem dzieckiem i ojciec powtórnie się nie ożenił. Mieszkaliśmy tu we dwóch.

- Stojąc przy głównych schodach, odwrócił się do przybyłych dam.

- Chcą się panie posilić, czy wolą od razu iść do łóżek?

Elizabeth marzyła o odpoczynku, zresztą chciała spędzić jak najmniej czasu w towarzystwie gospodarza.

- To drugie, jeśli pan się nie pogniewa.

- W takim razie ruszajmy. - Szerokim gestem zaprosił je na górę.

Berta aż sapnęła z oburzenia i wściekłości, uznając, że ten kandydat nie jest lepszy od sir Francisa.

- Nie tak szybko, milordzie! Kładłam ją spać od małości i nie potrzebuję pomocy takich jak wy!

A potem, jakby sobie przypomniała o swym prawdziwym stanowisku, zepsuła tę wspaniałą mowę, dygając i dodając tonem służącej:

- To znaczy, jeśli jaśnie pan pozwoli.

- Czy pozwolę? Ależ to... - John Marchman nagle sobie uświadomił, o co podejrzewała go ta godna dama i poczerwieniał po korzonki włosów. - Ja... ja tylko chciałem pokazać paniom, jak... - Odchylił głowę i na moment przymknął oczy, jakby się modlił o uwolnienie od własnego języka. - Jak trafić do sypialni - zakończył z westchnieniem ulgi.

Elizabeth poczuła się wzruszona jego szczerością i brakiem obycia. Gdyby nie znajdowała się w tak dramatycznym położeniu, zrobiłaby, co w jej mocy, żeby go ośmielić.

Elizabeth niechętnie otworzyła oczy i odwróciła się na plecy. Słońce wpadało przez okna, w kącikach ust dziewczyny pojawił się lekki uśmiech, kiedy przypomniała sobie wczorajszą kolację. Lord Marchman okazał się równie czarującym, zakłopotanym i bardzo pragnącym się przypodobać gospodarzem jak przy powitaniu.

Do pokoju wpadła Berta, która mimo gustownej, różowej sukni nadal wyglądała na pokojówkę.

- Ten człowiek - podsumowała pana domu - nie potrafi sklecić dwóch zdań, żeby czegoś nie palnąć!

Najwyraźniej liczyła, że grając rolę wysoko urodzonej damy, spotka ciekawszych przedstawicieli klasy wyższej.

- Podejrzewam, że nas się boi - odrzekła Elizabeth, wstając. - Która godzina? Prosił, bym mu towarzyszyła w wyprawie na ryby o siódmej.

- Wpół do jedenastej. - Berta rozsunęła zasłony i odwróciła się do swej pani w oczekiwaniu na decyzję co do ubioru. - Czekał, ale parę minut temu poszedł bez ciebie. Zabrał dwie wędkę. Powiedział, że możesz się do niego przyłączyć, kiedy wstaniesz.

- W takim razie chyba włożę różową muślinową suknię - postanowiła Elizabeth z figlarnym uśmiechem.

Lord Marchman nie wierzył własnym oczom, kiedy wreszcie ujrzał swą kandydatkę na żonę. Dreptała ku niemu, mając na sobie różową suknię z frędzlami i fikuśny kapelusik, z równie wymyślną parasolką w dłoni. Zdumiał się, jakimi to niezgłębionymi ścieżkami chadzają kobiece myśli, ale szybko skupił uwagę na olbrzymim pstrągu, którego próbował złowić od pięciu lat. Leciuteńko poruszył wędką, żeby zachęcić starego uparciucha albo tak go rozdrażnić, by chwycił przynętę. Olbrzym krążył wokół haczyka, jakby wiedział, że to może być pułapka i nagle zaatakował, omal nie wrywając Johnowi wędkę z rąk. Ryba wyprysnęła z wody, zatoczyła w powietrzu imponujący łuk, a w tej samej chwili przysła oblubienica Johna z premedytacją wydała z siebie przenikliwy pisk:

- Wąż!

Zaskoczony John obejrzał się w jej stronę. Elizabeth pędziła ku niemu, jakby ją gonił sam Lucyfer.

- Wąż! - piszczała. - Wąż! Waaaaaż!

Ta chwila dekoncentracji wystarczyła. John popuścił linę, a pstrąg urwał się z haczyka - dokładnie tak, jak to zaplanowała dziewczyna.

- Zobaczyłam węża - skłamała, dysząc ciężko.

Zatrzymała się tuż przed ręką, którą wyciągnął lord Marchman, by ją uratować - albo udusić, pomyślała Elizabeth, ukrywając uśmiech. Zerknęła na strumień, licząc, że dostrzeże wspaniałego pstrąga, który uciekł hrabiemu. Ręce ją świerzbiły, żeby chwycić wędkę i spróbować szczęścia.

Pytanie gospodarza przywołało ją do rzeczywistości.

- Chce pani łowić, czy raczej usiąść i ochłonać po spotkaniu z wężem?

Dziewczyna popatrzyła na niego z udawanym oburzeniem.

- Ależ, hrabio, ja nie łowię!

- A czy pani siada? - spytał tonem podejrzenia bliskim sarkazmowi.

Elizabeth spuściła oczy, by ukryć uśmiech, gdy usłyszała w jego głosie zniecierpliwienie.

- Oczywiście, że siadam - oznajmiła dumnie. - Siadanie to zajęcie, które przystoi damie, podczas gdy łowienie ryb nie. Za to z prawdziwą przyjemnością będę się przyglądać, jak pan to robi.

Przez następne dwie godziny siedziała obok Johna, skarżąc się na twardą ziemię, na ostre promyki słońca i wilgoć w powietrzu, a gdy już zabrakło jej tematów do narzekań, całkowicie zepsuła swemu towarzyszeni poranek, nieustannie trzeszcząc biedakowi za uszami o wszystkim, co tylko przyszło jej do głowy. Od czasu do czasu wrzucała do wody kamyki, by spłoszyć ryby.

Kiedy wreszcie - mimo szczerých wysiłków dziewczyny - udało mu się coś złowić, poderwała się i cofnęła o krok.

- Pan... pan robi jej krzywdę, milordzie! - zawołała, kiedy wyrwał rybie haczyk z pyska.

- Robię krzywdę? Komu? Rybie? - spytał zdumiony John.

- Tak!

- Nonsens.

Popatrzył na dziewczynę, jakby była szalona i rzucił pstrąga na piasek.

- Przecież ona nie może oddychać! - zawodziła Elizabeth, nie odrywając wzroku od ciskającej się ryby.

- Nie musi - odrzekł John. - Zjemy ją na obiad.

- Wykluczone! - krzyknęła, spoglądając na niego jak na bezwzględnego mordercę.

- Hrabianko Cameron, czy mam wierzyć, że pani nigdy nie jadła ryby?

- Ależ oczywiście, że jadłam.

- A skąd, pani zdaniem, pochodziły owe ryby? - ciągnął Marchman coraz bardziej rozdrażniony.

- Ze zgrabnego zawiniątka - oświadczyła. - Przynosi się je ładnie zawinięte w papier.

- Cóż, ale nie przyszły na świat w tym schludnym zawiniątku.

Elizabeth z trudem ukryła zachwyt dla jego cierpliwości i stanowczego tonu, który w końcu przybrał. John Marchman nie był jednak, tak jak w pierwszym momencie sądziła, gamoniem.

- Przedtem - tłumaczył - gdzie mogła być ta ryba? Jak, pani zdaniem, trafiła na targ?

Elizabeth dumnie uniosła głowę i popatrzyła ze współczuciem na miotającą się rybę, a potem spojrzała na mężczyznę z pogardą.

- Zapewne rybacy korzystają z sieci albo innych metod, ale jestem przekonana, że nie robią tego w ten sposób.

- Czyli w jaki?

- Tak jak pan to zrobił: podstępnie zakradł się do przytulnego, malutkiego rybiego domku w rzeczce i oszukał rybę, nadziewając na haczyk inne, biedne stworzonko, a potem zabrał biedną ofiarę od jej rodziny i wyciągnął na brzeg, na pewną śmierć. To nieludzkie! - Strzepnęła z oburzeniem spódnice.

Lord Marchman przyglądał się dziewczynie z niedowierzaniem i pokręcił głową, jakby czegoś tu nie rozumiał. Po kilku minutach odprowadził Elizabeth do domu. Kazała mu nieść ryby w drugiej ręce, a kiedy to nie wyprowadziło Johna z równowagi, poleciła mu, by wyciągnął ramię, żeby koszyk ze zdobyczą znalazł się jeszcze dalej od niej.

Wcale się nie zdziwiła, kiedy hrabia zniknął aż do obiadu, a przy posiłku siedział chmurny i zamyślony. Za to ona wypełniła tę ciszę, z namaszczeniem rozprawiając o różnicach w londyńskiej i paryskiej modzie, o tym jakie znaczenie dla rękawiczek ma doskonałe wyprawienie skóry oraz szczegółowo opisując wszystkie suknie, jakie jej przyszły na myśl. Pod koniec obiadu gospodarz wyglądał, jakby go rozboleła głowa, Elizabeth zaś miała wprawdzie chrypkę, ale za to tryskała nadzieją.

- Chyba - oświadczyła z dumnym uśmiechem Berta, kiedy zostały we dwie w salonie - zaczyna się zastanawiać, czy dobrze zrobił, oświadczając się o panienkę.

- Założę się, że w czasie obiadu myślał gorączkowo, jak by mnie uśmiercić - parsknęła śmiechem Elizabeth.

Zamierzała jeszcze coś dodać, ale przerwał im lokaj, który oznajmił, że lord Marchman pragnie porozmawiać na osobności z hrabianką Cameron.

Elizabeth przygotowała się do kolejnej walki rozumów - a raczej głupoty, pomyślała, uśmiechając się w duchu - i posłusznie poszła za lokajem do olbrzymiego gabinetu. John już na nią czekał w fotelu przy biurku.

- Chciał pan ze mną rozmawiać... - zaczęła od drzwi, gdy nagle coś dotknęło jej włosów.

Obejrzała się, sądząc, że to jakiś posąg, tymczasem stanęła oko w oko z olbrzymim niedźwiedziem. Okrzyk, który jej się wyrwał, tym razem nie był udawany, choć nie tyle się przestraszyła, ile była zaskoczona.

- Zapewniam, że on nie żyje - odezwał się hrabia ze spokojną rezygnacją i patrzył, jak

dziewczyna z ręką przy ustach odsuwa się gwałtownie od jego największej zdobyczy.

Elizabeth błyskawicznie odzyskała kontenans, powiodła wzrokiem po niezliczonych myśliwskich trofeach i odwróciła się do hrabiego.

- Nie musi pani zasłaniać ust - zauważył.

Znowu popatrzyła na niego oskarżycielskim wzrokiem, przygryzając wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Bardzo chętnie wsłuchałaby opowieści, jak podchodził tego niedźwiedzia albo gdzie trafił na tak olbrzymiego dzika, ale wiedziała, że nie może o to spytać.

- Błagam, milordzie - odezwała się - niech mi pan przysięgnie, że te biedne zwierzęta nie zginęły z pańskiej ręki.

- Niestety tak. A ściślej, nie tyle z mojej ręki, ile od mojej kuli. Niech pani spocznie.

Ruchem głowy wskazał obszerny fotel przy biurku i dziewczyna zapadła w jego głębie.

- Zechce mi pani opowiedzieć - ciągnął John łagodniejszym tonem, patrząc na zwróconą ku sobie uroczą twarzyczkę - jak pani sobie wyobraża nasze wspólne życie, gdybyśmy się pobrali.

Elizabeth nie spodziewała się takiego frontalnego ataku. Hrabia wzbudził tym jej szacunek, ale i niepokój. Głośno zaczerpnęła powietrza i próbowała opisywać życie, które powinno wzbudzić w nim przerażenie.

- Naturalnie zamieszkalibyśmy w Londynie - zaczęła, pochylając się w fotelu w pozie pełnej entuzjazmu. - Uwielbiam stolicę i jej rozrywki.

Na wzmiankę o Londynie jej konkurent ściągnął brwi.

- Jakie rozrywki najbardziej pani odpowiadają, hrabianko?

- Rozrywki? - Elizabeth się zamyśliła. - Bale, rauty i opera.

Uwielbiam wydawać przyjęcia i na nie chodzić. Po prostu nie zniósłabym myśli, że ominie mnie jakiś bal. W sezonie czasem udawało mi się pojawić na piętnastu przyjęciach w ciągu jednego dnia. No i kocham gry hazardowe - dorzuciła, starając się sprawić wrażenie, że przegra znacznie więcej, niż wniesie w wianie. - Niestety, ciągle prześladowuje mnie pech i wiecznie muszę się zapożyczać.

- Rozumiem. Jeszcze coś?

Zawahała się lekko. Czuła, że powinna coś jeszcze wymyślić, ale spokojny, zamyślony wzrok mężczyzny zbijał ją z tropu.

- A cóż może być ważniejszego w życiu - odparła z udaną beztroską - od balów, gry i wytwornego towarzystwa?

Na twarzy Johna Marchmana malowała się taka zaduma, że Elizabeth nie miała wątpliwości: hrabia zamierzał się wycofać. Czekwała w pełnym oczekiwania milczeniu. Kiedy tylko zaczął mówić, wiedziała, że się nie pomyliła, bo zaczął się plątać, jak wcześniej, gdy chciał jej oznajmić coś ważnego.

- Hrabianko... eee... - Tu utknął i szarpał fontaź.

- Cameron - usłużnie odpowiedziała mu Elizabeth.

- Właśnie... Cameron. - Umilkł, zbierając myśli. - Hrabianko Cameron, jestem prostym człowiekiem, nie lubię Londynu i nie chcę odgrywać dandysa. Jeżdżę tam najrzadziej, jak się da. Widzę, że jest pani rozczarowana.

Dziewczyna ze smutkiem skinęła głową.

- Z prawdziwą przykrością muszę powiedzieć - oświadczył, czerwieniąc się po samą szyję - że chyba do siebie nie pasujemy, hrabianko... eee... - urwał, zawstydzony swoim brakiem taktu.

- Cameron - podsunęła Elizabeth, nie mogąc się doczekać, kiedy jej gospodarz skończy zdanie.

- Tak, oczywiście, Cameron. Wiedziałem. Otóż, zmierzałem do tego... że...

- Nie pasujemy do siebie? - pomagała mu Elizabeth z nadzieją.

- Właśnie!

Opacznie interpretując jej zdanie jako jej sugestię, nie jego, westchnął z ulgą i energicznie skinął głową.

- Przyznam, że się cieszę, że pani się ze mną zgadza.

- Naturalnie, żałuję, że tak się stało - dodała Elizabeth serdecznie, w przekonaniu, że hrabia potrzebuje jakiegoś balsamu po mękach, jakie przez nią przeszedł nad strumieniem. - Mój stryj też będzie ogromnie rozczarowany. - Z trudem się powstrzymywała, żeby nie wcisnąć mu do ręki pióra. - Zechciałby pan do niego napisać i wyjaśnić pańską decyzję?

- Naszą decyzję - poprawił szarmancko.

- Tak, ale... - zawahała się, uważnie dobierając słowa. - Mój stryj będzie bardzo zawiedziony, a ja... nie chciałabym, aby mnie obwiniął.

Zapewne sir Francis w liście, który niewątpliwie napisze do stryja, winę za nieudane konkury zrzuci na nią, wolała więc nie ryzykować, że hrabia zrobi to samo. Stryj Julius nie jest głupi, jeśli zacznie podejrzewać, że z premedytacją zniechęcała konkurentów i wystrychnęła go na dudka, może przestać ją wspierać finansowo.

- Rozumiem. - Popatrzył na nią w skupieniu, wziął pióro i naostrzył. Elizabeth westchnęła z ulgą, gdy zaczął nim sunąć po papierze. - Skoro już uporaliśmy się z tą

niezręczną sprawą, mogę pani zadać pewne pytanie? - odezwał się, odsuwając kartkę.

Elizabeth ochoczo pokiwała głową.

- Dlaczego pani tu przyjechała? To znaczy... czemu zgodziła się pani rozważyć moje oświadczenia?

Pytanie to zaskoczyło ją i zaniepokoiło. Teraz, po tym spotkaniu, jak przez mgłę przypominała sobie, że rozmawiali na balu, choć mógł to być ktoś zupełnie inny. A przecież nie mogła mu wyznać, że stryj zagroził jej cofnięciem swego finansowego wsparcia, to zbyt upokarzające.

Hrabia czekał na odpowiedź.

- Czy w czasie naszych krótkich spotkań w stolicy powiedziałem coś, co wzbudziło w pani przekonanie, że przepadam za miejskim życiem? - przerwał wreszcie milczenie.

- Trudno powiedzieć - odrzekła Elizabeth z całkowitą szczerością.

- Hrabianko Cameron, czy w ogóle pamięta pani nasze spotkanie?

- Naturalnie. Oczywiście, że tak.

Przypomniała sobie, że kogoś niezwykle podobnego do lorda Marchmana przedstawiono jej u lady Markham. Co za szczęście!

- Poznaliśmy się na balu u lady Markham. Nie spuszczał z niej wzroku.

- Poznaliśmy się w parku.

- W parku? - powtórzyła. Najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Zatrzymała się pani, podziwiając kwiaty, a młody mężczyzna, który pani towarzyszył, dokonał prezentacji.

- Ach tak - odrzekła, unikając jego spojrzenia.

- Może chciałaby też pani się dowiedzieć, o czym rozmawialiśmy pierwszego dnia i podczas naszego drugiego spotkania, kiedy poszliśmy razem do parku.

Ciekawość walczyła w niej ze wstydem. Ciekawość wzięła górę.

- Tak, chętnie.

- O łowieniu ryb.

- Ł... łowieniu ryb? - wyjąkała dziewczyna. Hrabia skinął głową.

- Po kilku minutach rozmowy wspomniałem, że nie przyjechałem do Londynu na sezon towarzyski, tak jak pani sądziła, a tylko zatrzymałem się tu w drodze do Szkocji, gdzie wybierałem się na ryby i następnego dnia wyruszam w dalszą podróż.

Elizabeth czuła, że za chwilę dojdzie do katastrofy. Coś nagle jej zaświtało w pamięci.

- Bardzo przyjemnie sobie gawędziliśmy - ciągnął John. - Entuzjastycznie opowiadała pani o niezwykle trudnym i złośliwym pstrągu, którego w końcu udało się pani złowić.

Twarz jej płonęła jak rozżarzone węgle, hrabia zaś mówił dalej:

- Tak nas pochłoneła rozmowa o rybach, że zapomnieliśmy o czasie i pani biednym towarzysz.

Umilkł i czekał. Elizabeth nie mogła dłużej znieść tej straszliwej ciszy.

- Czy było... coś więcej?

- Niewiele. Następnego dnia nie wyjechałem do Szkocji, tylko zostałem w Londynie, by złożyć pani wizytę. Zostawiła pani pół tuzina młodych adoratorów, którzy się zjawili, by odprowadzić panią na jakiś wieczorek i postanowiła wybrać się ze mną na przechadzkę po parku.

Elizabeth głośno przełknęła ślinę. Nie mogła mu spojrzeć w oczy.

- Chciałaby pani wiedzieć, o czym wtedy rozmawialiśmy?

- Nie. Wolę nie.

Parsknął śmiechem, ale zignorował jej odpowiedź.

- Wyznała pani, że męczy panią wir życia towarzyskiego i że marzy pani o powrocie na wieś. Dlatego też udaliśmy się do parku. Wydawało mi się, że wspaniale spędziliśmy czas.

Kiedy umilkł, Elizabeth zmusiła się, by spojrzeć mu w twarz.

- Rozmawialiśmy o rybach? - spytała zrezygnowana.

- Nie. O polowaniu na dziki.

Zamknęła oczy, już całkiem pogrążona.

- Opowiedziała mi pani frapującą historię o dziku, którego pani ojciec upolował przed wielu laty, a pani, mimo wyraźnego zakazu, przyglądała się polowaniu z drzewa, pod którym w końcu myśliwi dopadli zwierza. O ile dobrze pamiętam - zakończył miłośniernie - to właśnie pani triumfalny okrzyk zdradził kryjówkę i została pani surowo skarcona przez ojca.

Elizabeth dostrzegła w oczach Johna rozbawienie i nagle oboje wybuchnęli śmiechem.

- Pamiętam też pani śmiech. Wyjątkowo mnie zachwyił. Do tego stopnia, że on i nasza czarująca pogawędka sprawiły, iż w pani towarzystwie czułem się tak niezwykle. - Uświadomiwszy sobie, że właśnie powiedział jej komplement, poczerwieniał, poprawił fontaź i odwrócił wzrok. Elizabeth poczekała, aż John Marchman odzyskał panowanie nad sobą i znowu na nią spojrział.

- Ja też pana pamiętam. - Przechyliła głowę, kiedy próbował odwrócić oczy i zmusiła go, by nadal na nią patrzył. - Teraz tak - mówiła szczerze. - Dopiero przed chwilą sobie pana przypomniałam.

W jego oczach odmalowała się wdzięczność, ale i zdziwienie. Odchylił się w fotelu.

- Czemu zgodziła się pani na tę wizytę, skoro nie zrobiłem na pani żadnego wrażenia?

Elizabeth uznała, że ten dobry, poczciwy człowiek zasługuje na szczerłość. Zresztą, błyskawicznie zmieniła zdanie na temat jego rozumu. Teraz, kiedy przestała nad nimi wisieć groźba małżeństwa, hrabia zaczął mówić klarownie i okazał się niebezpiecznie spostrzegawczy.

- Może mi pani powiedzieć prawdę - odezwał się z uśmiechem, jakby czytał w jej myślach. - Nie jestem aż takim prostakiem, za jakiego musiała mnie pani uważać. Po prostu nie czuję się... hm...

swobodnie, gdy chodzi o konkury. A skoro nie zostanę pani mężem - dodał z lekką nutką żalu - może chociaż się zaprzyjaźnimy?

Elizabeth wyczuła, że lord Marchman nie będzie z niej drwił, za to jeśli spróbowałaby się wykreśćić, zacznie drażnić, dopóki nie pozna całej prawdy.

- To był pomysł mojego stryja - odrzekła z zażenowaniem. - Postanowiła spróbować prześlizgnąć się nad całą sprawą, a równocześnie wyjaśnić, czemu postawiła go w takiej sytuacji. - Otóż, mój stryj nie ma dzieci i uparł się... to znaczy, gorąco pragnie, bym dobrze wyszła za mąż. Wiedział, że wielu dżentelmenów mną się interesowało, więc uznał... to jest... - urwała bezradnie. Okazało się, że zadanie ją przerosło.

- Wybrał mnie? - podsunął hrabia.

Skinęła głową.

- Zdumiewające. Doskonale pamiętam, że w tamtym czasie ubiegało się o pani rękę kilku... nie - mnóstwo wielbicieli. Tymczasem pani stryj wybrał właśnie mnie. Przyznam, że to mi pochlebia.

Ale również dziwi. W końcu dzieli nas olbrzymia różnica wieku i zainteresowań, należałoby się więc spodziewać, że stryj wolałby dla pani młodszego kandydata. Przepraszam za moje wścibstwo. - Umilkł, lecz nadal bacznie się jej przyglądał. Elizabeth omal nie zerwała się na równe nogi z przerażenia, kiedy spytał wprost: - Kogo jeszcze wybrał?

Przygryzła wargę i odwróciła wzrok, nie zdając sobie sprawy, że hrabia dostrzega nie tylko jej zażenowanie, ale i to, iż odpowiedź jest dla niej zbyt krępująca.

- Sądząc po wyrazie pani twarzy, drugi konkurent jeszcze mniej pani odpowiada niż ja. Mam zgadnąć? A może powinienem się przyznać, że godzinę temu podsłuchałem, jak pani ciotka i stangret śmieją się z czegoś, co się wydarzyło u sir Francis Belhavena? Drugi kandydat to Belhaven? - drażył łagodnie.

Elizabeth pobladła jak ściana. To wystarczyło za odpowiedź.

- Do diaska! - wybuchnął hrabia, krzywiąc się z odraza. - Na samą myśl, że tak młodą, niewinną dziewczynę można było podsunąć temu staremu...

- Zniechęciłam go - pośpiesznie zapewniła go Elizabeth, głęboko wzruszona, że lord Marchman, który przecież słabo ją znał, tak się przejmował jej losem.

- Jest pani pewna?

- Raczej tak.

Po chwili wahania skinął głową, po czym wygodniej usiadł w fotelu, mierząc ją bystrym spojrzeniem i uśmiechając się do niej.

- Mogę spytać, jak to pani osiągnęła?

- Wolałabym do tego nie wracać.

Ponownie skinął głową, ale uśmiech nie zniknął, więcej, pojawił się też w jego niebieskich oczach.

- Czy bardzo bym się mylił, gdybym założył, że uciekła się pani do tego samego fortelu, który, jak przypuszczam, wykorzystwała pani tutaj?

- N... nie rozumiem, do czego pan zmierza - odrzekła ostrożnie Elizabeth, ale jego uśmiech był zaraźliwy. Przygryzła wargę, żeby również się nie uśmiechnąć.

- Cóż, albo pani namiętność do wędkowania sprzed dwóch lat była prawdziwa, albo tylko przez grzeczność rozmawiała pani ze mną o rzeczach, które mnie pasjonują. Jeśli to pierwsze jest prawdą, mogę tylko przypuszczać, że przerażenie, jakie pani okazała na widok ryby, nie było całkiem... jak to ująć...? szczerze.

Popatrzyli sobie w oczy: on ze znaczącym uśmiechem, ona z trudem powstrzymując się od głośnego chichotu.

- Może faktycznie nie było całkiem szczerze, hrabio.

W oczach lorda Marchmana zabłysnął psotny chochlik.

- Może pragnie pani zmierzyć się z pstrągiem, którego rano przez panią straciłem? Nadal pływa w strumieniu i drwi sobie ze mnie.

Elizabeth wybuchnęła śmiechem, hrabia również. Kiedy się uspokoiili, popatrzyła na Johna. Znalazła w nim prawdziwego przyjaciela. Najchętniej siadłaby nad brzegiem strumienia, zrzuciła pantofle i pokazała, na co ją stać, a znała się na łowieniu ryb. Z drugiej jednak strony nie chciała nadużywać uprzejmości gospodarza ani ryzykować, że zmieni zdanie w kwestii małżeństwa.

- W obecnej sytuacji - odpowiedziała z namysłem - chyba będzie lepiej, jeśli razem z ciotką wyruszymy jutro do ostatniego... do celu trzeciej podróży.

Następny świt wstał pogodny, wśród drzew świergotały ptaki, radosne słońce świeciło na lazurowym niebie. Niestety, był to jeden z owych poranków, które nie przynoszą nam gotowego rozwiązania wszystkich problemów. Kiedy lord Marchman pomagał Bercie i

Elizabeth wsiąść do powozu, hrabianka wciąż jeszcze nie uporała się z dręczącym ją dylematem. Tutaj spełniła swoją misję, zatem nie mogła dłużej korzystać z gościny hrabiego. Z drugiej jednak strony nie uśmiechała jej się myśl o pojawieniu się u Iana Thorntona w Szkocji dwa tygodnie przed czasem, w dodatku z Bertą, zamiast z Lucindą. Jeśli ma stawić czoło temu mężczyźnie, musi jej towarzyszyć dzielna panna Throckmorton - Jones. Lucinda, która nikogo się nie boi i która zawsze potrafiła udzielić właściwej rady swej podopiecznej. Należało zatem udać się do gospody, gdzie miały się spotkać i czekać na przybycie starszej damy. Stryj Julius, choć miał w estymie każdy grosz, z typowym dla siebie zmysłem praktycznym opracował tak zwany „budżet” i dał Elizabeth pewną niewielką sumkę na „wszelki wypadek”. Teraz dziewczyna uznała, że to właśnie jest ów „wszelki wypadek” i postanowiła wydać pieniądze, a o resztę martwić się później.

Stangret czekał na instrukcje. Hrabianka podjęła decyzję.

- Do Carrington, Aaronie - oznajmiła. - Będziemy tam czekać w gospodzie na Lucindę.

Serdecznie uśmiechnęła się do lorda Marchmana i przez otwarte okienko powozu podała mu rękę.

- Dziękuję - powiedziała nieśmiało, ale szczerze - że był pan właśnie taki, a nie inny, hrabio.

John Marchman poczerwieniał z wdzięczności, a potem odsunął się i odprowadził wzrokiem powóz, dopóki konie nie skreśliły na trakt. Wtedy wolno wrócił do domu i udał się do gabinetu. Siadł przy biurku i popatrzył na list, który napisał do stryja Elizabeth.

Bębnił palcami po blacie. W uszach ciągle mu dźwięczała niepokojąca odpowiedź Elizabeth na pytanie, czy zniechęciła starego Belhavena. „Raczej tak”, powiedziała. Wtedy hrabia podjął decyzję.

Czuąc się trochę jak naiwny błędny rycerz w lśniącej zbroi, który przybywa na pomoc dziewczycy w opałach, wyjął czystą kartkę i napisał drugi list do jej stryja. Jak zwykle, kiedy chodziło o konkury, lord Marchman stracił całą swoją umiejętność klarownego wyrażania myśli. Jego list brzmiał:

Jeśli Belhaven się o nią oświadczy, proszę mnie o tym powiadomić, Zdaje się, że ja pierwszy ją wybrałem.

ROZDZIAŁ 11

Ian Thornton stał na środku dużego pokoju wiejskiego domu w Szkocji, w którym przyszedł na świat. Teraz przyjeżdżał tu na polowania, ale to miejsce znaczyło dla niego o wiele więcej: tu zawsze odnajdował spokój i kontakt z rzeczywistością; tutaj uciekał przed szaleńczym rytmem swego życia. Z rękami w kieszeniach rozglądał się po sprzętach, patrząc na nie oczami dorosłego.

- Za każdym razem ten dom wydaje mi się mniejszy, niż go zapamiętałem - zwrócił się do ogorzalego mężczyzny w średnim wieku, który właśnie stanął w drzwiach z ciężkimi worami żywności.

- Jak jesteś mały, to i wszystko wydaje się wielkie - odrzekł Jake, bezceremonialnie rzucając worki na zakurzoną komodę. - To będzie wszystko, z wyjątkiem moich zabawek.

Wyciągnął zza pasa pistolet i położył go na stole.

- Pójdę do koni.

Ian mechanicznie skinął głową, ale myślami nadal krążył wokół domu. Ogarnęła go nostalgia na wspomnienie spędzonych tu lat dzieciństwa. Słyszał głęboki głos ojca i radosny śmiech matki. Na prawo znajdował się kominek z paleniskiem, na którym matka przygotowywała posiłki, zanim w domu postawiono kuchnię. Po obu stronach kominka stały dwa wysokie skórzane fotele, w których rodzice spędzali długie, spokojne wieczory, rozmawiając cicho, żeby nie przeszkadzać Ianowi i jego młodszej siostrze, śpiącym na górze. W głębi pokoju zobaczył starą kanapę, obitą mocną skórą i przykrytą brązowym pledem.

Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak Ian zapamiętał. Odwrócił się, popatrzył na zakurzony stół i z uśmiechem przeciągnął po nim ręką, długimi palcami szukając głębokich żłobień. Zajął mu to dłuższą chwilę, ale w końcu się pojawiły wyryte niezgrabnie litery: I. G. B. T. - jego inicjały, które wyciął, gdy miał jakieś trzy latka. Ta psota zakończyła się solidną burą, przerwana w połowie, kiedy matka uświadomiła sobie, że Ian samodzielnie uczy się czytać.

Następnego dnia rozpoczęto naukę, a kiedy już matka podzieliła się z synem całą swą mądrością, pałeczkę przejął ojciec. To on tłumaczył Ianowi zasady geometrii i fizyki, przekazując wiedzę zdobytą w Eton i Cambridge. Kiedy chłopiec skończył czternaście lat, w domu pojawił się Jake Wiley, żeglarz i obieżyświat. Od niego Ian dowiedział się o tajemnicach morza i statków, usłyszał opowieści o dziwnych lądach na drugim końcu świata. Później wyruszył z Jakiem w świat, by zobaczyć wszystko na własne oczy i zrobić użytek ze

swej wiedzy.

Po trzech latach Ian wrócił do domu, nie mogąc się doczekać spotkania z rodziną, tymczasem czekała go tragiczna wiadomość, że parę dni wcześniej wszyscy zginęli w pożarze w gospodzie, gdzie się zatrzymali, by czekać na jego przybycie. Do tej pory Ianowi krwawiło serce, ilekroć pomyślał o matce i ojcu, tym dumnym człowieku, który wyrzekł się szlachectwa, gdyż wolał poślubić siostrę biednego szkockiego duchownego. W ten sposób nieodwołalnie stracił książęcy tytuł... i drwił sobie z tego. Tak przynajmniej twierdził.

Powrót tutaj po dwóch długich latach budził bolesne, a zarazem słodkie wspomnienia. Ian odchylił głowę i zamknął oczy, by opanować wzruszenie. Zobaczył uśmiechniętego ojca, który ścisnął mu rękę przed pierwszą podróżą z Jakiem.

- Uważaj na siebie - powiedział wtedy synowi. - I pamiętaj, nawet na drugim końcu świata zawsze będę przy tobie.

Ian wyruszył jako ubogi syn wydziedziczonego angielskiego szlachcica, a za cały majątek musiała mu wystarczyć sakiewka złotych monet, otrzymanych od ojca na szesnaste urodziny. Teraz, po piętnastu latach, pod banderą Thorntona pływała cała flota statków; z jego kopalni wydobywano srebro i cynę; w jego magazynach leżały cenne towary. Ale bogactwo zawdzięczał ziemi. Dużej, nieurodzajnej parceli, wygranej w karty od awanturnika, który zaklinał się, że jest na niej złoto. I nie kłamał. Dzięki temu kruszcowi Ian kupił następne kopalnie, statki i królewskie rezydencje we Włoszech i Indiach.

Stawianie wszystkiego na kolejne inwestycje sownie się opłacało. Kiedyś w wielkim świecie nazywano go hazardzistą i niepoprawnym graczem, teraz zaś wszyscy traktowali go jak mitycznego władcę o złotych palcach. Ilekroć kupił jakieś akcje, na giełdzie wrzało i natychmiast rosły ceny. Jeśli pojawił się na balu, lokaj donośnym głosem obwieszczał jego przybycie. Ci sami ludzie, którzy niegdyś traktowali go jak pariasa i patrzyli nań z góry, teraz skwapliwie zabiegali o jego względy - a ściślej, widzieli w nim doradcę finansowego bądź jakże pożądanego bogatego zięcia. Dzięki zdobytemu bogactwu Ian mógł się pławić w luksusie, ale nie przyniosło mu ono radości. Zawsze najbardziej pociągała go sama gra, wyzwanie: wybór kolejnego przedsięwzięcia i dreszczyk emocji, jaki towarzyszył postawieniu wszystkiego na jedną kartę. Niestety, sukces miał swoją cenę: Ian stracił prawo do prywatności i to go drażniło.

Dodatkową, tak nielubianą, sławę przynosiły mu jeszcze działania dziadka. Po śmierci ojca Iana starego księcia najwyraźniej ogarnęły wyrzuty sumienia i od dwunastu lat pisywał do wnuka. Początkowo zapraszał młodzieńca, by go odwiedził w Stanhope. Kiedy Ian nie odpowiadał, spróbował przekupstwa i kusił obietnicą wyznaczenia go swym jedynym

prawowitym dziedzicem. Na te propozycje również nie było odpowiedzi i dziadek na dwa lata zamilkł. Ian dał się zwieść milczeniu starca i sądził, że ma już spokój. Tymczasem jednak cztery miesiące temu otrzymał kolejny list z księżęcą koroną Stanhope'ów, co doprowadziło go do furii.

Dziadek władcym tonem oświadczał, że daje mu cztery miesiące na stawienie się w siedzibie rodu aby ustalić warunki przekazania wnukowi sześciu posiadłości - tych, które należałyby do ojca Iana, gdyby księżę go nie wydziedziczył. List kończył się groźbą, że jeśli Ian się nie pojawi, starzec i tak przeprowadzi swoją wolę i publicznie ogłosi go swym dziedzicem.

Ian po raz pierwszy odpisał na list księcia. Odpowiedź była krótka i zdecydowana. Stanowiła zarazem dowód, że Ian Thornton jest równie nieugięty, jak jego dziadek, który przed wieloma laty wyrzekł się własnego syna.

Tylko spróbuj, a wyjdiesz na głupca. Wyprę się wszelkich związków z tobą, a jeśli nie dasz mi spokoju, dopilnuję, by Twój tytuł i majątek szczyły.

Minęły cztery miesiące, a stary księżę nie dał znaku życia, jednak w Londynie nadal huczało od plotek, że Stanhope zamierza oficjalnie wyznaczyć swojego dziedzica i że będzie to jego nisko urodzony wnuk, Ian Thornton. Teraz zaproszenia sypały się drzwiami i oknami, od tych samych ludzi, którzy kiedyś zatrzasnęli mu drzwi przed nosem. Ich hipokryzja na przemian to bawiła, to odrzucała Iana.

- Ten kary, którego wzięliśmy do dźwigania pakunków, to wredne diablisko - narzekał Jake, rozcierając ramię.

Ian oderwał wzrok od swoich inicjałów, wyrytych na stole i nie kryjąc rozbawienia, popatrzył na starego towarzysza.

- Ugryzł cię, co?

- Żebyś wiedział, że ugryzł - odparł z goryczą tamten. - Patrzył na mnie koso od samego Hayborn, kiedy wrzuciliśmy mu na grzbiet ciężary i kazaliśmy taszczyć aż na górę.

- Ostrzegałem cię, że gryzie wszystko, co mu się nawinie pod zęby. Po prostu uważaj na ręce, kiedy go siodłasz.

- Ale on nie polował na moje ręce, tylko na zadek! Już rozdziawił pysk, kiedy zauważyłem to kątem oka i zdążyłem się uchylić. - Widząc rozbawienie Iana, Jake jeszcze bardziej Spochmurniał. - Nie wiem, po co właściwie go trzymasz. Szkoda dla niego obroku. Nie zasługuje, by dzielić stajnię z twoimi pozostałymi wierzchowcami. Wszystkie są piękne jak marzenie, z wyjątkiem tego drania.

- Spróbowałbyś okulbaczyć którąś z tych moich piękności, tobyś zrozumiał, czemu go

trzymam. Jako jedyny z mojej stadniny nadaje się do dźwigania ciężarów.

Ian podniósł głowę, rozejrzał się po mieszkaniu i zmarszczył brwi na widok brudu i kurzu, jaki zalegał na wszystkich meblach.

- Jest wolniejszy od muła - odparował Jake. - Wredny, uparty, a do tego powolny - podsumował, również patrząc z niezadowoleniem na warstwy kilkumiesięcznego kurzu. - Przecież mówiłeś, że przyjdą tu jakieś wieśniaczki do sprząwania i gotowania. Tu się nie da mieszkać.

- Podyktowałem Petersowi list do zarządcy, w którym prosiłem go o zaopatrzenie domu w żywność i sprowadzenie dwóch kobiet, które by posprzątały i gotowały. Jedzenie jest, w oborze widziałem kury. Widocznie nie udało mu się znaleźć służących.

- Oby tylko wybrał jakieś urocze dzierlatki. Napisałeś, że gosposie mają być ładniutki?

Ian przerwał kontemplację pajęczyn na suficie i popatrzył na niego rozbawiony.

- Mam polecić siedemdziesięcioletniemu, półślepemu zarządcy, żeby wybrał ładne dzierlatki?

- Nie wadziłoby wspomnieć - burknął Jake, ale minę miał skruszoną.

- Wioska jest zaledwie dwadzieścia kilometrów stąd. Jeśli odczujesz nagłą potrzebę kobiecego towarzystwa, możesz się przespacerować. Oczywiście, droga powrotna może cię wykończyć - zażartował Ian.

Kręta ścieżka, którą przybyli, pięła się po niemal pionowej ścianie.

- Co nam po babach! - błyskawicznie zmienił zdanie Jake. Na jego ogorzałej, pomarszczonej twarzy zagościł błogi uśmiech. - Przyjechałem tu, aby przez dwa tygodnie łowić ryby i odpoczywać. To każdemu wystarczy do szczęścia. Będzie jak za dawnych lat, Ianie: spokój, cisza i nic poza tym. Żadnych wścibskich służących, którzy podsłuchują każde słowo. Żadnych powozów ani dwukótek, swatek ani przyszłych teściowych, co chwila podjeżdżających pod drzwi. Coś ci powiem, chłopcze. Nie chciałem narzekać na twój tryb życia z ostatniego roku, ale przyznam, że nie znoszę tej całej służby domowej. Dlatego tak rzadko cię odwiedzałem. Twój lokaj w Montmayne tak zadziera nosa, że nie pojmuję, jakim cudem udaje mu się wciągać powietrze. A ten twój francuski kucharz wyrzucił mnie ze swojej kuchni. Tak powiedział: to jego kuchnia! A do tego... - Stary wilk morski nagle urwał. Nie był już rozdrażniony, tylko załamany. - Ianie... - spytał zaniepokojony - nauczyłeś się może ostatnio gotować?

- Nie, a ty?

- Piekło i szatani, nie! - zawołał Jake przerażony perspektywą jedzenia tego, co sam

sobie przyrządzi.

- Lucindo - powtórzyła po raz trzeci w ciągu ostatniej godziny Elizabeth - nie wiem, jak cię przeproszać.

Pięć dni temu panna Throckmorton - Jones przybyła do gospody nad szkocką granicą, gdzie czekała hrabianka, i razem wyruszyły w podróż do Iana Thorntona. Dziś rano w wynajętym powozie pękła oś i teraz obie kobiety jechały na zwykłym chłopskim wozie. Ich kufry trzęsły się i chygotały na wyboistej ścieżce, którą w Szkocji szumnie nazywano drogą. Perspektywa, że zajadą przed dom Iana Thorntona wiejską furmanką była tak przerażająca, że Elizabeth wolała się skupić na swoim poczuciu winy, zamiast na nieuchronnym spotkaniu z potworem, który zniszczył jej życie.

- Jak już wspomniałam przy okazji twoich ostatnich przeprosin - odrzekła Lucinda - to nie twoja wina, a zatem nie musisz przeproszać za opłakany stan dróg i brak cywilizowanych pojazdów w tym dzikim kraju.

- Owszem, ale gdyby nie ja, nie musiałabyś tu przyjeżdżać.

Starsza dama westchnęła niecierpliwie i przytrzymała się wozu, który podskoczył na wyjątkowo głębokim wyboju, po czym się wyprostowała.

- Jak już wcześniej przyznałam, to ja nieopatrznie podałam twojemu stryjowi nazwisko Iana Thorntona, zatem to z mojej winy obie i u się znalazłyśmy. Ty zaś po prostu odczuwasz lekkie zdenerwowanie na niezbyt miłą myśl o rychłym spotkaniu z tym człowiekiem i doprawdy nie ma powodów... - Furmanka znowu niebezpiecznie się przechyliła i obie kobiety walczyły o utrzymanie równowagi. - ...Doprawdy nie ma powodów, by dalej przeproszać. Lepiej wykorzystasz ten czas, szykując się do nieprzyjemnego spotkania.

- Oczywiście, masz rację.

- Naturalnie - odrzekła bez wahania Lucinda. - Jak ci wiadomo, ja zawsze mam rację. Prawie zawsze - poprawiła się, przypomniawszy sobie, że dała się podejść Juliusowi Cameronowi i wymieniła nazwisko Iana Thorntona jako jednego z wielbicieli Elizabeth.

Jak wyjaśniła swej podopiecznej po przybyciu do gospody, zrobiła to tylko dlatego, że stryj zaczął wypytywać o reputację bratanicy w czasie jej londyńskiego debiutu i o to, czy dziewczyna cieszyła się dużym powodzeniem. Sądząc, że dotarły do niego złośliwe plotki o Elizabeth i Thorntonie, usiłowała ratować sytuację, włączając go do listy kandydatów ubiegających się o rękę hrabianki.

- Wolałabym stawić czoło samemu diabłu niż temu człowiekowi - powiedziała, wzdrygając się, Elizabeth.

- Rozumiem - przyznała jej rację Lucinda, jedną rękę zaciskając na parasolce, a drugą na brzegu wozu.

Im bardziej się zbliżały do celu podróży, tym bardziej rosło zmieszanie i rozdrażnienie Elizabeth. Przez pierwsze cztery dni podróży jej napięcie łagodziły malownicze pejzaże dzikiej Szkocji: wzgórza i głębokie doliny, głogi i kobierce dzwonków. Teraz jednak, w miarę jak zbliżała się chwila konfrontacji, nawet widok stoków obsypanych wiosennym kwieciami ani jasnoniebieskich jezior, rozciągających się w dole, nie mógł ukoić zdenerwowania biednej dziewczyny.

- Poza tym nie wierzę, by w ogóle zamierzał się ze mną spotkać.

- Wkrótce się o tym przekonamy.

Na wzgórzu, ponad krętą ścieżką, nazywaną tu drogą, jakiś pasterz gapił się na stary drewniany wóz kolebiący się niżej.

- Chodźże tu ino, Will - zawołał do brata. - Czy mnie oczy mylą?

Brat popatrzył w dół i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając bezzębne usta, na widok dwóch dam - w pełnym rynsztunku: czepki, rękawiczki, wytworne suknie - które siedziały z godnością na ławeczce z tyłu furmanki Seana MacLeasha. Obie były wyprostowane jak struna, tylko nogi dyndały im nad ziemią.

- To bije wszystko na głowę - roześmiał się Will i zdjął z głowy czapkę w drwiącym geście pozdrowienia. - Słyszałem w wiosce, że Ian Thornton wraca do domu. Teraz mogę się założyć, że już przyjechał, a te dwie aligantki będą mu ogrzewać łóżko i skakać przy nim.

Panna Throckmorton - Jones, w błogiej nieświadomości, jakie przypuszczenia snują postronni obserwatorzy ich podróży, toczyła bezskuteczną walkę z kurzem, opadającym na jej czarną spódnicę. - Nigdy w życiu nie spotkałam się z takim traktowaniem - syknęła rozwścieczona, kiedy wóz po raz kolejny z trzaskiem podskoczył na wyboju tak mocno, że kobiety zderzyły się ramionami. - Możesz być pewna, że już ja powiem panu Thorntonowi, co myślę o zapraszaniu dam do takiej przeklętej głuszy. A do tego nawet nie wspomniał, że wygodny powóz jest za szeroki na te przekłete drogi. Elizabeth już miała coś odpowiedzieć, by udobruchać swą towarzyszkę, kiedy wóz znowu gwałtownie szarpnął, więc tylko z całej siły przytrzymała się deski.

- Nie zdążyłam go dobrze poznać, Lucy - odezwała się, kiedy na chwilę furmanka przestała się kołysać - ale podejrzewam, że wcale by go nie obchodziły nasze uczucia. Jest niewychowany i z nikim się nie liczy - a to są jego zalety...

- Prrr...! - zawołał woźnica, ściągając lejce. Furmanka zatrzymała się ze skrzypieniem.

- Tam, na górze, jest dom Thorntona - oświadczył, pokazując ręką kierunek.

Lucinda z rosnącą pasją patrzyła na spory, lecz niezbyt imponujący dworek, niemal całkowicie zasłonięty przez drzewa i całą swą lodowatą furię wyładowała na Bogu ducha winnym wieśniaku.

- Mylisz się, dobry człowieku - oświadczyła wyniośle. - Żaden rozsądny i zamożny szlachcic nie mieszkałby w takiej dziurze. Bądź łaskaw zawrócić tego swojego gruchota i odwieź nas do wioski, z której wyruszyliśmy. Tam ponownie spytamy o drogę. Najwyraźniej doszło do jakiegoś nieporozumienia.

Koń i chłopina obejrżeli się jednocześnie i popatrzyli na nią z identycznym wyrazem znużenia.

Koń zachował milczenie, ale wieśniak od dwudziestu kilometrów wysłuchiwał tych narzekań i miał ich serdecznie dość.

- Niech jaśnie pani... - zaczął, ale Lucinda wpadła mu w słowo.

- Nie nazywaj mnie jaśnie panią, wystarczy: panno Throckmorton - Jones.

- Jak tam sobie pani chce. Dowiozłem was na miejsce, tak jak się umawialiśmy. To jest dom Thorntona.

- Nie może nas pan tu zostawić! - zaperzyła się starsza dama.

Ale zmęczony woźnica poczuł nagły przypływ energii - zapewne na myśl, że wreszcie pozbędzie się niepożądanych pasażerek - i zeskoczył z wozu, po czym zaczął zrzucać ich kufry i paczki na skraj wąskiej ścieżki udającej drogę.

- A jeśli nikogo nie zastaniemy? - zawołała przerażona Lucinda, kiedy Elizabeth zlitowała się nad wieśniakiem i pomogła mu ściągnąć ciężki kufer.

- To zejdziemy na dół i będziemy czekać na kolejnego życzliwego wieśniaka, który nas zawiezie do wioski - oświadczyła dziewczyna z odwagą, jakiej wcale nie czuła.

- Nie liczyłbym na to - odrzekł woźnica, kiedy Elizabeth włożyła mu do ręki monetę. - Dziękuję, jaśnie pani, bardzo dziękuję. - Uniósł czapkę i uśmiechnął się do młodszej pasażerki o twarzy anioła i cudownych blond włosach.

- Czemu nie możemy na to liczyć? - spytała Lucinda.

- Bo - odrzekł wieśniak, wdrapując się na wóz - przez najbliższy tydzień, a może nawet i dwa, nikt tędy nie przejedzie. Znosi się na deszcze. Jutro, najpóźniej pojutrze. A kiedy leje, nie przejedzie tędy żaden wóz. Zresztą - ulitował się nad młodą panią, która nagle pobladła - widzę dym z komina, a to znaczy, że ktoś tam jest.

Szarpnął podniszczone lejce i odjechał. Elizabeth i Lucinda przez dłuższą chwilę stały w chmurze pyłu. Wreszcie dziewczyna otrząsnęła się z przygnębienia i zmusiła do zapanowania nad sytuacją.

- Lucy, weź kufer z tej strony, a ja z tej. Wspólnie zaniesiemy go na górę.

- Wykluczone! - oburzyła się jej opiekunka. - Zostawimy wszystko tutaj, niech pan Thornton przyśle służbę po nasze bagaże.

- Mogłybyśmy tak zrobić, ale to zdradliwa, stroma ścieżka, a kufer nie jest taki ciężki. Zaoszczędzimy komuś dodatkowej mitręgi. Błagam cię, Lucy, nie mam już siły na kłótnie.

Starsza dama popatrzyła na bladą, napiętą twarz swego podopiecznej i darowała sobie komentarze.

- Masz rację - przyznała energicznie.

Elizabeth nie do końca jednak miała rację. Owszem, dróżka okazała się stroma, ale kufer, który początkowo wydawał się całkiem lekki, z każdym krokiem był coraz cięższy. Parę metrów przed domem obie kobiety zatrzymały się na odpoczynek, a potem Elizabeth sama chwyciła kufer.

- Podejdz do drzwi, Lucy - wysapała, lękając się, czy jej towarzyszka wytrzymałaby dalsze taszczenie bagażu. - Jakoś go dociągnę sama.

Panna Throckmorton - Jones popatrzyła na biedną, umęczoną dziewczynę i zawrzała w niej furia na myśl, że obie upadły tak nisko. Niczym generał szykujący się do ataku, szarpnęła rękawiczki, odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do drzwi. Podniosła parasolkę i rączką mocno zastukała do drzwi. Za nią Elizabeth wlokła z trudem kufer.

- Chyba nie sądzisz, że nikogo nie zastałyśmy? - wysapała, przeciągając go przez ostatnie kilka kroków.

- Jeśli ktoś tam jest, to widocznie ogłuchł - oświadczyła Lucinda.

Zaczęła bębnić parasolką do drzwi. Od jej łomotu zatrzęsł się cały dom.

- Otwierać, powiadam! - wrzasnęła.

Po trzeciej serii uderzeń drzwi nagle się otworzyły i pojawił się w nich starszy mężczyzna. Na jego czole wylądowała rączka parasolki.

- Niech mnie kaczki podepczą! - zaklął Jake i złapał się za głowę.

Nieprzytomnie gapił się na dostojną damę w przekrzywionym czepku na szpakowatych, kręconych włosach, która mierzyła go wściekłym wzrokiem.

- Już cię podeptały, zwłaszcza po uszach! - poinformowała go siwa kobieta, chwyciła Elizabeth za rękaw i wciągnęła ją do mieszkania. - Oczekujecie nas - oznajmiła Jake'owi.

Jeszcze oszołomiony mężczyzna popatrzył na rozczochrane, pokryte kurzem podróżne i błędnie wywnioskował, że wreszcie pojawiły się tak niecierpliwie wyglądane pomocnice ze wsi, które posprzątają i ugotują posiłek dla niego oraz Iana. Natychmiast się rozpogodził, zapomniał o śliwce na czole, a na jego ogorzalej twarzy zagościł szeroki uśmiech. Wpuścił

przybyłe do środka.

- Witajcie, witajcie - zapraszał szerokim gestem, obejmującym całe zakurzone pomieszczenie. - Od czego zaczniecie?

- Od gorącej kąpieli - oświadczyła Lucinda. - Po niej zaś przyjdzie kolej na herbatę i posiłek.

Elizabeth kątem oka dostrzegła wysokiego mężczyznę, który wszedł do pokoju z drugiego pomieszczenia i przeszył ją dreszcz trwogi.

- Nie wiem, czy potrzebuję kąpieli już teraz - zaprotestował Jake.

- Nie dla ciebie, bęcwale, tylko dla hrabianki Cameron.

Dziewczyna przysięgłaby, że Ian Thornton znieruchomiał ze zdumienia. Gwałtownie odwrócił się w jej stronę, jakby próbował przeniknąć wzrokiem budkę czepka, lecz Elizabeth, którą opanował nagły atak tchórzostwa, uparcie pochylała głowę.

- Pani życzy sobie kąpieli? - powtórzył tępo Jake, gapiąc się na Lucindę.

- Owszem, ale najpierw musi się odświeżyć hrabianka Cameron. Nie stój tak! - Nie dała mu dojść do słowa, tylko dźgnęła go parasolką. - Poślij służbę na dół, niech natychmiast przyniosą nasze bagaże.

Czubkiem parasolki znacząco wskazała drzwi, a potem znowu dźgnęła Jake'a w brzuch.

- Ale najpierw powiadom swojego pana o naszym przybyciu.

- Jego pan - odezwał się głos za ich plecami - już wie. Elizabeth odwróciła się, słysząc pełen jadu i pogardy głos Iana, po czym marzenie że na sam jej widok mężczyzna padnie do jej stóp, błyskawicznie się rozwiało. Twarz miał twardą i zimną, niczym wykutą w granicie. Nawet nie pofatygował się w ich stronę, tylko stał w progu, oparty o drzwi, z rękami zaplecionymi na piersi i przyglądał jej się zmrużonymi oczami. Do tej pory Elizabeth wydawało się, że doskonale zapamiętała Iana Thorntona, ale się myliła. Zamszowy surdut opinał jego szerokie bary, znacznie szersze i bardziej muskularne, niż zachowała to w pamięci. Gęste włosy były niemal czarne. Kształtne usta i niesamowite oczy nadal przykuwały wzrok do zmysłowej, przystojnej twarzy mężczyzny, ale teraz Elizabeth dostrzegła również cynizm w bursztynowych tęczówkach i cień bezwzględności w twardej linii szczęki. Wcześniej była po prostu zbyt naiwna, żeby to zauważyć. Ian Thornton promieniował brutalną siłą, przez co poczuła się jeszcze bardziej bezradna. Szukała w jego twarzy jakiegoś znaku, który przypominałby, że ten groźny mężczyzna kiedyś naprawdę czule, uwodzicielko ją pieścił i całował.

- Wystarczająco już się pani na mnie napatrzyła, hrabianko? - warknął.

Nie zdążyła się otrząsnąć z szoku po tym oburzającym powitaniu, kiedy padły następne słowa, które całkiem odebrały jej mowę.

- Jest pani naprawdę niezwykłą kobietą, hrabianko Cameron.

Charty mogłyby pani pozazdrościć węchu i instynktu myśliwego.

Wolę nie wiedzieć, jak mnie tu pani odnalazła. A skoro już pani osiągnęła cel, tam są drzwi. Proszę z nich skorzystać.

Miejsce szoku zajęła nagła, z trudem kontrolowana furia.

- Słucham pana? - wykrztusiła Elizabeth.

- Słyszała pani.

- Zostałam tu zaproszona.

- Oczywiście - drwił Ian.

Ze zdumieniem uświadomił sobie, że list od jej stryja nie był żartem i że najwyraźniej Julius Cameron uznał milczenie adresata za zgodę - co świadczyło wyłącznie o jego głupocie i zadufaniu. Od paru miesięcy, to jest od chwili, gdy zaczęto głośno mówić o jego bogactwie i prawdopodobnym pokrewieństwie z księciem Stanhope'em, Ian zdążył już przywyknąć, że o jego względy zabiegają ci, którzy jeszcze niedawno nim gardzili. Zwykle to go drażniło. Ale w wykonaniu Elizabeth Cameron budziło obrzydzenie.

Wpatrywał się w nią w milczeniu. Nie mieściło mu się w głowie, że ta niegdyś impulsywna, czarująca dziewczyna zmieniła się w chłodną, wyniosłą i opanowaną młodą kobietę. Nawet w zakurzonej sukni, ze smugą brudu na policzku Elizabeth Cameron wyglądała pięknie, choć tak się zmieniła, że gdyby nie oczy, zapewne by jej nie poznał. Jedno się wszakże nie zmieniło: nadal jest intrygantką i oszustką. Wyprostował się i wszedł do pokoju.

- Znudziła mi się ta szarada, panno Cameron. Nikt tu pani nie zapraszał i doskonale pani o tym wie.

Kipiąc z gniewu i upokorzenia, Elizabeth chwyciła sakiewkę i wyjęła z niej list otrzymany przez stryja, w którym Ian zapraszał ją właśnie do tego domu. Podeszła do Thorntona i rzuciła mu kartkę w pierś. Złapał list, ale go nie otworzył.

- Niech mi to pan wyjaśni - poleciła. Cofnęła się i czekała.

- Założę się, że to kolejny liścik - zauważył złośliwie.

Przypomniała mu się owa noc, kiedy spotkał się z tą dziewczyną w oranżerii. Jakimż był wtedy głupcem. Jakże dał jej się omotać!

Elizabeth nie ruszyła się z miejsca. Postanowiła, że przed wyjazdem będzie miała przynajmniej satysfakcję wysłuchania jego przeprosin. Bo oczywiście w żaden sposób nie

zdoła jej tu zatrzymać. Gdy Ian nie zamierzał otworzyć listu, zaatakowała Jake'a, który nie posiadał się z żalu, że jego towarzysz najwyraźniej chce wyprosić te dwie kobiety, chociaż - gdyby zostały - na pewno dałoby się je namówić do gotowania.

- Niech pan mu każe przeczytać list na głos - rozkazała zdumionemu Jake'owi.

- Ianie - tłumaczył, myśląc o pustym żołądku i ponurej przyszłości, jaka ich czeka, jeśli kobiety odejdą - przeczytajże, skoro panienka tak nalega.

A kiedy ten zignorował apel swego towarzysza, Elizabeth przestała nad sobą panować. Nie myśląc, co robi, chwyciła ze stołu pistolet, położyła palec na spuście i wymierzyła prosto w pierś Iana .

- Niech pan przeczyta ten list!

Jake, który nadal myślał głównie o swoim pustym żołądku, podniósł ręce, jakby dziewczyna mierzyła do niego.

- Ianie, przecież mogło dojść do jakiegoś drobnego nieporozumienia, a to nieładnie tak potraktować te miłe damy. Przeczytaj list, a potem spokojnie usiądziemy i zjemy sobie przyjemną... - znacząco skinął głową w kierunku worka z żywnością - ...kolacyjkę.

- Nie muszę go czytać - prychnął Ian. - Już raz przeczytałem list od panny Cameron, spotkałem się z nią w oranżerii, a w nagrodę zostałem postrzelony w ramię.

- Sugeruje pan, że to ja zaproponowałam panu spotkanie w oranżerii? - wyszczała Elizabeth.

- Skoro już pani się uparła, by odegrać tę pożałowania godną scenę - odparł Ian z ciężkim westchnieniem - zamknijmy już sprawę raz na zawsze, a potem niech się pani wynosi.

- Zaprzecza pan, jakoby przysłał mi list?

- Oczywiście że tak.

- To co pan robił w oranżerii? - odparowała.

- Zjawiłem się w odpowiedzi na niemal nieczytelną, nabazgraną wiadomość - wyjaśnił znużony, jeszcze bardziej ją obrażając. - Mogę pani coś poradzić? Zamiast tracić czas na melodramatyczne sceny, niech pani popracuje nieco nad kaligrafią.

Przeniósł wzrok na pistolet.

- I niechże pani odłoży broń, zanim zrobi sobie krzywdę.

Elizabeth mocniej zacisnęła pistolet w drżącej dłoni.

- Nie ominął pan żadnej okazji, by mnie upokorzyć i poniżyć. Gdyby tu był mój brat, wyzwiałby pana na pojedynek! A skoro go nie ma - ciągnęła prawie nieprzytomnie - sama zażądam satysfakcji. Gdybym była mężczyzną, mogłabym się domagać, by bronić swego

honoru na udeptanej ziemi. Nie pozwolę, by mi odmówiono tego prawa tylko dlatego, że urodziłam się kobietą.

- Mówi pani od rzeczy.

- Być może - odparła cicho - ale tak się składa, że potrafię doskonale strzelać. Okazałabym się znacznie trudniejszym przeciwnikiem niż mój brat. A teraz... załatwimy sprawę na zewnątrz, czy też mam... mam zastrzelić pana tutaj? - groziła.

Do tego stopnia nie panowała nad furją, że nawet nie pomyślała, jak czcze są jej pogroźki. Stangret nalegał, by dla własnego bezpieczeństwa nauczyła się władać bronią, ale choć faktycznie miała świetne oko, do tej pory strzelała wyłącznie do tarczy, a nie do żywej istoty.

- Nie postąpi pani tak idiotycznie. Wyżej podniosła broń.

- W takim razie żądam przeprosin. Natychmiast!

- Za co niby mam przeproszać? - spytał z tym samym doprowadzającym ją do szału spokojem.

- Zaczniemy od pańskiego listu, przez który dałam się namówić na tamto spotkanie w oranżerii.

- Nie napisałem żadnego listu, tylko otrzymałem. Od pani.

- Widzę, że ma pan prawdziwe kłopoty z ustaleniem, które listy pan wysyła, a których nie, prawda? Potem może mnie pan przeprosić, że próbował mnie uwieść i zniszczył mi pan reputację...

- Ianie! - zawołał wstrząśnięty Jake. - Co innego drwić z charakteru pisma młodej panny, a co innego zaszargać jej reputację! To mogłoby zrujnować jej życie!

Młody człowiek popatrzył na niego z ironią.

- Dziękuję, Jake, za tę cenną uwagę i oświecenie. Może pomożesz tej damie pociągnąć za spust?

Elizabeth uświadomiła sobie absurdalność sytuacji i nagle opuścił ją gniew, a jego miejsce zajęło rozbawienie. Oto mierzy z pistoletu do gospodarza pod jego własnym dachem, podczas gdy biedna Lucinda końcem parasolki dźga drugiego mężczyznę, który bezskutecznie usiłuje załagodzić sprawę i niechcący tylko dolewa oliwy do ognia. Wreszcie zdała sobie sprawę, jak próżne i bezsensowne są jej działania. Rozbawienie błyskawicznie się ulotniło. Po raz kolejny przez tego obrzydliwego człowieka zrobiła z siebie idiotkę. W jej oczach na nowo zapłonął gniew. Całą uwagę skupiła na Ianie.

Mimo pozornej nonszalancji baczenie się jej przyglądał. Znieruchomiał, instynktownie wyczuwając, że z niewiadomych przyczyn dziewczynę ogarnął jeszcze większy gniew.

Ruchem głowy wskazał pistolet. Z jego głosu zniknęła drwina, mówił neutralnym tonem.

- Zanim pani zrobi z niego użytek, należałoby rozważyć kilka kwestii.

Choć Elizabeth nie zamierzała strzelać, uważnie słuchała jego spokojnego głosu.

- Po pierwsze, będzie pani musiała być niezwykle szybka i opanowana, jeśli zamierza pani do mnie strzelić i załadować broń, zanim Jake panią obezwładni. Po drugie, czuję się w obowiązku uprzedzić, że strzałowi będzie towarzyszyło mnóstwo krwi. Oczywiście, ja się tym nie przejmuję, ale uważam, że powinienem panią ostrzec, że już nigdy nie będzie pani mogła włożyć tej pięknej sukni.

Elizabeth poczuła, jak zaciska jej się żołądek.

- Naturalnie, zawiśnie pani na szubienicy - ciągnął gospodarz tonem przyjacielskiej pogawędki - ale to będzie nic w porównaniu ze skandalem, jakiemu najpierw będzie pani musiała stawić czoło.

Ogarnęło ją takie obrzydzenie do siebie oraz Iana, że nawet nie zareagowała na tę ostatnią obraźliwą uwagę. Uniosła głowę i oświadczyła z godnością:

- Mam tego dość, panie Thornton. Nie sądziłam, że coś może dorównać pańskiemu obrzydliwemu zachowaniu w czasie naszych poprzednich spotkań, tymczasem jednak okazało się to możliwe. Niestety, nie jestem aż tak źle wychowana jak pan i nie potrafię atakować słabszych od siebie, a właśnie tak bym postąpiła, gdybym strzeliła do bezbronnego. Lucindo, wychodzimy - oznajmiła, po czym spojrzała na swojego milczącego wroga, który zrobił niebezpieczny krok w przód. Pokręciła głową i dodała z drwiącą uprzejmością: - Nie, proszę, niech pan nas nie odprowadza. Doprawdy, nie trzeba. Zresztą, właśnie tak pragnę pana zapamiętać: bezsilnego i upokorzonego.

Zdumiewające, lecz właśnie w tej najgorszej chwili życia Elizabeth poczuła niemal euforię, bo wreszcie coś zrobiła. Broniła swojego honoru, zamiast pokornie godzić się z losem.

Lucinda już czekała na zewnątrz. Elizabeth usiłowała wymyślić jakiś argument, który by odwiódł mężczyznę od sięgnięcia po pistolet, kiedy ona już wyjdzie. Zdecydowała, że powtórzy jego radę. I właśnie to zrobiła, cofając się do drzwi.

- Wiem, że serce panu pęka na myśl o rozstaniu - oświadczyła.

Głos i ręka tylko odrobinę jej drżały. - Ale zanim pan za nami pobiegnie, niech pan sobie przypomni swoją, jakże celną radę i zastanowi się, czy naprawdę warto mnie zabijać, żeby potem zawisnąć na szubienicy.

Odwróciła się na pięcie i już miała wyjść, kiedy krzyknęła z bólu. Potężny cios w ramię sprawił, że upuściła pistolet, a w ten samej chwili ktoś wykręcił jej rękę.

- Tak - zabrzmiał tuż przy jej uchu okropny głos. - Doszedłem do wniosku, że warto zawisnąć.

A kiedy już myślała, że zaraz trzaśnie jej kość, napastnik popchnął ją, tak że wypadła na podwórze i zatrzasnął za nią drzwi.

- Kto to widział takie traktowanie! - zawołała Lucinda, płonąca z oburzenia i mierząc wzrokiem zatrzaśnięte drzwi.

- Ja na pewno nie - odparła Elizabeth, otrzepując suknię z kurzu i postanawiając wycofać się z godnością. - Porozmawiamy o tym szaleńcu, kiedy już wrócimy na drogę, jak najdalej od tego domu. Bądź tak dobra i pomóż mi dźwigać kufer.

Lucinda ustąpiła z ponurą miną i obie ruszyły w dół, całą uwagę skupiając na tym, by iść z dumnie uniesioną głową.

W domu zaś Jake wsunął ręce w kieszenie i stał w oknie, patrząc na odchodzące kobiety. Na jego twarzy malował się szok i gniew.

- Słodki Jezu - odezwał się, spoglądając na Iana, który stał z nieotwartym listem w dłoni. - Ze też nawet w Szkocji baby nie dadzą ci spokoju! Ale to się skończy, kiedy tylko rozejdzie się wiadomość o twoich zaręczynach. - Podrapał się po rudej czuprynie i znowu popatrzył na ścieżkę. Kobiety zniknęły, więc opuścił stanowisko przy oknie. Ogarnął go niechętny podziw. - Jedno ci powiem. Ta mała blondyneczka to twarda sztuka, trzeba jej przyznać. Stała tu zimna jak gład, mierząc do ciebie i ubliżając ci. Nie znam mężczyzny, który by się na coś takiego odważył.

- Ona przed niczym się nie cofnie.

Ian przypomniał sobie młodzieńką kusicielkę sprzed półtora roku. Podczas gdy jej rówieśnice oblewały się rumieńcem albo się wdzięczyły, Elizabeth Cameron już w czasie pierwszego spotkania poprosiła go do tańca. Tego samego wieczoru stanęła w jego obronie wobec tłumu mężczyzn; następnego dnia ryzykowała reputację, by spotkać się z nim w lesie. A wszystko po to, żeby - jak to określiła w oranżerii - przeżyć „przelotną, krótką przygodę”. Widocznie od tamtej pory nadal tak się zabawiała - i nie kryła się z tym - inaczej stryj nie wysyłałby listów, oferując jej rękę praktycznie obcym mężczyznom. Tylko tak można było wyjaśnić oburzające, całkowicie pozbawione taktu i dobrego smaku zachowanie Juliusa Camerona, które wstrząsnęło łanem. Oczywiście, nasuwało się też drugie wytłumaczenie: hrabianka rozpaczliwie potrzebowała bogatego męża, lecz natychmiast je odrzucił. Kiedy się poznali, Elizabeth nosiła wspaniałe, kosztowne stroje. Zresztą u Charise zebrała się wyłącznie elita. A z plotek, które usłyszał wkrótce po tamtych pamiętnych wydarzeniach, wynikało, że hrabianka Cameron obracała się w najznakomitszych kręgach towarzyskich, stosownie do

swej pozycji.

- Ciekawym, co się z nimi stanie - odezwał się Jake ze zmarszczonym czołem. - Przecież w okolicy grasują wilki i inne dzikie zwierzęta.

- Żaden rozsądny wilk nie zaatakowałby tego straszego babiszona, wymachującego parasolką - odparował Ian, lecz poczuł się trochę niezręcznie.

- Oho! - zawołał ze śmiechem jego towarzysz. - Czyli to była przyzwoitką. A już sądziłem, że obie ubiegają się o twoje względy. Powiem szczerze, bałbym się zmrużyć oczy, gdybym miał przy sobie w łóżku tę siwą jędzę.

Ian nie słuchał. Odruchowo rozłożył kartkę. Domyślał się, że Elizabeth Cameron nie była na tyle głupia, by znowu nabazgrać coś tym swoim nieczytelnym, dziewczynskim pismem. Kiedy jednak zerknął na zgrabne, równe litery, w pierwszym momencie pomyślał, że poprosiła kogoś, żeby za nią napisał list... Ale wtedy rozpoznał słowa. Brzmiały dziwnie znajomo. Może dlatego że sam je wypowiedział.

Pańska propozycja ma sens. Pierwszego przyszłego miesiąca wyjeżdżam do Szkocji, nie mogę znowu odłożyć podróży. Zresztą, i tak wolałbym tam się spotkać. Załączam mapę ze wskazówkami, jak dotrzeć na miejsce. Serdecznie pozdrawiam, Ian Thornton.

- Niech niebo ma w swojej opiece tego durnia, jeśli kiedyś go jeszcze spotkam - wybuchnął.

- O kim mówisz?

- O Petersie!

- Jakim Petersie? - zdumiał się Jake. - A, o twoim sekretarzu? Przecież go zwolniłeś, bo wszystko mu się plątało.

- Należało go udusić! Tamten list był skierowany do Dickinsona Verleya, a ten osioł wysłał go do Camerona.

Rozwścieczony Ian bezradnie przeciągnął ręką po włosach. Choć o niczym tak nie marzył, jak o wyrzuceniu Elizabeth Cameron ze swojego domu i życia, nie mógł dopuścić, by dwie kobiety spędziły noc w powozie, albo innym środku lokomocji, którym przybyły, skoro zjawiły się tu z jego winy. Skinął na Jake'a.

- Jedź po nie.

- Ja? Czemu ja?

- Bo po pierwsze - odparł z goryczą Ian, podchodząc do szafki i zamykając w niej pistolet - zaczyna padać. A po drugie, jeśli ich nie sprowadzisz, sam będziesz musiał gotować.

- Jeśli mam się spotkać z tamtą jędzą, będę potrzebował czegoś na wzmocnienie. Taszcą kufer, więc daleko nie zajdą.

- Są pieszo? - spytał zaskoczony Ian.
- A jak, twoim zdaniem, tutaj dotarli?
- Ze złości o tym nie pomyślałem.

Na końcu ścieżki Elizabeth postawiła swój koniec kufra i całkowicie wyczerpana opadła ciężko obok Lucindy na jego twardą pokrywę. Co pewien czas zbierało jej się na śmiech, co było nerwową reakcją na zmęczenie, przerażenie, poczucie klęski i resztki triumfu, że choć trochę odegrała się na człowieku, który zrujnował jej życie. Dzisiejsze zachowanie Iana Thorntona dawało się wytłumaczyć tylko w jeden sposób: to kompletny wariat.

Potrząsnęła głową, żeby przestać o nim myśleć. Dość miała zmartwień i nie wiedziała, co robić. Spojrzała na swoją dzielną towarzyszkę i przelotnie się uśmiechnęła na wspomnienie jej zachowania u Thorntona. Z jednej strony jej przyzwoitką negowała wszelkie objawy emocji jako niestosowne, a z drugiej miała wyjątkowo wybuchowy temperament. Zupełnie, jakby swoich ataków gniewu nie uważała za okazywanie uczuć. Bez wahania ani cienia żalu Lucinda potrafiła słowem rozszarpać winowajcę na strzępki, a potem wgnieść go w ziemię i jeszcze rozdeptać obcasem solidnego pantofla.

Za to gdyby Elizabeth teraz przyznała się do strachu lub niepokoju o to, co je czeka, starsza dama natychmiast złodowaciałaby z oburzenia albo udzieliła jej ostrej reprymendy.

- Chyba zaczyna padać, Lucindo - zauważyła, gdy na liście drzew ponad ich głowami spadły pierwsze zimne krople.

- Na to wygląda - odparła panna Throckmorton - Jones. Jednym ruchem otworzyła parasol i osłoniła je obie.

- Całe szczęście, że masz parasol.
- Nigdy się z nim nie rozstaję.
- Nie jesteśmy z cukru, nie rozpuścimy się od małego deszczyku.
- Też tak przypuszczam.

Elizabeth zaczerpnęła tchu, by się uspokoić, i popatrzyła po surowych, szkockich wzgórzach.

- Sądysz, że są tu wilki? - spytała tonem kogoś, kto zna odpowiedź.
- Moim zdaniem - odrzekła Lucinda - drapieżne zwierzęta stanowią teraz poważniejsze zagrożenie dla naszego życia niż deszcz.

Słońce chyliło się ku zachodowi, wiosenne powietrze było dość ostre. Elizabeth nie miała wątpliwości, że gdy zapadnie noc, zamarzną tu z kretesem.

- Zrobiło się chłodnawo.
- Owszem.

- Ale w kufrach są ciepłe ubrania.
- W takim razie nie będziemy miały powodu do narzekań.

Zabłąkane poczucie humoru Elizabeth wybrało właśnie ten moment, żeby dać o sobie znać.

- Nie. Będzie nam ciepłutko i przytulnie, podczas gdy wokół nas zaczną się gromadzić wilki.

- Otóż to.

Histeria, głód i wyczerpanie, a do tego niewzruszony spokój Lucindy po jej wcześniejszym występie z parasolką sprawiły, że Elizabeth coraz bardziej chciało się śmiać.

- Oczywiście, jeśli wilki dowiedzą się, jak bardzo jesteśmy głodne, prawdopodobnie będą nas omijać szerokim łukiem.

- Bardzo pocieszająca perspektywa.

- Rozpalimy ognisko - ciągnęła dziewczyna, powstrzymując chichot. - Podobno ogień odstrasza dziką zwierzynę.

Starsza dama milczała, najwyraźniej pogrążona w myślach.

- Wiesz co, Lucindo? - wyznała jej po dłuższej chwili Elizabeth.

- Nie oddałabym dzisiejszego dnia za nic, po prostu za nic.

Panna Throckmorton - Jones uniosła wąskie, siwe brwi i zerknęła na swą podopieczną z powątpiewaniem.

- Zdaję sobie sprawę, że to brzmi co najmniej dziwnie, ale wyobrażasz sobie, jakie to było cudowne uczucie: przez chwilę trzymać go na muszce? Czy uważasz to za... dziwne? - spytała Elizabeth, kiedy Lucinda wpatrywała się w przestrzeń w gniewnym, pełnym zadumy milczeniu.

- Dziwi mnie wyłącznie - odezwała się w końcu zimno, z dezaprobatą, choć w jej głosie brzmiało również zaskoczenie - że budzisz w nim taką wrogość.

- Przemawia przez niego szaleństwo.

- Raczej rozgoryczenie.

- Ale z jakiego powodu?

- Bardzo dobre pytanie.

Elizabeth westchnęła. Jeśli Lucinda postanowiła rozwiązać nękający ją problem, nie zostawi go, dopóki nie rozwikła sprawy do końca. Nie znosiła sytuacji, których nie rozumiała. Elizabeth zaś - zamiast dumać nad pobudkami Iana Thorntona - skupiła się na bardziej istotnych sprawach. Stryj zaperzył się na propozycję, by stangret z powozem czekał na ich powrót ze Szkocji. Poleciał, by Aaron wrócił do Anglii natychmiast po odstawieniu ich obu do

szkockiej granicy. Stamtąd podróżowały już powozem wynajętym w gospodzie Wakeley. Za dwa tygodnie Aaron wróci tam i zabierze obie damy do domu. Oczywiście, mogły wrócić do zajazdu w Wakeley i czekać na stangreta, lecz Elizabeth nie miała pieniędzy na pokój dla siebie i Lucindy.

Chyba zdoła wynająć powóz w gospodzie i umówić się, że zapłaci po przyjeździe do Havenhurst, ale to mogłoby się okazać zbyt kosztowne na jej kieszeń, nawet gdyby uruchomiła cały swój talent do targowania się.

Najgorzej zaś przedstawiała się sytuacja ze stryjem. Na pewno wpadnie we wściekłość, jeśli bratanica zjawi się dwa tygodnie przed czasem - o ile w ogóle uda jej się wrócić do domu. Jak by na to zareagował?

W tej chwili jednak miała jeszcze poważniejszy problem: co teraz zrobić. Jak powinny sobie poradzić dwie bezbronne kobiety, zdane na łaskę losu, zostawione w szkockiej głuszy, nocą, na deszczu i zimnie?

Na kamienistej ścieżce rozległ się odgłos kroków. Wyprostowały się obie, usiłując ukryć rosnącą w sercach nadzieję i przybierając obojętny wyraz twarzy.

- Proszę, proszę, proszę - zahuczał Jake. - Cieszę się, że was dogoniłem...

Zgubił wątek na widok przekomicznego widoku dwóch sztywno wyprostowanych kobiet, siedzących razem pod parasolem na kufrze w środku dzikiej głuszy.

- Hm... A gdzie wasze konie?

- Nie mamy koni - oznajmiła z wyższością Lucinda tonem sugerującym, że takie bestie stanowiłyby tylko zawadę podczas wycieczki.

- Nie? To jak się tu dostałyście?

- Pojazd kołowy dowiózł nas w to przeklęte miejsce.

- Rozumiem.

Zamilkł. Elizabeth właśnie zamierzała powiedzieć coś dla załagodzenia sytuacji, kiedy jej opiekunka straciła cierpliwość.

- Rozumiem, że zjawileś się tu, by prosić nas o powrót?

- Tego... Tak. Tak, właśnie.

- W takim razie bierz się do roboty. Nie mamy czasu.

Dziewczyna pomyślała, że Lucinda kłamie jak najęta. Jake najwyraźniej nie wiedział, jak wybrnąć z tej sytuacji, więc panna Throckmorton - Jones wstała, by ułatwić mu zadanie.

- Rozumiem, że pan Thornton bardzo żałuje swojego niewybaczalnego i niegodnego zachowania?

- Tego... Tak. Chyba tak. Tak to wygląda.

- Niewątpliwie osobiście nam to powie, gdy się zjawimy w jego progach.

Jake się zawahał. Z jednej strony nie ulegało wątpliwości, że Ian nie zamierza przeproszać obu pań, a z drugiej był też pewien, że jeśli ich nie sprowadzi, sam będzie musiał ugotować sobie kolację i położyć się spać z ciężkim żołądkiem oraz równie ciężkim sumieniem.

- Zostawmy to jemu - wybrnął wreszcie.

Starsza dama wyniośle skinęła mu głową i ruszyła ścieżką w stronę domu.

- Weź bagaże. Chodźmy, Elizabeth.

W drodze powrotnej w myślach dziewczyny toczyło walkę pragnienie ucieczki z satysfakcją wysłuchania przeprosin Iana. Kiedy weszły do domu, w kominku płonął ogień, a - co skonstatowała z prawdziwą ulgą - gospodarza nie było w pokoju.

Zjawił się po chwili, bez surduta, niosąc naręcze drewna, które rzucił obok paleniska. Wyprostowawszy się, zwrócił się do Elizabeth, która obserwowała go z wystudiowanym chłodem.

- Zdaje się, że doszło do nieporozumienia - odezwał się krótko.

- Czyżby przypomniał pan sobie, że wysłał ten list?

- Pani stryj dostał go przez pomyłkę. Zapraszałem tu kogoś innego. Niestety, list trafił do pana Camerona.

Do tej pory dziewczynie wydawało się, że już nic nie może jej bardziej upokorzyć. Tymczasem teraz nie miała nawet prawa wybuchnąć świętym oburzeniem, za to musiała stawić czoło świadomości, że jest nieproszonym gościem człowieka, który po raz drugi ją ośmieszył.

- Jak się tu dostałyście? Nie słyszałem koni, a zresztą cudów nie ma: powóz za nic by tu nie wjechał.

- Przywiózł nas tu pojazd kołowy - wybrnęła, cytując wyrażenie Lucindy. - Ale już odjechał.

Ian zmrużył oczy ze złości, uświadomiwszy sobie, że jest skazany na towarzystwo nieproszonych gości, chyba że straci kilka dni, odwożąc kobiety do najbliższej gospody.

Bojąc się, że nie zdoła powstrzymać łez, które piekły ją pod powiekami, Elizabeth odwróciła głowę, udając, że podziwia sufit, stare drewniane schody, ściany, cokolwiek. Przez zamglone oczy po raz pierwszy dostrzegła, że cały dom wygląda, jakby od roku go nie sprząrano.

Stojąca obok Lucinda przyglądała się otoczeniu spod zmrużonych powiek i doszła do tego samego wniosku.

Przeczuwając, że starsza dama zrobi jakąś kąśliwą uwagę na temat domu Iana , Jake postanowił ratować sytuację.

- W takim razie... - odezwał się z wymuszoną jowialnością, zacierając ręce i podchodząc do ognia - skoro już wszystko sobie wyjaśniliśmy, może dokonamy prezentacji? A potem zakrzątniemy się przy kolacji.

Popatrzył na Iana , licząc, że się tym zajmie, ale gospodarz nie przedstawił ich sobie zgodnie z zasadami dobrego wychowania, tylko chłodno skinął głową w stronę pięknej blondynki i oświadczył:

- Elizabeth Cameron, Jake Wiley.

- Miło mi pan poznać, panie Wiley - powiedziała Elizabeth.

- Proszę mi mówić po imieniu - odrzekł Jake pogodnie, po czym z nadzieją zwrócił się do nachmurzonej damy do towarzystwa. - A pani?

W obawie, że Lucinda za chwilę rozerwie Iana na strzępy za tak subtelne wypełnienie obowiązku gospodarza, Elizabeth pośpiesznie wyjaśniła:

- To moja towarzyszka, panna Lucinda Throckmorton - Jones.

- Do kroćset! Podwójne nazwisko. Nie ma co zawracać sobie głowy ceregielami, skoro i tak będziemy na siebie skazani przez te parę dni. Proszę mi mówić: Jake. A ja jak mam się do pani zwracać?

- Może być: panno Throckmorton - Jones - odparła, patrząc na niego z góry.

- Tego... Jak pani sobie życzy.

Błagalnie zerknął na Iana , którego wyraźnie rozbawiły te próżne wysiłki, zmierzające do wprowadzenia życzliwszej atmosfery. Stropiony Jake przeczesał palcami potargane włosy i przywołał na twarz sztuczny uśmiech. Nerwowym ruchem ręki ogarnął brudny pokój.

- Cóż, gdybyśmy wiedzieli, że... tego... będziemy mieć takie... wi... wytworne towarzystwo, na pewno byśmy...

- Odkurzyli krzesła - dokończyła lodowato Lucinda. - Zamietli podłogę?

- Lucindo! - szepnęła zdesperowana Elizabeth. - Przecież panowie się nie spodziewali, że przyjedziemy.

- Żaden szanujący się człowiek nie zatrzymałby się w takim brudzie nawet na jedną noc - odparowała szacowna dama, a Elizabeth z mieszaniną podziwu i skrepowania obserwowała, jak jej imponująca opiekunka odwraca się, by zaatakować niechętnego gospodarza. - Pan odpowiada za to, że się tu znalazłyśmy, niezależnie czy stało się to z pańskiej winy, czy nie. Oczekuję, że wyciągnie pan służbę z kryjówki i każe natychmiast przynieść dla nas świeżą pościel. Oczekuję również, że rano ta nora zostanie doprowadzona

do porządku. Pańskie zachowanie nie pozostawia cienia wątpliwości, że nie można pana nazwać dżentelmenem, my jednak jesteśmy damami i żądam, by właśnie tak nas traktowano.

Elizabeth kątem oka obserwowała Iana Thorntona, który słuchał tej tyrady z zaciśniętymi ustami. Na szyi niepokojąco pulsowała mu żyłka. Lucinda jednak albo tego nie dostrzegła, albo nic jej to nie obchodziło. Uniosła spódnicę, by wejść na schody, ale najpierw zwróciła się do Jake'a.

- Proszę nas zaprowadzić do sypialni. Chcemy odpocząć.

- Odpocząć? - zawołał wstrząśnięty Wiley. - Ale... ale co z kolacją?

- Możecie nam ją przynieść na górę.

Elizabeth dostrzegła jego zdumienie, więc postanowiła wytłumaczyć rudowłosemu mężczyźnie, do czego zmierzała jej rozdrażniona towarzyszka.

- Panna Throckmorton - Jones miała na myśli, że odczuwamy zmęczenie po wyczerpującej podróży i niezbyt udanym spotkaniu, dlatego wolałybyśmy spożyć posiłek w naszych pokojach.

- Będziecie jeść - odezwał się Ian Thornton głosem, od którego dziewczynie zastygła krew w żyłach - to, co same sobie ugotujecie, szanowne panie. Jeżeli zaś życycie sobie czystej pościeli, możecie ją wziąć same z bieliźniarki. A jeśli chcecie mieć czyste pokoje, same je posprzątajcie! Czy jasno się wyraziłem?

- Najzupełniej - zaczęła rozjuszona Elizabeth, ale przerwała jej Lucinda.

- Czyżby pan sugerował, że mamy wykonywać pracę służących? - Głos drżał jej z gniewu.

Kontakty z wielkim światem oraz z Elizabeth nauczyły Iana głębokiej pogardy wobec zarozumiałych, płytkich, egoistycznie nastawionych młodych panien, które marzyły tylko o tym, by przy minimalnym wysiłku mieć jak najwięcej sukni i biżuterii. Dlatego skierował swój atak na dziewczynę.

- Dobrze radzę, niech po raz pierwszy w swoim pustym, bezsensownym życiu zakasze pani rękawy i sama się o siebie zatroszczy.

W zamian zapewnię pani dach nad głową i jedzenie, dopóki nie uda mi się zdobyć dla was transportu do wioski. Jeśli natomiast to zadanie panią przerasta, moja pierwsza propozycja nadal pozostaje aktualna: tam są drzwi, proszę z nich skorzystać.

Elizabeth zdawała sobie sprawę, że Ian zachowuje się irracjonalnie i nie zamierzała się zniżyć do odpowiedzi, dlatego zwróciła się do towarzyszki.

- Lucinda - powiedziała z rezygnacją - szkoda twoich nerwów i czasu na tłumaczenie panu Thorntonowi, że to my cierpimy na skutek jego pomyłki, a nie odwrotnie. Prawdziwy

dżentelmen sam by zrozumiał, że powinien przeprosić, a nie urządzać awantury. Niestety, tak jak uprzedzałam cię przed przyjazdem tutaj, pan tego domu nie jest dżentelmenem. Prawda zaś wygląda tak, że upokarzanie innych to dla niego świetna rozrywka i dopóki będziemy tu stać, nie przestanie nas obrażać. - Zmierzyła Iana wzrokiem pełnym wyższości i pogardy. - Dobranoc, panie Thornton. - Potem odwróciła się i nieco łagodniejszym tonem dodała:

- Miłego wieczoru, panie Wiley.

Kiedy już udały się do swoich sypialni, Jake zaczął grzebać w wiktuałach. Wyjął chleb oraz ser i nasłuchiwał, jak obie damy chodzą po piętze, wyjmując pościel i ścieląc sobie łóżka. Zjadłszy, nalał do dwóch kieliszków madery. Zerknął na Iana .

- Powinieneś coś zjeść.

- Nie jestem głodny - odparł krótko jego przyjaciel.

Zaskoczony Jake przyglądał się temu nieodgadnionemu mężczyźnie, który z napiętą twarzą siedział w oknie, zapatrzony w mrok.

Choć na górze już od dobrej półgodziny panowała cisza, Jake'a ogarnęły wyrzuty sumienia, że przybyłe nic nie jadły.

- Może coś im zaniose? - zapytał niepewnie.

- Nie. Jeśli zgłodnieją, mogą tu zejść i posilić się z nami.

- Nie przyjąłeś ich szczególnie gościnnie, Ianie.

- Nie? - odparł ten, spoglądając kpiąco przez ramię. - Może nie zauważyłeś, ale zajęły obie sypialnie, co oznacza, że jeden z nas będzie dziś spał na kanapie.

- Kanapa jest za krótka! Prześpię się w oborze, jak za dawnych lat. To mi nie przeszkadza. Lubię zapach siana, zresztą jest miękkie. Zgodnie z poleceniem, twój zarządca dostarczył nam krowę i kury, więc będziemy mieć świeże mleko i jajka. Zdaje się, że jedyne, czego nie dopilnował, to porządków w domu. - A kiedy przyjaciel i na to nie odpowiedział, tylko nadal wpatrywał się w mrok, Jake spytał nieśmiało: - Zechciałbyś mi wyjaśnić, jak to się stało, że te damy tu się zjawily? Kim one są?

Ian westchnął niecierpliwie, odchylił głowę i odruchowo pomasaował sobie kark.

- Elizabeth poznałem półtora roku temu na przyjęciu. Dopiero co zadebiutowała w wielkim świecie, ale zdążyła już się zaręczyć z jakimś nieszczęśnikiem, lecz postanowiła również zagiąć parol i na mnie.

- Zagiąć na ciebie parol? Mówiłeś, że była zaręczona.

Ian sapnął, rozdrażniony naiwnością towarzysza.

- Debiutantki to odrębny, zupełnie inny gatunek dziewcząt.

Dwa razy w roku mamusie przywożą je do Londynu, by panienki wkroczyły w wielki

świat. Przez cały sezon towarzyski oprowadzane są niczym klacze na aukcji, a następnie rodzice sprzedają je temu, kto da najwięcej. Wartość kupca ocenia się na podstawie jego tytułu, pozycji społecznej oraz majątku.

- Barbarzyństwo! - oburzył się Jake.

Ian spojrzął na niego drwiąco.

- Szkoda twojej litości, ten układ doskonale wszystkim odpowiada. Małżeństwo ma zapewnić dziewczętom biżuterię, suknie i wolność, tak by po wydaniu na świat dziedzica mogły dyskretnie romansować. One nie mają pojęcia, co znaczy wierność i nie są zdolne do wyższych uczuć.

Jake uniósł brwi.

- Nie zauważyłem, byś kiedykolwiek uciekał przed spódniczka mi - zauważył.

Wiedział, ile kobiet przez ostatnie dwa lata przewinęło się przez łóżko Iana, a wiele z nich miało tytuły szlacheckie.

- Skoro o debiutantkach mowa... - podjął ostrożnie, kiedy towarzysz nie odpowiedział.

- Co z tą na górze? Naraziła ci się, czy nie lubisz jej z założenia?

Ian podszedł do stołu i nalał sobie szkockiej. Wychylił solidny łyk, wzdrygnął się i powiedział:

- Panna Cameron okazała się bardziej pomysłowa od większości swoich płytkich przyjaciółek. Zaczepiła mnie w ogrodzie podczas przyjęcia.

- Domyślam się, że to musiała być dla ciebie prawdziwa męczarnia - zakpił Jake. - Zwłaszcza jeśli dziewczyna o takiej twarzy próbuje cię uwieść i omotać swoimi wdziękami. Udało jej się?

- Owszem - odparł krótko Ian, z impetem odstawiając szklanę.

Tak podsumowawszy sprawę Elizabeth, otworzył oprawioną w irchę teczkę, wyjął z niej jakieś dokumenty i siadł przy ogniu. Jake przez chwilę walczył z ciekawością, wreszcie nie wytrzymał.

- I co było potem?

Pogrążony w lekturze Ian odpowiedział, nie podnosząc wzroku.

- Oświadczyłem jej się. Przesłała liścik, w którym wyznaczyła mi schadzkę w oranżerii. Poszedłem tam. Przyłapał nas jej brat i poinformował mnie, że panna jest hrabianką, a w dodatku ma już narzeczonego.

Zaspokoiwszy ciekawość przyjaciela, Ian sięgnął po pióro, leżące na stoliku obok fotela i zanotował coś na marginesie kontraktu.

- I...? - dopytywał się Jake. - I co?

- Co się wydarzyło... potem, kiedy nakrył was jej brat?

- Poczuli się osobiście obrażony, że śmiałem sięgnąć tak wysoko i ubiegać się o rękę hrabianki. Wyzwał mnie na pojedynek - odrzekł Ian, skupiony na lekturze dokumentu i znowu zrobił jakąś poprawkę.

- To co teraz tu robi ta panna? - Jake podrapał się po głowie, zupełnie nie pojmując obyczajów wielkiego świata.

- Kto ją tam może wiedzieć - mruknął rozdrażniony Thornton. - Sądząc po tym, jak się zachowywała ze mną, pewnie w końcu dała się przyłapać na pokątnym romansie i nic już nie uratuje jej reputacji.

- A jaki to ma związek z tobą?

Ian przeciągle westchnął i popatrzył na swego towarzysza z taką miną, że temu odechciało się wszelkich pytań.

- Przypuszczam - powiedział wreszcie - że rodzina przypomniała sobie o moim zauroczeniu sprzed dwóch lat i liczyła, że znowu dam się omotać i wybawię ich z kłopotu.

- Sądziysz, że to może mieć związek z zapowiedziami starego księcia, że uzna cię za swojego wnuka i przekaze ci cały majątek?

Cierpliwie czekał na bliższe szczegóły, lecz przyjaciel nie zwracał na niego uwagi, pogrążony w lekturze dokumentów. Straciwszy nadzieję na dalsze zwierzenia, Jake wziął świecę, parę koców i ruszył do obory. Zatrzymał się w drzwiach, przypomniawszy sobie o czymś.

- Mówiła, że nie wysłała ci żadnego liściku.

- Kłamie i gra jak urodzona aktorka - odparł zimno Ian, nie odrywając wzroku od papierów. - Jutro wymyślę sposób, aby jej się Coś w wyrazie jego twarzy sprawiło, że Jake zapytał:

- Po co ten pośpiech? Boisz się, że znowu ulegniesz jej wdziękom?

- Wątpliwe.

- Czyli musisz być z kamienia - drażnił się z nim przyjaciel. - Ta mała jest taka śliczna, że w ciągu godzinnego sam na sam świętego by opętała. Nawet mnie, a wiesz, że nie obchodzą mnie spódniczki.

- W takim razie nie zostawaj z nią sam na sam - ostrzegł go chłodno Thornton.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. - Jake roześmiał się i wyszedł.

W sypialni na końcu korytarza, leżącej bezpośrednio nad kuchnią, Elizabeth resztkami sił zdjęła ubranie, położyła się do łóżka i zapadła w ciężki sen.

W drugiej, do której wchodziło się prosto z podestu, leżącej nad salonem, gdzie

rozmawiali mężczyźni, Lucinda Throckmorton - Jones nie widziała powodu, by zmieniać swoje wieczorne przyzwyczajenia. Nie poddawała się zmęczeniu. Owszem, spędziła kilka godzin na trzęsącym się wozie, wyrzucono ją z brudnego domu na deszcz, a potem groziło jej, że z pierwszej ręki pozna zwyczaje żywieniowe dzikich bestii, następnie zaś zmuszono ją, by udała się do łóżka bez kawałka chleba, lecz mimo to przygotowała się do snu tak samo, jakby cały dzień spędziła nad haftem. Zdjęła i starannie złożyła suknię z czarnej krepy, potem rozpuściła włosy i dokładnie, niespiesznie przeczesła je sto razy, po czym zaplotła w warkocz i ułożyła pod białym czepkiem nocnym.

Dwie rzeczy jednak wytrąciły Lucinę z równowagi, sprawiając, że nawet kiedy już się położyła i przykryła po samą brodę szorstkim prześcieradłem, nie mogła zasnąć. Pierwsza i najważniejsza to brak umywalni w pokoju, przez co nie mogła obmyć twarzy i całego ciała, co zawsze czyniła przed snem. Druga to fakt, że łóżko, na którym spoczęło jej kościste ciało, było niewygodne.

Te dwa czynniki sprawiły, że nie spała, kiedy mężczyźni na dole zaczęli rozmawiać. Ich głosy dobiegały przez deski, przytłumione, lecz wyraźne. Dlatego też Lucinda została zmuszona do podsłuchiwania. Przez długie pięćdziesiąt sześć lat życia panna Throckmorton - Jones nigdy się do tego nie zniżyła. Nienawidziła podsłuchujących, o czym doskonale wiedziała cała służba w każdym domu, w którym przebywała. Bezlitośnie donosiła na każdego, niezależnie od jego lub jej stanowiska w hierarchii domowej, jeśli przyłapała go, albo ją, na podsłuchiowaniu bądź podglądaniu przez dziurkę od klucza.

Teraz zaś upadła najniżej, jak mogła, bowiem słuchała.

I słyszała.

W pamięci powtarzała każde słowo Iana Thorntona, sprawdzając jego prawdziwość i analizowała każde wyjaśnienie, jakie podał temu niedorozwiniętemu gamoniowi, który wziął ją za służącą. Mimo wewnętrznej walki Lucinda leżała nieruchomo, całkowicie opanowana. Oczy miała zamknięte, delikatne, białe dłonie zaplotła na płaskim biuście, przykrytym kocem. Nie miętoszyła pościeli, nie patrzyła w sufit, nie marszczyła brwi. Leżała tak nieruchomo, że gdyby ktoś zajrzał do pokoju, zalanego księżycową poświatą, zdziwiłby się, że nie płoną w nim świece, a w dłoniach kobiety nie spoczywa krucyfiks.

Pozorny spokój nie odzwierciedlał jednak stanu umysłu starszej damy. Z naukową precyzją analizowała wszystko, co usłyszała i zastanawiała się, czy można albo należy podjąć jakieś kroki. Oczywiście nie mogła wykluczyć, że Ian Thornton okłamał Jake'a Wileya, twierdząc, że był oczarowany Elizabeth i pragnął ją poślubić, i mówił tak, tylko po to, by się postawić w lepszym świetle. Wszak Robert Cameron uparcie nazywał tego człowieka łowcą

posagów i pozbawionym skrupułów draniem. Podkreślał, że sam Thornton się przyznał, że próbował uwieść Elizabeth tylko dla rozrywki. W tym momencie jednak Lucinda prędzej by uwierzyła, że brat jej podopiecznej kłamał, by usprawiedliwić swoje oburzające zachowanie w czasie pojedynku. Co więcej, choć nie wątpiła, że Robert darzył Elizabeth braterską miłością, swoim zniknięciem z Anglii potwierdził, że przede wszystkim jest tchórzem.

Przez ponad godzinę Lucinda leżała, rozważając, ile z tego, co usłyszała, było prawdą. Jedno wszakże dostrzegła bez cienia wahania, choć ludzie o mniejszej wiedzy i słabej intuicji od lat nie potrafili rozwikłać tej zagadki. Ani przez moment nie wątpiła, że Ian Thornton jest blisko spokrewniony z księciem Stanhope'em. Często powiadano, że oszust mógłby się podawać za szlachcica i wprowadzić w błąd dżentelmena - ale tylko w klubie. Niech się jednak nie waży postawić nogi w arystokratycznym domu, bystry lokaj bowiem od pierwszego wejrzenia rozpozna w nim kłamcę.

Ta sama umiejętność cechowała także najlepsze przyzwoitki, które miały uchronić swe podopieczne przed zakusami takich samozwańczych lordów. Oczywiście, Lucinda miała tę przewagę nad pozostałymi, że na początku swojej kariery wprowadzała w świat siostrzenicę księcia Stanhope'a. Dlatego wystarczyło jej jedno spojrzenie na Iana Thornton, by z bez cienia wątpliwości uznać go za blisko spokrewnionego ze starym księciem, do którego był wprost uderzająco podobny. Błyskawicznie obliczyła, ile ten młodzieniec może mieć lat, przypomniała sobie o skandalu, jaki wybuchł, gdy markiz Kensington zerwał stosunki z rodziną i ożenił się ze Szkotką, i w ciągu pół minuty wydedukowała, że Ian Thornton jest wnukiem starego księcia. Jedyne, czego nie zdołała wyjaśnić w ciągu pierwszego spotkania, to kwestia jego pochodzenia z prawego bądź nieprawego łoża, ale tylko dlatego, że nie asystowała przy jego poczęciu, a zatem nie wiedziała, czy został spółdzony przed, czy po ślubie. Ale jeśli faktycznie, jak głosiła plotka, Stanhope pragnie wyznaczyć Iana Thorntona na swojego dziedzica, nie pozostawało cienia wątpliwości co do tego, kim byli jego rodzice.

W takiej sytuacji Lucinda musiała rozpatrzyć dwie kwestie. Po pierwsze, czy Elizabeth skorzysta na związku z przyszłym dziedzicem fortuny Stanhope'ów. Nie jakimś tam baronem czy hrabią, ale człowiekiem, który będzie nosił tytuł książęcy, czyli najwyższy z możliwych. Jako że profesja Lucindy polegała na zapewnieniu podopiecznym możliwe najlepszego aliansu, starsza dama potrzebowała niecałych dwóch sekund na podjęcie decyzji: bezapelacyjnie „tak”.

Druga kwestia okazała się odrobinę trudniejsza. W obecnym stanie rzeczy tylko panna Throckmorton - Jones optowała za tym związkiem. A czas był jej wrogiem. O ile się nie myli

- a w takich sprawach Lucinda nigdy się nie myliła - wkrótce Ian Thornton stanie się najbardziej rozchwytywanym kawalerem w całej Europie. A choć Lucinda skazała się na wygnanie do Havenhurst, korespondowała z dwoma innymi damami do towarzystwa. Przyjaciółki często wspominały o Thorntonie, gdyż pojawiał się na licznych przyjęciach. Jego popularność rosła wprost proporcjonalnie do jego bogactwa, ale sięgnie szczytu, kiedy młody człowiek otrzyma tytuł po swoim ojcu i stanie się markizem Kensington. Tytuł słusznie mu się należał, a Lucinda uważała, że po tarapatach, w jakie upakował jej podopieczną, jedynie książęca mitra i obrączka mogą wynagrodzić Elizabeth cierpienia, jakich jej przysporzył pan Ian Thornton.

Ustaliwszy to, stanęła twarzą w twarz z ostatnim problemem, łudzącym w niej rozterki moralne. Przez całe życie pilnowała, by młode panny trzymały się jak najdalej od kawalerów, teraz zaś wsiadała połączyć tę parę. Przypomniała sobie ostatnią uwagę Jake'a Wileya na temat Elizabeth: „Ta mała jest taka śliczna, że »ciągu godzinnego sam na sam świętego by opętała”.

Lucinda pamiętała, że Elizabeth już raz „opętała” Iana Thorntona, a choć się zmieniła, była nawet piękniejsza niż dwa lata temu. Była również mądrzejsza, więc nie dopuści, by sprawy posunęły się za daleko, gdyby zostawiono ich oboje na parę godzin samych. Co do tego Lucinda nie miała cienia wątpliwości. Bez odpowiedzi pozostały już tylko dwa pytania: czy faktycznie Ian Thornton jest tak odporny na wdzięki Elizabeth, jak twierdził... i jakim cudem doprowadzić do tego, by ta para została na kilka godzin sama. Te dwie kwestie powierzyła w godne zaufania ręce Stwórcy, po czym zapadła w spokojny, niczym niezmacony sen.

ROZDZIAŁ 12

Jake uchylił powiekę i półprzytomny patrzył na słońce wpadające przez okno nad jego głową. Zdezorientowany przewrócił się na niewygodnym, nieznanym pościeliu i nagle znalazł się twarzą w twarz z olbrzymim, czarnym potworem, który stulił uszy, odsłonił zęby i usiłował dosięgnąć go przez deski swojego boksu.

- Przeklęty kanibal - zwymyślał złośliwego konia. - Nasienie Lucyfera!

I żeby ukarać ogiera, zamachnął się i z całej siły kopnął w drewnianą ściankę.

- Au, do diaska! - zaklął, kiedy bosą nogą uderzył w twardą deskę.

Usiadł, palcami przeczesał gęstą, rudą czuprynę i skrzywił się, kiedy ukłuło go źdźbło siana. Stopa go bolała, a głowa pękała mu po butelce wina, którą sam wczoraj opróżnił.

Z trudem dźwignął się na nogi, wciągnął buty i trzęsąc się z zim - na - i wilgoci, otrzepał wełnianą koszulę. Piętnaście lat temu, kiedy przyszedł do pracy na tej małej farmie, zawsze spał w oborze. Teraz, kiedy Ian korzystnie zainwestował pieniądze, zarobione przez Jake'a w czasie ich wspólnych podróży, dawny włóczęga zaczął doceniać wygodę puchowych piernatów oraz miękkiej pościeli i boleśnie odczuwał ich brak.

- Z pałaców do tej diabelskiej nory - narzekał, wychodząc z pustego boksu, w którym nocował.

Kiedy mijał Attyłę, koń złośliwie wierzgnął kopytem, tylko o włos mijając udo Jake'a.

- Za karę nie doczekasz się rychło śniadania, ty diabelski pomiole - zaklął Wiley, a potem z niekłamaną przyjemnością nakarmił pozostałe dwa wierzchowce, podczas gdy kary mógł się temu tylko przyglądać. - Trzeba było mi nie podpadać - oświadczył pogodnie, gdy głodny koń wiercił się niecierpliwie. - Jeśli później humor mi się poprawi, to może...

Urwał zaniepokojony i uważnie przyjrzał się wspaniałemu kasztanowi Iana. Zwierzę unosiło prawą nogę tak, by nie dotykać kopytem ziemi.

- Zobaczmy to, Mayhem - uspokajał ogiera, gładząc jego jedwabisty kark. - Pokaż mi tę podkowę.

Doskonale ułożony koń, który wygrywał w każdej gonitwie i był ojcem zwycięzcy ostatnich wyścigów w Haethton, nie bronił się, kiedy Jake podniósł mu kopyto i bacznie je obejrzał.

- Masz tu kamień - wyjaśnił Jake rumakowi, przyglądającemu się mu bystrymi, mądrymi oczyma, z czujnie postawionymi uszami.

Wiley rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby wydłubać kamień i znalazł

dłuto na starej drewnianej półce.

- Ależ się zaklinował - mruknął do zwierzęcia.

Podniósł kopyto i przykucnął, kładąc je sobie na kolanie. Wydłubał kamień, opierając się plecami o ściankę boksu.

- Udało się.

Kamień wypadł, ale zadowolone stęknienie Jake'a przeszło w ryk bólu i oburzenia, kiedy w jego pulchny pośladek wbiły się mocne zęby.

- Diabelny, złośliwy drań! - wrzasnął, podrywając się i przechylając nad ścianką, żeby dać wrogowi solidnego kuksańca.

Attyla jakby przewidział atak, przesunął się w głąb boksu i obserwował mężczyznę. Jake miał wrażenie, że w ślepiach konia maluje się błoga satysfakcja.

- Jeszcze dostaniesz za swoje - obiecał mu Jake, wygrażając pięścią i nagle uświadomił sobie, jak idiotycznie wygląda, strasząc głupie zwierzę.

Rozmasowując pośladek, ponownie zajął się Mayhemem. Tym razem pamiętał, żeby stanąć przy ścianie, a nie przy boksie. Upewnił się, że kopyto jest czyste, ale kiedy dotknął miejsca, w którym utkwiał kamień, ogier szarpnął się z bólu.

- Została ci rana, co? - powiedział współczująco Jake. - Nic dziwnego, to był duży i ostry kamulec. Ale wczoraj nic a nic się nie przyznałeś, że coś cię boli. Bo ty jesteś prawdziwym arystokratą, dzielnym, odważnym wierzchowcem - ciągnął dobitnie, gładząc kasztana po bokach i mierząc Attyle pogardliwym wzrokiem - a nie żalonym, podstępny mułem, który nie zasługuje, by dzielić z tobą stajnię!

Nawet jeśli przemowa Jake'a wywarła na karym wrażenie, skrupulatnie to ukrył, co dodatkowo rozgniewało mężczyznę. Wściekły wszedł do domu.

Ian siedział przy stole, trzymając w dłoniach kubek parującej kawy.

- Dzień dobry - zwrócił się do Jake'a. Zauważył jego ściągnięte brwi.

- Może i dla ciebie, ale nie dla mnie. Przez całą noc marzęm, musiałem spać obok szkapy, która chce mnie zjeść na śniadanie, a zaczęła już dzisiaj, od mojego zadka. Do tego jeszcze - zakończył gniewnie, nalewając z cynowego dzbanka kawę i łypiąc koso na rozbawionego przyjaciela - twój koń okulał!

Rzucił się na fotel obok Iana i bezmyślnie wychylił solidny łyk wrzącej kawy. Oczy wyszły mu na wierzch, na czole pojawił się pot. Ian przestał się uśmiechać.

- Jak to?

- W kopyto włożył mu kamień i przenosi ciężar ciała na lewą nogę.

Fotel zaskrzypiał o podłogę, kiedy Ian gwałtownie się poderwał, by pobiec do koni.

- Nie trzeba. To tylko opuchnięcie.

Kończąc mycie, Elizabeth usłyszała z dołu niewyraźny szmer męskich głosów. Owinęła się w cienki ręcznik i pochyliła nad kuframi, które rano wniósł na górę jej niezadowolony gospodarz i zostawił pod drzwiami, wraz z dwoma dzbanami wody. Jeszcze zanim wtaszczyła bagaże do pokoju, wiedziała, że wszystkie suknie były zbyt eleganckie i wytworne na ten dom.

Wybrała najskromniejszą - z niewielkim wycięciem, białą, ozdobioną na dole i przy mankietach bufiastych rękawów szerokim pasem haftowanych różowych różyczek i zielonych listków. Na sukni spoczywała biała wstążka, również haftowana w różę. Elizabeth wzięła ją, niepewna, czy w ogóle ją wykorzysta, a jeśli już to jak.

Jakoś włożyła suknię, wygładziła ją z przodu i przez dłuższy czas zmagala się z rzędem guziczków na plecach. W końcu obejrzała własne odbicie w niewielkim lustrze nad umywalnią i nerwowo przygryzła wargę. Niegdyś skromny, okrągły dekolcik teraz doskonale podkreślał jej okrągłe piersi.

- Cudownie - powiedziała na głos.

Próbowała podciągnąć stanik do góry, ale natychmiast opadał niżej, więc wreszcie się poddała.

- Na balach kobiety nosiły znacznie bardziej wydekoltowane suknie - tłumaczyła swojemu odbiciu.

Podeszła do łóżka i zastanowiła się, jakby wykorzystać szarfę. Kiedy ostatni raz miała na sobie tę suknię, jeszcze w Londynie, Berta przeplotła wstążkę przez loki. W Havenhurst jednak Elizabeth już nie układała włosów w modne fryzury, tylko pozwoliła, by rosły swobodnie i opadały jej na plecy gęstą falą.

Teraz wzruszyła ramionami, wzięła grzebień, zrobiła przedziałek na środku, a potem ściągnęła włosy na karku, zawiązała kokardę i tylko wysunęła dwa kosmyki, żeby miękko okalały twarz. Przyjrzała się sobie w lustrze i westchnęła zrezygnowana. Zupełnie nie dostrzegając olbrzymich, zielonych oczu, zdrowej, gładkiej cery ani te - go wszystkiego, co sprawiło, że Jake porównywał ją do anioła, szukała jakichś wyraźnych skaz na urodzie. Nie zauważyła nic odbiegającego od normy, więc straciła całe zainteresowanie. Odwróciła się od lustra, usiadła na łóżku i, jak to czyniła od samego rana, w myślach przebiegła wydarzenia poprzedniego wieczoru. Ian twierdził, jakoby dostał od niej liścik z prośbą o schadzkę w oranżerii. Oczywiście, mógł kłamać, żeby lepiej wypaść w oczach pana Wileya. Ale przecież aż nadto boleśnie zdążyła się przekonać, że Ian Thornton jest brutalnie szczery. Nie wyobrażała sobie, by ukrywał przed przyjacielem prawdę. Przymknęła oczy i próbowała

sobie przypomnieć, co właściwie powiedział tamtej nocy, gdy pojawił się w oranżerii. Chyba coś w rodzaju: „A kogo się spodziewałaś? Księcia Walii?”.

Wtedy sądziła, że mówił o liście, który jej przekazano. Tymczasem twierdził, że to on otrzymał od niej wiadomość. Poza tym drwił z charakteru pisma Elizabeth, które nauczyciele zgodnie chwalili jako „kaligraficzne i staranne. Nie powstydziliby się go wychowanek Oksfordu!”. Ian Thornton mógł utrzymywać, że zna jej pismo, tylko pod warunkiem że naprawdę wierzył, jakoby dostał od niej list. Może naprawdę postradał rozum, lecz dziewczyna w to nie wierzyła. Ale cóż, skarciła się w duchu, jeśli chodzi o tego człowieka, nigdy nie potrafiła myśleć obiektywnie. Zresztą trudno się dziwić. Nawet teraz, choć była starsza i - oby! - mądrzejsza, nie potrafiła zachować trzeźwego umysłu, kiedy przesywały ją bursztynowe oczy Iana. Zupełnie nie pojmowała jego zachowania i reakcji. Widziała tylko jedno wytłumaczenie: do tej pory nie wybaczył Robertowi, że ten złamał reguły i go postrzelił. Tak, to na pewno to, uznała i skupiła uwagę na znacznie trudniejszym problemie.

Wraz z Lucinda znalazły się w sytuacji bez wyjścia, tyle że ich gospodarz nie miał o tym pojęcia, a prawda nie przeszłaby Elizabeth przez gardło. Dlatego trzeba było znaleźć sposób, by wytrzymać tu tydzień we względnej harmonii. Wyjdzie z tej próby zwycięsko, wystarczy ignorować niezrozumiałą wrogość Thorntona i żyć teraźniejszością, bez oglądania się wstecz i patrzenia w przyszłość. Potem będzie to już miała za sobą i razem z opiekunką wróci do domu. Niezależnie jednak od tego, co się wydarzy w ciągu najbliższych siedmiu dni, poprzysięgła sobie Elizabeth, że nic nie pozwoli się sprowokować, jak to się stało wczoraj. Poprzednio, kiedy byli razem, tak jej zamieszał w głowie, że sama nie wiedziała, co jest dobre, a co złe.

Od tej chwili, obiecała sobie, wszystko się zmieni. Będzie się do niego odnosić z chłodną uprzejmością i zachowa absolutny spokój, nawet wobec obelg czy oburzającego zachowania Iana. Już nie jest młodą, naiwną dziewczyną, którą ten mężczyzna może dla zabawy uwieść, zranić albo rozgniewać. Udowodni mu to i równocześnie pokaże, jak naprawdę zachowują się dobrze wychowani ludzie.

Z tym mocnym postanowieniem Elizabeth wstała i udała się do Lucindy.

Jej towarzyska była już ubrana, włosy miała uczesane w kok, a na czarnej sukni nie pozostał nawet ślad wczorajszego kurzu. Siedziała na krześle przy oknie sztywno wyprostowana, tak że nie potrzebowała oparcia, a na jej twarzy gościł wyraz zadumy i troski.

- Dzień dobry - odezwała się hrabianka, starannie zamykając za sobą drzwi.

- Hmm? A, dzień dobry, Elizabeth.

- Chciałam cię bardzo przeprosić - zaczęła pośpiesznie dziewczyna - że ściągnęłam cię

tutaj i narażłam na takie upokorzenie. Pan Thornton zachował się niedopuszczalnie, wręcz niewybaczalnie.

- Cóż, trzeba przyznać, że... zaskoczyło go nasze nieoczekiwane przybycie.

- Zaskoczyło? - powtórzyła zdumiona Elizabeth. - Wpadł w szal! Wiem, co sobie myślisz. Zastanawiasz się, co mnie opętało, że w ogóle się z nim zadałam i przyznam, że sama nie pojmuję, co ja w nim zobaczyłam.

- Och, przecież nie ma w tym żadnej tajemnicy - odrzekła jej przyzwoitka. - Jest niezwykle przystojny.

Elizabeth chyba mniej by się zdumiała, gdyby panna Throckmorton - Jones powiedziała o nim: „dusza - człowiek”.

- Przystojny! - zaczęła, ale potrząsnęła głową, próbując zebrać myśli. - Przyznam, że podziwiam twoją wyrozumiałość.

Lucinda wstała i z aprobatą przyjrzała się podopiecznej.

- Nie nazwałabym tego wyrozumiałością - oświadczyła z namysłem. - Kieruję się po prostu zdrowym rozsądkiem. Stanik tej sukni jest dość obcisły, ale mimo to, a może właśnie dlatego, dobrze wyglądasz. Zejdziemy na śniadanie?

ROZDZIAŁ 13

- Dzień dobry - powitał tubalnym głosem Jake schodzące po schodach damy. - Dzień dobry, panie Wiley - odrzekła Elizabeth z serdecznym uśmiechem. A ponieważ nic jej nie przychodziło do głowy, spytała: - Coś bardzo apetycznie pachnie. Co to jest?

- Kawa - odrzekł krótko Ian, mierząc ją wzrokiem.

Z długimi rozpuszczonymi włosami związanymi wstążką wyglądała wyjątkowo ładnie i bardzo dziewczęco.

- Siadajcie, siadajcie - jowialnie zapraszał Jake.

Ktoś już wytarł krzesła z kurzu, lecz kiedy Elizabeth podeszła, Jake jeszcze raz przeciągnął chusteczką po siedzisku.

- Dziękuję - uśmiechnęła się promiennie - ale temu krzesłu naprawdę nic nie brakuje. - Popatrzyła spokojnie na chłodnego mężczyznę naprzeciwko. - Dzień dobry.

W odpowiedzi uniósł brwi, jakby go dziwiła ta nagła zmiana zachowania.

- Mam nadzieję, że dobrze pani spała?

- Doskonale - odrzekła Elizabeth.

- Może kawy?

Jake podreptał do kuchni i wlał do kubka resztę gorącego napoju. Wrócił do stołu i tu stanął bezradnie, wodząc wzrokiem od Lucindy do Elizabeth, nie wiedząc, do której z nich powinien zwrócić się najpierw.

- Kawa - poinformowała go wyniośle Lucinda, gdy ruszył w jej stronę - to pogański napój, niegodny cywilizowanego narodu. Wolę herbatę.

- A ja poproszę o kawę - szybko wtrąciła Elizabeth. Mężczyzna uśmiechnął się z wdzięcznością, postawił przed nią kubek, a potem wrócił do kuchni. Żeby nie patrzeć na Iana, Elizabeth popijała kawę i wpatrywała się w plecy Jake'a, jakby tam dostrzegła coś fascynującego.

Przez chwilę stał bez ruchu, nerwowo wycierając ręce o spodnie i niepewnie wodził wzrokiem od jajek przez kawałek boczku, po solidną patelnię na trzech nóżkach, która już zaczynała się palić, jakby nie miał pojęcia, od czego zacząć.

- W imię Ojca, Syna i Ducha - mruknął.

Wyciągnął przed siebie ręce, zaplótł palce i wyłamał je, aż zatrzeszczało. Potem chwycił nóż i zaczął energicznie kroić boczek.

Elizabeth z ciekawością i lekkim niepokojem przyglądała się, jak Jake wrzuca na

patelnię kolejne kawałki, aż zebrała się ich cała sterta. Po chwili pomieszczenie napełniło się rozkosznym zapachem. Na samą myśl o bliskim już, pysznym śniadaniu, ślina napłynęła jej do ust. Jeszcze nie zdążyła się nacieszyć tą nadzieją, gdy zobaczyła, jak Jake bierze dwa jajka, rozbija je o brzeg kuchni i wrzuca na patelnię pełną surowego boczku. Następnie dodał jeszcze sześć jaj, po czym obejrzał się przez ramię.

- A może powinienem smażyć boczek trochę dłużej, jak panienka sądzi, hrabianko Elizabeth?

- Wła... właściwie nie jestem pewna - przyznała dziewczyna, skrzętnie udając, że nie dostrzega wyrazu satysfakcji na opalonej twarzy Iana .

- Może panienka zerknie i powie, co o tym sądzi? - zaproponował Jake, krojąc grube pajdy chleba.

Elizabeth miała do wyboru: albo podzielić się z niefortunnym kucharzem swoimi sugestiami, choć była równie zagubiona jak on, albo wytrzymać drwiące spojrzenie drugiego mężczyzny. Wybrała to pierwsze. Wstała i zajrzała panu Wileyowi przez ramię.

- I jak to wygląda?

Zdaniem dziewczyny wyglądało to na jajeczną maź ścinającą się właśnie w ohydny tłuszcz z boczku.

- Bardzo apetycznie.

Sapnął zadowolony i z pajdami chleba stanął przy patelni, najwyraźniej zamierzając wrzucić je do tej brei.

- Jak panienka sądzi? - spytał znowu, pochylając się nad jedzeniem. - Dorzucić je do jajek?

- Nie! - zawołała pośpiesznie. - Moim zdaniem, chleb najlepiej będzie podać... podać...

- Oddzielnie - odpowiedział leniwie Ian, a kiedy automatycznie się obejrzała na dźwięk jego głosu, okazało się, że przesunął krzesło, by móc na nią patrzeć.

- Ale nie sam - ciągnęła Elizabeth, w poczuciu, że powinna udzielić temu kucharzowi od siedmiu boleści wskazówki, zamiast okazać własną ignorancję. - Powinno się go podać z... z masłem!

- Oczywiście! Że też na to nie wpadłem. - Jake popatrzył na nią przepraszająco. - Gdyby panienka zechciała popilnować patelni, to przyniosłbym je ze spiżarni.

- Naturalnie, chętnie się tym zajmę - zapewniła go z ochotą.

Zawzięła się; nie przyzna się, że spojrzenie Iana jak gdyby wypalało jej w plecach dwie dziury. W ciągu najbliższych kilku minut z patelnią nie powinno stać się nic dramatycznego i Elizabeth z bólem uświadomiła sobie, że nie może dłużej unikać gospodarza

- zwłaszcza skoro musi koniecznie załagodzić sytuację, by ona i Lucinda zostały tu, zgodnie z ustaleniami stryja, na cały tydzień.

Wyprostowała się i z wymuszoną nonszalancją krążyła po pokoju z rękami na plecach, wodząc wzrokiem po pajęczynach i gwałtownie szukając tematu do rozmowy. Nagle spłynęło na nią olśnienie. Rozwiązanie było okropne, ale rozsądne, a jeśli w odpowiedni sposób zabierze się do rzeczy, okaże się wręcz, że to ona robi Thorntonowi przysługę. Przystanęła na chwilę, usiłując przywołać na twarz wyraz zapału i współczucia, po czym gwałtownie odwróciła się do gospodarza.

- Panie Thornton!

Jej głos zabrzmiał niczym wystrzał z armaty. Zaskoczony Ian najpierw zatrzymał spojrzenie na twarzy dziewczyny, a potem przeniósł je na stanik sukni i pełne, krągłe piersi. Jego wzrok wytrącił Elizabeth z równowagi, ale wiedziała, że musi brnąć dalej.

- Zdaje się, że od jakiegoś czasu nikt tu nie mieszka.

- Gratuluję spostrzegawczości, hrabianko Cameron - zadrwił.

Doskonale widział napięcie i wzburzenie na jej wyrazistej twarzy. Zupełnie nie potrafił zrozumieć, co tu robiła ani czemu dziś postanowiła się wkupić w jego łaski. Wczoraj wieczorem wytłumaczenie, które podał Jake'owi, brzmiało logicznie, ale dziś sam nie mógł w to wszystko uwierzyć. Potem przypomniał sobie, że w obecności Elizabeth Cameron przestawał myśleć logicznie.

- Wystarczy, że przez jakiś czas się nie sprząta, a brud błyskawicznie rozpanoszy się w całym domu - tłumaczyła radośnie dziewczyna.

- Kolejna słuszna uwaga. Co za bystry umysł.

- Zawsze pan wszystko tak utrudnia? - zniecierpliwiła się Elizabeth.

- Pani daruje - przeprosił ją z udaną powagą. - Proszę kontynuować. Do czego pani zmierzała?

- Cóż, pomyślałam sobie, że skoro już musimy tu zostać... To znaczy, Lucinda i ja... A nie mamy zupełnie nic do roboty... Dotyk kobiecej ręki niewątpliwie wyszedłby temu domowi na zdrowie.

- Kapitalny pomysł! - przyklasnął entuzjastycznie Jake, który właśnie zakończył poszukiwania masła.

Spojrzał z nadzieją na Lucinę, a w nagrodę otrzymał spojrzenie, które zamieniłoby najtwardszą skałę w proch.

- Tu jest potrzebna armia służących z łopatami, zaopatrzonych w maski - odparowała bezlitośnie panna Throckmorton - Jones.

- Nie musisz pomagać, Lucindo - wyjaśniła przerażona Elizabeth. - Nawet bym nie śmiała ci tego zaproponować. Ale ja mogę się ty zająć! Chętnie...

Szarpnęła się, bowiem Ian Thornton skoczył z krzesła i uwięził jej łokieć w żelaznym uścisku.

- Hrabianko Cameron - odezwał się lodowatym tonem. - Chyba powinniśmy coś wyjaśnić i lepiej, jeśli zrobimy to na osobności. Pani pozwoli...?

Wskazał otwarte drzwi i praktycznie powłókł ją za sobą. Na zewnątrz przemaszerował jeszcze parę kroków i dopiero wtedy uwolnił dziewczynę.

- Co powinniśmy sobie wyjaśnić? - spytała niespokojnie.

- Chcę usłyszeć prawdę. O ile w ogóle jest pani do tego zdolna. Wczoraj mierzyła pani do mnie z pistoletu, natomiast dziś nie posiada się pani ze szczęścia na myśl o sprzątaniu mojego domu. Chcę wiedzieć, czemu.

- Cóż - stanowczo broniła swojego występu z bronią Elizabeth - zachował się pan bardzo niemile.

- I nadal jestem niemiły - odparował, nie zwracając uwagi na jej uniesione brwi. - Ja się nie zmieniłem i nie zacząłem nagle okazywać dobrych chęci.

Odwróciła głowę i gorączkowo usiłowała znaleźć wytłumaczenie, które nie obnaży jej tragicznego położenia.

- Ta cisza aż dźwięczy w uszach i budzi zdziwienie. Ostatnim razem usta się pani nie zamykały, kiedy zamierzała pani podzielić się ze mną całą swoją wiedzą botaniczną.

Elizabeth wiedziała, że chodzi mu o jej monolog o hiacyntach wówczas w oranżerii.

- Zastanawiam się, od czego zacząć - przyznała.

- Trzymajmy się podstawowych informacji. Co pani tu robi?

- Trochę mi trudno to wyjaśnić.

Wzmianka o hiacyntach tak ją wytrąciła z równowagi, że w głowie miała pustkę.

- Obecnie moim opiekunem jest stryj - zaczęła bezładnie. - Nie ma dzieci, więc cały jego majątek przejdzie na moje potomstwo. Nie doczekam się prychówki, jeśli nie wyjdę za mąż, więc postanowił załatwić tę sprawę przy jak najmniejszym nakładzie fi... czasu - poprawiła się szybko. - Stryj się niecierpliwi, uważa, że za długo już żyję w... stanie wolnym. Nie potrafi zrozumieć, że nie można ustalić listy kilku kandydatów i zmusić kogoś... zmusić mnie... bym spośród nich wybrała narzeczonego.

- Można wiedzieć, skąd mu strzeliło do głowy, że chciałbym się z panią ożenić?

Elizabeth żałowała, że ziemia nie może się teraz pod nią rozstąpić.

- Sądzę - starannie dobierała słowa, by zachować choć resztki dumy - że to wina

pojedyńku. Stryj słyszał o nim i opacznie zrozumiał jego przyczynę. Usiłowałam mu wyjaśnić, że połączył nas tylko przelotny flirt, bo przecież tak należało to nazwać, ale nie słuchał. Jest dość uparty i... cóż, stary - dokończyła niezręcznie. - W każdym razie po otrzymaniu pańskiego zaproszenia zmusił mnie, bym tu przyjechała.

- Trudno, straciła pani trochę czasu, ale to nie tragedia. Może pani w każdej chwili wyjechać.

Schyliła się, udając nagle zainteresowanie jakimś żdźbłem.

- Liczyłam, że... oczywiście gdyby to nie był kłopot... mogłybyśmy zostać zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, na cały tydzień.

- Wykluczone - uciął i biednej dziewczynie ścisnęło się serce. - Poza tym, o ile dobrze pamiętam, kiedy się poznaliśmy, była pani już zaręczona. I to z dziedzicem hrabiowskiego tytułu oraz fortuny.

Mimo gniewu, strachu i upokorzenia Elizabeth zdołała unieść dumnie głowę i spojrzeć mu prosto w oczy.

- Uznaliśmy... że do siebie nie pasujemy.

- Nie wątpię, że odetchnęła pani z ulgą - zadrwił. - Mężowie po - trafią być wyjątkowo niemili dla żon, które szukają „przelotnych flirtów” i udają się na schadzki do ustronnych chat w lesie i oranżerii.

Elizabeth zacisnęła pięści. Oczy jej zapłonęły.

- To nie ja wyznaczyłam panu schadzkę w oranżerii i doskonale pan o tym wie!

Popatrzył na nią zde gustowany.

- Zgoda, odegrajmy do końca tę odrażającą farsę. Skoro pani nie przysłała mi liściku, to proszę wyjaśnić mi, jakim cudem pani tam się znalazła?

- Tłumaczyłam panu: dostałam list. W pierwszej chwili sądziłam, że napisała go moja przyjaciółka, Valerie. Poszłam do oranżerii dowiedzieć się, o co chodzi. Nie wysłałam żadnego listu do pana, ani nie wyznaczyłam panu schadzki! To ja dostałam list! Na Boga! - wybuchnęła, kiedy nadal patrzył na nią z niedowierzaniem. Ze złości miała ochotę tupać. - Przecież ja się wtedy pana śmiertelnie bałam!

W jego pamięci ożyło bolesne wspomnienie, świeże, jakby wszystko wydarzyło się wczoraj... Młoda czarodziejka, która wciskała mu w ręce doniczki z kwiatami, żeby jej nie pocałował... a w chwilę później topniała w jego ramionach.

- Teraz mi pan wierzy?

Mimo wszystko Ian nie potrafił do końca jej rozgrzeszyć, ale też nie mógł zrzucić na nią całej winy. Instynkt mu podpowiadał, że ta dziewczyna jednak coś ukrywa. W dodatku

budził w nim podejrzliwość upór, z jakim nalegała, by tu pozostać. Takie zachowanie zupełnie do niej nie pasowało. Z drugiej jednak strony Ian potrafił rozpoznać desperację, a z jakichś tajemniczych powodów Elizabeth Cameron była na skraju desperacji.

- Moja wiara albo jej brak nie mają tu najmniejszego znaczenia... - Urwał, bo przez otwarte okno na podwórze wyflął zapach spalenizny. Oboje poczuli go jednocześnie.

- Co, u diaska... - zaczął mówić Ian i natychmiast ruszył do domu. Elizabeth szybko poszła za nim.

Otworzył drzwi w tej samej chwili, gdy zza węgła wynurzył się Jake.

- Przyniosłem trochę mleka... - zaczął i znieruchomiał, czując swąd.

Powiódł wzrokiem po Ianie i Elizabeth, którzy właśnie wbiegli do domu, a potem zatrzymał oczy na Lucindzie, siedzącej niewzruszenie dokładnie tam, gdzie wcześniej, jakby nie czuła zwęglonego boczku i przypalonych jaj, tylko chłodziła się czarnym, jedwabnym wachlarzem.

- Pozwoliłam sobie zestawić naczynie z ognia - poinformowała wszystkich. - Niestety, nie zdążyłam uratować potrawy, choć wątpię, czy w ogóle zasługiwała na to, by ją ocalić.

- Nie mogła paniusia zdjąć patelni, zanim całe zarcie się spaliło? - wybuchnął Jake.

- Nie umiem gotować.

- Ale chyba posiada pani węch? - spytał gospodarz.

- Ianie, to wszystko na nic. Muszę pojechać do wioski i sprowadzić tu dwie baby, żeby doprowadziły ten dom do porządku i uratowały nas od śmierci z głodu.

- Święte słowa - zawtórowała Lucinda, podrywając się z miejsca. - A ja będę panu towarzyszyć.

- Cooooo? - wybuchnęła jej podopieczna.

- Co? Dlaczego? - zawtórował dziewczynie przerażony Jake.

- Bo tylko kobieta potrafi wybrać służące. Jak daleko trzeba jechać?

Gdyby Elizabeth nie była taka wstrząśnięta, rozbawiłaby ją mina Jake'a Wileya.

- Powinniśmy wrócić późnym popołudniem, pod warunkiem że uda nam się kogoś znaleźć. Ale wątpię...

- W takim razie nie traćmy czasu.

Lucinda odwróciła się do Iana i z namysłem zmierzyła go wzrokiem. Potem zerknęła na swą podopieczną. Jej spojrzenie mówiło wyraźnie: „Ufaj mi i nie protestuj”.

- Elizabeth, bądź tak dobra i zostaw nas na chwilę. Pragnę zamienić słówko z panem Thorntonem.

Dziewczynie nie pozostało nic innego tylko wyjść. Stanęła na podwórku i wpatrywała

się w drzewa, zastanawiając się, jaki dziwaczny plan ułożyła Lucinda, by je wydostać z tarapatów.

W domu zaś Ian przyglądał się siwej jędry, która wbiła weń spojrzenie bazyliuszka.

- Panie Thornton - odezwała się wreszcie stara dama - uznałam, że jednak jest pan dżentelmenem.

Oświadczyła to takim tonem, jakby była królową, która podnosi do szlachectwa nędznego, niegodnego tego zaszczytu parweniusza. Rozdrażniony, ale i zafascynowany Ian oparł się o stół, czekając aż panna Throckmorton: Jones odkryje karty i wyjaśni, czemu zostawia tutaj Elizabeth samą.

- Błagam, niech pani nie trzyma mnie w niepewności - odparł zimno. - Czym sobie zasłużyłem na tak wysokie mniemanie?

- Absolutnie niczym - padła natychmiastowa riposta. - Swoją opinię opieram wyłącznie na mojej niezawodnej intuicji oraz na takcie, że w pańskich żyłach płynie błękitna krew.

- Skąd ten pomysł? - spytał znużony.

- Nie jestem ślepa ani głupia. Znałam pańskiego dziadka, księcia Stanhope'a. Służyłam u jego siostrzenicy w okresie, kiedy skandaliczny związek pańskich rodziców wywołał taki skandal. Inne, gorzej poinformowane osoby z towarzystwa mogą snuć domysły co do pańskiego pochodzenia, ale ja nie mam cienia wątpliwości. Potwierdza to pańska twarz, wzrost, głos, a nawet zachowanie. Jest pan jego wnukiem.

Ian przywykł, że Anglicy bacznie studiują jego twarz albo od czasu do czasu ośmielają się wypytywać o rodzinę; zdawał też sobie sprawę z tego, że we własnym gronie snują pewne domysły i szepczą, lecz pierwszy raz się zdarzyło, by ktoś odważył się powiedzieć mu prosto w twarz, kim był. Zapanował nad gniewem i odparł tonem, dającym do zrozumienia, że jego rozmówczyni się myli:

- Skoro pani tak twierdzi, to widocznie tak jest.

- Właśnie takim, pełnym wyższości tonem, odpowiedziałby pański dziadek - oświadczyła z triumfem panna Throckmorton - Jones. - Ale nie w tym rzecz.

- A wolno spytać, w czym? - warknął niecierpliwie.

- Owszem, wolno.

Lucinda gwałtownie szukała w myślach pretekstu, dzięki któremu przypomniałaby temu mężczyźnie o dawnej słabości do Elizabeth i wzbudziła w nim wyrzuty sumienia.

- Rzecz w tym, że doskonale wiem, co się wydarzyło między panem i moją podopieczną. Ale jestem skłonna złożyć winę, za to do czego doszło - okazała swą

wielkoduszność - nie na karb pańskiego braku szlachetności, lecz błędnej oceny sytuacji.

Ian uniósł brwi, ale się nie odezwał. Uznając milczenie za znak zgody, starsza dama dodała znaczącym tonem:

- Błędnej oceny, która stała się udziałem obu stron.

- Doprawdy? - wycedził.

- Naturalnie - podjęła, starłszy kurz z oparcia krzesła i spojrzawszy z niesmakiem na brudne palce. - Cóż innego, jeśli nie błędna ocena sytuacji pchnęłoby siedemnastolatkę do obrony znanego hazardzisty i ściągnięcia przez to na siebie ogólnego potępienia.

- Właśnie, cóż innego? - powtórzył Ian z rosnącym zniecierpliwieniem.

Lucinda wytarła palce, unikając jego wzroku.

- Nikt tego nie wie, z wyjątkiem pana i Elizabeth. Bez wątplenia ten sam impuls sprawił, że została w chacie drwala, zamiast stamtąd wyjść natychmiast, gdy pana tam zobaczyła.

Zadowolona, że zrobiła wszystko, co w jej mocy w wiadomej sprawie, znowu przeszła do napomnień, co znacznie bardziej jej odpowiadało, a zatem brzmiało bardziej naturalnie i przekonująco.

- Cóż, to wszystko już przeszłość. Elizabeth drogo zapłaciła za swoją nierozwagę i należała jej się kara. A choć z tego samego powodu teraz znalazła się w srogich opałach, to też wypada uznać za słuszne i sprawiedliwe.

Uśmiechnęła się w duchu, kiedy młody człowiek zmrużył oczy. Zapewne wzbudziła w nim wyrzuty sumienia albo przynajmniej współczucie dla skrzywdzonej. Ale pan Thornton natychmiast pozbawił Lucindę złudzeń.

- Szanowna pani, szkoda czasu na bezsensowną konwersację.

Jeśli ma mi pani coś do powiedzenia, proszę to zrobić.

- Doskonale - odparła, zaciskając zęby, żeby nie wybuchnąć gniewem. - Zmierzam do tego, że moim obowiązkiem jest troska o fizyczne i moralne zdrowie hrabianki Cameron. Wystarczy się rozejrzeć po pańskiej siedzibie, by zrozumieć, że powinnam przede wszystkim zadbać to pierwsze, zwłaszcza że bez cienia wątpliwości akurat wy dwoje nie potrzebujecie przyzwoitki, by was pilnowała.

Bardziej przydałby się wam strażnik, który by nie dopuścił do morderstwa, ale, powtarzam, przyzwoitką jest tu całkowicie zbędna.

Czuję się zatem zobligowana do znalezienia odpowiedniej służby, która zajmie się domem. W związku z tym proszę, by dał mi pan słowo dżentelmena, że pod moją nieobecność nie znieważy pan lady Cameron słowem ani czynem. Jej stryj wystarczająco już

ją udręczył, toteż nie dopuszczę, by ktokolwiek zrzucił na nią dodatkowy ciężar w tym i tak strasznym dla niej okresie.

- Co właściwie ma pani na myśli mówiąc o „strasznym okresie”? - spytał Ian wbrew sobie.

- Nie jestem upoważniona, by o tym mówić - odparła Lucinda, usiłując nie okazać triumfu. - Zależy mi tylko, by pan zachował się jak przystało na dżentelmena. Czy może mi pan to obiecać?

Ponieważ Ian nie zamierzał nawet się zbliżyć do Elizabeth, bez wahania skinął głową.

- Z mojej strony nic jej nie grozi.

- Właśnie na taką odpowiedź liczyłam - skłamała bez zmrużenia powieki starsza dama.

Po kilku minutach Elizabeth zobaczyła, jak jej opiekunka wraz łanem wychodzą z domu, ale z ich nieodgadzionych min nie zdołała niczego wyczytać. Jedyną osobą, która nie ukrywała uczuć, był Jake Wiley, który wyprowadził na podwórze dwa wierzchowce. A na jego obliczu, jak zauważyła z pewną obawą hrabianka - na którym przed wyjściem do obory malowała się wściekłość - teraz zagościł szeroki uśmiech. Życzliwym gestem Jake wskazał Lucindzie osiodłanego, karego konia.

- Pani rumak - zwrócił się do niej z radością w głosie. - Nazywa się Attyla.

Starsza dama zmierzyła zwierzę pogardliwym wzrokiem, przełożyła parasolkę do prawej ręki i zaczęła wkładać rękawiczki.

- Nie macie nic lepszego?

- Niestety. Ogier Iana zranił sobie nogę.

- No, trudno - oświadczyła panna Throckmorton - Jones, energicznie podchodząc do konia.

Ledwo znalazła się w jego zasięgu, czarna bestia nagle odłoniła zęby i rzuciła się w jej stronę. Nawet nie zwolniwszy kroku, Lucinda parasolką zdzieliła Attylę parasolką między oczy.

- Spokój - rozkazała, nie zważając na jego parsknięcie bólu, po czym stanęła przy siodle. - Sam jesteś sobie winien - oświadczyła zwierzęciu.

Jake przytrzymał łeb Attyli, a Ian podsadził ją na siodło. Koń z uwagą obserwował, jak kobieta sadowi się wygodnie. Ledwo Jake podał jej cugle, Attyla zaczął się szamotać i złościć.

- Nie znoszę niesfornych wierzchowców - ostrzegła go surowo.

Kiedy zaś nie usłuchał i dalej usiłował wierzgać, ostro ściągnęła wodze i równocześnie mocno dźgnęła go parasolką w bok. Attyla zarżał żałośnie, po czym żwawym truchcikiem,

grzecznie ruszył tam, gdzie mu kazała amazonka.

- To już przesada - oburzył się Jake, zmierzwiwszy wściekłym wzrokiem dobraną parę, a potem swego przyjaciela. - To bydlę nie wie, co to lojalność.

Nie czekając na odpowiedź, wskoczył na siodło i ruszył śladem starszej damy.

Elizabeth, która już zupełnie nic nie rozumiała, zerknęła na milczącego Iana i aż otworzyła usta ze zdumienia. Ten nieprzewidywalny człowiek patrzył za Lucinda, z rękami w kieszeniach i cygarem w zębach, a na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Elizabeth wyciągnęła oczywisty wniosek, że dziwne reakcje obu mężczyzn miały jakiś związek z tym, jak umiejętnie jej opiekunka okiełznała nieposłusznego wierzchowca.

- O ile mi wiadomo, wuj Lucindy hoduje konie - wyjaśniła.

Ian niechętnie oderwał pełen podziwu wzrok od wyprostowanych pleców amazonki i spojrzał na dziewczynę. Uniósł brwi.

- Niezwykła kobieta - oświadczył. - Czy cokolwiek może ją onieśmielić?

- Nic mi o tym nie wiadomo - parsknęła śmiechem Elizabeth, ale natychmiast spoważniała, bo uśmiech nagle zniknął i jej towarzysz znowu stał się chłodny i wyniosły.

Zaplotła na plecach drżące dłonie, odetchnęła głęboko i próbowała zawrzeć rozejm.

- Panie Thornton - zaczęła spokojnie - czy naprawdę musi istnieć między nami taka wrogość? Zdaję sobie sprawę, że mój przyjazd jest dla pana... kłopotliwy, ale zjawiłyśmy się tu z pańskiej winy... to znaczy, na skutek pańskiej pomyłki - poprawiła się szybko.

- Na pewno zdaje pan sobie sprawę, że ta sytuacja jest znacznie bardziej niezręczna dla mnie niż dla pana. Tak więc nasuwa się logiczny wniosek, że powinniśmy spróbować jakoś się porozumieć - ciągnęła, zachęcona jego milczeniem.

- Logiczne byłoby - odparował - gdybym ja przeprosił za zamieszanie, a panie opuściły mój dom natychmiast po sprowadzeniu przeze mnie powozu albo innego pojazdu.

- To wykluczone! - zawołała, usiłując odzyskać spokój.

- A to dlaczego?

- Ponieważ... Cóż, stryj jest bardzo surowy i nie znosi, jeśli ktoś nie wypełnia jego poleceń co do joty. Miałam zostać tu cały tydzień.

- Napiszę do niego i wszystko wyjaśnię.

- Nie! - wybuchnęła Elizabeth, wyobrażając sobie reakcję Juliusa, gdyby trzeci konkurent natychmiast odesłał ją do domu. Nie był głupcem i z pewnością nabrałby podejrzeń. - Zrzuciłby winę na mnie.

Mimo mocnego postanowienia, że nie będzie się przejmował jej problemami, Iana zaniepokoił ów nieskrywany lęk Elizabeth i określenie stryja mianem „bardzo surowego”.

Doskonale pamiętał zachowanie hrabianki Cameron sprzed dwóch lat i nie wątpił, że zasłużyła sobie na solidne Ianie. Ale wbrew wszystkiemu nie chciał, by to przez niego stryj smagał batem jej białą skórę. Dwa lata temu postąpił jak dureń, ale to już stare dzieje. Wkrótce poślubi piękną, namiętną kobietę, która go pragnęła i idealnie do niego pasowała. Czemu miałby teraz traktować Elizabeth tak, jakby żywił do niej jakieś uczucie? Nawet jeśli to tylko gniew?

Dziewczyna wyczuła jego wahanie i postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Przecież to, co się kiedyś wydarzyło, nie powinno sprawić, byśmy teraz mieli wrogo się do siebie odnosić - próbowała rozsądnej argumentacji. - W końcu, jeśli się zastanowić, to był tylko niewinny, krótki flirt, nieprawdaż?

- Oczywiście.

- Nikt nie ucierpiał, nieprawdaż?

- Tak.

- W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy teraz traktowali się uprzejmie, czyż nie? - spytała z czarującym uśmiechem. - Wielkie nieba, gdyby każdy flirt kończył się wrogością, ludzie z towarzystwa w ogóle nie rozmawialiby ze sobą.

Zgrabnie zapędziła go w kozi róg, a Ian doskonale sobie zdawał z tego sprawę. Musiał albo się z nią zgodzić, albo nie i w ten sposób przyznać, że była dla niego kimś więcej niż tylko przelotnym flirtem. Odgadł, dokąd prowadziło jej rozumowanie i, choć niechętnie, podziwiał w duchu, jak sprytnie go wyprowadziła w pole.

- Flirty - przypominał jej gładko - na ogół nie kończą się pojedynkiem.

- Wiem o tym i bardzo mi przykro, że mój brat pana postrzelił.

Ian po prostu nie potrafił się oprzeć spojrzeniu tych wielkich, zielonych oczu.

- Nieważne - odparł z niecierpliwym westchnieniem, kapitulując. - Niech pani zostanie na cały tydzień.

Z trudem się powstrzymała, by nie podskoczyć z radości i z uśmiechem spojrzała mu w oczy.

- W takim razie na okres mojego pobytu zawieramy rozejm?

- To zależy.

- Od czego?

Uniósł brwi, postanawiając wystawić ją na próbę.

- Od tego, czy potrafi pani przyrządzić jadalne śniadanie.

- Chodźmy do domu, niech sprawdzę, co tam mamy.

Z gospodarzem u boku Elizabeth obejrzała dokładnie jajka, sery i chleb, a następnie

kuchnię.

- Zaraz coś przygotuję - oświadczyła, uśmiechem pokrywając niepewność.

- Na pewno podoła pani wyzwaniu? - spytał Ian, ale rozsadzała ją taka chęć działania i uśmiechała się tak rozbijając, że prawie uwierzył w jej talent kulinarny.

- Przekona się pan, że doskonale się spiszę - zapewniła go radośnie i przewiązała się w pasie szeroką ścierką.

Ian musiał się odwrócić, by nie uśmiechnąć się do Elizabeth. Dziewczyna najwyraźniej zamierzała podejść do zadania z sercem i zapałem, a on nie zamierzał jej zniechęcać.

- Na to liczę - odrzekł i wyszedł, zostawiając ją samą.

Po godzinie Elizabeth z mokrym od potu czołem chwyciła patelnię, oparzyła się, krzyknęła, po czym wzięła ją przez ścierkę. Ułożyła boczek na półmisku i zaczęła rozmyślać, co by zrobić z dwudziestocentymetrową bułką, która - zanim wstawiła je do piekarnika - była czterema małymi bułeczkami. Postanowiła, że jej nie podzieli, tylko położy na boczku i postawiła talerze na stole, przy którym właśnie zasiadł Ian. Wróciła do kuchni i usiłowała zdjąć z patelni jajka, a kiedy nie dały się ruszyć, przyniosła patelnię wraz z łopatką do jadalni.

- Po... pomyślałam, że będzie pan wolał sam nakładać - powiedziała oficjalnym tonem, by ukryć niepokój na myśl, o tym, co przygotowała.

- Naturalnie - odrzekł, z namaszczeniem przyjmując ten zaszczyt.

Wyczekująco spojrział na patelnię.

- Co my tu mamy? - zaczął życzliwym tonem.

Elizabeth siadła naprzeciwko, pilnie bacząc, by przypadkiem na niego nie spojrzeć.

- Jajka - odpowiedziała, po czym skupiła całą uwagę na układaniu serwetki na kolanach. - Niestety, żółtko się rozlało.

- Drobiazg.

Kiedy wziął do ręki łopatkę, dziewczyna przywołała na twarz promienny uśmiech i patrzyła, jak najpierw próbował podważyć jajka, a potem natarł na nie z całą siłą.

- Przywarły - wyjaśniła, jakby sam tego nie zauważył.

- Nie, wżarły się w dno - poprawił ją, ale przynajmniej w jego głosie nie zabrzmiał gniew.

Po kilku próbach w końcu udało mu się oddzielić jeden kawałek, który położył na talerzu dziewczyny. Jeszcze trochę wysiłku i na jego talerz trafiła druga porcja.

Przestrzegając warunków zawieszenia broni, oboje zachowywali się nienagannie, skrupulatnie dbając o zachowanie wszelkich nakazów dobrego wychowania. Ian podsunął

Elizabeth półmisek z boczkiem i niekształtną bułą.

- Dziękuję - powiedziała i wybrała dwa czarne plastry mięsa.

Ian wziął trzy, po czym zapatrzył się na płaski, brązowy kształt spoczywający na środku talerza.

- Boczek rozpoznaję - oświadczył ze śmiertelną powagą - ale co to jest? Wygląda dość egzotycznie.

- To bułka - poinformowała go dziewczyna.

- Doprawdy? - spytał z kamienną twarzą. - Niewyrośnięta?

- Bo to... bułka racuchowa - ratowała się Elizabeth.

- Tak, teraz rozumiem - odrzekł. - Rzeczywiście, przypomina racuchy.

Każde bacznie przyglądało się swojemu talerzowi, zastanawiając się, co nadaje się do jedzenia. Równocześnie doszli do identycznego wniosku: oboje wybrali pasek boczku i wbili w niego zęby. Rozległ się donośny chrzęst i trzask, niezwykle przypominający odgłos trzeszczącego i walącego się drzewa. Starannie unikając swoich spojrzeń, chrupali oboje, dopóki nie zjedli całego boczku. Wtedy Elizabeth zebrała się na odwagę i skosztowała odrobinę jajka.

Przypominało słony papier pakowy, lecz mężnie żuła jedzenie, choć żołądek skręcał jej się ze wstydu, a w gardle wzbierały łzy. Nieustannie czekała na jakiś miażdżący komentarz gospodarza, a im dłużej uprzejmie jadł, tym bardziej marzyła, by wrócił do swoich złośliwości, gdyż wtedy mogłaby przynajmniej dać upust własnym emocjom. Ostatnio bez przerwy spotykały ją upokorzenia. Jej duma i pewność siebie legły w gruzach. Nie dokończyła jajka, odłożyła widelec i spróbowała zjeść bułkę. Po kilku nieudanych próbach przełamania pieczywa sięgnęła po nóż i odkroiła kawałek. Podniosła do ust brunatny kęs i ugryzła, ale był taki twardy, że nie zdołała go przełknąć. Czuła na sobie spojrzenie Iana. Niewiele brakowało, by wybuchnęła głośnym płaczem.

- Może napije się pan kawy? - spytała zduszonym głosem.

- Tak, poproszę.

Szczęśliwa, że może wstać i wziąć się w garść, podeszła do kuchni. Z oczami pełnymi łez, na ślepo, wlała do kubka świeżo zaparzoną kawę, podała swemu towarzyszowi i usiadła.

Patrząc na załamana dziewczynę, która siedziała z opuszczoną głową i rękami złożonymi na kolanach, Ian nie mógł się zdecydować, czy parsknąć śmiechem, czy też pocieszyć nieszczęsną kucharkę, ale ponieważ przeżuwanie pochłaniało wszystkie jego siły, nie zdołał zrobić ani jednego, ani drugiego. Przełknął ostatni kęs jajka.

- To było... całkiem... sycące.

Elizabeth pomyślała, że może jedzenie nie wzbudziło w nim takiej odrazy jak w niej, i nieśmiało spojrzała mu w oczy.

- Nie mam dużego doświadczenia w gotowaniu - przyznała słabiutkim głosem.

Wypił łyk ciemnego napoju. Dziewczyna zobaczyła, jak jego oczy szeroko się otwierają ze zdumienia... a potem zaczął gryźć kawę.

Zerwała się od stołu, wyprostowała i powiedziała ochrypłym głosem:

- Zawsze po śniadaniu wybieram się na przechadzkę. Pan daruje.

Nadal przeżuując, patrzył, jak Elizabeth wypada na dwór. Dopiero wtedy uszczęśliwiony wypluł ziarna kawy.

ROZDZIAŁ 14

Śniadanie hrabianki skutecznie uleczyło Iana z głodu. Co więcej, na samą myśl, że miałby coś wziąć do ust, jego żołądek protestował.

Ian postanowił sprawdzić, jak się czuje Mayhem. Szedł przez podwórko do stajni, kiedy po lewej stronie, na stoku zobaczył Elizabeth. Siedziała wśród dzwonek, z podkulonymi nogami i głową na kolanach. A chociaż jej włosy lśniły niczym świeżo stopione złoto, wyglądała na bardzo nieszczęśliwą. Już się odwracał, by ją zostawić sam na sam z rozpaczą, ale potem zmienił zdanie i z westchnieniem ruszył w jej stronę.

Znalazł się już parę metrów od dziewczyny, gdy zauważył, że ramiona drżą jej od szlochów i zaskoczony ściągnął brwi. Nie było sensu udawać, że jedzenie mu smakowało, więc odezwał się pogodnie:

- Gratuluję pomysłowości; rzeczywiście, śmierć od kuli okazałaby się szybsza i łatwiejsza.

Elizabeth wzdrygnęła się i podniosła głowę. Odwróciła twarz, żeby Ian nie widział łez na policzkach.

- Życzy pan sobie czegoś?

- Deseru - odparł kąśliwie i pochylił się, próbując spojrzeć jej w oczy. Wydawało mu się, że przez usta dziewczyny przemknął lekki uśmiech. - Pomyślałem, że moglibyśmy ubić śmietaną i nałożyć ją na placek. To, co zostanie, zbierzemy, wymieszamy z resztkami jajek i wykorzystamy do naprawy dachu.

Roześmiała się przez łzy, wciągnęła głośno powietrze, ale nadal unikała jego wzroku.

- Dziwię się, że stać pana na takie żartobliwe uwagi.

- Nie ma sensu płakać nad przypalonym boczkiem.

- Nie nad nim płakałam.

Była zakłopotana i przygnębiona. Ian podsunął jej śnieżnobiałą chusteczkę. Wzięła ją i przyłożyła do mokrych policzków.

- To nad czym?

Popatrzyła przed siebie, na wzgórze obsypane dzwonekami i głoziem, ściskając w rękę chusteczkę.

- Nad swoją niekompetencją i niemożnością zapanowania nad własnym życiem - wyznała.

Zaskoczyło go słowo „niekompetencja”. Pomyślał, że hrabianka jak na płytka,

bezmysłną kokietkę ma wyjątkowo bogate słownictwo. Spojrzała na niego. Zobaczył przed sobą cudowne zielone oczy, przypominające mokre liście. Ze łzami drżącymi na długich, podkreślonych rzęsach, z włosami związanymi dziewczęcą kokardą i okrągłymi piersiami wypełniającymi stanik sukni stanowiła uosobienie czarującej niewinności i niewyobrażalnej zmysłowości.

- Pójdę narąbać drewno, żebyśmy mogli wieczorem rozpaść w kuchni - powiedział, zmuszając się do oderwania wzroku od jej dekoltu. - Potem będę łowił ryby na kolację. Mam nadzieję, że w tym czasie znajdzie sobie pani jakąś rozrywkę.

Zaskoczona nagłą szorstkością Iana Elizabeth wstała, jak przez mgłę odnotowując, że nie pomógł jej się podnieść. Ruszył w swoją stronę, ale nagle się odwrócił.

- Tylko niech pani nie sprząta. Wieczorem Jake przywiezie wieśniaczki, które się tym zajmą.

Elizabeth wróciła do domu, szukając zajęcia, dzięki któremu przestałaby myśleć o swoich problemach i rozładowała napięcie. Pomyślała, że wypadłoby przynajmniej sprzątnąć bałagan po śniadaniu. Zdrapując jajka z osmolonej patelni, usłyszała rytmiczny odgłos rąbania drewna. Odgarnęła z czoła kosmyk włosów, wyjrzała przez okno i zamarła, zaczerwieniona. Nie przejmując się wymogami skromności, Ian Thornton rozebrał się do pasa, tak że widziała w całej okazałości szerokie bary, wąskie biodra i pracę twardych, wydatnych mięśni, kiedy napinał ramiona, biorąc zamach. Elizabeth nigdy jeszcze nie widziała gołych męskich ramion, nie wspominając już o torsie, i przyglądała się zszokowana, zafascynowana i oburzona. Zmusiła się do oderwania wzroku od okna, zdecydowanie zabroniła sobie ulegania grzesznej pokusie i ponownego zerknięcia w tamtą stronę, a potem zastanawiała się, gdzie Ian się nauczył rąbać drwa z taką łatwością i wdziękiem. Tak doskonale pasował do towarzystwa zgromadzonego na przyjęciu u Charise, tak swobodnie wyglądał w idealnie skrojonym wieczorowym stroju, że Elizabeth uznała, iż całe życie spędził w wielkim świecie, utrzymując się z gry w karty. Tymczasem najwyraźniej tutaj, w niecywilizowanej Szkocji, również czuł się jak w domu. Może nawet bardziej. Emanowała bowiem z niego jakaś prymitywna witalność, nieokiełznana, które doskonale pasowało do tych dzikich stron.

W tym momencie przypominała sobie coś, co już dawno zepchnęła w zakątki niepamięci: ich walca w sadzie i niewymuszony wdzięk mężczyzny. Najwyraźniej Ian potrafił znaleźć się w każdym miejscu i środowisku. Ta świadomość wzbudziła w niej dziwny niepokój. Albo dlatego, że Thornton nagle zyskał w jej oczach, albo też dlatego, że musiała podać w wątpliwość trafność swojego wcześniejszego osądu. Po raz pierwszy od tamtego

koszmarne tygodnia, zakończonego pojedyńkiem, Elizabeth pozwoliła sobie na przeanalizowanie tego, co zaszło między nią a Ianem Thorntonem. Nie wydarzeń, ale przyczyn. Do tej pory jedynym sposobem na zniesienie ogólnego ostracyzmu i niełaski było zrzucanie całej winy na Iana - tak jak to uczynił Robert.

Teraz wszakże, kiedy ponownie stanęła z nim twarzą w twarz, starsza już i mądrzejsza, musiała zrewidować swą wcześniejszą opinię. Nawet pomimo tak okropnego zachowania nie mogła upatrywać w Ianie jedyne winnego tamtych wydarzeń.

Wolno myjąc naczynia, zobaczyła siebie z tamtych dni: była naiwna, niebezpiecznie zaślepiona i w tym samym stopniu co ten mężczyzna winna złamania reguł.

Starając się zachować obiektywizm, ponownie przemyślała własne postępowanie oraz swój udział w wypadkach sprzed dwóch lat. I jego. Po pierwsze musiała być skończoną idiotką, skoro tak rozpaczliwie chciała go chronić... i żeby on ją ochraniał. Miała zaledwie siedemnaście lat i sama propozycja spotkania w chacie powinna budzić w niej przerażenie, ona zaś lękała się wyłącznie tego, że ulegnie szalonym, nieznanym dotąd uczuciom, jakie budził w niej jego głos, spojrzenie i dotyk.

A choć należało się obawiać Iana, ona bała się tylko o siebie, o to że zniszczy przyszłość Roberta i Havenhurst. I zrobiłaby to, uświadomiła sobie Elizabeth z goryczą. Gdyby spędziła jeszcze dzień, jeszcze kilka godzin sam na sam z Ianem Thorntonem, odrzuciłaby ostrożność i rozsądek, i wyszła za niego za męża. Już wtedy to czuła, dlatego wezwwała brata, by wcześniej ją zabrał do Londynu.

Nie, poprawiła się, ani przez chwilę nie groziło jej małżeństwo z Ianem Thorntonem. Mimo jego deklaracji sprzed dwóch lat, nie dążył do ślubu. Sam się do tego przyznał Robertowi.

I kiedy te przemyślenia ponownie obudziły w niej gniew, przypomniała sobie coś, co podziałało jak kubeł zimnej wody. Po raz pierwszy od niemal dwóch lat Elizabeth usłyszała ostrzeżenia, których Lucinda udzielała jej jeszcze przed wyruszeniem do Londynu. Starsza dama wielokrotnie podkreślała, że kobieta swoim postępowaniem ma dawać mężczyźnie do zrozumienia, że w jej obecności winien się zachowywać, jak przystało na dżentelmena. Najwyraźniej panna Throckmorton - Jones zdawała sobie sprawę, że mężczyźni, których spotka Elizabeth, co prawda noszą miano dżentelmenów, ale nie zawsze tak postępują.

Założywszy, że Lucinda w obu punktach miała rację, Elizabeth zaczęła się zastanawiać, czy to nie ona sama ponosi winę za wydarzenia podczas tamtego przyjęcia. W końcu już od pierwszej rozmowy nie zachowywała się, jak przystało na dobrze ułożoną, skromną pannę, żądającą odpowiedniego traktowania. Przecież sama nalegała, by na balu

poprosił ją do tańca.

Ruszyła dalej tym tropem i doszła do wniosku, że najprawdopodobniej Ian postępował tak samo, jak zachowaliby się inni społecznie akceptowani „dżentelmeni” w takiej sytuacji. Zapewne uznał Elizabeth za światową kobietę i miał ochotę na przelotny romans. Gdyby była roztropniejsza, mniej naiwna i prowincjonalna, niewątpliwie szybko by się zorientowała w sytuacji i zachowywała ze swobodną nonszalancją, czego od niej oczekiwał. Dopiero teraz, dzięki mądrości i obiektywizmowi, które przyszły wraz z wiekiem, Elizabeth zrozumiała, że choć Iana nie przyjmowano w wielkim świecie, zachowywał się tak samo jak inni uwodziciele z kręgu arystokracji. Przecież widziała mężatki, flirtujące na balach; była nawet przypadkowym świadkiem skradzionych pocałunków, za które wielbiciel otrzymał tylko klapsa wachlarzem i ostrzeżenie, że ma się lepiej sprawować. Uśmiechnęła się na myśl, że Ian Thornton za swoją bezpośredniość został ukarany nie pacnięciem w ramię, tylko kulą. Uśmiechnęła się, ale tym razem bez złośliwej satysfakcji, lecz dlatego, że była w tym pewna ironia losu. Przyszło jej również na myśl, że jako pamiątka z tego przyjęcia pozostałoby jej niezbyt bolesne zadurzenie w Ianie Thorntonie - gdyby tylko nie odkryto ich w oranżerii.

Z perspektywy czasu wyglądało na to, że za tamte wydarzenia w znacznym stopniu mogła winić własną naiwność.

Dziwne, ale to poprawiło jej nastrój. Wreszcie zgasł bezsilny gniew, który płonął w niej od dwóch lat. Poczuła się lekka i niemal uskrzydłona.

Wzięła ścierkę i znieruchomiła. A może tylko szuka usprawiedliwienia dla tego mężczyzny? A jeśli tak, to dlaczego? - zastanawiała się, wolno wycierając proste fajansowe talerze. Odpowiedź brzmiała, że ma teraz wystarczająco dużo problemów na głowie i uwolniwszy się od wrogości w stosunku do Iana, poczuje się lepiej. To wyjaśnienie wydawało się takie rozsądne i przekonujące, że Elizabeth uznała je za prawdziwe.

Umyła i wytarła wszystkie naczynia, wylała brudną wodę i przespacerowała się po domu, szukając jakiegoś zajęcia. Udała się na górę, wypakowała pióro i papeterię i wzięła je na dół, żeby napisać list do Aleksy. Jednak po kilku minutach zrezygnowała. Na zewnątrz zrobiło się tak pięknie, a cisza na podwórku świadczyła, że Ian skończył już rąbać drewno. Odłożyła pióro i wyszła z domu. Odwiedziła konia w stajni, a potem postanowiła wypowiedzieć wojnę chwastom, które zagłuszały kwiaty na kawałku ziemi za domem, gdzie niegdyś był ogród. Wróciła do mieszkania, znalazła parę starych, męskich rękawic i ręcznik do klęczenia, po czym zabrała się do pracy.

Z bezwzględną zawziętością wyszarpywała chwasty, które dusiły odważne, małe bratki, wyciągające główki ku słońcu i powietrzu. Zanim słońce rozpoczęło leniwą wędrówkę

ku zachodowi, Elizabeth zdążyła już usunąć z ogrodu najgorsze chwasty, wykopała część dzwonek i posadziła je w równych rzędkach, tak by w przyszłości radowały oczy żywymi barwami.

Od czasu do czasu przerywała pracę i ze szpadlem w dłoni spoglądała ku dolinie, gdzie wśród drzew wiła się kręta wstążka rzeki. Czasem dostrzegała szybki ruch ramion Iana, gdy zarzucał wędkę. Większość czasu zaś po prostu stał, spoglądając ku północnym stokom.

Było już późne popołudnie, kiedy siedząc na piętach, podziwiała przesadzone dzwonki. Obok leżała kupka kompostu, który sporządziła z gnijących liści i ziaren kawy z jej porannego naparu.

- No i proszę - dodawała kwiatom otuchy - teraz macie pożywienie i powietrze. Już wkrótce będziecie szczęśliwe i ślicznie wyrosniecie.

- Rozmawia pani z kwiatami? - rozległ się za jej plecami głos gospodarza.

Drgnęła i odwróciła się, śmiechem pokrywając zawstydzenie.

- Lubię, kiedy do nich mówić. - Zdawała sobie sprawę, że to dziwnie brzmi, dlatego dorzuciła, gwoli wyjaśnienia: - Nasz ogrodnik powiadał, że wszystko, co żyje potrzebuje czułości, a to dotyczy również roślin.

Z powrotem zajęła się kwiatami, podsypując im nawóz. Potem wyprostowała się i otrzepała ręce. Dzięki wcześniejszym rozważaniom jej uprzedzenie do Iana Thorntona zniknęło i teraz Elizabeth potrafiła spokojnie patrzeć na niego i z nim rozmawiać. Uświadomiła sobie jednak, że to musi dość dziwnie wyglądać, jeśli gość pracuje w ogródku niczym byle służąca.

- Mam nadzieję, że pan się nie gniewa - odezwała się znowu - ale te kwiaty się dusiły, zagłuszały je chwasty. Błagały o odrobinę miejsca i pomoc.

Na jego twarzy zagościł wyraz niedowierzania.

- Słyszała pani ich wołanie?

- Oczywiście że nie. - Elizabeth parsknęła śmiechem. - Ale pozwoliłam sobie przyrzędzić im królewską ucztę, czyli po prostu kompost. W tym roku to już niewiele da, lecz w przyszłym na pewno będą znacznie szczęśliwsze... - Urwała, dopiero teraz uświadamiając sobie, co znaczy jego pełne niepokoju spojrzenie, jakim ogarnął kwiaty na dźwięk słowa „uczta”. - Nie musi pan tak patrzeć, jakby lada chwila wszystkie miały zwiędnąć - skarciła go ze śmiechem. - Są znacznie bardziej zadowolone ze swojego posiłku niż my z naszego. Na ogrodnictwie znam się o wiele lepiej niż na gotowaniu.

Ian oderwał oczy od kwiatów, po czym przyjrzał jej się z dziwną zadumą.

- Chyba pójde się doprowadzić do porządku.

Odeszła, nie oglądając się, więc nie widziała, że mężczyzna odwrócił się i odprowadzał ją wzrokiem.

Elizabeth naląła do dzbanka ciepłej wody, którą wcześniej postawiła na kuchni, i zaniósła go na górę. Dopiero po czterech takich kursach miała dość wody, by się odświeżyć i umyć włosy. Po wczorajszej podróży i dzisiejszej pracy aż lepiła się z brudu.

Po godzinie, w prostej brzoskwiowej sukni z krótkimi rękawami ściągniętymi w bufki, siedziała na łóżku, rozczesując wilgotne loki i z rozbawieniem myśląc, jak bardzo jej ubrania są nie na miejscu w tej szkockiej głuszy. Kiedy włosy już wyschły, stanęła przed lustrem, ściągnęła je na karku, a potem upięła w luźny kok, który i tak się rozleci przy pierwszym podmuchu wiatru. Wzruszyła ramionami i włosy rozsypały się swobodnie. Elizabeth była w doskonałym nastroju i nie opuszczało jej przekonanie, że tak już pozostanie.

Kiedy zeszła na dół, Ian właśnie wychodził na podwórze z kocem.

- Pomyślałem, że skoro jeszcze nie wrócili - odezwał się - moglibyśmy się posilić. Siądziemy na łące i zjemy chleb z serem.

Przebrał się w czystą, białą koszulę i jasnopłowe spodnie. Kiedy ruszyła za nim, zauważyła, że włosy na karku miał jeszcze wilgotne.

Rozłożył koc na trawie. Elizabeth usiadła na jednym końcu i zapatrzyła się na wzgórze.

- Która może być godzina? - spytała po kilkunastu minutach, gdy Ian usiadł obok niej.

- Chyba dochodzi czwarta.

- Nie powinni już wrócić?

- Pewnie nie mogą tak łatwo znaleźć kobiet, które zgodziłyby się zostawić własne gospodarstwo, żeby tutaj pracować.

Elizabeth skinęła głową i chłonęła cudowny widok przed sobą. Dom stał na szczycie płaskowyżu. W miejscu, gdzie kończyło się podwórze, zaczynał się stromy stok, schodzący do doliny; tam, wśród drzew, wił się strumień. Dolinę ze wszystkich stron otaczały wzgórza, porośnięte gęstym kobierców kwiatów. Krajobraz był tak piękny, tak pełen dzikości i zieleni, że Elizabeth przez dłuższy czas siedziała, sycąc się tym pięknem i rozkoszując niezwykłym spokojem. Nagle przysła jej do głowy niepokojąca myśl. Zerknęła na Iana .

- Złapał pan jakąś rybę?

- I to nie jedną. Już je oczyściłem.

- Dobrze, ale czy potrafi pan je przyrządzić? - spytała z uśmiechem.

Usta lekko mu drgnęły. - Tak.

- To dla mnie prawdziwa ulga.

Podciągnął kolano i oparł na nim rękę, po czym spojrział na dziewczynę z nieskrywaną ciekawością.

- Od kiedy to debiutantki zaliczają do swoich ulubionych zajęć grzebanie się w ziemi?

- Nie jestem już debiutantką - odparła Elizabeth. A kiedy zobaczyła, że Ian oczekuje na wyjaśnienia, dodała cicho: - Podobno dziadek ze strony matki był ogrodnikiem - amatorem. Niewykluczone, że po nim odziedziczyłam miłość do kwiatów i roślin. To on założył ogrody w Havenhurst, ja tylko je powiększyłam i dodałam kilka nowych odmian roślin.

Na samą wzmiankę o Havenhurst jej twarz złagodniała, a oczy zapłonęły niczym cudowne, zielone klejnoty. Choć zdrowy rozsądek mu to odradzał, Ian podtrzymywał rozmowę o czymś, co najwyraźniej było jej namiętnością.

- Co to jest Havenhurst?

- Mój dom - odrzekła z czułym uśmiechem. - Należy do naszej rodziny już od siedmiu wieków. Pierwsi hrabiostwo Cameron wybudowali tam zamek. Był taki piękny, że czternastu napastników pragnęło go zdobyć i oblegało, lecz nikt nie zdołał zagarnąć posiadłości. Zamek zrównał z ziemią kolejny mój przodek, który wymarzył sobie klasycystyczną rezydencję. Potem jego sześciu następców powiększało ją, przebudowywało i modernizowało, aż uzyskała obecny kształt. Czasem - przyznała - przygniata mnie świadomość, że na mnie spoczywa odpowiedzialność za stan posiadłości.

- Przypuszczałem, że taki obowiązek spoczywa raczej pani stryju lub bracie.

- Nie, to mój majątek.

- Jakim cudem?

Ciekawiło go, że opowiada o posiadłości, jak gdyby był to jej jedyny, największy skarb.

- W majoracie zapisano, że Havenhurst ma przechodzić na najstarszego syna. W razie braku syna, dziedziczy go córka, a następnie jej potomstwo. Stryj nie mógł odziedziczyć majątku, bo był młodszy od taty. Pewnie dlatego nigdy nie obchodziły go losy Havenhurst i teraz tak się krzywi na wysokie koszty utrzymania posiadłości.

- Przecież ma pani brata - zwrócił jej uwagę Ian.

- Robert jest tylko moim bratem przyrodnim. - Cudowny krajobraz i uporanie się z wydarzeniami sprzed dwóch lat przyniosły jej takie ukojenie, że mogła o tym wszystkim mówić swobodnie. - Mama owdowiała w wieku dwudziestu jeden lat, Robert był wtedy malutki. Wkrótce potem wyszła za tatę. Ojciec oficjalnie adoptował Roberta, lecz to nie zmienia zapisów majoratu. Spadkobierca ma prawo sprzedać majątek, ale nie może przenieść

swego prawa własności na krewnych. Ten paragraf dodano, aby nie dopuścić, by jakiś krewniak albo gałąź rodziny, którzy upatrzili sobie tę posiadłość, wywierali nacisk na dziedzica i próbowali od niego odkupić siedzibę rodu. Właśnie w takiej sytuacji znalazła się w piętnastym wieku któraś z prababek i na jej żądanie wiele lat później wprowadzono ów zapis. Jej córka zakochała się w Walińczyku, jakimś szubrawcu, który zakochał się w Havenhurst, a nie w dziewczynie, dlatego by nie otrzymał majątku - jej rodzice wprowadzili jeszcze jeden, ostatni kodycyl.

- Jaki? - spytał Ian, którego zaczęła wciągać ta historia, opowiadana z takim talentem i swadą.

- Ustalono, że jeśli majątek odziedziczy kobieta, nie może wyjść za mąż wbrew woli swojego opiekuna. Teoretycznie miało to bronić spadkobierczyń, aby nie stały się łupem kolejnego szubrawca. Jak pan widzi, kobiecie nie zawsze jest łatwo utrzymać swoją własność.

Ian widział tylko, że piękna dziewczyna, która odważyła się stanąć w jego obronie w pokoju pełnym mężczyzn, a potem całowała go z czułą namiętnością, teraz darzy płomiennym uczuciem nie mężczyznę, lecz kupę kamieni. Dwa lata temu wpadł we wściekłość, gdy odkrył, że była hrabianką, kolejną płytką debutantką, w dodatku już zaręczoną - zapewne z jakimś zimnokrwistym hrabią - która szukała kogoś bardziej podniecającego, kto ogrzałby jej łóżko. teraz jednak czuł się niezręcznie na myśl, że nie poślubiła swego narzeczonego - Już miał spytać wprost, czemu nie wyszła za mąż, gdy ponownie się odezwała:

- Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie Szkocję.

- Czyli? ..

- Okazała się bardziej dzika i prymitywna. Wiem, że dżentelmeni przyjeżdżają tu na polowania, ale spodziewałam się, że są tutaj typowe rezydencje ze służbą. Jaki był pański dom?

- Dziki i prymitywny.

Kiedy Elizabeth spojrzała na niego zaskoczona i zmieszana, zebrał resztki jedzenia i podniósł się jednym, płynnym ruchem.

- Właśnie pani w nim gości - dodał kpiąco.

- W czym?

Elizabeth odruchowo również się podniosła.

- W moim domu.

Patrzyli na siebie. Gładkie policzki dziewczyny zabarwił gorący rumieniec wstydu. Wiatr rozwiewał ciemne włosy mężczyzny, na jego surowej, przystojnej twarzy malowały się

szlachectwo i duma, muskularne ciało emanowało stanowczością i siłą. Wydał jej się równie twardy i dumny jak góry i skały jego ojczyzny. Elizabeth otworzyła usta, by go przeprosić, tymczasem powiedziała to, co zauważyła w myślach.

- Pasuje do pana - odezwała się cicho.

Stała bez ruchu pod jego spojrzeniem. Nie zarumieniła się i nie odwróciła wzroku. Jej piękną, delikatną twarz otaczała aureola złocistych włosów, którymi bawił się wiatr - wydawała się uosobieniem kruchości, stojącej w obliczu silnego mężczyzny, który ją przytłaczał. Światło i ciemność, słabość i moc, uparta duma i niezłomność - dwa bieguny niemal po każdym względem. Niegdyś te odmienności przyciągnęły ich do siebie, teraz ich dzieliły. Byli starsi, mądrzejsi - i przekonani, że mają dość siły, by nie zwracać uwagi na ogień, jaki zapłonął między nimi na tej porośniętej trawą skalnej półce.

- Za to do pani nie pasuje - odparł spokojnie.

Jego słowa wyrwały Elizabeth z transu. Czar zniknął.

- Rzeczywiście - odrzekła.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że w niepraktycznych sukniach i delikatnych pantofelkach wygląda tu niczym cieplarniany kwiatek.

Złożyła koc, Ian wrócił do domu i rozkładał broń, żeby ją oczyścić i sprawdzić przed jutrzejszym polowaniem. Elizabeth obserwowała, jak zdejmuje strzelby z półki nad kominkiem, a potem wychodzi, i zerknęła na rozpoczęty list do Aleksandry. I tak przed powrotem do domu go nie wyśle, więc nie musi się śpieszyć. Z drugiej jednak strony nie miała nic do roboty, więc usiadła i zaczęła pisać.

Poderwała się gwałtownie, gdy na zewnątrz padł strzał. Zastanawiała się, jakie zwierzę ustrzelił tak blisko domu, podeszła do drzwi i wyjrzała. Ian ładował pistolet, który wczoraj leżał na stole. Podniósł go, wymierzył do jakiegoś niewidocznego celu i strzelił. I znowu naładował i wystrzelił. Wreszcie ciekawość wzięła górę, Elizabeth wyszła na dwór zobaczyć, co - o ile w ogóle coś - trafił.

Ian dostrzegł kątem oka brzoskwińową sukienkę i odwrócił się do dziewczyny.

- Trafił pan? - spytała, nieco zawstydzona, że przyłapał ją na podglądaniu.

- Tak.

Ponieważ hrabianka wychowała się na wsi i niewątpliwie choć trochę znała się na broni, Ian zdawał sobie sprawę, że dobre wychowanie nakazuje przynajmniej zaproponować jej rozrywkę.

- Ma pani ochotę spróbować swoich sił?

- To zależy od wielkości celu - odparła, ale już szła w jego stronę, uradowana, że

znalazła ciekawsze zajęcie niż pisanie listu.

Nie przyszło jej do głowy - w ogóle nie dopuściłaby do siebie takiego spostrzeżenia - że kiedy Ian Thornton zachowuje się normalnie, przebywanie w jego towarzystwie sprawia jej niezwykłą przyjemność.

- Kto panią nauczył strzelać? - spytał, gdy już przy nim stanęła.

- Nasz stangret.

- Dobrze, że nie brat - zakpił, podając jej naładowaną broń. - Cel jest tam: ta gałązka na czubku, z jednym listkiem na środku.

Elizabeth skrzywiła się na tę złośliwą aluzję do pojedynku z Robertem.

- Naprawdę bardzo mi przykro z powodu tamtego zajścia - powiedziała i całą uwagę skupiła na maleńkiej gałązce.

Oparty o pień Ian z rozbawieniem obserwował, jak dziewczyna oburącz chwyta ciężki pistolet i podnosi go, ze skupieniem przygryzając wargę.

- Pani brat jest wyjątkowo kiepskim strzelcem. Strzeliła, kula drasnęła listek.

- Za to ja nie - odparła z lekkim uśmiechem.

A skoro wrócili do kwestii pojedynku i Thornton potrafił żartobliwie go wspominać, postanowiła się dostosować do jego tonu.

- Gdybym ja tam była, zapewniam, że... Uniósł brwi.

- ...przynajmniej zaczekałaby pani na sygnał?

- To także.

Jej uśmiech zgasł. Czekwała, aż Ian odrzuci jej zapewnienie. Tymczasem on właśnie jej uwierzył. Wbrew wszystkiemu, co sądził o tej dziewczynie, kiedy na nią patrzył, widział młodzieńczą odwagę i siłę ducha. Oddała mu broń. Podał jej drugi pistolet, już naładowany.

- Poprzedni strzał nie był zły - powiedział, nie wracając już do tematu pojedynku. - Lecz celem jest gałązka, nie liść. Koniec gałązki - dodał.

- Widocznie sam pan nie trafił - oświadczyła, podnosząc broń i starannie mierząc - skoro gałązka nadal tam jest.

- Owszem, ale krótsza, niż kiedy zaczynałem.

Elizabeth na chwilę zapomniała, co robi, i zdumiona wpatrywała się w mężczyznę z niedowierzaniem.

- Twierdzi pan, że stopniowo ją skraca?

- Po kawałeczku - odrzekł, skupiając się na jej kolejnym strzale. Trafiła w kolejny liść i zwróciła mu broń.

- Nieźle pani sobie radzi - pochwalił.

Miała świetne oko, a aprobujący uśmiech Iana świadczył, że mężczyzna doskonale sobie zdaje z tego sprawę. Podał jej kolejny pistolet. Elizabeth pokręciła głową.

- Wolę zobaczyć, jak pan to robi.

- Nie wierzy mi pani?

- Powiedzmy, że jestem odrobinę sceptyczna.

Pewnym ruchem uniósł broń i nawet nie mierząc, wystrzelił. Na ziemię spadł pięciocentymetrowy kawałek gałązki. Elizabeth głośno roześmiała się z zachwytem.

- Wie pan - zawołała z podziwem - aż do tej chwili nie chciało mi się wierzyć, że naprawdę z premedytacją zestrzelił pan kłamrę z buta Roberta!

Spojrzał na nią rozbawiony, naładował broń i podał jej uprzejmym gestem.

- Cały czas kusiło mnie, żeby wybrać bardziej wrażliwe miejsce.

- Ale i tak by pan tego nie zrobił. Wzięła pistolet i odwróciła się do drzewa.

- Skąd ta pewność?

- Sam pan przyznał, że nie uznaje zabijania ludzi dla błahostki.

- Podniosła broń i wypaliła. Kula nawet nie otarła się o gałąź. - Mam doskonałą pamięć. Ian wziął drugi pistolet.

- To dziwne - odrzekł wolno, skupiając się na celu. - Skoro tak, to jakim cudem podczas naszego spotkania zapomniała pani, że jest zaręczona? A właśnie, kim był ów błazen? - spytał obojętnie, składając się do strzału i znowu trafiając w gałązkę.

Elizabeth, która właśnie ładowała broń, na moment znieruchomiała, po czym wróciła do swojego zajęcia. Jego rzucone od niechcienia pytanie świadczyło, że się nie pomyliła: światowcy, którzy byli na tyle dojrzały, by zabawiać się we flirt, nie traktowali takich przygód poważnie. Po wszystkim - tak jak teraz - najwyraźniej było w zwyczaju żartowanie sobie z dawnych miłostek. Patrząc, jak Ian ładuje kolejne dwa pistolety, Elizabeth uznała, że o ile łatwiej i zdrowiej jest otwarcie z tego wszystkiego żartować, niż spędzać bezsenne noce na próżnych, pełnych goryczy rozważaniach - jak to się stało w jej wypadku. Jakaż była głupia. A teraz też wyjdzie na głuptasa, jeśli nie potraktuje sprawy lekko, niczego nie ukrywając. Jednak nieco dziwnie się czuła, opowiadając o tym do wtóru strzałów z pistoletu. Uśmiechnęła się na tę myśl i przyjęła podaną broń.

- Wicehrabiego Mondevale'a raczej trudno nazwać błaznem.

Podniosła pistolet. Ian wyglądał na zaskoczonego, ale jego głos brzmiał obojętnie.

- Więc chodziło o Mondevale'a?

- Mhm.

Elizabeth odstrzeliła kawałek gałązki i roześmiała się uradowana.

- Trafiłam! Trzy do jednego!

- Sześć do jednego - skorygował.

- Wszystko jedno, niech pan się ma na baczności, zaraz pana dogonię!

Podał jej broń. Zmrużyła oczy, mierząc starannie.

- Czemu zerwała pani zaręczyny?

Znieruchomiała, a potem próbowała się dostosować do jego kpiącego tonu.

- Okazało się, że wicehrabiego Mondevale'a opuściło poczucie humoru, gdy usłyszał, że jego narzeczona umawiała się z panem w ustronnych chatach i oranżeriach.

- A ilu konkurentów jest w tym sezonie? - spytał Ian tonem towarzyskiej konwersacji, przecierając broń przed strzałem.

Wiedziała, że chodziło o konkurentów do jej ręki i duma nie pozwoliła jej przyznać, że nie ma ani jednego i od dawna nie miała.

- Cóż... - zaczęła.

Usiłowała się nie skrzywić na wspomnienie korpulentnego wielbiciela w domu pełnym puciołowatych kupidynów. Licząc, że Ian nie obracał się w wielkim świecie, założyła, że nie będzie znał jej ostatnich „zdobyczy”.

- Na przykład sir Francis Belhaven - odparła.

Zamiast wypalić natychmiast, jak to czynił do tej pory, tym razem długo składał się do strzału.

- Belhaven to starzec - zauważył.

Rozległ się huk i na ziemię spadł kolejny kawałek gałązki. Kiedy Ian znowu spojrzał na Elizabeth, w jego oczach pojawił się chłód, jakby stracił do niej szacunek. Dziewczyna uznała, że ponosi ją wyobraźnia i postanowiła za wszelką cenę utrzymać nastrój lekkiej konwersacji. Wypadała jej kolej, więc sięgnęła po pistolet.

- Kim jest drugi wielbiciel?

Spokojna, że nie będzie mógł się przyczepić przynajmniej do wieku miłośnika polowań, uśmiechnęła się wyniośle.

- Lord John Marchman - odparła i wystrzeliła.

Ian wybuchnął takim śmiechem, że prawie zagłuszył huk broni.

- Marchman! - zawołał, kiedy spojrzała na niego koso i szturchnęła go w brzuch kolbą pistoletu. - Pani raczy żartować!

- Zepsuł mi pan strzał - skarciła go Elizabeth.

- Niech pani spróbuje znowu.

W jego wzroku malowała się drwina, niedowierzenie i rozbawienie.

- Nie, nie mogę strzelać, kiedy pan się śmieje. I byłabym wdzięczna, gdyby pan przestał rechotać. Lord Marchman to niezwykle miły dżentelmen.

- Owszem - mówił Ian z denerwującym uśmiechem. - I dobrze, że lubi pani strzelać, bo sypia z dubeltówkami i wędkami. Resztę życia spędzi pani, przedzierając się przez chaszczę albo moczając patyk.

- Tak się składa, że lubię łowić ryby - poinformowała go, bezskutecznie usiłując zachować panowanie nad sobą. - Sir Francis może jest ode mnie nieco starszy, ale starszy mąż może się okazać lepszy i bardziej wyrozumiały od młodzieńca.

- Będzie musiał stać się wyrozumiały - odparł sucho Ian, z powrotem skupiając się na broni - albo nauczyć się doskonale strzelać.

Elizabeth rozgniewała się, że Thornton atakuje ją, kiedy właśnie pojęła, że o przeszłości należy mówić swobodnie, jak przystało na wyrafinowanych bywalców salonów.

- Za to pan nie jest ani dojrzały, ani konsekwentny. Ściągnął ciemne brwi. Ich rozejm najwyraźniej dobiegł końca.

- A to co niby ma oznaczać?

Elizabeth spojrzała na niego z góry, jak przystało na młodą arystokratkę, którą wszak była.

- To znaczy - odparła, nadludzkim wysiłkiem woli zmuszając się, by mówić wolno i chłodno - że nie ma pan prawa zachowywać się, jakbym dopuściła się jakiegoś występku, choć sam pan uznał naszą znajomość za nic nieznaczący flirt. To pańskie słowa, więc niech pan się nie wypiera.

Najpierw skończył ładować broń, a dopiero potem się odezwał. Uprzejmy ton kontrastował z gniewnym wyrazem twarzy.

- Najwyraźniej moja pamięć nie umywa się do pani. Komu rzekomo to powiedziałem?

- Na przykład mojemu bratu - odrzekła, rozdrażniona jego gierkami.

- A, tak, szlachetnemu Robertowi.

Złośliwie podkreślił słowo „szlachetny”. Odwrócił się i strzelił.. Spudłował.

- Nawet pan nie trafił w drzewo - zauważyła zaskoczona Elizabeth. - Przecież zamierzał pan oczyścić broń! - zdziwiła się, kiedy zaczął metodycznie wkładać pistolety do futerałów, całkowicie pochłonięty tym zajęciem.

Spojrzał na nią, ale odnosiła wrażenie, że zapomniał o jej obecności.

- Postanowiłem zrobić to jutro.

Wszedł do domu, automatycznie odłożył pistolety na miejsce, a potem wziął ze stołu butelkę madery i ze zmarszczonym czołem nalał wina do szklanki. Powtarzał sobie, że nie

obchodzi go, co czuła Elizabeth, gdy usłyszała kłamstwa brata. Po pierwsze była już zaręczona, zresztą sama przyznała, że uważała ich znajomość za flirt. Może nieco ucierpiała jej duma, ale to bardzo dobrze. Co więcej, przywołał się do porządku, on sam właśnie zaręczył się z piękną kobietą, która zasługuje na uczucie, a nie na to, by jego myśli krążyły wokół jakiejś Elizabeth Cameron.

„Okazało się, że wicehrabiego Mondevale'a opuściło poczucie humoru, gdy usłyszał, że jego narzeczona umawiała się z panem w ustronnych chatkach i oranżeriach”, powiedziała.

Najwyraźniej przez niego narzeczony zerwał z Elizabeth. Ian poczuł lekkie wyrzuty sumienia. Nie mógł się ich pozbyć. Sięgnął po maderę, z myślą, że poczęstuje dziewczynę. Obok butelki leżał list, który zaczęła pisać. „Najdroższa Aleksa...”, przeczytał pierwsze słowa, ale to nie ich treść sprawiła, że Ian zacisnął zęby, tylko charakter pisma hrabianki. Porządne, kaligraficzne, czytelne i staranne litery, których nie powstydziliby się średniowieczny mnich.

W każdym razie nie były to dziewczynskie bazgroły z owego liściku, który długo musiał studiować, nim zrozumiał, że Elizabeth wyznacza mu schadzki w oranżerii. Sięgnął po kartkę i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Teraz wyrzuty sumienia zaatakowały go ze zdwojoną siłą. Przypomniał sobie, jak napadł w oranżerii na niewinną dziewczynę i poczucie winy zaczęło go palić jak ogniem.

Wypił maderę, jakby mogła splukać to uczucie obrzydzenia do samego siebie, potem odwrócił się i wolno wyszedł na podwórze. Elizabeth stała na krawędzi urwiska, parę metrów od miejsca, w którym toczyli swój strzelecki pojedynek. Wiatr szumiał w drzewach, rozwiewając jej cudowne włosy niczym połyskliwy welon. Zatrzymał się parę kroków od niej, ale widział tamtą dziewczynę sprzed dwóch lat: młodą, nietkniętą boginią w szafirze, która majestatycznie spływała po schodach, rozgniewanego anioła, stawiającego czoło mężczyznom w pokoju karcianym; kuszącą uwodzicielkę w chacie drwala, upinającą przy ogniu wilgotne włosy, aż wreszcie przerażone dziecko, które wciskało mu w ręce doniczki, żeby jej nie pocałował. Głęboko zaczerpnął tchu i wbił ręce w kieszenie, żeby jej nie dotknąć.

- Wspaniały widok - odezwała się, zerkając w jego stronę.

Ian nie odpowiedział, tylko jeszcze raz głośno wciągnął powietrze.

- Chciałbym, żeby mi pani powtórzyła, co się wydarzyło tamtego pamiętnego wieczoru. Czemu pani przyszła do oranżerii?

Elizabeth zapanowała nad rozdrażnieniem.

- Doskonale pan wie, czemu. Przysłał mi pan list. Sądziłam, że napisała go Valerie, siostra Charise, dlatego poszłam na spotkanie.

- Elizabeth, nie napisałem do ciebie, ale prawdą jest, że też otrzymałem list.

Westchnęła zniecierpliwiona i oparła się o drzewo.

- Nie wiem, czemu w ogóle do tego wracamy. Pan mi nie wierzy, ja zaś nie wierzę panu.

Spodziewała się wybuchu, tymczasem Ian odpowiedział spokojnie:

- Wierzę ci. Zobaczyłem list, który zostawiłaś na stole. Masz piękny charakter pisma.

Ten poważny ton i komplement zupełnie zbiły ją z tropu.

- Dziękuję - odrzekła niepewnie.

- A list, który ty otrzymałaś... - ciągnął. - Jak wyglądało pismo?

- Okropnie. W dodatku w „oranżerii” był błąd - dodała, unosząc brwi.

Wygiął usta w pozbawionym wesołości uśmiechu.

- Zapewniam, że wiem, jak należy pisać to słowo, a choć moje umiejętności kaligraficzne nie dorównują twoim, to jednak nie bazgrzę jak kura pazurem. Jeśli wątpisz, chętnie ci to udowodnię w domu.

Nagle Elizabeth uświadomiła sobie, że Ian nie kłamie i ogarnęło ją okropne poczucie zdrady.

- Oboje otrzymaliśmy listy, choć żadne z nas nic nie pisało. Ktoś chciał, abyśmy znaleźli się w oranżerii i zostali na tym przyłapani.

- Nikt nie byłby tak okrutny! - zawołała, kręcąc głową i usiłując nie dopuścić do siebie tej strasznej prawdy.

- A jednak ktoś był.

- Niech pan tak nie mówi - błagała. Nie mogła znieść kolejnej zdrady i zawodu. - Nie uwierzę! Na pewno doszło do nieporozumienia.

Lecz choć tak gorąco protestowała, w jej pamięci ożywały już sceny z tamtych dni. Nalegania Valerie, by Elizabeth namówiła Iana Thorntona, żeby poprosił ją do tańca... Podchwytliwe pytania tamtej po powrocie Elizabeth z chaty drwala... Lokaj, który przyniósł liścik, twierdzący, że dała mu go panna Valerie. Valerie, którą uważała za przyjaciółkę. Valerie o ładnej buzi i chytrym spojrzeniu.

Elizabeth omal nie zgięła się wpół, tak dojmujący był jej ból. Zaplotła ramiona w obawie, że jej ciało rozpadnie się na kawałki.

- To była Valerie - wyrzuciła w końcu drżącym głosem. - Spytałam lokaja, kto dał mu list. Powiedział, że Valerie. - Przeszył ją dreszcz na myśl o okrucieństwie tego postępk. - Potem uznałam, że to pan poprosił ją o przekazanie kartki.

- Nie zrobiłbym tego. I tak panicznie się bałaś, że nas odkryją.

Jego gniew tylko pogorszył sytuację. Skoro nawet on nie potrafił spojrzeć na to z beztroską obojętnością... Przełknęła ślinę, zamknęła oczy i zobaczyła Valerie w parku z wicehrabią Mondevale'em. Życie Elizabeth legło w gruzach - a wszystko dlatego, że rzekoma przyjaciółka zagięła parol na jej narzeczonego. Pod powiekami paliły ją łzy.

- To wszystko było ukartowane. Jedna głupia intryga zniszczyła mi życie.

- Dlaczego - pytał. - Czemu ci to zrobiła?

- Podejrzewam, że chciała zdobyć Mondevale'a i...

Czuła, że zaraz wybuchnie płaczem. Potrząsnęła głową i odwróciła się, żeby poszukać zacisznego miejsca, w którym mogłaby spokojnie się wypłakać. Ian nie mógł jej puścić. Musiał przynajmniej spróbować pocieszyć Elizabeth. Chwytał ją, przyciągnął do siebie i mocno objął ramionami, kiedy próbowała się wyrwać.

- Proszę, nie - szepnął z ustami we włosach dziewczyny. - Nie płacz. Ona nie jest warta twoich łez.

Szok, że oto ponownie znalazła się w jego ramionach, dorównywał jej rozpacz. Połączenie obu tych uczuć odebrało Elizabeth zdolność poruszania się i myślenia. Stała ze spuszczoną głową, łzy płynęły niepowstrzymanym strumieniem, ciałem wstrząsał tłumiony szloch.

Ian objął ją mocniej, jakby chciał wchłonąć w siebie cały ból, a gdy nie pomogło, po dłuższej chwili zdesperowany spróbował żartu.

- Gdyby wiedziała, jak świetnie strzelasz - szeptał, choć coś go dławilo w gardle - nie odważyłaby się na taki krok. - Pogładził wilgotny policzek Elizabeth, przytulając ją do siebie.
- Ale nic straconego, jeszcze możesz ją wyzwąć na udeptaną ziemię.

Spazmatyczne drżenie szczupłych ramion dziewczyny powoli się uspokajało.

- Albo jeszcze lepiej: niech zastąpi cię Robert. Nie ma takiego dobrego oka jak ty, ale za to jest znacznie szybszy...

Z jej ust wyrwał się ni to śmiech, ni to szloch.

- Choć z drugiej strony, trzymając pistolet, musisz dokonać wyboru, a ten nie jest łatwy...

Kiedy nie dokończył, odetchnęła głośno i spytała wreszcie:

- Jakiego wyboru?

- Chociażby, gdzie strzelić - zażartował Ian, gładząc ją po plecach - Robert nosił buty z klamrami, więc nie miałem kłopotu z wyborem. Za to ty mogłabyś odstrzelić kokardę przy sukni Valerie.

Ramiona Elizabeth znowu drgnęły, ale teraz parsknęła śmiechem.

Ian w duchu odetchnął z ulgą, lecz nie wypuszczał jej z objęć. Ujął jej podbródek zmuszając, by na niego spojrzała. W cudownych oczach dziewczyny nadal błyszczały łzy, choć na różanych ustach zagościł już uśmiech.

- Choć kokarda to żadne wyzwanie dla takiego wybornego strzelca jak ty. Powinnaś zażądać, by Valerie trzymała między palcami kolczyk i mierzyłabyś do niego.

Wizja była tak absurdalna, że hrabianka głośno się roześmiała.

Ian mimowolnie przesunął kciuk z jej brody i lekko wodził nim po kuszącej, pełnej dolnej wardze. Po chwili uświadomił sobie, co robi i przestał.

Elizabeth zobaczyła, jak zacisnął szczęki. Wciągnęła drżący oddech, czując, że ten mężczyzna zaraz ją pocałuje. Po ostatnim odkryciu nie mogła zrozumieć, kto jest jej przyjacielem, a kto wrogiem, lecz jedno nie ulegało wątpliwości: w ramionach Iana czuła się spokojnie i bezpiecznie. Tymczasem on właśnie rozluźnił uścisk, a jego twarz przybrała chłodny wyraz. Elizabeth sama nie wiedziała, co powie, ani nawet czego pragnie, lecz wyszeptała jedno drżące słowo, w którym zawarła całe swoje zagubienie i prośbę. Popatrzyła mu błagalnie w oczy.

- Proszę...

Ian domyślał się, o co prosi, ale odpowiedział tylko pytającym uniesieniem brwi.

- Czy... - zaczęła, stropiona wiedzą, którą dostrzegła w jego oczach.

- Tak?

- Właściwie... sama nie wiem - wyznała.

Jednego była pewna: chciałaby jeszcze przez parę chwil pozostać w jego ramionach.

- Elizabeth, jeśli pragniesz, bym cię pocałował, wystarczy, że dotkniesz wargami moich ust.

- Co?!

- Słyszałaś.

- Co za niewyobrażalny...

Pokręcił głową z wyrzutem.

- Daruj sobie te panieńskie protesty. Jeśli ciebie również dręczy pytanie, czy naprawdę było nam ze sobą tak dobrze, jak to zapamiętaliśmy, po prostu powiedz.

Jego samego zdumiała ta propozycja, ale w końcu uznał, że chyba nic się nie stanie, jeśli wymieni kilka pocałunków, skoro dziewczyna ma na to ochotę.

Słowa „było nam ze sobą dobrze” uciszyły gniew Elizabeth, ale równocześnie ją zmieszały. Spojrzała na Iana pytająco, a on zacisnął dłonie na jej ramionach. Zatrzymała wzrok na jego kształtnych ustach, na których pojawił się przekorny uśmiech. Cały czas

mocniej ją do siebie przyciągał.

- Boisz się sprawdzić? - spytał.

W jego głosie zabrzmiała tamta gardłowa nuta, która - tak samo jak niegdyś - rzuciła na nią czar. Ian przesunął dłonie na talię dziewczyny.

- Zdecyduj się - szepnął.

Zagubiona, samotna i spragniona nie protestowała, gdy pochylił głowę. Kiedy jego usta dotknęły jej warg, przeszył ją dreszcz. Ian ciepło, pieszczotliwie, zachęcająco muskał jej usta. Bez ruchu czekała na ten sam wybuch namiętności, który dawniej ich połączył, nie zdając sobie sprawy, że wtedy wywołała go jej odpowiedź. Stała teraz nieruchomo, napięta, licząc, że choć przez moment doświadczy tamtej zakazanej niewysłowionej rozkoszy. Tylko raz...

Przez chwilę... Tymczasem obecny pocałunek Iana był lekki jak piórko, delikatny... wręcz żartobliwy!

Zeszytniała i odsunęła się zawiedziona. Ian wolno oderwał wzrok od jej ust i popatrzył jej w oczy.

- Nie tak to zapamiętałem - odezwał się chłodno.

- Ani ja - przyznała się Elizabeth, nie zdając sobie sprawy, że miał na myśli jej brak reakcji.

- Masz ochotę spróbować jeszcze raz? - zaproponował.

Chętnie spędziłby jeszcze parę minut na niezobowiązujących pocałunkach, pod warunkiem że byłyby odwzajemnione, a przy tym żadne nie udawałoby, że znaczy to coś więcej, on zaś nie straciłby panowania nad sytuacją.

Słyszac w głosie Iana szyderstwo, zaczęła podejrzewać, że on traktuje to jak grę, a może wyzwanie. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czy to... jakiś... pojedynek?

- A chcesz, żeby tak było?

Elizabeth pokręciła głową i pożegnała się ze wspomnieniem czułości i gorącego pragnienia. Podobnie jak wszystko, co dotyczyło Iana Thorntona, to również okazało się mrzonką. Zniechęcona i zawiedziona, spojrzała na niego ze smutkiem.

- Nie sądzę.

- Dlaczego?

- Prowadzi pan jakąś grę - wyznała szczerze, poddając się w duchu - a ja nie znam jej reguł.

- One się nie zmieniły. To ta sama gra, co niegdyś. Ja całuję, a ty - podkreślił znacząco

- również odpowiadasz pocałunkiem.

Ta otwarta krytyka jej bierności wzbudziła w Elizabeth z jednej strony wstyd, a z drugiej gorącą chęć, by go kopnąć. Tymczasem Ian mocniej otoczył ramieniem jej talię, a drugą rękę przesunął na kark, gładząc go zmysłowo.

- Jak to zapamiętałaś? - prowokował. - Pokaż mi.

Musnął jej usta, a mimo lekkiego tonu, tym razem w pieszczocie pojawiło się pożądanie. Elizabeth z wolna na nie odpowiedziała, rozluźniając się i wodząc ręką po jego koszuli. Czowała, jak napiął mięśnie i mocniej zacisnął ramię na jej talii. Rozchylił usta. Serce Elizabeth zaczęło bić mocno, boleśnie. Ian zachęcająco wodził językiem po jej wargach. Dziewczyna straciła panowanie nad sobą i odpowiedziała tak, jak potrafiła. Zaplotła ręce na jego ramionach i odwzajemniła pocałunek, pozwalając, by rozchylił jej usta, a kiedy wsunął w nie język, chętnie przyjęła tę pieszczotę.

Ian gwałtownie wciągnął powietrze. W jego żyłach zatętniło pożądanie. Powtarzał sobie, że musi ją puścić i próbował, ale zacisnęła palce na jego włosach, z niewyobrażalną słodyczą przyjmując głęboki pocałunek. Z trudem oderwał usta, lecz odsunął się zaledwie odrobinę od tych kuszących warg.

- Do diaska - szepnął, ale jego ramiona już ją przyciągały na powrót.

Serce Elizabeth szarpało się w piersi niczym ptak w klatce. Spojrzała w płonące oczy Iana. Zanurzył palce w jej włosach i znowu ją pocałował. Tym razem zrobił to mocno, z ogniem, żądając odwzajemnienia pieszczoty. Bezradnie uległa żarowi jego pocałunku, zaplotła dłonie na karku mężczyzny i wtuliła się weń. Ian brutalnie rozchylił jej usta i wsunął w nie język, oczekując - żądając - protestu. Elizabeth jednak nie protestowała, przyjmując i tę pieszczotę. Leciutko, niewinnie muskała palcami jego brodę i skronie. Zawrzała w nim namiętność, przyciągnął do siebie dziewczynę, tak by poczuła jego pożądanie, całował ją z żarem i pasją, nie panując już nad sobą. Pieszczotliwie wodził dłońmi po jej plecach, ale zacisnął je, kiedy jeszcze mocniej się w niego wtuliła, nie zdając sobie sprawy z widomych oznak jego stanu.

Automatycznie przesunął ręce ku piersiom dziewczyny i wtedy uświadomił sobie, co robi, więc oderwał od niej usta i nieprzytomnie patrzył w przestrzeń, usiłując rozstrzygnąć, czy znowu pocałować Elizabeth, czy obrócić całą sprawę w żart. Jeszcze nigdy żadna kobieta paroma pocałunkami nie wzbudziła w nim tak gwałtownych emocji.

- Właśnie tak to zapamiętałam - wyszeptała pokonana i zagubiona.

Dzisiejszy pocałunek bił na głowę ów poprzedni. Był silniejszy, bardziej płomienny. Ale Elizabeth nie zdawała sobie z tego sprawy, bo jeszcze nie uległ pokusie, by pocałować ją

po raz drugi. Właśnie odrzucił ten pomysł jako czyste szaleństwo, kiedy nagle rozległ się za nimi męski głos.

- Na Boga, co tu się wyprawia?

Przerażona dziewczyna wyrwała się z objęć Iana i zobaczyła szpakowatego mężczyznę w koloratce, który szedł w ich kierunku przez podwórko. Ian uspokajająco objął ją w talii. Elizabeth zamarła bez ruchu.

- Słyszałem strzały... - wysapał przybyły i chwytając się za serce, oparł się o drzewo. - Słysząc je było w całej dolinie i bałem się...

Urwał, z niepokojem wodząc wzrokiem po rozplamionej twarzy dziewczyny i jej potarganych włosach, a potem zatrzymał spojrzenie na dłoniach Iana na talii Elizabeth.

- Czego się bałeś? - spytał Ian.

Była zdumiona jego spokojem. W końcu zostali przyłapani na zakazanym pocałunku i to przez szacownego szkockiego duchownego.

Nie zdążyła dokładnie sobie tego wszystkiego przemyśleć, kiedy przybyły zrozumiał sytuację i jego twarz stwardniała.

- Bałem się - odrzekł z ironią, odrywając się od drzewa i strzepując z ramienia kawałki brzozy kory - że się pozabijacie.

Stanął przed Elizabeth i jego głos złagodniał.

- A sądząc z opowieści panny Throckmorton - Jones, która mnie tutaj przysłała, należało się liczyć z taką możliwością.

- Lucinda? - Dziewczyna miała wrażenie, że świat stanął na głowie. - Lucinda księdza tu przysłała?

- Owszem - odrzekł duchowny, spoglądając z wyrzutem na dłoń młodego człowieka, nadal obejmującą Elizabeth w talii.

Śmiertelnie upokorzona, uświadomiła sobie, jak to wygląda, natychmiast odepchnęła rękę Thorntona i odsunęła się od niego. Przygotowała się na zasłużoną, miażdżącą tyradę na temat ich grzesznego zachowania, lecz duchowny nadal spoglądał na Iana spod krzaczastych brwi i czekał. Elizabeth bała się, że za chwilę nie wytrzyma tej ciszy i pęknie. Spojrzała błagalnie na Iana. Okazało się, że nie patrzył na księdza ani przeproszająco, ani ze wstydem, tylko z lekką irytacją i rozbawieniem.

- No więc? - odezwał się wreszcie gość. - Co masz mi do powiedzenia?

- Może: dzień dobry? - podsunął Ian. - Spodziewałem się, że zjawisz się tu dopiero jutro, wujku.

- Właśnie widzę - odparował ironicznie kapłan.

- Wujku?! - powtórzyła Elizabeth, wstrząśnięta.

Ten sam Ian Thornton, który od pierwszego spotkania lekce sobie ważył zasady przyzwoitości, od którego pocałunków i wszechobecnych rąk nie mogła się opędzić, to...

W brązowych oczach księdza błysnęło rozbawienie.

- Zdumiewające, nieprawdaz, moja droga? - powiedział, jakby czytał w jej myślach. - To mnie przekonuje, że Pan Bóg ma poczucie humoru.

Elizabeth z trudem powstrzymywała histeryczny śmiech, obserwując, jak Ian z coraz bardziej niewyraźną miną słucha listy własnych przewinień, recytowanej przez wuja.

- Nie wyobrażasz sobie, jak mnie męczyło, kiedy musiałem pocieszać szlochające panny, które na próżno zarzucały nań swoje sieci, w nadziei, że go schwytają - zwierzał się duchowny Elizabeth. - Ale to nic w porównaniu z tym, kiedy Ian wystawił do gonitwy swojego wierzchowca, a jeden z moich parafian uznał, że ja idealnie się nadaję do pilnowania zakładów!

Wybuchnęła śmiechem, który niczym muzyka rozniósł się echem wśród wzgórz. Ksiądz zaś, nie zwracając uwagi na gniewne spojrzenie Iana, kontynuował swoją tyradę:

- Zrobiły mi się nagniotki na kolanach od dni, tygodni i miesięcy spędzonych na modlitwie za jego nieśmiertelną duszę...

- Kiedy już skończysz opowiadać o moich występkach - przerwał Ian - to będę mógł wreszcie przedstawić cię mojemu gościowi.

Zamiast irytacji na twarzy duchownego pojawiło się zadowolenie.

- Ależ oczywiście - odrzekł natychmiast. - Zawsze należy przestrzegać wszelkich norm i reguł towarzyskich.

Dopiero wtedy Elizabeth uświadomiła sobie, że kazanie, którego się spodziewała, już zostało wygłoszone. Tyle że bardzo subtelnie i sprytnie. Lecz w jednym się pomyliła: pocziwy kapłan skierował je wyłącznie do Iana, ją całkowicie rozgrzeszając i oszczędzając jej dalszego upokorzenia.

Najwyraźniej młody człowiek również to zauważył, bo wyciągnął rękę i oświadczył z chłodną uprzejmością:

- Nieźle wyglądasz, Duncanie, mimo owych nagniotków na kolanach. I zapewniam cię, że twoje kazania nieodmiennie budzą we mnie podziw, niezależnie od tego, czy słucham ich stojąc, czy siedząc.

- To dlaczego tak czy owak zasypiasz w połowie? - odparł duchowny, ściskając mu rękę.

Ian przystąpił do prezentacji.

- Pozwól, że przedstawię: hrabianka Elizabeth Cameron, mój gość.

Uznała, że to wyjaśnienie jest jeszcze bardziej kompromitujące niż przyłapanie ich na pocałunku.

- Niezupełnie - pokręciła głową. - Jestem raczej...

Zabrakło jej pomysłu i ponownie książd uratował ją z opresji.

- ...Podróżniczką w tarapatach - podsunął, z uśmiechem ujmując jej dłoń. - Doskonale rozumiem... Miałem przyjemność poznania panny Throckmorton - Jones. Jak już wspomniałem, to ona mnie tu przysłała. Obiecałem, że zostanę tu do jutra albo pojutrze, póki nie będzie mogła wrócić.

- Jutra albo pojutrze? Przecież mieli być jeszcze dzisiaj.

- Doszło do niefortunnego wypadku. Niewielkiego - zapewnił pośpiesznie. - Jak się dowiedziałem od Jake'a, ten złośliwy koń, którego dosiadała, ma tendencje do wierzgania.

- Czy Lucindzie stało się coś poważnego?

Elizabeth już zaczęła się zastanawiać, jak pomóc opiekunce.

- Wierzchowiec kopnął pana Wileya - wyjaśnił duchowny. - Ucierpiała tylko duma pana Wileya i pewna... wrażliwa część jego ciała. Lecz panna Throckmorton - Jones słusznie uznała, że koń zasłużył na karę, a ponieważ, ku jej ubolewaniu, parasolka znajdowała się na ziemi, sięgnęła po jedyne wyjście, jakie jej pozostało. Kopnęła Attyle, co, niestety, zakończyło się poważnym zwichnięciem kostki przez szacowną damę. Otrzymała laudanum, dogląda jej moja gospodyni. Za dzień, najpóźniej dwa, wydobrzeje na tyle, by znowu włożyć nogę w strzemię. Zdaję sobie sprawę, że cię zaskoczyłem - zwrócił się do gospodarza - ale jeśli zamierzasz się mścić, odmawiając mi szklaneczki madery, mogę tu zagościć na całe miesiące, zamiast tylko do powrotu panny Throckmorton - Jones.

- Pójdę do środka... i przygotuję szklanki - zaproponowała Elizabeth, by - jak nakazywało dobre wychowanie - zostawić panów samych.

Kiedy się odwróciła, usłyszała jeszcze głos Iana .

- Jeśli liczysz na dobry obiad, źle wybrałeś. Panna Cameron już spróbowała swoich sił w roli wzorowej gospodyni i oboje ledwo uszliśmy z życiem. Ja przyrządzę obiad i niewykluczone, że skończy się to niewiele lepiej.

- Spróbuję swoich sił przy śniadaniu - zgłosił się pogodnie Duncan.

- Czy to zwichnięcie jest poważne? - spytał cicho Ian, kiedy już Elizabeth się oddaliła.

- Trudno powiedzieć, zwłaszcza że była zbyt wściekła, żeby mówić do rzeczy. A może to wina laudanum?

- Co to znaczy?

Duchowny przez chwilę przyglądał się ptakowi, który skakał wśród liści.

- Była w strasznym stanie. Zaniepokojona. I rozgniewana. Z jednej strony obawiała się, że możesz dać wyraz swojej „słabości” do hrabianki Cameron właśnie w ten sposób, jak miałem okazję zaobserwować, gdy się tu zjawiłem. - Kiedy aluzja wywołała jedynie uniesienie brwi u bynajmniej nieskruszonego siostrzeńca, Duncan westchnął i mówił dalej: - Równocześnie zaś panna Throckmorton - Jones była przekonana, iż jej podopieczna zastrzeli cię z twojego własnego pistoletu. Zwłaszcza że podobno młoda dama wczoraj już próbowała to uczynić. Właśnie dlatego odgłos strzałów tak mnie przeraził, że przygnałem tu co sił w nogach.

- Strzelaliśmy do celu.

Ksiądz skinął głową, ale bacznie przyglądał się siostrzeńcowi.

- Czy coś jeszcze cię niepokoi? - spytał Ian, widząc jego minę.

Duncan się zawahał, lecz potrząsnął głową, jakby próbował się uwolnić od jakiejś myśli.

- To nie wszystko, co miała do powiedzenia panna Throckmorton - Jones, lecz nie chciało mi się w to wierzyć.

- Zapewne laudanum sprawiło, że bredziła od rzeczy. - Ian zbył go wzruszeniem ramion.

- Możliwe. - Na czole duchownego znowu pojawiła się zmarszczka. - Ale ja nie brałem lekarstwa, a odniosłem wrażenie, że zamierzasz poślubić niejaką Christinę Taylor.

- Owszem.

Wuj spojrzał na niego surowo.

- To czym wytłumaczysz scenę, której świadkiem się stałem?

- Szaleństwem - odparł krótko Ian.

Wrócili do domu. Duchowny milczał zamyślony, Ian miał ponurą minę. Nie żałował, że Duncan zjawił się tak nie w porę, ale teraz, gdy pożądanie minęło, był wściekły na samego siebie i niekontrolowaną reakcję własnego ciała na Elizabeth Cameron. Wystarczyło, że dotknął jej ust, a natychmiast przestawał myśleć rozsądnie. A choć doskonale pamiętał, jaka z niej oszustka, jednak kiedy brał tę dziewczynę w ramiona, widział tylko uwodzicielskiego anioła. Dziś płakała, bo zdradziła ją przyjaciółka, tymczasem dwa lata temu bez zmruczenia powieki omal nie przypawiła rogów biednemu wicehrabiemu. Spokojnie mówiła o ślubie ze starym Belhavenem albo Johnem Marchmanem, a chwilę później tuliła się do Iana, całując go z rozpaczliwym żarem. Miejsce gniewu zajął niesmak. Powinna wyjść za Belhavena, pomyślał złośliwie. Ten stary lubieżnik idealnie do niej pasuje, świetnie dobrana para pod

każdym względem, z wyjątkiem wieku. Bo Marchman zasługuje na znacznie więcej niż zepsutą oszustkę, która przeszła przez niezliczone ręce. Zamieni jego życie w piekło.

Choć Elizabeth Cameron miała twarz anioła, wcale się nie zmieniła. To ta sama rozpuszczona pannica, zawołana kokietka, która zamiast rozumem kieruje się zmysłami.

Gwiazdy migotały na czarnym niebie, kiedy Ian ze szklanką szkockiej w ręku pilnował ryby, piekącej się na ogniu. Spokój nocy i alkohol uciszyły wzburzenie. Patrząc na wesoło płonące ognisko, żałował tylko, że przyjazd Elizabeth zakłócił mu tak potrzebny odpoczynek i spokój, którego tu szukał. Od roku pracował jak szalony, tu zaś nieodmiennie znajdował wytchnienie.

Od najmłodszych lat wiedział, że opuści to miejsce i zdobędzie wszystko sam. I właśnie tak się stało. Ale zawsze tutaj wracał, szukając czegoś, czego do tej pory nie znalazł, co uwolniłby go od niepokoju. Teraz żył w luksusie i bogactwie i pod wieloma względami bardzo mu to odpowiadało. Zaszedł za daleko, zbyt wiele zobaczył i za bardzo się zmienił, by tu zamieszkać. Zrozumiał to, kiedy podjął decyzję o małżeństwie z Christiną. Nigdy by nie polubiła tego domu, ale we wszystkich pozostałych rezydencjach będzie królowała z wdziękiem i godnością.

Była piękna, obyta i namiętna. Idealnie do niego pasowała, inaczej by się nie oświadczył. Ale zanim tu uczynił, z tą samą chłodną logiką i niezawodnym instynktem, jakie cechowały każdy jego ruch w interesach, obliczył prawdopodobieństwo sukcesu, błyskawicznie podjął decyzję, po czym przystąpił do realizacji zamierzeń. Właściwie jedynym znaczącym krokiem, który w ostatnich latach podjął bez zastanowienia i gorzko go pożałował, było jego zachowanie, gdy poznał Elizabeth Cameron.

- Powinam się obrazić - oświadczyła Elizabeth z uśmiechem, zbierając naczynia po obiedzie. - Rano kazał mi pan szykować posiłek, podczas gdy sam gotuje po mistrzowsku.

- Nieprawda - zaprotestował Ian, nalewając do dwóch kieliszków koniak i stawiając je przy fotelach obok kominka. - Umiem przyrządzać wyłącznie rybę. I to w taki sposób, jak miała pani okazję spróbować.

Podał kieliszek Duncanowi, usiadł w fotelu i uniósł wieko skrzyneczki z cygarami, które robiono specjalnie dla niego w Londynie. Spojrzał na dziewczynę i automatycznie spytał:

- Nie przeszkadza pani?

Elizabeth zerknęła na cygaro, uśmiechnęła się i pokręciła głową. Wtem zatrzymała się w pół ruchu, bo przypomniała sobie, jak dwa lata temu zobaczyła Iana w ogrodzie. Właśnie zamierzał zapalić cygaro, kiedy zauważył, że mu się przyglądała. Pamiętała to tak wyraźnie,

że niemal widziała złotawy blask rozświetlający regularne rysy Thorntona, gdy otoczył płomień dłońmi, by zapalić cygaro. Na to wspomnienie jej uśmiech zbladł. Powiodła wzrokiem od niezapalonego cygara do twarzy mężczyzny, zastanawiając się, czy on również to pamięta.

Lecz Ian patrzył na nią tylko uprzejmie, pytająco. Zatrzymał spojrzenie na cygarze, a potem przeniósł wzrok na twarz dziewczyny. Nie pamiętał. Doskonale było widać, że nic sobie nie przypomina.

- Nie, proszę, śmiało - odrzekła, pokrywając uśmiechem rozczarowanie.

Duncan, który obserwował całą scenę i zauważył wymuszony uśmiech hrabianki, uznał to za równie dziwne jak zachowanie siostrzeńca w czasie posiłku. Podniósł kieliszek do ust, bacznie przyglądając się dziewczynie, a potem zaczął obserwować Iana, zapalającego cygaro.

Ten zaś zachowywał się wyjątkowo dziwnie. Podobał się kobietom i nie potrafiły mu się oprzeć, a Duncan doskonale wiedział, że siostrzeniec nigdy nie miał skrupułów i nie odrzucał tego, co ochoczo mu ofiarowano. Zwykle jednak traktował oczarowane nim damy z lekkim rozbawieniem, tolerancją i pobłażaniem. Ale trzeba było mu przyznać, że nawet kiedy stracił zainteresowanie dla kobiety, nadal odnosił się do niej z tym samym wdziękiem i kurtuazją, niezależnie od tego, czy chodziło o pokojówkę, czy hrabiankę.

Właśnie dlatego Duncan tak się zdziwił, a nawet uznał za podejrzaną, że dwie godziny temu młody człowiek tulił w objęciach Elizabeth Cameron, jakby już nigdy nie zamierzał jej puścić, a teraz nie zwracał na nią uwagi. Owszem, jego manierom nic nie można by zarzucić, lecz było to jawne lekceważenie.

Bacznie obserwował Iana, licząc, że ten chociaż ukradkiem zerknie na dziewczynę, siostrzeniec jednak sięgnął po lekturę, jakby zupełnie wyrzucił Elizabeth Cameron z pamięci. Duchowny gorączkowo szukał jakiegoś tematu do rozmowy.

- O ile dobrze rozumiem, interesy układały się w tym roku po twojej myśli? - zwrócił się do Iana.

- Nie poszło tak dobrze, jak liczyłem, ale nie narzekam - odparł siostrzeniec z przelotnym uśmiechem.

- Ryzyko nie zawsze popłacało?

- Nie za każdym razem.

Elizabeth przez chwilę nasłuchiwała, a potem zajęła się wycieraniem talerzy. Nie potrafiła się powstrzymać od myślenia o tym, co usłyszała. Dwa lata temu Ian powiedział, że jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, zapewni jej dostatni byt. Najwyraźniej się pomylił i

dlatego teraz tu mieszka. Serce wypełniło jej współczucie: oto, biedak, miał wielkie marzenia, lecz jego zamiary się nie spełniły. Z drugiej jednak strony nie było jednak tak źle, jak sądził. Ma przytulny dom, z którego okien rozciąga się cudowny widok na dolinę i góry.

Oczywiście, skromny dworek nie umywał się do Havenhurst, ale też miał swoje zalety. Poza tym nie trzeba było wydawać fortuny na służbę i utrzymanie, jak w rezydencji, a to ogromny plus. Elizabeth nie czuła się właścicielką Havenhurst, to ono nią rządziło. Ten śliczny domek z oryginalną strzechą i kilkoma przestronnymi pomieszczeniami był pod tym względem cudowny. Ofiarował schronienie i ciepło, a jego właściciel nie musiał spędzać bezsennych nocy, zadręczając się, że kruszeje mur albo ile będzie kosztować naprawa jedenastu kominów.

Najwyraźniej Ian nie zdawał sobie sprawy, jakie ma szczęście, inaczej nie traciłby czasu w męskich klubach, czy gdzie tam szukał szczęścia i próbował zbić fortunę. Powinien zostać tutaj, w tym pięknych, dzikich stronach, gdzie wyglądał tak swobodnie, tak na miejscu... Skupiona na myśleniu o nim, nie zauważyła, jak niewiele brakuje, by sama zaczęła żałować, że tu nie mieszka.

Wytarłszy i odstawwszy naczynia, postanowiła pójść na górę. Przy posiłku zorientowała się, że Ian od dawna nie widział się z wujem, uznała zatem, że wypada ich zostawić, by mogli swobodnie porozmawiać w samotności.

Odwiesiła ścierkę na kołek, zdjęła swój prowizoryczny fartuch i poszła się pożegnać. Duchowny uśmiechnął się i życzył jej miłych snów, Ian podniósł wzrok znad papierów i rzucił zdawkowe: dobranoc.

Kiedy Elizabeth zostawiła ich samych, Duncan obserwował pogrążonego w lekturze siostrzeńca. Przypomniał sobie lekcje, jakich w dzieciństwie udzielał mu na plebanii. Duncan, podobnie jak ojciec Iana, skończył uczelnię, lecz chłopiec już w wieku trzynastu lat przeczytał wszystkie ich podręczniki uniwersyteckie i domagał się dalszych odpowiedzi. Nic nie zdołało zaspokoić jego głodu wiedzy. Był tak wybitnie inteligentny, że obaj dorośli mężczyźni czuli przed nim respekt. Ian nie potrzebował pióra i pergaminu; w pamięci obliczał prawdopodobieństwo i wykonywał skomplikowane działania matematyczne, podając wynik, zanim jeszcze Duncan zdążył się zastanowić, jak by tu rozwiązać trudne zadanie.

Ten wyjątkowy talent matematyczny pomógł Ianowi zrobić majątek na grze. Z przerażającą precyzją potrafił wyliczyć prawdopodobieństwo otrzymania takiej bądź innej karty, albo tego, że w ruletce padnie określony numer. Duchowny już dawno uznał to za wykorzystywanie niezwykłego daru Bożego do niecznych celów, lecz siostrzeńca nie reagował na jego kazania. Ian odziedziczył po swoich brytyjskich przodkach pewność siebie,

a po szkockich dumę i nieugiętość. W ten sposób narodził się genialny mężczyzna, który samodzielnie podejmował decyzję, a gdy już to zrobił, nikt ani nic nie mogło zachwiać jego postanowieniem. Bo i czemu by miało? - pomyślał Duncan, przeczuwając nadchodzącą klęskę w nieuchronnej rozprawie z siostrzeńcem. W miażdżącej większości wypadków jego osąd był trafny, wręcz nieomylny, zatem młody człowiek wolał polegać na własnym zdaniu niż na opinii innych.

Tylko w jednej kwestii, zdaniem księdza, Ian nie potrafił rozsądnie myśleć - chodziło o wszystko, co się wiązało z jego angielskim dziadkiem. Na samą wzmiankę o księciu Stanhopie siostrzeniec wpadał w szal, a choć Duncan wiedział, że muszą o tym porozmawiać, bał się poruszyć drażliwy temat. Ian darzył wuja szacunkiem i miłością, lecz duchowny doskonale zdawał sobie sprawę, że jego siostrzeniec potrafi na zawsze odwrócić się od człowieka, który posunął się za daleko lub zbyt głęboko go zranił.

Na wspomnienie powrotu dziewiętnastoletniego Iana ze swojej pierwszej podróży ożyła dawna bezradność i ból. Nie mogąc się doczekać przyjazdu młodzieńca, rodzice wraz z siostrą wyruszyli do Hernloch, by zrobić powracającemu niespodziankę i powitać go w porcie.

Dwa dni przed przybiciem statku mała gospoda, w której spała szczęśliwa rodzina, doszczętnie spłonęła i cała trójka zginęła w płomieniach. W drodze do domu Ian miał zgliszcza i nawet się nie domyślał, że to grób jego bliskich.

W domu czekał na niego Duncan z tragiczną wiadomością.

- Gdzie są wszyscy? - spytał siostrzeniec z promiennym uśmiechem, zrzucając na podłogę worek i rozglądając się po pustych pokojach.

Ale powitał go tylko jego labrador. Z radosnym ujadaniem wpadł do domu i zatrzymał się u stóp pana. Nazywał się Cień - nie ze względu na ciemną sierść, tylko bezwarunkowe uwielbienie, jakim darzył swego pana. Szalał z radości na widok chłopaka.

- Ja też się za tobą stęskniłem. - Ian przykucnął i pogładził psa po błyszczącej czarnej sierści - Przywiozłem ci prezent.

Cień natychmiast przestał się łaścić, przechylił łeb i słuchał, czekając i nie odrywając mądrego spojrzenia od jego twarzy. Tak było między nimi zawsze, łączyła ich zdumiewająca więź, która pojawia się tylko między człowiekiem a inteligentnym, uwielbiającym go psem.

- Ianie - odezwał się z powagą duchowny.

Chłopak znieruchomiał, jakby w tym jednym słowie usłyszał zapowiedź tego, co go czeka. Wyprostował się i odwrócił do stryja. Pies siedział przy jego nodze i wpatrywał się w Duncana z tym samym napięciem, jakie pojawiło się na twarzy jego pana.

Wuj najłagodniej jak potrafił przekazał młodzieńcowi wiadomość o śmierci rodziny. A choć z racji swojej posługi był oswojony z żałobą i potrafił koić ludzkie cierpienie, po raz pierwszy spotkał się z taką reakcją i nie wiedział, jak sobie z nią poradzić. Ian żelazną wolą ujarzmił swój ból. Nie płakał, nie wybuchnął gniewem, tylko zeszywniał, szykując się na druzgoczący cios. Natychmiast odrzucił cierpienie, bo czuł, że mogłoby go zniszczyć. Tamtego wieczoru, kiedy Duncan wreszcie przestał mówić, Ian stał w oknie, zapatrzony w mrok. Obok niego siedział pies.

- Weź go do wioski i oddaj komuś - oświadczył wujowi tonem nieznoszącym dyskusji.

Zaskoczony Duncan zatrzymał się z ręką na klamce.

- Kogo mam zabrać?

- Psa.

- Przecież zamierzałeś zostać tu na pół roku, by uporządkować sprawy.

- Zabierz go - uciął Ian.

Dopiero wtedy Duncan zrozumiał, co chce zrobić jego siostrzeniec.

- Ian, na miłość boską, ten pies cię uwielbia. Zresztą, potrzebujesz towarzystwa.

- Oddaj go MacMurtym z Calgorin - polecił Ian.

Duchowny niechętnie wziął ze sobą broniącego się psa. Musiał go ciągnąć na sznurze, bo Cień nie chciał się ruszyć.

Tydzień później nieustraszone zwierzę odnalazło drogę i przemierzywszy pół hrabstwa, wróciło do domu. Duncan akurat był wtedy u Iana i ścisnęło mu się serce, gdy patrzył, jak siostrzeniec nie przyjmuje do wiadomości powrotu psa. Następnego dnia Ian osobiście zawiózł go z wujem do Calgorin. Po kolacji Cień czekał i patrzył, jak Ian wskakuje na konia, ale kiedy ruszył za panem, ten się odwrócił i surowo rozkazał mu zostać.

Cień został, ponieważ nigdy nie złamał polecenia Iana .

Duncan posiedział jeszcze kilka godzin u gospodarzy, a kiedy wyjeżdżał, Cień nadal siedział na podwórku, wpatrzony w drogę. Z przechylonym łbem czekał, jakby nie chciał uwierzyć, że pan naprawdę go tu zostawił.

Ian nigdy już nie wrócił po psa. Wtedy po raz pierwszy Duncan uświadomił sobie, że wybitny umysł pozwala siostrzeńcowi całkowicie opanować uczucia. Ze spokojną logiką Ian raz na zawsze postanowił rozstać się z tymi, których utrata mogłaby przysporzyć mu więcej bólu. Starannie zapakował do kufrów wizerunki rodziców i siostry, wraz ze wszystkimi rzeczami, które do nich należały, tak by jedynym śladem ich istnienia był dom. I wspomnienia.

Wkrótce po śmierci rodziców Ian otrzymał list od dziadka, księcia Stanhope'a.

Przeszło dwadzieścia lat po wydziedziczeniu syna za małżeństwo ze Szkotką księżę wyciągnął rękę do zgody. Posłaniec dotarł trzy dni po pożarze. Młodzieniec przeczytał list i wyrzucił. Podobny los spotkał kolejne, które dziadek wysyłał przez następne jedenaście lat, wszystkie adresowane do niego. Skrzywdzony Ian potrafił być równie twardy i nieubłagany jak ostre turnie i dzikie wrzosowiska, wśród których się wychował.

Był również najbardziej upartym człowiekiem, jakiego Duncan znał. Już w dzieciństwie malca charakteryzowała spokojna pewność siebie, wyjątkowa bystrość i krnąbrność. Wszystko to sprawiało, że budził respekt nawet u rodziców.

- Ten chłopiec pozwala nam się wychowywać - zażartował kiedyś jego ojciec - tylko dlatego że nas kocha, a nie dlatego że uważa nas za mądrzejszych od siebie. Już dawno się przekonał, że tak nie jest, ale nie chce nas zranić, głośno się do tego przyznając.

Wszystko to razem w połączeniu z zasadą Iana, by odwracać się od każdego, kto go skrzywdził, sprawiało, że Duncan nie wierzył w powodzenie swojej misji. Zapewne nie uda mu się zmienić stosunku siostrzeńca do dziadka, jako że w tej kwestii nie można było apelować ani do rozumu, ani uczuć Iana. Zwłaszcza że księżę Stanhope znaczył dla jego wnuka o wiele mniej niż labrador.

Zatopiony w myślach Duncan wpatrywał się w ogień. Ian odłożył swoje papiery i przyglądał mu się w milczeniu.

- Ponieważ mój posiłek nie był gorszy niż zazwyczaj - odezwał się wreszcie - domyślam się, że coś innego musiało wywołać tę groźną zmarszczkę na twoim czole.

Duncan skinął głową i w poczuciu nieuchronnej klęski wstał, podszedł do ognia, układając pierwsze zdanie.

- Ianie, napisał do mnie twój dziadek - zaczął.

Pogodny uśmiech natychmiast zniknął, twarz Iana stwardniała jak gład.

- Prosił, bym się za nim wstawił i namówił cię do spotkania.

- Tracisz czas - odparł siostrzeniec. W jego głosie dźwięczała stal.

- To twoja rodzina - próbował ksiądz.

- Moja cała rodzina to ty. Innej nie uznaję.

- Jesteś jedynym prawowitym dziedzicem - argumentował wuj.

- To jego zmartwienie, nie moje.

- On umiera, Ianie.

- Nie wierzę.

- Ale ja wierzę. Co więcej, gdyby twoja matka żyła, błagałaby, żebyś się z nim pojednał. Nieustannie sobie wyrzucała, że przez małżeństwo z nią twój ojciec stracił tytuł i

majątek. Nie muszę ci przypominać, że była moją jedyną siostrą. Kochałem ją, a skoro potrafię wybaczyć człowiekowi, który tak okrutnie ją skrzywdził i zranił, to ty również możesz to uczynić.

- Przebaczenie to twój zawód - wycedził Ian. - Ale nie mój. Ja wyznaję zasadę oko za oko.

- Powiadam ci, że ten człowiek umiera.

- A ja ci powiadam - odparł dobitnie Ian - że nic mnie to nie obchodzi.

- Jeśli nie chcesz przyjąć tytułu dla siebie, zrób to dla swojego ojca. Słusznie mu się należało, tak samo jak będzie się należało twojemu pierworodnemu. To twoja ostatnia szansa, by ustąpić. Twój dziadek dał mi dwa tygodnie, by wpłynąć na ciebie, potem wyznaczy innego dziedzica. Spóźniłeś się tu o całe dwa tygodnie. Niewykluczone, że już po wszystkim...

- Było za późno już jedenaście lat temu - oświadczył Ian lodowato. - Wyraz jego twarzy nagle się zmienił. Przeszedł zaciskać szczęki i zaczął wkładać papiery do teczki. Uporawszy się z tym, spojrzał na wuja i powiedział z lekkim rozbawieniem: - Twój kieliszek jest pusty, ojczulku. Może ci dolać.

Duncan westchnął i pokręcił głową. Wszystko stracone, właśnie tak jak przypuszczał. Siostrzeniec uznał kwestię dziadka za zamkniętą i nic już nie zmieni jego zdania. Książdz wiedział z doświadczenia, że kiedy Ian przybierał ten spokojny, uprzejmy ton, nic już do niego nie dotrze. A ponieważ i tak nieodwracalnie zepsuł ich pierwszy wspólny wieczór, uznał, że nic nie straci, poruszając drugą, drażliwą kwestię, która nie dawała mu spokoju.

- Ianie, chciałbym porozmawiać o Elizabeth Cameron. Jej towarzyszka wspomniała...

Na twarzy siostrzeńca ponownie zagościł ten niepokojący, miły, lecz obojętny uśmiech.

- Nie ma sensu kontynuować tej rozmowy, Duncanie. To skończone.

- Rozmowa czy...

- Wszystko.

- Jestem innego zdania - warknął duchowny, wyprowadzony z równowagi niezachwianym spokojem Iana. - Scena, której świadkiem się stałem...

- Byłeś świadkiem końca.

Oświadczył to tym samym spokojnym, rozbawionym i nieznoszącym sprzeciwu tonem, którym zamknął rozmowę o dziadku, zupełnie jakby znalazł satysfakcjonujące rozwiązanie obu kwestii; po czym skończył dyskusję i nic nie zdoła go zmusić, by zrewidował swoje zdanie. Taka reakcja na nazwisko Elizabeth Cameron świadczyła, że zaliczył ją do tej samej kategorii co księcia Stanhope'a. Zdenerwowany i bezradny Duncan

chwycił butelkę i nalał sobie koniaku.

- Jest coś, co to tej pory przed tobą ukrywałem - powiedział ze złością.

- Mianowicie?

- Nienawidzę, kiedy przybierasz ten uprzejmie rozbawiony ton. Wolałbym, żebyś wpadł we wściekłość, przynajmniej mógłbym liczyć, że jakoś do ciebie dotrę.

Ku jego ostatecznej furii siostrzeniec wziął książkę i wrócił do lektury.

ROZDZIAŁ 15

- Ianie, pójdź do obory i sprawdź, co zatrzymało Elizabeth - poprosił Duncan, z wprawą przewracając boczek, smażący się na patelni. - Wysłałem ją tam przed kwadrans po jajka.

Ian rzucił na podłogę naręczę szczap i udał się na poszukiwanie swojego gościa. Widok i odgłosy, jakiego go powitały w oborze sprawiły, że stanął w pół kroku. Elizabeth pochylała się nad kurami, które trzepotały skrzydłami i gdakały jak szalone.

- To nie moja wina! - perswadowała. - Nawet nie lubię jajek!

Co więcej, wręcz nie znoszę zapachu kur. - Na paluszkach ruszyła do ptaków, tłumacząc przeprasząco: - Jeśli dacie mi cztery, nie tknę ani jednego więcej, obiecuję. - Wyciągnęła rękę do rozsierzzonej kury. - To potrwa jedną, małą chwilkę. Tylko wsunę tu rękę i... auuu! - krzyknęła, gdy kwoka dziobnęła ją w nadgarstek.

Cofnęła dłoń i płonąc ze wstydu, odwróciła się, gdy usłyszała za sobą drwiący głos Iana .

- Wcale nie jest potrzebne ich pozwolenie. Wystarczy pokazać, kto tu rządzi. Trzeba podejść do gniazda i zrobić tak... - Bez dalszych komentarzy wyjął dwa jajka spod kury, która nawet nie próbowała go dziobnąć. To samo zrobił jeszcze z dwiema kurami.

- Nigdy nie była pani w kurniku? - spytał, odnotowując z obojętnością postronnego obserwatora, że Elizabeth Cameron wyglądała czarująco z potarganymi włosami i twarzą zarumienioną od gniewu.

- Nie - odrzekła krótko. - Nie byłam. Kury śmierdzą. Ian się zaśmiał.

- W tym rzecz. Wyczuwają pani niechęć. Zwierzęta to potrafią.

Zerknęła na niego i dostrzegła zmianę. Wprawdzie uśmiechał się i żartował, ale w jego oczach nie było nic. Do tej pory widywała w tych bursztynowych oczach namiętność, gniew, a czasem nawet chłód. Lecz nigdy jeszcze nie pojawiła się w nich pustka.

Elizabeth sama nie wiedziała, jakie uczucia pragnęła w nim wzbudzić, jedno wszakże nie ulegało wątpliwości: nie życzyła sobie, by spoglądał na nią jak na zabawną nieznajomą.

- Chwała Bogu! - zawołał duchowny, kiedy weszli do mieszkania. - Jeśli nie lubicie spalonego boczku, to szybko siadajcie, a ja usmażę jaka.

- Hrabianka i ja przepadamy za spalonym boczkiem - oświadczył Ian z uśmiechem.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech, ale czuła się coraz niezręcznie.

- Grasz może w karty? - spytał duchowny, kiedy już kończyli jeść.

- Znam parę gier karcianych - odrzekła.

- W takim razie gdy wróci panna Throckmorton - Jones i Jake, może urządzimy sobie partyjkę wista. Ianie, przyłączysz się?

Ian oderwał wzrok od kawy, którą właśnie sobie nalewał.

- Wykluczone - oświadczył z uśmiechem i wyjaśnił Elizabeth: - Duncan oszukuje.

Parsknęła głośnym śmiechem na myśl, że duchowny miałby oszukiwać przy grze w karty.

- Na pewno nic takiego nie robi.

- Ian, niestety, ma rację, moja droga - przyznał się ksiądz. - Nigdy jednak nie oszukuję w grze z prawdziwym partnerem, tylko kiedy rozgrywam partię z samym sobą, zupełnie jak Napoleon na Świętej Helenie.

- A, to - powiedziała ze śmiechem dziewczyna. Ian minął ją z kubkiem. - Tak to i ja oszukuję.

- Ale umiesz grać w wista?

Skinęła głową z dumą.

- Aaron mnie nauczył, kiedy miałam dwanaście lat i teraz regularnie odświeża moje umiejętności.

- Aaron? - powtórzył Duncan.

- Nasz stangret - wyjaśniła Elizabeth, która zawsze chętnie opowiadała o swojej „rodzinie” z Havenhurst. - Ale lepiej sobie radzę w szachach, których nauczył mnie Bentner.

- Bentner zaś to...?

- Nasz lokaj.

- Rozumiem. - Duchowny skinął głową i pytał dalej: - A może domino?

- Te specjalność pani Bodley, naszej gospodyni. Nieraz grałyśmy we dwie, ale ona traktuje domino zbyt poważnie i ma nawet dokładną strategię. Mnie jakoś nie bawią piegowate kawałki kości słoniowej. Za to figury szachowe bardziej mnie pociągają. Zachęcają do poważnej gry.

Wreszcie Ian włączył się do konwersacji.

- W razie gdybyś nie zauważył, Duncanie, hrabianka Cameron to niezwykle bogata młoda dama.

Jego ton sugerował, że jest rozpuszczoną pannicą, której każdą zachciankę spełnia armia służących.

Elizabeth zeszywniała, niepewna, czy rzeczywiście gospodarz zamierzał ją obrazić, czy tylko to sobie wymyśliła, ksiądz zaś mierzył siostrzeńca takim wzrokiem, jakby nie

pochwalał tonu, jakim Ian wypowiedział swoją uwagę.

Ian wytrzymał spojrzenie, ale w głębi ducha zaskoczył go własny wybuch. Był wściekły na siebie za ten komentarz. Wczoraj obiecał sobie, że nie będzie nic czuł do Elizabeth i to była ostateczna decyzja. Nie powinno go zatem obchodzić, że dziewczyna jest rozpuszczoną, płytką arystokratką. Tymczasem teraz z premedytacją ją zranił, choć niczym sobie na to nie zasłużyła, a cała jej wina polegała na tym, że siedziała przy stole, wyglądając wręcz nieprzyzwoicie pociągająco z włosami związanymi jasnożółtą wstążką w kolorze sukni. Rozzłoszczony na siebie zgubił wątek rozmowy.

- A w co grałaś z rodzeństwem, braćmi i siostrami? - pytał Duncan.

- Miałam tylko brata, a on większość czasu spędzał w szkole w Londynie.

- Zapewne w okolicy były jakieś dzieci - podsunął łagodnie ksiądz.

Pokręciła głową, pijąc herbatę.

- Na terenie majątku mieszkało niewiele rodzin, a w żadnej nie było dzieci w moim wieku. W Havenhurst nigdy nie przeprowadzono melioracji z prawdziwego zdarzenia. Tata uważał, że szkoda na to pieniędzy, dlatego większość dzierżawców przeniosła się na bardziej żyzne ziemie.

- To z kim spędzałaś czas?

- Głównie ze służbą. Ale wspaniale razem się bawiliśmy.

- A teraz? - podpytywał duchowny. - Jak najchętniej spędzasz czas?

Tak sprytnie ją podszedł, że odpowiedziała bez namysłu, nie dobierając słów ani nie zastanawiając się, jakie wnioski wyciągnie Duncan.

- Głównie zajmuję się doглядaniem majątku.

- Chyba sprawia ci to prawdziwą przyjemność?

- O, tak. Olbrzymią. Ale na pewno by ksiądz nie zgadł, co jest moją ulubioną rozrywką - zwierzyła się impulsywnie.

- Nie mam pojęcia.

- Targowanie się przy zakupach. To zdumiewające, ale Bentner, nasz lokaj, twierdzi, że mam wrodzony talent.

- Targowanie się? - powtórzył nieco zbity z tropu Duncan.

- Ja nazywam to zdrowym rozsądkiem i uświadamianiem sprzedawcy podstawowych praw - tłumaczyła z zapalem Elizabeth. - Na przykład: upieczenie jednego placka zajmuje piekarzowi godzinę, z czego połowę straci na szykowanie składników, odmierzanie ich, a potem chowanie do spiżarki.

Ksiądz ostrożnie przytaknął.

- Gdyby jednak szykował tuzin placków, nie zajęłoby mu to dwanaście razy więcej czasu, prawda, jako że tylko raz wyjmowałby składniki, aby je odmierzyć.

- Nie, faktycznie nie trwałoby to tyle czasu.

- Właśnie, ja też tak uważam! - ucieszyła się Elizabeth. - W takim razie czemu muszę płacić na tuzin placków dwanaście razy więcej niż za jedną sztukę, skoro nie trwało to dwanaście razy dłużej? A przecież jeszcze nie zwróciliśmy uwagi, że skoro ktoś szykuje duże ilości towaru, ktoś inny kupuje je w dużych ilościach, zatem w przeliczeniu na sztukę płaci mniej. A przynajmniej powinien - dokończyła - o ile sprzedawca podchodzi do sprawy rozsądnie.

- Zdumiewające - przyznał szczerze Duncan. - Nigdy nie patrzyłem na to z tego punktu widzenia.

- Niestety, wioskowy piekarz też nie. - Dziewczyna się roześmiała. - Ale chyba powoli się przekonuje do mojego rozumowania. Na mój widok przestał się chować za workami z mąką. - Poniewczasie zdała sobie sprawę, ile może wydedukować z jej wypowiedzi inteligentny słuchacz, taki jak Duncan. - Nie chodzi o pieniądze - dodała natychmiast. - Wcale. Tylko o zasadę. Rozumie ksiądz?

- Oczywiście - gładko zgodził się duchowny. - Twój dom musi być bardzo piękny. Uśmiechasz się, ilekroć o nim wspominasz.

- To prawda. - Objęła uśmiechem księdza oraz Iana. - To cudowne miejsce, nieustannie odkrywam w nim coś nowego, jeszcze piękniejszego. Mamy tam wzgórze, śliczny park i olbrzymie ogrody.

Ian wstał i zabrał swój talerz i kubek.

- Czy sam dom jest duży? - spytał ksiądz niezobowiązująco.

- Ma czterdzieści jeden pokoi... - zaczęła.

- I założę się, że w każdym - wpadł jej w słowo Thornton, stawiając naczynia przy miednicy - na podłodze leżą dywany i skóry dzikich zwierząt, a wszędzie pełno rubinów wielkości pięści. - Urwał i popatrzył wrogo na swoje odbicie w oknie.

- Naturalnie - odrzekła Elizabeth ze sztucznym ożywieniem, spoglądając na wyprostowane plecy Iana. Nie da się zepchnąć do defensywy. - Wiszą też obrazy Rubensa, Gainsborough, a kominki zaprojektował sam pan Adams. No i nie zapominajmy o kobiercach I Persji.

To przecież prawda, uspokajała w duchu sumienie, aż do ubiegłego roku, kiedy musiała sprzedać wszystko, by zaspokoić wierzycieli.

Ku jej zaskoczeniu Ian Thornton nie kontynuował ataku, tylko odwrócił się i z

nieodgadnionym wyrazem twarzy popatrzył w jej rozognione oczy.

- Przepraszam. Moje uwagi były co najmniej nie na miejscu.

Co powiedziawszy, wyszedł, oświadczając, że spędzi dzień na polowaniu.

Elizabeth zmusiła się, by oderwać wzrok od jego pleców, ale duchowny jeszcze przez dłuższą chwilę spoglądał za swym siostrzeńcem. Potem odwrócił się do Elizabeth. Na jego twarzy zagościł dziwny, pełen zadumy uśmiech, który rozjaśnił brązowe oczy.

- Czy... czy coś się stało?

Oparł się wygodnie, już całkiem rozpromieniony.

- Najwidoczniej tak. I powiem ci jedno: żadne słowa nie wyrażą mojego zadowolenia.

Elizabeth zaczęła się zastanawiać, czy wszyscy w tej rodzinie nie są odrobinie szaleni i tylko dobre wychowanie powstrzymało ją od komentarza. Wstała i zajęła się zmywaniem.

Kiedy już wytarła i odstawiła naczynia, mimo protestów księdza zajęła się sprzątnięciem domu i polerowaniem mebli. Zrobiła sobie przerwę na drugie śniadanie i aż do późnego popołudnia zajmowała się porządkami. Tryskała zadowoleniem, kiedy wreszcie mogła podziwiać efekty swojej ciężkiej pracy.

- Dokonałaś tu prawdziwych cudów - pochwalił ją Duncan. - Ale skoro już skończyłaś, nalegam, byś resztę dnia spędziła na odpoczynku.

Dziewczynie marzyła się gorąca kąpiel, lecz jako że w obecnej sytuacji mogła to sobie wybić z głowy, przyjęła propozycję księdza. Niebo było błękitne, powietrze balsamiczne. Tęsknie popatrzyła na strumień. Kiedy tylko Ian wróci, zjedzie tam, aby się wykapać - po raz pierwszy w życiu nie skorzysta z wanny w zaciszu własnego pokoju. Na razie jednak musiała zaczekać. Nie chciała ryzykować, że gospodarz ją na tym przyłapie.

Spacerowała po podwórzu, podziwiając widoki, lecz bez Iana dzień wydawał się dziwnie pusty. Kiedy się pojawiał, jego obecność wszystko ożywiała, a w powietrzu kipiały emocje. Poranne sprzątnięcie domu - na które zdecydowała się z nudy połączonej z wdzięcznością - stało się niemal intymną czynnością.

Stojąc nad krawędzią urwiska, zaplotła ramiona i patrzyła w dal, widząc w myślach jego przystojną, męską twarz i bursztynowe oczy, przypominając sobie czułość, jaka brzmiała w jego głębokim głosie i to, jak ją wczoraj obejmował. Zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby wyszła za męża i mieszkała w takim przytulnym domku z zapierającym dech w piersi widokiem. Ciekawiło ją, jaką kobietę Ian sprowadzi tu jako żonę i wyobrażała sobie ich dwoje na kanapie przy kominku gawędzących albo rozmarzonych.

Zganiła się w duchu. Przecież myśli jak... jak ktoś niespełna rozumu. To siebie widziała w marzeniach na tej kanapie obok Iana. Nie pozwoliła sobie na dalsze myślenie o

takich oburzających nonsensach i rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia. Obróciła się wokół własnej osi, podniosła głowę... i wtedy zobaczyła. Na olbrzymim drzewie, niemal całkiem ukryty w gałęziach, znajdował się duży domek dla dzieci. Zafascynowana przyglądała się tej budowli, a potem zawołała do Duncana, który właśnie wyszedł na podwórze.

- To domek na drzewie - wyjaśniła, w razie gdyby nie wiedział, co się tam znajduje. - Sądzi ksiądz, że mogę się tam wdrapać i rozejrzeć? Na pewno rozciąga się stamtąd niezrównany widok.

Duchowny podszedł do niej i zmierzył wzrokiem chwiejne „schody” - stare deski przybite do drzewa.

- Nie wiem, czy te deski są bezpieczne.

- Niech się ksiądz nie martwi - uspokoiła go Elizabeth. - Elbert zawsze porównywał mnie do małpy.

- Co to za Elbert?

- Jeden ze stajennych - wyjaśniła. - Razem z dwoma robotnikami zrobił dla mnie domek na drzewie.

Patrząc na rozjaśnioną twarz Elizabeth, Duncan nie potrafił jej odmówić tej małej przyjemności.

- Chyba nic się nie stanie, tylko obiecaj, że będziesz uważać.

- Och, oczywiście, będę bardzo uważać.

Zrzuciła pantofelki i przez dłuższą chwilę krążyła wokół drzewa, a potem zniknęła po stronie bez desek. Przerażonemu Duncanowi mignęła przed oczami żółta spódnica i uświadomił sobie, że dziewczyna wdrapuje się na konar, a nie wchodzi po stopniach. Chciał krzyknąć i ostrzec ją, ale wtedy zobaczył, że nie trzeba - bez wysiłku, zręcznie dotarła już do połowy wysokości drzewa i coraz bardziej zbliżała się do celu.

Dotarłszy do domku, schyliła się, żeby wejść do środka. Ale gdy się tam znalazła, okazało się, że może stać wyprostowana - czyli Ian Thornton już w dzieciństwie musiał być wysoki. Z ciekawością popatrzyła na stary stolik, krzesło i skrzynkę, stanowiące całe umeblowanie. Otrzeptała ręce i wyjrzała przez okno, zachwycając się wspaniałym widokiem doliny i wzgórz porośniętych barwnych głogiem, wiśniami i dzwonkami, a potem wróciła do inspekcji pomieszczenia. Zatrzymała wzrok na pomalowanej na biało skrzynce i starła z niej kurz. Na wieku pojawiły się słowa: „Prywatna własność Iana Thorntona. Otwierasz na własną odpowiedzialność!”. I - jakby czując, że pisemne ostrzeżenie to za mało - poniżej chłopiec dorysował jeszcze przerażającą czaszkę i skrzyżowane piszczele.

Patrzyła na to i myślała o własnym domku na drzewie, gdzie urzędowała samotnie wytworne przyjęcia dla lalek. Ona też miała tam swoją skrzynkę ze „skarbami”, choć nie musiała rysować na wieku czaszki ani piszczeli. Z uśmiechem usiłowała sobie przypomnieć, jakie skarby trzymała w dużej szkatułce z błyszczącymi mosiężnymi zawiasami i zamkiem... Naszyjnik, który dostała od ojca, kiedy miała sześć lat... Miniaturową porcelanową zastawę dla lalek, którą podarowali jej rodzice, gdy miała siedem lat... i wstążki dla lalek.

Nie mogła oderwać wzroku od podniszczonej skrzynki na stoliku. Przed nią leżały niepodważalne dowody, że ten twardy, niezłomny mężczyzna był kiedyś chłopcem i miał swoje skarby, a może nawet własny wymyślony świat, tak jak niegdyś ona. Wbrew sobie, próbując zagłuszyć wyrzuty sumienia, Elizabeth położyła rękę na zamku. Skrzynka pewnie i tak jest pusta, usprawiedliwiała się, więc nie można tego nazwać grzebaniem w cudzych rzeczach.

Uniosła wieko i z uśmiechem przyglądała się zawartości. Na wierzchu leżało jaskrawozielone pióro - zapewne papugi. Pod nim szare kamienie, które z nieznanego powodu przedstawiały dla małego Iana jakąś wartość, bo zostały pracowicie wygładzone i wyczyszczone. Obok nich spoczywała duża muszla o różowym wnętrzu. Elizabeth przypomniała sobie muszlę, którą dostała kiedyś od rodziców, i przyłożyła tę tutaj do ucha, by posłuchać szumu morza. Potem ostrożnie odłożyła ją na bok i pozbierała ołówki, walające się na dnie skrzynki. Pod nimi leżał notatnik, jakby szkicownik. Z podziwu szeroko otworzyła oczy na widok skreślonego pewną dłonią portretu ślicznej dziewczynki. Siedziała z podkulonymi nogami na plaży i z pochyloną głową przyglądała się dużej muszli, takiej samej jak ta w skrzynce. Wiatr rozwiewał jej długie włosy. Na drugim szkicu ta sama dziewczynka spoglądała z profilu na rysownika i uśmiechała się, jakby łączył ich jakiś zabawny sekret. Elizabeth nie mogła wyjść z podziwu. Ileż światła i życia oddał swoim ołówkiem Ian, jak skrupulatnie zadbał o każdy szczegół! Nawet medalion na szyi modelki był starannie narysowany.

W szkicowniku znalazła inne rysunki, przedstawiające nie tylko dziewczynkę, ale również jakąś parę - zapewne rodziców Iana - oraz statki, góry, nawet psa. Elizabeth na pierwszy rzut oka rozpoznała labradora. Nastawił uszy, przechylił łeb i patrzył radosnym wzrokiem, jakby nie mógł się doczekać, by podbiec do pana.

Zdumiona wrażliwością i talentem, o których dobitnie świadczyły rysunki, stała bez ruchu, usiłując się oswoić z tym nowym, nieznanym obliczem Iana. Dopiero po dłuższej chwili otrząsnęła się z zadumy i popatrzyła na ostatni przedmiot, którego jeszcze nie obejrzała: skórzaną sakiewkę. Chociaż Duncan pozwolił jej wejść do domku, czuła się jak

intruz, który wdarł się w życie Iana . Zdawała sobie sprawę, że nie powinna powiększać swojej winy i sięgać do sakiewki. Z drugiej jednak strony nie potrafiła się oprzeć pokusie. Ogarnęło ją przemożne pragnienie bliższego poznania tajemniczego mężczyzny, który od pierwszego spotkania postawił jej życie na głowie. Otworzyła sakiewkę, potrząsnęła nią i oto na dłoń wypadł jej ciężki sygnet. Elizabeth przyglądała mu się, nie wierząc własnym oczom. Ze środka masywnej złotej obrączki błyskał do niej olbrzymi szmaragd, w samym kamieniu znajdował się herb: złoty, stojący lew. Nie znała się na klejnotach, ale nawet ona zdawała sobie sprawę, że ten sygnet, w którym widać rękę mistrza, musi być prawdziwy i ma olbrzymią wartość. Przyglądała się herbowi, usiłując go skojarzyć z tarczami, które wbijała sobie do głowy przed debiutem w wielkim świecie, a choć wydawał jej się znajomy, nie mogła go zidentyfikować. Uznawszy, że zapewne lew jest tylko ozdobą, a nie prawdziwym herbem, wsunęła klejnot z powrotem do sakiewki, mocno zawiązała sznurek i podjęła decyzję: najwyraźniej kiedyś sygnet znaczył dla Iana tyle samo, co trzy głązy i muszla, lecz nie miała wątpliwości, że gdyby teraz go zobaczył, doceniłby jego wartość i zgodził się, że należy go umieścić w bezpiecznym miejscu. Skrzywiła się na myśl o burze, jaka ją czeka, kiedy gospodarz się dowie, że szperała w jego rzeczach, ale mimo wszystko musiała mu pokazać, co znalazła. Weźmie również szkicownik, postanowiła. Te rysunki są takie piękne, że zasługują, by je oprawić, a nie zostawić na pewne zniszczenie.

Elizabeth zamknęła wieko i z powrotem odstawiła skrzynkę pod ścianę. Uśmiechnęła się na widok czaszki i piszczeli. Nie zdawała sobie sprawy, że ze wzruszeniem myśli o chłopcu, który przyniósł tutaj swoje marzenia i zamknął je w skrzynce. Fakt, że ten chłopiec wyrósł na chłodnego, zamkniętego w sobie mężczyznę, nie zmieniał jej uczuć. Elizabeth zdjęła z włosów wstążkę i przewiązała się nią w talii. Za ten prowizoryczny pasek zatknęła szkicownik, a sygnet wsunęła na palec, żeby nie wypadł jej podczas schodzenia.

Ian, który szedł lasem od zachodniej strony, zauważył wcześniej, jak dziewczyna kręci się przy drzewie, a potem znika. Teraz zostawił upolowane zwierzęta w oborze i skierował się do domu, ale porem rozmyślił się i ruszył pod drzewo.

Z rękami na udach stał, patrząc na pokryte mchem zbocze, wiodące do strumienia i ze zmarszczonymi brwiami zastanawiał się, jakim cudem hrabianka tak szybko zeszła po stoku w dół i zniknęła, gałęzie nad jego głową zaszeleściły nagle. Podniósł głowę. Początkowo nic nie widział, a kiedy już zobaczył, wydawało mu się, że wzrok go myli. Spomiędzy gałęzi wynurzyła się długa, smukła, goła noga, palce szukały konara, na którym mogłyby się oprzeć. Po chwili pojawiła się druga noga i obie wisiały tak w powietrzu.

Ian już wyciągał ręce, by chwycić talię, która zapewne znajdowała się gdzieś na końcu

tych nóg, ukryta wśród listowia, ale się powstrzymał. Najwyraźniej dziewczyna doskonale radziła sobie sama.

- Co ty tam, u licha, robisz? - spytał.

- Naturalnie schodzę - odezwał się głos Elizabeth. Podkuliła palce, szukając drewnianego stopnia i wreszcie go znalazła. Podczas gdy Ian obserwował ją, gotów w każdej chwili do pomocy, jeszcze poszeleściła w gałęziach i znalazła oparcie dla lewej nogi.

Zdumiony odwagą Elizabeth - a przede wszystkim jej sprawnością - już miał się odsunąć i pozwolić jej samodzielnie zejść z drzewa, gdy nagle złamał się spróchniały stopień, na którym stała.

- Ratunku! - krzyknęła, spadając prosto w silne, męskie ramiona, które chwyciły ją w talii.

Ześlizgując się, plecami przesunęła po jego twardym torsie, płaskim brzuchu i udach. Najchętniej ze wstydu zapadłaby się pod ziemię: okazała się gapą, szperała w jego skarbach z lat dzieciństwa, a teraz jeszcze to dziwne uczucie, które ją przeszyło, gdy trzymał ją w ramionach. Z trudem wciągnęła powietrze i odwróciła się twarzą do Iana.

- Grzebałam w pańskich rzeczach - przyznała się, unosząc ku niemu zielone oczy. - Mam nadzieję, że pan się nie pogniewa.

- Czemu miałbym się gniewać?

- Zobaczyłam pańskie rysunki - przyznała się i mówiła dalej z nieskrywanym zachwytem i czułością, którą wzbudziły w niej szkice. - Są cudowne, naprawdę! Zamiast utrzymywać się z hazardu, powinien pan zostać malarzem!

Zobaczyła, że mężczyzna mruży oczy, więc wyciągnęła zza „paska” szkicownik, żeby jak najszybciej przekonać Iana o swojej szczerości. Ostrożnie rozłożyła blok na trawie, wygładzając kartki.

- Niech pan spojrzy - nalegała, siadając przy rysunkach i uśmiechając się do niego.

Po krótkim wahaniu przykucnął obok niej, ale patrzył na jej czuły uśmiech, a nie na szkice.

- Nie ogląda pan - skarciła go łagodnie, kształtnym paznokciem stukając w portret. - Aż nie chce mi się wierzyć, że ma pan taki talent. Uchwycił pan wszystko, każdy szczegół. Po prostu czuje się ten wiatr, który rozwiewa jej włosy, a w oczach widać radość.

Zerknął na portret dziewczynki i po jego opalonej twarzy przemknął ból. Elizabeth w jakiś sposób wyczuła, że modelka musiała już nie żyć.

- Kim ona była? - spytała.

Ból zniknął, mężczyzna znowu całkowicie nad sobą panował.

- To moja siostra - odrzekł cicho. Urwał i dziewczyna sądziła, że nic już nie doda. Odezwał się jednak, a w jego głębokim głosie brzmiało dziwne wahanie, jakby Ian sprawdzał, czy w ogóle potrafi o tym mówić. - Zginęła w pożarze, gdy miała jedenaście lat.

- Tak mi przykro - szepnęła Elizabeth, a w jej oczach pojawiło się współczucie i ciepło, które wypełniały serce. - Bardzo panu współczuję.

Myślała o ślicznej dziewczynce z roześmianymi oczami. Z trudem odrywając wzrok od Iana, próbowała zmienić nastrój, przewracając kartkę na stronę z rysunkiem tryskającym życiem i radością. Na głazie nad brzegiem morza siedział mężczyzna, obejmujący kobietę. Uśmiechał się do jej uniesionej twarzy. Gest, jakim kobieta opierała dłoń na jego ramieniu, świadczył o wielkiej miłości.

- Co to za para? - spytała Elizabeth z uśmiechem.

- Moi rodzice. - Coś w jego głosie sprawiło, że znowu bacznie mu się przyjrzała. - Ten sam pożar - wyjaśnił spokojnie.

Odwrociła twarz, a serce ścisnęło jej się ze współczucia.

- To było wiele lat temu - odezwał się po chwili.

Przewrócił kartkę. Z następnego rysunku patrzył na nich czarny labrador. Tym razem Ian mówił z uśmiechem:

- Wystarczyło, że trafiłem, a on zawsze odnalazł zdobycz.

Elizabeth zapanowała nad wzruszeniem i skupiła się na rysunku.

- Ma pan niezwykłą umiejętność oddawania istoty rzeczy, wie pan o tym?

Drwiąco uniósł brwi, a potem wrócił do przeglądania szkiców. Zatrzymał się na rysunku czteromasztowca.

- Zamierzałem go kiedyś zbudować - powiedział. - To mój projekt.

- Naprawdę? - Elizabeth była pod wrażeniem.

- Naprawdę - potwierdził.

Ich twarze dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Uśmiechali się do siebie. Wtem Ian zatrzymał wzrok na ustach Elizabeth, a jej zaczęło walić serce. Ian leciuteńko pochylił głowę i dziewczyna czuła, po prostu wiedziała, że ją pocałuje. Jej ręka sama się uniosła ku jego szyi, jakby zamierzała go do siebie przyciągnąć i wtedy czar przysł. Ian uniósł głowę i jednym ruchem poderwał się na nogi. Jego twarz stwardniała. Zaskoczona Elizabeth pośpiesznie skupiła uwagę na szkicowniku. Zamknęła go i także wstała.

- Robi się późno - powiedziała, by pokryć zmieszanie. - Chcę się wykąpać w strumieniu, zanim zrobi się zimno. Och, jeszcze coś - przypomniała sobie.

Ostrożnie zsunęła sygnet z kciuka i podała go mężczyźnie.

- Znalazłam go w tej samej skrzynce - wyjaśniła, kładąc klejnot na otwartej dłoni Iana

- Tata mi go podarował, gdy byłem chłopcem - powiedział swobodnie.

Zamknął go w dłoni, a potem wsunął do kieszeni.

- Jest chyba bardzo cenny - zauważyła, myśląc, ile udogodnień mógłby wprowadzić w domu i w majątku, gdyby go sprzedał.

- Przeciwnie - odparł chłodno. - To zwyczajny śmieć.

ROZDZIAŁ 16

Podczas wspólnego posiłku Elizabeth przeżywała męki. Ian gawędził z wujem, zupełnie jakby między nimi dwojgiem nie wydarzyło się nic ważnego, tymczasem ją dręczyły uczucia, których nie potrafiła zrozumieć ani opanować. Ilekroć Ian zahaczył o nią spojrzeniem, serce waliło jej jak młotem. Kiedy na nią nie patrzył, jej wzrok uparcie wracał ku jego ustom - przypomniała sobie, jak wczoraj pieściły jej wargi. Uniósł kieliszek do ust, a ona spoglądała na jego smukłe, silne palce, które wczoraj z tak bolesną czułością muskały jej policzek i gładziły włosy.

Dwa lata temu dała mu się omotać, lecz teraz już zmądrzała. Przecież wiedziała, że to donżuan, cyniczny uwodziciel, a mimo to jej serce nie chciało przyjąć tego do wiadomości. Wczoraj w ramionach Iana czuła, że coś dla niego znaczy - jakby nie tylko pragnął ją tulić, lecz tego potrzebował.

To mrzonki - skarciła się w duchu Elizabeth. A do tego głupota. Doświadczeni uwodziciele niewątpliwie potrafili sprawić, że każda kobieta czuła się przy nich jedyna i wyjątkowa. Zapewne w jednej chwili całowali dziewczynę z żarem i namiętnością, a w następnej, gdy pożądanie minęło, zapominali, że w ogóle istniała. Słyszała historię o tym, jak pewien zdobywca serc niewieścich udawał gorące uczucie do panny, a kiedy tylko odwzajemniła zainteresowanie, natychmiast ją rzucił - tak jak właśnie zrobił Ian. Nie była to pocieszająca myśl, a Elizabeth bardzo potrzebowała otuchy. Tymczasem posiłek ciągnął się w nieskończoność, za oknem zapadł mrok, a Ian siedział, jakby zapomniał o jej istnieniu. W końcu posiłek dobiegł końca. Elizabeth zamierzała właśnie zaproponować, że uprzątnie stół, kiedy zerknęła na Iana i znieruchomiła. Niczym zahipnotyzowana patrzyła, jak błędzi wzrokiem po jej twarzy, brodzie i zatrzymuje spojrzenie na ustach. Szybko odwrócił oczy, a dziewczyna wstała, by posprzątać.

- Ja pomogę - zgłosił się Duncan. - Tak nakazuje przyzwoitość, zwłaszcza że ty wraz z Ianem przygotowałaś resztę.

- Wykluczone - nie zgodziła się dziewczyna i po raz czwarty w życiu zawiązała wokół talii ścierkę, biorąc się do zmywania naczyń.

Mężczyźni zostali przy stole, rozmawiając o ludziach, których Ian najwyraźniej znał od lat. Choć obaj zapomnieli o jej istnieniu, czuła się dziwnie szczęśliwa i z przyjemnością słuchała ich pogawędki.

Skończywszy, powiesiła ścierkę na kłamce i usiadła w fotelu przy ogniu, aby

dokończyć list. Stamtąd swobodnie obserwowała Iana, sama nie będąc przy tym widziana. Mogła pisać tylko do Aleksy, a bała się zbyt wiele powiedzieć w liście, który mógłby wpaść w ręce zainteresowanego, toteż skupiła się na Szkocji i domu Thorntona, lecz robiła to mechanicznie, myśląc o swym gospodarzu, nie o liście. Uważała za niesprawiedliwość, że musiał się tu przenieść, do tej samotni. Przynajmniej część roku powinien spędzać w salach balowych, by spacerować po ogrodach w swoich doskonale skrojonych wieczorowych strojach, sprawiając, że kobiece serca zaczynały nagle bić szybciej. Uśmiechając się w duchu na tę nieudaną próbę obiektywizmu, Elizabeth tłumaczyła sobie, że ludzie pokroju Iana Thorntona zapewne oddawali wielkiemu światu prawdziwą przysługę - dzięki nim było na co patrzeć, co podziwiać i czego się bać. Gdyby nie tacy mężczyźni, kobiety nie miałyby o kim marzyć. I potem nie musiałyby niczego żałować, dokończyła z goryczą.

Ian nawet nie spojrział w jej stronę, nic więc dziwnego, że podskoczyła, gdy odezwał się, nawet na nią nie patrząc.

- Jaki piękny wieczór, Elizabeth. Jeśli zechcesz się oderwać od listu, to czy mógłbym cię skusić na przechadzkę?

- Przechadzkę? - powtórzyła. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że najwyraźniej równie dobrze widział ją, jak ona jego. - Ale jest już ciemno - palnęła.

Próbowała przeniknąć jego nieodgadnioną twarz. Wstał i zatrzymał się przy niej, przytłaczając ją swoim wzrostem. Nic nie wskazywało, jakoby naprawdę miał chęć gdzieś się z nią wybrać. Pytająco zerknęła na duchownego, który poparł propozycję siostrzeńca.

- Spacer to doskonały pomysł - oświadczył Duncan, wstając. - Doskonale robi na trawienie.

Elizabeth skapitulowała.

- Tylko pójde na górę po szal. Przynieść księdzu jakieś okrycie?

- Nie, dziękuję. - Zmarszczył nos. - Nie lubię włożyć się po nocy. - Poniewczasie uświadomił sobie jednak, że zaniedbuje obowiązki przyzwoitki. - Zresztą, to już nie te lata i nie te oczy - wytłumaczył się i natychmiast wszystko zepsuł, sięgając po książkę, którą wcześniej studiował, i zasiadając w fotelu, by - oczywiście bez okularów - czytać przy blasku świec.

W powietrzu wisiał chłód, więc Elizabeth mocniej owinęła się wełnianym szalem. Ian nie odzywał się i w milczeniu okrążyli dom.

- Jest pełnia - odezwała się po kilku minutach dziewczyna, spoglądając na olbrzymią, żółtą kulę na ciemnym niebie.

Kiedy Ian nie odpowiedział, szukała w myślach innego tematu i niechcący zdradziła

to, co opanowało jej myśli.

- Ciągłe nie mogę uwierzyć, że naprawdę jestem w Szkocji.

- Ani ja.

Poszli w dół ścieżką, którą najwyraźniej Ian znał na pamięć. Za nimi światła wioski najpierw się oddalały, a potem całkiem zniknęły.

Po następnych kilku minutach milczenia okrążyli wzgórze i nagle nie mieli przed sobą nic, tylko otchłań doliny, rozciągającej się u ich stóp, za sobą zaś łagodny stok, po lewej stronie małą polankę, a nad głowami kobierzec gwiazd. Ian przystanął i wsunął ręce do kieszeni. Niepewna, w jakim był nastroju, Elizabeth poszła w lewo do końca ścieżki i zatrzymała się, bo nie miała dokąd iść. Zrobiło jej się zimno, szczelniej otuliła się szalem i ukradkiem zerknęła na swego towarzysza. W poświacie księżyca jego profil rysował się ostro. Ian rozmasował sobie kark, jakby potrzebował odprężenia.

- Powinniśmy wracać - odezwała się, kiedy minęło jeszcze kilka minut i cisza stawała się niezręczna.

Odchylił głowę do tyłu i zamknął oczy. Wyglądał, jakby toczył wewnętrzną walkę.

- Czemu? - spytał, nie zmieniając postawy.

- Bo tutaj droga się kończy i nie ma dokąd iść - tłumaczyła mu cierpliwie.

- Nie przyszliśmy tu spacerować.

Poczucie bezpieczeństwa Elizabeth zniknęło w jednej chwili. - Nie?

- Przecież wiesz, że nie.

- To... to dlaczego tu jesteśmy?

- Bo chcieliśmy zostać sami.

- Czemu pan sądzi, że pragnę zostać z panem sam na sam? - spytała zażenowana, bojąc się, czy podczas kolacji nie czytał jej w myślach.

Odwrócił się i popatrzył jej prosto w oczy.

- Zbliź się, to ci pokażę, czemu.

Drżała z pragnienia i strachu, ale rozum nadal kontrolował sytuację. Co innego pocałunki w domu, gdy w pobliżu znajdował się duchowny, ale tutaj, gdzie byli zupełnie sami i Ian mógłby za daleko się posunąć - to już zupełnie inna sprawa. To znacznie bardziej niebezpieczne. Bardziej przerażające. Po tym, jak zachowywała się w Anglii, nie powinna winić Iana, jeśli sądził, że teraz okaże się równie chętna. Usiłując nie zwracać uwagi na zmysłowy czar, jaki na nią rzucał, zaczerpnęła powietrza i zaczęła mówić:

- Panie Thornton...

- Na imię mam Ian - przerwał. - Biorąc pod uwagę naszą długą znajomość, że nie

wspomnę już o tym, co się między nami wydarzyło, chyba przyznasz, że nazywanie mnie teraz panem Thorntonem jest co najmniej dziwne.

Elizabeth usiłowała zachować panowanie nad sobą i obiektywizm.

- Kiedyś całą winę na wydarzenia w Anglii - zaczęła cicho - składałam na pana. Ale potem zobaczyłam wszystko w innym świetle. - Przerwała swoje mężne oświadczenie, by przełknąć ślinę. - Prawda wygląda tak, że moje zachowanie tamtego pierwszego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się w ogrodzie i poprosiłam pana o taniec, było niemądre... Nie, bezwstydne.

Urwała. Mogła częściowo się usprawiedliwić, tłumacząc, że zaczepiła go, by przyjaciółki nie przegrały zakładu, ale z pewnością uznałby to za uciążliwe, ona zaś bardzo chciała załagodzić sytuację, a nie ją zaostrzyć.

- Ilekroć znaleźliśmy się sam na sam - podjęła z trudem - zachowywałam się jak rozpustna bezwstydniczka, zatem trudno pana winić, że właśnie za taką kobietę mnie pan wziął.

W jego głosie zabrzmiała ironia.

- Doprawdy, za taką cię wziąłem, Elizabeth?

Jej imię, wypowiedziane w ciemnościach tym głębokim głosem podziałało na dziewczynę równie mocno jak dziwne spojrzenie, jakim ją obrzucił.

- A... a co innego mógł pan o mnie pomyśleć?

Wbił ręce w kieszenie i wreszcie się do niej odwrócił.

- Pomyślałem - powiedział przez zaciśnięte zęby - że jesteś nie tylko piękna, lecz również oszałamiająco niewinna. Gdybym wtedy, w ogrodzie, sądził, że wiesz, co robisz, flirtując z dużo starszym mężczyzną o okropnej reputacji, skorzystałbym z twojej propozycji i żadne z nas nie zatańczyłoby na balu. Wpatrywała się w niego zdumiona.

- Nie wierzę.

- W co nie wierzysz? Że chciałem cię zaciągnąć za żywopłot i sprawić, że rozpułyłabyś się w moich ramionach? Czy że miałem dość przyzwoitości, by opanować to niegodne pragnienie?

Elizabeth poczuła zdradzieckie ciepło w piersiach, a potem w nogach. Resztkami sił walczyła ze słabością.

- A gdzie się podziały pańskie skrupuły w tamtej chacie? Przecież wiedział pan, że wchodząc tam, sądziłam, że już pana nie zastanę.

- A czemu zostałaś - odparował gładko - kiedy sobie uświadomiłaś, że jednak jestem? Zmieszana odgarnęła włosy z czoła.

- Wiedziałam, że nie powinnam zostać - przyznała. - Sama nie pojmuję, dlaczego to

zrobiłam.

- Zostałaś z tego samego powodu co ja: pragnęliśmy siebie.

- To było złe - protestowała. - Niebezpieczne i... głupie.

- Głupie czy nie, pragnąłem cię. I nadal cię pragnę.

Wówczas Elizabeth popełniła błąd i spojrzała na niego. Natychmiast zatoneła w bursztynowych oczach Iana. Szal, który ścisnęła, jakby był kołem ratunkowym, wymknął jej się z rąk i zsunął z ramienia, lecz tego nie zauważyła.

- Nic nie wygramy, udając dalej, że to, co się wydarzyło w Anglii, jest już zamknięte i zapomniane - powiedział twardo. - Wczorajszy pocałunek dowiódł, że tamto się nie skończyło i że żadne z nas nie zapomniało. Ja cały czas doskonale cię pamiętałem i wiem, że ty także pamiętasz mnie.

Chciała zaprzeczyć, lecz czuła, że gdyby to zrobiła, obróciłby się na pięcie i odszedł, brzydząc się nią i jej kłamstwami. Podniosła głowę, nie potrafiąc oderwać od niego wzroku. Zbyt głęboko poruszyły ją słowa Iana, by teraz go okłamywać.

- Zgoda - przyznała drżącym głosem. - Wygrał pan. Nie zapomniałam pana ani tamtych chwil. Przecież bym nie mogła.

Uśmiechnął się, słysząc w jej głosie gniew.

- Chodź, Elizabeth - kuśił.

- Po co? - wyszeptała.

- Żebyśmy dokończyli to, co wtedy zaczęliśmy.

Wpatrywała się w niego z lękiem pomieszonym z szaleńczym podnieceniem, ale uparcie pokręciła głową.

- Nie będę cię zmuszał - powiedział cicho. - A kiedy znajdziesz się w moich ramionach, również nie zmuszę cię do niczego, czego byś nie chciała. Przemyśl to sobie dobrze - ostrzegł - bo jeśli teraz do mnie podejdziesz, rano nie będziesz mogła sobie tłumaczyć, że zrobiłem cokolwiek wbrew twojej woli albo że nie wiedziałaś, co się dzieje. Wczoraj jeszcze nie wiedzieliśmy, co się stanie. Dziś już tak. Jakiś cichy głosik kuśił, by uległa, szepcząc, że po publicznym upokorzeniu, które ją spotkało po ich ostatnim spotkaniu, ma prawo do kilku kradzionych namiętnych pocałunków. Drugi głos wszakże ostrzegał ją przed ponownym złamaniem zasad.

- N... nie mogę - odrzekła cicho.

- Dzieli nas cztery kroki, a przyciągają dwa lata pragnienia - powiedział.

Elizabeth przełknęła ślinę.

- Nie możemy się spotkać w połowie drogi?

Słodycz tego pytania omal nie rozbroiła Iana , lecz pokręcił głową.

- Nie tym razem. Pragnę cię, ale nie chcę, żebyś rano patrzyła na mnie jak na potwora. Jeśli mnie pragniesz, wystarczy, że do mnie podejdziesz.

- Sama nie wiem, czego chcę! - zawołała Elizabeth, spoglądając w dolinę, jakby się zastanawiała, czyby tam nie skoczyć.

- Chodź do mnie - kusił - to się przekonasz.

Jego głos, a nie słowa ją pokonały. Kierowana przez jakąś siłę potężniejszą od niej, Elizabeth śmiało wsunęła się w ramiona Iana , które otoczyły ją miazdzącym uściskiem.

- Nie wierzyłem, że się zdecydujesz - wyszeptał w jej włosy.

W głosie Iana brzmiała pochwała dla jej odwagi i Elizabeth chwyciła się tego, kiedy uniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Zatrzymał płonące spojrzenie na jej ustach, a ją natychmiast przeszył żar. Całował ją z ogniem, nienasyconym głodem, rękami przyciskał jej plecy, by jeszcze mocniej doń przywarła. Elizabeth zaspokajała jego głód. Z cichym jękiem uniosła ręce wyżej i zaplotła mu palce na szyi. Przeszedł go dreszcz, ustami miazdżył jej wargi, rozchylając je, by wsunąć język. W obojgu wybuchła nieposkromiona namiętność. Ian nie myślał już, co robi, pragnąc, by Elizabeth odwzajemniła namiętny, gorący pocałunek i w końcu rozpłomieniona musnęła językiem jego wargi. Usłyszała, jak gwałtownie wciągnął powietrze. Zawahała się, niepewna...

- Tak - wyszeptał chrapliwie, a gdy powtórzyła pieszczotę, jęknął z rozkoszy.

Całował ją raz za razem, aż zaczęła ciężko oddychać, a mimo to nie potrafił przestać. Znowu ogarnęło go to samo szaleńcze pragnienie, co przed dwoma laty. Musiał ją mieć. Całował ją, dopóki nie zaczęła jęczeć i drżeć w jego ramionach. Zalewały go coraz gorętsze fale pożądania. Oderwał się od jej warg, powiódł ustami po policzku, językiem szukał zagłębienia ucha, a dłonią piersi. Poderwała się, zaskoczona tą intymną pieszczotą. Jej niewinna reakcja wywołała u Iana zduszony śmiech, a równocześnie obudziła w nim tak wielkie pożądanie, że omal nie osunął się na kolana. Kierowany wyłącznie instynktem samozachowawczym zmusił ręce, by zaprzestały rozkosznej tortury pieszczenia jej piersi, ale usta znowu szukały jej ust. Tym razem delikatnie musnął jej wargi, by trochę ochłoneła. By sam ochłonał... I wtedy zaczęło się od nowa.

Wydawało mu się, że minęła wieczność, kiedy podniósł głowę. W uszach dudniła mu krew, serce łomotało. Elizabeth przywarła do niego całym ciałem, drząc po wybuchu najbardziej niesamowitej, niewytłumaczalnej namiętności, jakiej Ian kiedykolwiek doświadczył.

Aż do tej pory wmawiał sobie, że wspomnienie tamtego żaru sprzed dwóch lat było

przesadzone, lecz dzisiejszy pocałunek przerósł jego najśmielsze wyobrażenia. Nigdy nie doświadczył czegoś takiego. Wpatrywał się w ciemność ponad głową dziewczyny, usiłując nie dopuścić do siebie tego, co czuł, kiedy ją obejmował.

Wtulona w jego tors półprzytomna Elizabeth słyszała, jak serce Jana zaczyna bić normalnie, a oddech się wyrównuje. Powoli zaczęły do niej docierać odgłosy nocy. Wiatr szeleszczący wśród wysokich traw, szepeczący w gałęziach drzew... Ian wodził ręką po jej plecach. Pod powiekami czuła łzy, potarła policzkiem o jego tors, żeby je obetrzeć. Dla Iana był to gest boleśnie, niewypowiedziane czułej pieśczości. Z trudem wciągając powietrze, usiłowała go spytać, czemu to ją spotyka.

- Dlaczego? - wyszeptwała.

Ian usłyszał w jej słowach desperację i zrozumiał pytanie. Sam je sobie zadawał. Czemu wybuchało w nim takie pożądanie, ilekroć jej dotykał? Czemu ta jedna Angielka potrafiła sprawić, że tracił rozum?

- Nie wiem. - Jego głos zabrzmiał sucho, nienaturalnie. - Czasem to się po prostu zdarza.

Niewłaściwym ludziom, w nieodpowiedniej chwili, dodał w duchu. W Anglii tak dał się omotać, że w ciągu dwóch dni dwukrotnie jej się oświadczał. Zapamiętał jej odpowiedź słowo w słowo. Chwilę po tym, jak rozplywała się w jego ramionach i całowała go z rozpaczliwą namiętnością - tak samo jak dziś - powiedział: „Twój ojciec może mieć obiekcje, nawet kiedy go przekonam, że zdołam zapewnić ci dostatnią przyszłość... „. Elizabeth odchyliła się wtedy i uśmiechnęła rozbawiona. „A cóż takiego mi pan obieca? Rubin wielkości mojej dłoni, który przyrzekł mi wicehrabia Monclcvale? Sobolowe futro i podłogi wyściełane kobiercami i skórami dzikich zwierząt, jak się zaklinał hrabia Seabury?”. „Tego pragniesz?” - spytał wtedy, nie wierząc, że była aż tak interesowna, by wybrać na męża tylko tego, kto podaruje jej najdroższe klejnoty albo najwspanialsze futra. „Naturalnie, oświadczyła. Czyż nie tego żąda każda kobieta, a każdy mężczyzna obiecuje?”.

Trzeba jej przyznać, pomyślał Ian, walcząc z obrzydzeniem, że przynajmniej nie ukrywa, co się dla niej liczy. Z perspektywy czasu podziwiał odwagę dziewczyny, lecz takich zasad nie mógł zaakceptować.

Spojrzał na Elizabeth. Przyglądała mu się uważnie, a w jej przestraszonych zielonych oczach malowała się wrażliwość i złudna niewinność.

- Nie przejmuj się - oświadczył lekko, biorąc ją pod rękę i ruszając z powrotem do domu. - Nie będę cię męczył oświadczeniami, które nieodmiennie wieńczyły nasze poprzednie spotkania. Małżeństwo nie wchodzi w rachubę. Choćby dlatego, że w tym sezonie już mi się

skończyły rubiny i drogie futra.

Mimo tak żartobliwego tonu zrobiło jej się słabo. Te słowa zabrzmiały teraz obrzydliwie, choć kiedy je mówiła, nie kierowała nią miłość do bogactwa. Trzeba mu przyznać, pomyślała załamana, że przynajmniej nie poczuł się urażony. Widocznie w wielkim świecie obowiązywała jedna zasada dotycząca flirtu: niczego nie traktować serio.

- Kto ostatnio prowadzi w wyścigu o twoją rękę? - spytał Ian tym samym lekkim tonem, kiedy zbliżyli się do domu. - Na pewno musi być ktoś jeszcze oprócz Belhavena i Marchmana.

Elizabeth mężnie starała się dotrzymać mu kroku i z równą łatwością przejść od namiętności do kpiny. Nie do końca się to udało, bo do jej lekkiej odpowiedzi wkradło się zakłopotanie.

- Z punktu widzenia mojego stryja w wyścigu o moją rękę prowadzi ten, kto jest najbardziej utytułowany i posiada największy majątek.

- Naturalnie - przyznał sucho Thornton. - W takim razie zapewne szczęśliwym oblubieńcem zostanie lord Marchman.

Jego całkowita obojętność sprawiła, że serce Elizabeth ścisnął dziwny, niewytłumaczalny ból. Dumnie uniosła głowę.

- Właściwie nie szukam męża - oświadczyła, starając się utrafić w ten sam lekki, drwiący ton. - Jeśli nie zdołam przechytryć stryja, możliwe, że jednak będę musiała wyjść za mąż, ale doszłam do wniosku, że najchętniej wybrałabym o wiele starszego męża.

- A do tego jeszcze ślepego, żeby nie zauważył małych romansików na boku?

- Zmierzałam do tego - spojrzała na niego koso - że zależy mi na wolności. Niezależności. Młody mąż mi tego nie da, starszy zaś - mógłby.

- Niezależność to jedyne, co może ci ofiarować.

- I to mi wystarczy. Mam serdecznie dość tego, że mężczyźni ciągle mną rządzą. Chcę zajmować się Havenhurst i robić, co zechcę.

- Wyjdź za starca - wtrącił gładko Ian - a możliwe, że na tobie wygaśnie ród Cameronów.

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

- Stary mąż nie da ci dzieci.

- A, o to chodzi. - Elizabeth się stropiła. - Tego problemu chwilowo nie udało mi się rozwiązać.

- Daj mi znać, kiedy ci się uda - odparł Ian zjadliwie. Elizabeth przestała go bawić, a co gorsza zachwycać. - Na takim odkryciu można zrobić majątek.

Puściła jego złośliwą uwagę mimo uszu. Nie uporała się z owym problemem, bo decyzję podjęła po tym, jak Ian Thornton najpierw czule trzymał ją w ramionach, by następnie bez powodu potraktować jak zabawkę, a wreszcie jak zmię. Wszystko to okazało się zbyt skomplikowane, zbyt bolesne i niepojęte. Nie miała dużego doświadczenia, ale przekonała się, że mężczyźni są całkowicie nieprzewidywalni i niegodni zaufania. Od jej ojca, przez brata i wicehrabiego Mondevale'a, który chciał się z nią ożenić, po Iana Thorntona, który nie miał takiego zamiaru. Stryj Julius jako jedyny znany jej mężczyzna nigdy nie zmieniał zdania i zawsze jednakowo wstrętne się zachowywał. On przynajmniej był nieodmiennie pozbawiony serca i zimny.

Elizabeth marzyła, by jak najszybciej zaszyć się w sypialni, więc chłodno pożegnała się z Ianem i natychmiast poszła na górę, nie zauważając, że w wysokim fotelu siedzi Duncan, przyglądając jej się z troską.

- Mam nadzieję, że udał ci się spacer, Ianie - odezwał się, kiedy trzasnęły drzwi na górze.

Siostrzeniec, który właśnie nalewał sobie kawę, znieruchomiał i obejrzał się przez ramię. Mina wuja wyraźnie świadczyła, że duchowny doskonale zdawał sobie sprawę, że nie pragnienie świeżego powietrza, lecz pożądanie wzbudziło w Ianie nagłą chęć pospacerowania z Elizabeth.

- A jak sądzisz? - spytał rozdrażniony.

- Sądzę, że wielokrotnie, z premedytacją ją zraniłeś, a nie tak zwykle traktujesz kobiety.

- Zapewniam cię, że hrabianka Cameron nie jest zwyczajną kobietą.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - odparł Duncan z uśmiechem. Odłożył książkę. - Sądzę też, że jest tobą zauroczona, a ty nią. To nie ulega kwestii.

- W takim razie, zwłaszcza dla człowieka o twojej bystrości - oświadczył Ian - nie powinno ulegać kwestii, że zupełnie do siebie nie pasujemy. Zresztą, darujmy sobie te ciche rozważania. Żenię się z inną!

Duncan już zamierzał to skomentować, lecz widząc minę siostrzeńca, zrezygnował.

ROZDZIAŁ 17

Ian o brzasku udał się na polowanie, a wuj skorzystał z jego nieobecności, by wyciągnąć z Elizabeth odpowiedzi na nurtujące go kwestie. Wielokrotnie, bezskutecznie podpytywał ją o pierwsze spotkanie z Ianem, o jej życie i tak dalej. Śniadanie dobiegło końca, a hrabianka uraczyła Duncana wyłącznie płytkimi, nic nieznaczącymi historyjkami, które miały go przekonać, że wiedzie beztroską, pogodną egzystencję w Havenhurst. W końcu próbowała odwrócić uwagę duchownego, pytając o rysunki jego siostrzeńca.

W nadziei, że jeśli Elizabeth lepiej zrozumie Iana, chętniej sama się zwierzy, Duncan posunął się nawet tak daleko, że opowiedział, jak chłopak zareagował na wiadomość o śmierci rodziny i czemu oddał psa. Sztuczka się nie powiodła. Dziewczyna okazała współczucie i wzruszenie, ale bynajmniej nie zamierzała zdradzić niczego na swój temat.

Jeśli zaś chodzi o Elizabeth, z trudem wytrzymała do końca posiłku. Marzyła, by uciec przed przenikliwym wzrokiem duchownego i jego drażącymi pytaniami. Mimo swojej dobroci i szkockiej bezpośredniości, ksiądz był również wyjątkowo spostrzegawczy, a jeśli postanowił coś zbadać, nie poddawał się łatwo. Natychmiast po uprzątnięciu ze stołu pobięła pracować w ogrodzie, ale już po kilku minutach wyrósł przy niej Duncan. Na jego twarzy malował się niepokój.

- Zjawił się twój stangret - powiedział. - Przywiózł pilną wiadomość od stryja.

Przerażona dziewczyna wyprostowała się i pobięła do domu.

- Aaronie! - zawołała. - Co się stało? Jakim cudem dotarłeś aż tutaj?

W odpowiedzi na pierwsze pytanie podał jej list, w odpowiedzi na drugie mruknął:

- Twojemu stryjowi tak zależało, byś natychmiast wróciła do domu, że pozwolił nam wynająć, co chcemy, bylebyśmy jak najszybciej cię odstawili. Przed domem czeka już para koni dla ciebie i panny Throckmorton - Jones, a na dole mam powóz, którym może my dojechać do gospody, stamtąd zaś wyruszymy naszą kareta.

Dziewczyna mechanicznie skinęła głową, otworzyła list i wpatrywała się w niego z przerażeniem. „Elizabeth - pisał stryj. - Natychmiast wracaj. Oświadczył się o ciebie Belhaven. Szkoda tracić czas w Szkocji. I tak wybrałbym Belhavena zamiast Thorntona”. Widocznie spodziewał się, że będzie grała na zwłokę, bo dodał: „Jeśli wrócisz w ciągu tygodnia, będziesz mogła uczestniczyć w spisaniu umowy przedślubnej. Jeśli nie, zajmę się tym sam, do czego mam prawo, jako twój opiekun”.

Dziewczyna zgniotła list w dłoni. Wpatrzona w swoją pięść, czuła, jak serce bije jej w

poczuciu całkowitej bezradności. Na podwórzu zrobiło się zamieszanie. Podniosła wzrok. Nareszcie wrócili pan Wiley i Lucinda. Podbiegła do Lucindy, starając się omijać karego konia, który złośliwie skulił uszy.

- Lucy! - zawołała, gdy jej opiekunka spokojnie czekała, aż pan Wiley pomoże jej zsiąść. - Lucy! Stało się nieszczęście!

- Powoli, Elizabeth, jeśli można - oświadczyła niewzruszona dama. - Wszystko może zaczekać, aż wejdziemy do środka i wygodnie usiądziemy. Słowo daję, mam uczucie, jakbym się urodziła na tym koniu. Nie wyobrażasz sobie, ile się namęczyłam, szukając odpowiedniej służby...

Elizabeth nie słuchała jej przemowy. Płonąc z niepokoju i strachu, musiała czekać, aż jej przywoitka zsiądzie z konia, pokuśtyka do domu i spocznie na kanapie.

- A teraz - odezwała się Lucinda, strzepując pyłek z sukni - powiedz, co się wydarzyło?

Nie zwracając uwagi na duchownego, który zaciekawiony i pełen niepokoju o Elizabeth stanął przy kominku, dziewczyna podała list pannie Throckmorton - Jones.

- Przeczytaj. Zda... zdaje się, że już przyjął jego oświadczenia.

Lucinda rzuciła okiem na krótki list. Jej twarz najpierw poszarzała, a potem na zapadniętych policzkach zakwitły dwa krwiste rumieńce gniewu.

- Przyjąłby oświadczenia samego diabła - zazgrzytała zębami - pod warunkiem że miałby tytuł i pieniądze. To nie powinno cię dziwić.

- Ale byłam taka pewna, że udało mi się zniechęcić Belhavena!

- jęknęła dziewczyna, szarpiąc w rękach niebieską spódnicę. - Robiłam wszystko, co w mojej mocy, Lucy. Wszystko, co ci opowiedziałam, i jeszcze więcej! - Zerwała się na nogi. - Jeśli się pośpieszymy, zdążymy przed wyznaczonym czasem i może uda mi się przemówić stryjowi do rozsądku.

Lucinda nie zerwała się na nogi, jak Elizabeth. Nie popędziła na górę, nie wpadła do pokoju i nie wyładowała bezsilnej złości, trzaskając drzwiami, jak to uczyniła jej podopieczna. Panna Throckmorton - Jones wyprostowała się tylko, powoli wstała z kanapy i zwróciła się do duchownego.

- Gdzie on jest? - warknęła.

- Ian? - upewnił się Duncan, zaniepokojony jej bladością. - Pojechał na polowanie.

Nie mogąc wyładować furii na prawdziwym winowajcy, wyżyła się na Bogu ducha winnym kapłanie. Kiedy skończyła swoją tyradę, cisnęła do zimnego kominka zmięty list i oznajmiła drżącym z gniewu głosem:

- Kiedy ten szatański pomiot wróci, niech mu ksiądz powie, że jeśli kiedykolwiek stanie mi na drodze, to dobrze mu radzę, by miał wtedy na sobie zbroję!

Z tymi słowy odmaszerowała na górę.

Ian wrócił o zmierzchu. Powitał go niespodziewanie cichy dom. Wuj siedział przy ogniu, przyglądając mu się z dziwną miną, będącą połączeniem gniewu i zadumy. Ian mimowolnie rozejrzał się po pokoju, spodziewając się ujrzeć złociste włosy Elizabeth i jej śliczną buzię. Kiedy jej nie zobaczył, odłożył broń na miejsce i lekkim tonem zapytał:

- Gdzie się wszyscy podziali?

- Jeśli masz na myśli Jake'a - odparł duchowny, dodatkowo rozdrażniony tym, że siostrzeniec unika pytania o Elizabeth - to wziął ze sobą do obory baryłkę piwa i oświadczył, że będzie pił, dopóki nie wymaże z pamięci ostatnich dwóch dni.

- A więc wrócili?

- Jake powrócił - poprawił go ksiądz.

Ian podszedł do stołu i nalał sobie madery.

- Kobiety do pomocy zjawią się rano. A z Elizabeth oraz panną Throckmorton - Jones właśnie się rozminąłeś.

Sądząc, że Duncan ma na myśli przechadzkę, jego siostrzeniec zerknął na drzwi.

- Gdzie je poniosło o tej porze?

- Do Anglii.

Ian znieruchomiał ze szklanką uniesioną do ust.

- Dlaczego?

- Bo stryj panny Cameron przyjął oświadczyzny jej konkurenta.

Duncan z mściwą satysfakcją patrzył, jak młody człowiek jednym haustem opróżnia szklankę, jakby chciał splukać gorycz tej nowiny. Po chwili Ian przemówił z lodowatym sarkazmem:

- Kim jest szczęśliwy oblubieniec?

- Zdaje się, że to sir Francis Belhaven. Ian skrzywił się z obrzydzeniem.

- Zdaje się, że nie darzysz go podziwem? Siostrzeniec wzruszył ramionami.

- Belhaven to stary lubieżnik, który ponoć ma dość dziwaczne obyczaje seksualne.

Poza tym jest od niej trzy razy starszy.

- Wielka szkoda. - Duchowny bezskutecznie usiłował zachować neutralny ton. Odchylił się w fotelu i oparł stopy na podnóżku. - To piękne, niewinne dziecko będzie więc musiało poślubić tego starego... lubieżnika. Jeśli tego nie uczyni, stryj przestanie ją wspierać finansowo i dziewczyna straci dom, który tak kocha. Jej stryjowi Belhaven całkowicie

odpowiada, gdyż posiada tytuł oraz majątek, a to jedyne warunki, jakie stawiał. Ta czarująca dziewczyna będzie musiała wyjść za obleśnego starca. W żaden sposób tego nie uniknie.

- Nonsens - warknął Ian, dopijając maderę. - Dwa lata temu uważano ją za gwiazdę sezonu. Było tajemnicą poliszynela, że ponad tuzin wielbicieli ubiegało się o jej rękę. Jeśli tylko na tym mu zależy, na pewno zgłoszą się kolejne tłumy chętnych.

W głosie Duncana zabrzmiał nietypowy dla księdza sarkazm.

- Tak było, zanim spotkała na jakimś przyjęciu ciebie. Od tamtej pory wszyscy uznali, że jest towarem z drugiej ręki.

- Cóż to, do diaska, ma znaczyć?

- Ty mi to wyjaśnij, Ianie - odciął się duchowny. - Tę historię usłyszałem w dwóch częściach od panny Throckmorton - Jones. Za pierwszym razem owa dama znajdowała się pod wpływem laudanum. Dziś natomiast była pod wpływem gniewu, a dodajmy, że w życiu nie widziałem takiej furii. Mogę nie znać całej prawdy, z grubsza jednak poznałem sytuację, a nawet jeśli tylko połowa jest prawdziwa, nie ulega wątpliwości, że zupełnie nie masz serca albo sumienia. Mnie zaś pęka moje, kiedy pomyślę, co przez te dwa lata przechodziła biedna Elizabeth. A kiedy sobie uświadomię, jakie uczucie ci okazała...

- Czego nagadał ci ten babsztyl? - przerwał Ian, odwracając się i podchodząc do okna.

Jego nieskrywana obojętność rozjuszyła Duncana. Zerwał się z miejsca i podszedł do siostrzeńca.

- Powiedziała mi, że nieodwracalnie zniszczyłeś reputację Elizabeth Cameron - oświadczył z goryczą, mierząc wzrokiem siostrzeńca. - Powiedziała mi, że namówiłeś niewinną dziewczynę, która zaledwie parę tygodni przed waszym spotkaniem po raz pierwszy opuściła rodzinne gniazdo, do sam na sam z tobą w ustronnej chacie i w oranżerii. Powiedziała mi, że świadkami tej schadzki były osoby, które nie omieszkały puścić w obieg skandalicznej plotki i w ciągu paru dni trąbiło już o tym całe miasto. Powiedziała mi, że narzeczony hrabianki dowiedział się o wszystkim i przez ciebie zerwał zaręczyny. Wtedy wielki świat natychmiast uznał Elizabeth za zepsutą do szpiku kości i skazał ją na ostracyzm. Lucinda powiedziała mi też, że po kilku dniach brat Elizabeth uciekł z Anglii przed wierzycielami, których zamierzał spłacić, gdy siostra korzystnie wyjdzie za mąż, i ślad po nim zaginął. - Z ponurą satysfakcją patrzył na zaciśnięte zęby Iana. - Wyjaśniła mi też, że od początku celem przyjazdu Elizabeth do stolicy było zawarcie takie go związku, a ty zrujnowałeś jej szanse. Właśnie dlatego to dziecko musi teraz wyjść za człowieka, którego opisałeś jako trzy razy od niej starszego lubieżnika. - Zadowolony, że każda jego strzała trafia do celu, zadał ostatni, śmiertelny cios. - Przez twoje postęпки ta dzielna, piękna dziewczyna

od dwóch lat żyje samotnie we wstydzie w Havenhurst. Wierzycciele ogołocili ze wszystkich cennych przedmiotów jej dom, o którym opowiadała z taką miłością. Wyszując, Ianie. Przez ciebie popadła w biedę i stała się trędowata.

A wszystko dlatego, że zakochała się w tobie od pierwszego wejrzenia. Po tym jednak, czego się dowiedziałem, zastanawiam się tylko, co w tobie dostrzegła.

Żyłka na szyi Iana pulsowała nerwowo, lecz nawet nie próbował się bronić przed rozsierdzonym wujem. Oparł dłonie o parapet okna i zapatrzył się w mrok. W głowie, niczym tysiące młotów, dudniły mu słowa wuja, uświadamiał sobie, z jakim okrucieństwem traktował przez te dwa dni Elizabeth.

Znowu zobaczył ją taką, jaka była w Anglii: odważna, czarująca, pełna niewinnej namiętności, a potem usłyszał jej wczorajsze słowa: „Powiedział pan mojemu bratu, że to był nieznaczący flirt”. Przypomniawszy sobie, jak strzelała do celu, kiedy drwił z jej wielbicieli. I jak klęczała na trawie, spoglądając na rysunki jego bliskich. „Bardzo panu współczuję”, szepnęła, a w jej cudownych oczach malował się ból. A w końcu - jak płakała w jego ramionach, bo zdradziły ją przyjaciółki.

Wyrzuty sumienia odezwały się ze zdwojoną siłą, gdy wróciło wspomnienie jej niewiarygodnej słodyczy i namiętności, z jaką wczoraj mu się oddawała. Rozpalił ją do nieprzytomności, a potem powiedział: „Nie będę cię męczył oświadczeniami, które nieodmiennie wieńczyły nasze poprzednie spotkania. Małżeństwo nie wchodzi w rachubę. Choćby dlatego, że w tym sezonie już mi się skończyły rubiny i drogie futra”.

Przypomniawszy sobie również inne złościwości: „Czemu twój stryj sądził, że się z tobą ożenię?”. „Hrabianka Cameron jest niezwykle bogata, Duncanie”. „Założę się, że w każdym pokoju na podłodze leżą kobierce i skóry dzikich zwierząt, a wszędzie pełno klejnotów wielkości pięści”.

A ona była zbyt dumna, by się przyznać, że jest inaczej.

Zalała go wściekłość na własną ślepotę i arogancję. Powinien się domyślić. Zwłaszcza kiedy zaczęła mówić o targowaniu się z kupcami! Do diaska, powinien był odgadnąć! Od pierwszego spojrzenia na Elizabeth Cameron stracił rozum i oślepl... nie - przyznał, brzydząc się sam siebie - w Anglii instynktownie wyczuwał, jaka jest naprawdę. Zdawał sobie sprawę, że to szlachetna, dumna, dzielna, niewinna dziewczyna. Rzadki klejnot. Doskonale wiedział, że nie jest zepsutą kokietką, ale później wmówił to sobie i tak właśnie ją potraktował - ona zaś zniosła wszystko! Pozwalała się obrażać, a potem jeszcze usiłowała usprawiedliwić jego zachowanie, zrzucając winę na siebie, że zachowywała się jak „rozpustna bezwstydnica”.

Dusił się, w gardle rosła mu kula. Zamknął oczy. Ta niewyobrażalnie słodka, dobra

dziewczyna potrafiła mu wszystko wybaczyć. Wreszcie odezwał się drżącym ze wzruszenia głosem, jakby z trudem dobierał słowa:

- Czy Lucinda sama to powiedziała, czy to wyłącznie twoje domysły?

- Na jaki temat?

Z trudem wciągnął powietrze.

- Powiedziała ci, że przed dwoma laty Elizabeth się we mnie zakochała, czy sam doszedłeś do tego wniosku?

Tak wyraźnie było widać, jak wiele znaczy dlań ta odpowiedź, że Duncan omal się nie uśmiechnął. W owym momencie jednak bardziej mu leżały na serce dwie rzeczy, których pragnął nade wszystko: chciał, żeby jego siostrzeniec poślubił Elizabeth i wynagrodził jej cierpienia, których był przyczyną; a także, by pogodził się z dziadkiem. Żeby zrobić to pierwsze, najpierw Ian musiałby zdecydować się na to drugie, Julius Cameron bowiem będzie się upierał przy utytułowanym mężu dla bratanicy. Duncanowi tak bardzo zależało na obu tych sprawach, że omal nie skłamał, by pomóc zakochanym, lecz w ostatniej chwili powstrzymało go sumienie.

- Tak twierdziła panna Throckmorton - Jones, znajdując się pod wpływem lekarstwa. A ja przychyliam się do tego twierdzenia na podstawie obserwacji charakteru i zachowania Elizabeth.

Czekał przez długą chwilę w straszliwej niepewności. Doskonale zdawał sobie sprawę, w jakim kierunku podąża rozumowanie Iana. Wreszcie odezwał się, postanawiając wykorzystać swą przewagę i dobić siostrzeńca niepodważalną logiką.

- Nie masz innego wyjścia, musisz ją uratować przed tym odrażającym związkiem. - Uznając milczenie Iana za zgodę, ciągnął już bardziej zdecydowanie. - W tym celu musisz odwieść stryja hrabianki od pomysłu wydania jej za Belhavena. Panna Throckmorton - Jones mi powiedziała, a list, który sam czytałem, potwierdził, że stryj pragnie dla Elizabeth utytułowanego męża, więc takiego kandydata będzie faworyzował. Wiem również, że taką postawę często się spotyka wśród angielskiej arystokracji, więc nie licz, że uda ci się go przekonać, bo to niemożliwe. - Trafił w dziesiątkę, gdyż Ian pobladł. Wtedy zadał ostatni cios. - Tytuł jest na wyciągnięcie ręki.

Wiem, jak bardzo nienawidzisz dziadka, ale to teraz bez znaczenia.

Albo pozwolisz, by Elizabeth wyszła za owego odrażającego starca, albo pojednasz się z księciem Stanhope'em. Jedno albo drugie. Nie ma innego wyjścia i doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Ian znieruchomiał, rozpaczliwie szukając sposobu, aby uniknąć pojednania z

dziadkiem. Duncan obserwował jego zmagania, wiedząc, jaką walkę toczy ze sobą jego siostrzeniec, i w straszliwej niepewności czekał na wynik. Ian pochylił głowę i zacisnął pięści.

- Ten diabelny łajdak - odezwał się wreszcie przez zacisnięte zęby, mówiąc o dziadku.
- Po jedenastu latach postawi jednak na swoim. A wszystko dlatego, że nie potrafiłem trzymać łap przy sobie.

Duchowny z trudem ukrywał radość i ulgę.

- Znam gorsze nieszczęścia od ślubu z piękną, młodą dziewczyną, która w dodatku miała dość rozumu, by się w tobie zakochać.

Ian uśmiechnął się lekko. Ale błyskawicznie odeszła go chęć do żartów, bo oto z całą siłą doszła do głosu niewyobrażalnie skomplikowana rzeczywistość.

- Niezależnie od tego, co do mnie czuła, to już stare dzieje. Teraz marzy wyłącznie o niezależności.

Ksiądz uniósł brwi i parsknął śmiechem.

- O niezależności? Naprawdę? Cóż za oryginalne dążenie u kobiety! Na pewno wybijesz jej z głowy takie absurdalne pomysły.

- Nie licz na to.

- Niezależność jest przereklamowana. Podaruj ją Elizabeth, a natychmiast straci na nią ochotę.

Ian słuchał go jednym uchem. Gotował się ze złości, że jednak musi ustąpić dziadkowi.

- Bodaj go szlag trafił. Najchętniej bym pozwolił, żeby zgnił w piekle, a jego przeklęty tytuł wraz z nim.

- Niewykluczone, że właśnie ów strach przed „gniciem w piekle”, jak to obrazowo ująłeś, sprawił, że księciu tak zależy na przekazaniu ci dziedzictwa - oświadczył z powagą Duncan, choć z jego twarzy nie zniknął uśmiech. - Pamiętaj jednak, że próbuje się z tobą pojednać już od ponad jedenastu lat, czyli na długo przedtem, nim zaczęto mu się dawać we znaki serce.

- O wiele lat za późno - warknął Ian. - Mój ojciec był prawowitym dziedzicem, a ten stary łajdak zmiękł dopiero po jego śmierci.

- Nie zapomniałem o tym. Ale nie w tym rzecz, Ianie. Przegrałeś walkę. Nie możesz dłużej się od niego odcinać. Jednak musisz przegrać z klasą, do jakiej cię obliguje arystokratyczne pochodzenie, tak jakby to uczynił twój ojciec. Należy ci się tytuł spadkobiercy księcia Stanhope'a i nic tego nie zmieni. Co więcej, gorąco wierzę, że gdyby

twój ojciec otrzymał szansę, którą ty dostałeś, wybaczyłby księciu.

Rozwścieczony Ian odwrócił się od okna.

- Nie jestem moim ojcem.

- Nie ma czasu do stracenia - naciskał duchowny, w obawie, że siostrzeniec się wycofa. - Całkiem niewykluczone, że po przybyciu do dziadka dowiesz się, iż dotrzymał słowa i ponieważ termin minął, wyznaczył już swego następcę.

- A jeszcze bardziej prawdopodobne, że po moim ostatnim liście do niego usłyszę, że mam iść w diabły.

- Poza tym - ciągnął Duncan - jeśli będziesz zwłóczył, może się okazać, że przybędziesz już po ślubie Elizabeth z tym całym Belhavenem.

Ian wahał się przez nieskończenie długą chwilę, a potem kiwnął głową, wsunął ręce w kieszenie i niechętnie ruszył na górę.

- Ianie? - zawołał ksiądz. Siostrzeniec się obejrzał.

- Co znowu? - spytał rozdrażniony.

- Musisz mi zostawić wskazówki, jak trafić do Elizabeth. Zmieniłeś oblubienicę, ale tuszę, że nadal będę miał zaszczyt sprawowania ceremonii ślubnej w Londynie? Młody człowiek skinął głową.

- Dobrze postępujesz - powiedział cicho Duncan, choć ciągle się lękał, czy aby gniew nie weźmie góry i siostrzeniec z premedytacją nie zniechęci do siebie księcia. - Niezależnie od tego, jakie się okaże wasze małżeństwo, nie masz wyjścia. Zrujnowałeś jej życie.

- I to w niejeden sposób.

- Co to, na Boga, ma znaczyć?

- Przeze mnie stryj został jej opiekunem. - Westchnął ciężko. - Wbrew temu, co sądzi Elizabeth, jej brat nie uciekł przed wierzycielami ani przed skandalem.

- Przez ciebie? Jak to się stało?

- Wyzwał mnie, a kiedy nie zdołał zabić w uczciwym pojedynku, jeszcze dwukrotnie próbował podstępnie mnie uśmiercić i za każdym razem był aż nadto bliski celu. Kazałem go zaciągnąć na pokład „Arianny” i wysłałem do Indii, żeby trochę ochłonął.

Duncan pobladał i opadł na kanapę.

- Jak mogłeś to zrobić?

Ian poczuł się dotknięty tą niesprawiedliwą wymówką.

- Miałem jeszcze dwa wyjścia: pozwolić, by wreszcie kiedyś strzelił mi w plecy, albo oddać go w ręce sprawiedliwości. Nie chciałem, by zawisł na szubienicy za nadgorliwość, z jaką bronił honoru siostry. Chodziło mi tylko o to, by się ode mnie odczepił.

- Ale dwa lata?!

- Wróciłby po niecałym roku, lecz „Arianna” została uszkodzona w czasie sztormu i zawinęła do San Delora. Wtedy Robert uciekł ze statku i ślad po nim zaginął. Sądziłem, że jakoś wrócił do kraju. Nie miałem pojęcia - zakończył, idąc dalej po schodach - że nie dotarł do Anglii.

- Wielki Boże! - zawołał ksiądz. - Wcale bym się nie zdziwił, gdyby hrabianka cię za to zniechęciła.

- Nie dam jej okazji - oświadczył Ian twardym tonem, który ostrzegł wuja, że lepiej się w to nie wtrącać. - Zatrudnię detektywa, żeby odnalazł Roberta, a kiedy już się dowiem, co się stało, wyznam Elizabeth prawdę.

Zdrowy rozsądek Duncana toczył walkę z sumieniem księdza. Tym razem sumienie przegrało.

- Chyba tak będzie najlepiej - przyznał niechętnie, zdając sobie sprawę, z jakim trudem przyszłoby dziewczynie wybaczenie łanowi kolejnej, jeszcze większej krzywdy. - Tę całą sytuację dałoby się znacznie łatwiej rozwiązać, gdybyś wcześniej się dowiedział, co się stało z hrabianką. Masz wielu znajomych w towarzystwie. Czemu nikt ci o niej nie wspomniał?

- Po pierwsze, po tym skandalu wyjechałem z Anglii prawie na rok. Po drugie - dodał pogardliwie - w tak zwanym wielkim świecie nigdy nie rozmawia się z osobą zainteresowaną o tym, co jej dotyczy. Rozmawia się z każdym innym, najchętniej za twoimi plecami.

Na twarzy Duncana zagościł dziwny uśmiech.

- Zapomnijmy o plotkowaniu. Uważasz ich za wyjątkowo dumnych, pewnych siebie autokratów, prawda?

- W większości tacy właśnie są - odparł krótko i ruszył na górę.

- Ianie - odezwał się ksiądz do pustego pokoju, a ramiona drżały mu od śmiechu - weźże sobie ten tytuł. Przecież i tak urodziłeś się arystokratą! - Po chwili jednak spoważniał i z zadowoleniem wznosił oczy ku sufitowi. - Dzięki Ci, Panie. Nie śpieszyłeś się z odpowiedzią na pierwszą modlitwę - powiedział, mając na myśli pojednanie Iana z dziadkiem - za to w sprawie Elizabeth okazałeś się cudownie szybki.

ROZDZIAŁ 18

Cztery dni później przed północą Ian Thornton dotarł wreszcie do zajazdu Pod Białym Rumakiem. Zostawiwszy konia stajennemu, wszedł do gospody i minął pierwszą salę wypełnioną wieśniakami, raczącymi się piwem. Gospodarz, grubas opasany brudnym fartuchem, popatrzył z aprobatą na doskonale skrojony grafitowy surdut podróżnego i na popielate bryczesy, na jego wyniosłą minę i dumną sylwetkę, po czym roztropnie postanowił, że nie będzie żądał z góry zapłaty za pokój - co czasem szlachta uznawała za obrazę.

Po chwili, kiedy przybyły zamówił do pokoju kolację, gospodarz pogratulował sobie przenikliwości umysłu, nowy gość spytał bowiem o pobliską posiadłość należącą do starego księcia.

- Daleko stąd do Stanhope Park?

- Jakąś godzinę jazdy, łaskawy panie.

Ian się zawahał. Lepiej zjawić się rano bez zapowiedzi czy najpierw pchnąć posłańca?

- Będę potrzebował chłopaka, aby rano pojechał tam z listem - powiedział wreszcie.

- Każę mojemu synowi, żeby osobiście się tym zajął. O której ma wyruszyć?

Thornton ponownie się zawahał. Zdawał sobie sprawę, że nie da się tego uniknąć.

- O dziesiątej.

Następnego ranka Ian stał samotnie w bawialni dla lepszych gości, nie zwracając uwagi na śniadanie, które już od dawna na niego czekało. Niecierpliwie spoglądał na zegarek. Posłaniec wyruszył przed trzema godzinami - czyli już prawie godzinę temu powinien wrócić z odpowiedzią. O ile książę udzieli odpowiedzi. Ian odłożył zegarek i podszedł do kominka zachmurzony, uderzając o udo rękawicami do jazdy konnej. Nie miał pojęcia, czy dziadek przebywa w Stanhope i czy już nie wyznaczył innego spadkobiercy, a teraz karze krnąbrnego wnuka za lata odpychania jego wyciągniętej ręki. Z każdą minutą upewniał się, że chodzi raczej o to drugie. W progu stanął właściciel zajazdu.

- Mój chłopiec jeszcze nie wrócił, a powinien już dawno się zjawić. Jeśli za godzinę nie przyjedzie, będę zmuszony zażądać od pana dopłaty, panie Thornton.

Ian spojrział na intruza przez ramię i nadludzkim wysiłkiem powstrzymał się, by nie urwać gospodarzowi głowy.

- Osiodłajcie i przyprowadźcie mojego konia - polecił krótko, sam nie wiedząc, co zamierza zrobić.

Wolałby publiczną chłostę od pisania tamtego krótkiego listu do dziadka. A teraz

jeszcze został potraktowany jak byle petent, co doprowadzało go do furii.

Za jego plecami grubas przyglądał mu się spod zmrużonych powiek. Zwykle, jeśli w zajeździe pojawiał się podróżny bez powozu i służby, właściciel żądał zapłaty z góry. Tym razem jednak odstąpił od swego zwyczaju, bo gość przemawiał władczy, ostrym tonem zamożnego dżentelmena i nosił szykowny strój, który wyszedł spod ręki doskonałego krawca. Teraz jednak, kiedy przybysz nie mógł się doczekać odpowiedzi ze Stanhope Park, gospodarz zmienił zdanie co do statusu nieznanego i postanowił zrobić, co w jego mocy, żeby ów pan Thornton nie wskoczył na konia i nie wyruszył w drogę, nie uregulowawszy rachunku.

Ian, który dopiero teraz zauważył, że grubas nadal sterczy w drzwiach, oderwał wzrok od zimnego paleniska.

- Tak, co znowu?

- Chodzi o pański rachunek. Mógłby go pan uregulować?

Jego chciwe oczka rozszerzyły się ze zdumienia na widok grubego zwitka banknotów, z którego gość wyszarpnął sumę, pokrywającą koszty noclegu.

Ian odczekał jeszcze pół godziny, po czym pogodził się z faktem, że dziadek nie odpowie. Wściekły, że zmarnował tyle bezcennego czasu, opuścił bawialnię i postanowił udać się do Londynu, żeby kupić zgodę stryja Elizabeth na ich małżeństwo. Wkładając rękawice, przeszedł przez salę dla zwykłych gości, nie dostrzegłszy nagłego poruszenia wśród wieśniaków, którzy siedzieli tam przy piwie. Dzierżawcy ze zdumieniem gapili się w milczeniu na drzwi. Gospodarz, który jeszcze przed chwilą traktował Iana jak oszusta, teraz stał parę kroków od wejścia i patrzył na niego z rozdziawionymi ustami.

- Jaśnie panie! - wykrzyknął, po czym - jakby nagle zaniemówił - szerokim gestem wskazał na drzwi.

Ian oderwał wzrok od ostatniego guzika przy rękawicy i spojrzał na karczmarza, który zgiął się wpół, a potem na drzwi, gdzie stało dwóch wyprężonych lokajów i stangret w złotozielonej książęcej liberii.

Nie zwracając uwagi na chłopów, stangret wystąpił się naprzód, nisko skłonił się przed łanem, po czym odchrząknął. Z namaszczeniem, dobitnie przekazał wiadomość od księcia, która nie pozostawiała cienia złudzeń, jak dziadek zareagował na nieoczekiwany list i wizytę Iana .

- Jego miłość książę Stanhope prosił, bym serdecznie przywitał markiza Kensingtona i przekazał, że jaśnie pan niecierpliwie oczekuje jego wizyty w Stanhope Park.

Poleciwszy stangretowi tytułować przybyłego markizem, książę publicznie powiadomił wnuka oraz wszystkich zebranych w gospodzie, że ów tytuł od tej pory należy się

- i będzie się należał - Ianowi. Takiego gestu młody człowiek nie spodziewał się nawet w najśmielszych snach. Równocześnie uświadomił sobie jeszcze dwie sprawy: po pierwsze, że dziadek nie ma mu za złe uparte odrzucenie propozycji zgody, a po drugie, że mimo choroby starzec zachował wystarczającą bystrość umysłu, by wyczuć, że zwycięstwo ma na wyciągnięcie ręki.

To rozdrażniło Iana. Skinął głową Stangretowi i ruszył do wyjścia. Wieśniacy gorliwie ściągali czapki przed człowiekiem, którego publicznie ogłoszono dziedzicem księcia. Pojazd, czekający przed zajazdem, dodatkowo potwierdzał pragnienie powitania wnuka w wielkim stylu. Zamiast zwykłego powozu, książkę wysłał karetkę, zaprzęzoną w zgrabną czwórkę koni w srebrnej uprzęży.

Ianowi przemknęło przez myśl, że ów gest księcia może świadczyć o pragnieniu powitania wnuka jak długo oczekiwanego, pożądanego gościa, ale nie zamierzał poświęcać temu wiele uwagi. Nie przybył tu, by się z kimkolwiek pojednać, tylko by przyjąć tytuł, należący się jego ojcu. Poza tym nie chciał mieć ze starcem nic wspólnego.

Mimo chłodu, z jakim Ian podchodził do całej sprawy, ogarnęło go dziwne uczucie, kiedy karoca minęła bramę i jechała aleją do pałacu, który ojciec aż do dwudziestego trzeciego roku życia, kiedy to poślubił matkę Iana, nazywał swoim domem. Budziło to nieoczekiwaną nostalgię, a zarazem pogłębiało nienawiść młodego człowieka do tyrana, który z zimną krwią wydziedziczył własnego syna i pozbawił go rodzinnego domu. Krytycznie przyglądał się starannie utrzymanemu parkowi i obszernej rezydencji z licznymi kominami. Większość gości uznałaby Stanhope Park za imponującą posiadłość, lecz Ian dostrzegał w nim tylko stary pałac, który zapewne wymaga natychmiastowej modernizacji i którego nie darzył nawet częścią tego uczucia, jakie żywił do swego najmniej cenionego majątku.

Stangret zatrzymał się przy schodach i nim Ian zdążył wysiąść, stary, chudy lokaj w obowiązkowej czerni już otworzył drzwi. Ojciec Iana rzadko opowiadał o swoim ojcu, ale często wspominał ulubionych służących. Thornton ruszył do drzwi, spojrzawszy na lokaja i wiedząc, że to musi być Ormsley. To właśnie Ormsley przyłapał ojca Iana, kiedy w wieku dziesięciu lat potajemnie raczył się w stodole najlepszym koniakiem księcia. Ten sam Ormsley wziął na siebie winę za brak trunku - oraz drogocennej karafki - oświadczając, że sam go wypił i w stanie upojenia alkoholowego stłukł karafkę.

W tym momencie służący wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać. Mokrymi od łez, wyblakłymi niebieskimi oczami z miłością wodził po twarzy przybyłego.

- Dzień dobry, jaśnie panie - oświadczył formalnie, ale jego radosna mina wyraźnie mówiła, że najchętniej pochwyciłby gościa w ramiona. - I... jeśli wolno mi powiedzieć... -

Umilkł wzruszony i odchrząknął. - I, jeśli wolno mi powiedzieć, to dla nas wielka radość widzieć jaśnie pana tutaj, w... - Urwał i poczerwieniał.

Ian na chwilę zapomniał o gniewie na dziadka.

- Dzień dobry, Ormsley. - Uśmiechnął się na widok błędnego uśmiechu, który zagościł na pomarszczonej twarzy lokaja, gdy ten usłyszał swoje imię. Czując, że staruszek zamierza ponownie mu się uklonić, Ian wyciągnął rękę, by ucisnąć dłoń wiernego sługi. - Mam nadzieję - zażartował łagodnie - że nauczyłeś się już panować nad złą słabością do francuskiego koniaku.

Stare oczy rozbłysły radością na ten kolejny dowód, że ojciec Iana opowiadał o nim synowi.

- Witamy w domu. Witamy w domu, jaśnie panie. Nareszcie - powiedział drżącym głosem Ormsley, ściskając rękę Iana .

- Zatrzymam się tylko na parę godzin - odparł ten spokojnie.

Wyraźnie rozczarowany lokaj rozluźnił uścisk. Po chwili jednak zapanował nad sobą i poprowadził gościa obszernym holem z dębową boazerią. Ian dostrzegł prawdziwą armię służących i pokojówek, z pozoru całkowicie pochłoniętych pucowaniem luster, schodów i podłóg. Kiedy ich mijał, wielu bacznie mu się przyglądało, po czym odwracali się i wymieniali między sobą szybkie, radosne uśmiechy. Skupiony na nieuchronnej konfrontacji z dziadkiem, Ian nie zwracał uwagi na czujne albo zdumione spojrzenia, jakie towarzyszyły jego przejściu, ale dostrzegł, że niektórzy ze służących pośpiesznie osuszają oczy albo wycierają nosy.

Ormsley prowadził go do podwójnych drzwi na końcu długiego korytarza. Ian zmuszał się do zachowania spokoju, zbierając siły na pierwsze spotkanie z dziadkiem. Jeszcze jako chłopiec nie pozwalał sobie na słabość i myślenie o starym księciu, a w tych nielicznych chwilach, gdy wyobrażał sobie dziadka, nadawał mu rysy ojca - niewysokiego, ciemnego blondyna o brązowych oczach. Ormsley uroczyście otworzył drzwi gabinetu, a młody człowiek wszedł do środka i zbliżył się do fotela, z którego dźwignął się starzec, podpierający się na lasce. Kiedy wreszcie się wyprostował i spojrzał gościowi prosto w oczy, ten przeżył szok. Książę nie tylko dorównywał wnukowi posturą, choć Ian miał ponad metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ale - ku swemu niewyraźnemu obrzydzeniu - Thornton przekonał się, że jest uderzająco podobny do dziadka i nie odziedziczył po ojcu niemal żadnej cechy zewnętrznej. Odnosił niesamowite, nieco upiorne wrażenie, że spogląda na siebie, posiwiątego i parędziesiąt lat starszego.

Książę również bacznie mu się przyglądał i widocznie doszedł do tego samego

wniosku, tyle że zareagował zupełnie inaczej. Uśmiechnął się, wyczuwając furię wnuka, który dopiero teraz odkrył ich uderzające podobieństwo.

- Nie wiedziałeś? - spytał dźwięcznym barytonem, niezwykle przypominającym głos Iana .

- Nie - odparł krótko przybyły. - Nie wiedziałem.

- Czyli mam nad tobą przewagę.

Oparł się na lasce i podobnie jak lokaj przyglądał się młodemu mężczyźnie oczami wilgotnymi od łez.

- Bo ja wiedziałem.

Ian zignorował mgłę, która pokryła bursztynowe oczy starca.

- Nie zagoszczę tu długo, przejdę od razu do rzeczy - zaczął, lecz dziadek wyciągnął długą, arystokratyczną dłoń.

- Proszę, Ianie - powiedział, wskazując mu drugi fotel - nie pozbawiaj mnie, starca, przyjemności i radości powitania w naszym rodzinnym domu marnotrawnego wnuka.

- Nie przybyłem tu, by goić stare rany - uciał Ian. - Gdyby to zależało ode mnie, nie przekroczyłbym tych progów.

Dziadek zeszywniał, słysząc jego słowa, ale nadal mówił spokojnie, wyważonym tonem.

- Domyślam się, że przyjechałeś wziąć to, co ci się słusznie należy... - zaczął, lecz przerwał mu dźwięczny głos kobiety.

Ian gwałtownie odwrócił się do kanapy, gdzie siedziały dwie kruche starsze damy, niemal tonąc w miękkich poduszkach.

- Doprawdy, Stanhope - oświadczyła jedna z nich zaskakująco mocnym głosem - jak możesz oczekiwać od tego chłopca właściwego zachowania, kiedy sam zapominasz o dobrych manierach. Nie zaproponowałeś mu posiłku ani nie raczyłeś nas przedstawić. - Popatrzyła na Iana z lekkim uśmiechem. - Jestem twoją cioteczną babką Hortensją - oznajmiła z królewskim skinieniem głowy. - Poznaliśmy się w Londynie parę lat temu, ale najwyraźniej mnie nie poznajesz.

Ian spotkał cioteczne babki tylko raz, zupełnie przypadkowo, i nie darzył ich ani sympatią, ani wrogością. Uprzejmie skłonił się Hortensji, która ruchem głowy wskazała swoją siwą towarzyszkę, która zdawała się drzemać.

- To zaś, o ile sobie przypominasz, jest moja siostra Charity, twoja druga cioteczna babka, która jak zwykle przysnęła. To wina jej wieku, rozumiesz.

Siwa głowa nagle się poderwała, błękitne oczy otworzyły się i siostra popatrzyła na

Hortensję z urazą.

- Jestem od ciebie starsza zaledwie o cztery lata, Hortensjo, i bardzo nieładnie z twojej strony, że mi to publicznie wypominasz - powiedziała Charity urażona, po czym zauważyła Iana i jej twarz rozjaśnił błogi uśmiech. - Ianie, drogi chłopcze, pamiętasz mnie?

- Naturalnie... - zaczął kurtuazyjnie, lecz cioteczna babka nie pozwoliła mu skończyć i z triumfem popatrzyła na siostrę.

- Widzisz, Hortensjo, zapamiętał mnie, a to dlatego, że choć jestem od ciebie nieco starsza, przez ten czas nie posunęłam się tak w latach jak ty! Prawda, chłopcze? - spytała, spoglądając na niego z nadzieją.

- Jeśli mogę coś ci poradzić - wtrącił sucho dziadek - nie odpowiadaj na to pytanie. Drogie panie - zmierzył siostry surowym wzrokiem - Ian i ja musimy wiele sobie wyjaśnić. Obiecałem, że będziecie mogły się z nim spotkać, gdy tylko przybędzie, ale teraz muszę nalegać, byście nas zostawiły i pozwoliły załatwić pewne sprawy. Spotkamy się później, na podwieczorku.

Ian postanowił oszczędzić księżęcej rodzinie rozczarowania, więc nie powiedział, że nie zagości tu tak długo, tylko czekał, aż damy się podniosą. Hortensja wyciągnęła rękę do pocałunku i posłusznie ją ucałował. Zamierzał tak samo pożegnać się z drugą ciotką, ale Charity podsunęła mu policzek, toteż musnął go ustami zamiast dłoni.

Po wyjściu kobiet znikło chwilowe odprężenie i powróciło napięcie. Mężczyźni mierzyli się wzrokiem - dwóch zupełnie obcych sobie ludzi, których nie łączyło nic z wyjątkiem uderzającego podobieństwa i krwi, płynącej w ich żyłach. Księżę stał nieruchomo, wyprostowany jak struna, uosobienie arystokraty, ale w jego oczach malowała się serdeczność. Ian niecierpliwie uderzał rękawicami o udo. Na jego twarzy malował się chłód i upór. Dwie żelazne wole starły się ze sobą, dziadek i wnuk toczyli pojedynek, który pierwszy ulegnie i złamie milczenie. Pierwszy poddał się księżę. Lekkim skinieniem głowy uznał zwycięstwo Iana i wreszcie przerwał ciszę.

- Ta okazja wymaga uczczenia szampanem - oświadczył, sięgając pod dzwonek, ale znieruchomiał, słysząc cyniczną odpowiedź wnuka.

- Chyba przydałoby się raczej coś mocniejszego.

W ten sposób Ian dał do zrozumienia, że uważa obecną chwilę za ponurą, a nie radosną, co dziadek natychmiast zrozumiał. Przechylił głowę i ponownie uśmiechnął się z wyższością. Pociągnął za taśmę dzwonka.

- Szkocka, prawda?

Zaskoczenie, że starzec doskonale zna jego upodobania, ustąpiło miejscu zdumieniu,

kiedy do pokoju natychmiast wkroczył Ormsley z karafką szkockiej whisky i butelką szampana oraz kieliszkami i szklanką. Lokaj był albo jasnowidzem, albo tacę przygotowano jeszcze przed przybyciem gościa.

Sługa przelotnie uśmiechnął się do Iana, po czym zniknął, zamykając drzwi.

- Sądziysz, że możemy usiąść - spytał lekko księżę - czy teraz przekonamy się, kto będzie dłużej stał?

- Zamierzam jak najszybciej zakończyć tę ciężką próbę - odparł lodowatym tonem młody człowiek.

Zamiast poczuć się dotknięty - do czego dążył Ian - Edward Avery Thornton popatrzył na wnuka i serce przepełniła mu duma, że ten dynamiczny, silny mężczyzna nosi jego nazwisko. Przez ponad dziesięć lat Ian odrzucał jeden z najznakomitszych tytułów w Anglii, a choć u kogoś innego mogłoby to wzbudzić wściekłość, stary księżę dostrzegał w postępowaniu wnuka tę samą stanowczą wyniosłość oraz nieugiętą wolę, jaka charakteryzowała wszystkich Thorn - tonów. W tym momencie jednak owa nieugięta wola zderzyła się z jego, a Edward był gotów niemal na każde ustępstwo, byle zdobyć to, czego pragnął najgoręcej w życiu: swojego wnuka. Chciał przynajmniej jego szacunku, jeśli nie zdoła zaskarbić sobie miłości. Marzył, by w sercu Iana zapłonął choćby cień uczucia. I szukał rozgrzeszenia. Więcej: potrzebował go. Musiał otrzymać rozgrzeszenie za największy błąd życia, jaki popełnił trzydzieści dwa lata temu i za to, że zbyt długo zwlekał z przyznaniem się do winy. Dlatego księżę zniósłby wszystko ze strony Iana - z wyjątkiem szybkiego wyjazdu. Jeśli nie zdobędzie niczego - ani uczucia, ani szacunku, ani przebaczenia - to niech przynajmniej otrzyma jego czas. Niewiele. Wystarczy mu dzień albo dwa, może nawet kilka godzin, które potem będzie wspominał, by ogrzewały jego serce w tych strasznych chwilach przed nieuchronną śmiercią. Grając na zwłokę, księżę oświadczył:

- Sądzę, że w ciągu tygodnia uda mi się sporządzić stosowne dokumenty.

Ian odstawił whisky.

- Dzisiaj - odparł zimno i dobitnie.

- Pewnych procedur prawnych nie da się przeprowadzić tak szybko.

Ian, który przy prowadzeniu interesów na co dzień stykał się z procedurami prawnymi, tylko uniósł brwi.

- Dzisiaj - powtórzył lodowatym tonem.

Edward zawahał się, westchnął i skinął głową.

- Mój prawnik może zająć się sporządzeniem wymaganych dokumentów, gdy będziemy rozmawiali. Ale to naprawdę skomplikowana i czasochłonna procedura i potrwa co

najmniej parę dni. Trzeba pamiętać o należnych ci posiadłościach...

- Nie chcę posiadłości - odrzekł pogardliwie Ian. - Ani pieniędzy, jeśli takowe są. Przyjmę ten diabelny tytuł, żeby już mieć to za sobą i na tym koniec.

- Ale...

- Twojemu prawnikowi powinien wystarczyć kwadrans na sporządzenie prostego dokumentu, w którym oficjalnie ogłosisz mnie swoim następcą. Śpieszę się do Brinshire, a następnie do Londynu. Wyjadę natychmiast po podpisaniu papierów.

- Ianie... - zaczął książę, lecz nie zamierzał błagać, zwłaszcza gdy widział, że to bezcelowe.

Duma i niezłomność, siła charakteru i upór, które potwierdzały, że ten młody mężczyzna jest jego wnukiem, teraz działały na niekorzyść Edwarda. Za późno na budowanie więzi. Zaskoczony, że Ian chce przyjąć tytuł, ale bez majątku, książę sztywno dźwignął się z fotela i wyszedł, by polecić prawnikowi sporządzenie dokumentów. Nakazał też przepisanie na wnuka należnych mu posiadłości wraz z ich znacznymi dochodami. W końcu był Thorntonem, miał swoją dumę. Szczęście co prawda go opuściło, ale nie honor. Ian wyjedzie za godzinę, lecz opuści Stanhope Park jako posiadacz bogactwa i majątków, które słusznie mu się należały. Po powrocie zastał wnuka przy oknie.

- Wszystko załatwione - oświadczył książę, siadając w fotelu.

Ian się odprężył. Wreszcie załatwił tę odrażającą sprawę. Skinął głową, dolał sobie whisky i usiadł naprzeciwko dziadka.

- O ile mi wiadomo, należą ci się powinszowania - odezwał się książę tonem towarzyskiej konwersacji po dłuższej chwili nabrzmiałej ciszy.

Młody człowiek drgnął. Jego zaręczyn z Christiną, które właśnie zamierzał zerwać, nie podano jeszcze do publicznej wiadomości.

- Christiną Taylor to czarująca panna. Znałem jej dziadka i wujów, no i oczywiście ojca, hrabiego Melbourne. Możesz być dumny z takiej żony.

- Wątpię, zwłaszcza że w Anglii bigamię uważa się za przestępstwo.

Zaskoczony, że najwyraźniej posiada błędne informacje, Edward wypił łyk szampana.

- Mogę więc spytać, kim jest twoja szczęśliwa wybranka?

Ian już otwierał usta, by kazać mu się wynosić do diabła, ale zaniepokoił go ruch, jakim dziadek odstawiał kieliszek. Patrzył, jak starszy mężczyzna dźwiga się z fotela.

- Nie powinienem pić alkoholu - wyjaśnił przeprasząco książę. - Chyba powinienem odpocząć. Bądź tak dobry i wezwij Ormsleya - ciągnął chrapliwym głosem. - Będzie wiedział, co robić.

Oszołomiony wnuk spełnił polecenie. Po chwili sługa zaprowadził dziadka na górę i wezwano lekarza. Ian czekał w salonie, usiłując nie dopuścić do siebie dręczącej myśli, że przyjechał w ostatniej chwili, by stać się świadkiem śmierci dziadka. Kiedy jednak lekarz zszedł na dół, wyglądał na spokojnego.

- Wielokrotnie przestrzegałem księcia przed piciem alkoholu - oświadczył. - To mu szkodzi na serce. Teraz niech odpoczywa. Może pan do niego zajrzeć za jakąś godzinę, dwie.

Ian nie chciał się przejmować zdrowiem dziadka. Powtarzał sobie, że księżę wyglądał, jakby nic mu nie dolegało, a mimo to spytał ostro:

- Ile życia mu zostało? Lekarz rozłożył ręce.

- Kto to wie? Tydzień, miesiąc, może rok, albo i dłużej. Jego wysokość ma słabe serce, ale również ogromną wolę życia. Teraz nawet silniejszą niż dawniej - ciągnął, wkładając pelerynę, którą podał mu Ormsley.

- Jak to: „silniejszą niż dawniej”?

Lekarz uśmiechnął się zaskoczony.

- To oczywiście. Pański przyjazd wiele dla księcia znaczył, milordzie. Zdumiewająco na niego podziałał. Właściwie, zdumiewająco to nieodpowiednie słowo. Powiedziałbym, że miał wręcz cudowne działanie. Zwykle kiedy jego wysokość zachoruje, złości się na mnie. Dziś natomiastomal mnie nie uścisnął i koniecznie musiał się ze mną podzielić nowiną, że pan przyjechał i dlaczego. Polecił mi nawet, żebym się panu przyjrzał - ciągnął konfidencyjnym tonem starego przyjaciela rodziny - choć oczywiście nie miałem się do tego przyznawać.

Uważa pana za „diabelnie przystojnego” - dodał z uśmiechem.

Ian nie zamierzał w żaden sposób reagować na tę zaskakującą informację.

- Do widzenia, milordzie - pożegnał się lekarz. - Szanowne panie...

Uchylił kapelusza siostrze księcia, które niespokojnie kręciły się w holu, i wyszedł.

- Zajrzę do niego - powiedziała Hortensja i ruszyła na górę, ale ze schodów surowo, groźnym tonem upomniała Charity: - Tylko nie męcz Iana swoją gadaniną. I nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

Przez następne pół godziny krążył po pokoju, a cioteczna babka obserwowała go z ciekawością. Tylko jednego nie miał pod dostatkiem - czasu, a ten niemiłosiernie uciekał. Jeśli dalej tak pójdzie, dotrze do Londynu akurat na czas pierwszego porodu Elizabeth. A przed spotkaniem z Julusem Cameronem i oświadczyniami Iana czekała jeszcze nieprzyjemna rozmowa z ojcem Christiny.

- Chyba nie zamierzasz wyjechać już dzisiaj, drogi chłopcze? - nieoczekiwanie pisnęła

Charity.

Ian skłonił się, tłumiąc westchnienie irytacji.

- Niestety, muszę.

- Pęknie mu serce.

Ianomalże nie odpowiedział, że wątpi, by stary ksiązę w ogóle posiadał serce, a zatem nie ma co mu pękać.

- Przeżyje - odparł krótko.

Staruszka przyglądała mu się z takim napięciem, aż młody człowiek zaczął się obawiać, że Charity jest niespełna rozumu albo może próbuje czytać w jego myślach. Niespełna rozumu, uznał, gdy nagle się poderwała i nalegając, by obejrzał rysunek pawi, sporządzony w dzieciństwie przez jego ojca.

- Może innym razem - wykręcał się grzecznie.

- Uważam - upierała się cioteczna babka, przechylając głowę na bok ptasim ruchem - że jednak powinienes zrobić to teraz.

Przeklinając w duchu Charity, Ian zamierzał odmówić, ale w końcu zmienił zdanie i ustąpił. Może dzięki temu czas szybciej upłynie. Zaprowadziła go do pokoju, który wyglądał na gabinet dziadka. Tam zamyśliła się, przykładając palec do ust.

- Zaraz... gdzie był ten rysunek? - zastanawiała się z niewinną miną, rozglądając się po pokoju. - A tak - rozpromieniła się - przypomniałam sobie. - Podreptała do biurka i wsunęła rękę pod szufladę, widocznie szukając jakiegoś ukrytego zamka. - Na pewno będziesz zachwycony. Gdzie może być te zamek? - ciągnęła tym samym tonem rozkojarzonej staruszki. - Mam! - zawołała, kiedy otworzyła się lewa szuflada. - Znajdziesz go tutaj. Poszperaj w papierach, a z pewnością na niego trafisz.

Nie zamierzał grzebać w cudzych rzeczach, lecz Charity najwyraźniej nie miała najmniejszych oporów. Wsunęła ręce do szuflady, wyciągnęła gruby plik i rzuciła go na biurko.

- Zaraz, którego to ja szukałam? - zastanawiała się, przekładając kartki. - Niestety, to już nie te oczy. Widzisz tam może ptaka, drogi Ianie?

Ian oderwał wzrok od zegara, spojrział na blat biurka i znieruchomiał. Przed nim leżały jego niezliczone portrety. Dokładny, szczegółowy wizerunek Iana na dziobie swojego pierwszego statku... Ian przechodzący obok wiejskiego kościółka w Szkocji, a w tle roześmiane dziewczęta ze wsi... Ian, poważny sześciolatek, na grzbiecie kuca... Ian w wieku siedmiu, ośmiu, dziewięciu i dziesięciu lat... A oprócz rysunków tuziny długich raportów. Niektóre aktualne, inne jeszcze z jego młodzieńczych lat.

- Znalazłeś ten szkic z pawiami, drogi chłopcze? - dopytywała się niewinnie Charity, nie patrząc na kartki, ale na jego twarz.

Dostrzegła zaciśnięte szczęki i pulsującą żyłkę na szyi Iana. - Nie.

- Czyli rysunki muszą być w sali lekcyjnej! Oczywiście - rzekła pogodnie - naturalnie, że tam są. Cała ja, jakby powiedziała Hortensja. Głuptas i wieczna trzpiotka.

Ian oderwał wzrok od dowodów, że dziadek niemal od dnia narodzin śledził jego losy - a na pewno od chwili, gdy chłopiec potrafił na własnych nogach opuścić dom i zagrodę - i spojrzał na ciotkę.

- Hortensja nie jest szczególnie bystra. Ja nazwałbym cię raczej chytrą lisiczką.

Uśmiechnęła się do niego porozumiewawczo i położyła palec na ustach.

- Tylko nic jej nie mów. Tak się cieszy, że jest ode mnie mądrzejsza.

- Jakim cudem zdobył te rysunki? - spytał Ian, gdy staruszka szykowała się do wyjścia.

- Wykonywała je jakaś kobieta z wioski. Potem, kiedy wiedział, że będziesz w pewnym miejscu o określonej porze, zatrudniał prawdziwego rysownika. Zostawię cię tutaj w ciszy i spokoju.

Ian wiedział, że opuszcza go, by mógł przejrzeć papiery leżące na biurku. Długo się wahał, w końcu usiadł w fotelu i przeglądał poufne raporty na swój temat. Wszystkie je sporządził niejaki pan Edgard Norwich. Gdy Ian przeglądał kolejne kartki, jego gniew na dziadka za oburzające naruszenie prywatności zastępowała wesołość. Po pierwsze niemal każdy list zaczynał się od zdań, które świadczyły, że zleceniodawca karmił detektywa za zbyt mało szczegółowe relacje.

Raport na samym wierzchu zawierał przeprosiny:

Wasza Wysokość daruje moją nieumyślną niedbałość, z której winy zapomniałem nadmienić, że pan Thornton rzeczywiście od czasu do czasu chętnie sięga po cygaro...

Drugi zaś donosił:

Nie przypuszczałem, że Wasza Wysokość zapragnie wiedzieć, jaki miał czas zwycięski wierzchowiec, sądziłem, że wystarczy sama informacja o jego zwycięstwie.

Z podniszczonych kartek wyraźnie było widać, że setki raportów czytano wielokrotnie, a ze wzmianek detektywa jasno wynikało, iż książkę dzielił się z nim swoją dumą z wnuka.

Wasza Wysokość zapewne z przyjemnością odnotuje, że - zgodnie z Jego przewidywaniami - młody panicz Ian rośnie na zawołanego jeźdźca...

Zgadzam się z Panem - a opinię tę podziela również wiele innych osób - że pan

Thornton niewątpliwie jest geniuszem...

Zapewniam Waszą Księżęcą Wysokość, że nie ma powodów do niepokoju. W pojedynku odniósł jedynie powierzchowną ranę ramienia...

Ian przerzucał kartki, nie zdając sobie sprawy, że mur, jaki wznosił między sobą na dziadkiem, powoli zaczyna pękać.

Wasza Wysokość - pisał zdesperowany detektyw, kiedy Ian miał jedenaście lat - polecenie, bym znalazł lekarza, który potajemnie zbadałby chore gardło młodego panicza Iana, przekracza wszelkie moje możliwości. Nawet gdyby udało mi się podstawić medyka, podającego się za zabłąkanego podróżnego, nie pojmuję, jakim cudem mógłby zajrzeć chłopcu do gardła, nie budząc przy tym podejrzeń!

Minuty zmieniły się w godzinę, a młody człowiek z coraz większym niedowierzaniem śledził historię swojego życia, od sukcesów po rozmaite grzeszki. Regularnie pojawiały się wzmianki o jego karcianych zwycięstwach i przegranych. Informator opisywał każdy kolejny statek z floty Thorntona, oddzielnie dołączając rysunki. Szczegółowo, z detalami pisał o sukcesach finansowych młodzieńca.

Ian wolno otworzył szufladę i włożył do niej raporty. Wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. W drodze do salonu zatrzymał go Ormsley, który przekazał, że księżę pragnie z nim się widzieć.

Dziadek siedział w fotelu przy kominku, przebrany w bonżurkę, i wyglądał zaskakująco rześko.

- Widzę, iż... - Ian urwał, rozdrażniony, że nagle poczuł ulgę - ...odzyskałeś siły - skończył krótko.

- Od dawna nie czułem się równie świetnie - odparł księżę.

Ian nie był pewien, czy faktycznie tak jest, czy to tylko kolejny przejaw żelaznej woli, o której wspominał lekarz.

- Dokumenty są już gotowe - ciągnął Edward. - Już je podpisałem. I... pozwoliłem sobie zamówić tu posiłek, w nadziei, że zjesz go ze mną przed wyjazdem. Gdzieś i tak musiałbyś się posilić.

Młody człowiek zawahał się, a w końcu skinął głową. Dziadek wyraźnie się odprężył.

- Doskonale! - Rozpromienił się i podał Ianowi dokumenty oraz pióro. Z satysfakcją patrzył, jak ten podpisuje papiery bez czytania, a zatem nieświadomie przyjmuje nie tylko tytuł ojca, lecz również jego dziedzictwo. - Na czym stanęliśmy, kiedy musieliśmy przerwać rozmowę na dole? - spytał, gdy wnuk oddał mu papiery.

Ian myślami był jeszcze przy gromadzonych latami przez dziadka materiałach, tak

dokładnie opowiadających o każdej strefie jego życia, dlatego też popatrzył na księcia nieprzytomnym wzrokiem.

- A, tak - przypomniał sobie starzec, gdy wnuk usiadł naprzeciwko niego - rozmawialiśmy o twojej przyszłej żonie. Kim jest owa szczęśliwa wybranka?

Ian odchylił się do tyłu w fotelu i spoglądał na starca w pełnym namyśle milczeniu, lekko unosząc brew.

- Nie wiesz? - spytał sucho. - Ja wiem już od całych pięciu dni.

Czyżby pan Norwich się opuszczał?

Dziadek znieruchomiał, a potem nagle ramiona mu opadły.

- Charity - powiedział cicho. Z ciężkim westchnieniem spojrzał wnukowi w oczy. W jego wzroku malowała się duma i błaganie. - Gniewasz się?

- Sam nie wiem. Starzec odwrócił głowę.

- Wiesz, jak trudno powiedzieć „przepraszam”?

- To nie mów tego - odparł krótko Ian.

Dziadek odetchnął głęboko i skinął głową, przyjmując tę odpowiedź.

- A możemy chociaż porozmawiać? Choćby przez chwilę.

- O czym chcesz rozmawiać?

- Na przykład o twojej przyszłej żonie - odrzekł serdecznie. - Co to za dziewczyna?

- Elizabeth Cameron.

- Naprawdę? - zdziwił się książę. - Sądziłem, że już dwa lata temu uporałeś się z tą niemiłą sprawą?

Ta obcesowość omal nie wywołała na twarzy wnuka ponurego uśmiechu.

- Natychmiast wyślę jej gratulacje - oświadczył Stanhope.

- Będą zdecydowanie przedwczesne - uciął Ian.

Jednak po godzinie, kiedy koniak rozwiązał mu język, a zmęczenie i nieustanne, bystre pytania dziadka za bardzo dały mu się we znaki, wyjaśnił niechętnie, jak wygląda sytuacja ze stryjem hrabianki. Z nieprzyjemnym zaskoczeniem stwierdził, że nie musi powtarzać obrzydliwych plotek na temat Elizabeth ani tłumaczyć, że jej reputacja legła w gruzach. Stary książę zdawał sobie z tego sprawę, a zatem również cały wielki świat - było właśnie tak, jak mówiła Lucinda Throckmorton - Jones.

- Jeśli sądzisz - tłumaczył Ianowi - że towarzystwo jej wybaczy, o wszystkim zapomni i przyjmie ją do swego grona tylko dlatego, że teraz postanowiłeś z nią się ożenić, to jesteś w błędzie, wierz mi.

Pominą twój udział w tamtej niesmacznej historii, jak to już zresztą uczynili, ponieważ

jesteś mężczyzną, a do tego bogatym. I nie zapominajmy, że od tej pory nosisz również tytuł markiza Kensington. Kiedy ożenisz się z hrabianką Cameron, owszem, będą zmuszeni ją tolerować, ponieważ nie mają innego wyjścia, ale przy pierwszej nadarzającej się okazji zaczną jej robić afronty. Arystokracja przyjmie Elizabeth na powrót do swego grona dopiero pod warunkiem, że osoby o niepodważalnej reputacji i olbrzymich wpływach ją zaakceptują. Inaczej będzie traktowana jak wyrzutek.

Ian najchętniej kazałby bez cienia żalu całemu wielkiemu światu się wypchać, ale Elizabeth przeżyła prawdziwe piekło i chciał jej to w jakiś sposób wynagrodzić. Właśnie się zastanawiał, jak to uczynić, gdy jego dziadek oświadczył:

- Pojadę do Londynu i będę obecny przy ogłoszeniu waszych zaręczyn.
- Nie - odparł gniewnie jego wnuk, zaciskając zęby.

Nie zamierzał pozwolić, by ten starzec wszedł w jego życie i odgrywał sprzymierzeńca, ani nie chciał przyjmować od niego jakiegokolwiek pomocy.

- Zdaję sobie sprawę - podjął spokojnie dziadek - czemu tak stanowczo odrzuciłeś moją propozycję. Ale nie chcę uczynić tego tylko z myślą o sobie. Kierowały mną jeszcze dwie pobudki. Po pierwsze, moja akceptacja hrabianki Cameron jako twojej narzeczonej znacznie podbuduje jej pozycję w towarzystwie. Tylko ja mogę wpłynąć na zmianę opinii o Elizabeth. Po drugie zaś - ciągnął książkę, kując żelazo póki gorące - dopóki wielki świat nie zobaczy nas obu razem, w pełnej harmonii, nie znikną pogłoski o twoim wątpliwym pochodzeniu i naszych kłótniach. Innymi słowy, możesz oficjalnie podawać się za mojego dziedzica, ale dopóki ludzie na własne oczy nie zobaczą, że rzeczywiście za takiego cię uznają, nie uwierzą ani twoim zapewnieniom, ani komunikatom w prasie. Jeśli chcesz, by hrabiance Elizabeth okazywano szacunek należny markizie Kensington, arystokracja musi najpierw zaakceptować ciebie jako prawowitego spadkobiercę tego tytułu. Te dwie sprawy są nierozdzielnie związane. I trzeba to robić powoli - podkreślił. - Krok po kroku. Jeśli tak to rozegramy, nikt nie odważy się wystąpić przeciwko mnie albo tobie, a w końcu wszyscy zostaną zmuszeni do zaakceptowania hrabianki Cameron i plotki ucichną.

Ian milczał. W jego sercu i myślach toczyły walkę niezliczone uczucia.

- Zastanowię się - odrzekł krótko.

- Rozumiem - odpowiedział cicho książkę. - A w razie gdybyś jednak postanowił skorzystać z mojej pomocy, jutro rano wyruszę do Londynu i zatrzymam się w mojej miejskiej rezydencji.

Ian wstał, by się pożegnać. Dziadek również się podniósł. Starzec niepewnie wyciągnął dłoń, a młody człowiek ujął ją po chwili wahania. Uścisk ręki księcia był

zaskakująco silny. Długo nie wypuszczał wnuka.

- Ianie - odezwał się nagle żarliwie - gdybym mógł cofnąć to, co /robiłem przed trzydziestu dwoma laty, zrobiłbym to, przysięgam.

- Nie wątpię - odparł niezobowiązująco jego wnuk.

- Czy sądzisz, że kiedyś zdołasz mi to wreszcie wybaczyć?

- Nie wiem - brzmiała szczerza odpowiedź. Edward skinął głową i cofnął rękę.

- Za tydzień będę w Londynie. Kiedy ty zamierzasz tam się zjawić?

- Zależy, jak długo potrwa załatwienie spraw z ojcem Christiny, stryjem hrabianki Cameron i wyjaśnienie wszystkiego Elizabeth.

Ale przypuszczam, że do piętnastego powinienem już przyjechać.

ROZDZIAŁ 19

Elizabeth wstała wolno, zacisnęła ręce w pięści i patrzyła na Aleksandrę Townsende. Stały w bogato urządzonej londyńskiej salonie młodej księżnej.

- Alekso, toż to szaleństwo - wybuchnęła, nie potrafiąc się pogodzić z losem. - Stryj dał mi czas do dwudziestego czwartego, a już jest piętnasty! Jak możesz ode mnie żądać, bym pojawiła się dziś na balu, kiedy moje życie legło w gruzach, a my nie znalazłyśmy żadnego wyjścia!

- Może właśnie to będzie owym wyjściem - tłumaczyła Aleksa. - Tylko takie przyszło mi do głowy.

Hrabianka przestała krążyć po salonie, wzniosła oczy ku niebu i pokręciła głową, gestem świadczącym, że jej zdaniem przyjaciółka całkiem postradała rozum. Elizabeth pędziła co koń wyskoczy ze Szkocji do Anglii, w nadziei że zdoła przekonać stryja, tymczasem on powitał ją radosną nowiną, że otrzymał od lorda Marchmana coś na kształt oświadczenia.

- Wolę poczekać na deklarację Marchmana. Jest bardziej utytułowany i bogatszy, zatem nie muszę się obawiać, że roztrwoni mój majątek. Napisałem, żeby podjął decyzję do dwudziestego czwartego.

Elizabeth zachowała przytomność umysłu i korzystając z dobrego humoru Juliusa, przekonała go, by pozwolił jej na wyjazd do Londynu. Świadomość, że już wkrótce będzie mógł jej się pozbyć, sprawiła, że stryj okazał nietypową dla niego wielkoduszność.

- Doskonale. Dziś mamy dziesiątego. Możesz tam zostać do dwudziestego czwartego. Zawiadomię cię, jeśli Marchman się oświadczy.

- Chę... chętnie poprosiłabym Aleksandrę Townsende o pomoc w przygotowaniach do ślubu - skłamała na oczekaniu Elizabeth, licząc, że razem wymyślą jakiś sposób, dzięki któremu nie będzie musiała wyjść za żadnego z kandydatów. - Przyjechała do Londynu na sezon, zatrzymałabym się u niej.

- Jeśli weźmiesz własną służbę, pozwolę ci skorzystać z mojej miejskiej rezydencji - łaskawie zaproponował stryj. - Gdyby Belhaven zamierzał nadal się ubiegać o twoje względy, będzie mógł cię tam odwiedzić. Możesz nawet przy okazji zamówić suknię ślubną. Nic ekstrawaganckiego - dodał śpiesznie. - Nie ma sensu urządzać hucznego weseliska w stolicy, skoro wystarczy skromna uroczystość na miejscu, w Havenhurst. Właściwie, jeśli się zastanowić, to nie potrzebujesz kupować ślubnego stroju, jest przecież suknia twojej matki.

Elizabeth nawet nie próbowała mu tłumaczyć, że matka brała uroczysty ślub w kościele świętego Jakuba, a jej wspiana suknia z pięciometrowym trenem wyszywana perłami będzie wyglądała dziwnie na skromnej ceremonii w Havenhurst. Na razie zresztą wierzyła jeszcze, że jakimś cudem w ogóle uda jej się uniknąć małżeństwa i za bardzo jej zależało na ucieczce do Londynu, by wdawać się w dyskusje ze stryjem. Teraz, po pięciu dniach spędzonych na wynajdywaniu i odrzucaniu coraz bardziej nieprawdopodobnych rozwiązań, Aleksa nagle uznała, że Elizabeth musi ponownie wkroczyć w wielki świat i pojawić się dziś na balu. Na domiar nieszczęść sir Francis Belhaven nie rezygnował z dalszych konkurów, poprzedniego dnia przybył do Londynu i twardo oblegał dom stryja Juliusa przy Promenade Street.

- Elizabeth - ciągnęła z uporem Aleksa - przyznaję, że nie zdążyłam dopracować szczegółów, bo wpadłam na ten pomysł trzy godziny temu, ale jeśli wreszcie usiądziesz i napijesz się herbaty, wyjaśnię ci, o co mi chodzi.

- Obecność na balu - odparła Elizabeth, posłusznie opadając na małą kanapkę z zielonego aksamitu - to nie rozwiązanie, tylko... tylko prawdziwa klęska!

- Dasz sobie wreszcie coś wyjaśnić? I nie protestuj, bo już puściłam w ruch tryby maszyny i odmowa na nic się nie zda.

Elizabeth nerwowo odgarnęła włosy z czoła i niechętnie skinęła głową. Kiedy przyjaciółka znacząco spojrzała na herbatę, którą dopiero co wniósł lokaj, dziewczyna westchnęła, wzięła delikatną filiżankę i wypija łyk.

- Mów, proszę.

- Nie ma sensu owijać w bawełnę, zostało nam tylko dziewięć dni, by cię ocalić. Dziewięć dni na znalezienie bardziej pożądanego konkurenta.

Elizabeth zakrztusiła się herbatą.

- Kolejny wielbiciel? Żartujesz! - Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Bynajmniej - odrzekła Aleksa niewzruszenie, z wdziękiem unosząc swoją filiżankę. - Kiedy pierwszy raz zjawiłaś się w wielkim świecie, w ciągu czterech tygodni oświadczyło się o ciebie piętnastu konkurentów. Jeśli wtedy potrafiłaś osiągnąć średnią pół kandydata do ręki dziennie, to teraz w ciągu całych dziewięciu dni bez trudu znajdziesz przynajmniej jednego narzeczonego. A od tamtego czasu jeszcze wypiękniałaś.

Elizabeth pobladła.

- Nie mogę - broniła się z drzeniem. - Nie mogę stawić im wszystkim czoła. Jeszcze nie teraz.

- Sama zapewne, ale dziś nie będziesz sama. - Rozgorączkowana Aleksandra, pragnąc

przekonać Elizabeth o słuszności swojego planu, pochyliła się, opierając łokcie na kolanach. - Od trzech godzin, kiedy spłynęło na mnie olśnienie, nie traciłam czasu. Ponieważ sezon towarzyski dopiero się zaczyna i jeszcze nie wszyscy przyjechali do stolicy, wysłałam list do babki mego męża z prośbą, by mnie odwiedziła, gdy tylko przybędzie do Londynu. Mój mąż nadal jest w Hawthorne, ale zamierzał dziś wrócić i spędzić wieczór w jednym ze swoich klubów. Napisałam do niego długi list, wyjaśniając całą sytuację i prosząc, by przyłączył się do nas na balu u Willingtonów o wpół do jedenastej. Poprosiłam też mojego szwagra, Anthony'ego, który zgodził się ci towarzyszyć. Na razie masz zatem czworo sprzymierzeńców. Może ci się wydawać, że to niewiele, lecz nie zdajesz sobie sprawy, jakie wpływy posiadają mój mąż i jego babka. - Z serdecznym, zachęcającym uśmiechem, Aleksa wyjaśniła: - Księżna wdowa Hawthorne cieszy się niezwykle szacunkiem i wprost uwielbia zmuszać ludzi, by postępowali zgodnie z jej wolą.

Jeszcze nie poznałaś mojego męża - dokończyła, uśmiechając się czulej - lecz wierz mi: Jordan ma jeszcze większe wpływy niż babka i nie dopuści, by ktokolwiek niestosownie się zachował w stosunku do ciebie. Jeśli będzie z nami, nikt nawet się na to nie odważy.

- Czy... czy słyszał o mnie? Wie, kim jestem i co się wydarzyło?

- W liście wyjaśniłam mu, kim jesteś dla mnie i wspomniałam o sprawach sprzed dwóch lat. Zrobiłabym to wcześniej, ale od naszego spotkania w Havenhurst nie widziałam się z nim. Wyjechał sprawdzić, jak w czasie naszej półtorarocznej nieobecności sprawowali się zarządcy dóbr.

Elizabeth ścisnęło się serce na myśl, że - co bardzo prawdopodobne - wieczorem mąż Aleksy wróci do Londynu i oznajmi, iż hrabianka Cameron nie nadaje się na towarzyszkę dla jego żony albo że on sam nie zamierza poprzeć ich planów. Perspektywa była tak przerażająca, że dziewczyna z niewysłowioną ulgą uświadomiła sobie, że posiada argument nie od odparcia.

- Nic z tego - oznajmiła radośnie.

- Dlaczego?

- Nie mam co na siebie włożyć.

- Owszem, masz - odparła z triumfalnym uśmiechem Aleksa. - Moją suknię, przywiezioną z Francji.

Podniosła rękę, uciszając protesty swej towarzyszki.

- Nie mogę jej nosić - tłumaczyła spokojnie. - Już sporo utylam w talii.

Elizabeth z niedowierzaniem zerknęła na szczupłą przyjaciółkę, tymczasem ta mówiła dalej:

- W przyszłym roku i tak okaże się już niemodna, niech więc przynajmniej jedna z nas się nią nacieszy. Posłałam wiadomość do Bentnera, by sprowadził tu Bertę ze wszystkim, czego możesz potrzebować - przyznała się z przepaszającym uśmiechem. - Nie puszcę cię z powrotem na Promenadę Street, bo boję się, że później dostanę liścik, że nagle chwyciła cię migrena, więc położyłaś się wcześniej do łóżka.

Mimo kłębiących się w niej sprzecznych uczuć, na tę sprytną uwagę Elizabeth musiała ukryć uśmiech. Rzeczywiście, myślała już o takim rozwiązaniu.

- Zgodzę się na ten plan - odezwała się wolno, w jej oczach malował się upór - ale tylko pod warunkiem, że księżna wdowa nie będzie miała zastrzeżeń przed wzięciem mnie pod opiekę.

- Zostaw to mnie. - Aleksa głośno odetchnęła z ulgą i podniosła wzrok, gdyż w drzwiach stanął lokaj.

- Przybyła księżna wdowa - oświadczył z namaszczeniem. - Zgodnie z instrukcją waszej wysokości, wprowadziłem ją do zielonego salonu.

Aleksa uśmiechnęła się radośnie, z pewnością siebie, której wcale nie czuła, i wstała.

- Pozwolisz, że najpierw zamienię z nią sama parę słów i wszystko wyjaśnię, zanim cię zechce zobaczyć - powiedziała, idąc do drzwi. Na środku pokoju stanęła i odwróciła się do Elizabeth. - Ale muszę cię ostrzec - dodała z wahaniem - że babka mojego męża bywa czasem nieco... bezpośrednia - dokończyła żałośnie.

Owe „parę słów” trwało niecałe pięć minut, lecz Elizabeth wpatrywała się w zegar, coraz bardziej pogrążona w rozpacz, wyobrażając sobie, jakiemu oburzeniu babki musi stawić czoło przyjaciółka. Kiedy wreszcie drzwi salonu się otworzyły, dziewczyna była tak zdenerwowana, że poderwała się na nogi i stała, czując się niezręcznie jak ostatnia ślamazara, podczas gdy do pokoju u boku Aleksy majestatycznym krokiem weszła najbardziej imponująca niewiasta, jaką Elizabeth kiedykolwiek widziała.

Księżnę wdowę Hawthorne charakteryzowała królewska postura damy, która urodziła się z metalowym prętem zamiast kręgosłupa. Poza tym była dość wysoka, miała przenikliwe, brązowe oczy, arystokratyczny nos i wyniosłą minę na gładkiej twarzy o jasnej cerze.

W milczeniu czekała, aż Aleksa zakończy oficjalną prezentację, po czym baczenie przyjrzała się ukłonowi Elizabeth i skinęła jej głową. Następnie bez słowa podniosła lorgnon i chłodno zmierzyła dziewczynę wzrokiem od stóp do głów. W tym czasie hrabianka w duchu już się pożegnała z nadzieją, że ta wielka dama z własnej woli albo nawet przymuszona zechce jej dziś wieczorem pomóc.

Kiedy wreszcie księżna raczyła się odezwać, jej głos ciął powietrze niczym bicz.

- Młoda damo - oświadczyła bez wstępów - Aleksandra zwróciła się do mnie z prośbą, bym ponownie wprowadziła cię dziś w wielki świat. Nie musiała mi nawet opisywać tamtego skandalu sprzed dwóch lat, towarzyszącego twojej znajomości z niejakim panem Ianem Thorntonem. Doskonale znam szczegóły owych wydarzeń, podobnie jak wszyscy w towarzystwie. - Pozwoliła, by to bolesne i nieprzyjemne oświadczenie przed dłuższą chwilę jeszcze bardziej zraniło i tak już zranioną dumę dziewczyny. - Chcę tylko wiedzieć - podjęła wreszcie - czy mam się spodziewać powtórki tamtego zachowania, gdybym zgodziła się spełnić prośbę Aleksandry?

Choć Elizabeth płonęła ze wstydu i gniewu, wytrzymała spojrzenie starszej damy, a potem odpowiedziała chłodno i wyraźnie, choć głos lekko jej drżał.

- Nie mam władzy nad plotkarzami, wasza wysokość. Gdyby tak było, nie stałabym się bohaterką skandalu. Pragnę tylko dodać, że bynajmniej nie marzę, aby powtórnie wkroczyć w wielki świat. Do tej pory noszę niezabliźnione rany po ostatnim spotkaniu z arystokracją.

Świadomie wypowiedziała słowo „arystokracja” z największą pogardą, na jaką było ją stać, i przygotowała się na słowny atak księżnej, której siwe brwi ściągnęły się groźnie. Po chwili jednak w jasnobrązowych oczach błysnęło coś zbliżonego do szacunku i starsza dama spojrzała na żonę swego wnuka. Skinęła głową.

- Zgadza się, Aleksandro. Ma dość odwagi, by stawić czoło temu, co ją czeka. Czyż to nie zdumiewające - zwróciła się do Elizabeth z niechętnym uśmiechem - że my, w wielkim świecie, szcycimy się swoimi cywilizowanymi manierami, podczas gdy tak wielu z nas woli się żywić cudzą reputacją zamiast najbardziej wyrafinowanym posiłkiem?

Podczas gdy oszołomiona dziewczyna wolno opadała na fotel, z którego przed chwilą tak gwałtownie się poderwała, zamyślona księżna podeszła do kanapy.

- Na dzisiejszym balu u Willingtonów zjawią się tłumy - powiedziała po chwili. - Może to wyjść ci na dobre. Będą tam wszystkie najbardziej wpływowe osobistości. Cóż, może później znajdą mniej powodów do plotkowania o Elizabeth, bo wszyscy sami ją zobaczą.

- Wasza wysokość - odezwała się zmieszana Elizabeth, czując, że wypada wyrazić wdzięczność za kłopoty, jakie niewątpliwie czekają księżnę - ...to nadmiar łaskawości. Nie zdołam się odwdziżyć za taką dobroć...

- Nonsens - przerwała oburzona dama. - Rzadko bywam dobra. Czasem najwyżej miła - ciągnęła, podczas gdy Aleksandra usiłowała ukryć rozbawienie. - Albo łaskawa, jeśli tego wymagają okoliczności, lecz nigdy nie nazwałabym siebie „dobrą”. Dobroć jest taka mdła,

zupełnie jak letnia herbata. A teraz posłuchaj mojej rady, dziecko - dodała, spoglądając na napiętą, bladą twarz dziewczyny. - Natychmiast udaj się na górę i zażyj długiej, ożywczej drzemki. Wyglądasz bardzo mizernie. A podczas gdy ty będziesz odpoczywać, ja i Aleksandra dopracujemy wasz plan.

Elizabeth zareagowała na polecenie udania się do łóżka identycznie jak każdy, kto usłyszał rozkaz księżnej wdowy. Po chwili pełnego oburzenia milczenia zrobiła, co jej polecono.

Aleksa przeprosiła księżnę i udała się z Elizabeth do sypialni dla gości. W pokoju mocno uściskała przyjaciółkę.

- Przepraszam za tę okropną chwilę. Uprzedziła mnie, że będzie chciała się upewnić, czy masz dość odwagi, ale nie spodziewałam się, że zrobi to w taki sposób. Tak czy owak - zakończyła radośnie Aleksa - od początku wiedziałam, że bardzo cię polubi, i tak się stało!

Wyszła z furkotem różowej sukni, a Elizabeth słabo oparła się o drzwi sypialni, zastanawiając się, jak księżna traktowała osoby, które lubiła tylko trochę.

Starsza dama czekała na żonę wnuka z rozbawioną miną.

- Aleksandro - przeszła od razu do rzeczy, nalewając sobie herbaty - zdaje się, że nie zdajesz sobie sprawy z jednego... - Urwała i zmierzyła wzrokiem lokaja, który stanął w drzwiach i ośmielił się jej przerwać. - Proszę o wybaczenie, wasza wysokość - zwrócił się do Aleksandry - ale pan Bentner uprasza, by mu pani poświęciła chwilę swojego czasu.

- Co to za pan Bentner? - spytała rozdrażniona księżna, kiedy Aleksandra natychmiast zgodziła się przyjąć go w salonie.

- Lokaj Elizabeth - wyjaśniła ta z uśmiechem. - Czarujący jegomość. Ma słabość do zagadek kryminalnych.

Po chwili księżna z nieskrywaną dezaprobatą zmierzyła wzrokiem krępego, siwego mężczyznę w nieco wytartym fraku i spłowiałych spodniach, który bezceremonialnie wkroczył do salonu i usadowił się przy Aleksandrze, nie prosząc nawet o pozwolenie.

- Panienko Alekso, napisała panienska, że znalazła sposób, by wydostać panienkę Elizabeth z tarapatów - zaczął. - Osobiście przyprowadziłem Bertę, żeby wysłuchać planów.

- Na razie nie są jeszcze całkiem skonkretyzowane - przyznała Aleksa. - Najkrócej rzecz ujmując, zamierzamy dziś ponownie wprowadzić ją w wielki świat i zobaczyć, czy uda nam się sprawić, by zapomniano o tym dawnym skandalu z panem Thorntonem.

- Tym łajdakiem! - wycedził Bentner. - Na samą wzmiankę o nim ręce mi się zaciskają, żeby mu skrócić kark. - Dla pokreślenia swoich słów potrząsnął pięścią.

- Mam identyczny odruch - przyznała się Aleksa. - To na razie cały nasz plan.

Wstał, żeby się pożegnać, poklepał Aleksandrę po ramieniu i pogodnie zwrócił się do starszej księżnej, której kamienna wyniosłość budziła przerażenie wśród dobrze urodzonych i która mierzyła go lodowatym wzrokiem za taką poufałość wobec Aleksy.

- Wasza wysokość ma szczęście, że wnukowi trafiła się taka wspaniała żona. Znamy panienkę Aleksę jeszcze z czasów, kiedy jako dziewczynka łąpała z panienką Elizabeth żaby.

Księżna nie odpowiedziała. Siedząc w wyniosłej pozie, odprowadziła wzrokiem lokaja do drzwi.

- Aleksandro - przemówiła strasznym głosem, lecz młoda kobieta roześmiała się i podniosła rękę.

- Nie strofuj mnie za poufałość wobec służby, babciu. Nie zmienię się, a ty tylko się denerwujesz - Zresztą tuż przed przyjściem Bentnera chciałaś mi chyba powiedzieć coś ważnego.

Starsza dama na moment zapomniała o gniewie na nieznośnego sługę.

- Tak bardzo ci zależało, by jak najszybciej skrócić męki niepewności Elizabeth - oświadczyła surowo - że nie dałaś mi czasu, bym ci powiedziała o pewnym fakcie, związanym z tą sprawą, który może znacznie utrudnić nasze zadanie. Oczywiście, pod warunkiem że o niczym nie wiesz.

- O jakim fakcie?

- Czytałaś dzisiejsze gazety?

- Jeszcze nie, a czemu?

- „Times” i „Gazette” poinformowały, że właśnie przybył do Londynu książę Stanhope i oficjalnie potwierdził, że Ian Thornton jest jego wnukiem i prawowitym dziedzicem. Naturalnie, od lat krążyły plotki o pochodzeniu tego młodego człowieka, lecz tylko parę osób znało prawdę.

- Nie miałam pojęcia - odrzekła zaskoczona Aleksa.

Pomyślała, że los naprawdę jest niesprawiedliwy, skoro do pozbawionego skrupułów uwodziciela Elizabeth fortuna uśmiechnęła się w tej samej chwili, w której przyszłość dziewczyny maluje się w tak czarnych barwach.

- Dowiedziałam się o jego istnieniu dopiero sześć tygodni temu, po powrocie z naszej podróży, kiedy ktoś wspominał nam o skandalu dotyczącym Elizabeth.

- Nie dziwię się. Jeszcze niedawno rzadko wymieniano jego nazwisko w eleganckich salonach. Ty i Jordan wyjechaliście przed całą tą historią, więc nie mogłaś o nim słyszeć w związku z tą sprawą.

- Jakim cudem ten skończony łajdak i drań przekonał księcia, by go uznał za swego

dziedzica? - spytała gniewnie Aleksa.

- O ile mi wiadomo, w ogóle nie musiał go przekonywać. Jest wnukiem księcia i jego prawowitym spadkobiercą. Twój mąż wyjawiał mi ten sekret już wiele lat temu. Wiem również - dodała z naciskiem - że Jordan należy do nielicznej grupy osób, którym Thornton się przyznał do swego pochodzenia.

Młoda kobieta coraz wyraźniej czuła, jak ziemia ucieka jej spod nóg. Wolno odstawiła filiżankę na spodek.

- Jordan? - powtórzyła zaniepokojona. - Czemu taki łajdak miałby powierzać swoje tajemnice właśnie Jordanowi?

- Doskonale wiesz - odparła księżna bez owijania rzeczy w bawełnę - że twój mąż nie zawsze wiódł przykładowe życie. Za swoich kawalerskich czasów on i Thornton obracali się w podobnych kręgach: grali, pili i oddawali się rozpuście. Właśnie tego się obawiałam: że nie wiesz o ich przyjaźni.

Załamana Aleksa przymknęła oczy.

- Liczyłam na pomoc Jordana we wprowadzeniu Elizabeth w towarzystwo. Napisałam mu, że pewien skończony drań okrutnie ją skrzywdził, ale nie podałam jego nazwiska. Nie spodziewałam się, że Jordan w ogóle słyszał o Ianie Thorntonie, a co dopiero znał tego łajdaka. Byłam święcie przekonana - dodała zdruzgotana - że jeśli pozna Elizabeth, zrobi, co w jego mocy, by dziś nam pomóc.

Księżna uściśnęła jej rękę i powiedziała ze smutnym uśmiechem:

- Moja droga, obie wiemy, że wystarczy jedno twoje słowo, a Jordan powstanie przeciwko swojemu wrogowi albo przyjacielowi. Jednak w tej sprawie nie będziesz mogła liczyć na jego bezgraniczne oddanie, kiedy się dowie, kim był ów „niewyobrażalny łajdak”. Właśnie przed tym zamierzałam cię ostrzec.

- Elizabeth nie może się o tym dowiedzieć - postanowiła Aleksandra. - Czułaby się niezręcznie w towarzystwie Jordana i wcale jej się nie dziwię. Nie masz sprawiedliwości na tym świecie! - dodała, spoglądając na nietknięty egzemplarz „Timesa”, leżący na stoliku. - Gdyby istniała sprawiedliwość, ten uwodziciel niewinnych dziewcząt nigdy by nie został markizem, Elizabeth zaś nie bałaby się pokazać wśród ludzi. Pewnie nawet nie można liczyć, że tytułowi nie towarzyszą majątek ani pieniądze? Lepiej bym się poczuła, gdyby nadal był zubożałym Szkotem albo graczem, od którego odwróciła się karta.

Księżna prychnęła bez wrodzonej damie elegancji.

- Nie licz na to, moja droga. A jeśli Elizabeth w to wierzy, to dała się nabrać.

- Chyba wolę nie słyszeć reszty - westchnęła rozgniewana Aleksa. - Nie, muszę

wiedzieć wszystko. Powiedz, babciu.

- Niewiele jest do dodania. - Starsza dama zaczęła naciągać rękawiczki. - Wkrótce po skandalu z Elizabeth Thornton zniknął. Potem, niecały rok temu, ktoś, kogo nazwisko długo pozostawało nieznane, kupił ten wspaniały majątek w Tilshire, nazwał go Montmayne i rozpoczął renowację pałacu, zatrudniając do tego armię robotników. Parę miesięcy później zaś sprzedano przewspaniałą rezydencję przy Brook Street, oczywiście również „nieznanemu nabywcy”. Po tygodniu tam również rozpoczęto intensywny remont. Wszyscy zachodzili w głowę, kto może być nowym właścicielem, aż do chwili gdy parę miesięcy temu Ian Thornton zajechał pod drzwi domostwa przy Upper Brook Street 11 wszedł do środka. Dwa lata temu plotka głosiła, że Thornton to pospolity hazardzista i nie przyjmowano go w większości przyzwoitych domów. Dziś jednak, muszę cię z przykrością poinformować, uważa się, że jest bogaty jak Krezus i zostanie przyjęty z otwartymi ramionami w każdym salonie, w którym raczy się pojawić. Na szczęście na gospodarzy rzadko spływa ten zaszczyt. - Podniosła się do wyjścia i dokończyła ponuro: - Może lepiej już teraz powiem ci resztę, bo i tak wieczorem będziesz musiała temu stawić czoło.

- Jak to? - spytała Aleksa słabo, wstając.

- A tak, że po dzisiejszym oświadczeniu Stanhope'a szanse twojej przyjaciółki na sukces dramatycznie spadły.

- Dlaczego?

- To proste: teraz Thornton do bogactwa dorzucił tytuł, zatem to, co się wydarzyło między nim a Elizabeth, zostanie uznane za „rozrywkę dżentelmena”, lecz nadal pozostanie plamą na jej reputacji. I jeszcze coś - dodała zupełnie mrocznym tonem.

- Chyba nie wiem, czy wytrzymam kolejny cios. Co takiego?

- Ja - oświadczyła księżna - jestem pełna najgorszych przeczuć, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór.

Podobnie jak jej wnuczka w tej chwili.

- Tony zgodził się dziś towarzyszyć Elizabeth, Sally się temu nie sprzeciwiła. - Chodziło o szwagra Aleksy i jego żonę, która przebywała na wsi. - Wolałabym jednak, żeby to był ktoś inny. Najchętniej kawaler o nieskazitelnej reputacji, którego wszyscy poważają, a jeszcze lepiej, którego się boją. Roddy Carstairs idealnie by się do tego nadawał. Wysłałam list z prośbą, by jak najszybciej się u mnie zjawił, ale ma wrócić dopiero dziś wieczorem albo jutro.

Gdybym zdołała go namówić, wspaniale by się sprawdził w tej roli.

Większość ludzi drży ze strachu na myśl o jego ciętych ripostach.

- Drżą ze strachu przede mną - oświadczyła dumnie księżna wdowa.

- Tak, wiem - odrzekła Aleksa z uśmiechem. - W twojej obecności nikt nie odważy się na afront wobec Elizabeth, ale Roddy mógłby ich tak przycisnąć, że przyjęliby ją do swego grona z powrotem.

- Może tak, a może nie. Kiedy i gdzie dziś się spotykamy przed tą ponurą chwilą?

Aleksa wzniosła oczy ku niebu i uśmiechnęła się uspokajająco.

- Wyruszamy stąd o wpół do jedenastej. Poprosiłam Jordana, by czekał na nas przed wejściem do pałacu Willingtonów, i wspólnie pojedziemy na bal.

ROZDZIAŁ 20

Tego wieczoru o wpół do dziewiątej Ian stał pod drzwiami miejskiej rezydencji stryja Elizabeth, starając się zapanować nad żądzą mordy, aby nie zabić lokaja hrabianki, który najwyraźniej walczył z chęcią czynnego znieważenia gościa.

- Pytam jeszcze raz, w razie gdybyś przedtem źle mnie zrozumiał - odezwał się Thornton jedwabistym tonem, na którego dźwięk ludzie zazwyczaj bledli. - Gdzie jest twoja pani?

Kolory na twarzy Bentnera nie uległy zmianie.

- Wyszła - oświadczył.

Ten człowiek zniszczył życie jego panienki, a teraz nieoczekiwanie, nieproszony zjawił się u jej drzwi, niewątpliwie po to, by powtórzyć swe dzieło w chwili, gdy wreszcie udało się na pierwszy od dwóch lat bal i mężnie próbowała położyć kres plotkom, które ten łotr spowodował.

- Wyszła, ale nie wiesz dokąd?

- A czy coś takiego powiedziałem?

- To gdzie jest?

- Ja wiem, a pan niech sam to odgadnie.

Od paru ładnych dni Ian musiał stawiać czoło licznym nieprzyjemnościom: podróż konno przez pół Anglii, rozmowa z rozsierzdzonym ojcem Christiny i wreszcie targi z odrażającym stryjem hrabianki, który wynegocjował taką umowę, że przyszły narzeczony do tej pory gotował się ze złości. Na samym początku rozmowy Thornton wielkodusznie zrezygnował z jej wiana. Okazało się jednak, że stryj Julius posiada niezwykle rozwinięty zmysł kupiecki, którego nie powstydziliby się handlarz wielbłądów i natychmiast wyczuł gotowość Iana do przyjęcia każdych warunków, byle tylko intercyza została podpisana. W rezultacie Ian, jako bodaj jedyny ze znanych sobie mężczyzn, kupił swoją przyszłą żonę za sumę stu pięćdziesięciu tysięcy funtów.

Przebrnąwszy przez ten dopust, pojechał do Montmayne, gdzie zatrzymał się tylko po to, by zmienić konia na powóz i wyciągnąć pokojowca z łóżka. Następnie wyruszył do Londynu, wpadł do domu, przebrał się i udał prosto pod adres, otrzymany od Juliusa Camerona. Teraz zaś, po tym wszystkim, nie tylko nie zastał Elizabeth, ale jeszcze musiał się użerać z najbardziej bezczelnym sługą, jakiego miał nieszczęście w życiu spotkać. W gniewnym milczeniu odwrócił się i szedł ze schodów. Drzwi za nim zatrzasnęły się z hukiem

i Ian przystanął na moment, spojrział na nie i pomyślał, z jaką satysfakcją zwolni jutro tego typu.

Wsiadł do powozu i polecił się odwieźć do swojej rezydencji przy Upper Brook Street. Własny lokaj otworzył mu drzwi z należyтым uszanowaniem, ale Ian minął go chmurny i rozdrażniony. W połowie schodów postanowił, że wieczór szybciej mu upłynie, jeśli spędzi go poza domem i nie będzie myślał o gwałtownym oporze Elizabeth, jakiemu jutro będzie musiał stawić czoło.

Po dwudziestu minutach wyszedł z domu, ubrany w strój odpowiedni do gry w faraona i kazał się zawieźć do Blackmore'a. Ciągle nachmurzony, wkroczył do tonącego w półmroku, ekskluzywnego klubu dla dżentelmenów, gdzie już od lat grywał o duże pieniądze. - Dobry wieczór, jaśnie panie markizie - powitał go w drzwiach portier.

Ian skrzywił się, słysząc to podkreślone „markizie”.

W elegancko urządzonej sali gry można było spotkać licznie reprezentowaną śmietankę arystokracji, która wolała czysty hazard od plotek, sprawiających, że w klubie White'a umierało się z nudów, oraz mniej szlachetnie urodzonych, lecz równie bogatych dżentelmenów, którzy lubili grać o bardzo duże pieniądze, a takie krążyły u Blackmore'a. Ian stanął w progu i już się odwrócił, żeby udać się na partię faraona, kiedy po jego lewej stronie odezwał się wesoły głos:

- Jak na człowieka, który właśnie odziedziczył małe imperium, Ianie, masz wyjątkowo smętną minę. Zechcesz się do mnie przysiąść na kieliszek i partyjkę kart, markizie?

Ian uśmiechnął się kpiąco i skłonił jednemu z nielicznych utytułowanych Anglików, którego szanował i uważał za przyjaciela.

- Naturalnie, wasza książęca wysokość - odpowiedział.

Mężczyźni wymienili serdeczny uścisk dłoni. Ponieważ Jordan Townsende również dopiero co przyszedł, musieli czekać na stolik.

Kiedy po kilku minutach usiedli, najpierw wypili whisky, opowiadając, co się wydarzyło przez półtora roku niewidzenia, a następnie zajęli się poważniejszą i bardziej satysfakcjonującą czynnością, jaką była gra, połączona z luźną rozmową. Zwykle partia kart sprawiała łanowi przyjemność, ale dziś nie potrafił się skupić, każdy gość zaś, mijający ich stolik, czuł się w obowiązku przystanąć i zamienić parę słów z jednym lub z oboma graczami.

- Ta popularność to niewątpliwie zasługa naszej długiej nieobecności - zażartował Jordan, rzucając na stół sztony.

Thornton prawie go nie słuchał. Bez przerwy myślał o Elizabeth, od dwóch lat zdanej na łaskę i niełaskę odrażającego stryja. Ten człowiek handlował ciałem ze swego ciała i krwią

ze swojej krwi - Ian zaś był nabywcą. Oczywiście nie należało tego traktować dosłownie, lecz nie opuszczało go nieprzyjemne uczucie, że gdy tylko hrabianka się dowie, co postanowiono bez jej wiedzy i zgody, właśnie tak podejździe do całej sprawy. W Szkocji mierzyła do niego z pistoletu, teraz w Londynie nie winiłby jej, gdyby nawet strzeliła. Zastanawiał się, czyby najpierw przez parę dni nie ubiegać się o jej względy, zanim jej powie, że są już zaręczeni, równocześnie zaś próbował odgadnąć, czy zareaguje wściekłością na wiadomość, że się pobiorą. Belhaven co prawda jest ohydny lubieżnikiem, za to Ian wielokrotnie boleśnie ją zranił.

- Nie zamierzam krytykować twojej strategii, przyjacielu - leniwy głos Jordana wyrwał go z zadumy - ale właśnie postawiłeś tysiąc funtów, choć masz w karcie zupełne zero.

Ian zerknął na karty, które w tej chwili odsłonił i poczuł, jak się rumieni po samą szyję.

- Mam sporo na głowie, zamyśliłem się - wyjaśnił.

- Na pewno nie nad kartami. Albo opuściła cię twoja słynna intuicja.

- Nie zdziwiłbym się - odparł z roztargnieniem Thornton, wyciągając długie nogi i krzyżując je w kostkach.

- Chcesz zagrać jeszcze jedną partię?

- Chyba mnie nie stać - zażartował bez przekonania Ian.

Obejrzawszy się przez ramię, książkę skinął na lokaja, by przyniósł im jeszcze po szklaneczce, po czym odłożył karty. Sam również wygodnie się rozsiadł i wyprostował nogi. Obaj panowie spoglądali na siebie, stanowiąc uosobienie milczącego, męskiego porozumienia.

- Mam czas tylko na jednego drinka - odezwał się Jordan, zerkając na pozłacany zegar z brązu wiszący na ścianie. - Obiecałem Aleksandrze, że zjawię się dziś u jej boku na balu i będę się promiennie uśmiechał do jej przyjaciółki.

Ian zauważył, że ilekroć przyjaciel wypowiada imię żony, jego twarz natychmiast łagodnieje.

- Przyłączysz się?

Thornton pokręcił głową i wziął kieliszek od służącego.

- Znosi się na potworne nudy.

- Raczej nie będzie nudno. Moja żona postanowiła, że zagra na nosie całemu wielkiemu światu i z powrotem wprowadzi na salony pewną dziewczynę. Z tego, co mi napisała w liście, wynika, że nie będzie to łatwe zadanie.

- Czemu? - spytał Ian bardziej z uprzejmości niż z zaciekawienia.

Jordan westchnął i odchylił głowę, zmęczony żmudną pracą, jakiej oddawał się od kilku tygodni, niezbyt zachwycony perspektywą, że będzie musiał otaczać atencją jakąś biedną pannę w tarapatach - której w dodatku nawet nie znał.

- Dwa lata temu dziewczyna wpadła w szpony jakiegoś mężczyzny i zakończyło się to paskudnym skandalem.

- Najwyraźniej nie należy to do rzadkości - odrzekł swobodnie Ian, myśląc o sobie i Elizabeth.

- Z listu Aleksy wynika, że sprawa jest właściwie beznadziejna.

- Pod jakim względem?

- Po pierwsze, najprawdopodobniej dziewczyna zobaczy dziś plecy połowy towarzystwa, a będą to ci, którzy w ogóle raczą zwrócić na nią uwagę. Aleksa wprowadziła do akcji ciężką artylerię, czyli moją babkę, oprócz tego, jako wsparcie, wezwała mnie i Tony'ego. Mamy spróbować robić dobrą minę do złej gry, lecz nie zazdroścę tej biedaczce. Założę się o duże pieniądze, że plotkarze nie zostawią na niej suchej nitki. Nie wiem, co zrobił ów drań - zakończył Jordan, dopijając drinka i wstając z krzesła - ale to musiało być coś potwornego. Dziewczynę, nawiasem mówiąc podobno niewiarygodnie piękną, przez dwa lata traktowano jak trędowatą.

Ian znieruchomiał ze szklanką wzniesioną do ust i nagle ostro spojrział na przyjaciela.

- Co to za dziewczyna? - spytał z trudem.

- Elizabeth Cameron.

- O, Chryste! - wybuchnął, podrywając się z miejsca i chwytając surdut. - Gdzie one są?

- U Willingtonów. Czemu pytasz?

- Ponieważ - wyjaśnił Ian, niecierpliwie wkładając surdut i poprawiając przód koszuli - to ja jestem owym draniem, który ją skompromitował.

Na twarzy księcia zagościł dziwny wyraz. Jordan też zaczął się ubierać.

- Więc ty jesteś tym mężczyzną, którego Aleksandra przedstawiła w liście jako „niewyobrażalnego łajdaka i skończonego drania” i „potwora, wykorzystującego niewinne dziewczęta”?

- A to jeszcze nie wyczerpuje listy moich przewinień - odparł ponuro Thornton i ruszył do drzwi, a Jordan Townsende za nim.

- Natychmiast jedź do Willingtonów - polecił Ian. - Ja ruszę zaraz za tobą, tylko muszę jeszcze wstąpić w jedno miejsce. I, na miłość boską, pod żadnym pozorem nie mów Elizabeth, że zjawię się na balu.

Wskoczył do powozu, ostrym głosem wydał polecenie stangretowi i odchylił głowę, licząc minuty i powtarzając sobie, że pojawienie się Elizabeth na balu nie będzie dla niej taką klęską, jakiej się obawiał. Nawet przez moment nie pomyślał też, że Jordan Townsende nie ma pojęcia, jakie motywy kierują uwodzicielem Elizabeth Cameron, który tak koniecznie chce się spotkać ze swą ofiarą na balu u Willingtonów.

Powóz zatrzymał się przed londyńską rezydencją księcia Stanhope'a. Ian energicznie wbiegł po schodach, omal nie przewracając biednego Ormsleya, który otworzył mu drzwi. Popędził do dziadka na górę, a po kilku minutach zszedł do biblioteki. Tam opadł na fotel i siedział ze wzrokiem utkwionym w zegar. Na górze panował rozgardiasz, książę bowiem wezwał pokojowca, kamerdynera i lokajów. W przeciwieństwie do wnuka rozsadzała go radość.

- Ormsley, Ian mnie potrzebuje! - zawołał radośnie, zrzucając surdut i fontaż. - Wszedł tu i sam mi to powiedział.

Stary sługa się rozpromienił.

- Doprawdy, wasza wysokość?

- Ubyło mi dwadzieścia lat. Kamerdyner skinał głową.

- To wspaniała chwila.

- Co, u diaska, zatrzymuje Andersona? Muszę się ogolić. Przygotujcie mi strój wieczorowy... Czarny będzie najodpowiedniejszy... Brylantową szpilkę i brylantowe spinki. Przestańże mi wciskać tę laskę, baranie.

- Wasza wysokość nie powinien się forsować.

- Ormsley - warknął książę, podchodząc do szafy i otwierając szeroko drzwi - jeśli sądzisz, że w najważniejszej chwili mego życia wystąpię wsparty na lasce, to postradałeś rozum. Wielkie dzięki za troskę, ale wkroczę tam u boku wnuka, o własnych siłach. Gdzie, u licha, jest ten Anderson?

- Spóźnimy się, Aleksandro - powiedziała księżna wdowa, leniwie przyglądając się wspaniałej, czternastowiecznej rzeźbie, stojącej na stoliku z drewna atłasowego. - I teraz, kiedy już nieuchronnie zbliża się chwila wyruszenia na bal, przyznam ci się, że mam coraz gorsze przecucia. A mój instynkt nigdy mnie nie zawodzi.

Młoda kobieta przygryzła wargi, usiłując zapanować nad rosnącym niepokojem.

- Willingtonowie mieszkają parę kroków stąd - perswadowała, woląc się skupić na problemie spóźnienia niż na bardziej niepokojących kwestiach. - Dotrzemy tam w parę minut. Zresztą lepiej, że by wszyscy już byli, kiedy Elizabeth się pojawi. Poza tym ciągle liczę, że Roddy jednak dostał mój list.

Jakby w odpowiedzi na to, w drzwiach stanął kamerdyner.

- Wasza książęca wysokość, przyszedł pan Roderick Carstairs - oznajmił.

- Chwała Bogu! - zawołała z ulgą Aleksa.

- Wprowadziłem go do błękitnego salonu.

Młoda księżna w duchu zacisnęła kciuki.

- Zjawiam się, moja śliczna - oświadczył Roddy ze swoim nieodłącznym sardonycznym uśmieszkiem i nisko się jej uklonił - w odpowiedzi na twoje pilne wezwanie. Nie omieszkam też dodać, że zgodnie z twoimi instrukcjami czynię to przed udaniem się na bal do Willingtonów.

Roddy Carstairs miał metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, zgrabną, wysportowaną sylwetkę, błękitne oczy i ciemne, nieco przerzedzone włosy. Spośród innych dżentelmenów wyróżniały go po mistrzowsku skrojone ubrania, budząca powszechną zazdrość umiejętność wiązania fontazia w misterny węzeł, który zawsze idealnie się prezentował, oraz cięty język, z którego młody człowiek nie wahał się robić użytku.

- Słyszałaś o Kensingtonie?

- O kim? - spytała nieuważnie Aleksa, gorączkowo zastanawiając się, jak przekonać gościa do swojego planu.

- O nowym markizie Kensington, niegdyś znanym jako Ian Thornton i uważanym za persona non grata. Doprawdy, zdumiewające, co potrafią zdziałać bogactwo oraz tytuł - ciągnął, przyglądając się napiętej twarzy gospodyni. - Dwa lata temu nawet nie wpuścilibyśmy go za próg. Pół roku temu rozeszła się wiadomość, że zrobił majątek, więc natychmiast zaczęliśmy go zapraszać na bale i ansamble. Dziś stał się dziedzicem księcia i będziemy się zabijać o zaproszenia na jego przyjęcia. Jeśli na to spojrzeć od tej strony - uśmiechnął się krzywo - jesteśmy zmienni i budzimy odrazę.

Aleksandra parsknęła śmiechem.

- Och, Roddy - zawołała, całując go w policzek - zawsze potrafisz mnie rozbawić, nawet kiedy jestem w okropnej rozterce, jak chociażby teraz. Nie masz pojęcia, jak bardzo możesz mi pomóc, jeśli tylko zechcesz.

Roddy wysoko uniósł brwi i czekał, przyglądając się jej z mieszanką podejrzliwości i zaciekawienia.

- Wiesz przecież, że jestem twoim unizonym sługą - odparł, z żartobliwym, lekkim ukłonem.

Aleksa jednak wiedziała swoje. Inni mężczyźni budzili respekt swoim wybuchowym temperamentem albo mistrzowskim władaniem szpadą czy pistoletami. Gdy chodziło zaś o

Roddy'ego Carstairsa, obawiano się jego ciętych uwag i ostrego jak brzytwa języka. W przeciwieństwie zaś do szpady czy pistoletu, których nie dało się zabrać na bal, Roddy swój oręż mógł wziąć wszędzie. Nawet wytworne matrony panicznie się bały wejść temu mężczyźnie w drogę. Aleksa na własnej skórze przekonała się, jak niebezpiecznym bywa wrogiem - a również jak cennym jest sprzymierzeńcem - za jego sprawą bowiem jej pierwszy pobyt w Londynie stał się piekłem. Później Roddy całkowicie zmienił swoją postawę. To właśnie on zmusił towarzystwo, by ją zaakceptowało. Nie uczynił tego z poczucia winy ani z przyjaźni. Zrobił to, ponieważ bawiło go potwierdzenie swojej władzy nad arystokracją i postanowił dla odmiany nie zniszczyć, ale stworzyć nową gwiazdę salonów.

- Chodzi o pewną młodą damę, której nazwisko za chwilę ci wyjawię - zaczęła ostrożnie Aleksa. - Mógłbyś jej ogromnie pomóc. Jeśli tylko zechcesz, uratujesz ją tak samo jak mnie parę lat temu, Roddy.

- Jeden raz mi wystarczył - zażartował. - Ilekroć potem myślałem o moim rycerskim postępku, z trudem panowałem nad rumieńcem wstydu.

- Jest niezwykle piękna - dodała Aleksa.

W oczach mężczyzny błysnęło przelotne zainteresowanie, ale nic poza tym. Choć na innych bywalcach salonów kobieca uroda robiła piorunujące wrażenie, on na ogół najchętniej doszukiwał się skaz - ot, dla zabawy. Uwielbiał drażnić kobiety i nigdy nie przepuszczał okazji, by to zrobić. Ale jeśli postanowił okazać komuś serce, stawał się wiernym i lojalnym przyjacielem.

- Dwa lata temu padła ofiarą podłych plotek i opuściła Londyn w niesławie. Jest również moją przyjaciółką z dzieciństwa.

Bacnie przyglądała się mężczyźnie, nie potrafiąc odgadnąć, czy będzie mogła liczyć na jego wsparcie, czy też nie.

- Nasza czwórka: księżna wdowa, Tony, Jordan i ja zamierzamy wprowadzić ją dziś na bal u Willingtonów i nie odstępować na krok. Gdybyś zechciał okazać jej minimalne zainteresowanie, albo - jesz - c ze lepiej - jej towarzyszyć, ogromnie byś jej pomógł, ja zaś stałabym się twoją dozgonną dłużniczką.

- Alekso, gdybyś nie była żoną Jordana Townsende'a, mógłbym zaproponować, w jakim sposób zdołasz spłacić mi dług, ale ponieważ nie zamierzam przedwcześnie opuszczać tego świata, zapanuję nad sobą i powiem tylko, że twój uśmiech będzie dla mnie wystarczającą nagrodą.

- Nie żartuję, Roddy. Naprawdę, bardzo liczę na twoją pomoc i będę ci niezwykle wdzięczna.

- Sprawiasz, że cały drzę, moja śliczna. Owa tajemnicza dama musi się znajdować w nie lada opałach, skoro mnie potrzebujesz.

- Jest czarująca i dowcipna, będziesz nią zachwycony.

- W takim razie spotka ją wątpliwy zaszczyt otrzymania mego wsparcia. Kim...

Dostrzegł w drzwiach nieoczekiwany ruch, spojrzął w tamtym kierunku i znieruchomiał. Miejsce zdumienia zajął bezgraniczny podziw.

- Na Boga! - szepnął.

W progu bowiem, podobna do niebiańskiej istoty, stała nieznaną mu młoda kobieta w podkreślającej szczupłą talię, połyskliwej, srebrzystoniebieskiej sukni z głębokim dekoltem, który odsłaniał zachwycający biust. Lśniące złociste włosy spinała szafirowa klamra. Piękne, gęste loki opadały jej do połowy pleców. Pod łukowatymi brwiami i długimi, podwiniętymi rzęsami błyszczały cudowne zielone, ni to jaszczurkowe, ni to szmaragdowe oczy.

Oszołomiony Roddy stał w milczeniu, okiem wytrawnego konesera doszukując się wad, których inni by nie dostrzegli, lecz nie mógł niczego zarzucić delikatnie rzeźbionym kościom policzkowym, smukłej, białej szyi i kształtnym wargom.

Zjawiskowa istota lekko się poruszyła.

- Przepraszam - zwróciła się z czarującym uśmiechem do Aleksandry. Jej głos brzmiał jak melodyjne dzwonki. - Nie wiedziałam, że masz towarzystwo.

Odwróciła się z wdziękiem i zniknęła, szeleszcząc srebrzystoniebieską tkaniną. Carstairs nadal wpatrywał się w miejsce, w którym przed chwilą stała. Aleksandra nabrała otuchy. Nigdy jeszcze nie widziała, by jakakolwiek kobieta zrobiła na Roddym wrażenie. Kiedy się odezwał, w sercu młodej księżnej zapłonęła nadzieja.

- Na Boga - wyszeptał z nabożnym wręcz podziwem. - Czy to mi się nie przyśniło?

- Nie - zapewniła Aleksa. - Ta dziewczyna żyje i bardzo potrzebuje twojej pomocy, choć nie może wiedzieć, że cię o cokolwiek poprosiłam. Pomożesz mi? Zgadasz się?

Z trudem oderwał wzrok od drzwi i potrząsnął głową, jakby się budził ze snu.

- Pomóc? - odparł sucho. - Najchętniej padłbym na klęczki i natychmiast jej się oświadczył. Powinienem wiedzieć, jak się nazywa, bo, powiadam ci, jej twarz wydaje mi się diabelnie znajoma.

- Pomożesz?

- Przecież powiedziałem! Kim jest ta rozkoszna istota?

- To Elizabeth Cameron. Przyjechała do stolicy dwa...

Aleksa urwała, bo na twarzy mężczyzny zagościł zimny, drwiący uśmiech.

- Mała Elizabeth Cameron - mówił do siebie. - Należało od razu się domyślić. Tuż po

twoim wyjeździe w podróż poślubną ta ślicznotka owinęła sobie stolicę wokół małego paluszka. Kto by pomyślał - ciągnął już normalnym tonem - że los obdarzy ją jeszcze większą urodą.

- Roddy! - zawołała Aleksa, czując, że jej towarzysz nagle zmienia zdanie. - Obiecałeś, że mi pomożesz!

- Tu nie jest potrzebna pomoc - prychnął - tylko cud. - Ale...

- Przykro mi. Rozmyśliłem się.

- Czy to... Czy to przez plotki i stary skandal?

- W pewnym sensie.

W niebieskich oczach Aleksandry zapłonął niebezpieczny ogień.

- I ty wierzysz w plotki, Roddy? Kto jak kto, ale ty sam najlepiej wiesz, że na ogół to wierutne kłamstwa, zwłaszcza że sam puściłeś w obieg niezliczone bujdy.

- Nie twierdzę, że wierzę w to, co o niej mówiono - wycedził chłodno. - Co więcej, nie mieści mi się w głowie, by ręce mężczyzny, w tym również Thorntona, kiedykolwiek dotknęły tej porcelanowej skóry. Niestety jednak - ciągnął, z trzaskiem zamykając wieczko tabakierki i wkładając ją do kieszeni - towarzystwo nie jest tak spostrzegawcze jak ja ani tak wyrozumiałe. Zjedzą ją dzisiaj żywcem i nawet wpływowi Townsende'owie oraz twój uniżony sługa, przed którym wszyscy drżą, nic na to nie poradzą. Choć boli mnie, że nabierzesz o mnie jeszcze gorszego mniemania niż do tej pory, wyznam ci prawdę, moja czarująca Alekso - ciągnął z drwiącym uśmiechem. - Dziś każdy wolny mężczyzna, tak głupi, by okazać cię zainteresowania tą panną, stanie się pośmiewiskiem sezonu, ja zaś nie znoszę, kiedy ze mnie drwią. Brakuje mi odwagi, dlatego to ja zawsze się naigrawam z innych. Co więcej - zakończył, sięgając po kapelusz - wielki świat uważa Elizabeth Cameron za towar z drugiej ręki. Kawalera, który się do niej zbliży, uznają za durnia albo lubieżnika i właśnie tak będą go traktować. - W progu jeszcze się odwrócił. Na jego twarzy gościło już zwykłe rozbawienie i bez troska. - Jeśli to cię podniesie na duchu, od dziś będę głośno twierdził, że nie wierzę, jakoby spotkała się z Thorntonem w chacie, oranżerii czy gdziekolwiek indziej. To może na jakiś czas oddalić burzę, ale jej nie powstrzyma.

ROZDZIAŁ 21

Niecałą godzinę później w zatłoczonej, gwarnej sali balowej Aleksandra boleśnie odczuła słusność wszystkich przewidywań Roddy'ego. Po raz pierwszy zdarzyło się, że jej i Jordana nie otaczał gęsty krąg przyjaciół, znajomych ani nawet pochlebców usiłujących się wkupić w łaski jej męża. Dziś wszyscy ich unikali. Mylnie zakładając, że Jordan i Aleksandra byliby zażenowani, gdyby poznali prawdę o Elizabeth Cameron, przyjaciele Townsende'ów w delikatny sposób usiłowali oszczędzić im nieuniknionego zakłopotania i udawali, że nie dostrzegają ani obecności książęcej pary, ani ich towarzyszek, hrabianki Elizabeth Cameron, której reputacja nieodwracalnie legła w gruzach. Choć Aleksandrę i Jordana ignorowali z uprzejmości, to przy każdej okazji mierzyli nieprzychylnym, pogardliwym wzrokiem Elizabeth tak, by nie dostrzegła tego owa garstka naiwnych, którzy dali się oszukać tej intrygantce. Aleksandra jednak widziała pełne wyższości spojrzenia, jakimi obrzucały jej towarzyszkę wirujące w tańcu pary i furia walczyła w niej ze łzami. Ilekroć spojrzała na przyjaciółkę, która nadludzkim wysiłkiem zmuszała się do uśmiechu, gardło ścisnęło jej się z żalu i współczucia. Śmiech i muzyka były tak głośne, że Aleksa musiała się pochylić, by usłyszeć, co mówi Elizabeth.

- Jeśli się nie pogniewasz - odezwała się hrabianka zduszonym głosem, który wyraźnie kontrastował z uśmiechem i potwierdzał, że płonie z upokorzenia - po... poszukam jakiegoś spokojnego miejsca i poprawię suknię.

Obie wszakże doskonale wiedziały, że nie trzeba niczego poprawiać.

- Pójdę z tobą.

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Nie gniewaj się, Alekso... ale wolałabym zostać na chwilę sama. Wszystko przez ten hałas - skłamała mężnie.

Potem z dumnie uniesioną głową przedzierała się przez tłum sześciuset osób, które bądź to unikały jej spojrzenia, bądź to oglądały się za nią ze śmiechem i szeptały coś do siebie.

Tony, Jordan, stara księżna oraz Aleksandra patrzyli, jak z gracją sunie po schodach. Jordan pierwszy przerwał milczenie, zmuszając się do zachowania spokojnego tonu. Bał się, że jeśli okaże, jak bardzo jest wściekły na ten bezwzględny tłum, Aleksandra straci resztkę panowania nad sobą i łzy, które błyszczały jej w oczach, spłyną na zarumienione policzki. Otoczył ją w talii ramieniem i uśmiechnął się, dodając jej otuchy, ale mówił szybko, bo

znajomi natychmiast skorzystali z nieobecności hrabianki i ruszyli w ich kierunku.

- Jeśli to cię pocieszy, kochanie - zwrócił się do żony - uważam Elizabeth Cameron za najwspanialszą i najdzielniejszą dziewczynę, jaką znam. Oczywiście, z wyjątkiem ciebie.

- Dziękuję.

Aleksa próbowała się uśmiechnąć, lecz wzrokiem odprowadzała Elizabeth, która wchodziła po krętych schodach.

- Pozałuję tego - oznajmiła lodowatym tonem księżna wdowa, po czym zdecydowanym ruchem odwróciła się od dwóch bliskich przyjaciółek, które właśnie kierowały się w jej stronę.

Jedynie znajomi księżnej wdowy przyłączyli się dziś do Townsende'ów, ponieważ byli jej rówieśnikami i wielu nie zdawało sobie sprawy, że hrabiankę Cameron należy ośmieszyć, upokorzyć i wyrzucić z towarzystwa.

Aleksa przełknęła łzy i spojrzała na męża.

- Przynajmniej - zdobyła się na żart - Elizabeth nie może narzekać za zupełny brak wielbicieli. Belhaven ciągle się przy niej kręci.

- Bo - odparł bez namysłu książę - znajduje się na czarnej liści wszystkich gości i nikt nie zniżył się do przekazania mu informacji na temat przeszłości twojej przyjaciółki. Jeszcze nie - dodał, ze zmrużonymi oczami przyglądając się, jak dwóch podstarzałych dandysów ciągnie sir Francisa za rękaw, ruchem głowy wskazują hrabiankę i zaczynają szybko szeptać.

Elizabeth przesiedziała dobre pół godziny w małym, ciemnym saloniku, usiłując się opanować. Właśnie tam dobiegły ją podniecone głosy gości, dyskutujących o czymś, co każdego innego wieczoru wywołałoby u niej przynajmniej szok: Ian został dopiero co ogłoszony jedynym dziedzicem księcia Stanhope'a. Dziewczyna nie czuła zupełnie nic.

Była tak załamana, że nie potrafiła już nic odczuwać. Przypomniała sobie jednak słowa, które Valerie wypowiedziała dawno temu, spoglądając na niego przez gałęzie żywopłotu: „Podobno Ian Thornton jest wnukiem księcia Stanhope'a z nieprawego łoża”. Wspomnienie owo nie obudziło jednak w Elizabeth żadnych uczuć, przepłynęło i zgasło. Kiedy nie mogła już dłużej zwlekać i musiała wrócić na salę balową, zeszła po schodach, omijając gości i starając się unikać złośliwych spojrzeń, od których twarz jej płonęła, a serce się ścisnęło. Mimo krótkiego odpoczynku w głowie jej szumiało; udawanie, że nic się nie stało, wymagało nadludzkiego wysiłku. Muzyka, którą Elizabeth niegdyś tak lubiła, huczała jej teraz w uszach kakofonią dźwięków, wokoło rozbrzmiewały śmiechy i głośne rozmowy, a lokaj, który stał na szczycie schodów, anonsował kolejnych gości niczym wartownik wykrzykujący godzinę. Wiele nazwisk dziewczyna pamiętała z pierwszego pobytu w

Londynie, każde zaś oznaczało, że oto pojawia się kolejna osoba, która zaraz wejdzie do sali balowej i ku swemu oburzeniu usłyszy, że jest tu hrabianka Cameron. Następny głos będzie powtarzał stare plotki, następna para uszu ich wysłucha, popatrzy na nią następna para zimnych oczu.

Wszyscy będą wspominać zadufanie jej brata, który dwa lata temu po kolei odrzucał jej konkurentów, wszyscy będą drwić, że teraz weźmie ją sobie sir Francis. I właściwie Elizabeth nawet ich nie winiła. Ją samą zżerał taki wstyd, że na każdą twarz, na której zamiast pogardy i lekceważenia malowało się współczucie i zmieszanie, spoglądała z niepokojem i podejrzliwością.

Zbliżając się do Townsende'ów zauważyła, że sir Francis, wyglądający okropnie w różowych spodniach i kanarkowym surducie, prowadzi ożywioną rozmowę z Aleksą i księciem Hawthorne'em. Rozejrzała się w poszukiwaniu jakiegoś schronienia i nagle dostrzegła twarze, których miała nadzieję już nigdy więcej nie zobaczyć. Kilka kroków od niej stał wicehrabia Mondevale w grupce młodych mężczyzn i dziewcząt, które Elizabeth niegdyś nazywała przyjaciółkami. Popatrzyła na niego obojętnie i poszła w inną stronę. Omal nie krzyknęła ze zdumienia, kiedy wyrósł przed nią, gdy już zbliżała się do Aleksy i jej męża. Miała do wyboru: rozdeptać go albo przystanąć.

Wyglądał sztywnie, na jego szczerej twarzy malowało się współczucie i lekkie zakłopotanie.

- Elizabeth - odezwał się cicho - wyglądasz pięknie jak zwykle.

Był ostatnim człowiekiem, od którego spodziewałaby się dobrego słowa i życzliwości. Nie wiedziała, czy odczuwa wdzięczność, czy gniew, bo przecież zerwanie zaręczyn przez wicehrabiego w znacznym stopniu przesądziło o jej losie.

- Dziękuję, wicehrabio - odparła obojętnie.

- Chciałem tylko... - zaczął, bacznie się przypatrując jej spokojnej twarzy - powiedzieć, że... że przepraszam.

Tu miarka się przebrała. Rozdrażniona dziewczyna wyżej uniosła zgrabny podbródek.

- Za co, wicehrabio?

Przełknął ślinę. Stał tak blisko, że rękawem otarł o jej ramię, kiedy uniosł i opuścił rękę.

- Za mój udział w tym, co cię spotkało.

- Jak mam na to zareagować? - spytała szczerze, bo naprawdę nie wiedziała.

- Na pani miejscu - odrzekł z ponurym uśmiechem - chyba dałbym mi w twarz za te przeprosiny poniewczasie.

Elizabeth na moment odzyskała poczucie humoru.

- To doskonała sugestia - odparła z majestatycznym skinieniem głowy.

Ku jej zdumieniu w oczach mężczyzny błysnął jeszcze większy podziw. A ponieważ nie zamierzał od niej odejść, dziewczynie nie pozostało nic innego, tylko przedstawić go Townsende'om, których - jak się okazało - już znał. Podczas gdy Mondevale i Jordan wymieniali banalne uwagi, Elizabeth z rosnącym przerażeniem zobaczyła, że w ich stronę sunie Valerie, najwyraźniej oburzona, że wicehrabia na chwilę ją opuścił. Ramię w ramię z przyjaciółką kroczyły Penelopa, Georgina i reszta towarzystwa, otaczając wianuszkami przerażoną Elizabeth. Dziewczyna usiłowała jednocześnie uciec przed nimi i uwolnić Aleksę od nudnego monologu i lepkiego spojrzenia sir Francisa, więc odwróciła się do księżnej, lecz Belhavena nie dało się uciszyć. Nim zakończył swą opowieść, Valerie już podeszła i Elizabeth znalazła się w pułapce. Dawna przyjaciółka zmierzyła dziewczynę złośliwym, pogardliwym wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na jej bladej twarzy.

- Proszę, proszę, czyż to nie Elizabeth Cameron? Kogo jak kogo, ale ciebie nie spodziewałam się zastać na tej sali.

- W to nie wątpię - odparła hrabianka spokojnie, lecz to spotkanie pochłonęło resztki jej sił.

- Rzeczywiście, tego się nie spodziewałyśmy - zachichotała Georgina.

Elizabeth miała wrażenie, że się dusi. Nagle salę balową przesłoniła mgła. Do tej pory Townsende'owie stali samotnie, niczym wysepka na oceanie, teraz wszyscy spoglądali, ciekawi, kto odważył się do nich zbliżyć. Walc rozbrzmiewał ogłuszającym crescendo; głosy stawały się coraz głośniejsze, a nad gwarem niosły się ogłuszające monotonne zapowiedzi lokaja:

- Hrabstwo Marsant! - anonsował. - Hrabia Norris!... Lord Wilson!... Lady Millicent Montgomery!...

Valerie i Georgina z rozbawieniem spoglądały na pobladałą Elizabeth. Mówiły coś, lecz ich słowa nie docierały do dziewczyny, której dudniło w uszach i słyszała wyłącznie głośnie okrzyki lokaja:

- Sir William Fitzhugh!... Lordostwo Enderly!...

Odwróciwszy się od zionących nienawiścią dawnych przyjaciółek, dziewczyna wyszeptała z trudem:

- Alekso, źle się czuję.

Lecz przyjaciółka nie słyszała, bo sir Francis znowu ją zanudzał swoimi opowieściami.

- Baronostwo Littlefield!... Sir Henry Hardin!...

Zdesperowana Elizabeth zbliżyła się do księżnej wdowy. Jeśli stąd nie wyjdzie, albo zacznie krzyczeć, albo zemdleje. Nie obchodzi jej, że Valerie, Georgina oraz wszyscy zebrani będą wiedzieli, że uciekła, nie wytrzymawszy własnej hańby.

- Muszę wyjść - powiedziała do księżnej.

- Hrabia Titchley!... Hrabiosstwo Rindell!...

Stara dama ruchem dłoni uciszyła starą przyjaciółkę i zwróciła się do Elizabeth:

- Co mówiłaś?

- Jego wysokość, księżę Stanhope!... Markiz Kensington!...

- Powiedziałam... - zaczęła dziewczyna, lecz pobladła księżna utkwiała wzrok w podeście, na którym stał lokaj. - Muszę wyjść!

W dziwnej ciszy, która nagle zapadła w sali, głos Elizabeth zabrzmiał nienaturalnie głośno. Księżna wdowa nie odpowiedziała, tylko zrobiła to samo, co pozostali goście: wpatrywała się w schody.

- Jeszcze tego brakowało! - wyszczała z furją.

- S... słucham? - spytała oszołomiona dziewczyna.

- Masz skłonności do omdleń? - zapytała starsza dama, odrywając wzrok od podestu i przenikliwym spojrzeniem mierząc Elizabeth.

- Nie, nigdy jeszcze nie zemdlałam, ale naprawdę źle się czuję.

Za nią Valerie i Georgina wybuchnęły śmiechem.

- Nie mi się waży wychodzić, dopóki ci nie pozwolę - oświadczyła szorstko księżna.

Spojrzała znacząco na lorda Anthony'ego Townsende'a, miłego, spokojnego młodego człowieka, który dziś towarzyszył Elizabeth. Nieoczekiwanie chwycił ją pod łokieć i podtrzymał mocno. Wszyscy goście napierali teraz na klatkę schodową, albo też z uniesionymi brwiami obserwowali hrabiankę Cameron. Tylokrotnie ją tu mierzono dziś wzrokiem, że już nie zwracała uwagi na setki wwiercających się w nią oczu. Poczowała jednak, że wokół niej rośnie napięcie i podniecenie i niepewnie zerknęła w kierunku źródła zamieszania. To, co ujrzała, sprawiło, że ugięły się pod nią kolana, a w gardle zrodził się krzyk. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że widzi podwójnie. Mrugnęła, ale nic się nie zmieniło. Po schodach, ramię w ramię schodzili dwaj mężczyźni identycznego wzrostu, obaj w czarnych strojach wieczorowych. Na uderzająco podobnych twarzach obu gości widniało takie samo lekkie rozbawienie. Jednym z nich zaś był Ian Thornton.

- Elizabeth - szepnął stanowczym tonem Tony - chodź ze mną. Zatańczymy.

- Zatańczymy? - wykrztusiła z siebie.

- Właśnie.

Pociągnął ją na parkiet. Tam miejsce szoku zajęło błogosławione poczucie nierzeczywistości. Zamiast zмагаć się z koszmarną myślą, że teraz plotki na temat jej dawnego związku z Ianem wybuchną ze zdwojoną siłą, oraz z równie przerażającym faktem obecności tego mężczyzny na balu, mózg Elizabeth po prostu przestał pracować. Hałasy sali balowej przestały rozsadzać jej głowę, prawie ich nie słyszała. Już jej nie raniły uważne spojrzenia, widziała tylko ramię Tony'ego w wytwornym, granatowym surducie. Nawet kiedy partner niechętnie poprowadził ją z powrotem do grupki zebranej wokół Townsende'ów, w której nadal znajdowali się Valerie, Georgina oraz wicehrabia Mondevale, Elizabeth nie czuła... zupełnie nic.

- Wszystko w porządku? - spytał zaniepokojony brat Jordana.

- Doskonale - odparła ze słodkim uśmiechem.

- Masz przy sobie sole trzeźwiące?

- Ja nigdy nie mdleję.

- To dobrze. Twoje przyjaciółki ciągle tu są i nastawiają uszu, płonąc z ciekawości, co się teraz wydarzy.

- Naturalnie, za nic by nie przepuściły takiej okazji.

- Jak sądzisz, co on zrobi?

Elizabeth podniosła wzrok i spokojnie popatrzyła na Iana. Nadal stał obok siwego mężczyzny, tak uderzająco do niego podobnego. Otaczali ich goście, najwyraźniej czegoś im gratulując.

- Nic. - Nic?

- Czemu miałby coś zrobić?

- Uważasz, że cię zignoruje?

- Nigdy nie wiem, czego się po nim spodziewać. Zresztą, to przecież bez znaczenia.

W tej samej chwili Ian podniósł wzrok i dostrzegł Elizabeth. Jedyne, co najchętniej by teraz zignorował, to gratulujących mu ludzi. Marzył, by przecisnąć się przez gości i podejść do niej. Ale jeszcze nie mógł. I choć była blada, wstrząśnięta i jednocześnie zapierała dech swoją urodą, to jeśli chciał naprawdę pomóc swej narzeczonej, musiał się do niej zbliżyć swobodnie, jakby mimochodem. Tymczasem ciągle oblegała go grupa winszujących. Mężczyźni recytowali kolejne pochlebstwa, kobiety dygały, ci zaś, którzy tego nie robili - zauważył z wściekłością - szeptali i spoglądali na hrabiankę Cameron.

Wytrzymał pięć minut, po czym krótkim skinieniem głowy dał dziadkowi znak i obaj wyrwali się z kręgu trzech tuzinów chętnych, oczekujących na oficjalne przedstawienie

markizowi Kensingtonowi. Razem wmieszali się w tłum. Ian automatycznie kłaniał się znajomym, starając się trzymać wcześniej wyznaczonego kierunku i od czasu do czasu przystając, by wymienić z kimś uścisk dłoni, tak aby nikt nie dostrzegł, że kieruje się prosto do Elizabeth. Dziadek, któremu w drodze wyłożył cały plan, po mistrzowsku go realizował.

- Stanhope! - zahuczał ktoś. - Przedstaw nas swojemu wnukowi!

Idiotyczna szarada wystawiała nadszarpniętą już cierpliwość młodego człowieka na ciężką próbę. Połowa bywalców salonów znała już go jako Iana Thorntona i udawanie, że tak nie jest, uważał za bezsensowną farsę. Ale zniósł również i to, byle tylko zachować pozory.

- Jak się miewasz, Wilson? - zagadał podczas jednego z niezliczonych przystanków. - Suzanne...

Uśmiechnął się do żony tamtego, kątem oka obserwując Elizabeth. Nie poruszyła się, była jak skamieniała. Ktoś podał jej kieliszek szampana, trzymała go w smukłych palcach, uśmiechając się do Jordana Townsende'a, który z nią rozmawiał. Nawet z daleka Ian widział, że jej uśmiech był pozbawiony zwykłego blasku. Serce mu się ścisnęło.

- Oczywiście - usłyszał swój głos, gdy przyjmował czyjeś zaproszenie.

Dłużej już nie mógł wytrzymać. Odwrócił się do Elizabeth. Dziadek posłusznie przerwał rozmowę z jakimś nudziarzem. Kiedy Ian ruszył w stronę Townsende'ów, szepty wybuchnęły ze zdwojoną siłą.

Aleksandra niespokojnie popatrzyła na przyjaciółkę, a potem na Jordana.

- Błagam, poproś Elizabeth do tańca - zaklinała. - Na miłość boską, zabierz ją stąd. Ten potwór zmierza prosto w naszym kierunku.

Jordan zawahał się i zerknął na Iana. Dostrzegł w jego oczach COŚ, co sprawiło, że pokręcił głową.

- Wszystko będzie dobrze, najmilsza - zapewnił ją, choć poczuł lekki niepokój. Podszedł do przyjaciela i uściśnął mu dłoń, zupełnie jakby parę godzin temu nie grał z nim w karty. - Pozwól, że cię przedstawię mojej żonie - powiedział.

Skierował się ku pięknej brunetce, która spoglądała na Thorntona płonącymi, niebieskimi oczami.

- Bardzo mi miło - mruknął Ian, unosząc jej rękę do ust, choć wyraźnie usiłowała wyszarpnąć dłoń.

Księżna wdowa przyjęła ukłon Iana gestem, który jedynie ktoś o bujnej wyobraźni mógłby określić skinieniem królewskiej, siwej głowy.

- Mnie zaś wcale nie jest miło pana poznać - warknęła.

Zniósł afronty obu pań i czekał, aż przyjaciel przedstawi go reszcie towarzystwa.

Panna imieniem Georgina ukłoniła mu się, posyłając zachęcające spojrzenie. Inna, niejaka Valerie, dygnęła i aż się cofnęła, przestraszona piorunującym wzrokiem Thorntona, który tylko zimno skinął jej głową. Po niej przysła kolej na Mondevale'a i zazdrość, która w pierwszym momencie ogarnęła Iana, zniknęła, gdy zobaczył, jak Valerie zaborczo uwiesiła się ramienia wicehrabiego. „Podejrzewam, że chciała zdobyć Mondevale'a...”, przypomniał sobie słowa Elizabeth.

Ona zaś przyglądała się wszystkiemu z ciekawością, bez żadnych emocji, dopóki Ian nie stanął przed nią. Ledwo poczuła na sobie spojrzenie bursztynowych oczu mężczyzny, znowu zaczęły jej drżeć nogi.

- Hrabianka Elizabeth Cameron - dokończył prezentacji Jordan.

Na twarzy Iana zagościł leniwy uśmiech, Elizabeth zebrała siły w oczekiwaniu na jakąś drwinę, tymczasem w jego głębokim głosie zabrzmiał podziw.

- Hrabianko Cameron - odezwał się donośnie, by usłyszały to pozostałe dziewczęta. - Widzę, że nadal gasną przy pani wszystkie damy. Czy mogę przedstawić mojego dziadka...

Elizabeth wiedziała, że to musi być sen. Żadnej z dziewcząt nie przedstawił starego księcia, tylko jej i wszyscy dostrzegli owo wyróżnienie.

Kiedy wreszcie odszedł, biedaczka omal nie osunęła się na podłogę z ulgi.

- Hm - oświadczyła księżna, niechętnie kiwając głową z aprobatą. - Przyznam, że nieźle to rozegrał. - Spójrzcie - odezwała się po kilku minutach - prowadzi do tańca Evelyn Makepeace. Skoro ona mu nie odmówiła, to znaczy, że został przyjęty do wielkiego świata. Elizabeth stłumiła histeryczny śmiech. Tak jakby łanowi Thorn - tonowi zależało na aprobacie wielkiego świata! Z zadumy wyrwał ją drugi mężczyzna, który tego wieczoru poprosił ją do tańca. Księżę Stanhope skłonił się przed nią głęboko i uśmiechnął serdecznie. - Mogę prosić o zaszczyt tego tańca, hrabianko Cameron? - spytał, ostentacyjnie lekceważąc reguły dobrego wychowania, nakazujące poprosić najpierw starszą damę.

W pierwszej chwili Elizabeth zamierzała odmówić. Nie była pewna, czy w tym momencie w ogóle pamięta, jak się tańczy, jednak w oczach księcia malowało się takie napięcie i naleganie, że zawahała się, a wreszcie z ociąganiem położyła dłoń na jego ramieniu.

Kiedy szli przez tłum, Elizabeth postanowiła uwolnić się od wszelkich myśli. Tak jej się to udało, że dopiero gdy wkroczyli na parkiet, uświadomiła sobie, iż stary księżę porusza się nieco wolniej, niżby się należało spodziewać. Oprzytomniała i zaniepokojona zerknęła na partnera.

- Pamiętka po upadku z konia - wyjaśnił z uśmiechem, rozumiejąc przyczynę jej

troski. - Ale doskonale nad tym panuję i nie przyniosę pani wstydu.

To powiedziawszy, objął ją w talii i z gracją poprowadził ją do tańca. Kiedy jednak inne pary zasłoniły ich przed wzrokiem gapiów, spowaźniał.

- Ian polecił mi, bym przekazał pani wiadomość - zwrócił się do niej łagodnie.

Nie po raz pierwszy Elizabeth pomyślała, że w ciągu owych krótkich pięciu dni, jakie spędziła w towarzystwie Iana, ten stawiał jej świat oraz uczucia na głowie. Dziś wszakże już mu na to nie pozwoli, nie jest w nastroju. Spojrzała na księcia uprzejmie, lecz bez cienia ciekawości. Nie interesowało jej, cóż takiego może zawierać posłanie od Iana Thorntona.

- Prosił, aby się pani nie niepokoiła - ciągnął książkę. - Proszę zostać tu jeszcze godzinę i ufać mu.

Elizabeth całkowicie straciła panowanie nad sobą. Zdumiona, szeroko otworzyła oczy, a jej szczupłe ramiona zatrzęsły się od histerycznego śmiechu. Wreszcie pokonało ją napięcie i wyczerpanie.

- Zaufać mu? - powtórzyła.

Ilekróć znalazła się w towarzystwie Iana Thorntona, czuła się jak piłka uderzana i odbijana rakieta w wybranym przez niego kierunku. Miała tego serdecznie dość. Znowu uśmiechnęła się do księcia i pokręciła głową nad czystym absurdem tego polecenia.

Tancerze, którzy znajdowali się najbliżej, natychmiast dostrzegli i zapamiętali, że - co zdumiewające - hrabianka Cameron jest na niezwykle przyjacielskiej stopie z księciem Stanhope'em. Sumiennie i z pewnym niepokojem odnotowano również fakt, że nie jeden, lecz dwa najbardziej wpływowe angielskie rody wzięły ją pod swoje skrzydła.

Ian jeszcze przed wejściem na salę przewidział, jakim torem pobiegną myśli zebranych. Ponieważ nie mógł położyć kresu plotkom o swoim związku z Elizabeth, postanowił zmienić ich charakter. Z nietypową dla siebie uprzejmością przyjmował pochlebstwa i komplementy, a także od czasu do czasu zatrzymywał na Elizabeth zachwycone spojrzenie. Jego nieskrywane zainteresowanie hrabianką oraz leniwy, pogodny uśmiech prowokował do pytań ciekawskich, którzy otoczyli kołem nowego dziedzica fortuny i tytułu Stanhope'ów. Zachęceni jego postawą, pragnąc z pierwszej ręki dowiedzieć się czegoś o znajomości markiza z panną Cameron, odważyli się na nieśmiałe, żartobliwe uwagi. Lord Newsom, zamożny pyszałek, dostrzegłszy, że Ian spogląda ukradkiem na Elizabeth, posunął się nawet tak daleko, że rzucił lekkim tonem, typowym podczas męskich pogawędek o kobietach:

- Ładna sztuka, co? Całe miasto trzęsło się od plotek, kiedy dwa lata temu zaszyłeś się z nią na całe popołudnie w jakiejś chacie.

Ian uśmiechnął się i podniósł kieliszek do ust, otwarcie przyglądając się hrabiance.

- Doprawdy? - spytał rozbawiony, na tyle głośno, by usłyszeli to płonący z ciekawości słuchacze.

- O, tak.

- A czy byłem zadowolony?

- Słucham?

- Pytam, czy byłem zadowolony z naszego tete - a - tete?

- Jak to? Przecież sam wiesz najlepiej.

Nie zaprzeczył, rozumiejąc, że w ten sposób nikogo by nie przekonał, tylko zostawił ów komentarz bez odpowiedzi. Wreszcie inny ciekawski nie wytrzymał.

- To jak, nie byłeś tam z nią?

- Nie - przyznał się Ian ze smętnym, konspiracyjnym uśmiechem. - Ale nie dlatego, że nie próbowałem.

- Daj spokój, Kensington - prychnął pogardliwie któryś z plotkarzy. - Za późno już na ratowanie jej opinii. Widziano cię z nią w oranżerii.

Zamiast dać swemu rozmówcy w twarz, Ian spojrzał na niego, z rozbawieniem uniósłszy brew.

- Jak już wspominałem, bezskutecznie usiłowałem się z nią spotkać sam na sam.

Siedmiu mężczyzn gapiło się na niego ze zdumieniem, a potem z rozczarowaniem. Po chwili na ich twarzach zagościła pełna zdumienia wdzięczność, kiedy nowy markiz zasięgnął u nich rady.

- Ciekaw jestem - odezwał się, jakby głośno myślał - czy łaskawszym okiem spojrzysz na markiza, bowiem zwykły śmiertelnik nie mógł liczyć na jej względy.

- Litości, człowieku - zaśmiał się drwiąco któryś z dżentelmenów. - Obietnicą książęcej mitry zdobędziesz rękę każdej kobiety.

- Obietnicą książęcej mitry - powtórzył Ian, lekko marszcząc czoło. - Mam zatem rozumieć, że hrabianki nie zadowolą nic oprócz małżeństwa?

Jego rozmówca, który bynajmniej nie to miał na myśli, skinął głową, choć nie wiedział, czemu przytaknął.

Odchodząc, Ian zostawił grupce sześciu plotkarzy smakowity kąsek w postaci przekonania, że hrabianka Cameron dała markizowi Kensingtonowi kosza, gdy nie mógł się poszczycić szlacheckim tytułem, a owa wieść była znacznie bardziej apetyczna niż poprzednia, o tym jakoby ją uwiódł.

Oczywiście cała szóstka natychmiast podzieliła się owymi wnioskami z każdym, kto

zechciał ich słuchać, a wszyscy chętnie nadstawiali ucha. Po pół godzinie w sali balowej aż się zatrzęsło od spekulacji, jakie wywołała ta nowa wiadomość, i wielu z zebranych zaczęło patrzeć na Elizabeth zgoła inaczej. Dwóch młodych dandysów nieśmiało zwróciło się do starego księcia, by ich przedstawił hrabiance i wkrótce Ian zobaczył, jak jeden z nich prosi Elizabeth do tańca, a dziadek udziela im aprobaty. Wiedząc, że zrobił, co w jego mocy, by dziś powstrzymać plotki na temat dziewczyny, Ian przystąpił do kolejnego obowiązku, który musiał ścierpieć, zanim będzie mógł ją poprosić do tańca, nie narażając na obmowę: zatańczył z siedmioma kobietami w różnym wieku, ale o nieskazitelnej reputacji.

Zakończywszy owe siedem obowiązkowych tańców, Ian napotkał wzrok Jordana Townsende'a i niemal niedostrzegalnie skinął głową ku balkonowi, dając młodemu księciu znak, o którym - jak wiedział - dziadek już uprzedził przyjaciela.

Elizabeth nie dostrzegła tej wymiany spojrzeń. Stała z Townsende'ami, a wokół niej wirowały roztańczone pary. Oszołomiona dostrzegła wokół siebie wielu dżentelmenów, którzy nagle stracili do niej całą odrazę i prowadzili uprzejmą rozmowę. Ale czuła tylko ulgę, że goście przestali traktować Townsende'ów jak zadżumionych oraz irytację, że kiedy godzinę temu spytała Jordana, czy mogłaby już wyjść, ten zerknął na księcia Stanhope'a, pokręcił głową i odpowiedział łagodnie:

- Jeszcze nie.

Musiła zatem zostać, otoczona wianuszkami gości, których twarze i głosy właściwie do niej nie docierały, chociaż z uprzejmym uśmiechem słuchała wygłaszanych uwag, kiwała głową, przyznając rację swym rozmówcom, a z kilkoma nawet zatańczyła.

Nie zdawała sobie sprawy z tego, że książę Stanhope przekazał Jordanowi pozostałe instrukcje swego wnuka, toteż nie domyśliła się niczego, gdy mąż Aleksy skinął głową na sygnał Iana i zwrócił się do brata:

- Sądzę, że panie chętnie by wyszły na balkon.

Aleksa zerknęła pytająco, ale położyła dłoń na ramieniu męża, Elizabeth zaś posłusznie się odwróciła i pozwoliła, by lord Anthony podał jej ramię. Wraz z księciem Stanhope'em udali się na balkon, a Townsende'owie niczym gwardia honorowa strzegli hrabianki, poinstruowani przez tego samego człowieka, który sprawił, że potrzebowała teraz wsparcia i obrony.

Szeroki balkon otaczała wysoka kamienna balustrada. Stało tam już wiele par, by zaczerpnąć świeżego powietrza i popatrzeć na bezksiężycowe niebo. Ku zaskoczeniu Elizabeth, Jordan nie poprowadził ich od razu do balustrady, tylko skierował się na prawo, gdzie balkon zniknął za załomem muru. Udali się na sam koniec balkonu. Wdzięczna, że

wybrał to ustronne miejsce, gdzie znajdują trochę odosobnienia, Elizabeth wysunęła dłoń z uścisku Tony'ego i podeszła do balustrady. Jordan Townsende, który stał kilka kroków dalej, zrobił to samo, tyle że oparł się łokciem o poręcz i stanął bokiem, zasłaniając dziewczynę przed ewentualnym intruzem, który by chciał udać się tu ich śladem. Kątem oka dostrzegła, że z czułym uśmiechem powiedział coś do Aleksandry. Elizabeth odwróciła głowę i zapatrzyła się w mrok, pozwalając, by wiatr ochłodził jej twarz.

Za nią, tam gdzie stał Tony, poruszył się nagle jakiś cień, czyjaś dłoń delikatnie chwyciła dziewczynę za łokieć i tuż przy jej uchu rozległ się głęboki, gardłowy głos:

- Zatańcz ze mną, Elizabeth.

Znieruchomiła, usiłując nadal chronić się za barykadą obojętności. Wpatrzona w przestrzeń odrzekła bardzo uprzejmie, spokojnym tonem:

- Czy mogę pana prosić o wielką przysługę?

- O co tylko zechcesz - zapewnił ją gorąco.

- Niech pan sobie idzie. I proszę więcej się do mnie nie zbliżać.

- Co tylko zechcesz - powtórzył z uśmiechem Ian. - Z wyjątkiem tego.

Poczuła, że zbliżył się do niej. Powróciło nerwowe drżenie, nad którym panowała przez ostatnie kilka godzin, i wyrwało ją z błogosławionego stanu uśpienia. Ian delikatnie pogładził jej ramię.

- Zatańcz ze mną.

Dwa lata temu, w sędzie, kiedy wypowiedział te słowa, Elizabeth pozwoliła wziąć się w ramiona. Dziś, choć przestała się czuć napiętnowana, nadal wisiała nad nią groźba skandalu, dlatego pokręciła głową.

- Nie uważam tego za rozsądne.

- Do tej pory nigdy nie kierowaliśmy się rozsądkiem. Nie psujmy tej tradycji.

Znowu potrząsnęła głową i nie chciała się odwrócić, ale Ian tak mocno ścisnął jej ramię, że w końcu musiała go posłuchać.

- Nalegam.

Niechętnie spojrzała na niego.

- Dlaczego?

- Ponieważ - wyjaśnił, czule się do niej uśmiechając - już tak długo cierpiełem męki, prosząc do tańca brzydkie kobiety o nieskazitelnej opinii, żeby teraz móc zatańczyć z tobą, nie wywołując tym kolejnych bolesnych plotek na nasz temat.

Te słowa i pieszczotliwy ton mężczyzny sprawiły, że podwójnie miała się na bacności.

- Co pan przez to rozumie?

- Dowiedziałem się, co nastąpiło po tamtym przyjęciu u Charise - ciągnął łagodnie. - Lucinda dobitnie wyjaśniła to mojemu wujowi. Nie patrz na mnie z takim żalem. Jedynym błędem panny Throckmorton - Jones było to, że zwróciła się do Duncana, zamiast do mnie.

Ian Thornton, który dziś z nią rozmawiał, wydawał się dziewczynie boleśnie znajomy. To ten sam mężczyzna, którego poznała przed dwoma laty.

- Wejź ze mną do środka - poprosił, mocniej ściskając jej ramię - a spróbuję ci to wszystko wynagrodzić.

Elizabeth dała mu się poprowadzić, ale po kilku krokach przystanąła.

- To nierozsądne. Wszyscy nas zobaczą i pomyślą, że historia się powtarza...

- Już nie - uspokajał ją. - W towarzystwie zaczęła krążyć plotka, że dwa lata temu próbowałem cię schwytać w sidła, ale ponieważ nie mogłem cię skusić szlacheckim tytułem, nic z tego nie wyszło. Ponieważ w tym światku dążenie do posiadania tytułu uważa się za równie wzniosłe, jak krucjatę, wszyscy będą podziwiał twój zdrowy rozsądek. Teraz, skoro mogę się pochwalić tytułem, ludzie zaczną oczekiwać, że spróbuję zdobyć to, czego wcześniej nie uzyskałem i w ten sposób zaleczę ranę na moim męskim honorze. - Odgarnął kosmyk włosów z jej policzka. - Wybacz. Tylko tak można było uratować twoją opinię, w końcu widziano nas w kompromitującej sytuacji. A ponieważ nigdy by nie uwierzyli, że do niczego nie doszło, musiałem przynajmniej sprawić, by myślano, że próbowałem cię uwieść, ty zaś mi się oparłaś.

Elizabeth skrzywiła się, kiedy dotknął jej twarzy, ale nie odepchnęła dłoni Iana .

- Nie rozumie pan. W pełni sobie zasłużyłam na to, co mnie spotkało. Znałam reguły gry, ale odrzuciłam je, zostając z panem w tamtej chacie. Nie trzymał mnie pan tam siłą, złamałam zasady i...

- Elizabeth - przerwał jej surowo, z wyrzutem - wyświadczyć mi tę łaskę i przynajmniej przestań mnie rozgrzeszać za to, co się wtedy wydarzyło. Tego nie zniosę. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak cię omotałem. - Marzył, by ją pocałować, tymczasem musiało mu wystarczyć, że spróbuje ją przekonać do swojego zamiaru. Bez jej zgody i współudziału plan się nie powiedzie. - Chyba nie doceniasz mojego zmysłu strategicznego i subtelności - dodał żartobliwie. - Chodź, zatańcz ze mną, a udowodnię ci, z jaką łatwością można manipulować umysłami obecnych na balu.

Skinęła głową, nie wykazując ani entuzjazmu, ani ciekawości i dała się wyprowadzić z balkonu.

Mimo przekonania, że plan się powiedzie, wkrótce po wejściu do sali balowej, Ian

dostrzegł w oczach bacznie obserwujących ich gości coraz większy chłód i ogarnęło go prawdziwe przerażenie. Dopiero kiedy wziął Elizabeth w ramiona, by zatańczyć z nią walca, pojął, co było przyczyną owej reakcji.

- Elizabeth - szepnął, patrząc na jej pochyloną głowę. - Przestań wyglądać jak skruszona winowajczyni! Podnieś głowę i spojrzysz na mnie zimno albo zacznijmy flirtować, ale pod żadnym pozorem nie miej pokornej miny, bo ci gapie uznają, że czujesz się winna.

Zaskoczona dziewczyna wbiła zawstydzony wzrok w jego ramię i podniosła głowę.

- Słucham?

Serce mu ścisnęło, kiedy w blasku kryształowych żyrandoli dostrzegł w jej cudownych, zielonych oczach ból. Zrozumiał, że logiczne argumenty ani perswazje tu nie pomogą, więc postanowił zastosować taktykę, która w Szkocji osuszyła jej łzy i sprowokowała do śmiechu. Błyskawicznie znalazł właściwy temat do żartów.

- Belhaven wspaniale się dziś prezentuje w tych różowych jedwabnych pantalonach - zauważył szybko. - Poprosiłem go o nazwisko krawca, żebym mógł sobie zamówić takie same.

Elizabeth spojrzała na niego, jakby zwariował. Potem zrozumiała, dlaczego ostrzegął ją przed skruszoną miną i zaczęła pojmować, do czego zmierzał. Wyobraziła sobie wysokiego, smukłego Iana w idiotycznych różowych pantalonach i udało jej się przywołać na twarz cień uśmiechu.

- Mnie one również bardzo zachwyciły - odparła. - Zamierza pan uszyć sobie również kanarkowy surdut, by dopełnić efektu?

Jej partner uśmiechnął się lekko.

- Myślałem raczej o głębokim fiolecie.

- Oryginalne połączenie, ale z pewnością każdy, kto pana zobaczy, poczuje głęboką zazdrość.

Z dumą spoglądał na tę dzielną dziewczynę. Powstrzymał cisnące mu się na usta słowa - musi z tym poczekać do jutra, gdy spotkają się w cztery oczy. Rozglądał się gorączkowo po sali, szukając następnego tematu, by rozśmieszyć Elizabeth.

- Czy dobrze zgaduję, że panna Valerie, którą mi dziś przedstawiono, jest autorką naszych liścików z zaproszeniem do oranżerii?

Natychmiast się zorientował, że popełnił błąd. Oczy Elizabeth pociemniały. - Tak.

- Poprosić Willingtona, żeby opróżnił salę, abyś zyskała wymaganą odległość dwudziestu kroków? Oczywiście zgłaszam się na sekundanta.

Elizabeth z drzeniem wciągnęła powietrze, a na jej ustach ponownie zagościł uśmiech.

- Czy ma kokardę? Ian sprawdził.

- Niestety nie.

- A chociaż kolczyk?

Ponownie zerknął i zmarszczył brwi.

- To chyba brodawka?

Wreszcie uśmiech rozjaśnił również jej oczy.

- Niewielki cel, ale chyba...

- Pozwól, że cię wyręcę - odparł Ian z powagą. Elizabeth wybuchnęła śmiechem.

Gdy ucichły ostatnie dźwięki walca, Ian schodząc z parkietu, obserwował Mondevala, zbliżającego się do Townsendsów, którzy właśnie wrócili do sali balowej.

- Teraz kiedy został pan markizem - spytała dziewczyna - zamieszka pan w Szkocji czy też w Anglii?

- Przyjąłem sam tytuł, bez pieniędzy i posiadłości - wyjaśnił z roztargnieniem, nie spuszczając wzroku z wicehrabiego. - Wyjaśnię wszystko jutro rano, kiedy złożę ci wizytę. Jak tylko podejdziemy do Townsendsów, Mondeval poprosi cię do tańca, więc słuchaj teraz uważnie. Później jeszcze będę chciał z tobą zatańczyć, a ty mi odmówisz.

Zerknęła na niego zdziwiona, lecz skinęła głową.

- Jeszcze coś? - spytała, gdy już odprowadził ją do przyjaciół.

- Tak i to bardzo dużo, wszystko musi jednak poczekać do jutra.

Zaintrygowana Elizabeth skupiła uwagę na wicehrabim Mondevalu.

Aleksa obserwowała rozmowę przyjaciółki z Ianem, ale myślami krążyła gdzie indziej. W czasie gdy tamci tańczyli, dokładnie poinformowała męża, co sądzi o Ianie Thorntonie, który najpierw zrujnował reputację Elizabeth, a teraz jeszcze wmawia jej, że nie posiada żadnego majątku. Zamiast przyznać jej rację, że Thornton to człowiek bez skrupułów, Jordan tłumaczył, że jutro rano Ian zamierza wszystko wyjaśnić i naprawić, a następnie zmusił żonę i babkę do obietnicy, że nie puszczą pary z ust, dopóki zainteresowany sam nie przemówi. Zmuszając się do skupienia uwagi na balu, Aleksa zanosila modły, żeby Ian Thornton jeszcze bardziej nie zranił jej drogiej przyjaciółki.

Pod koniec balu u Willingtonów większość gości doszła do następujących wniosków: po pierwsze, że Ian Thornton bez cienia wątpliwości jest naturalnym wnukiem księcia Stanhope'a (i oczywiście wszyscy twierdzili, że od początku tak uważali); po wtóre, że dwa lata temu Elizabeth Cameron najprawdopodobniej odrzuciła jego nieprzystojne propozycje (i oczywiście wszyscy zapewniali, że byli o tym całkowicie przekonani); po trzecie zaś, że skoro dziś odrzuciła drugą prośbę markiza o taniec, może jednak woli swojego dawnego

wielbiciela, wicehrabiego Mondevale'a (w co jednak prawie nikt nie wierzył).

ROZDZIAŁ 22

Bentner wniósł do saloniku talerz bułeczek i postawił go przed Elizabeth oraz Aleksą, które siedziały przy stole i rozmawiały o wczorajszym balu. Lucinda, która rzadko jadła śniadanie, siedziała przy oknie, pochłonięta robótką i przysłuchiwała się ich pogawędce.

Salonik, podobnie jak wszystkie pokoje w przestronnej kamienicy przy Promenade Street, był urządzone w - jak to określał stryj Cameron - „praktycznych kolorach”, czyli w brązach i szarościach. Dziś jednak, przy nakrytym lnianym obrusem stoliku, wzrok przykuwała prawdziwa tęcza barw. Aleksa siedziała w pastelowym, różowym stroju wizytowym, Elizabeth zaś w jasnozielonej sukni domowej.

W innej sytuacji Bentner z błogim uśmiechem chłonałby ten czarujący obrazek, lecz dziś musiał się podzielić niemiłymi wiadomościami i przyznać do niewłaściwego postępków. Postawił masło i dżem, a potem zdjął serwetkę z bułeczek i przystąpił do nieprzyjemnego obowiązku.

- Mieliśmy wczoraj gości - poinformował swoją panią. - Pokazałem mu drzwi.

- Kto to był?

- Niejaki pan Ian Thornton.

Z trudem zapanowała nad pełnym zgrozy rozbawieniem, jakie ją ogarnęło, gdy sobie wyobraziła ową scenkę, ale nie zdążyła nic odpowiedzieć, lokaj bowiem kontynuował swe wyznania.

- Potem tego gorąco żałowałem. Należało go zaprosić do środka, zaproponować coś do picia i wsypać do szklanki lekarstwo na przeczyszczenie. Przez miesiąc chorowałby na żołądek!

- Bentner - parsknęła Aleksa - jesteś nieoceniony!

- Nie zachęcaj go - ostrzegła ją poważnie Elizabeth. - Bentner jest takim miłośnikiem powieści kryminalnych, że czasem zapomina, że to, co można zrobić na kartach książki, nie zawsze da się zrealizować w życiu. W ubiegłym roku uraczył w ten sposób mojego stryja.

- Owszem, i pan Cameron przez pół roku nie postawił u nas nogi - oświadczył z dumą lokaj Aleksie.

- A kiedy już przyjeżdża - dokończyła Elizabeth, marszcząc brwi, aby wyglądać groźnie - odmawia wszelkich napojów i jedzenia.

- I dlatego nigdy nie zostaje na długo - odparował niewzruszony Bentner.

Ilekróć toczyły się rozmowy na temat przyszłości jego panienki - jak chociażby teraz -

starał się trzymać w pobliżu, by służyć radą. A ponieważ Elizabeth zawsze doceniała jego pomoc i wsparcie, uważał, że nie ma nic niestosownego w tym, że stary sługa siedzi przy stole i włącza się do rozmowy, kiedy jedynym gościem jest dama, którą znał od jej dzieciństwa.

- Przede wszystkim trzeba się pozbyć tego odrażającego Belhavena - wróciła do poprzedniego tematu Aleksandra. - Wczoraj nie odstępował cię na krok i koso łypał na każdego, kto próbował się do ciebie zbliżyć. - Wzdrygnęła się ze wstrętem. - I ten jego lubieżny wzrok. Niedobrze się robi. To gorsze od obrzydzenia, ten łotr wręcz budzi odrazę.

Bentner usłyszał to i w jego wzroku pojawiła się zaduma. Przypomniał sobie jedną ze swoich ulubionych powieści kryminalnych.

- To odrobinę drastyczne rozwiązanie - odezwał się - ale w ostateczności można po nie sięgnąć.

Dziewczęta spojrzały na niego z ciekawością.

- Czytałem o tym w „Draniu spod ciemnej gwiazdy”. Można by kazać Aaronowi, by wprowadził sir Francisa i odstawił go do koszar.

Niech idzie do wojska!

Elizabeth z rozbawieniem potrząsnęła głową.

- Nie sądzę, by dał się ot, tak, wprowadzić Aaronowi.

- Ja zaś nie przypuszczam - dodała Aleksa, wymieniając z przyjaciółką uśmiechnięte spojrzenia - żeby rekrutujący byli aż tak zdesperowani, by go wziąć.

- Zawsze można się uciec do czarnej magii - ciągnął Bentner. - W „Śmiertelnym starciu” czarny charakter posługiwał się starożytnymi zaklęciami oraz miksturami, by rzucać czary. Potrzebowalibyśmy szczurzych ogonów, o ile dobrze pamiętam, i jeszcze języków...

- Nie - ucięła Elizabeth.

- ...jaszczurki - uparcie kontynuował lokaj.

- Wykluczone - powtórzyła jego pani.

- Do tego jeszcze świeżą pleśń i jad ropuchy, ale to może być nieco trudne. W książce nie napisano, jak odróżnić świeżą od...

- Bentner - broniła się ze śmiechem Elizabeth. - Jeśli natychmiast nie skończysz, zaraz obie zemdlejemy!

Kiedy służący odszedł, by w zaciszu własnego pokoju szukać dalszych rozwiązań, Elizabeth spojrzała na przyjaciółkę.

- Szczurze ogony i języki jaszczurek - zachichotała. - Nic dziwnego, że Bentner chce, by w jego pokoju przez całą noc paliła się świeca.

- Po takich lekturach zapewne nie może zmrzyć oka - dodała Aleksa, ale wróciła do wydarzeń ubiegłej nocy. - Jedno jest pewne:

dobrze zrobiłam, namawiając cię do pojawienia się na balu. Wczorajszy wieczór okazał się trudniejszy, niż myślałam, ale dalej już pójdzie gładko. W ciągu tygodnia na pewno posypią się oświadczenia, więc musimy postanowić, kto najbardziej ci się podoba i go zachęcać do zalotów. Sądzę - ciągnęła łagodnie - że jeśli nadal chcesz wyjść za Mondevale'a...

Elizabeth zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie chcę już nikogo, Aleksa. Nie żartuję.

Księżna wdowa, która właśnie się pojawiła, by towarzyszyć wnuczce w porannej wyprawie po zakupy, deptała po piętach przerażonemu lokajowi, którego odsunęła, gdy powiedział, że pójdzie ją zaanonsować.

- Czy ja dobrze słyszę, Elizabeth? - spytała oburzona, że jej wczorajsze wysiłki mogą pójść na marne.

Hrabianka drgnęła na dźwięk jej władczego tonu. Z postaci księżnej, odzianej w wytworne srebrzyste szarości, promieniowało bogactwo, pewność siebie i arystokratyczne pochodzenie. Stara dama nadal budziła trwogę i respekt w Elizabeth, lecz, podobnie jak Aleksa, dziewczyna potrafiła w surowym tonie kobiety usłyszeć nutkę ciepła.

- Elizabeth miała na myśli - wyjaśniała Aleksa, gdy księżna wdowa zasiadła przy stole, starannie układając fałdy jedwabnej sukni - że spędziła dopiero jeden wieczór w towarzystwie, a po niefortunnych doświadczeniach z panami Mondevale'em i Thorntonem łatwo zrozumieć, czemu boi się pochopnie ulokować w kimś uczucia.

- Mylisz się, Aleksandro - oświadczyła księżna, bacznie się przyglądając dziewczynie.

- Moim zdaniem hrabianka miała na myśli, że, jeśli to będzie od niej zależało, nie zamierza wychodzić za mąż teraz ani w przyszłości.

Uśmiech Elizabeth zgasł, ale nie skłamała.

- Właśnie - powiedziała spokojnie, smarując bułkę masłem.

- Bardzo nieroztropna decyzja. Wyjdiesz za mąż, bo musisz to zrobić.

- Babcia ma rację - zawtórowała Aleksa. - Nie możesz liczyć, że pozostaniesz panną i będziesz się obracać w wielkim świecie, nie narażając się przy tym na liczne nieprzyjemności. Wierz mi, coś o tym wiem.

- Święte słowa. I dlatego - przystąpiła do rzeczy księżna, wyjaśniając zarazem powód swojej wczesnej wizyty - uznałam, że powinnaś rozpatrzyć kandydaturę Kensingtona.

- Kogo? - spytała Elizabeth, po czym przypomniała sobie najnowszy tytuł Iana . -

Dziękuję, ale nie skorzystam - oznajmiła zdecydowanym tonem. - Owszem, kamień spadł mi z serca, kiedy sprawy ułożyły się tak korzystnie, i będę mu dozgonnie wdzięczna za pomoc, ale to wszystko.

Elizabeth zignorowała leciutkie ukłucie w sercu na wspomnienie tego, jak pięknie wczoraj wyglądał i jak łagodnie się do niej odnosił. Wszak od pierwszego spotkania sprawiał jej wyłącznie ból, był nieprzewidywalny i despotyczny. Poza tym, kiedy zobaczyła, jaka więź łączy Aleksę z jej przystojnym mężem, zaczęła wątpić, czy przy wyborze małżonka należy się kierować wyłącznie zmysłem praktycznym. Słabo pamiętała pogodną, uroczą parę, jaką stanowili jej rodzice: pojawiali się i znikali, pochłonięci nieustannym życiem towarzyskim, które trzymało ich z dala od domu.

- Wdzięczna - powtórzyła księżna wdowa. - Nie tego słowa bym użyła. Zresztą, nie rozegrał sprawy najlepiej. Przede wszystkim nie powinien był prosić cię do tańca.

- Wyglądałoby dziwnie, gdyby tego nie zrobił - zauważyła z niechęcią Aleksa. - Ale przyznam szczerze, że bardzo mnie cieszy, iż Elizabeth wyrwała się spod jego czaru.

Zaskoczona księżna zmarszczyła brwi.

- Czemuż to?

- Nie potrafię wybaczyć mu piekła, jakie przez niego przeszła.

I nie mogłabym mu zaufać - dodała, przypomniawszy sobie, jak dał dziewczynie do zrozumienia, że cały jego majątek stanowił skromny dom w Szkocji.

Potem w poszukiwaniu sprzymierzeńca zwróciła się do Lucindy i spytała ją o zdanie. Panna Throckmorton - Jones, która znała już szczegóły wczorajszego zachowania Iana, oderwała wzrok znad robótki.

- Wolę się powstrzymać od wszelkich komentarzy w kwestii pana Thorntona - odrzekła spokojnie.

- Nie twierdziłam - powiedziała księżna rozdrażniona tym nieoczekiwanym oporem - że powinnaś paść mu w ramiona natychmiast, gdy tylko ci się oświadczy. Jego dotychczasowe zachowanie, z wyjątkiem ubiegłego wieczoru, było wprost odrażające.

Urwała, bo w drzwiach pojawił się Bentner, wyraźnie zaniepokojony i rozgniewany.

- Przybył pani stryj, panienko Elizabeth.

- Nie musisz mnie zapowiadać - oświadczył Julius, wkraczając do saloniku. - To w końcu mój dom.

Elizabeth wstała, zamierzając przejść do drugiego pokoju i tam wysłuchać nowin, zwłaszcza że nie przypuszczała, by miały ją uradować. Julius zatrzymał się w progu i poczerwieniał, dostrzegłszy, że bratanica ma gości.

- Widziałaś się z panem Thorntonem? - zwrócił się do Elizabeth.

- Tak, a czemu pytasz?

- Muszę przyznać, że doskonale to przyjęłaś. Jestem z ciebie dumny. Spodziewałem się awantury i wyrzutów w stylu: „Czemu ja dowiaduję się ostatnia?”. W grę wchodzi olbrzymie sumy i nie dopuszczę, byś swoimi humorami sprowokowała go do wycofania się z układu.

- O czym tym mówisz?

- Może wyjdziemy? - podsunęła Aleksandra.

- Nie trzeba - odparł Julius, szarpiąc fontaż. Na twarzy mężczyzny zagościł nagły niepokój. - Nawet wolę to omówić z Elizabeth w obecności jej przyjaciół. Bo domyślam się, że są panie jej przyjaciółkami?

Dziewczyna miała nieprzyjemne uczucie, że stryj robi tak specjalnie, by uniknąć „sceny” - jak określał każdą, nawet najspokojniejszą reakcję protestu na jego decyzję.

- Może przejdziemy do dużego salonu? - zaproponował, choć brzmiało to raczej jak rozkaz, a nie zaproszenie. - Będzie tam więcej miejsca.

Księżna zeszywniała na tę impertyncję i brak dobrych manier, ale zerknęła na Elizabeth, dostrzegła jej napięcie i rosnący niepokój, więc tylko krótko skinęła głową.

- Oczywiście, nie ma pośpiechu - stwierdził Julius, wychodząc na korytarz i prowadząc panie do drugiego pokoju.

Cieszyły go nie tylko wynegocjowane pieniądze, lecz przede wszystkim całkowite zwycięstwo, jakie odniósł nad Thorntonem, ponoć niezrównanym mistrzem w prowadzeniu pertraktacji.

- Czy nie powinnaś mi przedstawić swoich gości, Elizabeth? - zwrócił się do bratanicy, kiedy weszli do salonu.

Dziewczyna automatycznie dokonała prezentacji; w jej głowie nieustannie rozbrzmiewał dzwon na trwogę, przeczuwała jakieś nieszczęście.

- Zanim przejdziemy do rzeczy, może napijemy się herbaty - zaproponował stryj.

Wtedy niepokój Elizabeth zastąpiło przerażenie, od kiedy bowiem Bentner wsypał do szklanki stryja środek przeczyszczający, Julius nie brał u niej niczego do ust.

To gra na zwłokę, uświadomiła sobie dziewczyna. Nie chciał od razu wyjaśnić, w czym rzecz. Już to kazało jej się domyślać, że chodzi o sprawę niezwyklej wagi.

Ian jechał do Elizabeth, automatycznie uderzając rękawiczkami o kolano i nawet nie dostrzegł parku, który mijali po drodze. Dwukrotnie pozdrawiały go z uśmiechem damy, które wczoraj mu przedstawiono, ale ich nie zauważył. Myślał o tym, co powiedzieć

Elizabeth. Za nic nie mógł dopuścić, aby uznała, że żeni się z nią z litości albo z poczucia winy. Była nie tylko piękna, ale i dumna; poczucie godności każe jej się sprzeciwiać zaręczynom. Poza tym cechowały ją odwaga i upór, a jeśli się dowie, że ich narzeczeństwo zostało już wcześniej ustalone i przypieczętowane umową, z całą pewnością nie przyjmie tego spokojnie, a Ian wcale się jej nie dziwił. Dwa lata temu uznano ją za największą piękność, jaka kiedykolwiek pojawiła się na londyńskiej scenie towarzyskiej; zasługiwała więc na prawdziwe konkury.

Naturalnie, będzie się starała na nim odegrać i zacznie udawać, że go nie chce, ale co do tego akurat nie miał cienia wątpliwości. Ciągnęło ich ku sobie już tamtej pierwszej nocy w ogrodzie. Ilekroć się spotykali, pragnęli się tak gorąco. Ta dziewczyna stanowiła uosobienie niewinności i odwagi, temperamentu i nieśmiałości, furii i przebaczenia. W sali balowej zachowywała się jak królowa, a przy tym promieniowała spokojem; kiedy trzymała pistolet w dłoniach - choć wściekła, nie traciła zimnej krwi; w jego ramionach zaś stawała się pełna słodyczy i namiętności. Wszystko to dobrze określało Elizabeth, choć nie wyczerpywało długiej listy jej zalet.

I kochał ją. Gdyby zdobył się na szczerość, przyznałby się, że pokochał ją w chwili, gdy w pokoju karcianym stawiała czoło gromadzie rozgniewanych mężczyzn. Młoda, delikatna bogini, która - choć tamci mieli przewagę i każdy był od niej dwa razy bogatszy - nie lękała się okazać pogardy wobec ich zachowania.

Ona również go kochała; tylko tak można wytłumaczyć to, co się wydarzyło podczas ich pierwszego spotkania u Charise i potem, przez te trzy dni w Szkocji. Jedną różnicę stanowił fakt, że Ian posiadał nad nią przewagę wieku, doświadczenia oraz wychowania. Elizabeth była młodą, trzymaną pod kloszem Angielką, której wydawało się, że najsilniejszym uczuciem, jakie może - albo powinno - łączyć małżeństwo jest „trwałe przywiązanie”.

Nie zdawała sobie sprawy, a nawet nie rozumiała tego, że miłość jest darem, który otrzymali, w chwili kiedy ujrzeni się po raz pierwszy w ustronnej alejce, wśród płonących pochodni. Z uśmiechem przypominał sobie ich rozmowę. Nie lękała się przeciwstawić mężczyznom w pokoju karcianym, tymczasem kiedy z nim flirtowała w ogrodzie, wycierała wilgotne ze zdenerwowania dłonie w suknię. To wspomnienie nieodmiennie go rozczulało.

Uśmiechnął się do siebie i z samego siebie. Zawsze, we wszystkich sprawach kierował się chłodną logiką. Ale gdy chodziło o Elizabeth, albo ślepl, albo też tracił panowanie nad sobą, albo - jak teraz - był zakochany po uszy. Dziś w drodze do niej wstąpił do najmodniejszego jubilera w Londynie i dokonał zakupu, który sprawił, że właściciel sklepu,

pan Phineas Weatherborne wahał się między ekstazą a niedowierzaniem i zgięty w pół odprowadził cennego klienta do samych drzwi. Co więcej, Ian miał już w kieszeni pierścionek zaręczynowy. Nie wsunie go jednak Elizabeth na palec, dopóki dziewczyna nie wyzna, że go kocha, albo przynajmniej nie zgodzi się za niego wyjść. Jego rodzice kochali się bezgranicznie, wręcz bezwstydnie. Tego samego i ani trochę mniej oczekiwał od Elizabeth, co - zauważył z ironią - jest co najmniej dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę, że bynajmniej nie oczekiwał takiego uczucia, a nawet nie pragnął go ze strony Christiny.

Tylko jedno nie budziło w nim niepokoju: nie musiał się obawiać, jak hrabianka zareaguje na wieść, że jest już z nim zaręczona, albo - co gorsza - że musiał drogo zapłacić, by ją zdobyć. Tego pierwszego dowie się dopiero za jakiś czas, a jeśli chodzi o drugi punkt, to nigdy nie pozna prawdy. W rozmowie z jej stryjem wyraźnie podkreślił, że osobiście zajmie się tymi dwoma sprawami.

Wszystkie domy przy Promenade Street były białe, prowadziły do nich kute bramy. Choć nie umywały się do rezydencji przy Upper Brook Street, niczego nie dawało się zarzucić tej ładnej uliczce, po której w towarzystwie nienagannie ubranych mężczyzn przechadzały się modnie odziane damy w pastelowych czepkach i sukniach.

Kiedy stangret Iana zatrzymał gniadosze przed kamienicą Camerona, Ian dostrzegł, że na ulicy czekają też dwie karety, ale nie zwrócił uwagi na wynajętą dorożkę, która stała w tyle. Pełen napięcia szedł do drzwi, szykując się do nieuchronnej konfrontacji z bezczelnym lokajem Elizabeth, kiedy zatrzymał go głos Duncana. Obejrzał się zaskoczony.

- Przyjechałem dziś rano - wyjaśnił duchowny.

Zerknął na dwóch dandysów w pasiastych kamizelkach i wysokich, sztywnych kołnierzykach, którzy właśnie przechodzili ulicą, błyskając złotymi dewizkami od zegarków.

- Twój lokaj wyjaśnił mi, że zastanę cię tutaj. Sądziłem... To znaczy, byłem ciekaw, jak sobie radzisz.

- A ponieważ tego mój lokaj nie wiedział - dokończył Ian z lekką irytacją - postanowiłeś osobiście zjawić się u Elizabeth i sam sprawdzić, jak sprawy się mają?

- Coś w tym rodzaju - odrzekł spokojnie jego wuj. - Wydaje mi się, że hrabianka traktuje mnie jak przyjaciela. Dlatego pomyślałem, że złożę jej wizytę, a jeśli cię nie zastanę, wstawię się za tobą i szepnę dobre słowo.

- Tylko jedno? - zdziwił się Ian.

Duncan nie dał się zbić z tropu. Rzadko składał broń, a zwłaszcza w kwestiach dotyczących zasad moralnych bądź sprawiedliwości.

- Jeśli wziąć pod uwagę to, jak ją potraktowałeś, miałem poważne problemy ze

znalezieniem aż jednego. Jak się ułożyły sprawy z dziadkiem?

- Nieźle - odrzekł Ian, myślami krążąc już wokół spotkania z Elizabeth. - Przyjechał do Londynu.

- I...?

- I - dodał z ironią jego siostrzeniec - możesz mnie już nazywać jaśnie oświeconym markizem.

- Przyjechałem tu - nie ustępował wuj - żeby cię nazwać „panem młodym”.

Po opalonej twarzy Iana przemknęło rozdrażnienie.

- Czy ty nigdy się nie odczepisz? Od trzydziestu lat jakoś sobie dawałem radę z kierowaniem własnym życiem, Duncanie, i teraz też powinienem się z tym uporać.

Duchowny zlitował się i przybrał nieco zawstydzony wyraz twarzy.

- Naturalnie, masz rację. Powinienem sobie pójść?

Ian rozważył korzyści wynikające z obecności wuja i niechętnie pokręcił głową.

- Nie. A skoro już tu jesteś - ciągnął, gdy pokonywali najwyższe stopnie - możesz zapowiedzieć lokajowi naszą wizytę. Nie potrafię do niego trafić.

Ksiądz sięgnął po kołatkę i spojrzał z politowaniem na siostrzeńca.

- Nie umiesz sobie poradzić z lokajem, a mimo to twierdzisz, że nie potrzebujesz mojej opieki i wsparcia?

Ian postanowił zignorować tę złośliwość i milczał. Po chwili drzwi się otworzyły i sługa spojrzał uprzejmie na Duncana, który zaczął się przedstawiać, lecz Bentner dostrzegł Iana. Ku nieopisanemu zdumieniu duchownego, drzwi zaczęły mu się zatrząskiwac przed nosem. Na ułamek sekundy przed tym, jak ostatecznie się zamknęły, Ian wsunął się przed wuja i wepchnął w nie ramię z takim impetem, że lokaj pofrunął aż pod przeciwległą ścianę.

- Powiedz swojej pani, że tu jestem, albo sam ją znajdę i się zapowiem - oświadczył cichym, pełnym lodowatej furii głosem.

Choć służący kipiał ze złości, zauważył, że przybyły jest od niego znacznie wyższy i silniejszy. Zrezygnowany odwrócił się i ruszył do pokoju po lewej stronie, skąd dobiegały przytłumione głosy.

Duncan uniósł siwe brwi i zmierzył siostrzeńca wzrokiem.

- Bardzo sprytne posunięcie - odezwał się drwiąco. - Doskonale wkupiłeś się w łaski służby hrabianki Cameron.

Zebrani w salonie bardzo różnie zareagowali na oświadczenie Bentnera, że oto „zjawił się Thornton i wdarł się do domu”. Na twarzy księżnej wdowy malowały się podziw i ciekawość, Julius poczuł ulgę, ale i rozczarowanie, Aleksandrę ogarnął niepokój, Elizabeth

zaś, która nadal się martwiła, co właściwie sprowadza tu stryja, wyglądała na zakłopotaną. Tylko Lucinda pozostała niewzruszona. Odłożyła robótkę i spojrzała wyczekująco w stronę drzwi.

- Wprowadź go, Bentner - polecił Julius.

W cichym pokoju jego głos zabrzmiał nienaturalnie donośnie.

Elizabeth przeżyła szok, widząc, że Thorntonowi towarzyszy Duncan, a jeszcze bardziej się zdumiała, gdy Ian nie zwracając uwagi na resztę towarzystwa, podszedł do niej, badawczo jej się przyglądając.

- Mam nadzieję, że doszłaś już do siebie po wczorajszej ciężkiej próbie? - odezwał się łagodnie, ujmując jej dłoń i podnosząc do ust.

Elizabeth pomyślała, że wyglądał wprost oszałamiająco w rdzawym surducie i kamizelce z doskonałego materiału, wspaniale uwydatniających jego szerokie bary, oraz jasnobrązowych spodniach i kremowej koszuli, podkreślającej opaloną twarz.

- Dziękuję, czuję się doskonale - odrzekła.

Usiłowała nie zwracać uwagi na ciepło, które rozlewało się po jej ciele, kiedy Ian przed długą chwilę ścisnął jej dłoń, a w końcu niechętnie ją uwolnił i pozwolił, by Elizabeth dokonała prezentacji gości.

Choć nie opuszczał jej niepokój, związany z obecnością stryja, chichotała w duchu, przedstawiając zebranym Duncana. Na wieść, że wuj Iana Thorntona jest duchownym, wszyscy reagowali zdumieniem. Stryj rozdziawił usta, Aleksa szeroko otworzyła oczy, księżna wdowa zaś, kiedy Duncan pochylił się nad jej dłonią, z niedowierzaniem spoglądała na świeżo upieczonego markiza.

- Czy dobrze zrozumiałam, Kensington - zwróciła się do niego - że łączy pana pokrewieństwo ze sługą Bożym?

Ian w odpowiedzi drwiąco się skłonił i unióśł brwi, lecz Duncan, który starał się za wszelką cenę wprowadzić miłą atmosferę, bezskutecznie usiłował żartować.

- Ta informacja zawsze budzi spore zaskoczenie - zwrócił się do księżnej.

- I nic dziwnego - odparła kąśliwie.

Ian już otwierał usta, zamierzając uraczyć tę jędzę miazdzącą ripostą, ale za bardzo go niepokoiła obecność stryja Elizabeth. Po chwili zaś Julius Cameron doprowadził go do furii, gdyż stanął na środku salonu i oświadczył:

- Skoro już wszyscy tu jesteśmy, nie ma sensu kontynuować farsy. Bentner, przynieś szampana. Winszuję, Elizabeth. Mam nadzieję, że będziesz się sprawować przyzwoicie w roli żony i nie roztrwonisz ostatniego grosza swego małżonka.

Zapadła głucha cisza; nikt się nie poruszył, tylko Elizabeth miała wrażenie, że wszystko wokół niej wiruje.

- Słucham? - wykrztusiła w końcu.

- Jesteś zaręczona.

Poczuła ogromny gniew, który niczym płomień ognia rozchodził się po całym jej ciele.

- Doprawdy? - spytała ze śmiertelnym spokojem, myśląc o sir Francisie i Johnie Marchmanie. - Z kim?

Ku jej zdumieniu, stryj odwrócił się do Thorntona, który mierzył go morderczym wzrokiem.

- Ze mną - oznajmił krótko Ian, nie spuszczać lodowatego wzroku z Juliusa.

- To przesądzone - oświadczył krótko opiekun Elizabeth. I w przekonaniu, że ją równie gorąco jak jego uraduje wiadomość, że jednak posiada dużą wartość pieniężną, dodał:

- Zapłacił majątek za ten zaszczyt. I nie musiałem dać mu ani grosza.

Dziewczyna, która nie miała pojęcia, że ci dwaj poczynili jakieś ustalenia, spojrzała na Iana wstrząśnięta i rozgniewana.

- Co on mówi? - spytała zduszonym szeptem.

- Mówi - zaczął z trudem markiz, nie mogąc uwierzyć, że oto wszystkie jego romantyczne plany legły w gruzach - że jesteśmy zaręczeni. Podpisaliśmy już stosowne dokumenty.

- Co? Ty... ty zadufany, przemądrzały... - Przełknęła łzy, które dławiły ją w gardle. - Nawet nie raczyłeś najpierw spytać mnie o zdanie?

Ian z trudem oderwał wzrok od Camerona i skupił się na Elizabeth. Serce mu się ścisnęło na widok jej spojrzenia.

- Może udajmy się w jakieś ustronne miejsce, gdzie wszystko sobie wyjaśnimy? - odezwał się łagodnie, podchodząc bliżej i biorąc ją pod ramię.

Wyszarpnęła się i uciekła przed jego dotykiem.

- O, nie! - wybuchnęła, trzęsąc się z furii. - Po cóż ta nagła troska o moje uczucia? Od pierwszej chwili, od kiedy tylko się poznaliśmy, wystawiał mnie pan na pośmiewisko. Czemuż teraz nagle miałoby się to zmienić!

- Elizabeth - wtrącił delikatnie ksiądz - Ian tylko próbuje naprawić swój błąd, zwłaszcza że rozumiał, w jakiej opłakanej sytuacji...

- Zamknij się, Duncanie! - ryknął jego siostrzeniec, ale było już za późno.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się z przerażenia, że Ian pragnie się z nią ożenić z

litości.

- Jaka, dokładniej, „opłakaną sytuację” ksiądz ma na myśli? - spytała.

W jej cudownych oczach błyszczały łzy upokorzenia i gniewu. Ian chwycił ją za łokieć.

- Chodź albo cię stąd wyniosę.

Nie żartował. Wyszarpnęła z wściekłością ramię, ale skinęła głową.

- Bardzo proszę - oświadczyła z furją.

Ian z impetem otworzył pierwsze lepsze drzwi, wciągnął Elizabeth do pokoju i zamknął je za nimi. Stała na środku małego saloniku i z zaciśniętymi pięściami odwróciła się do niego.

- Potworze! - syknęła. - Jak pan śmie się nade mną litować!

Właśnie takiego wniosku i takiej reakcji się spodziewał po tej dumnej piękności, która w Szkocji wmówiła mu, że żyje od przyjęcia do przyjęcia i mieszka w królewskiej rezydencji. Licząc, że nieco załagodzi jej gniew, próbował użyć logicznych argumentów.

- Istnieje olbrzymia różnica między żalem za swoje czyny a litowaniem się nad osobą, która przez nie ucierpiała.

- Niech pan sobie daruje te słowne gierki - wysyczała drżącym z wściekłości głosem.

W duchu Ian uśmiechnął się z dumą i podziwem: nawet wstrząśnięta doskonale potrafiła wyczuć, kiedy ktoś próbował ją zwodzić.

- Przepraszam - ustąpił spokojnie i podszedł do niej. Elizabeth cofała się, dopóki plecami nie oparła się o ścianę. Zatrzymała się i zmierzyła go wzrokiem. - W takiej sytuacji liczy się wyłącznie prawda - przyznał jej rację.

Położył dłonie na jej wyprostowanych sztywno ramionach. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wyśmiej go, gdyby teraz próbował ją przekonywać o swojej miłości, więc powiedział coś, w co powinna uwierzyć.

- Prawda zaś jest taka, że cię pragnę. Zawsze cię pragnąłem i doskonale o tym wiesz.

- Nienawidzę tego słowa - wybuchnęła, bezskutecznie usiłując się wyrwać.

- Chyba nie rozumiesz, co ono właściwie oznacza.

- Wiem za to, że powtarza je pan, ilekroć mi się narzuca.

- A ilekroć to robię, ty mięknie jak wosk w moich ramionach. - . Nie wyjdę za pana!

- oświadczyła ze złością, szukając w myślach jakiegoś wyjścia z tej pułapki. - Nie znam pana!
Nie ufam panu.

- Ale pragniesz mnie - odparł z pewnym siebie uśmiechem.

- Niechże pan przestanie to powtarzać! Tłumaczyłam panu, że interesuje mnie stary

mąż! - krzyczała, co jej ślina przyniosła na język byle tylko go zniechęcić. - I chcę sama kierować własnym życiem. To też panu powtarzałam! Pan zaś musiał przyjechać do Anglii i mnie kupić! - Urwała, a w jej oczach znowu pojawił się ogień.

- Nie - poprawił, choć to było raczej dzielenie włosów na czworo.

- Zawarłem tylko umowę z twoim stryjem.

Łzy, które tak mężnie dotąd powstrzymywała, zadrzały teraz na jej rzesach. ...

- Nie jestem nędzarką! - zawołała. - Nie jestem ze... żebraczką!

- powtórzyła, krztusząc się od szloch. - Mam... miałam... posag, do pioruna! A jeśli pan był na tyle głu... głupi, że pozwolił go sobie zabrać, to bardzo tak panu dobrze.

Ian nie wiedział, co zrobić: roześmiać się, pocałować ją czy zabić jej pozbawionego serca stryja.

- Jak pan śmie zawierać układy, na które nie przystałam? - nadal krzyczała Elizabeth, choć łzy spływały jej po policzkach. - Nie jestem pozycją w inwentarzu, choć mój stryj mnie tak właśnie traktuje. Zna... znalazłabym sposób, żeby uniknąć małżeństwa z Belhavenem! Tak znalazłabym! Poradziłabym sobie, uratowałabym jakoś Havenhurst bez niczyjej pomocy! Nie miał pan prawa, nie miał prawa zawierać ugody z moim stryjem! Nie jest pan lepszy od Belhavena!

- Masz rację - przyznał Ian.

Marzył, by wziąć ją w ramiona i przejąć na siebie część jej bólu. Wtedy nagle doznał olśnienia - znalazł sposób, by zmniejszyć jej upokorzenie i uciszyć protest. Przypomniał sobie, jak bardzo w Szkocji szczyła się umiejętnością targowania, postanowił więc teraz to wykorzystać.

- Mówiłaś, że sama doskonale potrafisz się targować. Może więc ty też zawrzesz ze mną odrębny układ, Elizabeth?

- Bardzo chętnie - odparowała. - Zrywam rozmowy, nie przyjmuję żadnych warunków. Koniec targów!

Ian omal nie wybuchnął śmiechem, ale starał się mówić spokojnie.

- Stryj chce się pozbyć ciebie i kłopotów z utrzymaniem twojego ukochanego Havenhurst. Nic go nie powstrzyma. Bez niego nie uratujesz posiadłości. Przedstawił mi szczegółowo całą sytuację.

Elizabeth kręciła głową, ale zdawała sobie sprawę, że miał rację. Poczula, że właśnie nadeszła klęska, która od tyłu tygodni nad nią wisała.

- Małżeństwo to jedyne rozwiązanie twoich problemów.

- Niech pan się nie waży sugerować, że mężczyzna stanowi wyjście z sytuacji! To pan

jest przyczyną moich kłopotów! Ojciec przehułał rodzinną fortunę i zostawił mi długi; brat zniknął, ale uprzednio nie omieszkiał pogrzyźć mnie jeszcze bardziej; pan mnie całował i zniszczył mi reputację; narzeczone zerwał zaręczyny, kiedy pojawiły się plotki, a pan był ich przyczyną! Teraz stryj próbuje przehandlować moją rękę. Jeśli chodzi o mnie - zakończyła z furją - uważam, że mężczyźni idealnie nadają się do tańca, i to wszystko. Kiedy się zastanowić, zasługujecie jedynie na pogardę. Lepiej nawet o tym nie myśleć, bo to tylko powoduje przygnębienie.

- Niestety, stanowimy zarazem jedyne wyjście z kłopotów - zwrócił jej uwagę Ian. - Nie zamierzał rezygnować, musiał ją uspokoić za wszelką cenę. - W tej sytuacji zaś - ciągnął - ja stanowią jedyne wyjście dla ciebie. Podpisałem już kontrakt z twoim stryjem, pieniądze zmieniły właściciela. Ale jestem gotów ustalić jeszcze dodatkowe warunki z tobą.

- Czemu miałby pan to robić? - spytała nieufnie.

Ian usłyszał w jej głosie tę samą wrogość, którą napotykał, ilekroć targował się z dumnym mężczyzną, zmuszonym przez okoliczności do sprzedania czegoś, co pragnął zatrzymać. Podobnie jak tamci, Elizabeth czuła się bezsilna i tak samo jak w ich wypadku duma kazała jej się buntować i maksymalnie utrudniać łanowi zadanie.

Normalnie nie zniszczyłyby swojej pozycji przetargowej, uświadamiając przeciwnikowi wartość posiadanego przezeń towaru i nie prowokowałyby go w ten sposób do wynegocjowania najkorzystniejszych warunków. Jednak w wypadku Elizabeth właśnie do tego dążył.

- Jestem gotów zawrzeć z tobą układ - tłumaczył łagodnie - z tego samego powodu, z jakiego ludzie się targują. Masz coś, o czym marzę.

Rozpaczliwie pragnął ją przekonać, że nie jest bezradna, nie przystępuje do negocjacji z pustymi rękami.

- Nie mogę bez tego żyć, Elizabeth.

- Bez czego? - spytała czujnie, ale z jej ślicznej twarzy powoli zniknęła niechęć, zastępowana przez ciekawość.

- Bez tego - szepnął namiętnie.

Zacisnął dłonie na jej ramionach, przyciągnął ją do siebie, po - chylił się i zaczął wolno, zmysłowo całować. Chociaż dziewczyna uparcie nie odwzajemniała pocałunku, czuł, że zaczyna się rozluźniać. Wtedy natychmiast pokazał, jak bardzo pragnie tej pieśczoły. Otoczył Elizabeth ramionami w miazdzącym uścisku, całował z pasją, zapamiętaniem i przesunął dłonie na jej plecy i biodra, przyciskając ciało dziewczyny do siebie. Wreszcie oderwał usta od jej warg i z trudem wciągnął powietrze.

- Nie mogę bez tego żyć - szepnął.

Podniósł głowę i patrzył na jej zarumienione policzki, mgielkę, zasnuwającą zielone oczy, i delikatną dłoń, którą nadal opierała na jego piersi. On również nie cofnął rąk i nadal mocno przytulał dziewczynę do siebie, by czuła jego pożądanie. Przeciągnął dłonią po jej twarzy.

- Za ten przywilej i dalsze, z nim związane, jestem gotów przystać na roztropne warunki. I nawet ci zdradzę - ciągnął, uśmiechając się do jej uniesionej twarzy - że wcale nie można mnie nazwać biedakiem bez grosza przy duszy.

Elizabeth przełknęła ślinę, starając się zapanować nad głosem, który drżał po ich pocałunku.

- O jakie dalsze przywileje, związane z całowaniem panu chodzi? - spytała podejrzliwie.

To pytanie zbiło Iana z tropu.

- Te, które prowadzą do powołania na świat dzieci - wyjaśnił, uważnie ją obserwując. - Chcę mieć całą gromadkę, oczywiście przy twoim pełnym współdziałaniu - dodał, powściągając uśmiech.

- Naturalnie - przystała bez wahania. - Ja też bardzo pragnę mieć dzieci.

Ian wolał na tym poprzestać i uznał, że lepiej nie kusić losu. Widocznie Elizabeth miała bardzo naturalne podejście do seksu małżeńskiego - rzadko spotykana cecha u dobrze wychowanej Angielki.

- Jakie są więc twoje warunki?

I żeby upewnić dziewczynę, że to ona posiada decydujący głos, nie on, dodał jeszcze:

- Wygląda na to, że nie bardzo mogę się targować.

Elizabeth zawahała się, po czym wolno zaczęła przedstawiać listę swoich żądań:

- Będę mogła samodzielnie zajmować się Havenhurst bez żadnej krytyki i ingerowania w moje decyzje.

- Zgoda - odparł natychmiast Ian. Ogarnęła go ulga i radość.

- Chcę też co roku otrzymywać określoną sumę na ten cel. W zamian za to, kiedy już majątek zostanie zmeliorowany, zwrócę pożyczkę z procentem.

- Zgoda - powtórzył bez wahania.

Elizabeth zawahała się, niepewna, czy naprawdę go na to stać i zawstydzona, że zażądała pieniędzy, nie poznawszy najpierw bliżej sytuacji finansowej narzeczonego. Wczoraj mówił, że przyjął sam tytuł, bez majątku.

- W zamian - ustąpiła, by go nie przerażać - postaram się utrzymać wydatki na

posiadłość na minimalnym poziomie.

Jej rozmówca uśmiechnął się szeroko.

- Nigdy nie ustępuj, kiedy już ustaliłaś warunki i udało ci się uzyskać zgodę, bo w ten sposób przeciwnik w następnej rundzie zyskuje przewagę.

Elizabeth przyjrzała mu się podejrzliwie; zbyt łatwo na wszystko się zgadzał.

- Chcę też, by to wszystko zapisano w obecności świadków i dołączono do oryginalnej interczy.

Jej narzeczony uśmiechnął się z podziwem i skinął głową. W pokoju obok było wielu świadków, w tym również jej stryj, który podpisał pierwszą umowę, a nawet duchowny, który mógł także złożyć podpis na dokumencie. Ian uznał, że lepiej sprawę załatwić natychmiast, dopóki Elizabeth się nie rozmyśliła, i nie przejmować się, kto jeszcze będzie wiedział o ich ugodzie.

- Z taką współpracowniczką, za parę lat Bóg jeden wie, jak daleko zajdę - zażartował, wychodząc z nią z salonu.

Mimo lekkiego tonu i świadomości, że podczas negocjacji cały czas był po jej stronie, odwaga i stanowczość dziewczyny przy stawianiu tych żądań wzbudziły w nim podziw. Elizabeth dostrzegła to i odwzajemniła uśmiech.

- W Havenhurst będę sama robiła zakupy i prowadziła księgi, bo nie mam zarządcy. Jak już panu tłumaczyłam, nauczyłam się targować.

Uśmiech Iana zgasł, gdy sobie wyobraził lichwiarzy, którzy ją opadli po zniknięciu brata, i uświadomił sobie, jakiej odwagi wymagało od niej powstrzymanie wierzycieli, by nie rozebrali domu do fundamentów. To desperacja nauczyła ją sztuki negocjowania.

ROZDZIAŁ 23

W czasie gdy Elizabeth z Ianem pertraktowali na osobności, Duncanowi z olbrzymim wysiłkiem udawało się podtrzymywać miłą, towarzyską pogawędkę. Nawet wieloletnie doświadczenie w radzeniu sobie z ludźmi przeżywającymi silne emocje nie na wiele się tu zdało, bowiem każda z obecnych osób odczuwała co innego. Księżna Aleksandra nie ukrywała napięcia i niepokoju; znenawidzony stryj hrabianki był zagniewany i oschły; księżną wdowę zaś oraz pannę Throckmorton - Jones najwyraźniej bawiły tarapaty Iana .

Duncan z westchnieniem ulgi przerwał rozważania, czy w tym roku należy się spodziewać wczesnych opadów śniegu i spojrzął na wchodzącą do salonu parę. Jego ulga stała się jeszcze większa, kiedy napotkał spojrzenie Iana i dostrzegł w jego oczach spokój oraz lekkie rozbawienie.

- Osiągnęliśmy porozumienie - oznajmił Ian zebrany bez wstępów. - Elizabeth, zresztą bardzo słusznie, uważa, że tylko ona może podjąć decyzję o zawarciu ze mną małżeństwa. Dlatego też stawia pewne... hm... warunki i oczekuje, że zostaną dołączone do ustalonej umowy przedślubnej. Duncanie, będziesz tak dobry i zanotujesz jej żądania?

Duchowny uniósł brwi, ale szybko wstał i podszedł do biurka. Ian, już ostrzejszym tonem, zwrócił się do stryja dziewczyny.

- Ma pan przy sobie kopię intercyzy?

- Naturalnie - odrzekł Cameron, poczerwieniawszy z gniewu - mam ją, ale nie zmienisz ani słowa, nie zamierzam ci zwracać ani grosza! - Całą furię wyładował na swej bratanicy. - Zapłacił za ciebie majątek, ty zarozumiała, puszczańska...

- Wynoś się!

Głos Iana siekł niczym bicz.

- Ja? Mam się wynieść? - powtórzył wściekle Julius. - To mój dom! Nie kupiłeś go razem z nią.

- Chcesz go? - spytał Ian dziewczynę, nie patrząc na nią.

Choć Cameron jeszcze sobie nie zdawał sprawy z furii Thorntona, Elizabeth dostrzegła ją w każdym rysie twarzy Iana , a także w jego napiętych mięśniach i poczuła lęk.

- Cz... czy chcę... co?

- Ten dom!

Nie wiedziała, jakiej odpowiedzi oczekuje narzeczonego, a widząc jego gniew, bała się źle wybrać.

- Tak - odezwała się panna Throckmorton - Jones.

Popatrzyli na nią wszyscy, z wyjątkiem Iana . Lucinda zaś mierzyła go wzrokiem, spoglądając z chłodnym wyzwaniem.

- Tak, chce go.

Ian przyjął to, jakby starsza dama występowała w imieniu Elizabeth. Nadal przeszywał ostrym spojrzeniem Juliusa.

- Rano udaj się do mojego bankiera - oświadczył morderczym tonem. - A teraz precz stąd!

Cameron poniewczasie zorientował się, że jego życie zawisło na włosku. Sięgnął po kapelusz i ruszył w stronę drzwi.

- Nie kupisz go tanio!

Ian odwrócił się do niego wolno, z nieskrywaną groźbą. W jego twardym spojrzeniu stryj Elizabeth dostrzegł coś, co sprawiło, że natychmiast wyszedł, nie targując się już o cenę.

- Sądzę - odezwała się drżącym głosem Elizabeth, kiedy drzwi wejściowe zatrzęsły się z hukiem - że wszystkim nam przydałoby się coś na wzmocnienie.

- Doskonały pomysł, moja droga - przyklasnął duchowny.

Zjawił się wezwany przez Elizabeth Bentner, zmierzył lodowatym wzrokiem Iana , popatrzył na swoją panienkę z pełnym oburzenia współczuciem, po czym udał się po herbatę i przekąskę.

- A teraz - oświadczył duchowny, energicznie zacierając ręce - o ile dobrze pamiętam, miałem zapisać jakieś... hm... nowe warunki umowy przedślubnej.

Przez następne dwadzieścia minut hrabianka żądała, a Ian się zgadzał, Duncan notował, a księżna wdowa i Lucinda obserwowały wszystko z nieskrywanym rozbawieniem. Ian wysunął tylko jedno zastrzeżenie i to sprowokowany reakcją zebranych, których najwyraźniej niezwykle ubawiła ta cała sytuacja. Zastrzegł sobie, by żadne z życzeń Elizabeth nie mogło dawać podstawy do plotek, że żona przyprawia mu rogi.

Księżna wdowa oraz panna Throckmorton - Jones skrzywiły się na użycie w ich obecności takiego określenia, lecz dziewczyna przystała na to z królewskim skinieniem złocistej główki i uprzejmie zwróciła się do Duncana:

- Zgadzam się. Niech ksiądz to zapisze.

Ian uśmiechnął się do niej i nieśmiało odwzajemniła uśmiech. Wiedziała tylko, że przyprawianie rogów to niestosowne zachowanie kobiety, które wiązało się z przyłapaniem jej w sypialni z nie swoim mężem. Otrzymała tę niepełną informację od Lucindy Throckmorton - Jones, która, na nieszczęście, była przekonana o jej prawdziwości.

- Jeszcze coś? - spytał w końcu wuj Iana .

Hrabianka potrząsnęła głową, ale wtedy zabrała głos księżna wdowa.

- Owszem jest, choć nie trzeba tego zapisywać. Jeśli zamierza pan jutro ogłosić zaręczyny - surowo oświadczyła Thorntonowi - może pan to sobie wybić z głowy.

Narzeczony już - już miał jej zaproponować opuszczenie tego domu tylko odrobinę mniej wrogim tonem niż Juliusowi, ale uświadomił sobie, że niestety, babka Jordana ma rację.

- Wczoraj zadał pan sobie wiele trudu, by wszyscy uwierzyli, że dwa lata temu połączył was tylko zwykły flirt. Jeśli teraz nie nastąpi okres konkurów, do których Elizabeth ma zresztą całkowite prawo, nikt w to nie uwierzy.

- Co pani proponuje? - zapytał krótko Ian.

- Miesiąc - oświadczyła bez wahania stara dama. - Miesiąc składania jej wizyt, towarzyszenia na bale oraz przyjęcia. Wszystko, co nakazuje dobry ton.

- Dwa tygodnie - odparł, z trudem zachowując cierpliwość.

- Doskonale - przystała księżna, a rozdrażniony Ian nabrał pewności, że i tak na więcej nie liczyła. - Potem może pan ogłosić zaręczyny i pobierzecie się za... dwa miesiące.

- Dwa tygodnie - twardo targował się Ian, sięgając po filiżankę, którą postawił przed nim lokaj.

- Jak pan sobie życzy - zgodziła się księżna.

Potem jednocześnie wydarzyły się dwie rzeczy: Lucindzie Throckmorton - Jones wyrwało się prychnięcie, które - jak po chwili zorientował się Ian - było śmiechem, Elizabeth zaś wyrwała mu z ręki filiżankę.

- Wi... widzę na niej zabrudzenie - wyjaśniła nerwowo i z surowym spojrzeniem oddała ją Bentnerowi.

Ian sięgnął po talerzyk z kanapką. Elizabeth dostrzegła satysfakcję na twarzy służącego i zabrała narzeczonemu również przekąskę.

- Chy... chyba dostały się do niej jakieś insekty - wytłumaczyła łanowi.

- Niczego nie widzę - odrzekł młody człowiek, niespokojnie przyglądając się dziewczynie.

Pozbawiony herbaty i jedzenia, sięgnął po wino, które postawił przed nim lokaj, ale wtedy uświadomił sobie, w jakim napięciu żyła Elizabeth, więc zamiast sam wypić, oddał jej pełny kieliszek.

- Dziękuję - odpowiedziała z westchnieniem.

Na jej twarzy malował się niepokój. Bentner błyskawicznie wyciągnął rękę i zabrał swej pani kieliszek.

- Kolejny insekt - wyjaśnił.

- Bentner! - zawołała zdesperowana Elizabeth, ale zagłuszyła ją Aleksandra Townsende, która wybuchnęła nagle niepohamowanym śmiechem.

Ian nie pojmował tego nagłego wybuchu radości, wyciągnął zatem jedyny, logiczny wniosek: wszyscy tu żyli w nadmiernym stresie.

ROZDZIAŁ 24

Księżna wdowa uważała, że konkury powinny się rozpocząć jeszcze tego samego wieczoru, na balu, a Ian spodziewał się, że Elizabeth po dwóch latach zesłania na wieś nie będzie się mogła doczekać rozrywek towarzyskich, zwłaszcza że wszystko, co złe, miała już za sobą. Tymczasem jednak ona wykręcała się od przyjęć, nalegając, że chce pokazać narzeczonemu Havenhurst, a potem może pojawić się na jednym czy dwóch balach.

Czcigodna dama nie posiadała się z oburzenia, Elizabeth była niewzruszona, Ian zaś przysłuchiwał się ich rozmowie z lekkim zdziwieniem. Havenhurst znajdowało się półtorej godziny jazdy od Londynu, nie pojmował zatem, czemu jedno wyklucza drugie. Podzielił się nawet głośno swoim zdaniem, ale dostrzegł, że zakłopotana dziewczyna zerka na Aleksandrę, a potem kręci głową, jakby odrzucała jakąś niewypowiedzianą głośno propozycję. W końcu ustalono, że następnego dnia Ian uda się do Havenhurst, a rolę opiekunów wezmą na siebie Aleksandra Townsende wraz z mężem, co znacznie bardziej odpowiadało Ianowi niż perspektywa oglądania lodowatej miny panny Lucindy Throckmorton - Jones.

Właśnie jechał do domu, z rozbawieniem myśląc o reakcji Jordana, gdy się dowie, że razem z żoną pełnił będzie przez cały dzień rolę przyzwoitki Iana, z którym grywał w większości wytwornych i zakazanych jaskiń hazardu.

Po chwili jego uśmiech zgasł, a myśli zaczęły uparcie krążyć wokół pytania, dlaczego Elizabeth nie chciała zjawić się na balu, skoro tak długo nudziła się na wsi. Wreszcie rozum podsunął mu logiczną odpowiedź i Ian poczuł świeże ukłucie bólu. W Szkocji Elizabeth tak skutecznie odgrywała rolę beztroskiej bywalczyń salonów, że do tej pory zdarzało mu się zapomnieć, że żyła w samotności, licząc się z każdym groszem.

Thornton pochylił się i wydał stangretowi nowe instrukcje. Po kilku minutach energicznym krokiem wkraczał do najmodniejszej - i najbardziej dyskretnej - krawcowej w Londynie.

- To niewykonalne, monsieur Thornton - przeraziła się madame LaSalle, usłyszawszy, że w ciągu tygodnia ma uszyć tuzin sukni balowych i całą garderobę dla hrabianki Elizabeth Cameron spod numeru czternastego przy Promenade Street. - Dwadzieścia cztery doświadczone szwaczki musiałyby pracować bez wytchnienia przez dwa tygodnie!

- To niech pani zatrudni dwa razy tyle - odrzekł z uprzejmym zniecierpliwieniem monsieur Thornton tonem kogoś, kto musi tłumaczyć najprostsze rzeczy półgłówkowi - a wtedy zdąży pani w ciągu tygodnia.

Na pociechę, by ukoić wzburzenie mistrzyni, uśmiechnął się do niej i wypisał czek na kwotę, której przyglądała się szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Jutro wczesnym rankiem hrabianka Cameron wyrusza na wieś, ma pani zatem cały dzisiejszy dzień na wzięcie miary - ciągnął. - Końcem pióra wskazał przepiękny, ciemnozielony jedwab przetykany cienką, złocistą nitką, leżący obok na kontuarze i podpisał czek. - Pierwsza suknia balowa ma być z tego materiału. Proszę ją uszyć na dwudziestego. - Wyprostował się i podał kobiecie czek. - Proszę, tyle powinno wystarczyć. - Oboje wiedzieli, że nawet połowa tej kwoty pokryłaby wszystkie wydatki. - Jeśli nie, proszę mi przysłać rachunek.

- Qui - odrzekła krawcowa, która jeszcze nie otrząsnęła się z szoku. - Ale nie mogę panu dać tego szmaragdowego jedwabiu. Zamówiła go już sobie hrabina Margaret Mitcham.

Na twarzy Iana zagościło niezadowolenie i zaskoczenie.

- Dziwię się, że pani pozwoliła jej go wybrać. Przecież w tym odcieniu jej cera będzie sprawiać wrażenie ziemistej. Proszę to ode mnie przekazać pani hrabinie.

Odwrócił się i wyszedł z zakładu, nie mając bladego pojęcia, kim jest hrabina Margaret Mitcham. Do kontuaru podeszła szwaczka, żeby zabrać błyszczący szmaragdowy jedwab do pracowni.

- Non - zatrzymała ją krawcowa, nie spuszczając wzroku z wysokiego, barczystego mężczyzny, który właśnie wsiadał do powozu. - Z tego materiału uszyjemy suknię dla innej klientki.

- Przecież hrabina Mitcham go zamówiła!

Madame LaSalle jeszcze raz tęsknym wzrokiem powiodła za przystojnym mężczyzną, który potrafił docenić niezrównaną tkaninę i zbyła protesty podwładnej.

- Hrabia Mitcham to starzec, w dodatku niedowidzi. Nie doceniłby sukni, jaką uszyłybyśmy z tego jedwabiu.

- Ale co mam powiedzieć hrabinie Mitcham? - dopytywała się przerażona szwaczka.

- Powiedz jej - odrzekła sucho właścicielka pracowni - że monsieur Thornton... Nie: markiz Kensington oświadczył, iż w tym odcieniu jej cera będzie sprawiać wrażenie ziemistej.

ROZDZIAŁ 25

Havenhurst to ładna posiadłość, pomyślał Ian, gdy powóz przetoczył się pod kamiennym łukiem, ale nie aż tak imponująca, jak by to wynikało z entuzjastycznych opisów Elizabeth. Automatycznie odnotował w pamięci, że w portalu wykruszyły się kamienie, a kiedy karetka podskakiwała na wyboistej drodze, zauważył również, że podjazd wymaga natychmiastowej naprawy oraz że stare, majestatyczne drzewa, rosnące na rozległych trawnikach, koniecznie trzeba przyciąć. Po chwili pojawiła się przed nim sama rezydencja, Ianowi, który doskonale znał się na architekturze, wystarczyło jedno spojrzenie, by zakwalifikować pałac jako przypadkową mieszaninę stylu gotyckiego z Tudorów, co prawda miłą dla oka, ale o tak niespójnej strukturze, że każdy współczesny architekt załamałby ręce.

Drzwi otworzył niski lokaj, który zmierzył Iana beczelnym spojrzeniem, groźnie wysuwając przy tym brodę. Nie zwracając uwagi na dziwaczne zachowanie służby w domu Elizabeth, Ian z ciekawością oglądał drewniane sufity, a potem ściany, na których jasną plamą wyraźnie odcinały się miejsca, gdzie do niedawna wisały obrazy. Wypolerowanych podłóg nie przykrywały perskie kobierce, stolików nie zdobiły kosztowne cacka. Bogiem a prawdą, w holu i pokojach po prawej stronie nie było nawet zbyt wiele mebli, Ianowi ścisnęło się serce. Z jednej strony czuł wyrzuty sumienia, a z drugiej podziw na myśl o dumie Elizabeth, która przedstawiała mu się jako beztroska młoda dziedziczka, on zaś dał się na to nabrać.

Lokaj zachowywał się wręcz wrogo, więc Ian spojrzał na niego z góry.

- Twoja pani spodziewa się mojej wizyty - oświadczył. - Powiedz, że przyjechałem.

- Tu jestem, Aaronie - usłyszał cichy głos Elizabeth i odwrócił się ku niej.

Wystarczyło jedno spojrzenie, a zapomniał o lokaju, opłakany stan rezydencji i o całym swoim wykształceniu architektonicznym. Ubrana w prostą, zwiewną sukienkę z błękitnego tiulu, z włosami związanymi wąskimi, niebieskimi wstążkami, Elizabeth stała w holu z wdziękiem greckiej bogini i uśmiechem anioła.

- Co pan o tym sądzi? - spytała wyczekująco.

- O czym? - spytał, podchodząc i z trudem się powstrzymując, by nie wziąć jej w ramiona.

- O Havenhurst - odpowiedziała z dumą.

Ian uważał, że pałac jest niewielki i prosi się o remont oraz uzupełnienie wyposażenia. Najchętniej chwyciłby dziewczynę w ramiona i błagał o wybaczenie za to wszystko, co przez niego musiała przejść, ale zdawał sobie sprawę, że tylko by ją zranił i upokorzył, więc

uśmiechnął się i odrzekł, zgodnie z prawdą:

- To, co do tej pory widziałem, jest niezwykle malownicze.

- Chce pan obejrzeć resztę?

- Bardzo. - Warto było minąć się nieco z prawdą dla uśmiechu, który rozjaśnił jej twarz. - Gdzie są Townsende'owie? - spytał, gdy weszli na schody. - Nie zauważyłem ich karety.

- Jeszcze nie przyjechali.

Ian słusznie założył, że to pomysł Jordana i zapisał w pamięci, by później podziękować przyjacielowi.

Elizabeth oprowadziła go po całym domostwie. Nie umarł z nudów wyłącznie dzięki jej czarującym anegdotkom o protoplastach. Później wyszli na zewnątrz. Dziewczyna ruchem głowy wskazała miejsce po prawej stronie, na końcu rozległego trawnika.

- Tam znajdowały się mury zamku i fosa, która przed wiekami oczywiście była wypełniona wodą. Całą tę część zajmował wtedy dziedziniec, otoczony murami obronnymi. W jego obrębie mieściły się wszystkie zabudowania, łącznie z oborami i spiżarniami, tak że zamek był całkowicie samowystarczalny. Tam z kolei - pokazała kilka minut później, kiedy obeszli dom - trzeci hrabia Havenhurst spadł z konia i kazał zastrzelić nieszczęsnego wierzchowca za to, że śmiał go zrzucić. Był wyjątkowym raptusem - dodała z uśmiechem.

- Na to wygląda - odparł Ian, marząc, by pocałować ten uśmiech. Spojrzał na miejsce, które mu wskazała, i zapytał: - Jakim cudem spadł z konia na własnym dziedzińcu?

- Ach, to był pechowy cios. - Roześmiała się. - Hrabia ćwiczył atak z kopią. W średniowieczu - tłumaczyła Ianowi, który znał historię średniowiecza równie dobrze jak architekturę i nie potrzebował dalszych wyjaśnień - rycerze trenowali posługiwanie się kopią na słupach. Słup miał ramię, z którego zwisał wór z piaskiem, przed nim zaś znajdowała się tarcza. Rycerz nacierał na nią, ale jeśli nie trafił w sam środek tarczy, ramię się obracało i worek uderzał go w plecy, zrzucając z konia.

- I właśnie to przydarzyło się trzeciemu hrabiemu? - upewnił się Ian.

Ruszyli dalej w stronę największego drzewa na trawniku.

- Tak jest.

Podeszli do drzewa, Elizabeth zaplotła ręce na plecach i wyglądała jak urocza, mała dziewczynka, która zamierza wyjawić ważny sekret.

- Niech pan spojrzy na koronę - powiedziała.

Ian uniósł głowę i parsknął śmiechem. Nad nim znajdował się duży, oryginalny domek na drzewie.

- Twój?

- Oczywiście.

Spojrzał z podziwem na solidne „stopnie”, przybite do pnia i uniósł brew.

- Wejdiesz pierwsza, czy ja mam to zrobić?

- Żartuje pan!

- Ty mogłaś włamać się do mojego domu, więc ja mogę do twojego.

Cieśla, który zbudował ten domek, dobrze się spisał, uznał Ian, rozglądając się w środku. Elizabeth była znacznie drobniejsza od niego i konstrukcję dopasowano do jej wzrostu, ale nawet teraz, jako dorosła, mogła się tu niemal wyprostować.

- Co jest tam, w tym małym kufierku?

Podeszła bliżej.

- To samo usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy znalazłam pańską skrzynkę ze skarbami. Zobaczmy. Tak jak przypuszczałam - odezwała się po chwili, podniósłszy wieko. - Moja lalka i serwis do herbaty.

Ian uśmiechnął się, ale w duchu zobaczył małą dziewczynkę, która żyła w luksusie, lecz rodzinę zastępowała jej lalka, a przyjaciół służba. W porównaniu z nią miał znacznie szczęśliwsze dzieciństwo.

- Chcę panu pokazać jeszcze coś - powiedziała, kiedy wreszcie wyciągnął ją z domku i zmierzali z powrotem do pałacu.

Wyrwany z zadumy nad smutnym dzieciństwem dziewczyny, Ian dał się poprowadzić w innym kierunku. Obeszli budynek, a gdy stanęli na jego tyłach, Elizabeth zatrzymała się i szerokim, pełnym wdzięku gestem objęła rozciągający się stamtąd widok.

- Większość to moje dzieło - oświadczyła dumnie.

Ian rozejrzał się i miejsce uśmiechu na jego twarzy zajęły czułość oraz podziw. Przed nim bowiem rozciągał się niezrównany, imponujący, najwspanialszy barwny kobierzec kwiatów, jaki kiedykolwiek widział. Inni właściciele mogli podarować Havenhurst kamienie i zaprawę, lecz to zapierające dech w piersi piękno posiadłość zawdzięczała Elizabeth.

- Kiedy byłam mała - ciągnęła cicho, spoglądając na ogrody i rozciągające się za nimi pagórki - uważałam, że to najpiękniejsze miejsce pod słońcem.

Nieco zażenowana tym dziecięcym wyznaniem, zerknęła na narzeczonego z nieśmiałym uśmiechem.

- A jakie miejsce na ziemi pan uważa za najpiękniejsze?

Oderwał wzrok od ogrodów i popatrzył na stojącą przy nim dziewczynę.

- Każde - odparł czułym tonem - gdzie ty jesteś.

Elizabeth zaróżowiła się z zakłopotania, ale i z zadowolenia, lecz w jej głosie brzmiał lekki wyrzut.

- Wcale nie musi pan mówić mi takich rzeczy. I tak dotrzymam umowy.

- Wiem o tym. - Z trudem się pohamował, by nie zasypać jej wyznaniem miłości, w które i tak by teraz nie uwierzyła. - Zresztą - dodał z uśmiechem - jak się okazało po naszych negocjacjach, to głównie ja otrzymałem polecenia, z których muszę się wywiązać, a nie ty.

Zerknęła na niego rozbawiona.

- Czasami był pan aż nadto ustępliwy. Pod koniec stawiałam warunki tylko po to, by się przekonać, kiedy pan wreszcie powie: dość.

Ian, który od czterech lat budował fortunę, kupując statki, tworząc kompanie importowo - eksportowe oraz inne najróżniejsze przedsiębiorstwa, uważany był za wyjątkowo trudnego przeciwnika w negocjacjach. Oświadczenie Elizabeth przyjął więc teraz z nieskrywanym zaskoczeniem.

- Odnosiłem wrażenie, że każdy punkt ma dla ciebie niezwykle znaczenie, a jeśli nie przystanę, wycofasz się z umowy.

Dziewczyna skinęła głową z zadowoleniem.

- Wydawało mi się, że właśnie takie należało stworzyć pozory.

Czemu pan się śmieje?

- Bo najwyraźniej wczoraj byłem w fatalnej formie. Nie dość, że całkowicie błędnie odczytałem twoje intencje, to jeszcze kupiłem dom przy Promenadę Street, który z pewnością pięciokrotnie przepłacę.

- Och, nie sądzę - odrzekła uspokajającym tonem i nieco zawstydzona szukała pretekstu, by odwrócić wzrok, więc zerwała listek z pobliskiej gałęzi. - Jeśli chodzi o targowanie się - oświadczyła z pozorną nonszalancją - wydaje mi się, że ja zachowałam rozsądek, natomiast stryj niewątpliwie próbował pana naciągnąć. Tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze, staje się okropny.

Ian skinął głową. Doskonale pamiętał, jaki majątek wydarł z niego Julius Cameron w zamian za zgodę na małżeństwo ze swą bratanicą.

- Dlatego też - ciągnęła, z udawanym zachwytem wpatrując się w niebo - po pańskim wyjściu sporządziłam listę rzeczy wymagających natychmiastowego naprawienia. Wysłałam ją stryjowi wraz z komentarzem, że dom jest w fatalnym stanie i trzeba będzie w niego mnóstwo zainwestować.

- I...?

- I dodałam, że w związku z tym będzie pan gotów zapłacić rozsądną cenę, lecz ani

grosza więcej.

- I...? - drażył Ian.

- Przystał na moją ofertę.

Wybuchnął gromkim śmiechem. Chwyił Elizabeth w ramiona i uniósł jej twarz ku sobie.

- Elizabeth - powiedział czule - gdybyś jednak się rozmyśliła i nie wyszła za mnie, obiecaj, że nigdy nie zasiądziesz przeciwko mnie w czasie negocjacji, bo, klnę się na Boga, przepadłbym.

Coraz trudniej było mu zwalczyć pokusę, by nie pocałować dziewczyny, ale na podjeździe stała już karetka z księżącą koroną Townsende'ów, a Ian nie miał pojęcia, gdzie mogą się znajdować Jordan i jego żona. Elizabeth również dostrzegła, że przyjechali goście, i ruszyła w stronę domu.

- A jeśli chodzi o suknie - odezwała się, stając w pół kroku i spoglądając na narzeczonego z powagą - zamierzałam panu podziękować od razu, gdy pan przyjechał, ale tak się ucieszyłam... to znaczy...

Uświadomiła sobie, że prawie się przyznała, iż uradował ją jego widok, i ogromnie się zawstydziała. Byłaby już w końcu powiedziała na głos to, do czego przed samą sobą nie chciała się przyznać, i zupełnie zgubiła wątek.

- Dokończ - zachęcił ją czule Ian. - Tak się ucieszyłaś na mój widok, że...

- ...że zapomniałam. Oczywiście, nie należało tego robić: zamawiać tyłu sukien i to w tej pracowni. Madame LaSalle okropnie zdiera skórę, pamiętam jej ceny jeszcze z czasów mojego debiutu.

- Tym absolutnie nie musisz się przejmować - oświadczył zdecydowanie Ian i aby uciszyć jej skrupuły, dodał lekko: - Przynajmniej wydam pieniądze z przyjemnością i będę widział, na co poszły. Dzień przed tym, gdy zamówiłem suknie dla ciebie, przegrałem do Jordana Townsende'a w karty tysiąc funtów.

- Przecież często pan grywa - zdziwiła się Elizabeth. - Na pewno nieraz pan stawia takie sumy?

- Ale wtedy - odparł lakonicznie - na ogół mam coś w karcie.

- Wie pan - skarciła go łagodnie, gdy szli do głównego wejścia - jeśli będzie pan szastał pieniędzmi, skończy pan zupełnie jak mój tata.

- Czyli jak?

- Po uszy w długach. On też lubił hazard. - Kiedy milczał, zaproponowała nieśmiało: - Możemy zamieszkać tutaj. Nie musimy utrzymywać trzech domów, to bardzo kosztowne. -

Uświadomiła sobie, jak to mogło zabrzmieć, i natychmiast się poprawiła: - Oczywiście, nie oznacza to, że nie będę się dobrze czuła w pańskiej posiadłości. Ten dworek w Szkocji też ogromnie mi się podobał.

Ian z rozczuleniem myślał, że najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z jego bogactwa, a mimo to zgodziła się za niego wyjść - nawet gdyby miała zamieszkać na skromnej farmie w Szkocji albo w kamienicy przy Promenade Street. Jeśli tak było naprawdę, otrzymał dowód, którego tak bardzo pragnął: że znaczył dla Elizabeth więcej, niż to okazywała.

- Zostawmy decyzję do pojutrze, kiedy zobaczysz mój dom - zaproponował, już nie mogąc się doczekać jej reakcji: zdumienia i szoku.

- Są... sądzi pan, że potrafiłby się nauczyć ostrożniej obchodzić z pieniędzmi? - spytała nieśmiało. - Mogłabym sporządzić oszczędny budżet. Jestem w tym całkiem dobra...

Tu już Ian nie wytrzymał. Opanowawszy śmiech, zrobił to, o czym marzył, odkąd zobaczył Elizabeth w holu: wziął ją w ramiona i całował gorąco, nie mogąc się nią nasycić - jak zawsze kiedy znajdowała się blisko niego - dziewczyna zaś zareagowała pełną słodczy uległością, która nieodmiennie budziła w nim szaleńczą namiętność.

Kiedy wreszcie niechętnie wypuścił swą narzeczoną z objęć, była zarumieniona, a jej cudowne oczy błyszczały jak gwiazdy. Ze splecionymi dłońmi wolno szli w stronę domu. Ianowi nie śpieszyło się do spotkania z przyjaciółmi, więc wypytywał Elizabeth o co ciekawsze krzewy, oryginalny kwiat na pierwszym klombie albo najzwyczajniejsza różę.

Jordan i Aleksandra Townsende'owie obserwowali ich oboje z okna pokoju wychodzącego na ogród.

- Gdybyś kilka dni temu kazała mi wymienić nazwisko mężczyzny, który na pewno nie zakocha się po uszy, bez wahania wskazałabym Iana Thorntona - odezwał się Jordan.

Żona zerknęła na niego z rozbawieniem.

- Gdyby zaś mnie spytano, stawiałabym raczej na ciebie.

- Nie wątpię - zgodził się pogodnie.

Aleksa spochmurniała. Objął ją zaniepokojony, że nagle źle się poczuła.

- Czy to dziecko, najmilsza?

Parsknęła śmiechem i pokręciła głową, ale natychmiast spoważniała.

- Sądzisz - zapytała z namysłem - że można mu zaufać? Naprawdę jej nie skrzywdzi? Tyle przez niego wycierpiała, że... że... Nie potrafię go polubić, Jordanie. Owszem, przyznaję, że jest przystojny. Wyjątkowo przystojny...

- Nie przesadzajmy - odparł urażony ksiązę.

Tym razem Aleksandra wybuchnęła głośnym śmiechem, odwróciła się, objęła męża i

mocno ucałowała.

- Właściwie, to odrobinę przypomina mi ciebie. Macie podobną budowę i karnację, i jesteście niemal identycznego wzrostu.

- Mam nadzieję, że to nie z tego powodu nie potrafisz go polubić - zażartował.

- Jordanie, proszę, przestań. Naprawdę bardzo się niepokoję. Ten mężczyzna... Cóż, budzi we mnie strach. Z pozoru sprawia wrażenie cywilizowanego, lecz pod gładkimi manierami daje się wyczuć siłę, a wręcz bezwzględność. Jeśli ten człowiek czegoś zapragnie, nic nie zdoła mu przeszkodzić. Widziałam to wczoraj, kiedy zjawił się i namówił Elizabeth, by za niego wyszła.

Jordan przyjrzał się jej z ciekawością, zdziwieniem i rozbawieniem.

- Mów dalej.

- W tym momencie pragnie Elizabeth, ale ciągle się obawiam, że to tylko kaprys.

- Nie uważałabyś tak, gdybyś zobaczyła, jak pobił, gdy sobie uświadomił, że postanowiła stawić czoło całemu Londynowi bez jego pomocy.

- Naprawdę? Jesteś pewien?

- Całkowicie.

- A jak dobrze go znasz?

- Ian - odrzekł książę z uśmiechem - jest moim kuzynem w szóstej linii.

- Co takiego? Żartujesz! Czemu wcześniej się nie przyznałeś?

- Przede wszystkim, dlatego że dopiero niedawno padło w rozmowie jego nazwisko. A nawet gdyby pojawiło się wcześniej, nie wspomniałbym o tym, bo Ian wypierał się jakichkolwiek związków ze Stanhope'em, czemu trudno się dziwić. Ponieważ znałem jego poglądy, uważałem - za komplement, że w ogóle chciał ze mną utrzymywać kontakty. Jesteśmy również współwłaścicielami trzech statków. - Parsknął śmiechem na widok zaskoczenia żony. - Ian jest prawdziwym geniuszem, a jeśli nie geniuszem, to przynajmniej niezrównanym strategiem. Inteligencja - zażartował - stanowi naszą cechę rodzinną.

- Kuzyni! - powtórzyła Aleksa.

- Nie powinno cię to dziwić. Wystarczy dokładnie przestudiować drzewa genealogiczne naszej arystokracji, by się przekonać, że wszystkie rody w pewnym momencie się koligaciły dzięki tak zwanym „korzystnym aliansom”. Podejrzewam, że najbardziej niepokoi cię szkockie pochodzenie Iana. Pod wieloma względami jest bardziej Szkotem niż Anglikiem, stąd zapewne ta jego, jak to określiłaś, bezwzględność. Robi, co chce, kiedy chce i do diabła z konsekwencjami. Zawsze taki był. Nie obchodzi go, co ludzie sądzą o nim i jego postępowaniu. - Jordan umilkł i znacząco popatrzył przez okno na parę, która przyglądała się

krzewowi na trawniku. Ian słuchał z uwagą Elizabeth, a na jego surowej twarzy malowała się czułość. - Lecz wtedy na balu bardzo go obchodziło, co myślą ludzie o twojej czarującej przyjaciółce. Wolę nie myśleć, co by zrobił, gdyby ktoś odważył się otwarcie ją obrazić w jego obecności. Słusznie nie dałaś się zwieść nieskazitelnym manierom Thorntona. W głębi duszy pozostał Szkotem i ma prawdziwie szkocki temperament, choć zwykle nad sobą panuje.

- To mnie chyba nie uspokaja - wyznała nadal zmartwiona Aleksandra.

- A powinno. Całkowicie oddał się Elizabeth. Jego zaangażowanie jest tak głębokie, że nawet pojednał się z dziadkiem i pokazał się z nim publicznie. A wiem, że zrobił to wyłącznie ze względu na twoją przyjaciółkę.

- Skąd ta pewność?

- Po pierwsze, kiedy spotkałem się z Ianem u Blakemore'a, nie wybierał się do Willingtonów, dopóki się nie dowiedział, że będzie tam Elizabeth. Potem zaś pojawił się tam wraz ze swoim dziadkiem. A to właśnie, najmilsza, nazywamy pokazem siły.

Aleksa spojrzeniem wyraziła uznanie dla jego przenikliwości. Jordan uśmiechnął się szeroko.

- Tak więc sama widzisz, że niepotrzebnie się martwisz - uspokajał żonę. - Szkoci są najbardziej lojalnym narodem pod słońcem, Ian będzie jej bronił jak lew.

- Dwa lata temu, kiedy jej reputacja legła w gruzach, jakoś nie kwapił się do obrony.

Książę z westchnieniem wyjrzał przez okno.

- Po balu u Willingtonów powiedział mi co nieco o tym, co się wydarzyło u Charise. Niewiele, bo jest z natury skryty, lecz czytałem między wierszami. Przypuszczam, że zakochał się w Elizabeth po uszy i wmówił sobie, iż hrabianka traktuje go jak przelotny flirt.

- Czy to taki grzech? - spytała Aleksa, twardo stając po stronie przyjaciółki.

Jordan spojrzał na nią ze smutnych uśmiechem.

- Zapominasz o drugiej, oprócz lojalności, cesze Szkotów.

- Mianowicie?

- Dumie. Oczekują tej samej lojalności, którą dają. A jeśli ich zdradzisz albo zawiedziesz, przestajesz dla nich istnieć. Żadne słowa ani czyny nie złagodzą ich decyzji. Dlatego ich walki między klanami toczą się z pokolenia na pokolenie.

- Barbarzyństwo. - Aleksę przeszył dreszcz.

- Może i tak. Ale nie zapominajmy, że Ian w połowie jest również Anglikiem, my zaś staliśmy się niezwykle cywilizowani. - Jordan pochylił się i musnął wargami ucho żony. - Z wyjątkiem łóżka.

Ianowi zabrakło pomysłów, więc pogodził się z losem i wrócili do domu. Na schodach Elizabeth jeszcze się zatrzymała i odwróciła do niego.

- Dziś rano - wyznała tonem osoby nie do końca pewnej, czy słusznie postąpiła - wynajęłam detektywa, by spróbował odnaleźć mojego brata albo przynajmniej dowiedział się, co się z nim stało.

Już wcześniej próbowałam to zrobić, lecz kiedy ci ludzie się dowiadawali, że nie mam pieniędzy, nie zgadzali się na moją propozycję, że zapłacę im później. Pomyślałam, że przeznaczę na ten cel część pieniędzy pożyczonych od pana na Havenhurst.

Ianowi z trudem udało się zachować obojętny wyraz twarzy.

- I...? - zapytał.

- Księżna wdowa zapewniła mnie, że pan Wordsworth zna się na swoim fachu, niestety okazał się niezwykle drogi. Na szczęście w końcu osiągnęliśmy kompromis.

- Dobrzy detektywi zawsze są drodzy - zauważył Ian, myśląc o trzech tysiącach funtów zaliczki, jakie dziś rano wręczył detektywowi, zlecając mu identyczną misję. - Ile od ciebie zażądał? - spytał, zamierzając dopisać tę kwotę do sumy na jej wydatki.

- Początkowo chciał tysiąc funtów niezależnie od tego, czy dowie się czegoś o Robercie, czy nie. Ale zaproponowałam, że zapłacę mu dwa razy tyle, jeśli jego misja zakończy się powodzeniem.

- A jeśli nie?

- Och, w takim wypadku nie powinien niczego żądać - odrzekła Elizabeth. - Przekonałam go do swojego punktu widzenia.

Kiedy weszli do salonu, by powitać z Townsende'ów, śmiech Iana nadal jeszcze brzmiał w holu.

Żaden posiłek - ani najwystawniejszy, ani intymny, we dwoje - nigdy nie sprawił Ianowi takiej przyjemności jak ta kolacja w Havenhurst. Elizabeth zatuszowała skromny wygląd pokoi, ustawiając w jadalni i salonie mnóstwo kwiatów. Jeśli dodać do tego ciepłe płomyki świec w lichtarzach, otrzymywało się najpiękniejszą salę jadalną, jaką Ian kiedykolwiek widział.

Tylko raz przeżył moment grozy: Elizabeth weszła do jadalni z tacą pełną jedzenia i Thornton obawiał się, że sama przygotowała posiłek. Kiedy po chwili zjawił się służący z drugą tacą, Ian w duchu odetchnął z ulgą.

- To Winston, nasz lokaj i kucharz - przedstawiła go. Odgadłszy zaś obawy Iana, dodała z kamienną miną: - Wszystko, co wiem o gotowaniu, zawdzięczam właśnie jemu.

Rozbawienie Iana toczyło walkę z jego obawami, a służący to dostrzegł.

- Hrabianka Elizabeth - zwrócił się z naciskiem do jej narzeczonego - w ogóle nie potrafi gotować. Zawsze szkoda jej było czasu.

Ian pominął tę uwagę milczeniem: za bardzo się cieszył z dobrego nastroju dziewczyny. Kiedy jednak burkliwy lokaj wyszedł, Thornton zerknął na Jordana i zobaczył, że przyjaciel spod zmrużonych powiek obserwuje służącego, a potem spojrzął na Elizabeth, która nie kryła zażenowania.

- Wydaje im się, że takim zachowaniem okazują mi lojalność - wyjaśniła. - Za... zapamiętali pańskie nazwisko. Porozmawiam z nimi.

- Będę wdzięczny. Lokaj Elizabeth - Ian zwrócił się do Jordana - zawsze pokazuje mi drzwi.

- A czy nie jest głuchy? - upewnił się Townsende.

- Głuchy? - powtórzył zdziwiony Thornton. - Naturalnie że nie.

- To możesz się uważać za szczęściarza - odparł z westchnieniem przyjaciel, a obie przyjaciółki wybuchnęły śmiechem.

- Lokaj Townsende'ów, Penrose, jest głuchy jak pień - wyjaśniła Elizabeth.

Kolacja upłynęła wśród wybuchów śmiechu i nieoczekiwanych rewelacji na temat Aleksandry i Elizabeth. Ian dowiedział się na przykład, że o ile ulubioną bronią jego narzeczonej jest pistolet, to Aleksa doskonale posługuje się szpadą. Towarzystwo Elizabeth sprawiało mu taką przyjemność, że nie zwracał uwagi na, notabene bardzo dobry, posiłek, tylko odchylił się na krześle i obserwował ją z dumą. Jaśniała niczym świece ozdobione kwiatami, a kiedy się śmiała, pokój napełniał się muzyką. Z wyczuciem urodzonej pani domu prowadziła czarującą rozmowę, dbając, by wszyscy goście w niej uczestniczyli. Najwspanialsze zaś było to, że swobodnie się czuła w obecności Iana. Przekomarzała się z nim i uśmiechała, gdy czymś ją rozbawił, albo w skupieniu słuchała jego uwag. Jeszcze nie potrafiła w pełni mu zaufać, ale czuł, że wkrótce to nastąpi.

Po kolacji panie, zgodnie z obyczajem, udały się do salonu, by panowie mogli przy stole rozkoszować się portwajnem i cygarami.

- Kiedy pierwszy raz zobaczyłam Iana, zapalał cygaro - zwierzyła się hrabianka Aleksie, gdy już wygodnie się usadowiły na kanapie. Podniósłszy wzrok, dostrzegła zmarszczkę na czole przyjaciółki i po chwili spytała cicho: - Nie lubisz go, prawda?

Księżna baczniej przyjrzała się Elizabeth, słysząc w jej głosie lekkie rozczarowanie.

- Nie... nie podoba mi się to, co z tobą zrobił.

Elizabeth przymknęła oczy i zastanawiała się nad tą uwagą oraz własnymi uczuciami. Dawno temu Ian powiedział, że jest o krok od zakochania się w niej, a teraz, choć się

zareczyli, ani słowem nie wspomniał o miłości i nawet nie udawał, że ją kocha. Nie potrafiła odgadnąć, jakie motywy nim kierowały; nie była nawet pewna swoich własnych uczuć. Tylko jedno nie ulegało wątpliwości - że na sam widok jego surowej, przystojnej twarzy o rzeźbionych rysach i bursztynowych oczach ogarniało ją napięcie, ale równocześnie budziła się do życia. Wiedziała, że lubił ją całować, ona zaś przepadała za tymi pocałunkami. Pociągało ją również coś innego: od pierwszego spotkania Elizabeth wyczuwała, że za surową męską urodą i stylem bycia oraz towarzyskim polorem i wyrafinowaniem Iana Thorntona kryje się głębia umysłowa, której brakowało większości mężczyzn.

- Sama nie potrafię zrozumieć - wyszeptała - co powinnam czuć lub myśleć. A co gorsza nie opuszcza mnie świadomość, że moja mądrość ani zdanie nie będą się liczyć - dodała smutno - ponieważ i tak go pokocham. - Otworzyła oczy i spojrzała na Aleksę. - To już się dzieje i nie zatrzymam tego. Zaczęło się dwa lata temu i wtedy też nie mogłam zapanować nad moim sercem. Dlatego sama rozumiesz - dodała z bolesnym uśmiechem - że byłoby mi znacznie łatwiej, gdybyś ty też zdołała go choć odrobinę pokochać.

Aleksa pochyliła się nad stołem i ujęła dłonie przyjaciółki.

- Skoro go kochasz, to znaczy, że jest wspaniałym mężczyzną. Od tej pory będę się starała dostrzegać w nim wyłącznie zalety. - Zawahała się, ale odważyła się na pytanie: - Elizabeth, a czy on cię kocha?

Hrabianka pokręciła głową.

- Wiem, że mnie pragnie i mówi, że chce mieć dzieci. Młoda księżna z trudem opanowała śmiech.

- Co takiego?

- Pragnie mnie i chce mieć dzieci.

Na ustach Aleksandry zagościł dziwny, tajemniczy uśmiešek.

- Nie powiedziałaś, że do tego pierwszego też się przyznał. Nabieram coraz większej otuchy - zażartowała, zarumieniona.

- Ja chyba również - przyznała się Elizabeth.

Przyjaciółka zerknęła na nią pytająco.

- Elizabeth, to nie jest odpowiednia chwila na taką rozmowę... Właściwie - dodała, zalewając się jeszcze głębszym rumieńcem - żadna chwila nie jest na to odpowiednia, ale... czy Lucinda wyjaśniła ci, skąd się biorą dzieci?

- Tak, naturalnie - odparła Elizabeth bez wahania.

- To dobrze, inaczej na mnie spadłby obowiązek wyjaśnienia ci wszystkiego, a do tej pory pamiętam swoją reakcję, gdy się dowiedziałam. Zapewne nie zachowałam się jak dama -

przyznała ze śmiechem. - Co prawda, ty zawsze byłeś znacznie roztropniejsza ode mnie.

- Wcale nie - zaprotestowała Elizabeth.

Zupełnie nie rozumiała zakłopotania przyjaciółki. Dzieci, jak tłumaczyła Lucinda, gdy podopieczna ją o to zapytała, poczynają się, kiedy mąż całuje żonę w łóżku. I za pierwszym razem jest to bolesne. Pocałunki Iana czasem miażdżyły usta Elizabeth, ale nigdy nie czuła bólu i przepadała za nimi.

Rozmowa z Aleksą uwolniła Elizabeth od konieczności zastanowienia się nad własnymi uczuciami, co ją uradowało i niezwykle uspokoiło. Podejrzewała, że Ian dostrzeże to natychmiast po wejściu do salonu.

I rzeczywiście, dostrzegł. Kiedy po wypiciu portwajnu i wypaleniu cygara wraz z Jordanem przyłączyli się do pań i na prośbę Elizabeth zasiedli do kart, natychmiast zwrócił uwagę na subtelny, lecz wyraźnie odczuwalną aprobatę obu przyjaciółek.

- W co chciałybyś zagrać? - zapytał narzeczoną.

- Chciałabym zobaczyć, jak pan oszukuje - powiedziała impulsywnie, uśmiechając się do niego.

Znieruchomiał.

- Słucham?

- Miałam na myśli... - wyjaśniła spieszenie, kiedy Ian powoli tasował karty, nie spuszczać z niej wzroku. - Tamtego wieczoru u Charise wspomniano, że przy rozdawaniu można wyjąć kartę z dołu talii i zawsze się zastanawiałam, czy pan potrafi... czy to możliwe...

Urwała, ponieważ zdając sobie sprawę, że poczuł się urażony, a spojrzenie Iana spod zmrużonych powiek świadczyło, że faktycznie jej prośba zabrzmiała tak, jakby narzeczoną uważała go za zdolnego do oszukiwania podczas gry.

- Bardzo przepraszam - odezwała się cicho. - To było niewybaczalne.

Krótkim skinieniem głowy przyjął jej przeprosiny.

- Może umówmy się, że gramy po szylingu - zaproponowała szybko Aleksa.

Ian bez słowa zaczął rozdawać. Zawstydzona Elizabeth nie odważyła się nawet na niego spojrzeć, przygryzła wargę i wzięła swoje karty.

Dostała cztery króle.

Popatrzyła na Iana, lecz ten siedział spokojnie w fotelu, skupiony na własnych kartach.

Elizabeth wygrała trzy szylingi i nie posiadała się ze szczęścia.

Thornton podsunął jej talię, ale pokręciła głową.

- Nie lubię rozdawać. Zawsze upuszczam karty, co, jak powiada Celton, jest bardzo

denerwujące. Zechce pan mnie wyręczyć?

- Drobiazg - rzucił obojętnie Ian.

Elizabeth ze ściśniętym sercem uświadomiła sobie, że nadal się na nią gniewa.

- Co to za Celton? - dopytywał się Jordan.

- Celton to stajenny, z którym grywałam w karty - wyjaśniła zasmucona dziewczyna i wzięła swoje karty.

Dostała cztery asy.

Wtedy wszystko zrozumiała. Poczula wielką ulgę i z trudem opanowała wybuch radości. Spojrzała na narzeczonego. Nic w jego opanowanej twarzy nie zdradzało, że dzieje się coś niezwykłego. Rozparty leniwie w fotelu, obojętnie uniósł brew i spytał:

- Wymieniasz karty, Elizabeth?

- Tak - powiedziała, tłumiąc śmiech. - Przydałby mi się jeszcze jeden as.

- W talii są tylko cztery - wyjaśnił spokojnie, z takim niewyobrażalnym tupetem, że Elizabeth głośno się roześmiała i upuściła karty.

- Istny szarlatan! - wykrztusiła, kiedy wreszcie mogła mówić. Na jej twarzy malował się podziw.

- Dziękuję, kochanie - odparł czule. - Cieszę się, że nabierasz o mnie coraz lepszego zdania.

Elizabeth przestała się śmiać, od stóp do głowy zalała ją fala ciepła. Dżentelmen, jeśli nawet zwracał się tak czule do swej wybranki, na pewno nie robił tego przy świadkach. „Jestem Szkotem, wyszeptał jej kiedyś do ucha. My się zakochujemy”. Po słowach Iana na moment zapadła pełna zdumienia cisza, po czym Townsende'owie zaczęli coś mówić z ożywieniem, lecz Elizabeth i tak nie potrafiła oderwać wzroku od narzeczonego, nie mogła nawet się poruszyć. W tej długiej niczym wieczność chwili, gdy ich oczy się spotkały, z trudem się powstrzymywała, by nie rzucić się łanowi w ramiona. Dostrzegł to i spojrzał na nią tak, że zmiękła jak wosk.

- Odnoszę wrażenie, przyjacielu - zażartował Jordan, przerywając tę magiczną chwilę - że marnujemy swoje talenty, uczciwie zarabiając na chleb.

Ian niechętnie oderwał wzrok od Elizabeth i uśmiechnął się pytająco do księcia.

- Co masz na myśli?

Podsunał karty Jordanowi, ona zaś zgarnęła nieuczciwie zdobyte szylingi.

- Przy twoim talencie do rozdawania takiej karty, jaką sobie zażyczysz, moglibyśmy wygrać z połową Londynu. A gdyby jakiś poszkodowany śmiał wystąpić z pretensjami, Aleksa przeszyłyby biedaka szpadą, a hrabianka na wszelki wypadek poczęstowała go jeszcze

kulką.

- Niezły pomysł - roześmiał się Thornton. - A na czym polegałaby twoja rola?

- Wyciągałby nas z więzienia! - zawołała rozbawiona Elizabeth.

- Właśnie.

Kiedy Ian udał się do gospody Pod Zielonym Liściem, gdzie zamierzał przenocować przed wyruszeniem w drogę do swego majątku, Elizabeth została na dole, żeby pogasić świece i uporządkować salon. Tymczasem w jednej z sypialni dla gości Jordan spojrzął na żonę z uśmiechem, pod którym kryła się satysfakcja.

- I co teraz sądzisz o markizie Kensingtonie? - spytał.

Aleksa podniosła ku niemu błyszczące oczy.

- Sądzę - odrzekła cicho - że jeśli nie zrobi czegoś naprawdę okropnego, dam się przekonać, że istotnie jesteście ze sobą spokrewnieni.

- Dziękuję, kochanie - powiedział czule Jordan, powtarzając słowa przyjaciela. - Cieszę się, że nabierasz o nim coraz lepszego zdania.

ROZDZIAŁ 26

Elizabeth nie mogła się doczekać, kiedy znowu zobaczy Iana, a przy tym była ogromnie ciekawa, jak wygląda jego dom. Powiedział, że kupił Montmayne rok temu za własne pieniądze, a po tym, co zobaczyła w Szkocji, spodziewała się raczej surowych warunków. Z jednej strony uważała za niemądrą jego decyzję, by nie przeprowadzić się do Havenhurst, gdzie mieliby wszelkie wygody, z drugiej jednak rozumiała, że ucierpiałaby duma narzeczonego, gdyby musiał się przenieść do jej domu.

Zostawiła Lucinę w gospodzie, gdzie przenocowały, i już dwie godziny jechała powozem. Wreszcie Aaron skręcił z głównego traktu i zatrzymał się z fasonem przed masywną bramą z kutego żelaza. Elizabeth wyjrzała niespokojnie i na widok imponującego wjazdu wyciągnęła logiczny wniosek, że albo się pomylili, albo jej stangret zamierzał tu spytać o dalszą drogę. Ze schludnej stróżówki obok bramy wynurzył się odźwierny. Elizabeth nastawiła ucha, by usłyszeć, co powie Aaron.

- Hrabianka Havenhurst - zapowiedział stangret.

Zdumiona dziewczyna patrzyła, jak służący spieszenie otwiera bramę. Masywne skrzydła na dobrze naoliwionych zawiasach rozsunęły się bezszelestnie. Ledwo Aaron przejechał, a mężczyzna już je zamykał. Elizabeth ściskając w dłoniach rękawiczki, wyglądała przez okno powozu. Jechali długą, krętą aleją, wijącą się wśród wypięszonego parku. Nawet w najśmielszych snach hrabianka Cameron nie wyobrażała sobie tak malowniczego widoku. Posiadłość z trzech stron otaczały łagodne pagórki gęsto porośnięte drzewami; końskie kopyta zastukotały na kamiennym mostku, pod którym płynął śliczny, wesoły strumyk.

Wreszcie ukazał się pałac i Elizabeth nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu na widok tej niezrównanej, dwupiętrowej rezydencji. Słońce odbijało się w dużych oknach, przed masywnymi drzwiami wejściowymi znajdował się obszerny taras, na który prowadziły wygodne schody; z obu ich stron co cztery stopnie stały kamienne donice z przyciętymi krzewami. Po lustrzanej tafli sadzawki leniwie sunęły łabędzie, obok zaś wznosiła się altana z białymi kolumnami w greckim stylu, tak wielka, że zmieściłaby się w niej jedna czwarta pałacu Cameronów. Olbrzymie trawniki, na których precyzyjnie rozmieszczono ozdobne rośliny, z jednej strony przytłaczały, a z drugiej zachwycały urodą.

Wreszcie powóz zatrzymał się przy schodach i zeszedli do niego czterej lokaje w bordowo - złotych liberiach. Pomogli wysiąść oszołomionej dziewczynie i stanęli po obu jej

stronach, by niczym gwardia honorowa poprowadzić ją do domu.

Kamerdyner otworzył masywne frontowe drzwi i nisko się uklonił. Elizabeth znalazła się w imponującym marmurowym holu z przeszklonym dachem trzy piętra wyżej. Rozglądała się oczarowana, chłonąc wszystko wzrokiem.

- Jaśnie pan jest w gabinecie, przyjmuje niespodziewanych gości - oświadczył służący.

Elizabeth z trudem oderwała wzrok od zachwycającej, pełnej gracji linii klasycystycznych schodów wznoszących się po obu stronach obszernego holu.

- Prosił, żeby panią do niego zaprowadzić, kiedy tylko jaśnie hrabianka się zjawi.

Uśmiechnęła się niepewnie i ruszyła za służącym. Zatrzymał się przed dwuskrzydłowymi drzwiami z ozdobnymi mosiężnymi gałkami i zastukał. Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi i dziewczyna automatycznie weszła do środka, ale po kilku krokach stanęła oczarowana. Całą podłogę zaścielał gruby dywan z Aubusson, ściany zasłaniały półki z książkami, w głębi obszernego pokoju zaś, za masywnym biurkiem, siedział z podwiniętymi rękawami, odsłaniającymi opalone ramiona, ten sam mężczyzna, który mieszkał w skromnym domku w Szkocji i wraz z Elizabeth ścinał kulą z pistoletu gałązkę drzewa.

Nie zwracając uwagi na trzech mężczyzn, którzy uprzejmie wstali na jej widok, dziewczyna wpatrywała się w Iana, gdy ten podniósł się zza biurka. Czując się niczym we śnie, usłyszała, że przeprosił swych rozmówców i zobaczyła, jak długim, pewnym krokiem ruszył w jej stronę. Wreszcie stanął przed nią: jego szerokie bary zasłoniły pokój, a bursztynowe oczy niespokojnie badały jej twarz. Uśmiechnął się niepewnie.

- Elizabeth? - spytał.

Pozwoliła, by podniósł jej rękę do ust, cały czas wpatrując się w niego z oszołomieniem i podziwem.

- Najchętniej bym pana zabiła - powiedziała cicho.

Rozbawił go kontrast między słowami Elizabeth a tonem, jakim je wypowiedziała.

- Wiem.

- Mógł mnie pan uprzedzić.

- Wolałem zrobić ci niespodziankę.

A raczej: wolał się upewnić, czy naprawdę nic o nim nie wiedziała i wreszcie otrzymał dowód. Tak jak przypuszczał, dziewczyna zgodziła się go poślubić, nie zdając sobie sprawy z majątku, jaki posiadał. Oszołomienie i niedowierzanie na jej twarzy było prawdziwe. Chciał zobaczyć jej reakcję na własne oczy, dlatego polecił, by gościa wprowadzono do gabinetu natychmiast po przybyciu. Otrzymał swój dowód, a wraz z nim zyskał pewność, że chociaż

nie chciała mu się do tego przyznać - a może nawet milczała przed samą sobą - kochała go.

Mogła się zarzekać, że w małżeństwie szuka wyłącznie niezależności - teraz już Ian postanowił to znosić bez zmrużenia powieki, gdyż Elizabeth go kocha.

Patrzyła na niego. Sądząc, że narzeczony oczekuje jakiegoś komentarza na temat tej wspianiałej rezydencji, przywołała na twarz uśmiech i oświadczyła:

- Oczywiście, będzie to wymagało ode mnie poświęcenia, ale zacisnę zęby i jakoś to wytrzymam. Ile tu jest pokoi?

Żartobliwie uniósł brwi.

- Sto osiemdziesiąt dwa.

- Skromne, ale za to przytulne lokum - odparowała lekko. - Będziemy musieli sobie jakoś radzić. - Po tych słowach opuściła gabinet.

Jej narzeczony pomyślał, że będą sobie cudownie radzić. Po kilku minutach zakończył spotkanie i prawie niegrzecznie pożegnał swych gości, po czym udał się na poszukiwanie Elizabeth.

- Hrabianka ogląda ogrody, jaśnie panie - poinformował go lokaj.

Chwilę później Ian wyszedł przez drzwi balkonowe i stanął obok niej na stopniach tarasu. Pochylała się nad krzakiem róży, by oberwać zwiędły kwiat.

- To zaboli tylko przez chwilę - tłumaczyła krzewowi - a robię to tylko dla twojego dobra. Sama się przekonasz.

Spojrzała na narzeczonego z zawstydzonym uśmiechem.

- To nawyk - wyjaśniła.

- Twoja metoda najwyraźniej skutkuje - powiedział jej czule, patrząc na kwiaty, które opadły na jej suknię.

- Skąd pan wie?

- Bo dopóki się tu nie zjawiłaś - odrzekł cicho, gdy się wyprostowała - był to zwyczajny ogród.

Zaskoczona dziewczyna przekrzywiła głowę.

- A teraz?

- A teraz jest tu jak w raju.

Usłyszała drżący głos Iana, zobaczyła w jego oczach pragnienie i zabrakło jej tchu. Wyciągnął rękę, a Elizabeth bez namysłu uniosła dłoń, podała mu ją i wtuliła się w jego ramiona. Przez moment stał bez tchu, pochłaniając dziewczynę gorącym spojrzeniem i mocniej zaciskając ramię, a potem pochylał się i całował ją z czułą namiętnością oraz płomiennym pożądaniem. Gdy podniósł dłonie do jej piersi, Elizabeth poczuła, jak cały jej

opór i chęć niezależności nagle legły w gruzach. Odwzajemniła pocałunek, wkładając w to całe serce.

Zamknęła w swym pocałunku miłość, która się w niej gromadziła przez te wszystkie samotne lata dzieciństwa. Ian domyślił się tego, kiedy jej delikatne usta chętnie się rozchyliły pod dotknięciem jego języka, a miękkie dłonie zaplotły mu się na karku. Z żarem oddawała mu całą swoją miłość, on zaś łączywie ją przyjmował, czuł, jak przepływa od niej, rozchodzi się i wtapia w niego, przynosząc niewysłowioną radość. W Elizabeth znalazł wszystko, o czym kiedykolwiek marzył - a nawet więcej.

Nadludzkim wysiłkiem oderwał usta od jej warg, jedną dłonią gładząc jej jedwabiste włosy, a drugą przytulając ją do swego silnego ciała. Elizabeth - stała w objęciach Iana, nie okazując lęku ani wstydu, mimo oczywistych dowodów podniecenia mężczyzny.

- Kocham cię - szeptał, pocierając brodą jej skroń. - I ty też mnie kochasz. Czuję to, gdy trzymam cię w ramionach.

Zesztywniała i wciągnęła z drzeniem powietrze, lecz nie mogła - albo nie chciała - odpowiedzieć. W każdym razie nie zaśmiała mu się w twarz, więc mówił dalej, gładząc dłonią jej plecy.

- Czuję to, Elizabeth, ale jeśli szybko mi tego nie wyznasz, oszaleję. Nie mogę pracować, nie potrafię się skupić. Podejmuję jakąś decyzję, a potem się wycofuję. A to jeszcze nic - zażartował i by rozluźnić atmosferę, poruszył temat, który zawsze wywoływał u niej żywą reakcję - w porównaniu z pieniędzmi, jakie przepuszczam, ilekroć żyję w napięciu. Nie chodzi tylko o suknie czy o kamienicę na Promenade Street... - Nie przestając mówić, ujął ją pod brodę, napawając się widokiem namiętności płonącej w oczach dziewczyny i udając, że nie dostrzega obaw, jakie się pojawiały w ich zielonych głębiach.

- Jeśli szybko tego nie powiesz - przekomarzał się - wkrótce oboje stracimy dach nad głową.

Gdy ściągnęła delikatnie brwi, nadal zagubiona, Ian uśmiechnął się szeroko, ujął jej dłoń i pokazał zaręczynowy pierścionek ze szmaragdem.

- Kiedy żyję w napięciu - podkreślił, wsuwając jej na palec cudowny klejnot - kupuję wszystko, co mi się nawinie pod rękę.

Resztkami sił się powstrzymałem, żeby nie kupić po jednym pierścionku w każdym kolorze.

Wreszcie oderwała wzrok od jego uśmiechniętych ust i spojrzała na olbrzymi kamień, połyskujący na jej palcu. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia i zachwytu.

- Och, ależ... - zawołała, wpatrując się w pierścionek. - Jest po prostu piękny!

Zachwycający! Tylko nie powinien pan... doprawdy.

Nie powinnam się zgodzić... Ianie - dodała.

Przeszedł go dreszcz, gdy Elizabeth po raz pierwszy zwróciła się doń po imieniu.

- Nie mogę ci na to pozwolić. I tak okazałeś mi już zbyt wielką hojność. - Z nabożeństwem musnęła palcem olbrzymi kamień, ale rezolutnie pokręciła głowę. - Nie potrzebuję kosztowności, słowo. Sprowokowała cię do tego moja głupia uwaga, że oczekuję od mężczyzny klejnotów wielkości dłoni i teraz dostałam szmaragd ogromny jak pięść.

- Prawie - Ian parsknął śmiechem.

- Ten jeden kamień wystarczyłby na pokrycie kosztów melioracji Havenhurst, na parę ładnych lat zapłaty dla służby, na jedzenie dla wszystkich i... - Zaczęła zsuwać z palca pierścionek.

- Ani mi się waż! - ostrzegł, tłumiąc śmiech i zaplatając dłonie na jej plecach. Gorączkowo usiłował znaleźć sposób, by uciszyć protesty dziewczyny. - Nie mogę go zwrócić. To część kompletu.

- Nie mów, że to dopiero początek!

- Niestety tak, ale resztę zamierzałem ci podarować wieczorem. Oprócz pierścionka kupiłem naszyjnik, bransoletkę i kolczyki.

- A, rozumiem... - powiedziała, zmuszając się, aby oderwać wzrok od klejnotu. - W takim razie... skoro kupiłeś cały garnitur, pierścionek kosztował mniej, niż gdybyś kupował go oddzielnie... Tylko mi nie mów - upomniała Iana, kiedy jego ramiona zaczęły drżeć od tłumionego śmiechu - że zapłaciłeś żadaną cenę za całość!

Ze śmiechem oparł głowę na jej czole i przytaknął.

- Masz prawdziwe szczęście - oznajmiła Elizabeth, obracając w palcach cudowny klejnot - że zgodziłam się za ciebie wyjść.

- Bo gdyby nie to - roześmiał się Thornton - Bóg jeden wie, co jeszcze bym kupił!

- Albo ile byś za to zapłacił - zawtórowała.

Po raz pierwszy sama, z własnej woli wtuliła się w jego ramiona.

- Naprawdę to robisz? - spytała chwilę później.

- Co robię? - odparł, nie do końca zapanowawszy jeszcze nad śmiechem.

- Wydajesz bez pamięci pieniądze, jeśli coś cię gnębi?

- Tak - skłamał.

- Będziesz musiał z tym skończyć.

- Postaram się.

- Jeśli chcesz, pomogę ci.

- Bardzo proszę.

- Możesz zdać się na mnie.

- Nie mogę się doczekać.

Po raz pierwszy w życiu Ian Thornton całował kobietę, śmiejąc się serdecznie.

Popołudnie minęło, jakby to były minuty, nie godziny. Ian ciągle spoglądał na zegar, pragnąc zatrzymać czas. Kiedy już nie mógł bardziej przedłużyć pobytu Elizabeth, odprowadził ją do powozu.

- Do zobaczenia jutro wieczorem na balu. Nie martw się, wszystko będzie dobrze.

- Wiem o tym - odrzekła z pełnym przekonaniem.

ROZDZIAŁ 27

Kiedy pięć dni temu Elizabeth zjawiała się na balu u Willingtonów, drżała z przerażenia i wstydu. Dziś, kiedy lokaj wykrzyczał jej nazwisko, nie czuła strachu ani nawet niepokoju i z wdziękiem sunęła po schodach u boku księżnej wdowy, a za nimi podążali Jordan i Aleksandra. Kątem oka dostrzegła, że zebrani unoszą głowy, by ją zobaczyć, ale dziś nie przejmowała się już tym, jak spogląda na nią sześciuset gości. Ubrana w nieziemską suknię z zielonego jedwabiu przetykanego złotą nicią, ze szmaragdowo - brylantową kolia od Iana na szyi czuła wyłącznie spokój i pewność siebie.

W połowie schodów powiodła wzrokiem po tłumie, szukając w nim tylko jednej twarzy. Stał dokładnie tam, gdzie dwa lata temu, kiedy zjawiała się w sali balowej Charise - u stóp schodów, w gronie znajomych, słuchając, co do niego mówią.

Tak jak przypuszczała, w tej samej chwili, gdy go zauważyła, spojrział na nią, jakby również na nią czekał. Pełnym podziwu wzrokiem ogarnął jej postać, zatrzymując się na twarzy. Potem zaś uniósł kieliszek tym samym co przed dwoma laty, subtelnym gestem uznania dla jej urody.

To było słodkie i boleśnie znajome. Dwa lata temu pierwszy raz odegrali tę scenę, tyle że wtedy wszystko źle się skończyło. Dziś, postanowiła Elizabeth, zakończy się tak, jak powinno. Nic jej nie obchodziły inne powody, dla których dziś znalazła się na tym balu. Słowa, które wczoraj wypowiedział Ian, jego zmysłowy głos i czułe uściski - wszystko to niczym słodka muzyka grało w jej sercu. Był otwarty, szczery i namiętny - zawsze taki był - a ona miała już dosyć strachu, rozsądku i liczenia się z konwenansami.

Ian również wspominał, jak wówczas po raz pierwszy oglądał wchodzącą Elizabeth - wtedy to, gdy bacznie jej się przyjrzał, nieodwracalnie stracił zdolność logicznego myślenia. Ale hrabianka Cameron, która pokonywała ostatnie stopnie i szła zaledwie parę metrów od niego, nie była tamtą piękną dziewczyną w szafirach sprzed dwóch lat.

Ta zjawiskowa istota w szmaragdowozielonej jedwabnej sukni nie mogła być kobietą z krwi i kości; ta majestatyczna królowa nie pozwoli mu się dotknąć. Zaczerpnął powietrza i dopiero teraz sobie uświadomił, że przypatrywał jej się z zapartym tchem. Zupełnie jak czterech towarzyszących mu mężczyzn.

- Święty Boże - wyszeptał hrabia Dillard, odwracając się za nią - ja chyba śnię!

- To samo pomyślałem, kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem - odezwał się Roddy Carstairs, stojący za nimi.

- Mam gdzieś plotki - ciągnął Dillard tak zauroczony twarzą dziewczyny, że zapomniał, iż stoi w towarzystwie współbohatera owych sensacyjnych wydarzeń. - Muszę się jej przedstawić.

Weisnął kieliszek Roddy'emu zamiast służącemu i udał się na poszukiwanie Jordana Townsende'a, który by go przedstawił Elizabeth.

Ian z trudem zachowywał obojętny wyraz twarzy, z wysiłkiem oderwał wzrok od odchodzącego Dillarda i popatrzył na Roddy'ego Carstairsa, który właśnie się z nim witał. Dłuższą chwilę trwało, nim w ogóle przypomniał sobie jego nazwisko.

- Co słyhać, Carstairs? - powiedział, wreszcie odgrzebawszy je w pamięci.

- Zakochałem się po uszy, zupełnie jak połowa obecnych tu mężczyzn - odparł tamten, ruchem głowy wskazując Elizabeth, lecz nie odrywając przy tym wzroku od obojętnej twarzy i płonących oczu swojego rozmówcy. - Co więcej, tak się zadurzyłem, że po raz drugi w mojej chlubnej karierze odgrywałem rolę rycerza, przybywającego z odsieczą damie w opałach. Twojej damie, o ile mnie nie zawodzi intuicja, a ona nigdy tego nie robi.

Ian uniósł kieliszek do ust i patrzył, jak Dillard kłania się Elizabeth.

- Bądź łaskaw jaśniej się wyrażać - powiedział rozdrażniony.

- Już się wyrażam jaśniej. Wyrocznia Carstairsa powiada: nikt, ale to nikt nigdy nie tknął tej niebiańskiej istoty. Nawet ty.

Słyszając, jak Roddy wyraża się o Elizabeth niczym o smakowitym kąsku, z którego każdy może uszczknąć kawałek, Ian poczuł, że wzbiera w nim furia. Na szczęście nie musiał odpowiadać na tę uwagę, bo przybyła kolejna grupa gości, pragnących zawrzeć z nim znajomość, więc ze stoickim spokojem - jak to czynił od początku wieczoru - zniósł kolejne dygnięcia, kokietyjne uśmiechy, zapraszające spojrzenia, gorące uściski dłoni i ukłony.

- Jak się czujesz - spytał Carstairs, kiedy jedna grupka odeszła, a druga już nadciągała w kierunku nowego dziedzica starego księcia - stawszy się z dnia na dzień najbardziej popularnym kawalerem w Anglii?

Thornton rzucił jakąś uwagę i oddalił się bezlitośnie, gasząc tym nadzieję kolejnej grupki, która zmierzała w jego stronę. Towarzysz Roddy'ego, który podziwiał wspaniale skrojony surdut i spodnie Iana w kolorze czerwonego wina, podszedł bliżej i podniósł głos, by przekrzyczeć hałas.

- Powiedz mi, Roddy, co Kensington odpowiedział na pytanie o najbardziej popularnego kawalera?

Na ustach Roddy'ego zagościł kpiący uśmiezek.

- Że to gorsze od wrzodu na tyłku. - Odstawi! kieliszek, zerknął z ukosa na

zaskoczonego towarzysza i dodał kąśliwie: - Hawthorne już się ożenił, a Kensington, moim zdaniem, lada chwila pójdzie w jego ślady, więc jedynym kawalerem z książęcym tytułem pozostanie Clayton Westmoreland. Jeśli wziąć pod uwagę zamieszanie, jakie swoimi konkurami wzbudzili Hawthorne i Kensington, nie mogę się doczekać, co wymyśli Westmoreland. To dopiero będzie zabawa, jakich mało.

Thornton potrzebował dwudziestu minut na pokonanie niecałych dziesięciu metrów dzielących go od dziadka, bowiem nieustannie ktoś albo mu się kłaniał, albo pragnął zamienić z nim przyjacielskie słówko.

Przez kolejną godzinę tańczył w tej samej sali, co Elizabeth. Okazało się, że jest niemal tak samo rozrywana jak on. Wieczór płynął dalej, a Ian obserwował, jak jego narzeczona śmieje się wesoło w tańcu do kolejnych partnerów albo słucha komplementów, którymi ją obsypują. Zauważył też, że chociaż bale na ogół go nudziły, a rzadko stanowiły rozrywkę, Elizabeth rozkwitała w tym otoczeniu. Właśnie tu jest jej świat. Takiego miejsca i oprawy potrzebowała, by błyszczeć niczym młoda królowa. Nie ulegało wątpliwości, że uwielbia to wszystko. Od kiedy zjawiała się na balu, ani razu nie zerknęła w kierunku Iana, choć on ani na chwilę nie spuszczał z niej wzroku. Co, jak sobie uświadomił z gniewem, gdy wreszcie nadeszła pora, by poprosić ją do walca, łączyło go z większością mężczyzn znajdujących się wokoło. Podobnie jak on bacznie i zachłannie przyglądali się hrabiance Cameron.

Odgrywając swoją rolę w farsie, zbliżył się do Townsende'ów i podszedł najpierw do Jordana, który stał między żoną a Elizabeth.

Spojrząwszy na przyjaciela z pełnym rozbawienia zrozumieniem, księżę usłużnie odwrócił się do dziewczyny, zaanektowanej przez wielbicieli.

- Hrabianko Cameron - odezwał się, posłusznie wygłaszając swoją kwestię - mam nadzieję, że pamięta pani naszego przyjaciela, lorda Thorntona, markiza Kensington?

Promiennego uśmiechu, jakim Elizabeth obdarzyła Iana, bynajmniej nie można było określić mianem „uprzejmego, lecz obojętnego”, jakiego żądała od podopiecznej księżna wdowa. Nie przypominał też żadnego, jakie do tej pory mu posyłała.

- Oczywiście, że pana pamiętam, markizie - odrzekła z przekonaniem i łaskawie podała mu dłoń.

- O ile dobrze pamiętam, ten walc należy do mnie - powiedział szorstko ze względu na płonących z zazdrości wielbicieli Elizabeth.

Odczekał, aż się zbliżą do tańczących par i zauważył łagodniejszym tonem:

- Widzę, że dobrze się dziś bawisz.

- To prawda - odrzekła automatycznie, lecz kiedy spojrzała na niego, dostrzegła w jego oczach chłód.

Od kiedy dziewczyna zdała sobie sprawę z własnych uczuć, lepiej też rozumiała jego emocje i w kącikach jej ust zatańczył lekki uśmiezek. Muzycy zagrali walca. Uśmiech pozostał w sercu Elizabeth, kiedy Ian otoczył ją w talii, a lewą rękę zacisnął na jej dłoni.

Nad ich głowami płonęły tysiące świec, lecz ona wróciła do sadu tonącego w księżycowej poświacie. Wtedy, tak samo jak teraz, Ian z wdziękiem sunął w takt muzyki. Tamten czarujący walc rozpoczął coś, co skończyło się źle, strasznie źle. Teraz, tańcząc w ramionach tego samego mężczyzny, mogła sprawić, że ten walc zakończy się zupełnie inaczej i ta świadomość napełniała ją dumą, choć z pewnym odcieniem niepokoju. Czekwała, licząc, że Ian powie coś czułego, tak samo jak poprzednim razem.

- Belhaven od początku wieczoru pożera cię wzrokiem - oznajmił tymczasem jej narzeczony. - Podobnie jak połowa mężczyzn.

Jak na kraj, który szczyci się swymi wytwornymi manierami, oni wszyscy łatwo o nich zapominają, podziwiając piękne kobiety.

Nie takich słów, pomyślała Elizabeth, uśmiechając się w duchu, się spodziewała. Zrozumiała, że teraz nie może liczyć, iż Ian sam powie jej coś czułego, i postanowiła przejąć inicjatywę. Spojrzała w jego nieodgadnione bursztynowe oczy.

- Ianie - zapytała cicho - czy zdarzyło ci się gorąco czegoś pragnąć, czegoś, co masz na wyciągnięcie ręki, a jednak bać się po to sięgnąć?

Zaskoczony jej powagą i tym, że wypowiedziała jego imię, próbował zapanować nad zazdrością, która zżerała go od początku wieczoru.

- Nie - odrzekł, usiłując złagodzić ostry ton. - Czemu pytasz?

Czyżbyś ty czegoś pragnęła?

Spuściła wzrok i skinęła głową białemu gorsowi jego koszuli.

- A czego pragniesz?

- Ciebie.

Zabrakło mu tchu z wrażenia. Wpatrywał się w jej cudowne włosy, nie mogąc zebrać myśli.

- Co powiedziałaś? Spojrzała mu w oczy.

- Powiedziałam, że cię pragnę, tylko boję się, czy...

Serce mu dudniło, mimowolnie zacisnął dłoń na plecach dziewczyny, przyciągając ją do siebie.

- Elizabeth - odezwał się zdławionym głosem, zerkając na płonąca z ciekawości

widownię i walcząc ze sobą, by nie ulec pokusie zaprowadzenia narzeczonej na balkon - czemu, na miłość boską mówisz mi takie rzeczy, kiedy znajdujemy się na samym środku tej przeklętej sali balowej?

Uśmiechnęła się promiennie.

- Wydawało mi się, że to wręcz idealne miejsce na takie wyznanie.

Jego oczy pociemniały z namiętności.

- Bo tu jest bezpieczniej? - spytał z niedowierzaniem, sądząc, że dziewczyna obawia się jego gorącej reakcji.

- Nie, bo właśnie tak wszystko się zaczęło dwa lata temu. Byliśmy w sadzie, grali walca - przypominała mu, choć nie musiała, bo miał to wszystko wyryte w sercu. - Wtedy stanąłeś za mną i powiedziałeś: „Zatańcz ze mną, Elizabeth”. A ja... ja się zgodziłam. - Umilkła, dostrzegając dziwną chmurę, która zasnuła spojrzenie mężczyzny. - Pamiętasz? - zapytała z drżeniem, gdy narzeczony nie odpowiadał.

Nie odrywał od niej wzroku.

- Kochaj mnie, Elizabeth - odezwał się czule, a zarazem szorstko. Przeszedł ją dreszcz, ale nie odwróciła spojrzenia.

- Kocham cię.

Walc dobiegał końca, i Ian nadludzkim wysiłkiem wypuścił ją z ramion. Razem szli przez tłum, uśmiechając się uprzejmie do zagadujących ich gości, ale nie słyszeli, co do nich mówiono. Kiedy zbliżali się do Townsende'ów, Ian dotknął ręki Elizabeth, na chwilę ją zatrzymując.

- Od dawna pragnąłem ci coś wyznać. - Pamiętając o zachowaniu pozorów, wziął kieliszek od służącego, by to posłużyło za pretekst do zatrzymania się. - Powiedziałbym ci wcześniej, ale nie uwierzyłybyś mi i podawała w wątpliwość moje słowa.

Elizabeth uprzejmie skinęła głową jakiejś kobiecie, a potem wolno sięgnęła po kieliszek, z uwagą słuchając słów Iana .

- Nigdy nie mówiłem twojemu bratu, że nie chciałem się z tobą ożenić.

Jej ręka znieruchomiła; potem palce Elizabeth ujęły kieliszek i najwolniej jak się dało, powrócili do przyjaciół.

- Dziękuję - odpowiedziała cicho.

Przedłużając ich sam na sam, zatrzymała się i wypła łyk wina.

- I jeszcze coś - rzucił rozdrażniony.

- Co takiego?

- Nienawidzę tego przeklętego balu. Oddałbym połowę majątku, żeby teraz być z tobą

gdzie indziej.

Ku zdumieniu Iana jego nieprzewidywalna narzeczona ochoczo przytaknęła.

- Ja też.

- Połowę? - prowokował, uśmiechając się do niej szeroko, co stało w jaskrawej sprzeczności z nakazami dobrego wychowania. - Naprawdę?

- No... W każdym razie ćwierć - przyznała bezradnie, podając mu dłoń do obowiązkowego pocałunku i przygotowała się do ukłonu.

- Nie waż się przede mną dygać - uprzedził półgłosem Elizabeth, całując jej dłoń w rękawiczce. - Gdziekolwiek się ruszę, kobiety padają przede mną niczym połamany takielunek.

Zadrżały jej ramiona od tłumionego śmiechu i przekornie ugięła kolana w niskim pokłonie, należnym monarsze, a był to prawdziwy pokaz wdzięku i aktorstwa. Nad sobą usłyszała gardłowy śmiech Iana .

Nieoczekiwanie dla siebie nagle uznał, że doskonale się bawi. Z niewzruszonym spokojem zaliczył tańce z powszechnie szanowanymi damami, będącymi opoką londyńskiego towarzystwa, żeby potem uważano go za jak najbardziej odpowiedniego i godnego zaufania adoratora Elizabeth. W ciągu całego długiego wieczoru tylko kilka razy miał zepsuty nastrój. Po raz pierwszy stało się to, gdy ktoś niezorientowany w sytuacji zaczął opowiadać, jak zaledwie dwa miesiące temu stryj hrabianki Elizabeth rozesłał do jej wszystkich byłych wielbicieli listy z zachętą do ponownych oświadczeń.

Zapanowawszy nad szokiem i odrazą do Juliusa Camerona, Ian wywołał na usta lekki uśmiech i powiedział konfidencyjnym tonem:

- Znam tego jegomościa i z przykrością muszę wyjawić, że jest odrobinę szalony. Jak wiadomo, takie rzeczy się zdarzają nawet w najlepszych rodzinach.

Jego rozmówca nie miał wątpliwości, że markiz robi aluzję do nieszczęsnego króla Jerzego III i wybuchnął gromkim śmiechem.

- To prawda - przytaknął. - Bolesne, lecz prawdziwe.

Po czym ruszył rozgłosić plotkę, że stryjowi Elizabeth brakuje piątej klepki.

Jeśli chodzi o sir Francisa Belhavena, który - jak doniósł łanowi dziadek - przechwalał się, że hrabianka spędziła u niego parę uroczych dni, Thornton uporał się z tym problemem w znacznie mniej subtelny, ale o wiele skuteczniejszy sposób.

- Belhaven - odezwał się, zmitrężywszy pół godziny na odnalezienie tego odrażającego plotkarza.

Tamten odwrócił się zaskoczony i zostawił swoje towarzystwo, które wyteżyło słuch,

by pochwycić przynajmniej pojedyncze słowa ciche rozmowy markiza z ich znajomym.

- Budzisz we mnie odrazę - oświadczył Thornton niebezpiecznie spokojnym tonem. - Nie podoba mi się twój surdut. Nie podoba mi się twoja koszula, nie podoba mi się twój fontaż. Co więcej, ty cały mi się nie podobasz. Wystarczająco cię obraziłem, czy mam mówić dalej?

Belhaven rozdziawił usta, a jego ziemista twarz poszarzała z przerażenia.

- Pro... prowokujesz mnie, bym cię wyzwiał... na pojedynek?

- Zwykle szkoda mi naboju na tak odrażającą ropuchę, ale tym razem jestem gotów zrobić wyjątek, gdyż owa konkretna ropucha nie potrafi trzymać języka za zębami.

- Pojedynkować się z tobą? - wykrztusił przerażony sir Francis. - Ależ to by się równało położeniu głowy pod topór. Wszyscy wiedzą, że jesteś zawołanym strzelcem. To przecież byłoby morderstwo.

Ian przysunął się doń i syknął przez zaciśnięte zęby:

- I dojdzie do morderstwa, ty żalosna beko, nafaszerowana opium, jeśli błyskawicznie sobie nie przypomnisz, że tylko żartowałeś o tej wizycie Elizabeth Cameron i głośno nie podzielisz się tą informacją z przyjaciółmi.

Na wzmiankę o opium tamtemu kieliszek wysunął się z rąk i rozbił z trzaskiem.

- Właśnie sobie uświadomiłem, że żartowałem.

- Świetnie - odrzekł Ian, z trudem się powstrzymując, by go nie udusić. - A teraz uświadamiaj to sobie głośno w obecności innych gości!

- Proszę, proszę, Thornton - rozległ się rozbawiony głos za plecami Iana, kiedy tamten pomknął spełnić polecenie. - Aż się zastanawiam, czy nie warto odważyć się i powiedzieć, że Belhaven nie kłamał!

Rozgniewany Ian obejrzał się i ku swemu zaskoczeniu zobaczył Johna Marchmana.

- Mnie też odwiedziła. Na miłość boską, wszystko odbyło się z zachowaniem wszelkich zasad dobrego wychowania, więc nie patrz na mnie jak na Belhavena. Ciotka Berta ani na chwilę nie spuściła hrabianki z oczu.

- Kto taki? - spytał Ian, nie wiedząc, czy wybuchnąć złością, czy śmiechem.

- Jej ciotka Berta. Krępa, małomówna kobieta.

- Radzę ci więc wziąć z niej przykład - ostrzegł ponuro Ian swego towarzysza.

John Marchman, który miał zaszczyt łowić ryby we wspaniałym strumieniu Thorntona w Szkocji, poczuł się dotknięty.

- Mojego honoru chyba nie powinieneś podawać w wątpliwość. Zamierzałem poślubić hrabiankę, żeby ją uratować przed Belhavenem, ty zaś chciałeś tylko go zastrzelić. Wydaje mi

się, że to ja zdobyłem się na większe poświę...

- Słucham? - spytał Ian, czując się, jakby wszedł na drugi akt sztuki i nie mógł złapać wątku ani też nie potrafił ustalić tożsamości bohaterów.

- Jej stryj odrzucił moje oświadczyzny, gdyż znalazł lepszego kandydata.

- I dzięki temu będziesz żył spokojnie, wierz mi - uciął sucho markiz, po czym ruszył na poszukiwanie służącego z trunkami.

Ostatnia konfrontacja natomiast sprawiła Thorntonowi przyjemność, bowiem wówczas towarzyszyła mu Elizabeth. Rzecz miała miejsce po drugim - i ostatnim dozwolonym tańcu. Podeszedł do nich wicehrabia Mondevale, z Valerie uwieszoną u ramienia oraz ich wierną świtą. Widok intrygantki, która przysporzyła im obojgu tyle cierpień, wzbudził niemal taką samą furję w Ianie jak twarz wicehrabiego, który gapił się na Elizabeth jak zadurzony szczeniak.

- Mondevale - odezwał się lodowatym tonem.

Elizabeth dostrzegła Valerie i mocniej zacisnęła palce na ramieniu narzeczonego.

- Gratuluję ci gustu. Nie wątpię, że panna Jamison będzie dla ciebie wymarzoną małżonką, o ile kiedyś wreszcie jej się oświadczysz. A jeśli już zdobędziesz się na odwagę i to zrobisz, posłuchaj mojej rady i zatrudnij dla niej guwernantkę, ponieważ panna nie dość że bazgrze, to jeszcze z błędami. - Ian przeniósł wzrok na oniemiałą ze wstydu dziewczynę. - „Oranżeria” pisze się przez „ż”, nie „rz”. Może powiedzieć też pani, jak się pisze „nikczemność”?

- Ianie - odezwała się cicho Elizabeth, gdy tamci spiesznie odeszli - to już bez znaczenia.

Spojrzała na niego z uśmiechem, który narzeczonego odwzajemnił, nagle czując, że żyje w całkowitej zgodzie ze światem.

Uczucie to okazało się tak silne, że z filozoficznym spokojem wytrzymał następne trzy tygodnie - z całym rytuałem konkurów i wszystkimi formalnościami związanymi ze ślubem - tylko co wieczór skreślał kolejny dzień dzielący ich od dnia, gdy wreszcie Elizabeth na zawsze będzie doń należeć i jego spragnione ciało się z nią zjednoczy.

Z uprzejmym uśmiechem asystował przy herbatkach, w duchu układając listy dla sekretarza; przetrwał opery, w myślach wolno rozbierając narzeczoną; zniósł nawet jedenaście porannych spotkań, w czasie których projektował nowe maszty dla swoich statków; towarzyszył Elizabeth na osiemnastu balach i powstrzymał się od realizacji swojego najgorętszego pragnienia, jakim było posiekanie na kawałki lubieżnych gamoni, którzy tłoczyli się wokół dziewczyny, ślinili na jej widok i raczyli ją komplementami.

To były trzy najdłuższe tygodnie w jego życiu.

To były trzy najkrótsze tygodnie w jej życiu.

ROZDZIAŁ 28

Stremowana i szczęśliwa Elizabeth stała przed dużym lustrem w sypialni domu przy Promenade Street, podczas gdy Aleksandra siedziała na łóżku i z uśmiechem przyglądała się przyjaciółce i czterem pokojówkom, które Ian przysłał, by pomogły jej się ubrać i spakować.

- Przepraszam, jaśnie panienko - odezwała się z progu kolejna służąca - ale Bentner polecił, bym przekazała, że zjawił się pan Wordsworth i nalega na rozmowę, choć wyjaśniliśmy mu, że dziś panienka wychodzi za mąż.

- Zaraz zejść - odrzekła Elizabeth, już szukając peniuaru, w którym mogłaby przyjąć mężczyznę.

- Co to za Wordsworth? - spytała Aleksa, niezadowolona, że ktoś przerywa przygotowania do ślubu.

- Detektyw, którego wynajęłam, by ustalił, co się stało z Robertem.

Kiedy Elizabeth weszła do saloniku, Wordsworth niespokojnie krążył po nim z kapeluszem w ręce.

- Przepraszam, że zakłócam pani spokój w dniu ślubu, hrabianko Cameron - zaczął - ale właśnie dlatego nalegałem, by jeszcze dziś się z panią spotkać. Lepiej, jeśli pani zamknie drzwi.

Elizabeth zamknęła drzwi. Nagle zaczęła drżeć.

- Hrabianko Cameron - oznajmił z niepokojem mężczyzna - mam powody sądzić, że pani narzeczony przyczynił się do zniknięcia pani brata.

Przerażona opadła na kanapę.

- To przecież... to niedorzeczne - odparła drżącym głosem. - Skąd te przypuszczenia?

Detektyw odwrócił się od okna i spojrzał jej w oczy.

- Zdaje sobie pani sprawę, że na tydzień przed zniknięciem Roberta Ian Thornton się z nim pojedynkował?

- A, to! - zawołała z ulgą Elizabeth. - Tak, wiem, ale nikomu nie stała się krzywda.

- Przeciwnie. Thornton... to znaczy Kensington, dostał kulkę w ramię.

- Tak, wiem.

- A czy wiedziała pani, że brat wystrzelił jeszcze przed sygnałem sekundantów?

- Tak.

- Proszę się zastanowić, jak musiał się wtedy czuć markiz. Cierpiał, i na skutek niehonorowego postępków pani brata. Już samo to by wystarczyło, by szukać zemsty.

- Panie Wordsworth - wyjaśniła Elizabeth z lekkim uśmiechem - gdyby Ian... to znaczy markiz Kensington pragnął odwetu, co, zdaje się pan sugerować, mógłby się zemścić od razu. Ale tego nie zrobił - ciągnęła, broniąc narzeczonego - nie uznaje bowiem zabijania po byle sprzeczce!

- Doprawdy? - Jej rozmówca nie ukrywał sarkazmu.

- Doprawdy - odrzekła niewzruszona Elizabeth. - Markiz Thornton sam mi to powiedział i mam powody wierzyć, że nie kłamał - dodała, bo do tej pory pamiętała, jak Ian odmówił pojedynku z hrabią Everlym, kiedy ten zarzucił mu oszukiwanie przy grze.

- Ja zaś mam powody wierzyć - odparował równie stanowczo detektyw - że Szkot, za którego pani wychodzi, nie wahałby się odebrać przeciwnikowi życia w pojedynku.

W słowo „Szkot” włożył całą nienawiść i pogardę, jaką wielu Anglików odczuwało do swoich „gorszych” rodaków.

- Wcale...

- Zabił co najmniej pięciu mężczyzn i mogę to potwierdzić.

Przełknęła ślinę.

- Na pewno miał... miał powód i po... pojedynek był uczciwy.

- Skoro pani woli tak się na to zapatrywać... Ale na tym jeszcze nie koniec.

Elizabeth poczuła, że wilgotnieją jej dłonie. Chciała wstać i wyjść, lecz była jak sparaliżowana.

- Do czego pan zmierza?

- Nie zapominajmy, jeśli pani pozwoli, o tym, co już ustaliliśmy: Thornton był ranny i niewątpliwie zagniewany, do czego nawet miał prawo, gdyż pani brat wystrzelił przed czasem.

- Wiem o tym... A przynajmniej jestem skłonna to zrozumieć. To logiczne.

- A czy wiedziała pani również, hrabianko, że trzy dni po pierwszym nieudanym pojedynku, pani brat ponownie próbował zabić Thorntona? Tym razem na Marblemarle Road?

Elizabeth wolno wstała.

- Myli się pan! Skąd te informacje? Czemu Robert ni z tego, ni z owego miałby...?

Urwała. Trzy dni po pojedynku Roberta z łanem wicehrabia Mondevale zerwał zaręczyny, a wtedy ona i brat stracili wszelkie nadzieje na przezwycięzenie problemów finansowych.

- Wiem o tym, ponieważ na podstawie otrzymanych od pani informacji skrupulatnie odtwarzałem każdy ruch pani brata w tygodniu przed jego zniknięciem. Zawsze od tego

zaczynamy: cofamy się w czasie, by odnaleźć nici, które mogą nas doprowadzić do rozwiązania zagadki. Trzy dni po pojedynku pani brat spędził popołudnie w klubie Knighbridge, był dobrze podпиты i odgrażał się, że zabije Thorntona. Pożyczył od znajomego powóz i oświadczył, że wyrusza na poszukiwanie przeciwnika. Ustalił, że jego „wróg” znajdował się tego dnia w Londynie i że po południu wybierał się do Derleshire, co oznaczało, że będzie jechać Marblemarle Road. Markiz musiał gdzieś zmienić konie, sprawdziliśmy więc wszystkie zajazdy, by ustalić, czy ktoś nie zapamiętał człowieka odpowiadającego opisowi Thorntona bądź pani brata. Poszczyliło nam się „Pod Czarnym Dzikim”. Chłopak zapamiętał Thorntona, bo dostał od niego pół korony. Doskonale zapamiętał też, że przy oknie w powozie zauważył dziurę od kuli, a stangret jeszcze nie ochłonął i opowiedział, skąd ona się tam wzięła. Okazało się, że parę kilometrów wcześniej z bocznej drogi wyjechał mężczyzna, odpowiadający opisowi pani brata, który próbował strzelić do Thorntona. Ten powiedział swemu słudze, że był to Robert Cameron.

Dwa dni później pani brat przechwalał się także swoim uczynkiem w Knightsbrige. Twierdził, że Thornton zrujnował was oboje oraz że zapłaci za to życiem. Jeden ze stajennych mówił mi również, że jeszcze tej samej nocy pani brat zaatakował znienacka Thorntona w drodze do Londynu. Tym razem udało mu się postrzelić swą ofiarę w ramię. Doszło do szamotaniny, ale Robert uciekł konno. Thornton nie mógł go ścigać powozem przez las, dlatego napastnikowi udało się zbiec. Następnego dnia jednak, po wyjściu z klubu, pani brat zniknął bez śladu. Sama pani przyznała, że w pokoju zostawił wszystkie swoje rzeczy: ubrania i osobiste drobiazgi. O czym to, pani zdaniem, świadczy, hrabianko? - spytał ostro.

Elizabeth znowu przełknęła ślinę, nie pozwalając sobie na snucie żadnych domysłów, tylko skupiając się na faktach.

- Świadczy to, że w Robercie zrodziła się obsesja i postanowił bronić mojej czci w... w nie zawsze... honorowy sposób.

- Czy narzeczony nigdy pani o tym nie wspomniał?

Elizabeth pokręciła głową i wyjaśniła:

- Robert stanowi nieco drażliwy temat. Nigdy o nim nie rozmawiamy.

- Nie dam się zbyć - wybuchnął rozdrażniony detektyw. - Uparcie nie chce pani wyciągnąć logicznych wniosków. Moim zdaniem Thornton kazał uprowadzić pani brata - jeśli tylko to - żeby uniknąć dalszych zamachów na swoje życie.

- Spytam go! - zawołała Elizabeth. W głowie zaczynało jej pulsować ze strachu i bólu.

- Niech pani absolutnie tego nie robi! - Wordsworth wyglądał, jakby miał ochotę nią potrząsnąć. - Jeśli chcemy dotrzeć do prawdy, markiz nie może się zorientować, że coś

wiemy. Gdyby wszystkie metody zawiodły, poproszę, by pani się z nim podzieliła wynikami śledztwa, a wtedy będziemy pilnie obserwować każdy jego krok. Oczywiście, nie można liczyć, że będzie działał otwarcie. To nasze jedyne wyjście. Przepraszam, że przeze mnie ludzie znowu wezmą panią na języki - ciągnął ze współczuciem - ale musiałem panią uprzedzić, jeszcze zanim pani stanęła przed ołtarzem z tym mordercą, tym Szkotem!

Znowu wymówił z takim jadem słowo „Szkot”, że właśnie ten drobiazg wzbudził furję zagubionej i wstrząśniętej Elizabeth.

- Niechże pan przestanie w ten obraźliwy sposób wyrażać się o Szkotach. A Ian... markiz Thornton jest pół - Anglikiem - broniła gorąco narzeczonego.

- Zatem tylko w połowie barbarzyńcą - odparował z pogardą Wordsworth. Złagodniał nieco, gdy spojrzał na bladą, śliczną dziewczynę, która stanowczo stawiała mu czoło. - Nie zdaje sobie pani sprawy, jacy to ludzie. Moja siostra wyszła za Szkota i żadne słowa nie opiszą piekła, jakie przeżyła.

- Ian Thornton nie jest pana szwagrem!

- Nie, nie jest - warknął Wordsworth. - Ten człowiek zdobył pierwsze pieniądze dzięki hazardowi i nieraz oskarżano go o oszustwo. Powszechnie wiadomo, że dwanaście lat temu wygrał w karty akt własności działki na złotonośnych terenach. Okazało się, że było tam złoto, a poszukiwacz, który połowę życia spędził, przekopując tę działkę, próbował zaskarżyć Thorntona. Zaklinał się, że pani narzeczonego oszukiwał i wie pani, jak to się skończyło?

Elizabeth pokręciła głową.

- Pani pół - Szkot zabił go z zimną krwią. Słyszysz pani? Zabił!

Wszystko o tym wiedzą, może pani spytać, kogo zechce.

Elizabeth nie mogła zapanować nad drżeniem.

- Pojedynekowali się i ten barbarzyńca go zabił.

Słowo „pojedynek” podziało na przerażoną dziewczynę jak środek uspokajający i otepiający. Pojedynek to przecież nie morderstwo... Właściwie.

- Czy... czy to była uczciwa walka? Wordsworth wzruszył ramionami.

- Ponoć tak, ale to tylko plotka.

Elizabeth zerwała się na równe nogi, a choć w jej głosie brzmiał gniew, nie zagłuszył jej własnych wątpliwości.

- Każdą okoliczność łagodzącą uważa pan za plotkę, za to jeśli coś go obciąża, wierzy pan bez zastrzeżeń i oczekuje, że zrobię to samo!

- Ależ, milady - odpowiedział szczerze przejęty - ja tylko usiłuję pani dowieść, jak nieroztropna w tej sytuacji jest decyzja o ślubie. Błagam, niech pani tego nie robi. Musi pani

zaczekać.

- Pozwoli pan, że sama o tym zadecyduję - oświadczyła stanowczo, dumnym tonem maskując przerażenie.

Rozdrażniony detektyw zacisnął zęby.

- Jeśli pani jest na tyle nierozważna, by dziś wychodzić za mąż, błagam, niech pani przynajmniej nie mówi mu, czego się dziś ode mnie dowiedziała, tylko za wszelką cenę unika rozmów o Robercie Cameronie. Jeśli pani nie posłucha - dodał ponuro - życie pani brata, o ile jeszcze żyje, może znaleźć się w niebezpieczeństwie.

Elizabeth wbiła paznokcie w dłonie, żeby nie zemdleć i zachować jasność myślenia.

- Jak to? - zawołała zdławionym głosem. - Nic z tego nie rozumiem. Muszę spytać Iana ! Muszę mu dać szansę odparcia tych oszczerstw, wyjaśnienia i...

Wzburzony Wordsworth gwałtownie chwycił ją za ramiona.

- Niechże pani mnie posłucha! - warknął. - Taki krok może się równać podpisaniu na pani brata wyroku śmierci! - Zawstydzony swoim wybuchem, cofnął ręce, ale w jego głosie nadal brzmiało naleganie, niemal prośba. - Jeśli nie chce pani słuchać moich domysłów, to niech pani chociaż pozwoli przemówić faktom: pani mąż właśnie został dziedzicem jednego z najznakomitszych rodów w Europie. Ożeni się z panią: piękną kobietą, hrabianką, o której jeszcze parę tygodni nawet nie mógł marzyć. Jak pani sądzi, czy zaryzykowałby utratę tego wszystkiego i pozwolił, by odnaleziono pani brata i sprowadzono go tu, aby świadczył przeciwko niemu? Jeśli pani brat żyje jeśli markiz tylko zamknął go w jednej swoich kopalni albo uwięził na jednym ze statków, a pani nagle zacznie stawiać niewygodne pytania, Thorntonowi nie pozostanie nic innego, tylko usunąć dowód winy. Czy pani mnie słucha, hrabianko Cameron? Czy pani rozumie?

Elizabeth skinęła głową.

- W takim razie pożegnam się i będę kontynuował poszukiwania - Stał w drzwiach i obejrzał się na dziewczynę, która z pochyloną głową, blada jak kreda stała na środku pokoju.

- Dla pani własnego dobra, proszę nie wychodzić za niego, dopóki nie poznamy prawdy.

- A kiedy to się stanie? - zapytała zdruzgotana.

- Kto wie' Może za miesiąc, a może za rok. A może nigdy. - Umilkł i odetchnął głęboko. - Jeśli pani postąpi wbrew nakazom rozsądku i jednak zdecyduje się na ślub, niech pani trzyma język za zębami jeżeli już nie dla siebie, to chociaż ze względu na pani brata. Jeśli markiz jest winny i zacznie podejrzewać, że pani odkryje prawdę i go zdemaskuje, pani również znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Gdy wyszedł, Elizabeth opadła na kanapę, zamknęła oczy i usiłowała zapanować nad

łzami. W uszach dźwięczał jej głos detektywa. Serce zaś podsuwało jej widok uśmiechniętego Iana i jego głęboki, błagalny głos: „Kochaj mnie, Elizabeth”. Potem zobaczyła go podczas konfrontacji ze swoim stryjem: drgający mięsień na policzku, z trudem powstrzymywana furia. Przypomniała sobie też spotkanie w oranżerii, kiedy przyłapał ich Robert i oświadczył, że Elizabeth już ma narzeczonego: Ian patrzył, jakby chciał ją zamordować.

Jednak podczas pojedynku nie zrobił Robertowi krzywdy. Choć miał prawo być wściekły, zachował spokój i panował nad sobą. Elizabeth przełknęła ślinę i otarła łzę z kącika oka. Była w rozterce, serce jej się ścisnęło.

Widziała twarz Iana - jego surowe rysy, które jeden uśmiech potrafił przemienić nie do poznania. Widziała jego oczy - lodowate w Szkocji, płonące z furii, gdy spoglądał na jej stryja... i czule uśmiechające się do niej, kiedy odwiedził ją w Havenhurst.

Ale nad wszystkim dominował jego głos, zagłuszając wszelkie wątpliwości. Ten głęboki, pełen namiętności głos... „Kochaj mnie, Elizabeth”.

Wolno wstała, a choć nadal była śmiertelnie blada, podjęła decyzję. Gdyby Ian był niewinny, a ona odwołałaby ślub, wyszedłby na głupca. Nawet nie mogłaby mu wytłumaczyć swoich pobudek, on zaś nigdy by jej nie wybaczył i nieodwracalnie by go utraciła. Jeśli zaś posłucha głosu serca i wyjdzie za Iana, może nigdy się nie dowiedzieć, co naprawdę stało się z Robertem. Albo też Ian zostanie skazany. Może się przecież okazać, że poślubiła mordercę, potwora.

Aleksandrze wystarczyło jedno spojrzenie na bladą twarz Elizabeth. Poderwała się z łóżka i mocno przytuliła przyjaciółkę.

- Co się stało, Elizabeth? Jakieś złe nowiny? Błagam, powiedz. Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć.

Elizabeth gorąco pragnęła wyznać jej wszystko, ale za bardzo się obawiała, że przyjaciółka spróbuje odwozić ją od ślubu. Podjęcie decyzji kosztowało ją wystarczająco dużo trudu, chyba nie wytrzymałaby litanii argumentów, mogłaby się zacząć wahać. Tymczasem postanowiła, że będzie wierzyć w niewinność Iana. A skoro tak, nie zrobi niczego, by sympatia Aleksy do niego zmalęła.

•To nic wielkiego - skłamała na poczekaniu. - Przynajmniej na razie, Pan Wordsworth potrzebował tylko dodatkowych informacji o Robercie, a to dla mnie bolesny temat.

Przyjaciółki stały w kruchcie kościoła, Aleksandra z pokojówką poprawiały tren, a Elizabeth - rozdarta, pełna niepokoju, zimna z przerażenia - powtarzała sobie, że to przecież tylko zwykła trema przed ślubem.

Spojrzała przed siebie, w głąb nawy z pełną świadomością, że w całej katedrze nie

zobaczy nikogo z rodziny - nie miała nawet jednego krewniaka, który poprowadziłby ją do ołtarza. Zobaczyła Jordana Townsende'a, który wyszedł z zakrystii, za nim pojawił się Ian wysoki, ciemny, przytłaczający imponującą posturą i siłą woli. Nikogo nie zmusi do dotrzymania warunków umowy, jeśli uzna, że kontrakt go nie wiąże. Nawet sąd nie zdołałby tego wyegzekwować.

- Elizabeth? - odezwał się łagodnie książę Stanhope i podał jej ramię, - Nie bój się, moja droga - uśmiechnął się uspokajająco, widząc przerażenie w jej olbrzymich oczach. - Ani się obejrzysz, jak będzie po wszystkim.

Organy zahuczały, a potem ucichły i nagle Elizabeth szła już główną nawą. Zastanawiała się, jak wielu z kilku tysięcy zebranych tu gości nadal pamięta o jej głośnym „romansie” z Ianem i teraz myśli tylko o tym, ile przed wymaganym czasem przyjdzie na świat dziecko.

Zauważyła, że na wielu twarzach widać życzliwość i serdeczność. Jedna siostra starego księcia uśmiechnęła się, kiedy dziewczyna ją mijała, druga ocierała łzy wzruszenia. Roddy Carstairs bezczelnie puścił do Elizabeth oko i musiała zapanować nad histerycznym śmiechem, którego miejsce natychmiast zajęły obawy i zagubienie. Ian również ją obserwował z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Tylko duchowy, który spokojnie czekał przed ołtarzem, dodawał jej otuchy.

ROZDZIAŁ 29

Książę Stanhope uparł się, że wyłącznie huczne wesele, na którym zjawią się najznakomitsze osoby z towarzystwa, ostatecznie położy kres plotkom na temat dawnego romansu Iana oraz Elizabeth. Dlatego uroczystości odbyły się w Montmayne, a nie w Havenhurst, gdzie było za mało pomieszczeń na przyjęcie tłumu gości, a poza tym brakowało tam odpowiedniego umeblowania.

Hrabianka stała w sali balowej, którą armia kwiaciarzy Iana przemieniła w gigantyczną ogrodową altanę (nie zabrakło nawet miniaturowego sadu w głębi sali) i nadludzkim wysiłkiem woli usiłowała wymazać z pamięć poranną wizytę detektywa. Ale nic nie pomogło, jego słowa nadal wisiały nad nią jak chmura, nie tak ciemna, by dziewczyna nie mogła się zachowywać, jak gdyby nigdy nic, ale mimo wszystko nie pozwalała o sobie zapomnieć.

Znalazła na swoje obawy tylko jeden sposób. Ilekroć strach i niepokój stawały się nie do zniesienia, rozglądała się za łanem. W ciągu tych długich godzin, które minęły od ich ślubu, zdążyła się przekonać, że sam jego widok wystarczał, by wątpliwości natychmiast zniknęły, a oskarżenia Wordswortha wydawały się absurdalne - bo zapewne właśnie tak było. Kiedy Ian odchodził, robiła jedyne, co jej pozostawało: z radosnym uśmiechem na ustach odgrywała przed sobą oraz gośćmi promienną, beztronską pannę młodą. Im dłużej to ćwiczyła, tym bardziej się wczuwała w rolę.

Ponieważ Ian poszedł po szampana dla niej i został zatrzymany przez przyjaciół, Elizabeth poświęciła się uśmiechaniu do gości weselnych, którzy nieustannie do niej podchodzili, życząc jej szczęścia albo gratulując ślubu, wystawnej dekoracji sali bądź pysznego posiłku, jakim ich uraczono. Chłód, który rano ogarnął ją w kościele, wydawał się teraz jedynie tworem wyobraźni. Hrabianka uświadomiła sobie również, że pochopnie oceniła świat arystokracji. Owszem, dwa lata temu ci ludzie nie pochwalali jej postępów - i trudno im się dziwić - ale teraz większość gorąco pragnęła zapomnieć o przeszłości.

Co więcej, z takim zapałem udawali, iż tamtych wydarzeń w ogóle nie było, że Elizabeth powstrzymywała uśmiech, spoglądając na cudowne dekoracje pomieszczeń. Tylko ona dostrzegła, że sala balowa jest uderzająco podobna do ogrodów otaczających wiejską rezydencję Charise Dumont, a ów sad z boku, łącznie z ażurową fur - teczką, stanowi wierną kopię miejsca, gdzie owego pamiętnego wieczoru tańczyła z łanem pierwszego walca.

W głębi sali Duncan stał w towarzystwie Jake'a Wileya, Lucindy oraz księcia

Stanhope'a. Uniósł kieliszek w geście toastu. Elizabeth uśmiechnęła się i skinęła mu głową. Jake Wiley obserwował to porozumienie bez słów i promiennym wzrokiem ogarnął swoich rozmówców.

- Niezrównana panna młoda, prawda? - oświadczył już nie pierwszy raz.

Od pół godziny trzech mężczyźni radośnie gratulowali sobie udziału w połączeniu tej pary, nie wylewając przy tym za kołnierz, co widać było w coraz swobodniejszym zachowaniu księdza i Jake'a.

- Po prostu zachwycająca - zgodził się duchowny.

- Wymarzona małżonka dla Iana - dorzucił ksiądz. - Dobrze się spisaliśmy, panowie. - Wzniósł kolejny toast. - Za ciebie - skłonił się Duncanowi - bo sprawiłeś, że Ian przejrzał na oczy.

- Za ciebie, Edwardzie - odwzajemnił się mu wuj Iana - bo zmusiłeś wielki świat, by ich zaakceptował. I za ciebie, stary druhu - dodał, zwracając się do Jake'a - bo uparłeś się, że pojedziesz do wioski po gospodynie i zabrałeś ze sobą starego Attylę oraz pannę Throckmorton - Jones. - W tym momencie przypomniał sobie o milczącej damie do towarzystwa, która stała przy nich sztywno wyprostowana, z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- I za panią, panno Throckmorton - Jones - Duncan skłonił jej się nisko - bo wzięła pani laudanum i wyjawiała prawdę o postępkach Iana sprzed dwóch lat. Właśnie to, nic więcej tylko to, puściło maszynę w ruch, że pozwolę sobie na to porównanie. Ale, ale - zauważył, skinieniem przyzywając służącego z szampanem - nie ma pani kieliszka, żeby wznieść z nami toast.

- Nie uznaję napojów alkoholowych - poinformowała go Lucinda i dodała z pełną wyższości miną, którą można by uznać za uśmiech albo pogardliwe skrzywienie warg: - Co więcej, szanowny księżu, nigdy nie zażywam laudanum.

Po tym zdumiewającym oświadczeniu uniosła fałdy paskudnej, szarej sukni i ruszyła, by wylać kubeł zimnej wody na głowy innych gości. Zostawiła trzech oszołomionych mężczyzn, którzy najpierw powiedli po sobie zdumionym wzrokiem, a potem wybuchnęli donośnym śmiechem.

Elizabeth spojrzała na Iana, który podał jej kieliszek.

- Dziękuję. - Uradowana wskazała Duncana, księcia i Jake'a, którzy śmiali się głośno.
- Widzę, że doskonale się bawią.

Ian zerknął na przyjaciół, potem znowu zapatrzył się na żonę.

- Wyglądasz nieziemsko pięknie, kiedy się uśmiechasz.

Elizabeth usłyszała zmysłową nutę w jego głosie i dostrzegła w jego oczach dziwny wyraz, jakby senność i właśnie się zastanawiała, co to może być, gdy spytał cicho:

- Pójdziemy już?

Uznała, że zapewne to jednak jest senność. Ona sama marzyła o zaciszu własnej sypialni, ale ponieważ nigdy jeszcze nie była na weselu, sądziła, że obowiązują tu te same zasady, co na każdym innym balu: gospodarze nie mogli się oddalić, dopóki ostatni gość nie wyszedł albo nie udał się do swojego pokoju. Dziś wszystkie gościnne pokoje będą wypełnione, bo jutro przewidziano uroczyste śniadanie, a później polowanie.

- Nie jestem śpiąca, tylko trochę zmęczona tym wszystkim - odrzekła i uśmiechnęła się do gościa, który dostrzegł jej wzrok i pozdrowił ją. Potem spojrzała na Iana i zlitowała się nad nim. - Mam za sobą długi dzień. Na pewno wszyscy zrozumieją, jeśli będziesz chciał wcześniej się położyć.

- W to nie wątpię - odparł krótko.

Zdziwiona Elizabeth zauważyła, że w jego oczach nagle pojawił się błysk.

- Zostanę tu i zastąpię cię - zaproponowała. Błysk w oczach Iana się powtórzył.

- Nie sądzisz, że to będzie nieco dziwnie wyglądało, jeśli pójde na górę sam?

Elizabeth zdawała sobie sprawę z tego, że goście mogliby nie tylko uznać to za dziwne, lecz potraktować jako afront, ale uspokoiła męża.

- Zostaw to mnie. Gdyby ktoś spytał, wytłumaczę cię.

- Z czystej ciekawości... Jakie podałaśbyś usprawiedliwienie?

- Powiem, że źle się czujesz. Ale to nie może być nic poważnego, bo inaczej wyglądałoby podejrzenie, gdybyś rano, na śniadaniu, pojawił się wypoczęty i chętny do polowania. - Zamyśliła się na chwilę. - Powiem, że rozboleła cię głowa - oświadczyła wreszcie.

Ian z trudem zapanował nad śmiechem.

- Miło z twojej strony, że postanowiłaś mnie osłaniać, moja droga, ale akurat ta wymówka sprawiłaby, że najbliższy miesiąc spędziłbym na pojedynkach, żeby zmyć plamę na moim... hm... męskim honorze.

- Czemu? Czyżby mężczyźni nie mogli cierpieć na ból głowy?

- Nie - odparł z frywolnym uśmiechem - nie w swoją noc poślubną.

- Nie rozumiem, dlaczego.

- Doprawdy?

- Nie. A poza tym - dodała szeptem, rozdrażniona - nie rozumiem, czemu wszyscy tak długo tu siedzą. Nigdy nie byłam na weselu, ale wydaje mi się, że już powinni rozchodzić się

do sypialni.

- Elizabeth - wyjaśnił Ian, usiłując się nie roześmiać - na weselu goście nie mogą się pożegnać, dopóki państwo młodzi nie opuszczą sali. Jeśli spojrzysz w tamtą stronę, zobaczysz, że moje ciotki już drzemą w fotelach.

- Och! - zawołała skruszona. - Nie miałam pojęcia! Czemu wcześniej mi nie powiedziałeś?

- Ponieważ - odrzekł, biorąc ją pod rękę i kierując się do wyjścia - chciałem, żebyś cieszyła się każdą chwilą balu, nawet gdyby goście się ślaniali i musieli opierać o krzaki.

- Skoro już o krzakach mowa - zauważyła, stając na schodach i po raz ostatni posyłając tęskne spojrzenie w kierunku „sadu” z ozdobionymi jedwabnymi kwiatami drzewami w donicach, który zajmował ćwierć sali - wszyscy się odgrażają, że na najbliższych balach wykorzystają motyw ogrodu i sadu. Zdaje się, że dałeś początek modzie.

- Szkoda, że nie widziałaś swojej miny - droczył się z nią - kiedy rozpoznałaś ogród Charise.

- Byliśmy chyba pierwszą parą - odparowała, uśmiechając się do niego porozumiewawczo - która nie rozpoczęła balu tańcem na środku sali.

Kiedy orkiestra zagrała pierwszego walca, Ian poprowadził Elizabeth do „sadu” i tam zaczęli taniec.

- Nie podobało ci się?

- Przecież wiesz, że tak - powiedziała, idąc wraz z nim po kręconych schodach.

Ian zatrzymał się przed jej sypialnią, otworzył drzwi i już brał Elizabeth w ramiona, gdy zobaczył służących, niosących naręczą bielizny.

- Na to jeszcze będzie czas - wyszeptał. - Tyle czasu, ile tylko zechcemy.

ROZDZIAŁ 30

Nie zwracając uwagi na napiętą twarz Berty, która czesała jej gęste loki, Elizabeth siedziała przed toaletką w kremowej, koronkowej jedwabnej koszuli nocnej, która - jak twierdziła madame LaSalle - ogromnie spodoba się markizowi w noc poślubną.

W tej chwili jednak Elizabeth nie przejmowała się głębokim dekoltem, który odsłaniał jej piersi, ani tym, że lewa noga stała się widoczna po kolano za sprawą uwodzicielskiego rozcięcia z boku koszuli. Po pierwsze, uważała, że jej strój ukryje kołdra, po drugie zaś teraz, kiedy wreszcie miała chwilę spokoju, coraz trudniej było jej odsunąć w niepamięć podejrzenie pana Wordswortha.

Usiłując za wszelką cenę odwrócić myśli od jego słów, Elizabeth niecierpliwie wierciła się na krześle i zastanawiała nad nocą poślubną. Złożyła dłonie na kolanach i pochyliła głowę, żeby Bercie łatwiej było czesać długie włosy, równocześnie zaś przypominała sobie uwagi Lucindy, dotyczące poczęcia dzieci. Ponieważ Ian wyraźnie mówił, że pragnie mieć potomstwo, niewykluczone, że już dziś postanowi do tego przystąpić. Z opowieści panny Throckmorton - Jones jasno wynikało, że małżonkowie dzielą ze sobą łóżko.

Ze ściągniętymi brwiami analizowała wyjaśnienia opiekunki. Zdaniem Elizabeth jednak to wszystko nie trzymało się kupy. Zdawała sobie sprawę, jak inne stworzenia płodziły potomstwo, nie wierzyła jednak, by ludzie mogli zachowywać się aż tak obrzydliwie. No ale pocałunek męża w łóżku...? Gdyby to miało być prawdą, to skąd by się brały pełne oburzenia plotki, że niektóre damy z towarzystwa wydawały na świat dziecko, nie będące potomkiem ich mężów? Najwyraźniej dziecko można począć na różne sposoby albo też informacje Lucindy nie były prawdziwe.

To z kolei przypomniało jej o innej kwestii związanej ze spaniem. Jej sypialnia przylegała do sypialni męża, ale Elizabeth nie miała pojęcia, czy - jeśli Ian będzie chciał dzielić z nią łóżko - wybiorą jego łóżko, czy jej. Jakby w odpowiedzi na to pytanie drzwi między ich pokojami się otworzyły. Berta podskoczyła przestraszona, mierząc złym spojrzeniem Iana, którego - podobnie jak większość służby Elizabeth - bała się i nadal obwiniała o wszystkie nieszczęścia, a potem czmychnęła z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Elizabeth tymczasem z podziwem i dumą patrzyła na męża, podchodzącego do niej długimi krokami, które były równocześnie pewne i swobodne. Nadal miał na sobie czarne, eleganckie spodnie, zdjął tylko frak, kamizelkę i fontaż. Rozchylona koszula z koronkowym

gorsem odsłaniała silną, opaloną szyję. Elizabeth pomyślała, że jej mąż w samej koszuli wygląda równie męsko, a zarazem szykownie, jak w stroju wieczorowym. Gdzieś w podświadomości zamajaczyły oskarżenia Wordswortha, lecz szybko je odrzuciła.

Wstała, trochę zawstydzona głęboko wyciętą koszulą, i zamierzała podejść do Iana, lecz zatrzymała się po pierwszym kroku, zdumiona ogniem, który płonął w jego oczach, kiedy wodził po niej wzrokiem. Dziwnie wystraszona, pośpiesznie odwróciła się do lustra i przesunęła palcami po włosach. Ian stanął za nią, kładąc dłonie na jej ramionach. Widziała w lustrze, jak pochylił głowę, poczuła na karku dotyk jego ust, a potem dziwne łaskotanie na szyi i ramionach.

- Drzysz - odezwał się z niewysłowioną czułością i łagodnością.

- Wiem - przyznała słabym głosem. - Nie rozumiem, czemu. Uśmiechnął się lekko.

- Naprawdę nie rozumiesz? - zapytał cicho.

Elizabeth pokręciła głową. Marzyła, by odwrócić się do niego i błagać, by powiedział, co się stało z Robertem; obawiała się odpowiedzi Iana; obawiała się, że zepsuje tę noc swoimi podejrzeniami - bo przecież są bezpodstawne, wiedziała o tym. Bała się tego, co czeka ją w łóżku...

Nie odrywając oczu od męża, patrzyła, jak objął ją w talii i przyciągnął do siebie, dopóki nie dotknęła plecami jego twardego torsu. Znowu się pochylił, mocniej zacisnął ramię i wolno całował ją w ucho, drugą ręką szukając jej piersi i zamykając na niej dłoń.

Wolno odwrócił ją i znowu całował z żarem, Elizabeth zaś odwzajemniła pieśczętę, dając się porwać płomieniom, które nieodmiennie budziły w niej jego pocałunki. Zaplotła ręce na jego szyi, pragnąc jeszcze bardziej się w niego wtopić. W tej samej chwili, nie przerywając pocałunku, wziął ją na ręce i przeniósł przez próg do swojej obszernej sypialni, gdzie na podwyższeniu stało olbrzymie łóżko.

Rozpłomieniona gorącymi pocałunkami poczuła, że Ian delikatnie postawił ją na podłodze. Kiedy jednak sięgnął do wstążki na ramieniu, na której trzymała się cała koszula nocna, Elizabeth wyrwała się zawstydzona i chwyciła go za rękę.

- Co robisz? - spytała z drżeniem.

Ian znieruchomiał, a potem spojrzał na nią zaskoczony tym pytaniem, ale gdy dostrzegł w zielonych oczach żony strach, pojął, skąd się ono wzięło.

- A jak sądzisz, co mogę robić? - odrzekł łagodnie.

Zawahała się, jakby nie chciała go oskarżyć o tak oburzający postępek, ale w końcu niechętnie wyznała cicho:

- Rozbierasz mnie.

- I to cię dziwi?

- Czy mnie dziwi? Naturalnie, że tak - odrzekła Elizabeth, nabierając coraz większych podejrzeń do prawdziwości informacji Lucindy.

- A co właściwie wiesz o tym, co ma miejsce między mężem a żoną w łóżku? - pytał dalej cierpliwie.

- Cho... chodzi ci o to, co prowadzi do powołania na świat dzieci? - zacytowała jego słowa, które powiedział w dniu, kiedy zgodziła się za niego wyjść.

Uśmiechnął się łagodnie, słysząc ów dobór słów.

- Możemy tak to określić... na razie.

- Tylko tyle, ile mi powiedziała Lucinda. - Ian czekał na dalsze wyjaśnienia, więc niechętnie dodała: - Mówiła, że mąż całuje w łóżku żonę i że za pierwszym razem to boli, ale właśnie tak to się odbywa.

Ian zawahał się, zły, że nie posłuchał własnego instynktu i nie drażył sprawy dokładniej, kiedy Elizabeth śmiało i bez panięskich rumieńców rozmawiała z nim o uprawianiu miłości.

- Jesteś bardzo inteligentną młodą kobietą - zaczął łagodnie - a nie zasuszoną cnotliwą starą panną jak twoja dama do towarzystwa. Powiedz, czy naprawdę wierzysz, że natura miałaby zrobić dla człowieka wyjątek i stworzyła specjalnie dla niego odrębne prawa?

Wsunął ręce pod satynowe wstążki, które przytrzymały połyskliwą koszulę, i rozwiązał je. Poczuł, jak Elizabeth zadrżała pod jego dotykiem, a kiedy ją objął, jeszcze bardziej zeszywniała.

- Przysięgam - szeptał, przeklinając w duchu Lucindę Throckmorton - Jones - że to, co nas połączy w łóżku, nie wzbudzi w tobie wstrętu.

Domyślił się, że czekanie będzie gorsze od faktów, dlatego pochylił się, zdmuchnął świecę przy łóżku i zsunął z ramion Elizabeth koszulę. Wzdrygnęła się, i rozumiał, że kłębią się w niej teraz mieszane uczucia. Położył dłonie na jej ramionach, żeby mu się nie wymknęła.

- Gdybym się spodziewał, że będzie to dla ciebie zaskoczeniem - odezwał się cicho - już dawno wszystko bym ci wyjaśnił.

Nieoczekiwanie świadomość, że podczas gdy Lucinda - a wraz z nią wszyscy wokół - ukrywali prawdę, Ian chętnie by rozmawiał na zakazany temat, bardzo dużo znaczyła dla Elizabeth. Skinęła głową i nieruchomo, w napięciu czekała, gdy Ian zsuwał z niej koszulę. Gdy cienki jedwab opadł na podłogę, błyskawicznie wślizgnęła się pod kołdrę, usiłując nie okazywać paniki.

Nie tak Ian widział w marzeniach ich noc poślubną, ale rozbierając się przy blasku jedynej świecy płonącej w głębi pokoju, postanowił, że przynajmniej skończy się ona tak, jak to sobie wyobrażał. Elizabeth poczuła, że materac ugina się pod ciężarem jego ciała i skuliła się, by zajmować jak najmniej miejsca. Ian ułożył się na boku, podparł na łokciu i musnął dłonią jej policzek.

Kiedy milczał, otworzyła oczy i wpatrywała się w przestrzeń. Leżała nago obok mężczyzny, który - tego niemal była pewna - również nic na sobie nie miał, i kłębiły się w niej sprzeczne uczucia: w jednej części mózgu rozbrzmiewały słowa Wordswortha, w drugiej zaś rozlegały się napomnienia, że nieświadomość w kwestii obowiązków małżeńskich nie zwalnia jej z obowiązku dotrzymania umowy. Miała wrażenie, że na domiar wszystkiego została jeszcze oszukana.

Ian tymczasem położył rękę na jej ramieniu i słuchając szybkiego oddechu Elizabeth, łagodnie pogładził ją uspokajającym ruchem. Głośno przełknęła ślinę.

- Wreszcie zrozumiałam, czego oczekiwałeś ode mnie, zawierając naszą przedmałżeńską umowę i jakich praw dziś ci udzieliłam, składając przysięgę w kościele. Pewnie uważasz mnie za najgłupszą, najbardziej naiwną kobietę pod słońcem, bo nie miałam pojęcia, co...

- Nie mów tak, kochanie!

W jego głosie słyszała pragnienie, czuła je też, kiedy zmiażdżył jej usta w twardym, gorącym pocałunku, który przerwał dopiero, gdy odwzajemniła pieszczotę. Dopiero wtedy przemówił, cicho, z napięciem.

- Tu nie chodzi o żadne prawa ani przywileje, do których zobowiązałaś się, podpisując intercyzę czy też składając przysięgę w kościele. Gdybyśmy się pobierali w Szkocji, wypowiedzielibyśmy dawną rotę. Wiesz, jakie słowa byśmy wypowiadali, jakie śluby sobie składali, gdybyśmy dziś byli tam, a nie w Londynie?

Powiódł dłonią po jej szyi, do policzka, jakby delikatnym dotknięciem chciał złagodzić surowość swoich słów. Patrząc na tę ukochaną, stanowczą twarz, Elizabeth czuła, że jej nieśmiałość i strach znikają.

- Nie - szepnęła.

- Powiedziałbym ci - ciągnął spokojnie, bez wstydu - „Będę cię uwielbiać moim ciałem”.

Wypowiadając te słowa, składał również przysięgę, a gdy Elizabeth to zrozumiała, do jej oczu napłynęły łzy. Odwróciła głowę, całując wewnątrz jego dłoni. Ian westchnął i pocałował ją mocno, a zarazem czule, rozchylając jej usta. Otoczyła ramionami jego szerokie

bary, a on przywarł do niej całym ciałem, ruchem, który wzbudził w dziewczynie pożądanie i sprawił, że sama się w niego wtuliła.

Przesunął Elizabeth na plecy i łagodnie pieścił jej piersi, drażniąc brodawki, lekko je gładząc, dopóki nie zeszywniały pod jego dotknięciem. Wtedy oderwał usta od warg Elizabeth. Zdumiona i zawiedziona przerwaniem pieśczoły, już wkrótce poczuła znowu słodki niepokój, kiedy Ian wędrował ustami przez jej szyję do piersi i przez chwilę, która wydawała się nieskończonością, drażnił się z nią, delikatnie je muskając, aż wreszcie chwycił w usta napiętą brodawkę. Elizabeth jęknęła z rozkoszy i zanurzyła palce w jego włosach, z ufnością mu się oddając. On zaś nie przestawał jej pieścić, wodził dłońmi po jej gorącym ciele, budząc w niej tajemnicze, niemal bolesne pragnienie.

Całował jej płaski brzuch coraz niżej i roześmiał się cicho, kiedy zachłysnęła się i uniosła zaskoczona. Wtedy przesunął dłonie niżej, obrysowując kształt jej bioder, a jego usta coraz bardziej zbliżały się do trójkątka kręconych włosków między udami. Świadomie się nie śpieszył. Elizabeth poniewczasie zorientowała się, do czego zmierza Ian i w panice zacisnęła ręce. Zawahał się, a później tam też ją pocałował, ale szybko i lekko. Potem znowu się nad nią nachylił i połączył ich kolejny, nieskończenie długi, uderzający do głowy pocałunek. Ian otoczył Elizabeth ramionami i sądziła, że teraz ją weźmie, lecz ich pocałunek trwał, niosąc przesłodką obietnicę i rodząc nienasycone pragnienie. Przetoczył się na bok, pociągając ją za sobą i napierał udami na jej biodra, tak by poczuła jego pożądanie. Potem złagodził pocałunek i w końcu tylko muskał rozchyłonymi wargami jej usta. Kiedy się rozłączyli, Elizabeth dyszała ciężko, zaciskając dłonie na jego ramionach, a serce waliło jej jak młotem; i znowu z mieszaniną podniecenia i lęku czekała, aż Ian ją weźmie. Czuł jej rosnące napięcie, a choć sam z trudem panował nad swym pragnieniem, lekko musnął ustami jej czoło.

- Jeszcze nie - szepnął.

Elizabeth zmusiła się, by otworzyć oczy i spojrzeć na niego. To, co zobaczyła, sprawiło, że serce zaczęło jej bić jeszcze mocniej. W blasku świecy widziała jego pociemniałe z żądy oczy, a mimo to malowało się w nich tyleż czułości co pożądania. To sprawiło, że nagle zapragnęła gorąco, by on również doznał tych wszystkich cudownych odczuć, które dzięki niemu teraz poznawała, lecz nie wiedziała, jak to osiągnąć. Dlatego zrobiła coś innego, co - jak przypuszczała - uszczęśliwi Iana. Położyła dłoń na gładko wygolonej brodzie mężczyzny, spojrzała mu prosto w oczy i wyszeptła z żarem:

- Kocham cię.

Jego oczy pociemniały, lecz nie odezwał się, tylko chwycił jej rękę i położył ją sobie

na piersi. Elizabeth przez chwilę była rozczarowana milczeniem Iana , ale zaraz pojęła, o co mu chodziło: położył sobie jej dłoń na sercu, by poczuła, jak mocno bije, i wiedziała, że tak samo jak ona, płonął z pożądania. Popatrzyła na niego z zachwytem, a ponieważ nagle ogarnęło ją pragnienie, by naprawdę mu się przyjrzeć, spuściła wzrok na jego szeroki, masywny tors, porośnięty ciemnymi włosami. W półmroku skóra Iana lśniła niczym naoliwiony brąz. Elizabeth widziała grę mięśni na jego silnych barkach i ramionach i pomyślała, że jej mąż jest niewiarygodnie piękny. Poruszyła dłonią, ale zawahała się, niepewna, czy powinna go dotykać. Wzniosła ku niemu oczy.

Ian dostrzegł jej wahanie.

- Tak - szepnął chrapliwie.

Uświadomiła sobie, że marzył, by go dotykała, a to napełniło ją zachwytem i dumą. Wodziła dłonią po jego mocnym torsie, patrząc, jak mięśnie naprężają się pod jej delikatnymi palcami. Pomyślała, że jego skóra przypomina gładki jedwab. Musnęła ustami ramię Iana , potem - odważniej - pocałowała jego pierś, a wreszcie dotknęła jej językiem. Gwałtownie wciągnął powietrze i poczuła, jak mimowolnie zacisnął ręce na jej plecach, gdy przesunęła dłoń niżej. Świadomość, że jej pieszczoty jeszcze bardziej go rozpalają, budziła w niej rozkosz. Leniwie całowała jego tors i tak ją to pochłonęło, że dopiero po dłuższej chwili poczuła, że Ian wsuwa dłoń między jej uda.

Nie potrafiła zapanować na instynktowną reakcją: zacisnęła nogi i spojrzała na niego, ogarnięta nagłą, nienazwaną paniką.

- Nie, kochanie - szepnął cicho, wpatrując się w nią palącym wzrokiem. - Nie zamykaj się przede mną.

Z twarzą wtuloną w jego pierś, Elizabeth odetchnęła głęboko i zmusiła się do posłuszeństwa, a potem jęknęła z rozkoszy.

- Kocham cię - szepnęła żarliwie, a słodycz jej poddania sprawiła, że Ian omal nie przestał się kontrolować.

Nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie w nią wejdzie, a jednocześnie obawiając się bólu, jakiego jej przysporzy, uniósł jej szczupłe biodra.

- Muszę ci sprawić ból, najmilsza, bo nie mam innego wyjścia.

Gdybym mógł wziąć go na siebie, zrobiłbym to.

Nie odwróciła się, ani nie próbowała się odsunąć, a jej odpowiedź sprawiła, że gardło mu się ścisnęło ze wzruszenia.

- Wiesz - szepnęła ze łzawym uśmiechem - jak długo czekałam, aż znowu nazwiesz mnie „najmilszą”?

- Jak długo? - spytał chrapliwie.

Zaplótszy ramiona na jego barkach, przygotowała się na przyjęcie bólu, wyczuwając po napięciu Iana, że zaraz się to stanie i mówiąc, jakby w ten sposób mogła się uspokoić.

- Dwa lata. Czekałam i cze...

Szarpnęła się i wydała stłumiony okrzyk, ale ból minął niemal równie szybko jak przebrzmiał jęk i Ian zanurzał się coraz głębiej, aż całkowicie wypełnił ją swoim gorącem i siłą. Elizabeth mocno przyciągała go do siebie, z zachwytem przyjmując powolne, głębokie pchnięcia. Instykt i miłość podszeptęły jej, co robić: zaczęła naśladować jego ruchy, w ten sposób nieświadomie rozpalając go do białości. Mimo to panował nad sobą, by osiągnąć swój cel: najpierw ona, a dopiero potem on.

Elizabeth poczuła, że rodzą się w niej jakieś dzikie, prymitywne doznania, krew dudniła jej w żyłach, ciało przeszyły dreszcze. Czekwała na to, co pragnął jej ofiarować Ian, aż wreszcie coś w niej wybuchło, sprawiając, że zachłysnęła się, a potem głośno krzyknęła.

Słyszac to, objął ją mocniej i wbił się w nią głęboko, oddał się jej i drgnął zaskoczony, gdy sobie uświadomił, że słyszy własny jęk. Jego całym ciałem wstrząsały konwulsyjne dreszcze, przyciągnął do siebie Elizabeth, tak że czuła na policzku jego ciężki oddech, serce dudniło w nim jak oszalałe.

Kiedy wreszcie nieco odzyskał siły, przetoczył się na bok, wciąż przyciskając ją do siebie. Włosy Elizabeth rozsypały się na jego twarzy niczym jedwabisty kobierzec i drżącą ręką próbował je odgarnąć. Jej słodycz i namiętność, która daje, a nie bierze, budziły w nim wdzięczność i zachwyt.

Po kilku długich minutach, gdy Elizabeth poruszyła się w jego ramionach, ujął ją pod brodę, by spojrzeć jej w oczy.

- Czy kiedykolwiek ci mówiłem, że jesteś cudowna?

Miała już pokręcić głową, ale wtem przypomniała sobie, że raz nazwał ją cudowną i na to wspomnienie poczuła pod powiekami łzy.

- Tak, już raz to zrobiłeś - odrzekła, wodząc palcami po jego gładkim ramieniu, bo nie mogła się powstrzymać, by go nie dotykać. - Powiedziałeś mi to, kiedy byliśmy razem w...

- ...W chacie drwała - dokończył, również przypominając sobie tę sytuację.

Wtedy Elizabeth zarzuciła mu, że zachowywał się, jakby Charise Dumont również uważał za cudowną - wspominał Ian, żałując czasu, jaki nieodwracalnie stracili... Tych dni i nocy, kiedy mógłby trzymać ją w ramionach, tak jak teraz.

- Wiesz, jak spędziłem resztę dnia, gdy już wyszłaś z chaty? - spytał cicho.

Pokręciła głową, a on uśmiechnął się niewesoło.

- Spędziłem go bardzo przyjemnie, napawając się myślą o dzisiejszej nocy. Choć wtedy oczywiście nie wiedziałem, że będę musiał tak długo na nią czekać. - Przykrył żonę prześcieradłem i podjął tym samym, spokojnym głosem. - Wtedy pragnąłem cię aż do bólu i nie mogłem wytrzymać, kiedy patrzyłem, jak zapinasz bluzkę. Chociaż - dodał z westchnieniem - przez ostatnie cztery tygodnie miałem okazję aż nadto dobrze przypomnieć sobie tamto uczucie i nawet do niego przywyknąć. Ciekawe, czy będę za nim tęsknił.

- Co masz na myśli? - spytała Elizabeth, uświadamiając sobie, że mimo lekkiego tonu Ian mówi śmiertelnie poważnie.

- Chodzi o mękę niezaspokojonego pożądania - wyjaśnił, całując ją w czoło - które bez przerwy czułem, bo cię pragnąłem.

- Pragnąłeś mnie? - Odsunęła się tak gwałtownie, że omal go nie zrzuciła z łóżka, oparła się na łokciu i automatycznie zasłoniła prześcieradłem piersi. - Czyli... więc to, co właśnie zrobiliśmy... to znaczy...

- Szkoci nazywają to kochaniem się - przerwał jej łagodnie. - W przeciwieństwie do Anglików, którzy uważają to za „wypełnianie obowiązków małżeńskich” - dodał z pogardą.

- Tak - nie zwracała uwagi na jego wyjaśnienia, skupiona na wcześniejszej odpowiedzi męża, że pragnienie rodziło w nim fizyczny ból. - Ale czy właśnie to miałeś na myśli, kiedy powtarzałeś, że mnie pragniesz?

Usta Iana wygięły się w lekkim uśmiešku.

- Tak.

Na gładkich policzkach Elizabeth pojawił się rumieniec, a choć usiłowała nadać głosowi surowy ton, zdradzały ją błyszczące radością oczy.

- A tamtego dnia, kiedy uzgadnialiśmy warunki umowy przedślubnej i powiedziałeś, że mam coś, czego bardzo pragniesz i co chcesz ze mną robić... chodziło ci właśnie o to?

- Między innymi - przyznał, czule gładząc jej zarumieniony policzek.

- Gdybym wtedy wiedziała to, co teraz - odpowiedziała ze smutnym uśmiechem - na pewno postawiłabym dodatkowe warunki.

Zaskoczyła go. Czyli gdyby sobie zdawała sprawę z tego, jaką posiada nad nim władzę, zażądałaby od niego jeszcze większych ustępstw.

- Jakie by to były warunki? - spytał, starając się zachować obojętność.

Wtuliła twarz w jego ramię i zaplotła mu dłonie na szyi.

- Krótsze narzeczeństwo - szepnęła. - Krótsze konkury i krótszy ślub oraz wesele.

Jej słodycz i oddanie obudziły kolejną falę czułości i dumy Iana. Mocno, opiekuńczo otoczył żonę ramionami, uśmiechając się z zadowoleniem. Kiedy ją poznał, wystarczyło mu

kilka minut, by zrozumieć, że jest niezwykła. Po kilku godzinach wiedział już, że znalazł idealną kobietę dla siebie: namiętną i delikatną, inteligentną, wrażliwą i dowcipną. Kochał wszystkie zalety dziewczyny, ale dopiero później odkrył ostatnią, którą najwyżej cenił - jej męstwo. Dumą napełniała go jej dzielność, dzięki której z uporem stawiała czoło przeciwnościom losu i wrogom - nawet gdy on także do nich należał. Nie mając owej cechy charakteru, Elizabeth zrobiłaby to, co większość panien w jej sytuacji: poślubiłaby pierwszego lepszego, dającego się znieść mężczyznę i pozwoliła, by to on borykał się z nieprzyjemnymi aspektami życia. Lecz jego ukochana tak nie postąpiła - ona próbowała sama sobie ze wszystkim poradzić - nie tylko z nim, lecz również z olbrzymimi trudnościami finansowymi. To mu przypomniało, jaki z niej dusigrosz i natychmiast uznał, że owa cecha - przynajmniej na razie - stanowi jeden z najbardziej rozbajających, zabawnych rysów charakteru żony.

- O czym myślisz? - zapytała.

Uniósł twarz Elizabeth, by lepiej jej się przyjrzeć. Odgarnął z policzka złocisty kosmyk.

- Myślałem, że jestem wyjątkowo bystry, skoro wystarczyła mi kilkuminutowa rozmowa, abym dostrzegł, jaka jesteś cudowna.

Roześmiała się, uznając te słowa za żartobliwe pochlebstwo.

- Jak szybko dostrzegłeś moje zalety w ich pełnej krasie?

- Chyba - odrzekł po namyśle - uświadomiłem sobie to wszystko, kiedy współczułaś Galileuszowi.

Przypuszczała, że usłyszy raczej pochwałę swojej urody, a nie rozumu czy poglądów.

- Naprawdę? - spytała z nieskrywanym zadowoleniem. Ian skinął głową, ale przyglądał się żonie zaskoczony.

- A jakiej odpowiedzi się spodziewałaś? Wzruszyła ramionami trochę zażenowana.

- Sądziłam, że najpierw zwróciłeś uwagę na moją twarz. Mężczyźni bardzo dziwnie reagują na mój widok - wyjaśniła z pełnym niechęci westchnieniem.

- Zgoła nie pojmuję, czemu.

Z uśmiechem spoglądał na jego - i chyba wszystkich - zdaniem cudownie piękną twarz młodej kobiety, przytulonej teraz do jego piersi i wyglądającej niczym niewinna jasna bogini.

- To chyba z winy moich oczu. Mają taki niespotykany kolor.

- Teraz rozumiem - droczył się z nią, ale dokończył poważniejszym tonem. - Tak się jednak składa, że w ogrodzie nie oczarowała mnie twoja uroda, ponieważ jej nie dostrzegałem - wyjaśnił, gdy Elizabeth spojrzała nań z niedowierzaniem.

- Przecież doskonale mnie widziałeś. Ja wyraźnie ciebie widziałam, choć już było ciemno.

- Owszem, ale ja stałem obok pochodni, podczas gdy ty kryłaś się w cieniu. Oczywiście, od razu zauważyłem, że masz ładną buzię, podobnie jak od razu dostrzegłem, że pozostałe kobiece wdzięki również są jak najbardziej na swoim miejscu, ale to wszystko. Dlatego później, kiedy zobaczyłem cię, jak kroczysz po schodach, przeżyłem taki szok, że z trudem udało mi się utrzymać kieliszek w ręce.

Jej radosny śmiech przywołał na myśl Ianowi dźwięczną muzykę.

- Elizabeth - ciągnął sucho - nie jestem takim durniem, żeby dać się oczarować pięknej buzi do tego stopnia, by od razu się oświadczać, nawet gdyby jej posiadaczka wzbudziła we mnie szaleńcze pożądanie.

Dostrzegła, że jej mąż nie żartuje i natychmiast spoważniała.

- Dziękuję - odparła cicho. - To był najmiłszy komplement, jaki od ciebie usłyszałam, mój panie.

- Nie nazywaj mnie swoim panem - powiedział z mieszaniną czułości i powagi - jeśli naprawdę mnie za niego nie uważasz. Niech to nie będzie tylko odwołanie się do moich praw.

Elizabeth wtuliła się w jego twardy tors i odrzekła cicho:

- Jak sobie życzysz, mój panie.

Tego było już dla niego za wiele. Przewrócił ją na plecy i zaczął całować, a w końcu przypieczętował swoją własność dłońmi i całym ciałem.

- Nie zmęczyłem cię, najdroższa? - wyszeptał parę godzin później.

- Zmęczyłeś - odrzekła z radością. Leżała z policzkiem wtulonym w ramię Iana, wodząc leniwie dłonią po jego torsie. - Ale jestem zbyt szczęśliwa, żeby od razu zasnąć.

Ian myślał tak samo, lecz czuł się w obowiązku przynajmniej namówić ją do snu.

- Pożałujesz tego jutro rano, kiedy będziemy musieli się zjawić na śniadaniu - odparł z uśmiechem, mocniej ją do siebie przytulając.

Ku jego zaskoczeniu ta niewinna uwaga sprawiła, że żona zmarszczyła czoło. Spojrzała na niego, otworzyła usta, jakby pragnęła o coś spytać, a potem się rozmyśliła i pośpiesznie odwróciła wzrok.

- Co się stało? - Zmusił Elizabeth, by na niego popatrzyła.

- Jutro rano - odezwała się z zabawnym zażenowaniem - kiedy zejdziemy na dół... czy wszyscy będą wiedzieli, co dziś robiliśmy?

Spodziewała się, że Ian będzie próbował ją zbyć, lecz odrzekł krótko: - Tak. Elizabeth skinęła głową, akceptując to i wróciła w jego ramiona.

- Dziękuję, że powiedziałeś mi prawdę - powiedziała z westchnieniem zadowolenia i wdzięczności.

- Zawsze będę ci mówił prawdę - przyrzekł cicho i uwierzyła mu bez zastrzeżeń.

Przyszło jej na myśl, że mogłaby kuć żelazo póki gorące i spytać, czy miał jakiś związek z zaginięciem Roberta, ale natychmiast z gniewem odepchnęła ten pomysł. Nie będzie kłaść ich małżeńskiego łoża paskudnymi, nieuzasadnionymi podejrzeniami, którymi zaraził ją detektyw, najwyraźniej nienawidzący wszystkich Szkotów.

Rano podjęła świadomą decyzję: zaufała Ianowi i wzięła z nim ślub. Teraz wiązała ją przysięga, nakazująca szacunek do męża i Elizabeth nie zamierzała łamać słowa danego sobie, ani ślubów złożonych w kościele.

- Elizabeth?

- Hm...?

- Skoro mowa o prawdzie, muszę ci się do czegoś przyznać. Serce zabiło jej w piersi, znieruchomiła.

- Do czego? - spytała z napięciem.

- Pokój obok ma służyć ci za gotownię i garderobę. Nie pochwalam angielskiego zwyczaju, że małżonkowie śpią oddzielnie.

Tak się rozpromieniła, że Ian musiał się uśmiechnąć.

- Cieszę się - szepnął, całując ją w czoło - że w tej kwestii jesteśmy zgodni.

ROZDZIAŁ 31

W ciągu następnych kilku tygodni Elizabeth, ku swemu zadowoleniu, odkryła, że mogła zadać mężowi pytanie na każdy temat, a Ian udzielał jej wyczerpujących odpowiedzi. Nigdy przy tym nie traktował jej z góry ani nie zbywał stwierdzeniem, że jako kobiety, pewne kwestie jej nie dotyczą, albo - co gorsza - że zrozumienie czegoś przerasta niewieści rozum. Elizabeth niezwykle pochlebiał taki szacunek dla jej inteligencji, zwłaszcza po tym, jak dokonała dwóch zdumiewających odkryć.

Pierwsze miało miejsce trzy dni po ślubie, kiedy oboje postanowili spędzić wieczór w domu, na lekturze.

Tego dnia po kolacji Ian przyniósł z biblioteki książkę, na którą miał ochotę - ciężkie tomiszcze o niezrozumiałym tytule. Elizabeth zaś wybrała „Dumę i uprzedzenie”, której to powieści była ciekawa, od kiedy usłyszała, jakie emocje wzbudziła owa książka wśród konserwatywnych przedstawicieli wielkiego świata. Pocałowawszy żonę w czoło, Ian zasiadł w wysokim fotelu, wyciągnął ramię przez stół i wziął ją za rękę, a następnie zaczął czytać. Elizabeth uznała, że to czarujący pomysł, umościła się w drugim fotelu, cały czas ściskając dłoń męża i ułożyła książkę na kolanach, nie przejmując się drobną niewygodą w postaci konieczności przewracania kartek jedną ręką.

Wkrótce tak pochłonęła ją lektura, że dopiero po półgodzinie zauważyła, jak szybko Ian przewraca kolejne strony. Kątem oka, zaskoczona i zafascynowana, obserwowała, gdy błyskawicznie przemykał wzrokiem po tekście.

- Naprawdę czytasz, mój panie - zażartowała - czy tylko udajesz, żeby się przede mną pochwalić?

Podniósł głowę, a po jego twarzy przemknęło dziwne wahanie. Potem odpowiedział, starannie dobierając słowa.

- Mam... rzadko spotykaną... umiejętność szybkiego czytania.

- Och - odrzekła Elizabeth - prawdziwy z ciebie szczęściarz. Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo obdarzonego takim talentem.

Z uśmiechem ścisnął jej rękę.

- Na pewno znalazłoby się więcej ludzi obdarzonych tą umiejętnością, niż posiadających tak niezwykle oczy jak twoje.

Zdaniem Elizabeth jego talent był znacznie bardziej wyjątkowy niż kolor jej oczu, ale pominęła to milczeniem. Następnego dnia owo odkrycie zniknęło zupełnie w cieniu drugiego.

Na prośbę męża rozłożyła na jego biurku księgi rachunkowe Havenhurst, by podsumować kwartał, ale gdy mijały godziny, długie kolumny dodawanych i mnożonych liczb zaczęły jej się rozmywać przed oczami i plątać - zapewne po części z przyczyny Iana, pomyślała z uśmiechem Elizabeth, który przez pół nocy nie dawał jej zasnąć, tylko się z nią kochał. Po raz trzeci dodała długą kolumnę wydatków i po raz trzeci otrzymała inny wynik. Zirytowana, nie zauważyła, że do pokoju wszedł mąż, i dostrzegła go, dopiero kiedy za nią stanął i pochylił się, opierając ręce na biurku.

- Kłopoty? - spytał, całując żonę w czubek głowy.

- Tak - odrzekła, spoglądając na zegarek i uświadamiając sobie, że lada chwila zjawia się tu jego współpracownicy, z którymi miał rozmawiać o interesach. Wyjaśniała mu problem, pośpiesznie wkładając do teczki luźne kartki, żeby uporządkować biurko. - Od czterdziestu pięciu minut dodaję te same cztery kolumny, żeby podzielić to przez osiemnastu służących i pomnożyć przez czterdziestu, którzy obecnie tam pracują, a następnie jeszcze przez cztery kwartały.

W ten sposób będę mogła określić rzeczywiste koszty wyżywienia i utrzymania większej liczby pracowników. Trzy razy otrzymywałam różne kwoty, a nawet nie przeszłam jeszcze do mnożenia. Jutro będę musiała od nowa się tym zająć - zakończyła rozdrażniona - a rozłożenie i posortowanie tych papierzyśk trwa godzinami.

Chciała zamknąć księgę i złożyła dotychczas wykonane obliczenia, lecz Ian ją powstrzymał.

- Które to kolumny? - zapytał spokojnie, dziwiąc się irytacji Elizabeth.

- Te długie po lewej stronie. Nieważne, jutro się z tym zmierzę.

Odsunęła fotel, upuściła dwie kartki i schyliła się po nie. Spadły głęboko pod biurko, więc coraz bardziej zdenerwowana Elizabeth musiała po nie sięgnąć. Nagle rozległ się nad nią głos Iana.

- Trzysta sześćdziesiąt cztery funty.

- Słucham? - spytała, wynurzając się z kartkami. Zanotował otrzymaną kwotę na skrawku papieru.

- Trzysta sześćdziesiąt cztery funty.

- Nie żartuj sobie ze mnie - odrzekła ze zmęczonym uśmiechem - Zresztą - ciągnęła, pochylając się, by pocałować Iana na zgodę i zaciągnąć się zapachem jego wody kolońskiej - zwykle lubię rachunki. Dziś po prostu jestem zmęczona, bo mój mąż przez pół nocy nie pozwolił mi zasnąć.

- Elizabeth - zaczął z wahaniem - muszę ci coś... - Ale rozmyślił się i pokręcił głową, a

ponieważ w drzwiach stanął Shipley, zapowiadając przybycie współników, Elizabeth zapomniała o całej sprawie.

Aż do następnego ranka.

Zamiast ponownie rozgościć się w gabinecie męża i przeszkadzać mu w pracy, usiadła z księgami i papierzyskami w bibliotece. Wypoczęta błyskawicznie uporała się z liczeniem i w ciągu godziny nie tylko znalazła odpowiedź, której wczoraj na próżno szukała, ale nawet zdążyła sprawdzić wyniki. Pewna, że kwota trzystu sześćdziesięciu czterech funtów jest prawidłowa, z uśmiechem próbowała sobie przypomnieć, jaką sumę rzucił wczoraj Ian. Nie zapamiętała jej, więc poszukała wśród papierów kartki, na której zanotował podaną przez siebie liczbę.

Trzymając w ręku swoje wyliczenie, porównała je z odpowiedzią męża... Zdumiona wstała powoli, zaciskając w ręce karteluszek: trzysta sześćdziesiąt cztery funty. Drżała, ogarnęło ją dziwne uczucie, którego nie potrafiła nazwać. Wpatrywała się w wynik, obliczony przez Iana po paru sekundach w pamięci, nie na papierze, podczas gdy jej zajęło to niemal godzinę.

Chwilę później, kiedy Ian wszedł do pokoju, by ją namówić na przejażdżkę, nadal stała jak ogłuszona.

- Ciągle jeszcze nie możesz znaleźć prawidłowej odpowiedzi, kochanie? - spytał ze współczuciem, opacznie rozumiejąc powód jej dziwnego zakłopotania.

- Nie, już znalazłam. - W jej głosie zabrzmiała uraza, kiedy pokazała mężowi obie kartki. - Za to chciałabym się dowiedzieć - ciągnęła, nie mogąc oderwać od niego wzroku - jakim cudem jest to ta sama odpowiedź, której znalezienie zajęło ci tylko moment.

Jego uśmiech zgasł. Ian wepchnął ręce do kieszeni, nie zwracając uwagi na kartki, które Elizabeth trzymała w dłoni.

- Odpowiedź będzie nieco trudniejsza niż napisanie tego wyniku na kartce - odrzekł, nadając głosowi bezosobowy ton.

- Naprawdę potrafisz to...? Umiesz robić w pamięci takie obliczenia? W ciągu paru chwil?

Skinął głową, a kiedy Elizabeth nadal mu się przyglądała, jakby był jakimś dziwnym stworzeniem, jego twarz stwardniała.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś przestała się na mnie tak gapić - powiedział sucho.

Elizabeth otworzyła usta, słysząc jego ton i ostre słowa.

- Wcale tego nie robię.

- Właśnie że tak - upierał się Ian. - Gapisz się jak na dziw natury. Dlatego wcześniej ci

się nie przyznałem.

Ogarnął ją wstyd za swoje zachowanie. Nic dziwnego, że Ian tak zareagował. Opanowała się i podeszła do męża.

- Nie wiem, czego się dopatrzyłeś, ale na mojej twarzy malowały się podziw i trwoga.

- Ostatnie, czego pragnę, to abyś na mój widok odczuwała trwogę - odrzekł z trudem.

Elizabeth poniewczasie zdała sobie sprawę, że choć mąż nie dbał o to, co inni o nim myślą, jej opinia najwyraźniej bardzo wiele dlań znaczyła. Błyskawicznie uświadomiła sobie, że widocznie już nieraz stykał się z najróżniejszymi reakcjami ludzi, gdy odkrywali w nim geniusza - choć częściej pewnie uważali go za dziwoląga i wybryk natury - dlatego przygryzła wargę, zastanawiając się, co powiedzieć. Kiedy żadne słowa nie przyszły jej na myśl, pozwoliła, by pokierowała nią miłość, i zachowała się naturalnie. Oparła się o biurko i uśmiechnęła się do Iana pogodnie.

- Rozumiem, że potrafisz liczyć równie szybko jak czytać?

- Niezupełnie - brzmiała jego chłodna odpowiedź.

- Aha - ciągnęła lekko. - Podejrzewam, że w bibliotece znajduje się jakieś dziesięć tysięcy książek. Czy wszystkie je przeczytałeś?

- Nie.

Elizabeth skinęła głową w zamyśleniu, lecz jej oczy błyszczały podziwem i wesołością.

- Cóż, w ostatnich tygodniach byłeś dość zajęty, gdyż musiałeś mi nadskakiwać. Pewnie dlatego nie zdążyłeś doczytać ostatniego tysiąca czy dwóch. Masz zamiar przeczytać wszystkie, co do jednej?

- spytała beztrwogo, kiedy jego twarz złagodniała.

Z ulgą dostrzegła, że w kącikach ust męża zagościł uśmiech.

- Zamierzałem się tym zająć w przyszłym tygodniu - oznajmił z udaną powagą.

- Godne pochwały plany - zgodziła się Elizabeth. - Mam nadzieję, że nie zaczniesz beze mnie. Chciałabym móc się temu przyglądać.

Ian wybuchnął śmiechem, a potem chwycił żonę w ramiona, ukrył twarz w jej pachnących włosach i przyciągnął ją do siebie z całej siły, jakby chciał wchłonąć całą jej słodycz.

- Czy masz jeszcze jakieś zdolności, o których powinnam wiedzieć, mój panie? - spytała, obejmując go równie mocno, jak on ją.

- Jestem całkiem niezły - wyszeptał z pełną czułości powagą - w kochaniu ciebie.

W ciągu następnych tygodni udowadniał jej to na niezliczone sposoby. Między innymi

nigdy nie sprzeciwiał się, kiedy wyjeżdżała do własnego majątku. Elizabeth, której świat jeszcze niedawno obracał się wokół przeszłości i przyszłości Havenhurst, ze zdumieniem uświadomiła sobie, że teraz żał jej czasu, jaki tam spędza, doglądając remontów i napraw.

Aby jeździć tam tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne, zaczęła przywozić do domu szkice architekta i konsultowała je wraz z innymi problemami z łanem. Nawet jeśli był zajęty albo przyjmował ważnych gości, znajdował dla niej czas. Godzinami siedział z Elizabeth, krok po kroku tłumacząc jej, jakie rozwiązania można zastosować w danej kwestii. Bardzo szybko młoda kobieta zdała sobie sprawę, że świadczy to o niewyczerpanej cierpliwości męża, gdyż jego umysł nie pracował w ten sposób. Ian z niewiarygodną szybkością przechodził zazwyczaj od punktu A do Z - od problemu do rozwiązania, nie tracąc czasu na zajmowanie się tym, co było w środku.

Z wyjątkiem kilku nocy, które musiała spędzić w Havenhurst, zawsze spali razem w jego łóżku i Elizabeth wkrótce się przekonała, że noc poślubna stanowiła tylko przedsmak dzikiego piękna jego pożądania. Czasem kochał się z nią bez końca, rozbudzając jej namiętność wyrafinowanymi pieszczotami i odwlekając chwilę spełnienia, aż wreszcie Elizabeth błagała, by położył kres ich słodkiej męczarni; innym razem zaś brał ją z czułą bezwzględnością, po krótkiej grze wstępnej. Elizabeth sama nie potrafiła zdecydować, co bardziej woli. Którejś nocy nieopatrznie się do tego przyznała, co skończyło się tak, że najpierw wziął ją szybko, a potem godzinami nie pozwolił jej zasnąć, obsypując niezliczonymi pieszczotami, by mogła wybrać, co jej bardziej odpowiada. Nauczył ją mówić bez skrępowania o tym, czego pragnęła, a kiedy nieśmiałość zamykała jej usta, jeszcze tej samej nocy sam dał przykład szczerości. Ta lekcja wzbudziła w Elizabeth niesamowite podniecenie, kiedy słuchała coraz bardziej ochryplego z pożądania głosu męża, gdy Ian prosił, by w określony sposób go dotykała albo pieściła, kiedy zaś spełniała jego prośbę, jego potężne mięśnie drżały pod jej dotykiem, a z ust wyrywał się jęk rozkoszy.

Pod koniec lata pojechali do Londynu, choć sezon towarzyski jeszcze się nie rozpoczął i w stolicy niewiele się działo. Elizabeth jednak zgodziła się na tę podróż, ponieważ sądziła, że Ian powinien przyjrzeć się działalności wspólników, z którymi zainwestował znaczne sumy w duże przedsięwzięcia. Zresztą w Londynie przebywała Aleksa. Ian pojechał, gdyż chciał, by jego żona cieszyła się swą wysoką pozycją w towarzystwie - do której miała prawo - a także dlatego, że chętnie chwalił się nią przed otoczeniem, gdzie błyszczała niczym klejnoty, którymi ją obsypywał. Zdawał sobie sprawę, że Elizabeth traktuje go jak kochającego dobroczyńcę i mądrego nauczyciela, ale co do tego drugiego była w błędzie, gdyż ona również uczyła swego męża. Własnym przykładem pokazała mu, jak odnosić się do

służby. Nauczyła go odpoczynku. A przede wszystkim tego, że drugą, po uprawianiu miłości, najprzyjemniejszą rozrywką jest śmiech. Pod jej wpływem mąż zaczął też wyrozumiale traktować słabostki arystokratycznego świata.

W ostatniej dziedzinie okazała się tak świetną nauczycielką, że wystarczyło kilka tygodni, by stali się ulubioną parą stolicy, mile widzianymi gośćmi każdego spotkania towarzyskiego czy dobroczynnego. Do rezydencji przy Upper Brook Street napływało mnóstwo zaproszeń. Oboje wymyślali ze śmiechem powody, by odmawiać, ponieważ Ian chciał w ciągu dnia pracować, a Elizabeth wołała zająć się czymś ciekawszym niż kurtuazyjne wizyty.

Dla niego nie stanowiło to problemu: zawsze miał mnóstwo zajęć, Elizabeth zaś znalazła wyjście, przyjmując propozycję kręgu starszych, wpływowych dam, w tym również księżnej wdowy Hawthorne, by przyłączyła się do szczytnego dzieła wybudowania tak potrzebnego Londynowi szpitala na obrzeżach miasta. Niestety komitet, do którego zaproszono Elizabeth, mający zajmować się gromadzeniem funduszy, większość czasu spędzał na rozważaniu zupełnie nieistotnych kwestii, rzadko w ogóle podejmując decyzje. Zdesperowana młoda kobieta poprosiła wreszcie Iana, by - kiedy spotkanie członkiń odbyło się u nich w domu - przyszedł do salonu i posłużył zebranych paniom radą.

- I - uprzedziła męża ze śmiechem, kiedy zgodził się spełnić jej prośbę - choćby kręciły nosem nawet na najmniejszy wydatek, a zapewniam cię, że tak będą robić, obiecuj: nie wytkniesz im, że zbudowałbyś sześć takich szpitali w krótszym czasie i przy mniejszym nakładzie pracy i kosztów.

- A potrafiłbym? - spytał z uśmiechem.

- Jeszcze jak! - Westchnęła. - Ich fortuny razem wzięte to połowa całego majątku Europy, tymczasem trzęsą się nad każdym szylingiem, jakby go wyjmowały z własnej sakiewki i znajdowały się na skraju nędzy.

- Skoro budzą oburzenie nawet u takiego dusigrosza jak ty, to rzeczywiście muszą być wyjątkowo skąpe - przekomarzał się Ian.

Elizabeth uśmiechnęła się do niego niespokojnie, a kiedy zbliżali się do salonu, w którym komitet popijał herbatkę z bezcennej porcelany z Sevres, odwróciła się i pośpiesznie dodała:

- Och... i pod żadnym pozorem nie komplementuj niebieskiego kapelusza hrabiny Wiltshire.

- Dlaczego?

- Bo to jej włosy.

- Przecież bym tego nie zrobił - obruszył się jej mąż.

- Właśnie że tak - szepnęła, próbując spojrzeć na niego srogo, lecz tylko wybuchając śmiechem. - Księżna wdowa mówiła, że wczoraj zachwycałeś się kudłatym pieskiem, którego lady Shirley przerzuciła przez ramię.

- Droga markizo, spełniałem tylko twoje wyraźne polecenie, by podlizywać się tej ekscentrycznej jędzy. Czemu nie wolno mi się zachwycać jej psem?

- Bo to była jej najnowsza mufka z niezwykle rzadkiego futra, którą bardzo się szczyliła.

- Wierz mi, moja droga, na świecie nie ma aż takich parszywych futer - odparł z beczelnym uśmiechem. - Nabrała was wszystkie - dodał stanowczym tonem.

Elizabeth opanowała wesołość i jeszcze raz poprosiła męża:

- Obiecuj, że będziesz bardzo miły i okażesz im cierpliwość.

- Słowo - zapewnił ją z powagą mąż.

Lecz kiedy tylko otworzyła drzwi - i było już za późno, żeby się cofnąć i je zatrzasnąć - przysunął się i szepnął jej do ucha:

- Wiesz, że wielbłąd to jedyne udane przedsięwzięcie komitetu?

Dlatego właśnie biedaczysko tak wygląda.

Nawet jeśli szacowne filantropki były zaskoczone widokiem zwykle wyniosłego i skłonnego do gniewu markiza Kensingtona, który wkroczył do salonu z anielskim uśmiechem niewinnego pacholęcia, z całą pewnością przeżyły jeszcze większy szok, gdy ujrzały jego żonę, która zasłoniła usta, płacząc ze śmiechu.

Miejsce niepokoju, że Ian może - świadomie bądź mimowolnie - urazić czcigodne damy, wkrótce zajął podziw, a potem rozbawienie, gdy Elizabeth patrzyła, jak przez następne pół godziny siedział, czarując je wszystkie leniwym uśmiechem albo subtelnym komplementem, podczas gdy członkinie komitetu debatowały, czy czekoladki otrzymane od Gunthera sprzedawać po pięć, czy po sześć funtów za pudełko. Mimo uprzejmej miny męża, Elizabeth cały czas się spodziewała, że Ian wstanie, oświadczając, że kupi cały zapas słodyczy po dziesięć funtów za sztukę, jeśli tylko dzięki temu wreszcie przejdą do następnego punktu - a wiedziała, że taka propozycja cisnęła mu się na usta.

Lecz Elizabeth obawiała się niepotrzebnie, gdyż jej mąż nadal okazywał paniom przyjazne zainteresowanie. Czterokrotnie komitet zwracał się do niego po radę i za każdym razem markiz z uśmiechem podsuwał doskonałe rozwiązanie. Czterokrotnie zebrane damy ignorowały jego sugestie i za każdym razem zachowywał się, jakby to go w ogóle nie obchodziło, wręcz jakby w ogóle nic nie dostrzegł.

Elizabeth zanotowała w pamięci, by później gorąco podziękować Ianowi za tak nieskończoną wyrozumiałość, po czym skupiła się na gościach i dyskusji do chwili, gdy nieopatrznie zerknęła w kierunku męża i aż zamarła. Zajmował miejsce naprzeciwko niej i teraz wygodnie rozparł się w fotelu, założył nogę na nogę i mimo pozorów zainteresowania rozmową, przyglądał jej się spod przymkniętych powiek, znacząco zatrzymując wzrok na piersiach żony, a uśmiezek, który dostrzegła Elizabeth, wyraźnie świadczył, że Ian robił to wszystko z premedytacją.

Najwyraźniej uznał, że oboje tracą czas na rozmowy z komitetem i wymyślił zabawę, mającą albo rozerwać, albo ostatecznie wytrącić z równowagi Elizabeth, która nie potrafiła rozpoznać jego intencji. Głęboko zaczerpnęła powietrza i już miała zmrozić męża ostrzegawczym spojrzeniem, kiedy ten przeniósł wzrok z jej dekoltu na szyję, na chwilę zatrzymał spojrzenie na ustach, a wreszcie popatrzył jej prosto w oczy.

Milczącą reprimendę żony przyjął lekkim wzniesieniem brwi i zmysłowym uśmiechem, a następnie znowu powędrował wolno spojrzeniem ku jej piersiom.

Hrabina Wiltshire powtórzyła głośniejszym głosem:

- Lady Thornton, co pani o tym sądzi?

Elizabeth oderwała oczy od swego okropnego męża i spojrzała na starszą damę.

- O... oczywiście, zgadzam się - odparła, nie mając pojęcia, co właśnie zaaprobowowała.

Przez następne pięć minut ignorowała pieszczotliwe spojrzenia Iana i nawet nie zerknęła w jego stronę, ale kiedy komitet ponownie wrócił do kwestii czekoladek, odważyła się nań popatrzeć. Natychmiast podchwycił jej wzrok i - na pozór pogrążony w zadumie, rozważając jakieś istotne problemy - siedział z łokciem opartym o fotel, pocierając palcem o usta. Ciało Elizabeth natychmiast zareagowało na ten gest, zupełnie jakby to jej ust dotykał wargami i młoda kobieta głęboko westchnęła, kiedy mąż przeniósł wzrok na jej piersi. Doskonale wiedział, jak na nią działa jego spojrzenie, Elizabeth zaś nie posiadała się z gniewu, że nie potrafi się opanować.

Po półgodzinie komitet się rozszedł, ustalwszy, że następne spotkanie odbędzie się u hrabiny Wiltshire. Jeszcze drzwi dobrze się nie zamknęły za gośćmi, kiedy Elizabeth zaatakowała roześmianego od ucha do ucha, bynajmniej nieskruszonego męża.

- Ty potworze! - zawołała. - Jak mogłeś!

Lecz mimo pełnych oburzenia protestów, Ian zanurzył dłonie we włosy żony, uniósł jej twarz i zamknął usta gorącym pocałunkiem.

- Nie wybaczyłam ci - oświadczyła godzinę później w łóżku, tuląc policzek do jego torsu.

W uchu zadudnił jej głęboki śmiech męża. - Nie?

- Wcale a wcale. Jeszcze mi za to zapłacisz, zobaczysz.

- Chyba już to zrobiłem - odparł znacząco, świadomie przeinaczając jej słowa.

Wkrótce wrócili do Montmayne, by spędzić wrzesień na wsi, gdzie było chłodniej. Dla Iana małżeństwo z Elizabeth stanowiło spełnienie wszystkich marzeń. Panowała między nimi taka sielanka, że musiał tłumić obawę, iż to nie może trwać wiecznie. Jak usiłował sobie perswadować, ów lęk wziął się stąd, że dwa lata temu los zabrał mu Elizabeth. Jednak w głębi ducha wiedział, że nie tylko o to chodzi. Wynajęci ludzie nadal nie natrafili na ślad Roberta Camerona i Thornton żył w nieustannym strachu, że detektyw Elizabeth okaże się lepszy. Dlatego wciąż się spodziewał, że lada dzień się okaże, jak bardzo skrzywdził ją i jej brata. Miał pełną świadomość, że będzie musiał błagać Elizabeth o przebaczenie i że żeniąc się z nią bez wyjawienia prawdy o tym, co spotkało Roberta, nie tylko odpowiadał za jego uprowadzenie, lecz zgrzeszył również dwulicowością wobec żony.

Rozum Thorntona tłumaczył mu, że umieszczając Roberta na pokładzie „Arianny”, Ian uratował młodego awanturnika przed znacznie gorszą karą, jaka groziła tamtemu z rąk sprawiedliwości. Ale teraz - nie wiedząc, co dalej się stało z młodym Cameronem - Ian lękał się, że Elizabeth może inaczej ocenić jego decyzję. Sam też zmienił swoje przekonanie na ten temat, bo wiedział coś, o czym wtedy nie miał pojęcia: że rodzice Elizabeth od dawna nie żyli i brat stanowił jej jedyną obronę przed stryjem.

Wraz z miłością do Elizabeth rósł więc strach - uczucie, którego Thornton szczerze nienawidził. Wreszcie zaczął się modlić, by detektywi wreszcie trafili na jakieś ślady, a on mógł wyznać żonie swą winę i albo zyskać rozgrzeszenie, albo na zawsze zostać przez nią odrzucony. Miał coś, co cenił nade wszystko: miłość Elizabeth, a uczucie do niej sprawiło, że po raz pierwszy od śmierci rodziny Ian lękał się coś utracić. Groźba utraty żony tak go prześladowała, że sam nie wiedział, jak długo jeszcze zniesie owe męczarnie oczekiwania.

Żyjąca w błogiej nieświadomości Elizabeth nadal kochała go całym sercem, a w miarę jak się upewniała o uczuciu męża, nabierała pewności siebie i rzucała na Iana coraz silniejszy czar. Ilekroć widziała, że robi się dziwnie przygnębiony, próbowała go rozweselić, albo całowała, a gdy te metody zawodziły, dawała mu drobne podarunki: kompozycję kwiatową z ogrodów w Havenhurst lub wspinała różę, którą wsuwała mu za ucho albo kładła na poduszce.

- Czy mam kupić ci kosztowny klejnot, żebyś wreszcie się uśmiechnął? - zażartowała któregoś dnia trzy miesiące po ślubie. - Zdaje się, że właśnie tak należy postąpić, kiedy kochanek chodzi zadumany.

Ian pochwycił ją w ramiona i zamknął w niedźwiedzim uścisku.

- Nie znudziłaś mi się, jeśli to masz na myśli - oświadczył.

Elizabeth odsunęła się, zaskoczona żarem jego deklaracji i dalej się z nim droczyła.

- Jesteś zupełnie pewien?

- Całkowicie!

- Nie okłamałbyś mnie? - spytała z udawaną surowością.

- Nigdy bym cię nie okłamał - odparł z powagą, lecz wtedy uświadomił sobie, że ukrywanie przed nią prawdy równa się oszustwu, to zaś już mieści się w kategorii zwyczajnego kłamstwa.

Elizabeth wiedziała, że Iana coś martwi i w miarę upływu czasu jest coraz bardziej udręczony, lecz nawet nie przyszło jej do głowy, że to ona stanowi powód jego milczenia albo obaw. Często myślała o Robercie, ale od dnia ślubu ani razu nie wróciła pamięcią do oskarżeń Wordswortha. Po pierwsze, za bardzo ją to bolało, pod drugie zaś, nie wierzyła już w słuszność podejrzeń detektywa.

- Jutro muszę jechać do Havenhurst - powiedziała niechętnie, kiedy Ian wypuścił ją z objęć. - Kamieniarze rozpoczęli prace przy domu i moście, trzeba też dopilnować melioracji. Pomyślałam, że zanocuję w pałacu, tak abym nie musiała tam zaglądać przez następne dwa tygodnie.

- Będę za tobą tęsknił - odrzekł cicho Ian, lecz w jego głosie nie brzmiała niechęć.

Nie próbował też namówić żony do odłożenia podróży. Uczciwie dotrzymywał warunków ich umowy i Elizabeth niezwykle go za to szanowała.

- Nie aż tak - szepnęła, całując go - jak ja za tobą.

ROZDZIAŁ 32

Elizabeth wolno szła od strony stajni do pałacu, skupiona na liście zakupów, którą trzymała w ręku. Po prawej stronie miała wysoki żywopłot, dzięki któremu z domu, gdzie właśnie uwijali się kamieniarze, nie było widać zaplecza gospodarczego. Nagle rozległy się za nią kroki. Nie zdążyła się odwrócić ani zareagować, kiedy ktoś chwycił ją w pasie i pociągnął w tył, a męska dłoń zasłoniła jej usta, tłumiąc okrzyk lęku i oburzenia.

- Ciii, Elizabeth, to ja - rozległ się boleśnie znajomy głos. - Błagam cię, nie krzycz!

Gdy skinęła głową, dłoń się cofnęła. Elizabeth z furkotem spódnicy odwróciła się i rzuciła Robertowi w ramiona.

- Gdzieżeś ty się podziewał? - zawołała, śmiejąc się i płacząc.

Ścisnęła go z całej siły. - Czemu zniknąłeś bez słowa? Najchętniej bym cię zabiła. Wiesz, ile strachu się przez ciebie...

Chwycił ją za ramiona i odsunął ją od siebie. Na jego wychudzonej twarzy malowało się napięcie.

- Nie ma czasu na tłumaczenia. Spotkajmy się o zmierzchu w sadzie. I, na miłość boską, nie mów nikomu, że mnie widziałas.

- Nawet Bentnerowi...?

- Nikomu! Muszę uciekać, nim zauważy mnie ktoś ze służby. Będę czekał o zmierzchu w sadzie, przy twojej ulubionej wiśni.

Zostawił ją i pobiegł, ukradkiem przemykając się ścieżką, a potem zniknął między drzewami, uprzednio sprawdzwszy, czy nikt go nie dostrzegł.

Elizabeth miała wrażenie, że wymyśliła sobie to krótkie spotkanie. Czuli się jak we śnie, kiedy krążyła po salonie, spoglądając na słońce, które z drażniącą powolnością podążało ku zachodowi. Zastanawiała się, czemu Robert obawiał się rozmowy z ich starym, lojalnym sługą. Widocznie wpadł w jakieś tarapaty, a może złamał prawo? Jeśli tak, zwróci się do Iana po radę i pomoc. Robert był jej bratem, kochała go mimo jego wad, mąż na pewno to zrozumie. Za jakiś czas obaj - ze względu na nią - będą się do siebie odnosić jak członkowie rodziny. Wymknęła się z domu, czując się jak złodziej. Robert siedział oparty o starą wiśnię i zachmurzony oglądał swoje zdarte buty. Na widok Elizabeth zerwał się na nogi.

- Nie przyniosłaś może czegoś do jedzenia?

Czyli miała rację: był wygłodzony.

- Przyniosłam tylko trochę chleba i sera - odrzekła, wyjmując pożywienie. - Nie

mogłam wziąć nic więcej, nie budząc podejrzeń.

Robercie - wybuchnęła, uporawszy się z przyziemnymi kwestiami jedzenia - gdzie byłeś, czemu mnie zostawiłeś samą i co...

- Nie zostawiłem cię - warknął rozgniewany. - Tydzień po pojedynku twój mąż kazał mnie uprowadzić i wywieźć na pokładzie swojego statku. Miałem umrzeć...

Elizabeth zmagą się z bólem i niedowierzaniem.

- Nie mów tak! - zawołała, gwałtownie kręcąc głową. - Nieprawda! On za nic by...

Robert z zaciętą miną wyszarpnął ze spodni koszulę, podciągnął ją i odwrócił się plecami do siostry.

- Oto pamiątka jednej z jego prób.

Z gardła Elizabeth dobywał się krzyk; zatkała dłonią usta, by go powstrzymać, ale i tak zrobiło jej się słabo.

- O, Boże! - jęknęła, patrząc na gęstą siatkę blizn na chudych plecach brata. - O, Boże. Boże.

- Nie mdlej. - Robert przytrzymał ją za ramię. - Musisz być silna albo dokończy swego dzieła.

Młoda kobieta osunęła się na ziemię, położyła głowę na kolanach i z rękami zaciśniętymi na piersiach kołysała się bezradnie.

- O, Boże - powtarzała, ciągle widząc przed oczami biedne, poranione plecy brata. - Boże, Boże, Boże.

Zmusiła się, by oddychać równo, głęboko, aż wreszcie odzyskała panowanie nad sobą. Wszystkie wątpliwości, ostrzeżenia i podejrzania wreszcie się potwierdziły, zyskała dowód w postaci zmasakrowanych pleców Roberta. Ogarnął ją lodowaty chłód, mroząc wszystkie uczucia, nawet ból. Ian był jej miłością, jej kochankiem, jej mężem; przez cały czas spoczywała w ramionach człowieka, który tak potraktował jej brata!

Oparła się o drzewo i dźwignęła na nogi.

- Opowiedz mi wszystko - poprosiła drżącym głosem.

- Opowiedzieć, dlaczego to zrobił? Czy może o miesiącach, które spędziłem, gnijąc w kopalni i wydobywając węgiel? A może o chłóście, jaką wymierzono mi ostatnim razem, kiedy próbowałem uciec, by wrócić do ciebie?

Elizabeth potarła ramiona. Były zimne, pozbawione czucia.

- Powiedz mi, dlaczego.

- Jakim cudem mam znać motywy postępowania tego szaleńca? - syknął Robert, nadludzkim wysiłkiem zmuszając się do zapanowania nad sobą. - Zastanawiam się nad tym

od dwóch lat, dopiero kiedy usłyszałem o waszym ślubie, wszystko stało się jasne jak słońce. Czy wiesz, że niecały tydzień po pojedynku usiłował mnie zabić na Marblemarle Road?

- Zatrudniłam detektywa, by cię odnalazł - wyjaśniła. Skinęła głową, że zna tę część jego losów, nie zauważając, że Robert jeszcze bardziej pobladł. - Ale on twierdził, że to ty próbowałeś zabić Iana .

- Nonsens!

- To były... tylko jego przypuszczenia. A czemu Ian miałby chcieć cię zabić?

- Czemu? - prychnął Robert. Rzucił się na chleb i ser, jakby konał z głodu, Elizabeth ścisnęło się serce, gdy na to patrzyła. - Chociażby dlatego, że go postrzeliłem, kiedy się pojedynkowaliśmy. Ale to nie najważniejszy powód. Przyłapawszy was w oranżerii, pokrzyżowałem mu plany. Kiedy ważył się wyciągnąć po ciebie rękę, wiedział, że to za wysokie progi na jego nogi, ja zaś zniweczyłem jego zamierzenia. Czy wiesz - ciągnął z ochryplym śmiechem - że po tej historii wielu ludzi odwróciło się od niego? Słyszałem o tym, jeszcze nim Thornton uwięził mnie na pokładzie swojego statku.

Elizabeth z trudem wciągnęła powietrze.

- Co zamierzasz zrobić?

Robert oparł się o pień i zamknął oczy.

- Jeśli się dowie, że żyję, będzie próbował mnie zabić - oświadczył z absolutnym przekonaniem. - Następnej takiej chłosty nie przeżyję, Elizabeth. Przez tydzień walczyłem ze śmiercią.

Z jej gardła dobył się jęk przerażenia i współczucia.

- Oskarżysz go? - spytała szeptem. - Zawiadomisz władze i postawisz go przed sądem?

- Myślałem, żeby tak zrobić. To pragnienie nie daje mi spać, ale oni nigdy by mi nie uwierzyli. Twój mąż stał się bogaty, posiada olbrzymie wpływy.

Mówiąc „twój mąż”, popatrzył na Elizabeth tak oskarżycielskim wzrokiem, że bała się spojrzeć w jego mroczne oczy.

- Nie... - Uniosła rękę, próbując go prosić o przebaczenie, ale sama nie wiedziała, za co. Do oczu napływały jej łzy. - Proszę... - wyszeptwała bezradnie. - Nie wiem, co robić ani co powiedzieć. Jeszcze nie teraz. Nie mogę zebrać myśli.

Robert odłożył chleb i objął ją mocno.

- Biedna, śliczna dziecino. Nocami nie mogłem zasnąć, śmiertelnie się o ciebie bojąc. Próbowałem nie myśleć, że dotykają cię jego brudne łapska. Należą do niego kopalnie: głębokie, nieskończenie długie korytarze, gdzie ludzie żyją jak zwierzęta i są bezlitośnie

katowani. Stąd biorą się pieniądze Thorntona.

Za które kupował jej biżuterię i futra, uświadomiła sobie Elizabeth i z trudem powstrzymała jęk. Przeszywał ją dreszcz za dreszczem.

- Skoro nie zamierzasz go postawić przed sądem, to co zrobisz?

- Co ja zrobię? To nie dotyczy tylko mnie, Elizabeth. Jeśli się dowie, że poznałaś prawdę, twoje gładkie plecy nie zniosą chłosty, która mnie spotkała. Nie przeżyjesz tego, co zrobią z tobą jego oprawcy.

W tym momencie życie nie miało dla Elizabeth żadnej wartości. Jej dusza już została skatowana i dogorywała.

- Musimy uciec. Zmienić nazwisko. Zacząć od nowa.

Po raz pierwszy w życiu podjęła decyzję, nie myśląc o Havenhurst.

- Gdzie? - spytała zduszonym szeptem.

- Zostaw to mnie. Ile pieniędzy możesz zdobyć w ciągu kilku dni?

Łzy płynęły spod jej zaciśniętych powiek, bo nie widziała przed sobą żadnego wyjścia. Nie miała wyboru. Nie miała Iana .

- Sądzę, że sporo - odrzekła głucho - jeśli zdołam sprzedać część biżuterii.

Mocniej ją objął i po bratersku pocałował w skroń.

- Musisz postępować dokładnie według moich wskazówek.

Obiecasz mi to?

Wtulona w jego ramię Elizabeth skinęła głową i z trudem przełknęła ślinę.

- Nikt nie może wiedzieć, że uciekasz. Twój mąż powstrzymałby cię bez trudu, gdyby wiedział, co zamierzasz.

Elizabeth znowu potaknęła; Ian nie puściłby jej łatwo, tygodniami dręczyłby ją dociekliwymi pytaniami. Po ich namiętnych nocach nie uwierzyłby, że żąda separacji, bo nie chce z nim żyć.

- Sprzedaj, co i ile zdołasz bez wzbudzania podejrzeń. Jedź do Londynu, to wielkie miasto, a jeśli podasz fałszywe nazwisko i spróbujesz zmienić swój wygląd, zapewne nikt cię nie rozpozna. W piątek weź dorożkę z Londynu do Thruston przy Bernam Road. Mieści się tam zajazd, gdzie będę na ciebie czekał. Kiedy tylko twój mąż zorientuje się, że zniknęłaś, rozpocznie poszukiwania. Będą polowali na zielonooką blondynkę; jeśli mnie znajdą, już po mnie. A jeśli ty będziesz ze mną i mąż cię odnajdzie, również możesz się pożegnać z życiem. Będziemy się podawać za małżeństwo, to chyba najlepsze rozwiązanie.

Elizabeth wszystko słyszała, wszystko rozumiała, a mimo to nie mogła się poruszyć, nic również nie czuła.

- Dokąd pojedziemy? - spytała ogłuszona.

- Jeszcze nie postanowiłem. Może do Brukseli, ale to za blisko. Albo do Ameryki. Na razie ruszymy na północ i zatrzymamy się w Helmstead. To odludna wioska nad morzem. Gazety docierają tam nieregularnie, więc ludzie nie dowiedzą się o twoim zniknięciu. Będziemy czekać na statek, który zabierze nas do kolonii. - Robert zacisnął ręce na ramionach Elizabeth i odsunął ją od siebie.

- Muszę opuścić kraj. Rozumiesz, co masz zrobić?

Skinęła głową.

- I jeszcze coś. Masz się z nim posprzeczać, najlepiej przy świadkach. To nie musi być nic wielkiego, chodzi o to, by sądził, że się dąsas, i od razu nie posłał za tobą detektywów. Gdybyś zniknęła bez powodu, natychmiast wszcząłby poszukiwania. Dzięki sprzecze zyskamy na czasie. Poradzisz sobie?

- Tak - odrzekła z trudem. - Chyba tak. Ale wolałabym zostawić mu list, wyjaśnić... - Na myśl o liście do Iana zbierało jej się na płacz. Może był potworem, ale serce nie chciało uznać jego zdrady tak szybko jak rozum i nadal go kochało. - ...Wyjaśnić, czemu go opuszczam. - Głos jej zadrżał i wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem. Robert znowu ją objął, ale jego głos brzmiał zimno i twardo.

- Nie zostawiaj listu! Rozumiesz? Żadnego listu! Później - obiecał łagodniejszym tonem - kiedy już uciekniemy na drugi koniec świata, będziesz mogła napisać i wszystko mu wyjaśnić. Wtedy możesz wysłać łajdakowi list za listem. Rozumiesz, dlaczego to takie ważne, by uznał, że wyjeżdżasz z powodu zwykłej sprzeczeki?

- Tak - odrzekła cicho.

- Do zobaczenia w piątek - pożegnał się Robert, puszczając ją i całując w policzek. - Nie zawieź nas.

- Nie zawiodę.

Starając się zachować pozory życia i normalności, Elizabeth wysłała wieczorem list do Iana, zawiadamiając go, że zanocuje w Havenhurst, by przejrzeć księgi. Następnego dnia, w środę, wyruszyła do Londynu, ukrywając klejnoty w aksamitnej torbie pod peleryną. Znajdowała się tam cała jej biżuteria, łącznie z pierścieniem zaręczynowym. Pamiętając o konieczności zachowania tajemnicy, kazała Aaronowi wysadzić się przy Bond Street, a potem wzięła dorożkę i udała się do pierwszego lepszego jubilera w okolicy, gdzie nikt jej nie znał.

Właściciel sklepu był pod wrażeniem tego, co mu przyniosła.

- To niezwykle cenne kamienie, pani...

- Pani Roberts - na poczekaniu wymyśliła Elizabeth.

Teraz, kiedy już nic się nie liczyło, kłamstwo bez wysiłku przechodziło przez jej usta.

Dopiero cena za szmaragdy, jaką zaproponował jubiler, wzbudziła w niej pewne uczucie, ale było to zaledwie lekkie rozczarowanie.

- Są warte dwadzieścia razy tyle.

- Nawet trzydzieści, lecz moich klientek nie stać na zapłacenie takiej wygórowanej ceny. Będę musiał wystawić cenę na kieszeń mojej klienteli.

Młoda kobieta obojętnie skinęła głową. Dusza i tak już w niej umarła, Elizabeth nie zamierzała się targować ani zwracać uwagi temu człowiekowi, że mógłby sprzedać klejnoty koledze z Bond Street za dziesięć razy więcej, niż jej zaoferował.

- Nie trzymam tu takich sum, musi pani się udać do mojego banku.

Kiedy dwie godziny później wyszła z ponurego gmachu, grube pliki banknotów wypychały jej torbę i sakiewkę.

Przed wyjazdem do Londynu powiadomiła Iana, że zamierza przenocować w domu przy Promenade Street, tłumacząc to chęcią zakupów i dopilnowania służby. To była kiepska wymówka, lecz Elizabeth już dawno nie myślała logicznie i mechanicznie wypełniała polecenia Roberta. Nie oprzytomniała i nie miała własnych pomysłów. Nie czuła. Wydawało jej się, że już umarła, tylko jej ciało niczym upiór błędziło po świecie.

Siedząc samotnie w sypialni, tępo wyglądała przez okno, zaplatając i rozplatając palce. Powinna wysłać list do Aleksandry, pożegnać się z przyjaciółką. To była pierwsza od dwóch dni myśl o przyszłości, lecz natychmiast jej pożałowała. Kiedy postanowiła, że nie może ryzykować pisania do Aleksandry, rozsądek zaczął ją prześladować perspektywą najgorszego: musiała się spotkać z łanem. Nabralby podejrzeń, gdyby unikała go przez kolejne dwa dni. A może jednak nie nabralby? - zastanawiała się bezsilnie. Pozwolił jej prowadzić własne życie i już kilkakrotnie zdarzało się, że zostawała na dłużej w Havenhurst. Choć, oczywiście, wtedy przyczyną była fatalna pogoda, a nie jej kaprys.

Świtało, kiedy wreszcie zasnęła w fotelu.

Gdy następnego dnia powóz Elizabeth zajechał przed Havenhurst, młoda kobieta właściwie się spodziewała, że będzie tam na nią czekał mąż, lecz wszystko wyglądało zwyczajnie i spokojnie. Dzięki pieniądzom Iana w pałacu nie brakowało służby: stajenni prowadzili konia, ogrodnicy okrywali słomą kwiaty na klombach. Normalność i porządek, pomyślała nieco histerycznie Elizabeth, kiedy Bentner otworzył jej drzwi.

- Gdzie się podziewałaś, panienko? - spytał, niespokojnie przyglądając się jej pobladłej twarzy. - Markiz przysłał wiadomość:

pragnę, abyś wróciła do domu.

Elizabeth powinna się była tego spodziewać, lecz wydawało się jej to teraz zaskoczeniem.

- Nie rozumiem, czemu miałabym słuchać jego rozkazów, Bentner - odparła z napięciem, choć miała udawać rozdrażnienie. - Mój mąż, zdaje się, zapomina, że przed ślubem zawarliśmy umowę.

Sługa, który nadal nie zapomniał łanowi tego, jak przed dwoma laty obszedł się z jego panią - nie wspominając już o napadzie na niego, Bentnera, kiedy markiz wdarł się do kamienicy przy Promenade Street - nie uważał za stosowne teraz bronić męża swojej pani. Podreptał za Elizabeth, niespokojnie się jej przyglądając.

- Źle wyglądasz, panienko. Mam powiedzieć Winstonowi, żeby zaparzył ci aromatycznej herbaty i podał pyszne babeczki?

Elizabeth pokręciła głową i udała się do biblioteki, gdzie przy biurku ułożyła uprzejmy, zdawkowy list do męża: zamierzała dziś zostać w Havenhurst, żeby dokończyć kontrolę ksiąg rachunkowych. Potem wręczyła kopertę posłańcowi z poleceniem, by podróż na miejsce nie zajęła mu mniej niż siedem godzin. Pod żadnym pozorem nie mogła dopuścić, by Ian zostawił ich dom - swój dom - i wpadł tutaj jutro z samego rana, albo, co gorsza, jeszcze dziś.

Po odejściu lokaja nerwy, które do tej pory drzemały, teraz nagle gwałtownie się przebudziły. Wahadło starego zegara szafkowego zaczęło się kołysać coraz szybciej; Elizabeth poczuła dręczący niepokój przed jakimś strasznym, nieokreślonym nieszczęściem. Sen, powiedziała sobie. Potrzebuje snu. Nie panuje nad swą wyobraźnią, bo za mało spała.

Jutro będzie musiała stawić łanowi czoło, lecz tylko przez parę godzin.

Ocknęła się przerażona, kiedy przed samym świtem drzwi jej sypialni gwałtownie się otworzyły i do pokoju wpadł mąż.

- Ty zaczniesz, czy ja mam to zrobić? - spytał groźnie, stając przy łóżku.

- O co ci chodzi? - spytała drżącym głosem.

- Chodzi mi o to, że albo ty pierwsza wyjaśnisz, czemu, do diaska, nagle moje towarzystwo budzi w tobie odrazę, albo najpierw ja ci powiem, co czuję, kiedy nie wiem, gdzie się podziewasz ani dlaczego postanowiłaś tu zostać!

- I wczoraj, i przedwczoraj wysłałam ci wiadomość.

- Tak, diabelnie suchy liścik, który dostałem długo po zmierzchu, z informacją, że zamierzasz spędzić noc gdzie indziej. Chcę wiedzieć, czemu!

Katował ludzi jak zwierzęta, przypomniała sobie Elizabeth.

- Przestań na mnie krzyknąć - powiedziała urywanym głosem, wstając z łóżka i

owijając się kołdrą, żeby się przed nim zasłonić.

Ściągnął brwi.

- Elizabeth? - spytał, wyciągając ku niej rękę.

- Nie dotykaj mnie! - wykrzyknęła.

- Czy coś się stało?

W drzwiach pojawił się Bentner, mierząc markiza groźnym wzrokiem.

- Wynoś się stąd i zamknij za sobą te przeklęte drzwi! - warknął Ian.

- Zostaw je otwarte - poleciła niespokojna Elizabeth i dzielny lokaj spełnił jej prośbę.

Ian w kilku susach dopadł do drzwi i zatrzasnął je z takim impetem, że futryna się zatrzęsała. Elizabeth drżała z przerażenia. Kiedy się odwrócił i ruszył w jej stronę, próbowała się cofnąć, ale zaplątała się w kołdrę i musiała zostać na miejscu.

Thornton dostrzegł w oczach żony strach i zatrzymał się zaledwie parę centymetrów od niej. Uniósł rękę. Elizabeth się skrzywiła, ale i tak pogładził ją po policzku.

- Kochanie, co się stało? - zapytał.

Słyszając ów cudowny, głęboki głos, chciała osunąć się do stóp męża ze szlochem. Patrzyła na nią ta surowa, piękna twarz, którą tak uwielbiała. Elizabeth pragnęła go zaklinać, by powiedział, że oskarżenia Roberta i Wordswortha to wierutne kłamstwa, co do jednego. „Od tego zależy moje życie, Elizabeth. I twoje. Nie zawieź nas”, błagał ją Robert. Tak, w tej krótkiej chwili słabości była gotowa wyznać Ianowi wszystko, co wiedziała, i pozwolić się zabić. Wolałaby śmierć od męczarni życia ze wspomnieniami tego, co ich łączyło, ich małżeństwa; od męczarni życia bez niego.

- Jesteś chora? - spytał, ze ściągniętymi brwiami, uważnie ją obserwując.

- Tak - przytaknęła pośpiesznie, chwytając się wymówki, którą sam jej podrzucił. - Nie czułam się najlepiej.

- Dlatego pojechałaś do Londynu? Postanowiłaś odwiedzić lekarza?

Nieprzytomnie skinęła głową i ku jej przerażeniu, Ian zaczął się uśmiechać. Łagodnie, czule i niewyobrażalnie zmysłowo.

- Jesteś przy nadziei, kochanie? Dlatego tak dziwnie się zachowujesz?

W milczeniu rozważała za i przeciw potwierdzenia lub zaprzeczenia. Musi zaprzeczyć, uświadomiła sobie. Gdyby sądził, że nosi jego dziecko, ścigałby ją na drugim końcu świata.

- Nie! Le... lekarz powiedział, że to tylko... tylko... nerwy.

- Za dużo pracowałaś, nie liczyłaś się z siłami - oświadczył Ian, wizerunek przykładnego i zatroskanego męża. - Musisz więcej odpoczywać.

Elizabeth nie mogła dłużej tego znieść: ani jego udawanej troski i czułości, ani wspomnienia poranionych pleców Roberta.

- Wracam do łóżka - powiedziała zduszonym głosem. - Sama.

Twarz mu pobladła, jakby żona go spoliczkowała.

Przez całe swe dorosłe życie Ian polegał na własnej intuicji niemal tak samo jak na rozumie, lecz w tym momencie nie chciał przyjąć wyjaśnienia, które mu podsuwały. Żona nie chciała leżeć z nim w jednym łóżku, uciekała przed jego pieszczotami. Dwie noce spędziła poza domem. I - co budziło największy niepokój - na jej bladej twarzy wyraźnie malowały się strach i poczucie winy.

- Czy wiesz, co sądzi mężczyzna - odezwał się spokojnym głosem, nie zdradzając bólu, jaki go przeszywał - kiedy jego żona nocuje poza domem, a po powrocie nie chce spać z mężem w jednym łóżku?

Elizabeth pokręciła głową.

- Sądzi - wyjaśnił beznamiętnym tonem - że może ktoś inny zajął jego miejsce.

Jej blada twarz poczerwieniała z furii.

- Spłonęłaś rumieńcem, moja droga - zauważył groźnie.

- Bo jestem wściekła! - odparowała, na moment zapominając, że rozmawia z szaleńcem.

Przez chwilę Ian wyglądał na zdumionego, a potem miejsce zdziwienia zajęły ulga i zmieszanie.

- Przepraszam, Elizabeth.

- B... bądź tak łaskaw i po prostu stąd wyjdź! - wybuchnęła, jeszcze nie ochłonawszy.

- Idź sobie i daj mi odpocząć. Mówiłam ci, że jestem zmęczona. W ogóle nie rozumiem twojego wzburzenia. Przed ślubem zawarliśmy umowę: miałam wieść własne życie, do którego ty obiecałeś się nie wtrącać. A to przesłuchanie uważam za interwencję.

Głos jej zadrżał. Ian jeszcze raz uważnie na nią popatrzył i wyszedł z pokoju.

Oszołomiona Elizabeth czuła tylko ulgę i ból. Dowlokła się do łóżka, otuliła kołdrą po samą szyję, ale nawet ciepła pościel nic nie pomogła na fale zimnych dreszczy i gorąca, które na przemian zalewały biedaczkę. Kiedy po kilku minutach na łóżko padł cień, Elizabeth omal głośno nie krzyknęła z przerażenia, ale wtedy uświadomiła sobie, że to Ian bezszelestnie wszedł przez drzwi między sypialniami.

Ponieważ na jego widok głośno wciągnęła powietrze, nie mogła udawać, że śpi. W milczeniu, z trwogą patrzyła, jak mąż zbliża się do łóżka. Bez słowa usiadł obok niej. Wtedy zauważyła, że w ręku trzymał kieliszek. Odstawił go na szafkę nocną, a potem sięgnął po

poduszkę i oparł ją o wezglowie. Elizabeth nie pozostało nic innego, jak tylko usiąść.

- Wypij - polecił spokojnie.

- Co to? - spytała podejrzliwie.

- Koniak. Pomoże ci zasnąć.

Obserwował, jak wolno sączyła trunek, a po chwili odezwał się łagodnie:

- Skoro wykluczyliśmy kochanka jako przyczynę obecnej sytuacji, mogę tylko założyć, że w Havenhurst wydarzyło się coś złego.

Czy tak?

Elizabeth chwyciła się wymówki, która spadła jej niczym manna z nieba.

- Tak - szepnęła, energicznie potakując.

Pocałował ją w czoło i zaczął się przekomarzać:

- Niech zgadnę: dowiedziałaś się, że młynarz zdiera z ciebie skórę?

Elizabeth bała się, że umrze od tej słodkiej tortury, a mąż ciągnął dalej:

- Nie młynarz? W takim razie chodzi o piekarza. Nie zgodził się udzielić ci rabatu przy kupnie dwóch bochenków zamiast jednego?

Pod powiekami wezbrały jej łzy; Ian zauważył podejrzaną mgłę zasnuwającą oczy żony.

- Aż tak źle? - zażartował. - W takim razie przekroczyłaś ustalony budżet.

Kiedy nie zareagowała na to żartobliwe śledztwo, uśmiechnął się uspokajająco.

- Nieważne, co cię gnębi, jutro wspólnie znajdziemy rozwiązanie.

Świadomość, że on zamierza tu zostać, wyrwała Elizabeth z odrętwienia.

- Nie. Chodzi... chodzi o murarzy - powiedziała z trudem. - Żądają znacznie więcej niż... niż zakładałam. Oprócz pożyczki, której mi udzieliłeś na renowację pałacu, musiałam na nich wydać wszystkie moje własne pieniądze.

- Ach, więc chodzi o murarzy! - Roześmiał się głośno. - Naturalnie, trzeba mieć na nich oko. Jeśli się ich nie pilnuje, żądają niebotycznych sum za zaprawę i nawet się człowiek obejrzy, jak go puszczą z torbami. Porozmawiam z nimi jutro z samego rana.

- Nie! - zaprotestowała, zmyślając na poczekaniu. - Właśnie na tym polega problem. Nie chciałam cię w to wciągać. Wolałam sama się ze wszystkim uporać. I zrobiłam to, ale kosztowało mnie to wiele wysiłku. Dlatego pojechałam do lekarza, spytać, dlaczego czuję się taka wyczerpana. Za... zapewnił, że nic mi nie dolega. Pojutrze wrócę do Montmayne. Nie czekaj na mnie. Wiem, jak bardzo jesteś zajęty. Proszę - zaklinała go - pozwól mi samodzielnie to wszystko załatwić. Błagam!

Ian wstał i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Oddałbym życie za twój jeden uśmiech, Elizabeth, nie musisz mnie o nic błagać. Ale nie chcę też, żebyś z własnej kieszeni wykładła pieniądze na tę posiadłość. Jeśli to się powtórzy - postraszył ją żartobliwie - będę zmuszony ograniczyć twoje wydatki. - Potem zmienił ton na poważny. - Jeśli potrzebujesz większych sum na Havenhurst, powiedz mi, ale to, co ode mnie dostajesz, masz wydawać tylko i wyłącznie na siebie. Wypij koniak - rozkazał łagodnie, a gdy usłuchała, jeszcze raz pocałował ją w czoło. - Zostań tu tak długo, jak musisz. Ja mam do załatwienia sprawę w Devon, którą odkładałem, bo nie chciałem zostawiać cię samej. Pojadę tam i we wtorek wrócę do Londynu. Spotkamy się tam, zamiast w Montmayne?

Elizabeth skinęła głową. Ian uważnie przyjrzał się jej bladej, napiętej twarzy.

- I jeszcze coś. Dasz mi słowo, że lekarz nie znalazł żadnych powodów do niepokoju?

- Tak - odrzekła pewnym głosem. - Daję ci słowo.

Patrzyła, jak Ian wraca do swojej sypialni. Kiedy tylko usłyszała trzask zamykanych drzwi, wtuliła twarz w poduszkę. Płakała długo, a kiedy już sądziła, że wypłakała wszystkie łzy, rozszlochała się jeszcze bardziej.

Drzwi prowadzące na korytarz leciutko się uchyliły. Do środka zajrzała Berta i szybko je zamknęła. Odwróciła się do Bentnera, który poprosił pokojówkę o pomoc, gdy Ian zatrzaskał mu drzwi przed nosem i zaczął krzyczeć na Elizabeth.

- Płacze, jakby serce miało jej zaraz pęknąć, ale jego już tam nie ma - powiedziała z niepokojem służąca.

- Należałoby go zastrzelić - oznajmił Bentner z morderczym spojrzeniem.

Berta skinęła głową i szczerzej owinęła się szlafrokiem.

- O tak, to przerażający człowiek, panie Bentner.

ROZDZIAŁ 33

Kiedy we wtorek wieczorem Elizabeth nie pojawiła się w rezydencji przy Upper Brook Street, wszystkie podejrzenia, które Ian usiłował stłumić, powróciły ze zdwojoną siłą. O jedenastej wysłał dwóch lokajów do Havenhurst, by spytali, czy ktoś wie, gdzie się podziewa pani, i dwóch do Montmayne, by sprawdzili, czy jej tam nie ma.

Następnego dnia o wpół do jedenastej dowiedział się, że służba w Havenhurst sądziła, iż markiza już pięć dni temu wyjechała do Montmayne, podczas gdy w Montmayne uważano, że cały czas przebywa w Havenhurst. Elizabeth przed pięcioma dniami zniknęła bez śladu i nikt nie wszczął alarmu z tego powodu.

Tego samego popołudnia o pierwszej Ian spotkał się z głównym inspektorem z Bow Street, o czwartej zaś stworzył własną armię stu detektywów i rozesłał ich na poszukiwania. Niewiele mógł im powiedzieć. Tylko jedno nie ulegało wątpliwości: Elizabeth zniknęła z Havenhurst i po raz ostatnio widziano ją z nim. Nie wzięła też ze sobą nic, oprócz ubrania, które miała na sobie, a nikt nie wiedział, jaki to był strój.

Ian zdobył jeszcze jedną informację, lecz nie zamierzał jej ujawniać, dopóki nie zostanie do tego zmuszony. Zresztą, z tego samego powodu usiłował utrzymać zaginięcie żony w tajemnicy: wiedział, że podczas ich ostatniego spotkania czegoś lub kogoś panicznie się bała. Przychodził mu do głowy wyłącznie szantaż, ale przecież szantażyści nie uprowadzali swoich ofiar. Poza tym nie wyobrażał sobie, co takiego mogłaby zrobić młodzianka, niewinna Elizabeth, by upatrywał ją sobie szantażysta. A bez jakiejś potężnej broni żadnej przestępca przy zdrowych zmysłach nie porwałby markizy Kensington, by ściągnąć sobie na głowę wszystkich stróżów prawa w Anglii.

Ian nie chciał do siebie dopuścić innego wyjaśnienia. Nie pozwolił, by nawet przez chwilę zamajaczyła mu myśl, że Elizabeth uciekła z jakimś tajemniczym kochankiem. W miarę jednak jak godziny zmieniały się w dni, a po dniach następowały noce, coraz trudniej było odrzucić ową obrzydliwą, upiorną ewentualność. Ian włóczył się po domu, zaglądał do pokoju żony, żeby czuć się bliżej Elizabeth, a potem pił. Pił, by zagłuszyć ból po jej stracie i nienazwane przerażenie.

Szóstego dnia prasa dowiedziała się o śledztwie w sprawie zaginięcia lady Elizabeth Thornton. Informacja o tym trafiła na pierwsze strony „Timesa” i „Gazette” wraz ze spekulacjami, wśród których znalazły się teorie o porwaniu, szantażu, a nawet aluzje, jakoby markiza Kensington postanowiła wyjechać „z nieznanymi powodów osobistych”.

Po tych artykułach nawet tak wpływowe rody jak Thorntonowie i Townsende'owie nie mogły już powstrzymać prasy od ujawniania wszelkich domysłów i wołających o pomstę do nieba nonsensów, jakie odkryli lub wymyślili dziennikarze. Najwyraźniej znali - i publikowali - wszelkie informacje, jakie trafiały do policji i detektywów Iana. Przesłuchiwali służących we wszystkich majątkach Iana oraz w Havenhurst, po czym gorliwie „cytowali” ich słowa. Nienasycona opinia publiczna poznawała szczegóły pożycia Iana i Elizabeth.

Co więcej, to właśnie z łamów „Timesa” Thornton dowiedział się, że jest oto pierwszym podejrzanym. Zdaniem gazety, lokaj w Havenhurst rzekomo był świadkiem kłótni między lordem Thorntonem a jego małżonką w noc zaginięcia markizy. Powodem kłótni, jak twierdził lokaj, był pełen furii atak Thorntona na żonę oraz jego insynuacje dotyczące kwestii, które „lepiej pominąć milczeniem”.

Dalej „Times” donosił, iż pokojówka markizy ze łzami opowiadała dziennikarzowi, jak to zajrzała do sypialni pani i słyszała, że ta „szlochała, jakby serce miało jej zaraz pęknąć”. Pokojówka dodała również, że w pokoju panował mrok, toteż nie mogła stwierdzić, czy jej pani nie padła ofiarą przemocy, lecz „nie powie, że to było niemożliwe”.

Tylko jeden ze służących w Havenhurst nie złożył zeznania obciążającego Thorntona, lecz kiedy Ian przeczytał jego oświadczenie, zabołało go ono bardziej niż wszelkie wcześniejsze aluzje: cztery dni przed zniknięciem lady Thornton nowo wynajęty ogrodnik, William Stockey, widział jaśnie panią, jak po zmierzchu wyszła tylnymi drzwiami z domu i udała się do sadu. Stockey ruszył za nią, zamierzając spytać, ile mierzwy powinien rozłożyć na klombach, ale nie zbliżył się, ponieważ zobaczył, że markiza obejmuje „mężczyznę, który nie był jej mężem”.

W prasie natychmiast pojawiły się spekulacje, że zdrada może sprowokować męża nie tylko do kłótni z żoną, lecz nawet do bardziej drastycznych kroków, które sprawią, że niewierna małżonka zniknie... na zawsze.

Wymiar sprawiedliwości nadal nie chciał uwierzyć, że Ian zabiłby żonę tylko dlatego, iż spotkała się w sadzie z nieznanym - co, jak na razie, stanowiło jedyny motyw zbrodni.

Pod koniec drugiego tygodnia jednak świadek, który przez pewien czas przebywał poza Anglią, przeczytał doniesienia prasowe i z rozpaczą przyjął wiadomość o tajemniczym zniknięciu lady Thornton. Zeznanie pana Wordswortha - detektywa, wynajętego przez Elizabeth - było tak obciążające dla markiza Kensingtona i tak wstrząsające, że trzymano je w ścisłej tajemnicy i nawet prasa o nim nie wiedziała.

Następnego dnia „Times” zamieścił zdumiewającą i ekscytującą informację: Iana Thorntona, markiza Kensingtona, zabrano z jego londyńskiego domu i oficjalnie

przesłuchano, by ustalić jego udział w zaginięciu żony.

Choć formalnie Iana nie oskarżono o udział w zaginięciu Elizabeth ani jej uwięzieniu, polecono, by do zakończenia śledztwa nie opuszczał stolicy. Trybunał obradował za zamkniętymi drzwiami, usiłując ustalić, czy istnieją wystarczające przesłanki do oficjalnego oskarżenia markiza o zaginięcie żony i czy da się wykorzystać najświeższe dowody, dostarczone przez Wordswortha, o udziale lorda Thorntona w zniknięciu Roberta Camerona dwa lata temu.

- Nie zrobią tego - uspokajał Iana Jordan Townsende następnego wieczoru po zwolnieniu przyjaciela za kaucją. - Nie zrobią tego - powtórzył, krążąc po salonie.

- Zrobią - oświadczył beznamiętnie Thornton.

W jego głosie nie brzmiała obawa, a w oczach nie widać było niepokoju. Już dużo wcześniej Ian przestał się przejmować śledztwem. Elizabeth zniknęła! Nie zgłosili się porywacze z żądaniem okupu, panowała zupełna cisza - nie zdarzyło się nic, co by potwierdziło jego wiarę, że uprowadzono ją z domu wbrew woli. A ponieważ doskonale wiedział, że jej nie zabił ani nie uwięził, pozostało tylko jedno wytłumaczenie: Elizabeth odeszła do innego.

Władze nadal nie były przekonane, czy ów tajemniczy mężczyzna, z którym zaginiona jakoby spotkała się w sadzie, w ogóle istnieje, okazało się bowiem, że ogrodnik ma wyjątkowo słaby wzrok i sam przyznał, że to „mogły być gałęzie drzew, poruszające się obok milady, które w słabym świetle zmierzchu wziął za ramiona mężczyzny”. Ian wszakże nie wątpił w istnienie owego nieznanego kochanka w sadzie. Kochanek stanowił jedyne logiczne wytłumaczenie. Jeszcze przed zniknięciem Elizabeth Ian nabrał podejrzeń. Nie chciała z nim spać - jeśliby tamtej nocy martwiła się o coś innego, szukałaby pocieszenia w ramionach męża, nawet gdyby mu się nie zwierzyła ze swych kłopotów. Tymczasem on, Ian, był ostatnim człowiekiem, którego pragnęła widzieć.

Nie, wtedy nawet nie żywił podejrzeń - przysporzyłyby mu zbyt wiele bólu. Teraz jednak nie były to już tylko podejrzania, Ian miał pewność i jego ból okazał się straszliwy, przekraczał wszelkie wyobrażenia.

- Powiadam ci, nie postawią cię przed sądem - powtórzył Jordan. - Naprawdę sędzicie, że odważyliby się na taki krok? - Popatrzył na Duncana i księcia Stanhope'a, którzy siedzieli przy kominku w salonie.

W odpowiedzi obaj podnieśli nań smutne, pełne bólu oczy i potrząsnęli głowami, udając optymizm, po czym znowu spuścili wzrok.

W świetle angielskiego prawa Ian mógł być sądzony jedynie przez parów.

Brytyjskiego szlachcica mogła skazać wyłącznie Izba Lordów i Jordan trzymał się tego jak ostatniej deski ratunku.

- Nie jemu pierwszemu zdarzyło się, że rozbawiona żona postanowiła na jakiś czas się ulotnić, w nadziei, że w ten sposób nauczy męża moresu - ciągnął Jordan.

Rozpaczliwie usiłował tak przedstawić sytuację, by wydawało się, że Elizabeth po prostu gdzieś się zaszła i stroi fochy - oczywiście nie mając pojęcia, że reputacja jej męża legła w gruzach, a jego życiu zagraża niebezpieczeństwo.

- Nie zwołują całej Izby Lordów, żeby sądzić za morderstwo mężczyźnię, którego żona po prostu ma humory - ciągnął z żarem. - Połowa zasiadających tam szlachciców nie panuje nad własnymi małżonkami. Czemu ty miałbyś być inny?

Aleksandra spojrzała na niego z bólem i niedowierzaniem. Podobnie jak Ian doskonale wiedziała, że Elizabeth nie zaszła się gdzieś z powodu dąsów czy gniewu. W przeciwieństwie jednak do Iana nie chciała i nie potrafiła uwierzyć, by jej przyjaciółka uciekła z kochankiem.

W drzwiach pojawił się lokaj Iana z zapieczętowaną kopertą i podał ją Jordanowi.

- Kto wie - próbował żartować Jordan, otwierając list - może to od Elizabeth? Może prosi mnie o wstawiennictwo, nim się odważy do ciebie wrócić.

Jego uśmiech gwałtownie zgasł.

- Co się stało? - zawołała Aleksa, widząc pociemniałą twarz męża.

Książę zgniótł kartkę i rozgniewany, ze smutkiem zwrócił się do Iana:

- Zwołują obrady Izby Lordów.

- Dobrze wiedzieć - oświadczył Ian chłodno, odsuwając krzesło i wychodząc do gabinetu - że będę miał tam jednego przyjaciela i jednego krewnego.

Po jego wyjściu Jordan dalej krążył po salonie.

- To przecież uwłaczający stek bzdur, jeden wielki nonsens i nic poza tym. Pojedynek z bratem Elizabeth i wszystko to razem wzięte nie trzyma się kupy. Zniknięcie Roberta łatwo da się wytłumaczyć.

- Owszem, jedno zniknięcie bez trudu można wytłumaczyć - odparł książę Stanhope. - Ale dwa, do tego w tej samej rodzinie, to już zupełnie inna sprawa. Jeśli Ian nie zacznie się bronić, rozerwą go na strzępy.

- Robimy wszystko, co w naszej mocy - zapewnił go Jordan. - Nasi ludzie przeszukują najdalsze zakątki kraju. Ci z Bow Street uważają, że znaleźli już winnego, więc zrezygnowali z teorii, że Elizabeth uciekła z własnej woli.

Aleksandra wstała, lojalnie broniąc przyjaciółki.

- Gdyby rzeczywiście tak było, możecie być pewni, że miała po temu ważne powody i nie był to przejaw kobiecych humorów, jak najwyraźniej sądzicie.

Po wyjściu Townsende'ów załamany książę położył głowę na oparciu fotela.

- A jakież to „ważne powody” mogła mieć Elizabeth?

- To bez znaczenia - odparł drżącym głosem Duncan. - W każdym razie dla Iana . Jeśli nie przekona go, że została uprowadzona wbrew woli, przestanie dla niego istnieć.

- Nie mów tak - zaprotestował stary książę. - Ian ją kocha, wysłucha jej.

- Znam go lepiej niż ty, Edwardzie - powiedział Duncan, który pamiętał zachowanie siostrzeńca po śmierci rodziców. - Nie pozwoli, by ponownie go skrzywdziła. Jeśli świadomie okryła go hańbą, jeśli nadużyła jego zaufania, będzie ją traktował jak zmarłą. A on już wierzy, że jest winna obu tych grzechów. Przyglądałeś mu się? Nawet nie drgnął, gdy wypowiadaliśmy jej imię. Już zabija swoją miłość do niej.

- Nie można wyrzucić kogoś z serca. Uwierz mi, wiem coś o tym.

- Ian to potrafi - upierał się Duncan. - Zrobi to i nie pozwoli, żeby kiedykolwiek się do niego zbliżyła. Opowiem ci historię, którą nie tak dawno usłyszała ode mnie Elizabeth, gdy pytała o pewne szkice Iana - podjął, gdyż książę z niedowierzaniem ściągnął brwi. - Będzie to opowieść o śmierci jego rodziców i psie, labradorze, który należał do Iana .

Kiedy Duncan skończył, obaj mężczyźni siedzieli w ponurym milczeniu. Zegar wybił jedenastą. Obaj wpatrywali się w tarczę, nasłuchując... czekając na nieuniknione stukanie do drzwi... lękając się go. Nie czekali długo. Kwadrans po jedenastej zjawili się dwaj mężczyźni i Ian Thornton, markiz Kensington został oficjalnie oskarżony o zabójstwo żony oraz jej przyrodniego brata, pana Roberta Camerona. Był aresztowany i miał się przygotować do rozprawy, która odbędzie się za cztery tygodnie w Izbie Lordów. Ze względu na jego wysoką pozycję pozwolono mu oczekiwać na proces w domu, a nie w więzieniu, jednak przed rezydencją ustawiono straż i uprzedzono, że w mieście będzie pod nieustanną obserwacją. Kaucja wynosiła sto tysięcy funtów.

ROZDZIAŁ 34

Senna, mała wioska Helmshead leżała nad błękitną zatoką, do której czasem przybijały statki, lawirując wśród małych łódek rybackich, przycumowanych przy brzegu. Czasem wieczorem zjawiali się marynarze, licząc na hulanki i picie. Wyruszeni wraz z porannym odpływem i obiecywali sobie, że już nigdy więcej nie spędzą tu nocy. W Helmshead nie było burdeli ani tawern, zadowalających gust wilków morskich, ani też dziewczuch chętnych do handlowania swoimi wdziękami.

Mieszkańcy stanowili zamkniętą wspólnotę. Rybacy mieli twarze wysmagane wiatrem i ręce twarde jak liny i sieci, które codziennie wyciągali. Kobiety przynosiły pranie do tego samego źródła i plotkowały, czerwonymi rękami gniojąc bieliznę wybieloną na słońcu. Małe dzieci bawiły się w berka, a towarzyszyły im ujadające radośnie kundle. Wszyscy mieli ogorzałe, posiekane siatką zmarszczek czerstwe twarze o silnych rysach, świadczących o twardym charakterze. Nie znalazłoby się tu obwieszonych klejnotami elegantek ani szykownie ubranych dandysów, podających ramię, na którym mogłaby oprzeć dłoń w miękkiej rękawiczce wytworna dama. Były tu tylko gospodynie, taszczące do domów ciężkie kosze z praniem, i surowi rybacy, którzy wyjmowali im z rąk ciężar i z uśmiechem dźwigali go na muskularnych barach.

Elizabeth stała na porośniętej trawą półce skalnej. Oparła się o drzewo i obserwowała mieszkańców wioski. Przełknęła ślinę, próbując usunąć twardą kulę bólu, która od czterech tygodni tkwiła jej w gardle i sercu. Odwróciła głowę, by spojrzeć na błękitną zatokę rozciągającą się u stóp stromego klifu. Wrośnięte w skałę drzewa powykrzywiały się po latach nieustannej walki z żywiołami - były sękaty, brzydkie, a zarazem dziwnie piękne w swym jesiennym, złocistoczerwonym przebraniu.

Zamknęła oczy, by nic nie widzieć. Piękno wokoło przypominało jej o Ianie. Surowość krajobrazu także przypominała jej o nim. Wspaniałość morza również zwracała jej myśli ku niemu. Bezwzględność także...

Głęboko zaczerpnęła tchu i znowu otworzyła oczy. W ramiona i plecy wbijała jej się ostra kora drzewa. Ból świadczył, że nadal jeszcze żyła. Z wyjątkiem bólu nie było nic. Pustka. Otchłań i cierpienie. I zmysłowy głos Iana, dźwięczący jej w głowie, który szeptał czułe słowa, kiedy się kochali... gdy się z nią przekomarzał.

Jego głos... i widok zmasakrowanych pleców Roberta.

- Gdzie jest pan? - spytał Jordan londyńskiego lokaja swego przyjaciela, a uzyskawszy

odpowieź, minął służącego i udał się do gabinetu. - Przynoszę wiadomości, Ianie.

Odczekał, aż ten skończy dyktować list, odesłał sekretarza i wreszcie skupił na nim uwagę.

- Boże, musisz to robić? - wybuchnął.

- Co takiego? - spytał Thornton, sadowiając się w fotelu.

Jordan spoglądał na niego z bezsilną złością, sam nie wiedząc, co właściwie tak go drażni w zachowaniu Iana. Siedział z podwiniętymi rękawami koszuli, starannie ogolony, i gdyby nie wychudzone policzki, wyglądałby jak człowiek, który w pełni panuje nad swoim całkiem zadowalającym życiem.

- Przestańże wreszcie się zachowywać, jakby... jakby wszystko było w porządku!

- A czego ode mnie oczekujesz? - odparł przyjaciel, wstając i podchodząc do tacy z trunkami. Nalał do szklanek whisky i podał jedną Jordanowi. - Jeśli sądzisz, że będę szlochał i zanudzał cię opowieściami o swoim nieszczęściu, jesteś w błędzie.

- Nie, w tym momencie cieszę się, że nie wpadłeś w męską wersję hysterii. Jak wspomniałem, przynoszę nowiny, a choć z osobistego punktu widzenia te wieści cię nie ucieszą, są jednak doskonałe dla przebiegu twojego procesu, który przecież rozpoczyna się już za tydzień. Ianie - ciągnął z wysiłkiem - nasi ludzie... to znaczy, twoi, wreszcie wpadli na trop Elizabeth.

Markiz ani drgnął.

- Gdzie jest? - spytał chłodno.

- Jeszcze nie wiemy, ale ustaliliśmy już, że dwa dni po jej zniknięciu widziano ją w towarzystwie mężczyzny na Bernam Road. Zanocowali w gospodzie na północ od Lister. Podawali się. - Jordan zawahał się, a potem szybko wyrzucił z siebie najgorsze: - Podawali się za małżeństwo, Ianie.

Tylko leciutko pobieleła koniuszki palców trzymających szklanek ze szkocką świadczyły o reakcji Iana na tę szokującą wiadomość, a także na bolesne wnioski, jakie za sobą pociągała.

- To jeszcze nie koniec dobrych... to znaczy cennych dla nas informacji.

Ian dopił whisky do końca.

- Nie widzę lepszych informacji - oświadczył lodowatym tonem.

- Mamy dowód, że jej nie zabiłem, a jednocześnie sama dostarczyła mi niepodważalnych argumentów do rozwodu.

Jordan powstrzymał się od okazania współczucia, którego przyjaciel i tak by nie przyjął. Patrzył, jak Thornton wraca do biurka.

- Oskarżyciel mógłby próbować dowieść, że ów mężczyzna był opłaconym przez ciebie porywaczem - podjął. - Ale dzięki drugiej informacji przekonamy wszystkich, że Elizabeth aktywnie uczestniczyła w swoim zniknięciu i sama wszystko przygotowała.

Thornton patrzył na niego bez słowa.

- Cztery dni przed swoim zaginięciem sprzedała biżuterię jubilerowi na Fletcher Street. Ten człowiek powiedział, że wcześniej się nie zgłosił, ponieważ markiza Kensington, którą znał jako panią Roberts, wyglądała na przerażoną. Oświadczył, że bał się ją wydać, w razie gdyby miała powody, by od ciebie uciec.

- Bał się przyznać, ile dostał za klejnoty, w razie gdyby się okazało, że nie miała prawa ich sprzedać - zauważył Ian cynicznie. - A ponieważ w prasie nie pisano o ich zaginięciu ani kradzieży, uznał, że bezpiecznie może się zgłosić.

- Niewykluczone. Najważniejsze jednak, że sąd będzie musiał odstąpić od tego nonsensownego oskarżenia o zabójstwo żony. A skoro już nie ulega wątpliwości, że „zniknęła” z własnej woli, twoja sytuacja nie wygląda tak groźnie, nawet jeśli będą próbować cię oskarżyć, że jej brata również... - Zawiesił głos, nie mogąc się zmusić do wypowiedzenia na głos dalszych słów.

Ian sięgnął po pióro i dokumenty, których cała sterta leżała na biurku.

- Detektywi nie zorientowali się wcześniej, że klejnoty zniknęły - tłumaczył książę - ponieważ służba w Havenhurst sądziła, że leżą bezpiecznie w twoim domu, twoi zaś służący uważali, że biżuteria znajduje się w Londynie.

- Teraz rozumiem, jak to się stało - odrzekł Ian bez cienia emocji. - Niewykluczone jednak, że oskarżenie tym się nie przejmie.

Będą utrzymywać, że biżuterię sprzedali podstawieni przeze mnie ludzie, a mój człowiek towarzyszył Elizabeth w podróży i wszyscy w to uwierzą. To jak, zamierzasz wejść w tę spółkę, do której się przymierzaliśmy, czy się wycofujesz?

- Wycofać się? - spytał Jordan, nie pojmując chłodu i całkowitej obojętności Thorntona.

- W tym momencie nikt już nie uważa mnie za wiarygodnego i uczciwego. Jeśli twoi przyjaciele wolą się wycofać z przedsięwzięcia, zrozumieć.

- Już się wycofali - niechętnie przyznał Jordan. - Ja zostaję z tobą.

- Może to i lepiej - odrzekł Ian, sięgając po umowy i wykreślając pozostałe nazwiska. - Tym większy zysk dla nas.

- Ianie - odezwał się cicho Jordan - prowokujesz mnie do tego, bym cię uderzył, chcąc się przekonać, czy zareagujesz, otrzymawszy cios. Mam powyżej dziurek w nosie twojej

obojętności na to, co się dzieje.

Ian oderwał wzrok od dokumentów i wtedy Jordan zobaczył na jego twarzy to, na co czekał: drgający mięsień, świadczący o kłębiących się uczuciach i kipiącej furii przyjaciela. Ogarnęła go ulga.

- Żadne słowa nie wyrażą tego, jak bardzo żałuję moich słów - przeprosił zawstydzony Townsende. - A jeśli coś zdoła cię pocieszyć, to przekonałem się na własnej skórze, co znaczy czuć się zdradzonym przez żonę.

- Nie potrzebuję pociechy - warknął Ian - tylko czasu.

- Na doście do siebie.

- Czasu - brzmiała lodowata odpowiedź - na przejrzanie tych dokumentów.

Wychodząc z gabinetu, Jordan nie był pewien, czy aby sobie nie wyobraził tamtego świadectwa kłębiących się w przyjacielu uczuć.

Elizabeth codziennie stawiała przy tym samym drzewie i spoglądała na morze. Lada dzień powinien już przybić statek, udający się na Jamajkę, jak powiedział jej Robert. Chciał jak najszybciej wyrwać się z Anglii. Nerwowo wyczekiwał tej chwili i trudno mu się dziwić, myślała, wolno podchodząc do krawędzi skały. Pod nią rozciągało się wysokie strome urwisko i piasek.

Robert wynajął pokój u małżeństwa Hoganów. Dobrze jadł i dzięki wspaniałej kuchni pani Hogan coraz szybciej przybierał na wadze. Jak niemal wszyscy w Helmshead, Hoganowie byli miłymi, ciężko pracującymi ludźmi, a ich czteroletnie figlarne i zawsze roześmiane bliźniaki szalały po całych dniach. Elizabeth polubiła całą czwórkę i gdyby to od niej zależało, już na zawsze wołałaby tu zostać, zaszyć się w tym cichym zakątku.

W przeciwieństwie do Roberta nie chciała opuszczać Anglii i nie bała się, że ich odnajdą. Tutaj znalazła dziwny spokój. Była na tyle blisko, aby czuć obecność Iana, a zarazem wystarczająco daleko, by jego słowa ani czyny nie mogły jej zranić.

- Daleko stąd do ziemi, proszę pani - odezwał się pan Hogan, stając za nią i szorstką ręką chwytając ją za ramię. - Niech pani natychmiast odsunie się od krawędzi.

- Nie wiedziałam, że stoję tak blisko.

Zaskoczona Elizabeth dopiero teraz dostrzegła, że czubki jej pantofelków wysunęły się poza półkę.

- Niech pani wraca do domu i odpocznie. Mąż wyjaśnił nam, jak trudne chwile ma pani za sobą i że nie wolno pani niczym martwić.

Świadomość, że brat zwierzył się komuś z ich kłopotów - zwłaszcza Hoganom, którzy wiedzieli, że para lokatorów czeka na statek do Ameryki albo na Jamajkę, bądź w inne,

równie odległe miejsce, zadowalające Roberta - przeniknęła maskę obojętności Elizabeth i na tyle zabolęła, że młoda kobieta spytała:

- Co takiego Rob... mój mąż powiedział wam o moich „trudnych chwilach”?

- Powiada, że nie powinna pani widzieć ani słyszeć niczego, co by mogło sprawić przykrość.

- A ja marzę - oświadczyła Elizabeth, wchodząc do mieszkania i wciągając zapach świeżego chleba - żeby przeczytać jakąś gazetę!

- Przede wszystkim żadnych gazet - odrzekł pan Hogan.

- I tak nie grozi mi, że tu jakąś znajdę. - Elizabeth uśmiechnęła się do jednego z bliźniaków, który podbiegł i objął ją rączkami za kolana. - Co prawda, nadal nie mieści mi się w głowie, że jest w Anglii miejsce, do którego nie docierałaby prasa.

- A po co miałyby pani czytać te okropności? Ciągłe rozpisyją się o tym samym: morderstwach, zamieszkach, polityce i balach.

W ciągu dwuletniego zesłania do Havenhurst Elizabeth rzadko zaglądała do gazet, bo wtedy boleśniej odczuwała izolację od Londynu i prawdziwego życia. Teraz jednak chciała sprawdzić, czy nie znajdzie wzmianki o swoim zniknięciu i komentarzy na ten temat. Podejrzewała, że gospodarze nie potrafią czytać, co nie było takie znowu niezwykle, ale nadal nie rozumiała, czemu ten mężczyzna nie może znaleźć nawet starej gazety u jakiegoś sąsiada.

- Naprawdę, muszę przeczytać gazetę - oświadczyła z większym naciskiem, niż zamierzała, aż odsunęło się od niej spłoszone dziecko. - Może pani w czymś pomóc? - zwróciła się do gospodyni, żeby złagodzić swój wybuch.

Pani Hogan była w siódmym miesiącu ciąży, lecz nieustannie coś robiła i tryskała radością.

- Nie trzeba, pani Roberts. Proszę usiąść przy stole, a ja przygotuję pyszną herbatkę.

- Potrzebuję gazety - mruknęła Elizabeth - nie herbaty.

- Timmy! - syknęła pani Hogan. - Natychmiast to odłóż, słyszałeś? Timmy! - zawołała, ale synek jak zwykle nie zwrócił na nią uwagi.

Pociągnął Elizabeth za spódnicę, lecz w tej samej chwili ojciec rzucił się i wyrwał mu z ręki coś dużego.

- Dla pani! - zaprotestował maluch, wdrapując się jej na kolana. - Przyniosłem dla pani!

Zdumiona Elizabeth omal nie upuściła dziecka.

- To przecież gazeta!

Popatrzyła z wyrzutem na gospodarzy, którzy mieli dość przyzwoitości, by się

zaczerwienić.

- Proszę, panie Hogan, niech mi pan ją da.

- Jest pani wzburzona, właśnie tak jak uprzedzał mąż. Mówił, że tak pani zareaguje na widok gazety.

- Jestem wzburzona - tłumaczyła cierpliwie i uprzejmie Elizabeth - ponieważ nie chcę mi jej państwo pokazać.

- To starość - perswadował Hogan. - Sprzed trzech tygodni.

Dopiero sprzeczką o głupią gazetę po raz pierwszy od dłuższego czasu obudziła w Elizabeth jakieś uczucia. Kiedy gospodarz zabrał stary dziennik, ogarnął ją prawdziwy gniew. Wcześniejsze uwagi o tym, że musi odpoczywać i unikać zdenerwowania, budziły w niej tylko lekkie zdziwienie.

- Wcale nie jestem wzburzona - powiedziała z uśmiechem do pani Hogan, która podejmowała tu większość decyzji. - Chciałam tylko poczytać ploteczki i modę. Dowiedzieć się, co jest modne w tym sezonie.

- Niebieski - odrzekła kobieta, uśmiechając się do niej, a mężowi dając znak, żeby nie pokazywał lokatorce gazety. - Teraz już pani wie. Prawda, że niebieski to śliczny kolor?

- Czyli potrafią państwo czytać?

Elizabeth z trudem się powstrzymywała, żeby nie wyrwać gospodarzowi gazety, choć w ostateczności nie zawahałaby się nawet przed tym.

- Mama umie czytać - wygadał się jeden z bliźniaków z promiennym uśmiechem.

- Proszę państwa. - oświadczyła spokojnie młoda kobieta - jeśli nie pokażecie mi gazety, rzeczywiście będę ogromnie „wzburzona”.

Co więcej, jestem gotowa chodzić od domu od domu, dopóki nie znajdę kogoś, kto mi ją pożyczy albo chociaż przeczyta.

Przybrała surowy ton matki tłumaczącej coś dzieciom, które działają jej na nerwy. Pani Hogan natychmiast go rozpoznała.

- Nic to pani nie da - oświadczyła. - W wiosce jest tylko jedna gazeta i właśnie dostałam ją do przeczytania. W ubiegłym tygodniu jakiś kapitan zostawił ją panu Willysowi.

- W takim razie mogę ją zobaczyć? - nalegała Elizabeth.

Palce ją świerzbiły żeby wyrwać dziennik z potężnej dłoni pana Hogana. Oczyma wyobraźni widziała, jak będzie podskakiwać, żeby dosięgnąć gazety, gdy mężczyzna uniesie ją nad głowę.

- Rozumiem pani ciekawość, ja też lubię czytać o modzie i przeglądać ploteczki. Nie ma w tym nic złego, ale pani mąż wyraźnie podkreślał, że nie wolno...

- Mój mąż - przerwała jej z naciskiem Elizabeth - nie będzie dyrygował każdym moim krokiem.

- Coś mi wygląda na to - odezwał się z uśmiechem pan Hogan - że jak ona się zezłości, to potrafi nosić spodnie, zupełnie jak ty Rose.

- Daj tę gazetę, John - poleciła gospodyni z bezradnym uśmiechem.

- Wezmę ją do pokoju i tam w spokoju przeczytam - oznajmiła Elizabeth, gdy wreszcie miała w ręku swoją zdobycz.

Widząc spojrzenia, jakimi ją odprowadzali, uświadomiła sobie, że Robert niechcący musiał z niej zrobić niemal wariatkę. Usiadła na wąskim łóżku i rozłożyła gazetę.

MARKIZ KENSINGTON OSKARŻONY O ZABICIE MAŁŻONKI I SZWAGRA!
IZBA LORDÓW ZEBRAŁA SIĘ, BY WYŚLUCHAĆ ZEZNAŃ. SPODZIEWANY
WYROK SKAZUJĄCY ZA OBA MORDERSTWA

W gardle Elizabeth wzbierał histeryczny krzyk. Zerwała się na nogi, nie mogąc oderwać wzroku od nagłówków.

- Nie - powtarzała, kręcąc głową i nie wierząc własnym oczom.

- Nie! - wołała do pustego pokoju. - Nie!

Czytała tysiące słów - makabrycznych, groteskowych kłamstw i bezsensownych domysłów. Prześlizgiwały się przed jej oczami, po - wodując wręcz mdłości. Jeszcze raz przeczytała artykuł, bo niczego nie rozumiała. Dopiero kiedy trzeci raz przestudiowała tekst, mogła zacząć myśleć, a i wtedy trzęsła się niczym zwierzę w pułapce. W ciągu pięciu minut jej uczucia uległy zmianie od histerycznej paniki do trzeźwej oceny sytuacji. Błyskawicznie rozważała różne możliwości działania i podejmowała decyzje. Niezależnie od tego, co Ian zrobił Robertowi, nie zabił go - ani jej. Zdaniem dziennikarza przedstawiono dowody, że młody Cameron dwukrotnie próbował zabić Iana Thorntona, lecz teraz to nie docierało do Elizabeth. Zapamiętała tylko jedno: proces miał się rozpocząć osiemnastego, czyli przed trzema dniami i wszystko wskazywało na to, że Ian trafi na szubienicę. Najszybciej zaś można się stąd dostać do Londynu drogą morską, nie lądową.

Elizabeth upuściła gazetę i wpadła do małej bawialni gospodarzy, usiłując pamiętać, że Hoganowie już ją uważają za psychicznie nie zrównoważoną.

- W gazecie znalazłam nowiny... bolesne nowiny, które mnie do tyczą. Muszę jak najszybciej wrócić do Londynu.

- Niech się pani opanuje - uspokajał ją pan Hogan. - Sama pani widzi, że nie należało czytać tej gazety. Tylko się pani zdenerwowała, tak jak uprzedzał mąż.

- Mój mąż stoi przed sądem, oskarżony o morderstwo - tłumaczyła zdesperowana

Elizabeth.

- Pani mąż jest w porcie i dowiaduje się, kiedy przybije statek, by zabrać was w podróż po świecie.

- Nie, to mój brat.

- Jeszcze parę minut temu był mężem - poprawił ją pan Hogan.

- Nigdy nie był moim mężem - upierała się Elizabeth. - Mój mąż, mój prawdziwy mąż, stoi przed sądem oskarżony o zabicie mnie.

- Przecież pani żyje - perswadował łagodnie gospodarz.

- Na rany Chrystusa! - westchnęła cicho Elizabeth, z trudem hamując wybuch.

Odgarnęła włosy z czoła, usiłując znaleźć sposób, by ich przekonać i namówić pana Hogana, żeby zawiózł ją łodzią. Zwróciła się do gospodyni, która bacznie się jej przyglądała, nie przestając cerować koszuli synka.

- Pani Hogan? - Przykucnęła przed nią, chwyciła kobietę za ręce i zmusiła, by tamta spojrzała jej w oczy. Spokojnym, błagalnym tonem próbowała ją przekonać. - Pani Hogan, nie jestem obłąkana i nie jestem wariatką, ale mam kłopoty i muszę to pani wyjaśnić. Czy zauważyła pani, że nie czuję się tu szczęśliwa?

- Owszem, zauważyliśmy to, moja droga.

- Czytała pani w gazecie o lady Thornton?

- Każde słowo, choć wolno czytam i nie rozumiem tej prawniczej mowy.

- Pani Hogan, ja jestem lady Thornton. Nie, niech pani nie patrzy na męża, tylko na mnie. Niech mi się pani dobrze przyjrzy. Jestem wstrząśnięta i zaniepokojona, ale czy wyglądam na osobę niespełna rozumu?

- N... nie wiem.

- Czy od kiedy tu zamieszkaliśmy, zachowywałam się jak obłąkana? A może powiedziałaaby pani raczej, że sprawiałam wrażenie bardzo nieszczęśliwej i odrobinę przestraszonej.

- Nie powiedziałabym, że... - Pani Hogan się zawahała. Powstało między nimi porozumienie, które czasem się pojawia, gdy jedna kobieta zwraca się do drugiej z prośbą o pomoc. - Moim zdaniem nie jest pani obłąkana.

- Dziękuję. - Elizabeth mocno uściśnęła rękę gospodyni i mówiła dalej, po trosze do siebie. - Skoro zaszłyśmy tak daleko, muszę znaleźć sposób, by panią przekonać, kim jestem. Kim jesteśmy ja i Robert. W artykule...

W myślach usiłowała znaleźć drogę na skróty, z pominięciem długich wyjaśnień, szukając najszybszego, najbardziej przekonującego dowodu, a wreszcie w ogóle

jakiegokolwiek dowodu.

- W artykule - podjęła z wahaniem - napisano, że podejrzewa się markiza Kensingtona o zabicie żony, lady Elizabeth Thornton oraz jej brata, Roberta Camerona. Pamięta to pani?

Pani Hogan skinęła głową.

- Ale to są popularne imiona. - Nie dała się przekonać.

- Nie, proszę jeszcze nie wyciągać pochopnych wniosków - powstrzymała ją Elizabeth. - Znajdę dla pani kolejny dowód. Zaraz, już mam! Niech pani ze mną idzie. - Zawlokła biedną kobiecinę do maleńkiej sypialni z dwoma wąskimi łózkami, na których spali ona i Robert. Pan Hogan z progu obserwował zachowanie swej lokatorki. Elizabeth wyciągnęła spod poduszki torbę i otworzyła ją. - Widzicie, ile mam przy sobie pieniędzy? To znacznie więcej, niż posiadają zwyczajni ludzie, tacy, za jakich wzięliście nas oboje, zgadza się?

- Trudno mi wyrokować.

- Tak, naturalnie trudno - zgodziła się Elizabeth, czując, że kobieta traci do niej zaufanie. - Zaraz! To panią przekona! - Podała pani Hogan gazetę i podbiegła do łóżka. - Niech pani przeczyta opis ubrania, jakie na sobie miałam w dniu zaginięcia.

- Nie muszę czytać. Napisali, że mogła pani być ubrana w zieloną suknię z czarną lamówką. Albo w brązową spódnicę z kremową górą...

- Albo - zakończyła triumfalnie Elizabeth, wyciągając spod łóżka dwie walizki z jej skromną garderobą - mógł to być też szary kostium podróży, czyż nie tak?

Pani Hogan skinęła głową, a Elizabeth wyjęła z walizek ubrania i z triumfem rzuciła je na kołdrę. Po minie gospodyni domyśliła się, że Rose jej uwierzyła i że przekona również swojego męża.

Młoda kobieta odwróciła się i zaczęła namawiać biednego pana Hogana:

- Muszę natychmiast wrócić do Londynu, a łodzią podróżowałoby się znacznie szybciej.

- W przyszłym tygodniu spodziewamy się statku, który płynie do...

- Panie Hogan, nie mogę czekać, proces zaczął się trzy dni temu. Równie dobrze mogli już uznać mojego męża za winnego morderstwa i zamierzają go powiesić.

- Ale - wykrzyknął zdenerwowany - przecież pani nie umarła!

- Właśnie. Dlatego muszę tam pojechać i przekonać o tym sąd. Nie mogę czekać, aż statek przybije do portu. Dam panu, co pan zechce, jeśli zabierze mnie pan łodzią do Tilbery. Tam zaczynają się już dobre drogi, więc wynajmę powóz, który zawiezie mnie do Londynu.

- Bo ja wiem, proszę pani... Chętnie bym pomógł, ale ostatnio ryby dobrze biorą, i,

tego...

Dostrzegł w jej oczach przerażenie, spojrzął bezradnie na żonę i wzruszył ramionami. Pani Hogan zawahała się, a potem skinęła głową.

- Zabierzesz ją, Johnie.

Elizabeth z całej siły uściskała kobietę.

- Bardzo dziękuję wam obojgu. Panie Hogan, ile by pan zarobił w czasie tygodnia doskonałych połowów?

Wymienił tę sumę, a Elizabeth wyjęła z sakiewki kilka banknotów, przeliczyła je i wcisnęła mu w rękę.

- Tu jest pięć razy tyle.

Po raz pierwszy w życiu Elizabeth Cameron Thornton zapłaciła za coś więcej, niż musiała.

- Możemy wyruszyć wieczorem?

- Chyba... chyba tak, ale przeprawa nocą nie jest bezpieczna.

- Musimy. Nie mam chwili do stracenia.

Nie dopuszczała do siebie strasznej myśli, że już może być za późno.

- Co się tu dzieje? - rozległ się głos zdumionego Roberta, który zobaczył rozrzucone ubrania Elizabeth na łóżku. - Dostrzegł też gazetę i zmrużył oczy ze złości. - Przecież mówiłem... - Rzucił się ze złością na Hoganów.

- Robercie, musimy porozmawiać - wpadła mu w słowo siostra. - Tylko we dwoje.

- Johnie - odezwała się pani Hogan - chyba dobrze by nam zrobił mały spacer.

Dopiero wtedy Elizabeth zrozumiała, że Robert kazał schować przed nią gazetę, bo wiedział, co się tam znajduje. Świadomość, że o wszystkim wiedział i ukrywał to przed nią, zraniła jego siostrę równie głęboko jak wiadomość, że Iana oskarżono o zabicie ich obojga.

- Dlaczego? - zawołała z gniewem.

- Co: dlaczego? - warknął.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym artykule?

- Chciałem cię osłaniać.

- Co takiego? - wykrzyknęła, ale uświadomiła sobie, że teraz nie pora na wymówki. -

Musimy wracać.

- Wracać? - prychnął. - Ja nigdzie nie wracam. Może zawisnąć za morderstwo. I z całego serca mu tego życzę!

- Ale nie zawiśnie - oświadczyła, wrzucając ubrania do walizki.

- Niestety, zawiśnie, Elizabeth.

Ta nieoczekiwana łagodność i całkowita obojętność sprawiły, że serce przestało jej bić, a w głowie zaczęło się kształtować straszne, niewypowiedziane podejrzenie.

- Gdybym zostawiła list, tak jak zamierzałam, nie doszłoby do tego. Ian mógłby pokazać go...

Urwała nagle, bo oto wszystko ułożyło się w całość. Zdaniem świadka, zacytowanego w artykule, to Robert dwukrotnie próbował zabić Iana, a nie odwrotnie. Skoro oszukał ją w tej sprawie, mógł też - i zapewne tak się stało - kłamać w pozostałych. W sercu odezwał się stary, znajomy ból - tyle że tym razem to Robert zdradził ją i zawiódł, a nie Ian. Nigdy Ian.

- To wszystko obrzydliwe kłamstwa, prawda? - zapytała z pozornym spokojem.

- Zniszczył moje życie - syknął Robert, patrząc na siostrę, jakby to ona była zdrajczynią. - To nie kłamstwo. Zawłókł mnie na pokład jednego ze swoich statków, ale uciekłem w San Delora.

Elizabeth z trudem wciągnęła w płuca powietrze.

- A twoje plecy? Jak to się stało?

- Kiedy uciekłem, nie miałem pieniędzy, do diaska, tylko łachy na grzbiecie. Zaciągnąłem się na statek, by zapłacić za przejazd do Ameryki i właśnie tak mój kapitan traktował swoich ludzi, którzy kra... którzy za wolno pracowali.

- Chciałeś powiedzieć: kradli! - poprawiła Elizabeth, trzęsąc się z furii. - Nie okłamuj mnie! Nie tym razem. A co z kopalniami? Co z tymi kopalniami, o których opowiadałeś? Z owymi czarnymi korytarzami w głębi ziemi?

- Przepracowałem tam kilka miesięcy - warknął, niebezpiecznie się do niej zbliżając.

Elizabeth chwyciła torbę i odsunęła się, lecz brat zacisnął ręce na jej ramionach w żelaznym uścisku.

- Widziałem potworne rzeczy, dopuszczałem się strasznych czynów, a wszystko dlatego, że broniłem twojego honoru, podczas gdy ty zabawiałaś się z tym łotrem!

Bezskutecznie próbowała się wyrwać, ogarniał ją coraz większy strach.

- A kiedy wreszcie udało mi się wrócić do kraju, w pierwszej gazecie przeczytałem, że moja droga siostrzyczka bryluje na wytwornych przyjęciach, podczas gdy ja gnilem w dżungli, wycinając trzcinę cukrową...

- Twoja siostrzyczka - odparowała drżącym głosem Elizabeth - wyprzedziła wszystko, co mieliśmy, żeby uregulować twoje zobowiązania, bodaj cię piekło pochłonęło! Wylądowałbyś w więzieniu za długi, gdybyś pojawił się w kraju, zanim ogołociłam Havenhurst ze wszystkiego! - Głos się jej załamał. Pełnymi łez oczami wpatrywała się w zaciętą twarz brata. - Robercie, proszę - wykrztusiła. - Zaklinam cię, jesteś moim bratem. I po

części masz rację, że to ja byłam przyczyną nieszczęść, które cię spotkały. Ja, nie Ian. Gdyby był naprawdę okrutny, mógłby znacznie gorzej się z tobą obejść - tłumaczyła. - Mógł oddać cię w ręce sprawiedliwości. Tak by postąpił każdy inny mężczyzna, a ty spędziłbyś resztę życia w więzieniu.

Nie puścił jej i nadal mocno zaciskał zęby. Elizabeth przegrała walkę z własnymi łzami i ze sobą, by znienawidzić Roberta za to, co pragnął zrobić Ianowi. Z drżeniem wyciągnęła rękę i pogładziła szczupły policzek brata. W oczach jej błyszczały łzy.

- Robercie - mówiła przekonująco. - Kocham cię i ty chyba też mnie kochasz. Jeśli chcesz mnie powstrzymać przed wyjazdem do Londynu, to będziesz musiał mnie zabić.

Odepchnął ją, jakby dotyk jej skóry go parzył. Elizabeth upadła na łóżko, nie wypuszczając z ręki otwartej torby. Przepęniało ją współczucie dla brata, który tyle przeszedł. Krążył teraz po pokoju niczym zwierzę w klatce. Wyjęła wszystkie pieniądze na łóżko i odłożyła kilka banknotów na opłacenie powozu.

- Bobby - odezwała się cicho.

Zesztywniał, usłyszawszy pieszczotliwe zdrobnienie z lat dzieciństwa.

- Proszę, podejdź tu.

Dostrzegła jego wewnętrzne zmagania. Nadal krążył po pokoju, a wreszcie odwrócił się i zbliżył do łóżka. Elizabeth wstała.

- Tu leży mała fortuna - ciągnęła tym samym łagodnym, smutnym głosem. - Należy do ciebie. Wykorzystaj ją i udaj się, dokądkolwiek zechcesz.

Lewą ręką dotknęła jego twarzy i bacznie mu się przyjrzała.

- Bobby - szepnęła - wszystko skończone. Dość już gniewu i zawziętości. Weź pieniądze i odplyń pierwszym statkiem. - Otworzył usta, ale szybko potrząsnęła głową. - Nie mów, dokąd się udajesz, jeśli to zamierzałeś zrobić. Zaczną mnie o ciebie wypytywać, a jeśli nie będę znała odpowiedzi, możesz czuć się spokojny, że nic ci nie grozi z mojej strony, ze strony Iana ani brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości.

Raz za razem przełykał ślinę, nie odrywając wzroku od pieniędzy leżących na łóżku. Desperacja sprawiła, że nagle Elizabeth myślała jasno i klarownie.

- Za pół roku - ciągnęła - złożę w dowolnym, wskazanym przez ciebie banku więcej pieniędzy. Zamieść w „Timesie” wiadomość dla Elizabeth... Duncan - wymyśliła na poczekaniu - a prześlę pieniądze na nazwisko osoby, podpisanej na ogłoszeniu. - Kiedy nadal stał bez ruchu, mocniej wcisnęła prawą dłoń do torebki. - Bobby, musisz zdecydować teraz. Nie ma czasu do stracenia.

Usiłował nie dopuścić do siebie tego, co mówiła Elizabeth, lecz wreszcie, po

nieskończenie długiej minucie westchnął ciężko, a z jego twarzy zniknęło napięcie.

- Zawsze miałaś wyjątkowo czułe serce - odezwał się, spoglądając na nią z rezygnacją.

Potem bez słowa podszedł do walizki, spakował swoją skromną garderobę i wziął pieniądze. Elizabeth mrugała, by odpędzić łzy.

- Nie zapomnij - szepnęła z trudem. - Elizabeth Duncan. Zatrzymał się z ręką na klamce i spojrzał smutno.

- Tyle wystarczy.

Przez długą chwilę wpatrywali się w siebie, wiedząc, że to ostatnie spotkanie. Na ustach Roberta pojawił się dziwny, bolesny uśmiech.

- Żegnaj, Beth - powiedział cicho na pożegnanie.

Dopiero kiedy zobaczyła przez okno, jak idzie drogą do portu, opadła bez sił na łóżko. Po policzkach spływały jej łzy, kapiąc na torbę, w której nadal trzymała dłoń. Były to łzy smutku pomieszanego z ulgą - lecz Elizabeth opłakiwała wyłącznie Bobby'ego, nie siebie.

Bo w torbie znajdował się pistolet.

I od momentu gdy zrozumiała, że Robert może nie zgodzić się na jej wyjazd, trzymała brata na muszce.

ROZDZIAŁ 35

Czterodniową trasę z Helmshead do Londynu pokonała w ciągu dwóch i pół dnia. Osiągnęła to, stosując niebezpieczną i kosztowną, ale niezbędną metodę płacenia niebotycznych sum stangretom, którzy niechętnie godzili się podróżować nocą, i sama sypiała w powozie. Zatrzymywali się tylko, żeby zmienić konie, wtedy Elizabeth zmieniała ubranie i chwytła w locie coś do jedzenia. W każdym zajeździe wszyscy - od stajennych po dziewczyny w barze - rozmawiali o procesie Iana Thorntona, markiza Kensingtona.

Konie przemierzały trakt po trakcie, ranek zamieniał się w noc, po której znowu budził się szary świt, a wraz z nim wstawał kolejny dzień, Elizabeth zaś słuchała tętnienia kopyt i przerażonego stukotu własnego serca.

O dziesiątej rano, w szóstym dniu procesu Iana, przed miejską rezydencją księżnej wdowy zatrzymał się pokryty kurzem powóz. Elizabeth wyskoczyła, nie czekając aż stangret opuści stopnie, uniosła spódnice, wbiegła na schody i załomotała do drzwi.

- Co, na miłosierdzie pańskie... - zdenerwowała się pani domu, która niespokojnie krążyła po holu.

Gdy lokaj otworzył drzwi, Elizabeth przemknęła obok niego i przypadła do księżnej.

- Wasza wysokość - wydyszała - przybyłam...

- To ty!

Starsza dama kamiennym wzrokiem zmierzyła nieporządnie ubraną, zakurzoną kobietę, która opuściła męża, przysporzyła wszystkim bólu, stała się przyczyną skandalu, a potem pojawiła się niczym piękna miotełka do kurzu - tutaj, na środku jej holu, kiedy jest już za późno.

- Ktoś powinien sprawić ci solidne Ianie - oświadczyła z gniewem.

- Ian niewątpliwie osobiście się tym zajmie, ale nieco później. Teraz muszę... - Elizabeth zawiesiła głos, próbując zapanować nad paniką i krok po kroku realizować swój plan. - ...Muszę się dostać do Westminsteru. Potrzebuję pomocy, bo kobiety nie wpuszczą do Izby Lordów.

- Proces trwa już szósty dzień i powiem szczerze, nie idzie najlepiej.

- Później mi pani opowie, wasza wysokość! - ucięła Elizabeth rozkazującym tonem, którego nie powstydziałaby się sama księżna wdowa. - Teraz proszę znaleźć kogoś wpływowego, kto mnie tam przemyci. Muszę się dostać do środka, resztą zajmę się sama.

Dopiero teraz starsza dama uświadomiła sobie, że niezależnie od niewybaczalnego

postępu Elizabeth zeznanie żony stanowiło jedyną szansę na uniewinnienie Iana . To pchnęło księżną do działania.

- Faulkner! - rzuciła, wydawało się, do schodów.

- Tak, wasza wysokość? - spytała pokojówka, która zmaterializowała się nad poręczą na piętrze.

- Zajmij się tą młodą damą. Oczyść jej ubranie i doprowadź ją do porządku. Ramsey! - Księżna skinęła na kamerdynera, by wszedł z nią do błękitnego salonu. Tam zasiadła przy stoliku do pisania. - Zaniesiesz list prosto do Pałacu Westminster. Powiesz, że to wiadomość ode mnie, że ma natychmiast trafić do rąk własnych lorda Kyletona, który uczestniczy w obradach Izby Lordów. - Szybko skreśliła kilka słów i wręczyła służącemu kartkę.

- Poleciłam, by natychmiast wstrzymał proces. Napisałam też, że za godzinę będziemy czekać na niego przed wejściem dla członków Parlamentu w mojej karcie. Ma tam się zjawić i wprowadzić nas do Izby.

- Już pędzę, wasza wysokość.

Ramsey skłonił się i wyszedł z pokoju. Księżna ruszyła za nim, nie przestając wydawać rozkazów.

- A w razie gdyby Kyleton zaniedbał się w obowiązkach i nie stawił dziś na posiedzeniu, pchnij posłańca do jego domu, drugiego do klubu White'a, a trzeciego do domu tej aktoreczki przy Blorind Street, co to lordowi się wydaje, że nikt o niej nie wie. Ty zaś - zmierzyla lodowatym wzrokiem Elizabeth - pójdziesz ze mną. Masz mi wiele do wyjaśnienia. Zrobisz to, kiedy Faulkner będzie cię doprowadzać do porządku.

- Nie zamierzam - wybuchnęła Elizabeth - myśleć w takiej chwili o swoim wyglądzie!

Księżna uniosła wysoko brwi.

- Czy zjawiłaś się, by przekonać sąd o niewinności swojego męża.

- Naturalnie, że tak. A po cóż...?

- W takim razie oszczędź mu kolejnego upokorzenia! Wyglądasz, jakbyś uciekła z zakładu dla obłąkanych. Będziesz mogła uważać się za szczęściarę, jeśli cię nie powieszą za zamieszanie, jakiego narobiłaś. - Stara dama maszerowała na górę, a Elizabeth za nią, tylko jednym uchem słuchając tej reprimendy. - Gdyby jeszcze ten twój okropny brat był łaskaw się pojawić na rozprawie, twojemu mężowi nie groziłoby więzienie, a zdaniem Jordana właśnie tam trafi, jeśli prokurator postawi na swoim.

Elizabeth zatrzymała się na trzecim stopniu.

- Czy zechce pani wreszcie mnie wysłuchać? - spytała gniewnym tonem.

- Mogę cię słuchać w drodze do Westminsteru - ucięła księżna. - Założę się, że cały

Londyn z zapartym tchem będzie czytał twoje rewelacje w jutrzejszej prasie.

- Na miłość boską! - zawołała Elizabeth, gorączkowo zastanawiając się, gdzie szukać szybszej pomocy. Godzina to przecież wieczność. - Nie przyjechałam tu tylko po to, by dowieść, że żyję. Mogę również przekonać sąd, że Robert żyje i nie spotkało go nic złego z rąk Iana oraz...

Księżna błyskawicznie się odwróciła i ruszyła na dół, patrząc na przybyłą z mieszaniną nadziei i desperacji.

- Faulkner! - krzyknęła na pokojówkę. - Weź niezbędne rzeczy, zajmiesz się markizą Kensington w karecie!

Kwadrans po tym, gdy stangret księżnej gwałtownie zatrzymał karocę przed schodami Westminster Hall, podbiegł do nich lord Kyleton, któremu deptał po piętach Ramsey.

- Co, u licha... - zaczął.

- Pomóż nam wysiąść - rozkazała stara dama. - Po drodze wszystko ci wyjaśnię. Ale najpierw powiedz, jak idą sprawy.

- Niedobrze. Wręcz fatalnie. Oskarżyciel jest w doskonałej formie. Do tej pory zdołał przekonać zebranych, że choć krążą wieści, że lady Thornton żyje, nie ma na to żadnych dowodów.

Pomógł wysiąść Elizabeth, której nigdy przedtem nie widział, i kontynuował relację.

- Pogłoski, jakoby widziano w gospodzie markizę z nieznanym mężczyzną, oskarżyciel tłumaczy tym, że Kensington zatrudnił jakąś młodą parę do odegrania roli jego żony i jej rzekomego kochanka, co brzmi bardzo prawdopodobnie, ponieważ detektywi późno wpadli na ów trop, a jubiler też zdecydował się na złożenie zeznania niedawno. Wreszcie - ciągnął, prowadząc panie do środka - oskarżeniu udało się również skutecznie przekonać lordów, że nawet jeśli markiza jeszcze żyje, to najwyraźniej obawia się o własne życie, gdyż inaczej już by się pojawiła. Skoro dotąd jej nie ma, świadczy to wyraźnie, że biedna kobieta na własnej skórze przekonała się, jakim bezwzględny potworem jest jej mąż. Jeśli zaś jest bezwzględny potworem, nasuwa się logiczny wniosek, że mógł odebrać życie bratu markizy. Ich zdaniem posiadają dość dowodów, by posłać Iana na szubienicę za samo zaginięcie Roberta Camerona.

- Pierwszy problem już sam się rozwiązał. Powstrzymałeś proces? - spytała księżna.

- Co takiego? - zawołał. - Droga księżno, tylko sam król albo Pan Bóg zdołałby tego dokonać.

- Będzie musiała im wystarczyć lady Thornton - oświadczyła krótko starsza dama.

Lord Kyleton odwrócił się i zatrzymał wzrok na Elizabeth. Na twarzy mężczyzny

pojawił się szok, ulga, a potem niewypowiedziana pogarda. Ruszył ku wejściu i otworzył masywne drzwi, przy których trzymali wartę strażnicy.

- Zaczekajcie tu, szanowne panie. Poślę wiadomość do adwokata Kensingtona, żeby nas przyjął. Proszę z nikim nie rozmawiać, ani nie zdradzać, kim jest ta młoda dama, dopóki nie zjawi się Peterson Delham. Podejrzewam, że postanowi ją wykorzystać w kluczowym momencie jako nieoczekiwanego świadka.

Elizabeth stała bez ruchu, starając się nie dopuścić do siebie uczucia przykrości, jaką sprawiło jej pogardliwe spojrzenie lorda. Rozumiała, skąd się wzięło. Wszyscy, którzy czytali doniesienia prasowe, uznali, że lady Thornton albo nie żyje, albo jest cudzołożnicą, która opuściła męża dla tajemniczego kochanka. A skoro stała tu cała i zdrowa, Kyleton uwierzył w to drugie. Elizabeth zdawała sobie sprawę, że każdy mężczyzna w mrocznej sali za grubymi drzwiami - również Ian - będzie tak samo uważał, dopóki nie uda jej się ich wszystkich przekonać, jak bardzo się mylą.

W drodze księżna prawie się nie odzywała, bacznie słuchając wyjaśnień przybyłej, ale z zaakceptowaniem ich najwyraźniej czekała, aż ponownie usłyszy całą relację na sali sądowej. Ten brak wiary starszej damy, która już raz stanęła po jej stronie, kiedy wszyscy się od niej odwrócili, zabolął Elizabeth znacznie bardziej niż pełne potępienia spojrzenie Kyletona.

Po kilku minutach lord wrócił.

- Peterson Delham przed chwilą dostał mój list. Zobaczymy, CO będzie teraz.

- Powiedziałeś im, że jest tutaj lady Thornton?

- Nie, księżno - odrzekł, z trudem zdobywając się na cierpliwość. - W sądzie wycucie czasu przesądza o sukcesie. Delham sam musi zdecydować, co zamierza zrobić oraz kiedy to uczyni.

Elizabeth miała ochotę krzyknąć ze złości i zniecierpliwienia. Przecież Ian był po drugiej stronie tych drzwi. Tak bardzo pragnęła je otworzyć i zobaczyć męża, że z trudem zmuszała się, by stać w miejscu. Powtarzała sobie, że za chwilę się spotkają i Ian usłyszy jej wyjaśnienie. Jeszcze kilka krótkich minut i wytłumaczy mu, że wyjechała z Robertem, a nie z kochankiem. Kiedy dowie się o wszystkim, na pewno wybaczy jej - za jakiś czas - cały ból, jakiego mu przysporzyła. Nie obchodziło jej, co o niej sądzą setki notabli, zebranych na sali. Może do końca życia znosić ich pogardę, byle tylko Ian jej przebaczył.

Wydawało jej się, że czeka całą wieczność, a nie zaledwie kwadrans, kiedy wreszcie drzwi się otworzyły i wyszedł obrońca Thorntona, Peterson Delham.

- Czego chcesz, Kyleton, na miłość boską? Staję na głowie, żeby nie dopuścić do

katastrofy, a ty wyciągasz mnie w połowie najbardziej obciążającego zeznania!

Lord Kyleton niespokojnie zerknął na grupkę ludzi przechadzających się po korytarzu, a potem przyłożył dłoń do ucha adwokata i szybko zaczął coś szeptać. Delham popatrzył na Elizabeth, chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę zamkniętych drzwi.

- Tutaj porozmawiamy - rzucił szorstko.

W pokoju znajdowało się biurko i sześć krzeseł. Adwokat natychmiast usiadł za biurkiem, złączył dłonie palcami i zmierzył Elizabeth wzrokiem. Miała wrażenie, że przeszywają ją dwa błękitne sztylety. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała lodowata ironia.

- Lady Thornton, jakże miło, że znalazła pani czas, by wpaść do nas z towarzyską wizytą. Czy uzna pani za zbyt dużą śmiałość, jeśli spytam, co pani porabiała przez ostatnie sześć tygodni?

W tym momencie Elizabeth pojęła nagle, że skoro adwokat Iana tak ją traktuje, to jakiej nienawiści będzie musiała stawić czoło, kiedy znajdzie się twarzą w twarz z mężem.

- Do... domyślam się, co pan o mnie myśli - zaczęła pojednawczym tonem.

- Och, wątpię, droga pani - przerwał drwiąco. - Gdyby pani wiedziała, byłaby pani śmiertelnie przerażona.

- Wszystko wytłumaczę! - zawołała Elizabeth.

- Czyżby? - wycodził. - Wielka szkoda, że nie zrobiła pani tego sześć tygodni temu.

- Ale teraz zamierzam to uczynić. - Z trudem zachowywała panowanie nad sobą.

- Proszę, kiedy tylko pani zechce - odrzekł sarkastycznie. - Garstka zaledwie trzystu ludzi czeka po drugiej stronie korytarza, kiedy łaskawie znajdzie pani dla nich czas.

Głos jej drżał z przerażenia i gniewu, przestała nad sobą panować.

- Szanowny panie, nie po to jechałam dzień i noc, żeby stać tu i tracić czas, pozwalając się obrażać! Wyruszyłam natychmiast, gdy przeczytałam artykuł w gazecie, że mojemu mężowi grozi niebezpieczeństwo. Zjawiłam się, by dowieść, że jestem cała i zdrowa i że mój brat również żyje!

Zamiast ulgi lub satysfakcji, na twarzy obrońcy pojawiło się jeszcze większe obrzydzenie.

- Ależ słucham. Drzę z niecierpliwości, by poznać całą tę opowieść.

- Czemu pan to robi? - zawołała Elizabeth. - Na miłość boską, jestem po waszej stronie.

- Chwała Bogu, że nie mamy więcej takich sojuszników.

Puściła mimo uszu jego złośliwości i szybko, precyzyjnie przedstawiła wydarzenia od

chwili, gdy Robert wyrósł za jej plecami w Havenhurst. Skończywszy, wstała, gotowa udać się na salę rozpraw i powtórzyć to w obecności sądu, ale Delham nadal miażdżył ją wzrokiem, spoglądając nieprzyjaźnie z nad czubków palców.

- I mamy uwierzyć w tę wyssaną z palca bajeczkę? - odezwał się wreszcie. - Pani brat żyje, lecz go tu nie ma. Mamy uwierzyć w zeznania kobiety zamężnej, która otwarcie podróżowała z obcym mężczyzną, podając się za jego żonę...

- To był mój brat! - Podeszła i oparła dłonie na biurku, jakby jej bliskość miała przekonać adwokata o prawdziwości jej słów.

- Albo tylko próbuje nam pani to wmówić. Czemu, markizo? Skąd ta nagła troska o męża?

- Delham! - wtrąciła się księżna. - Czyś ty postradał rozum? Nawet ślepy by zauważył, że lady Thornton mówi prawdę. Nawet ja... choć kiedy się pojawiła, nie chciałam wierzyć ani jednemu jej słowu. Bez powodu traktujesz ją jak główną podejrzaną...

- Wasza wysokość - odrzekł adwokat, nie odrywając wzroku od Elizabeth - to nic w porównaniu z tym, co oskarżenie będzie próbowało zrobić z zeznaniem markizy. Jeśli milady teraz nie wytrzyma tego, co ja jej zgotowałem, na sali rozpraw nie będzie miała najmniejszych szans.

- Niczego nie rozumiem! - zawołała Elizabeth. - Przecież moja obecność stanowi wystarczający dowód, że mąż mnie nie zabił, Mam też list od gospodyni, Rose Hogan, w której szczegółowo opisuje mojego brata i potwierdza, że byliśmy u niej razem. Jeśli będzie potrzebna, można ją tu sprowadzić, ale spodziewa się dziecka i nie dałaby rady podróżować tak szybko jak ja. Sąd ma zdecydować, czy mój mąż dopuścił się zarzucanych mu czynów. Ja zaś znam prawdę i mogę dowieść jego niewinności.

- Myli się pani, markizo - odrzekł z goryczą Delham. - Procesowi od początku towarzyszył skandal, a gazety prześcigały się w insynuacjach. Nikt nie szuka już prawdy ani sprawiedliwości, Izba Lordów stała się amfiteatrem, a na scenie oskarżyciel odgrywa główną rolę w przedstawieniu, które śledzi za pośrednictwem prasy wielotysięczna publiczność w całej Anglii. Nie ulega wątpliwości, że oskarżenie osiągnie szczyty aktorstwa, tak jak czyniło to dotąd. No cóż - zakończył po chwili - zobaczmy, jak sobie pani poradzi.

Elizabeth tak się ucieszyła, że wreszcie wstał, iż nawet owe uwagi o prokuratorze nie uczyniły na niej wrażenia.

- Opowiedziałam panu wszystko, co się wydarzyło, przywiozłam też list pani Hogan, by potwierdzić moje zeznanie na temat Roberta. Jak wspomniałam, ta kobieta jest gotowa stanąć przed sądem. Opisz go wszystkim i z pewnością rozpozna na portretach, które mogę

przedstawić.

- Może tak, a może nie. Może pani szczegółowo go opisała i kupiła jej zeznania? - Ponownie wcielił się w rolę oskarżyciela. - A przy okazji, czy obiecała jej pani nagrodę za przyjazd tutaj?

- Tak, ale...

- Nieważne - uciął z gniewem. - To bez znaczenia.

- Jak to: bez znaczenia? - powtórzyła, nie rozumiejąc, Elizabeth. - Przecież lord Kyleton twierdził, że najbardziej obciążająca dla Iana jest sprawa mojego brata.

- Jak już powiedziałem - oświadczył chłodno - w tym momencie jest to dla mnie kwestia drugorzędna. Umieszczę panią w miejscu, gdzie będzie pani mogła mnie słyszeć, sama nie będąc przy tym widziana. Mój sekretarz przyprowadzi panią na salę rozpraw.

- Czy... czy powie pan mojemu mężowi, że przyjechałam? - spytała zduszonym głosem.

- Absolutnie nie. Chcę, by zobaczył panią wraz z innymi. Niech lordowie widzą jego pierwszą reakcję i ocenią jej prawdziwość.

Zaprowadził obie damy do drugich drzwi. Kiedy się odsunął, okazało się, że znajdują się w niewielkim pokoiku, z którego mogły obserwować salę rozpraw, same nie będąc widziane. Elizabeth z bijącym sercem usiłowała ogarnąć kalejdoskop kolorów, głosów i obrazów. Pod wysokim sklepieniem długiej, mrocznej sali rozbrzmiewały setki przyciszonych rozmów, toczących się na galeriach i ławach na dole, gdzie zasiadali lordowie, niecierpliwie oczekując kontynuacji procesu.

Niedaleko ich izdebki znajdował się lord kanclerz w czerwonej todze i peruce. Siedział na tradycyjnym czerwonym fotelu, z którego przewodził obradom.

Poniżej i obok zajmowali miejsca mężczyźni, również noszący czerwone togi i peruki, wśród nich ośmiu sędziów i oskarżycieli. Przy jednym ze stołów zebrała się kolejna grupa ponurych mężczyzn w togach i perukach - zapewne obrońcy Iana. Elizabeth dostrzegła Petersona Delhama, który przeszedł przez salę, i przeszukiwała oczami jego sąsiedztwo. Na pewno Ian będzie siedział gdzieś w pobliżu... Nagle znieruchomiła i zatrzymała wzrok na ukochanej, najdroższej twarzy. Omal nie wypowiedziała głośno jego imienia, ale w ostatniej chwili przygryzła wargi, by nie zdradzić swojej obecności. Na jej ustach pojawił się ławy uśmiech, bo wszystko - nawet nonszalancka poza Iana - było tak boleśnie, tak cudownie znajome. Zapewne inni oskarżeni siedzieli wyprostowani, starając się okazać sądowi szacunek, ale nie on, pomyślała z dumą i niepokojem. Zasiadał na ławie oskarżonych, tak jakby chciał zmanifestować swe lekceważenie dla wymiaru sprawiedliwości i procesu, jaki

mu wytoczono: prawy łokieć oparł na wypolerowanej poręczy, stopę w wysokim butcie położył na kolanie. Miał obojętny, chłodny wyraz twarzy człowieka doskonale panującego nad sytuacją.

- Mam nadzieję, że jest pan wreszcie gotów, panie Delham - odezwał się rozdrażniony lord kanclerz.

Na sali natychmiast zapadła cisza. W galeriach na górze i ławkach na dole wszyscy znieruchomieli i całą uwagę skupili na kanclerzu, wpatrując się w niego. Wszyscy, zauważyła Elizabeth, z wyjątkiem Iana, który nadal wygodnie rozpiął się w fotelu, choć na jego twarzy zagościło zniecierpliwienie, jakby proces stanowił farsę i odrywał go od ważniejszych spraw.

- Jeszcze raz przepraszam za tę zwłokę, milordowie - powiedział Delham, ale najpierw szepnął coś do najmłodszego współpracownika.

Tamten natychmiast wstał i ruszył prosto - jak po chwili sobie uświadomiła Elizabeth - w jej stronę.

- Milordzie - Delham zwrócił się z szacunkiem do lorda kanclerza - jeśli wysoki sąd pozwoli mi na drobne uchybienie proceduralne, obiecuję, że zdołamy wyjaśnić całą sprawę bez dalszych obrad i wzywania kolejnych świadków.

- Proszę wyjaśnić, o co pani chodzi, panie Delham.

- Pragnę wezwać niespodziewanego świadka i zadać mu tylko jedno pytanie. Potem oddam go do dyspozycji oskarżyciela, który będzie mógł go przesłuchać.

Lord kanclerz popatrzył na innego mężczyznę, zapewne - jak przypuszczała Elizabeth - oskarżyciela.

- Czy zgłasza pan sprzeciw, lordzie Sutherland?

Lord Sutherland - wysoki mężczyzna o haczykowatym nosie i wąskich ustach, w eleganckiej todze i starannie uczesanej peruce - wstał i oświadczył drwiąco:

- Skąd, wysoki sędzie. Dziś już dwukrotnie czekaliśmy na pana Delhama. Cóż znaczy kolejne opóźnienie wymiaru sprawiedliwości.

- Proszę wprowadzić świadka, panie Delham. Potem już nie zgodzę się na żadne odroczenia ani przerwy. Zrozumieliśmy się?

Elizabeth aż podskoczyła, kiedy młody prawnik wszedł do pokoju i położył jej rękę na ramieniu. Nie odrywając wzroku od Iana, z trudem ruszyła do drzwi. Serce łomotało jej w piersi. A było to jeszcze zanim Peterson Delham oznajmił donośnym głosem, który dotarł do najdalszych zakątków sali:

- Wzywam na świadka markizę Kensington!

Przez salę przetoczyły się fale zdumienia i napięcia. Wszyscy wychylili się z miejsc, lecz Elizabeth tego nie dostrzegła. Widziała tylko Iana. Najpierw zeszywniał, potem zatrzymał wzrok na niej... Jego twarz stwardniała w wyrazie lodowatej furii, a bursztynowe oczy lśniły niczym zimne złoto.

Drżąc pod spojrzeniem męża, Elizabeth podeszła do miejsca dla świadków i powtórzyła przysięgę. Potem zbliżył się do niej Peterson Delham.

- Zechce pani podać swoje nazwisko tak, by usłyszeli je wszyscy na sali?

Elizabeth oderwała wzrok od Iana i odpowiedziała najgłośniejszym głosem, jak potrafiła:

- Elizabeth Marie Cameron, lady Thornton, markiza Kensington.

Na sali powstało ogromne zamieszanie, białe peruki poruszały się we wszystkie strony, gdy zaskoczeni mężczyźni prowadzili błyskawiczne konsultacje. Lord kanclerz ostro zażądał ciszy.

- Pozwoli wysoki sąd, bym to potwierdził, pytając oskarżonego, czy to rzeczywiście jego małżonka? - zapytał Delham, gdy w końcu przywrócono porządek.

Lord kanclerz przeniósł wzrok z Elizabeth na Iana.

- Wyrażam zgodę.

- Markizie Kensington - zapytał spokojnie Delham, obserwując reakcję swego klienta - czy kobieta, którą tu widzimy, jest pańską żoną i czy o udział w jej zaginięciu oraz morderstwie pana oskarżono?

Ian zacisnął zęby i skinął głową.

- Dla informacji zebranych potwierdzam, że lord Thornton rozpoznał w świadku swoją żonę. Nie mam więcej pytań.

Elizabeth położyła dłoń na drewnianej poręczy i zdumiona spoglądała na Petersona Delhama, nie wierząc, że obrońca nie zada jej pytań dotyczących Roberta.

- Za to ja mam mnóstwo pytań - oświadczył główny oskarżyciel, lord Sutherland.

Elizabeth z drżeniem patrzyła, jak mężczyzna zbliża się w jej stronę, ale kiedy się odezwał, zdumiała ją łagodność w jego głosie. Młoda kobieta wręcz czuła w powietrzu pogardę i niechęć bijącą od wszystkich, zebranych na sali - od wszystkich, z wyjątkiem jego.

- Lady Thornton... - zaczął lord Sutherland. Wyglądał na zmieszanego, ale i zadowolonego, że przysłała tu, by wszystko wyjaśnić. - Proszę, niech pani nie ma takiej przerażonej miny. Zadam pani tylko kilka pytań. Zechce pani wyjaśnić, co panią tu sprowadziło tak późno i, co wszyscy dostrzegamy, w stanie takiego silnego niepokoju?

- Zja... zjawiłam się tu, ponieważ dowiedziałam się, że mojego męża oskarżono o zamordowanie mnie oraz mojego brata. - Starła się mówić bardzo głośno, by słyszano ją w

najdalszych zakątkach sali.

- Gdzie pani do tej pory przebywała?

- W Helmshead razem z moim bratem, Rob...

- Powiedziała: bratem? - upewnił się jeden z oskarżycieli pomocniczych.

Lord Sutherland przeżył ten sam szok, co reszta zebranych. W sali znowu rozpełtało się piekło, tak że lord kanclerz musiał ponownie zaprowadzić porządek. Ale prokurator szybko otrząsnął się ze zdumienia.

- Zjawiła się tu pani, by nam powiedzieć nie tylko, że pani żyje i cieszy się dobrym zdrowiem - podsumował w zadumie - ale również, że mieszkała pani z bratem, który zaginął przed dwoma laty...

bratem, którego nikt nie potrafił odnaleźć, nawet pani detektyw, pan Wordsworth, jak również wymiar sprawiedliwości, a także ludzie wynajęci przez pani męża?

Zdumione spojrzenie Elizabeth pobiegło do Iana i odbiło się, o maskę lodowatej nienawiści.

- Tak, to prawda.

- A gdzie jest ów brat?

Dla podkreślenia swego pytania ostentacyjnie rozejrzał się po sali, jakby szukał Roberta.

- Przyprowadziła go pani, byśmy mogli go zobaczyć tak jak panią i upewnić się, że jest cały i zdrowy?

- Nie - przyznała Elizabeth - nie przyprowadziłam, ale...

- Proszę się ograniczyć do odpowiedzi na moje pytania - upomniał ją lord Sutherland. Przez dłuższą chwilę wyglądał na zmieszanego i zaskoczonego. - Lady Thornton - odezwał się wreszcie - chyba wszyscy pragniemy usłyszeć, czemu sześć tygodni temu opuściła pani bezpieczny i wygodny dom, potajemnie uciekła od męża, a teraz, w ostatniej chwili, wróciła, próbując nas przekonać, że wszyscy popełniliśmy błąd, sądząc, że pani życie znalazło się w niebezpieczeństwie. Niech pani opowie wszystko od początku.

Poczuła taką ulgę, iż wreszcie ktoś pozwolił jej opowiedzieć całą historię, że zrelacjonowała je dokładnie tak, jak to niezliczone razy ćwiczyła w powozie, starannie pomijając sceny, w których Robert wyszedłby na kłamcę albo szaleńca, obsesyjnie dążącego do ukarania Iana za niepopelnione zbrodnie. Wyważonymi, wyglądzonymi zdaniami odmalowała przyrodniego brata tak, jak sama go postrzegała: jako desperata, którego nędza i ból doprowadziły do szukania niesłusznej zemsty na jej mężu; młodzieńca, którego jej mąż miłosiernie umieścił na statku i wysłał za granicę, ratując go w ten sposób przed szubienicą

albo wieloletnim więzieniem; człowieka, który potem wiele wycierpiał, musiał nawet znosić bezwzględną chłostę i niesłusznie winą za to obarczał Iana Thorntona.

Ponieważ była zdenerwowana i przestraszona, a swoją mowę wielokrotnie ćwiczyła, przedstawiła całą historię pozbawionym żaru tonem wyuczonej lekcji i bardzo szybko skończyła. Tylko raz głos jej zadrżał, kiedy musiała się przyznać, że uwierzyła, iż to jej mąż odpowiada za blizny na plecach brata. Ze skrucą popatrzyła wtedy na Iana, a wyraz jego twarzy jeszcze bardziej ją przeraził - teraz bowiem jej mąż sprawiał wrażenie znudzonego, jakby oglądał mierną aktorkę kiepsko grającą swą rolę w niewyobrażalnie nudnej sztuce, a nie mógł uciec z teatru.

Lord Sutherland przerwał głuchą ciszę, jaka zapadła po zeznaniu. Roześmiał się krótko, z politowaniem i nagle przeszył Elizabeth przenikliwym wzrokiem, przechodząc do ataku.

- Moja dobra kobieto, mam do pani tylko jedno pytanie i właściwie stanowi ono powtórzenie poprzedniego: pragnę wiedzieć, dlaczego.

Elizabeth poczuła, jak ogarnia ją lodowaty strach, jakby jej serce wiedziało już, iż wydarzyło się coś strasznego - nikt jej nie uwierzył, a oskarżyciel zaraz dopilnuje, by już nigdy nie dano jej wiary.

- Dlaczego... dlaczego co? - wyjąkała.

- Dlaczego zjawiała się pani, by opowiedzieć nam tę zdumiewającą historię w nadziei, że uratuje pani życia człowieka, od którego, jak sama pani przyznała, przed paroma tygodniami uciekła?

Elizabeth błagalnie spojrzała na Petersona Delhama, który z rezygnacją i pogardą wzruszył ramionami. Dopiero teraz w głowie zadźwięczały jego wcześniejsze słowa, dopiero teraz je zrozumiała: „To nic w porównaniu z tym, co oskarżenie robi z jej zeznaniem... Nikt szuka już prawdy ani sprawiedliwości, Izba Lordów stała się amfiteatrem... oskarżenie osiągnie szczyty aktorstwa...”.

- Lady Thornton! - wyrwał ją za zamyślenia Sutherland i zaczął wyrzucać pytania tak szybko, że nie nadążała z odpowiedziami. - Proszę nam powiedzieć prawdę, markizo. Czy ten człowiek - oskarżycielsko wskazał Iana - odnalazł panią i przekupstwem zmusił do powrotu i uraczenia nas tą bajeczką? A może odnalazł panią i zagroził śmiercią, jeśli dziś tu się pani nie stawi? Czy nie jest prawdą, że nie ma pani pojęcia, gdzie może przebywać jej brat? Czy nie jest prawdą i czy sama pani parę minut temu nie wyznała, że uciekła od tego bezwzględnego człowieka, lękając się o własne życie? Czy nie jest prawdą, że obawiała się pani, że mógłby zrobić jej krzywdę...?

- Nie! - wykrzyknęła Elizabeth.

Przebiegła wzrokiem po twarzach mężczyzn, ale na żadnej nie malowała się aprobata, tylko wątpliwości albo potępienie dla prawdy, którą im przedstawiła.

- Nie mam więcej pytań!

- Chwileczkę!

W ułamku sekundy Elizabeth uświadomiła sobie, że skoro nie zdołała przekonać zebranych, iż mówi prawdę, to może chociaż przekona ich, że była na tyle głupia, by wymyślić takie kłamstwo.

- Tak, milordzie - rozległ się jej dziewczęcy głos. - Nie mogę zaprzeczyć... To znaczy, chodzi o jego okrucieństwo...

Sutherland odwrócił się, a jego oczy pojaśniały; po sali znowu przeszedł szmer podniecenia.

- Przyznaje pani, że mąż jest okrutnikiem?

- Tak, przyznaję - oświadczyła z naciskiem Elizabeth.

- Moja droga, biedna kobieto... Czy może pani podać nam jakieś przykłady jego bezwzględności?

- Tak, a kiedy to zrobię, na pewno wszyscy panowie erosumitją, jak bezlitosny potrafi być mój mąż i dlatego uciekłam z Robeitem... to jest z moim bratem.

Szukała w popłochu półprawd, które nie stanowiłyby krzywoprzysięstwa i przypomniała sobie słowa Iana tamtej nocy, gdy zjawił się w Havenhurst.

- Tak, słuchamy.

Wszyscy zwrócili się w jej stronę; Elizabeth miała wrażenie, że cały budynek się ku niej pochylał.

- Kiedy ostatni raz mąż okrutnie się z panią obszedł?

- Choćby tuż przed moją ucieczką. Zagroził, że zmniejszy sumę, jaką mi przyznał na drobne wydatki. Pieniądze jakoś się rozeszły i bałam mu się do tego przyznać.

- Bała się pani, że ją pobije?

- Nie, bałam się, że aż do następnego kwartału nie da mi ani szylinga!

Ktoś na galerii parsknął śmiechem, lecz natychmiast umilkł. Sutherland zaczął marszczyć brwi, lecz Elizabeth brnęła dalej.

- Właśnie na ten temat, o pieniądzach na moje drobne wydatki, rozmawiałam z mężem dwa dni przed moją ucieczką z Bobbym.

- Czy podczas owej rozmowy mąż pani groził? Czy właśnie tamtej nocy, jak zeznała pani pokojówka, pani płakała?

- Tak, właśnie wtedy.

- Czemu pani płakała, markizo?

Zebrani jeszcze bardziej wyciągnęli ku niej głowy.

- Byłam w strasznej rozterce - oświadczyła Elizabeth. - Chciałam uciec z Bobbym, ale żeby to zrobić, musiałam sprzedać moje cudowne szmaragdy, które dostałam od męża. - W natchnieniu pochyliła się konfidencjonalnie do lorda kanclerza. - Wiedziałam, że i tak kupi mi następne.

Na galeriach rozległ się śmiech. Właśnie takiej zachęty Elizabeth potrzebowała.

Prokuratorowi jednak nie było do śmiechu. Czuł, że ta kobieta próbuje zrobić z niego głupca, ale z typowym dla mężczyzn zadufaniem nie sądził, że miała dość inteligencji, by się na to ośmielić, a co dopiero liczyć na powodzenie swojego planu.

- Chce pani, milady, bym uwierzył, że sprzedała pani szmaragdy pod wpływem impulsu, bo zachciało się pani wycieczki z mężczyzną, którego podaje pani za brata?

- Wielkie nieba, skąd mam wiedzieć, w co chce pan wierzyć? Ja wiem tylko, że tak zrobiłam.

- Droga markizo! Jubiler, któremu pani sprzedała klejnoty, twierdzi, że miała pani łzy w oczach. Skoro była pani we frywolnym nastroju, to skąd te łzy?

Elizabeth spojrzała na niego naiwnie.

- Lubiłam moje szmaragdy.

Sala zatrzęsa się od śmiechu. Elizabeth odczekała, aż chichoty ucichną i naiwnie wyznała Sutherlandowi z dumą:

- Mąż często powtarza, że szmaragdy podkreślają barwę moich oczu. Czyż to nie czarujące?

Zauważyła, że prokurator zaczyna zgrzytać zębami. Bojąc się spojrzeć na Iana, zerknęła na Petersona Delhama: obserwował ją bacznie, na jego twarzy odmalowało się coś bliskiego podziwu.

- Tak więc - zahuczał Sutherland - mamy teraz wierzyć, że właściwie nie bała się pani męża?

- Naturalnie że się bałam. Czy nie wyjaśniłam właśnie panu, jaki potrafi być bezwzględny? - spytała, znowu patrząc na niego niewinnym wzrokiem. - Oczywiście, kiedy Bobby pokazał mi swoje plecy, nie mogłam powstrzymać myśli, że człowiek zdolny do ograniczenia wydatków żony nie cofnie się przed niczym...

Tym razem głośne wybuchy śmiechu trwały dłużej, a nawet kiedy ucichły, Elizabeth dostrzegła, że miejsce potępienia i niewiary zajęły szydercze uśmiechy.

- I - odezwał się groźnie lord Sutherland, gdy mógł już zabrać głos - mamy uwierzyć, że uciekła pani z mężczyzną - rzekomo pani bratem - po czym zaszyła się w jakimś zacisznym kątku Anglii...

Elizabeth potakiwała gorliwie i usłużnie podrzuciła mu nazwę.

- W Helmshead. Po prostu rozkoszna wioska nad morzem. Bardzo miłu... bardzo spokojnie spędzałam tam czas, dopóki nie zajrzałam do gazety i nie dowiedziałam się, że mój mąż stanie przed sądem. Bobby uważał, że nie powinnam wracać, bo nadal się gniewał na markiza za to, że umieścił go na swoim statku. Ale ja sądziłam, że to mój obowiązek.

- A z jakiego powodu - spytał przez zaciśnięte zęby prokurator - uważała pani to za swój obowiązek, markizo?

- Pomyślałam, że markiz Kensington nie chciałby zawisnąć na szubienicy...

Na sali obrad znowu zapanowała wesołość. Tym razem Elizabeth musiała czekać całą minutę, nim dopuszczono ją do głosu.

- Dlatego dałam Bobby'emu moje pieniądze, żeby mógł ułożyć sobie życie po swojemu, ale o tym już wcześniej wspominałam.

- Lady Thornton - przemówił Sutherland straszonym, jedwabistym głosem, od którego przeszły ją ciarki - czy mówi pani coś słowo: „krzywoprzysięstwo”?

- Zdaje się, że oznacza to kłamstwo przed sądem.

- A czy wie pani, jaka grozi za to kara? Krzywoprzysięzcy trafiają do więzienia i siedzą tam w ciemnych, wilgotnych celach. Chciałaby pani, żeby ją spotkał ten los?

- To nie brzmi szczególnie zachęcająco - zmartwiła się Elizabeth. - A czy mogłabym zabrać swoje klejnoty i suknie?

Od donośnego śmiechu pod wysokim sklepieniem sali zatrzęsty się żyrandole.

- Nie, nie mogłaby pani!

- W takim razie bardzo się cieszę, że nie skłamałam.

Sutherland nie był pewien, czy markiza rzeczywiście świadomie wystrychnęła go na dudka, ale nie ulegało wątpliwości, że nie uda mu się już zrobić z Elizabeth sprytnej intrygantki i cudzołżnicy ani przerażonej i zastraszonej małżonki. Dziwaczna historia jej ucieczki z bratem nabrała teraz pewnej absurdałnej wiarygodności i rozsierzony oskarżyciel musiał przyznać się do klęski.

- Czy nie cofnęłaby się pani przed krzywoprzysięstwem, by ratować tego oto mężczyznę?

Wskazała Iana, a Elizabeth mimowolnie poszła wzrokiem za jego ręką. Serce zamarło w niej z przerażenia, gdy ujrzała, że jej mąż wyglądał na jeszcze bardziej znudzonego,

obojętnego i niewzruszonego niż wcześniej.

- Spytałem - zahuczał oskarżyciel - czy nie cofnęłaby się pani przed krzywoprzysięstwem, byle nie dopuścić, by ten mężczyzna w przyszłym miesiącu zawisł na szubienicy?

Elizabeth oddała życie, by uratować Iana . Oderwała wzrok od przerażająco spokojnej twarzy męża i sztucznie się uśmiechnęła.

- W przyszłym miesiącu? Jak pan może mówić coś tak okropne go? Ależ w przyszłym miesiącu... lady Northam urządza bal i markiz Kensington solennie mi obiecał, że się tam wybierzemy... i że dostanę nowe futro.

Grzmiący śmiech zatrzęsł salą, zagłuszając jej ostatnie słowa.

Elizabeth czekała. Odniosła zwycięstwo nie dlatego, że dała przekonujące przedstawienie, ale dlatego, że małżonki zgromadzonych tu mężczyzn zawsze myślały wyłącznie o sukniach balowych i futrach, więc takie zachowanie wydawało się milordom całkowicie zrozumiałe.

- Nie mam więcej pytań! - uciał Sutherland, spoglądając na Elizabeth z pogardą.

Peterson Delham wolno wstał, a choć na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia, może z wyjątkiem lekkiego rozbawienia, młoda kobieta odnosiła wrażenie, jakby milcząco bił jej brawo.

- Lady Thornton - odezwał się oficjalnym tonem - czy pragnie pani jeszcze coś powiedzieć sądowi?

Uświadomiła sobie, że adwokat oczekuje od niej jakiegoś oświadczenia, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Odpowiedziała zatem bez namysłu, a kiedy popłynęły pierwsze słowa, zorientowała się, że Delham jest zadowolony.

- Tak, wysoki sędzie. Pragnę bardzo przeprosić za kłopoty, których przysporzyliśmy wszystkim ja oraz Bobby. Źle postąpiłam, wierząc mu i znikając bez słowa. On zaś nie powinien tak długo nosić urazy do mojego męża za decyzję, która właściwie była gestem pojednania. - Czuła, że posunęła się za daleko i mówiła zbyt rozsądnie, dlatego natychmiast zmieniła ton. - Gdyby Kensington posłał Bobby'ego do więzienia za to, że próbował go zastrzelić, Bobby na pewno czułby taką samą niechęć do tego miejsca jak ja. Mój brat - zwierzyła się publiczności - jest niezwykle schludny.

- Lady Thornton - odezwał się lord kanclerz, gdy już ucichły śmiechy - może pani już wrócić na miejsce.

W głosie przewodniczącego Izby było tyle jadu, że Elizabeth zerknęła w stronę mężczyzny i omal się nie potknęła, widząc na jego twarzy nieskrywaną pogardę i

obrzydzenie. Inni lordowie mogli ją uznać za głupią gęś, ale lord kanclerz najchętniej by ją udusił.

Młoda kobieta przeszła przez salę na drżących nogach, ale kiedy Peterson Delham zamierzał wyprowadzić ją na korytarz, pokręciła głową i błagalnie spojrzała mu w oczy.

- Proszę - szepnęła, oglądając się przez ramię, by zobaczyć, co będzie dalej - niech mi pan pozwoli wrócić do tamtego pomieszczenia. Niech mnie pan nie zostawia, abym czekała w niepewności - zaklinała, obserwując mężczyznę, który pojawił się przy drzwiach i zmierzał w kierunku Petersona Delhama.

- Zgoda - przystał adwokat po chwili wahania - ale niech pani się nie odzywa. Wkrótce będzie po wszystkim - dodał pocieszającym tonem.

- To znaczy - szepnęła, nie odrywając wzroku od nieznanego - że spisałam się na tyle dobrze, że uwolnię mojego męża?

- Nie, markizo. A teraz już ani słowa. I niech się pani nie martwi.

W tym momencie Elizabeth była bardziej zaintrygowana niż zmartwiona, bo po raz pierwszy od jej pojawienia się na sali Ian wyglądał na zainteresowanego tym, co się dzieje. Zerknął na mężczyznę, rozmawiającego z Petersonem Delhamem i przez ułamek sekundy wydawało jej się, że dostrzega na twarzy męża lekkie rozbawienie. Poszła za młodym sekretarzem Delhama i usiadła obok księżnej, nie dostrzegając niechętnego podziwu, z jakim spoglądała na nią starsza dama.

- Co się dzieje? - spytała, kiedy młodzieniec nie zamierzał wrócić na swoje miejsce.

- Wygra! - oświadczył z szerokim uśmiechem.

- Wysoki sędzie, lordzie kanclerzu - odezwał się donośnie Peterson Delham, skinąwszy głową mężczyźnie, który coś do niego mówił. - Jeśli wysoki sąd pozwoli, choć wiem, że nadużywam jego wyrozumiałości, pragnąłbym przedstawić kolejnego świadka, który dostarczy niepodważalnego dowodu, że podczas pobytu na pokładzie „Arianny” Robert Cameron nie poniósł żadnych szkód na ciele ani duchu. Jeśli wysoki sąd przyjmie ten dowód, zapewniam, że wtedy całą sprawę będzie można zamknąć bez dalszej zwłoki.

- Ja nie czuję takiej pewności - warknął lord Sutherland.

Nawet z miejsca Elizabeth było widać, że lord kanclerz zmierzył prokuratora lodowatym wzrokiem.

- My jednak nie będziemy tracić nadziei - oświadczył. - Ten proces i tak przekroczył już wszelkie granice śmieszności oraz dobrego smaku, co w znacznej mierze jest pańską zasługą, milordzie. Proszę wprowadzić świadka - zwrócił się do Petersona Delhama.

- Dziękuję, wysoki sędzie. Wzywamy kapitana George'a Granthome'a.

Elizabeth wstrzymała oddech. Zaczęła się domyślać, co teraz się stanie. Otworzyły się boczne drzwi i do sali wkroczył wysoki, muskularny człowiek. Za nim tłoczyli się żyłaści, opaleni, wysmagani wiatrem mężczyźni, jakby czekali na wezwanie. Marynarze. Elizabeth wystarczająco się napatrzyła na rybaków w Helmshead, żeby natychmiast poznać ludzi morza. Świadek nazwany kapitanem Granthome'em zajął miejsce i gdy tylko zaczął odpowiadać na pytania Petersona Delhama, Elizabeth zrozumiała, że jeszcze przed jej przybyciem uwolnienie Iana od zarzutu spowodowania śmierci Roberta było przesądzone. Kapitan Granthome opowiedział, jak traktowano Roberta na pokładzie „Arianny” oraz potwierdził, że młodzieniec uciekł, gdy statek musiał przymusowo zawinąć do portu, by dokonać niezbędnych napraw. Gładko dał też do zrozumienia, że cała jego załoga gotowa jest potwierdzić to przed sądem.

Dopiero wtedy Elizabeth zrozumiała, że niepotrzebnie pędziła przerażona na złamanie karku i niepotrzebnie tak się bała, składając zeznania. Skoro Ian mógł dowieść, że nie zrobił najmniejszej krzywdy Robertowi, jej zniknięcie nie wyglądało już tak groźnie. Rozgniewana i oszołomiona napadła na młodzieńca, który uważnie słuchał zeznań kapitana.

- Czemu nie powiadomiliście prasy, co naprawdę stało się z moim bratem? Nie ulega wątpliwości, że mój mąż i pan Delham doskonale o wszystkim wiedzieli. Musieliście wiedzieć, że możecie sprowadzić do sądu kapitana wraz z całą załogą.

Sekretarz niechętnie oderwał wzrok od tego, co się działo w Izbie Lordów.

- To pani mąż nalegał, by czekać, aż proces będzie w toku i dopiero wtedy przedstawić niepodważalne dowody niewinności.

- Ale dlaczego?

- Bo nasz niezrównany oskarżyciel oraz jego współpracownicy nie zamierzali się poddać, bez względu na to, co byśmy twierdzili. Uważali, że zebrane dowody wystarczają, by skazać markiza, a gdybyśmy powiedzieli im o „Ariannie”, graliby na zwłokę, usiłując znaleźć sposób na podważenie wiarygodności kapitana Granthome'a. Poza tym statek był na morzu i nie mieliśmy pewności, czy zdążymy na czas ich tu sprowadzić. Teraz nasz zagniewany lord prokurator nie ma na podorędziu żadnego kontrargumentu, ponieważ nie przewidział takiego obrotu sprawy. W tej sytuacji nawet gdyby pani brat przepadł jak kamień w wodę, oskarżenie nic nie zyska, szukając jakichś kompromitujących dowodów, bowiem, choćby je nawet znaleziono, czego i tak nie należy się spodziewać, pani męża nie można po raz drugi oskarżyć o tę samą zbrodnię.

Teraz Elizabeth rozumiała, skąd się wzięła obojętna i znudzona mina Iana, chociaż nadal nie pojmowała, czemu nie złagodniał, gdy wyjaśniła, że uciekła z Robertem, nie z

kochankiem, a na potwierdzenie przedstawiła list pani Hogan, która zgodziła się wystąpić przed sądem.

- To pani mąż zaplanował całą taktykę. - Młodzieniec z podziwem spoglądał na Iana, do którego teraz zwracał się lord kanclerz.

- Sam przygotował strategię obrony. Niezwykle inteligentny człowiek, po prostu geniusz. Och, a przy okazji, pan Delham prosił, by przekazać, że wspaniale pani się spisała.

Od tej chwili wypadki potoczyły się błyskawicznie, a dalszy przewód stał się niezbędną, lecz pozbawioną znaczenia formalnością. Najwyraźniej zdając sobie sprawę, że nie zdoła podważyć wiarygodności zeznania całej załogi „Arianny”, lord Sutherland zadał kapitanowi tylko kilka nieważnych pytań i zakończył przesłuchanie. Potem nadeszła pora na mowy końcowe adwokata i prokuratora, następnie zaś lord kanclerz zarządził głosowanie.

Elizabeth w napięciu słuchała i obserwowała, jak prowadzący wzywa sędziów. Lordowie wstawali jeden po drugim, kładli prawą rękę na sercu i oznajmiali: „Winny” bądź „Niewinny”. Ostateczny werdykt brzmiał: trzysta dwadzieścia cztery głosy za uniewinnieniem Iana i czternaście za skazaniem. Owa czternastka, jak szeptem poinformował Elizabeth młody człowiek, zagłosowała tak ze względu na osobiste porachunki z Ianem albo dlatego, że nie uwierzyli jej ani kapitanowi Granthome’owi.

Elizabeth słuchała go jednym uchem. Dla niej liczyło się wyłącznie, że większość uniewinniła Iana i że lord kanclerz w końcu ogłosił:

- Lordzie Thornton...

Ten wolno wstał z miejsca.

- ...Niniejszym uznajemy, że nie jest pan winny zarzucanych mu czynów. Jest pan wolny. Na stronie chciałbym dodać - dorzucił po chwili z humorem, który Elizabeth uznała za zgoła niestosowny - że by poważnie się pan zastanowił, czy na pewno zamierza pan nocować dziś z małżonką pod jednym dachem. Mnie na pańskim miejscu bardzo by kusilo dokonanie czynu, o który już pana oskarżono. Chociaż - dodał, gdy w ławach rozległy się śmiechy - nie wątpię, że mógłby pan liczyć na uniewinnienie, gdyż działałby pan w obronie własnej.

Elizabeth zacisnęła powieki, czując palący wstyd, którego nie dopuszczała do siebie podczas składania zeznań. Powtarzała sobie jednak, że lepiej, by ją uznano za głupią gęś niż za kłamczynię i cudzołożnicę, ale kiedy otworzyła oczy i zobaczyła Iana idącego do drzwi, oddalającego się od niej, wszystko przestało się dla niej liczyć.

- Chodźmy, Elizabeth - odezwała się księżna wdowa, łagodnie kładąc jej dłoń na ramieniu. - Na pewno przy wyjściu zebrała się już prasa. Im szybciej wyjdziemy, tym większa szansa, że uda nam się przed nimi uciec.

Okazało się to wszakże tylko pobożnym życzeniem, łanowi zastępowali drogę dziennikarze i gapie, którzy przyszli tu, by z pierwszej ręki dowiedzieć się o przebieg procesu. Nie próbował ich ominąć, tylko z zaciśniętymi zębami przeciskał się przez tłum. Elizabeth ścisnęło się serce, gdy słyszała niewybredne epitety i oskarżenia, jakimi go zasypywano.

- Święty Boże - jęknęła - i to wszystko przeze mnie!

Ledwo powóz markiza odjechał, tłum zaczął się rozglądać za kolejną ofiarą, zwłaszcza że z budynku zaczęli wychodzić lordowie.

- To ona! - zawołał dziennikarz „Gazette”, pisujący w rubryce towarzyskiej, dostrzegłszy Elizabeth.

Natychmiast prasa i gapie rzucili się w jej kierunku.

- Szybko, milady - odezwał się jakiś obcy młody mężczyzna, wciągając obie z powrotem do budynku. - Niech panie idą za mną.

Znam drugie wyjście.

Elizabeth automatycznie usłuchała, mocno trzymając się ramienia księżnej wdowy, kiedy razem przedzierali się pod prąd przez tłum parów, zmierzających do wyjścia.

- Jak wygląda karetka pań? - spytał nieznajomy wybawiciel.

Księżna opisała mu pojazd. Skinął głową.

- Niech panie tu zaczekają i nigdzie nie odchodzą. Powiem stangretowi, żeby tutaj podjechał.

Dziesięć minut później karetka podjechała pod drzwi, a gdy już bezpiecznie się w niej schroniły, Elizabeth wysunęła głowę ze środka.

- Dziękuję - powiedziała do młodzieńca, czekając, aż ten się przedstawi.

Uchylił kapelusza.

- Thomas Tyson, markizo, z „Timesa”. Nie, niech pani się nie obawia - uspokoił ją pośpiesznie - nie zamierzam teraz zasypać pani pytaniami. Przesłuchiwanie dam w powozie nie jest w moim stylu.

Dla podkreślenia swoich słów zatrzasnął drzwiczki. Elizabeth otworzyła okno i próbowała się uśmiechnąć z wdzięcznością.

- W takim razie obawiam się, że jako dziennikarz daleko pan nie zajdzie.

- Może zgodzi się pani porozmawiać ze mną innym razem? W jakimś spokojniejszym miejscu?

- Może - odrzekła niezobowiązująco.

Konie ruszyły truchtem, stangret przeciskał się przez zatłoczoną ulicę. Młoda kobieta

przymknęła oczy i oparła głowę o ściankę powozu. Prześladował ją widok Iana obleganego przez tłum i obrzucanego wyzwiskami. „Morderca!, Żonobójca!” - dźwięczało jej w uszach i ściśniętym żalem sercu.

- Od jak dawna to trwa? - spytała bolesnym szeptem. - Lżą go i oskarżają bez powodu.

- Od ponad miesiąca.

Elizabeth z drzeniem wciągnęła powietrze, dławily ją łzy.

- Czy pani zdaje sobie sprawę, jak dumnym człowiekiem jest Ian? - wyszeptala z rozpaczą. - Jest taki dumny, a przeze mnie oskarżono go o morderstwo. Jutro zaś wszyscy będą z niego drwić.

Księżna wdowa zawahała się, ale odrzekła szorstko:

- To silny mężczyzna, który nie liczy się z cudzymi opiniami, najwyżej twoją, Jordana i garstki przyjaciół. A moim zdaniem to ty, nie Kensington, zostaniesz obśmiana w jutrzejszej prasie.

- Odwiezie mnie pani do domu?

- Tego przy Promenade Street?

Zdumienie na moment wyrwało Elizabeth z rozpacz.

- Nie, skądże. Oczywiście do naszego domu przy Upper Brook Street.

- Nie sądzę, by to był najroztropniejszy pomysł - oświadczyła surowym tonem księżna. - Słyszałaś, co powiedział lord kanclerz.

- Wolę od razu stawić łanowi czoło, zamiast myśleć o tym przez całą noc - odparła Elizabeth, czując tylko lekki niepokój.

Księżna, która najwyraźniej pragnęła dać łanowi czas na ochłonięcie z gniewu, przypomniała sobie, że najpierw musi zajrzeć do chorej przyjaciółki, a potem jeszcze do kogoś ze znajomych. Do rezydencji przy Upper Brook Street dotarli więc niemal o zmierzchu i młoda kobieta trzęsła się ze zdenerwowania - a było to jeszcze, zanim jej własny lokaj zmierzył ją pogardliwym spojrzeniem. Widocznie Ian już wrócił, a wśród służby rozeszła się wiadomość o występie milady w Izbie Lordów.

- Gdzie mój markiz, Dolton? - zwróciła się do służącego.

- W gabinecie - odrzekł lokaj, robiąc jej przejście.

Elizabeth zauważyła kufry, stojące w holu i kolejne, znoszone przez służbę na dół. Serce waliło jej jak młotem, kiedy szła do gabinetu męża. W środku zrobiła kilka kroków i zatrzymała się, by zebrać myśli, nim Ian ją zauważy. Z kieliszkiem w ręku stał zwrócony twarzą do kominka. Zdjął surdut i podwinął rękawy koszuli. Elizabeth z kolejnym ukłuciem bólu zauważyła, że schudł jeszcze bardziej, niż przypuszczała, oglądając go w sądzie.

Zastanawiała się, od czego zacząć, a ponieważ kłębiły się w niej uczucia i wyjaśnienia, zaczęła od najmniej ważnego - ale najbardziej palącego pytania: o kufry w holu.

- Wy... wyjeżdżasz?

Zesztywniał na dźwięk jej głosu, a kiedy się ku niej odwrócił, widziała, że z trudem panuje nad wściekłością.

- Ty wyjeżdżasz - odparował.

Elizabeth potrząsnęła głową i wolno ruszyła w jego stronę, jak przez mgłę uświadamiając sobie, że ta konfrontacja jest stokroć gorsza niż stawienie czoła setkom mężczyzn w sądzie.

- Na twoim miejscu bym tego nie robił - uprzedził ją cicho.

- Cz... czego? - wyjąkała.

- Nie zbliżałbym się do mnie.

Stała jak skamieniała, a choć rozum szeptał, że to nie czcze pogrożki, nie chciała wierzyć. Próbowwała przeniknąć wzrokiem granitową twarz męża.

- Ianie... - zaczęła.

Wyciągnęła rękę w geście niemego błagania, lecz opuściła ją, gdy jedyną reakcją na tę próbę pojednania było pogardliwe spojrzenie mężczyzny.

- Rozumiem - zaczęła ponownie drżącym głosem, próbując znaleźć sposób na uciszenie jego gniewu - że musisz mnie nienawidzić, za to, co się stało.

- Zgadłś.

- Ale - ciągnęła mężnie Elizabeth - jestem gotowa zrobić wszystko, wszystko, by to naprawić. Choć możesz w to nie wierzyć, ja nawet na chwilę nie przestałam cię kochać...

Jego głos zabrzmiał niczym trzask bicia.

- Milcz!

- Nie, musisz mnie wysłuchać - mówiła szybko, choć ogarnęło ją straszne przeczucie, że żadne jej słowa ani uczynki nie zmiękczą jego serca. - Nigdy nie przestałam cię kochać, nawet kiedy...

- Ostrzegam cię, Elizabeth - powiedział lodowatym tonem - zamknij się i wynieś stąd! Precz z mojego domu i mojego życia!

- Chodzi ci o Roberta? Nie wierzysz, że to z Robertem uciekłam?

- Nie obchodzi mnie, kim był ów łotr.

Elizabeth poczuła, że ogarnia ją prawdziwe przerażenie, bo on mówił poważnie - wyraźnie to widziała.

- To był Robert, tak jak zeznawałam w sądzie - ciągnęła urywanie. - Tylko pozwól, a

dowiodę ci tego ponad wszelką wątpliwość.

Parsknął krótkim, zduszonym śmiechem, bardziej stanowczym i nieodwołalnym niż poprzedni gniew.

- Elizabeth, nie uwierzyłbym ci, nawet gdybym cię z nim zobaczył. Jasno się wyraziłem? Jesteś skończoną oszustką i niezrównaną aktorką.

- Jeśli nazywasz mnie tak z po... powodu tego wystąpienia w sądzie, to p... przecież doskonale wiesz, czemu to zrobiłam.

Patrzył na nią z obrzydzeniem.

- Oczywiście, że wiem, czemu to zrobiłaś! Wszystko stanowiło tylko środek do celu - jak każdy twój czyn i słowo. Spałabyś z wężem, gdybyś w ten sposób mogła osiągnąć swój cel.

- Czemu tak mówisz? - zawołała.

- Bo tego samego dnia, kiedy detektyw doniósł ci, że to ja odpowiadam za zaginięcie twojego brata, stanęłaś u mego boku w kościele, przysięgając, że będziesz mnie kochać aż do śmierci! Wysłałaś za mąż za mężczyznę, którego podejrzewałaś o morderstwo! Spałaś z mordercą!

- Chyba w to nie wierzysz?! Przekonam cię, tylko daj mi szansę... - Nie.

- Ianie...

- Nie chcę żadnych dowodów.

- Kocham cię - szepnęła.

- Nie chcę twojej „miłości” i nie chcę ciebie. A teraz... Przerwało mu pukanie, do gabinetu wszedł Dolton.

- Zjawił się pan Larimore, milordzie.

- Powiedz, że zaraz do niego przyjdę.

Elizabeth wpatrywała się w niego oszołomiona.

- Za... zamierzasz teraz rozmawiać o interesach?

- Nie do końca, moja droga. Tym razem wezwałem Larimore w innej sprawie.

Przeszedł ją dreszcz niesprecyzowanego przeczucia.

- A jaki... jaki inny możesz mieć powód, by wzywać prawnika o tej porze?

- Występuję o rozwód, Elizabeth.

- Co takiego? - Pokój zawirował jej przed oczami. - A jaki podasz powód? Moją głupotę?

- Porzucenie - odparł lakonicznie.

W tym momencie Elizabeth powiedziałaaby i zrobiłaby wszystko, byle do niego

dotrzeć. Nie wierzyła, nie mieściło jej się w głowie, że ten czuły, namiętny mężczyzna, który ją kochał i uwielbiał, naprawdę teraz to robi - w dodatku nie chcąc wysłuchać jej racji i nie dając jej szansy wyjaśnienia. W oczach zabłyśły jej łzy miłości i rozżalenia, kiedy drżącym głosem próbowała z nim żartować:

- Pomyśl, jak to będzie wyglądać w sądzie, kochanie, jeśli będziesz twierdził, że ja cię opuściłam, a ja będę stać tuż obok i oświadczę, że nie zamierzam łamać przysięgi małżeńskiej i nigdy tego nie zrobiłam.

Ian udawał, że nie dostrzega miłości w jej oczach.

- Jeśli w ciągu trzech minut nie opuścisz tego domu - oświadczył zimno - zmienię porzucenie na cudzołóstwo.

- Nie popełniłam cudzołóstwa.

- Może i nie, ale nigdy w życiu nie uda ci się udowodnić w sądzie, że czegoś nie zrobiłaś. Przekonałem się o tym na własnej skórze. A teraz powtarzam ostatni raz: precz z mojego życia. Wszystko skończone. - I dla podkreślenia swoich słów, siadł przy biurku i pociągnął za taśmę dzwonka. - Wprowadź Larimore'a - polecił Doltonowi, który natychmiast stanął w drzwiach.

Elizabeth znieruchomiała, rozpaczliwie szukając sposobu, by do niego dotrzeć, nim podejmie nieodwracalne kroki. Całą swoją istotą wierzyła, że Ian ją kocha. Przecież tylko dlatego, że tak bardzo ją kochał, tak mocno go zraniła... W tym momencie pojęła, co robi jej mąż i dlaczego. Odwróciła się do niego i przywołała w pamięci opowieść Duncana o reakcji Iana na śmierć rodziców. Tylko że ona nie jest labradorem, nie pozwoli pokornie się usunąć z jego życia.

Podeszła do biurka, oparła na nim wilgotne dłonie i czekała, aż mąż na nią spojrzy. Wyglądała niczym dzielny anioł o złamanym sercu. W końcu zmusiła Iana, by na nią popatrzył.

- Posłuchaj mnie, najmilszy - przemówiła drżącym z miłości głosem. - Ostrzegam, że nie pozwolę, byś obojgu nam to uczynił. Dałeś mi swoją miłość i nie pozwolę jej sobie odebrać. Im bardziej będziesz próbował, tym mocniej będę walczyć. Będę cię prześladować nocą w myślach, tak samo jak ty mnie prześladowałeś, kiedy byłam daleko. Będziesz leżał samotny, pragnąc mnie i będziesz wiedział, że ja również leżę, nie mogąc zasnąć i marząc o tobie. A kiedy już nie zdołasz dłużej tego wytrzymać, wrócisz do mnie, bo ja będę czekała. Będę płakać w twoich ramionach i przepraszać za krzywdę, którą ci wyrządziłam, ty zaś pomożesz mi znaleźć sposób, bym wreszcie mogła sobie wybaczyć...

- Bodaj cię piekło pochłonęło! - przerwał blady z furii. - Czy ciebie nic nie

powstrzyma?

Elizabeth skrzywiła się, słysząc nienawiść w ukochanym głosie, a potem odetchnęła głęboko, modląc się, by skończyć i nie wybuchnąć płaczem.

- Okrutnie cię zraniłam, najmilszy i przez następne wiele lat nie przestanę cię ranić. Ty zaś będziesz ranił mnie, choć mam nadzieję, że nigdy aż tak mocno jak to robisz teraz. Ale jeśli tak ma być, zniosę wszystko, bo inaczej musiałabym żyć bez ciebie, a tego nie wytrzymam. Jedyne, co nas różni, polega na tym, że ja już się o tym przekonałam, a ty nie. Na razie.

- Skończyłaś już?

- Jeszcze nie. - Wyprostowała się, słysząc za drzwiami kroki prawnika i dumnie uniosła głowę. - Jeszcze jedno ci powiem. Ja nie jestem labradorem. Nie usuniesz mnie ze swojego życia, bo ci na to nie pozwolę.

Wyszła, a Ian rozglądał się po pustym gabinecie, który jeszcze przed chwilą tętnił jej obecnością. Zastanawiał się, co miała oznaczać ostatnia uwaga. Zerknął na drzwi, w których pojawił się Larimore, i krótkim skinieniem głowy pokazał przybyłemu krzesło obok biurka.

- Z pańskiego listu zrozumiałem - odezwał się spokojnie prawnik, otwierając teczkę - że zamierza pan wszcząć postępowanie rozwodowe?

Ian zawahał się, w pamięci rozbrzmiewały mu pełne bólu słowa Elizabeth, a potem kłamstwa i niedomówienia, które rozpoczęły się przy ich pierwszym spotkaniu i trwały aż do ostatniej rozmowy. Przypomniawszy sobie męki, jakie cierpiał przez pierwsze tygodnie po jej zniknięciu i porównawszy z teraźniejszym błogosławionym, chłodnym otępieniem. Spojrzał na prawnika, który oczekiwał na jego decyzję, i skinął głową.

ROZDZIAŁ 36

Następnego dnia Elizabeth czekała niecierpliwie w holu domu przy Promenade Street na gazety. „Times” rozgrzeszył Iana, umieszczając na pierwszej stronie wielki tytuł: „Markiz nie jest mordercą, lecz nieszczęsnym małżonkiem”.

„Gazette” zaś dowcipnie komentowała, że „markiz Kensington zasługuje nie tylko na uniewinnienie, ale również na medal za Opanowanie w Obliczu Skrajnej Prowokacji”.

W obu dziennikach znajdowały się długie i niepochlebne dla Elizabeth relacje, opisujące jej żenujące zachowanie i wypowiedzi.

Dzień przed procesem markiza Kensingtona osądzono i traktowano jak winnego, dzień po jego zakończeniu lord Thornton zyskał pełne rozbawienia współczucie i aprobatę stolicy. Część ludzi z uporem wierzyła jednak, że nie ma dymu bez ognia, a skoro padło oskarżenie, to musi być również i wina, tyle że bogacze zawsze się wykręca, a biedacy trafiają na szubienicę. Elizabeth wiedziała, że ci dalej będą uważać Iana za uosobienie zła.

Również sytuacja jej samej diametralnie się zmieniła. Przestano ją traktować jak ofiarę męża albo cudzołożnicę. Stała się gwiazdą, podziwianą przez damy, które wiodły nudne życie rodzinne, ignorowaną zaś przez te, które nie miały żadnego rodzinnego życia. Mężowie, których małżonki były podobne do żony, na jaką kreowała się w sądzie, wprawdzie spoglądali na nią surowo, ale jej wybaczyli. Jednak gdyby nie Roddy Carstairs, który uparł się, że w tygodniu po ogłoszeniu wyroku powinna się pokazywać publicznie, miesiąc po uniewinnieniu Iana spędziłaby w domu przy Promenade Street, czekając na męża.

Byłoby to najgorsze z możliwych wyjście, bowiem, jak wkrótce się przekonała, Ian bez trudu wymazał ją z pamięci. Za pośrednictwem Aleksandry oraz Jordana dowiedziała się, że nadal pracował, jakby nic się nie wydarzyło i już w tydzień po zakończeniu procesu widziano go u Blackmore'a, jak grał w karty, a także z przyjaciółmi w operze. Jednym słowem wiódł życie beztroskiego ulubieńca towarzystwa, który wiele pracował, ale równie dużo i z ochotą się bawił.

Nie takiego Iana Elizabeth ceniła i próbowała uciszyć ból, wmawiając sobie, że świadczy to wyłącznie o jego próbach zapomnienia, że ona wciąż czeka. Pisała do niego, lecz służba na jego polecenie zwracała listy.

Wreszcie postanowiła, że pójdzie w ślady męża i zacznie się bawić, bo tylko tak wytrzyma czekanie. Lecz z dnia na dzień coraz trudniej było jej opanować chęć odwiedzenia Iana i podjęcia kolejnej próby pojednania. Od czasu do czasu widywali się na balu albo w

operze i serce Elizabeth uderzało wtedy szybciej, ale Ian spoglądał na nią coraz obojętniej. Jego wuj uważał, że na nic się zdadzą prośby o przebaczenie, dziadek zaś gładził ją po dłoni i naiwnie zapewniał: „Jeszcze oprzytomnieje”.

Aleksa przekonała wreszcie Elizabeth, że może należy spróbować wzbudzić w nim zazdrość. Tego samego wieczoru, na balu u hrabiostwa Franklinów Elizabeth zobaczyła Iana rozmawiającego z przyjaciółmi. Zebrała się na odwagę i ostentacyjnie zaczęła flirtować z wicehrabią Sheffieldem: tańczyła i uśmiechała się do przystojnego młodzieńca, kątem oka obserwując swego męża. Ian popatrzył na nią, jakby nie istniała i opuścił bal w towarzystwie lady Jane Addison. Po raz pierwszy od rozstania z Elizabeth wyróżnił jakąś kobietę i zachowywał się inaczej niż do tej pory - już nie jak mąż, który, owszem, gniewa się na żonę, ale nie ma również ochoty na romans.

Jego postępowanie rozgniewało Aleksę.

- Walczy swoją bronią! - powiedziała oburzona, kiedy spotkały się w cztery oczy. - Nie tak to miało wyglądać. Miał być zazdrosny i oprzytomnieć, wrócić do ciebie! A może... - pocieszała się - właśnie poczuł zazdrość i pragnął wzbudzić ją w tobie.

Elizabeth smutno się uśmiechnęła i pokręciła głową.

- Ian kiedyś powiedział, że zawsze potrafi wejść w skórę przeciwnika. Udowodnił mi, że doskonale wie, co próbuję osiągnąć, flirtując z Sheffieldem i ostrzegł, bym nie traciła czasu. On rzeczywiście chce wymazać mnie ze swojego życia. To nie jest zemsta ani też kara, zanim z powrotem mnie przyjmie.

- Naprawdę sądzisz, że pragnie nieodwracalnie wyrzucić cię ze swojego życia? - spytała z bólem Aleksandra, obejmując przyjaciółkę.

- Wiem o tym.

- I co teraz zrobisz?

- To, co będę musiała, co mi przyjdzie do głowy. Dopóki Ian wie, że wszędzie możemy się spotkać, nie zdoła mnie wymazać z pamięci. Ciągle mogę liczyć na zwycięstwo.

Ale tutaj Elizabeth się myliła. Miesiąc po uniewinnieniu markiza Bentner zastukał do drzwi salonu, gdzie siedziały obie przyjaciółki.

- Przyszedł pewien mężczyzna... niejaki pan Larimore. - Wiedział, że to prawnik Iana. Elizabeth pobladła.

- Twierdzi, że ma dokumenty, które musi panience doręczyć do rąk własnych.

- Powiedział, o jakie dokumenty chodzi?

- Nie chciał, dopóki nie oświadczyłem, że nie będę panience przeszkadzał bez podania przyczyny.

- Co to za dokumenty? - zapytała Elizabeth, znając już odpowiedź.

Lokaj odwrócił wzrok, twarz mu pociemniała ze smutku.

- Powiada, że to dokumenty związane z postępowaniem rozwodowym.

Świat zawirował jej przed oczami, kiedy chciała wstać.

- Jeszcze trochę, a go znienawidzę! - zawołała Aleksandra, serdecznie obejmując przyjaciółkę. - Nawet Jordan złości się na niego, że nie próbuje naprawić stosunków między wami.

Do Elizabeth nie docierały pocieszające słowa ani gesty przyjaciółki. Ból zagłuszył wszystkie uczucia. Wysunęła się z uścisku Aleksandry i popatrzyła na Bentnera. Wiedziała, że jeśli przyjmie dokumenty, nie zdoła już dalej grać na zwłokę, nie będzie dla niej nadziei, ale za to skończy się ta straszna niepewność. Miejsce wyniszczającej walki zajmie błogosławiony spokój. Zebrała całą odwagę, szykując się do ostatniej, najcięższej bitwy.

- Powiedz pan Larimore'owi, że kiedy byłeś w kuchni, wyszłam.

Dodaj, iż moja pokojówka mówiła, że zamierzałam wybrać się do teatru z... - spojrzała pytająco na przyjaciółkę, Aleksa natychmiast skinęła głową - ...z księżną Hawthorne. Wymyśl dla mnie zajęcia na resztę dzisiejszego dnia i na jutro, ale podawaj szczegóły, Bentner.

Szczegóły uzasadniające moją nieobecność.

Inny lokaj, który nie byłby tak namiętym czytelnikiem powieści kryminalnych, nie pojąłby szybko intencji swej pani, lecz Bentner potakiwał z uśmiechem.

- Chce panienka, żeby szukał panienki po mieście, a tymczasem panienka się spakuje i szybko wyjedzie.

- Właśnie - odrzekła Elizabeth z wdzięcznością. - A potem - zatrzymała Bentnera, który już wychodził spełnić polecenie - wyślij wiadomość do pana Thomasa Tysona, dziennikarza z „Timesa”, który mnie prosił o rozmowę. Powiedz, że jeśli zjawi się tu wieczorem, mogę mu poświęcić pięć minut.

- Dokąd wyjedziesz? - spytała Aleksa.

- A jeśli ci powiem, przysięgniesz, że nie zdradzisz tego Ianowi?

- Oczywiście, że nie.

- Ani swojemu mężowi. Przyjaźni się z Ianem. Nie powinnam go wciągać w nasze rozgrywki.

- Jordan zrozumie, że dałam słowo i nie mogę go złamać, nawet dla niego.

- Pojadę - wyznała jej cicho Elizabeth - do ostatniego miejsca na ziemi, gdzie teraz szukałby mnie Ian. I pierwszego miejsca, do którego się uda, gdy naprawdę uwierzy, że musi mnie odnaleźć, albo będzie próbował odzyskać spokój. Jadę do jego domu w Szkocji.

- Nie powinnaś być zmuszona do takiego kroku! - zawołała lojalna Aleksa. - Gdyby nie jego brak serca i niesprawiedliwość...

- Zanim skończysz - przerwała jej łagodnie przyjaciółka - zastanów się, jak byś się czuła, gdyby Jordan zrobił z ciebie w oczach świata morderczynię, a później, po tym jak musiałabyś znosić przez niego niezliczone upokorzenia i męczarnie, nagle pojawił się na sali rozpraw i obrócił wszystko w kpiny.

Aleksa nie odpowiedziała, lecz z jej twarzy zniknął gniew. Tymczasem Elizabeth mówiła dalej:

- Pomyśl też, jak byś się czuła, gdybyś się dowiedziała, że twój mąż od dnia waszego ślubu wierzył, że mogłaś naprawdę popełnić morderstwo. Co byś czuła, przypominając sobie wtedy wasze noce? A kiedy już to wszystko rozważysz, przypomnij sobie, że Ian zawsze próbował dać mi wyłącznie szczęście i radość.

- Ale... - zaczęła Aleksa i urwała. - Cóż, kiedy na to spojrzeć w taki sposób, cała sprawa wygląda nieco inaczej. Nie pojmuję jednak, jak potrafisz się zdobyć na taką uczciwość i obiektywizm, gdy ja nie umiem tego uczynić.

- Ian mnie nauczył - zazartowała smutno jej przyjaciółka - że jeśli chce się pokonać przeciwnika, należy najpierw spojrzeć na wszystko z jego punktu widzenia. Wiesz, o co wczoraj spytał portier, kiedy mnie rozpoznał?

Księżna pokręciła głową, a Elizabeth odrzekła z przygnębieniem:

- Spytał, czy nadal boję się męża. Nie wszyscy zapomnieli. Wiciu ludzi nigdy nie uwierzy w niewinność Iana. Postąpiłam bardzo nierozważnie i długo będziemy odczuwać tego skutki.

- Jeśli nie pojedzie do Szkocji i tam nie pogodzi się z tobą - powiedziała Aleksa, przygryzając wargę, żeby nie wybuchnąć płaczem - przed styczniem, kiedy ma się urodzić nasze dziecko, przyjedziesz do nas, do Hawthorne? Nie zniósłabym myśli, że miałabyś samotnie spędzić zimę.

- Dobrze.

Siedząc wygodnie w fotelu, Ian słuchał opowieści zirytowanego Larimore'a o bezowocnym polowaniu na markizę, jakie ta zafundowała mu wraz ze swoim lokajem.

- A po tym wszystkim - wyrzucił z siebie prawnik - kiedy wróciłem do domu przy Promenadę Street i zażądałem, żeby lokaj wpuścił mnie do środka, ten bezczelny typ...

- Zatrzasnął drzwi przed nosem? - dokończył beznamiętnie Thornton.

- Nie, milordzie, wpuścił mnie. Pozwolił mi wejść i powiedział, że mogę przeszukać dom od piwnicy po strych. Panienska wyjechała z Londynu! - Larimore unikał wzroku swego

chlebodawcy.

- Udała się do Havenhurst - odparł bez wahania Ian i podał adwokatowi wskazówki, jak ma tam dotrzeć.

Po jego wyjściu sięgnął po umowę, którą musiał przejrzeć i zaaprobować, ledwo jednak przeczytał dwie pierwsze linijki, do jego gabinetu wkroczył niezapowiedziany Jordan z gazetą i miną, jaką Ian po raz pierwszy widział na jego twarzy.

- Czytałeś dzisiejszą prasę?

Thornton odłożył umowę i zwrócił się do rozgniewanego przyjaciela.

- Nie, a co się stało?

- Przeczytaj. - Jordan cisnął mu gazetę na biurko. - Elizabeth zgodziła się na rozmowę z dziennikarzem „Timesa”. Czytaj!

Dźgnął palcem stronę, na której znajdował się artykuł autorstwa niejakiego Thomasa Tysona.

- Oto, jak odpowiedziała twoja żona na pytanie, co czuła, kiedy zobaczyła, jak zasiadasz na ławie oskarżonych, sądzony przez równych sobie szlachciców.

Ian zmarszczył czoło i przeczytał odpowiedź Elizabeth: „Mojego męża nie osądzali równi jemu szlachcice, a tylko parowie, członkowie Izby Lordów. Ian Thornton nie ma równego sobie”.

Oderwał wzrok od gazety, starając się nie dopuścić do serca niezmiernej słodyczy tej wypowiedzi, lecz Jordan jeszcze nie powiedział ostatniego słowa.

- Gratuluję, Ianie - oświadczył z gniewem. - Ty wręczasz żonie dokumenty rozwodowe, ona zaś w odpowiedzi publicznie cię przeprosza, bo właśnie tak to wygląda!

Odwrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu, zostawiając przyjaciela, który z zaciśniętymi zębami wpatrywał się w artykuł.

Miesiąc później nadal nikt nie wiedział, gdzie zniknęła Elizabeth. Ian usiłował wymazać ją z pamięci i wyrwać z serca, lecz z coraz gorszym skutkiem. Wiedział, że przegrywa, tak samo jak wiedział, że przepadł, w chwili gdy ujrzał ją, jak wchodziła do Izby Lordów.

Dwa miesiące po zniknięciu żony siedział samotnie w salonie i wpatrywał się w ogień, usiłując skupić się na jutrzejszym spotkaniu z Jordanem i kilkoma współnikami, lecz zamiast liczb i szacunku zysków oraz kosztów, miał przed oczami tylko Elizabeth... Klęczała wśród kwiatów, strzelała wraz z nim z pistoletów, z roześmianymi oczami składała mu niski ukłon... „Czy zdarzyło ci się gorąco czegoś pragnąć, czegoś, co masz na wyciągnięcie ręki, a jednak bać się po to sięgnąć?”.

Tamtej nocy zaprzeczył, dziś powiedziałby, że tak. Przede wszystkim chciałby się dowiedzieć, gdzie jest Elizabeth. Miesiąc wcześniej wmawiałby sobie, że to dlatego, by wręczyć jej list rozwodowy, teraz jednak za bardzo go zmęczyła wewnętrzna walka z samym sobą i nie zamierzał dłużej się oszukiwać. Chciał wiedzieć, gdzie jest Elizabeth, po prostu musiał znać miejsce jej pobytu. Dziadek twierdził, że o niczym nie ma pojęcia. Wuj i Aleksandra wiedzieli, lecz oboje odmówili odpowiedzi, a Ian nie naciskał.

Ze znużeniem oparł głowę o fotel i zamknął oczy, ale nie liczył, że uda mu się zasnąć, choć dochodziła trzecia nad ranem. Teraz zasypiał dopiero po dniu ciężkiej pracy fizycznej albo po wypiciu takiej ilości koniaku, że niemal tracił przytomność. A nawet wtedy leżał w łóżku, pragnąc Elizabeth i myśląc - bo sama mu to powiedziała - że i ona teraz gdzieś leży, nie mogąc zasnąć i marzy o nim w samotności.

Uśmiechnął się lekko na wspomnienie, jak stała przed sądem - niewiarygodnie młoda i piękna - najpierw próbując rozsądnie wytłumaczyć, co się wydarzyło, a gdy to zawiodło, odegrała rolę głupiej, płytkiej kobietki. Ian parsknął śmiechem - jak zwykle, gdy przypominał sobie tamten jej występ. Tylko Elizabeth odważyłaby się stawić czoło całej Izbie Lordów, a gdy nie zdołała przekonać zebranych logiką oraz inteligencją, zmieniła taktykę i wykorzystała ich głupotę oraz ignorancję, by wygrać. Gdyby tamtego dnia nie czuł się taki zdradzony i nie był na nią wściekły, wstałby i bił jej zasłużone brawa. Identyczną metodę zastosowała tamtego wieczoru, gdy oskarżono go o oszustwo. Kiedy nie udało jej się odwieść Everly'ego od pojedynku, bo Ian był niewinny, wmówiła temu durniowi, że nie może się pojedynkować, ponieważ już wcześniej z nią się umówił.

Choć Ian oskarżał Elizabeth, że występ w Izbie Lordów miał służyć wyłącznie jej interesom, wiedział, że to nieprawda. Przyszła, by - jak sądziła - uratować go przed niechybną szubienicą.

Kiedy przygasty ból i furia, wrócił do jej rozmowy z Wordsworthem w dniu ślubu i postawił się na jej miejscu. Tamtego dnia kochał ją i pragnął jej tak gorąco. Gdyby detektyw przyniósł mu wtedy informacje obciążające Elizabeth, miłość kazałaby mu je odrzucić i nie odwoływać ślubu.

Jedynym, oprócz miłości, powodem, dla którego mogłaby za niego wyjść, było pragnienie uratowania Havenhurst. Żeby w to uwierzyć, Ian musiałby najpierw przekonać sam siebie, że dał się oszukać każdemu jej pocałunkowi, dotknięciu i każdemu słowu, a tego nie potrafił uczynić. Przestał ufać swojemu sercu, lecz nie rozumowi.

Rozum też mówił mu, że spośród wszystkich kobiet na świecie jedynie Elizabeth idealnie doń pasowała.

Tylko Elizabeth odważyłaby się stawić mu czoło po procesie i po tym, jak ją upokorzył i zranił. Wypowiedziała mu walkę woli, której mógł nie wygrać: „A kiedy już nie zdołasz dłużej tego wytrzymać, mówiła tym cudownym, pełnym bólu głosem, wrócisz do mnie, bo ja będę czekała. Będę płakać w twoich ramionach i przepraszać za krzywdę, którą ci wyrządziłam, ty zaś pomożesz mi znaleźć sposób, bym wreszcie mogła sobie wybaczyć”.

I jak niby mam się poddać, pomyślał Ian z westchnieniem, skoro nie mogę znaleźć zwycięzcy, by złożyć broń!

Po pięciu godzinach obudził się w fotelu, w którym zasnął, gdy blade słońce zaglądało przez zasłony. Rozprostował zeszywniałe ręce i udał się na górę. Tam wziął kąpiel, ogolił się i zszedł na dół, by znowu pogрузić się w pracy, jak to robił codziennie od chwili zniknięcia żony.

Przed południem jeszcze nie przekopał sterty papierów, kiedy lokaj wręczył mu list od Aleksandry Townsende. Z koperty najpierw wypadł czek, ale Ian nie zwrócił na niego uwagi, tylko przeczytał krótką wiadomość: „To od Elizabeth, sprzedała Havenhurst”. Skoczył na równe nogi, zdumiony, czując wyrzuty sumienia, a potem czytał dalej: „Mam ci przekazać, że czek stanowi równowartość należności za szmaragdy wraz z odsetkami. Uważa, że nie miała prawa ich sprzedać, jako że stanowiły twoją własność”.

Ian głośno przełknął ślinę, wziął czek oraz załączoną karteczkę, na której Elizabeth skrupulatnie wyliczyła odsetki za okres od sprzedaży klejnotów do daty wystawienia czeku, tydzień temu.

W oczach miał łzy, lecz ramiona zatrzęsły mu się od cichego śmiechu - oczywiście zapłaciła pół procent mniej, niż wynosiła zwyczajowa stawka odsetek.

Pół godziny później markiz Kensington zameldował się lokajowi Jordana i poprosił o rozmowę z młodą księżną. Gdy weszła do pokoju, w jej błękitnych oczach płonął ogień.

- Byłam ciekawa, czy ten liścik cię tu sprowadzi - powiedziała z gniewem, oskarżycielskim tonem. - Masz pojęcie, ile znaczy... znaczyło dla niej Havenhurst?

- Odkupię je dla niej - obiecał Ian z ponurym uśmiechem. - Gdzie ona jest?

Młoda księżna otworzyła usta, zdumiona czułością w jego oczach i głosie.

- Gdzie ona jest? - powtórzył ze spokojną determinacją.

- Nie mogę ci powiedzieć - odrzekła z zalem. - Wiesz, że nie mogę. Dałam słowo.

- A czy dałoby coś, gdybym poprosił Jordana, by wykorzystał swą małżeńską władzę i wyciągnął z ciebie tę informację?

- Niestety nie - oświadczyła stanowczo Aleksandra.

Sądziła, że Thornton wybuchnie gniewem, tymczasem na jego przystojnej twarzy

zagościł pełen uznania uśmiech.

- Jesteś podobna do Elizabeth. Bardzo mi ją przypominasz.

Nadal nie dowierzając tej nagłej zmianie frontu, młoda kobieta odparła sztywno:

- Uważam to za prawdziwy komplement.

Ku jej zdumieniu Ian Thornton pogładził ją po policzku.

- I słusznie - stwierdził z uśmiechem.

Odwrócił się i ruszył do drzwi, ale zatrzymał się na widok Jordana, który stał w progu z przemądrzałym uśmieszkiem.

- Gdybyś lepiej traktował własną żonę, nie musiałbyś teraz doszukiwać się jej cech u mojej najmilszej.

Kiedy niezapowiedziany gość wyszedł, książę zwrócił się do Aleksy:

- Zawiadomisz Elizabeth, że do niej przyjedzie?

Najpierw skinęła głową, ale potem się zawahała.

- Chy... chyba nie. Napiszę, że pytał, gdzie się ukryła bo tylko to zrobił.

- Pojedzie do niej, kiedy tylko odgadnie, gdzie jest.

- Może.

- Nadal mu nie ufasz? - spytał zaskoczony.

- Ufam, po dzisiejszej rozmowie. Przynajmniej w znacznym stopniu. Ale lękam się o Elizabeth. Strasznie ją zranił, więc nie chcę budzić w niej próżnych nadziei i sprawić, by mógł to zrobić ponownie.

Jordan pogładził ją po policzku, tak jak przed chwilą jego kuzyn, a potem wziął żonę w ramiona.

- Wiesz przecież, że i ona go zraniła.

- Może i tak - przyznała niechętnie Aleksa.

Uśmiechnął się z ustami wtulonymi w jej włosy.

- Kiedy ja ci zламаłem serce, byłaś bardziej wyrozumiała, najdroższa.

- Bo cię kochałam. - Przytuliła policzek do piersi męża i objęła go w pasie.

- A czy pokochasz mojego krewniaka, jeżeli pojedna się z Elizabeth?

- Może zdołam to uczynić, jeśli odzyska dla niej Havenhurst.

- Będzie go to kosztować bająnskie sumy! - Jordan parsknął śmiechem. - Wiesz, kto kupił posiadłość?

- Nie, a ty?

Książę skinął głową.

- Philip Demarcus.

- Ten okropny jegomość, który oświadczył księciu Walii, że musi zapłacić, jeśli chce się wybrać jego nowym żaglowcem w rejs po Tamizie? - spytała ze śmiechem Aleksandra.

- Ten sam.

- Sądzisz, że pan Demarcus oszukał Elizabeth?

- Nie naszą Elizabeth. Ale nie chciałbym być w skórze mego kuzyna, kiedy ów typ sobie uświadomi, że Havenhurst ma dla Iana wartość emocjonalną. Cena natychmiast podskoczy.

W ciągu następnych dwóch tygodni Ian zdołał odkupić szmaragdy Elizabeth i Havenhurst, lecz jej samej nie odnalazł. Rezydencja w Londynie przypominała mu raczej więzienie niż dom, ale mimo to czekał, wyczuwając, że żona wystawia go na tę próbę, by dać mu czas na refleksję.

Wrócił do Montmayne i tam przez kolejne tygodnie włóczył się po pokojach, w salonie niemal wydeptał ścieżkę w dywanach i wpatrywał się w marmurowe kominki, jakby w płomieniach mógł znaleźć odpowiedź. Wreszcie miał wszystkiego dosyć. Nie umiał się skoncentrować na pracy, a jeśli już coś robił, popełniał błędy. Ale gorsze były prześladowające go obawy, że Elizabeth coś się stało, albo że zakochała się w innym, wyrozumialszym mężczyźnie. Owe koszmarnie wizje nie opuszczały Iana i snuły się za nim po komnatach.

Pewnego chłodnego, pogodnego, grudniowego dnia, zostawiwszy instrukcję lokajom, kamerdynerowi, a nawet kucharce, żeby natychmiast go powiadomiono, gdyby dotarła jakaś wiadomość o milady, wyruszył do swego domu w Szkocji. Tylko tam odpocznie od tej strasznej pustki i bólu, który stawał się już nie do zniesienia, bo Ian stracił nadzieję, że Elizabeth kiedykolwiek się do niego odezwie. Upłynęło zbyt wiele czasu. Gdyby ta piękna, odważna kobieta pragnęła pojednania, uczyniłaby jakiś krok w tej kwestii. Elizabeth nigdy nie zostawiała spraw własnemu biegowi. Dlatego Ian wyruszył do rodzinnego domu, by tam - jak zawsze - odnaleźć spokój. Tyle że tym razem nie chciał oderwać się od interesów, lecz przewyciężyć przerażającą pustkę swego życia.

W małym szkockim dworku Elizabeth stała przy oknie, spoglądając na zasypaną śniegiem ścieżkę, jak co wieczór od trzech dni, kiedy Duncan przyniósł jej wieści, usłyszane od zarządcy. Ian zapowiedział swój przyjazd, ale najwyraźniej nie miał pojęcia, że ją tu zastanie. W liście polecił tylko, by przygotować zapas drewna i żywności oraz doprowadzić do porządku dom, gdyż zamierzał tu zostać dwa miesiące. Elizabeth wpatrywała się w ścieżkę, tonącą w księżycowej poświacie i powtarzała sobie, że to bez sensu, bo przecież mąż nie przybędzie w nocy; niepotrzebnie więc włożyła na jego powitanie swoją ulubioną, szafirową wełnianą suknię i rozpuściła włosy, tak jak najbardziej lubił.

Wtem na zakręcie stromej ścieżki pojawiła się wysoka, ciemna sylwetka jeźdźca na koniu. Elizabeth zaciągnęła nowe, ciężkie zasłony, które sama uszyła. Serce biło jej z nadziei i strachu, gdy przypomniała sobie, jak po raz ostatni widziała Iana : wychodził z balu w towarzystwie Jane Addison. Pomysł, by przyjechać tutaj, gdzie mąż się jej nie spodziewał - i najprawdopodobniej nie życzył sobie zobaczyć - nagle wydał się co najmniej niefortunny.

Ian zaprowadził konia do stajni, wytarł go i upewnił się, czy ma jedzenie. Z okien domu przeblyskiwało słabe światło, z komina unosił się dym. Pewnie to zarządca czekał na jego przyjazd. Thornton otrzepał śnieg z butów i nacisnął klamkę.

Elizabeth stała na środku pokoju, zaplatając i rozplatając nerwowo dłonie. Wpatrzona w klamkę, wstrzymywała oddech z przejęcia.

Drzwi wreszcie się otworzyły, wpadł przez nie powiew lodowatego powietrza i oto w progu stanął wysoki, barczysty mężczyzna, który zerknął na postać stojącą w blasku ognia płonącego na kominku.

- Henry, naprawdę nie musia... - Urwał, wpatrując się w to, co w pierwszej chwili uznał za wytwór swej wyobraźni lub grę płomieni.

Wreszcie zrozumiał, że wzrok go nie myli: to naprawdę Elizabeth spoglądała na niego nieśmiało. U jej stóp leżał młody labrador.

Ian odwrócił się powoli i starannie zamknął drzwi, jakby precyzyjne dociśnięcie zamka stanowiło kwestię życia i śmierci. Równocześnie próbował odpowiedzieć sobie na pytanie, czy żona wygląda na uradowaną z jego przyjazdu, czy też nie. Podczas długich, samotnych nocy ułożył tuzin przemówień do niej - od surowych kazań po łagodne perswazje. Teraz, kiedy wreszcie stał twarzą w twarz z Elizabeth, nie mógł sobie przypomnieć ani jednego najprostszego słowa.

Nie pozostało mu więc nic, tylko przyjąć jedyny możliwy - neutralny - temat rozmowy. Popatrzył na psa.

- A to kto? - spytał. Podeszedł i przykucnął obok labradora. Nie miał pojęcia, jak przywitać żonę.

Elizabeth z trudem ukryła rozczarowanie i pogładziła czarny, jedwabisty łeb zwierzaka.

- Na... nazwałam go Cień.

Głos żony brzmiał tak słodko, że Ian z trudem się powstrzymał, by nie wziąć jej w ramiona. Spojrzał na nią i pomyślał, że to dobry znak, skoro nazwała psa imieniem jego ulubieńca.

- Ładne imię.

Elizabeth przygryzła wargę, by ukryć przekorny uśmiech.

- A jakie oryginalne.

Ten uśmiech był dla Iana niczym uderzenie obuchem w głowę. Zostawił psa, wyprostował się i oparł o stół. Elizabeth natychmiast dostrzegła zmianę nastroju męża i obserwowała go w napięciu, gdy zaplótłszy ręce na piersi, przyglądał jej się z nieodgadniętym wyrazem twarzy.

- Dobrze... dobrze wyglądasz - powiedziała, myśląc, że wyglądał po prostu pięknie.

- I dobrze się czuję - zapewnił, patrząc jej prosto w oczy. - Wręcz nadzwyczaj dobrze, jak na człowieka, który od trzech miesięcy nie widział słońca i nie mógł zasnąć bez butelki koniaku.

Mówił tak szczerze i tak pozbawionym emocji tonem, że Elizabeth nie od razu zrozumiała. A kiedy wreszcie to nastąpiło, w jej oczach pojawiły się łzy radości i ulgi.

- Ciężko pracowałem - ciągnął Ian. - Niestety, rzadko kiedy udawało mi się coś doprowadzić do końca, a nawet jeśli coś zrobiłem, to na ogół źle. Ale biorąc wszystko pod uwagę, wydaje mi się, że doskonale się miewam, jak na człowieka, który od trzech miesięcy jest na wpół martwy. - Zobaczył jej łzy. Jedna spływała już po gładkim policzku. - Jeśli zrobisz jeden krok naprzód, najdroższa - odezwał się z niewypowiedzianym bólem - będziesz mogła płakać w moich objęciach. A ja w tym czasie powiem ci, jak bardzo przepraszam za wszystko, co uczyniłem... - Nie potrafił dłużej czekać i przyciągnął ją do siebie. - A kiedy skończę - dodał drżącym szeptem, gdy otoczyła go ramionami i płakała cicho - pomożesz mi znaleźć sposób, bym zdołał sobie wybaczyć. - Nie mógł znieść tych łez, objął ją mocniej i przytulił. - Przepraszam. - Ujął w dłonie twarz Elizabeth, uniósł i patrzył jej w oczy, wodząc palcami po mokrych policzkach. - Przepraszam. - Wolno pochylił głowę i dotknął wargami jej ust. - Tak strasznie przepraszam.

Z całej siły przytuliła go do siebie, odwzajemniając pocałunek. Jej smukłym ciałem wstrząsał szloch, z oczu nadal lały się łzy. Cierpienie żony było dla Iana torturą. Całował jej mokre policzki, gładził drżące plecy i ramiona, próbując ją pocieszyć.

- Proszę, kochanie, nie płacz już - błagał.

Mocniej przylgnęła do niego i wtuliła policzek w jego tors. Jej łkanie rozdzierało mu serce.

- Nie płacz najmilsza - szeptał. W gardle dławili go własne niewypłakane łzy. - Nie zniosę twojego bólu.

Ledwo to powiedział, uświadomił sobie, że Elizabeth przestanie płakać, żeby go nie ranić. Przeszył ją dreszcz, gdy mężnie usiłowała odzyskać panowanie nad sobą. Ian odchylił

jej głowę, zanurzył palce w jedwabistych lokach i tuląc do siebie żonę, myślał o nocach, które przez niego przepłakała. Gardził sobą bardziej niż najgorszym łotrem.

Wygonił ją aż tutaj, musiała się ukrywać przed jego prawnikami, a mimo to nadal czekała. W ciągu tych długich tygodni od rozmowy w gabinecie, kiedy Elizabeth oświadczyła, że nie pozwoli się wyrzucić z jego życia, Ian ani przez chwilę nie sądził, iż będzie aż tak cierpiała. Miała dwadzieścia lat i kochała go. On w zamian usiłował się z nią rozwieść, publicznie okazywał jej pogardę, upokorzył, a potem wygnał aż tutaj, by płakała w samotności i czekała na niego. Poczłł taki wstyd i obrzydzenie do siebie, że omal nie zgiął się wpół.

- Pójdiesz ze mną na górę? - spytał pokornie.

Skinęła głową, przyciskając mu policzek do piersi. Chwyłł ją na ręce, czule przytulił i muskał ustami jej czoło. Pragnął położyć ją na łóżku i dać taką rozkosz, by przynajmniej na tę jedną noc zapomniała o piekle, jakie jej zgotował.

Gdy Ian zaczął ją delikatnie rozbierać, Elizabeth zorientowała się, że coś uległo zmianie. Zaskoczona i zdezorientowana, pozwoliła się obejmować i pieścić. Ian całował ją, drząc z pożądania, ale kiedy tylko próbowała odwzajemnić uściski, delikatnie przytrzymywał jej dłonie. Elizabeth także pragnęła sprawić mu rozkosz, tak jak ją nauczył i gdy tylko rozluźnił uścisk, wyciągnęła do niego ręce. Cofnął się delikatnie.

- Nie - szepnął z namiętnością w głosie, więc usłuchała.

Ustami i dłońmi doprowadził ją na skraj spełnienia i wszedł w nią jednym pewnym, potężnym pchnięciem. Wyprężyła się, drząc z pragnienia i wbiła mu paznokcie w plecy. Przesłodka świadomość, że znowu ma go w sobie, sprawiła, że po całym ciele Elizabeth rozlał się ogień. Pragnęła dzielić z łanem tę błogość. Chwyłł ją za biodra i nacierał jeszcze szybciej, aż poczuła taką rozkosz, że głośno krzyknęła, z całej siły otoczywszy ramionami jego szerokie bary, gdy przesywały ją kolejne cudowne fale.

Osołomiona jeszcze, powoli odzyskując świadomość, Elizabeth pomyślała, że tylko ona osiągnęła szczyty. Otworzyła oczy i w blasku ognia zobaczyła, jakim olbrzymim wysiłkiem Ian powstrzymuje się przed spełnieniem. Położył ręce po obu stronach jej ciała i uniósł się, żeby jej nie dotykać. Powieki miał mocno zaciśnięte, mięsień drgał mu na policzku. W ciągu krótkich miesięcy ich małżeństwa tak idealnie się do siebie dostroili, że natychmiast pojęła, dlaczego tak się zachowywał i ta myśl napełniła ją bolesną czułością. Próbował zadośćuczynić jej w jedyny możliwy w tym momencie sposób: przedłużając akt miłosny. Dlatego też świadomie odmawiał sobie rozkoszy, której - o czym Elizabeth doskonale wiedziała - rozpaczliwie pragnął. Pomyślała, że to cudowny gest na przeprosiny,

choć wcale go nie wymagała. Ian nauczył ją mówić, czego od niego pragnęła, pokazał jej też, jaką władzę posiada nad jego ciałem i jak może ją wykorzystywać. Elizabeth - zawsze wzorowa uczennica - zastosowała tę wiedzę w praktyce.

Zaczęła wodzić dłońmi po jego plecach, dotykała twardych mięśni, przesuwając palcami po kręgosłupie.

- Kocham cię - szepnęła głosem drżącym z miłości i pożądania. Otworzył oczy. Zobaczyła jego płonący wzrok i mówiła niemal ze smutkiem: - Tak długo o tym marzyłam... przypominałam sobie, jak zawsze mnie tuliłeś po tym, gdy się kochaliśmy... i jak uwielbiałam leżeć przy tobie ze świadomością, że może właśnie podarowałeś mi dziecko. - Ujęła w dłonie twarz Iana, wodziła drżącymi palcami po policzkach i wolno przyciągała go ku sobie. - Ale najbardziej - szeptała - brakowało mi tego niewysłowionego uczucia, kiedy poruszałeś się we mnie tak głęboko...

Musiał ulec tej słodkiej kusicielce. Z ust Iana wyrwał się jęk, gdy zmiążdżył jej wargi w żarłocznym pocałunku i mocno zacisnął ramiona, szukając w niej rozgrzeszenia... i otrzymując je, gdy stopili się w jedno, kiedy drżąc gwałtownie, wchodził w nią najgłębiej, jak potrafił. Ciało Elizabeth znowu odpowiedziało mu namiętnością, wykrzyknęła głośno jego imię i uniosła biodra, jeszcze raz przeszywały ją fale rozkoszy.

Kiedy Ian odzyskał siły, wsunął ręce pod biodra Elizabeth i przetoczył się wraz z nią na bok. Pomyślał, że to najważniejsza chwila jego życia. Nie przestając przyciskać jej do siebie, odetchnął głęboko i z trudem wydobył z siebie głos.

- Kocham cię - powiedział jej to samo, co ona jemu owego strasznego dnia w gabinecie. - Nigdy nie przestałem cię kochać.

Odpowiedź Elizabeth sprawiła, że serce przeszło mu ból.

- Wiem.

- Skąd wiedziałaś, najmilsza? - spytał, usiłując się uśmiechnąć.

- Ponieważ rozpaczliwie pragnęłam, by tak było, a ty zawsze dawałeś mi wszystko, czego chciałam. Nie dopuszczałam myśli, że nie zrobisz tego ten jeden raz. Tylko jeden raz.

Poruszyła się, ale Ian przytrzymał ją przy sobie.

- Jeszcze nie, kochanie - szepnął cicho, a widząc jej zdziwione spojrzenie, wyjaśnił: - Właśnie zostało poczęte nasze dziecko.

Popatrzyła mu w oczy.

- Czemu tak sądzisz?

- Ponieważ - odrzekł, delikatnie odgarniając włosy z jej policzka - ze wszystkich sił pragnę, by tak się stało, a ty zawsze dawałaś mi wszystko, czego chciałem.

Elizabeth przytuliła się mocniej do niego i leżała w jego ramionach bez ruchu. Kazała jego marzeniu się spełnić - Ian wiedział o tym, tak samo jak w niepojęty sposób był pewien, że właśnie teraz się to stało.

Promienie słońca odbijały się w szybach okna, gdy Ian wreszcie ocknął się z głębokiego snu. Przepęłniało go spokojne zadowolenie, którego nie zaznał od ponad trzech miesięcy i właśnie to dziwne, zapomniane uczucie go obudziło. Sądząc, że to zasługa snu, odwrócił się na brzuch i mocno zaciskając powieki, pragnął przywołać ów sen, by znowu się w nim pogрузić, zamiast obudzić się i czuć wyłącznie pustkę.

Jednak sen nieodwracalnie uciekł, a łóżko wydawało się mniejsze i twardsze niż zwykle. Sądząc, że nadal jest w Montmayne, uznał, że widocznie zasnął na kanapie w sypialni. Niejeden raz już upijał się do nieprzytomności i wołał spać tam zamiast w olbrzymim, pustym łożu, które przedtem dzielił z Elizabeth. Znowu wracał głuchy żal i niepokój. Ian zrozumiał, że sen już nie wróci i otworzył oczy. Poraziły go ostre promienie słońca, zmrużył powieki i rozglądał się po znajomym otoczeniu, którego nie spodziewał się zobaczyć. Dopiero wtedy powróciła doń pamięć: wiedział, gdzie jest, z kim spędził noc, czyje nagie ciało dzieliło z nim nieposkromioną namiętność. Ogarnęły go fale radości i ulgi i zamknął oczy.

Stopniowo jednak zaczął do niego docierać apetyczny zapach smażonego boczku. Uśmiechnął się, kiedy sobie przypomniał, jak wyglądał poprzedni usmażony przez Elizabeth bekon. Spaliła go wówczas na węgiel. Dzisiaj, postanowił radośnie, zje nawet papier, byle tylko mógł karmić oczy widokiem żony.

Ubrana w miękką, zieloną wełnianą suknię, przepasana żółtym fartuchem, stała przy kuchni, nalewając sobie herbatę. Nie zauważywszy Iana, który wszedł i usiadł na kanapie, spojrzała na labradora, z nadzieją wpatrzoną w boczek.

- Co sądzisz o swoim panu? - zwróciła się Elizabeth do Cienia, dolewając do herbaty mleka. - A nie mówiłam ci, że jest przystojny? Chociaż... - przyznała z uśmiechem, gładząc jedwabisty łeb psa - przyznam, że zapomniałam, że aż tak.

- Dziękuję - odezwał się Ian z czułym uśmiechem.

Zaskoczona Elizabeth poderwała głowę, włosy rozsypały jej się na ramionach niczym złocista fala. Wstała, tłumiąc śmiech na widok obrazu absolutnego męskiego zadowolenia. Ian, w żółtej koszuli i kawowych bryczesach siedział na kanapie z rękami zaplecionymi nad głową. Stopy oparł na niskim stoliku.

- Wyglądasz jak szkocki sułtan - zauważyła ze śmiechem.

- I tak się czuję.

Kiedy postawiła przed nim kawę, jego uśmiech pociemniał.

- Czy śniadanie może trochę poczekać?

Elizabeth skinęła głową.

- Wydawało mi się, że słyszę cię godzinę temu i wtedy przygotowałam boczek. Zamierzałam dosmażyć, kiedy zejdziesz na dół. Czemu? - zapytała, ciekawa, czy mąż obawia się jej kuchni.

- Bo musimy porozmawiać.

Elizabeth poczuła, że serce ściska jej się ze strachu. Wczoraj w nocy opowiedziała mężowi o wszystkim, co się wydarzyło, od momentu gdy Robert pojawił się w Havenhurst aż do jej przybycia do Izby Lordów. Kiedy wreszcie skończyła, była już taka zmęczona, że zasnęła, nim ona zdołała jej wyjaśnić swoje postępowanie. Teraz najwyraźniej zamierzał wrócić do tego tematu, i obawiała się, że może zniszczy cud ich pojednania.

- Skrzywdziliśmy się wzajemnie - zaczął mówić Ian, dostrzegając obawę żony. - Jeśli zaczniemy przed tym uciekać i udawać, że nic się nie stało, przeszłość zawsze będzie nas gnębić, czaić się po kątach i wracać, by nas prześladować w najdziwniejszych momentach, z najróżniejszych przyczyn. Jakieś moje nieopatrzne słowo czy decyzja otworzą stare rany, a ja nie będę rozumiał, czemu się gniewasz, obrażasz albo przestajesz mi ufać. I odwrotnie. Wczoraj opowiedziałas, jak to wyglądało z twojego punktu widzenia i nie trzeba już do tego wracać. Sądzę jednak, że ty masz prawo do wyjaśnień z mojej strony.

- Od kiedy to stałeś się taki mądry? - spytała z czułym uśmiechem.

- Gdybym był mądry - zauważył ze smutkiem - to nasze rozstanie skończyłoby się już wiele miesięcy temu. Miałem za to kilka strasznych tygodni, by poszukać najlepszego wyjścia z tej sytuacji. Oczywiście przy założeniu, że pozwolisz mi się odnaleźć. Doszedłem do wniosku, że jedynym rozwiązaniem jest szczerą rozmowa.

Elizabeth nadal się wahała, pamiętając furię męża tamtego wieczoru po procesie. Ian wziął ją za rękę i pociągnął do siebie na kanapę. Elizabeth starannie wygładzała spódnice, układając każdą fałdę, a potem niespokojnie popatrzyła na śnieg za oknem. Lękała się go, uświadomił sobie z bólem Ian.

- Daj mi rękę, kochanie. Możesz mnie spytać o wszystko, bez obawy, że wybuchnę gniewem.

Jego głęboki, kojący głos i ciepły dotyk palców usunęły wszelkie obawy. Elizabeth bacznie przyjrzała się łanowi i zadała pierwsze pytanie.

- Dlaczego nie przyznałeś się, że Robert próbował cię zabić i że kazałeś go wziąć na pokład swojego statku?

Odchylił głowę i przymknął oczy. Elizabeth widziała na twarzy męża ból, słyszała smutek w jego głosie, kiedy spojrzał na nią i wyjaśnił:

- Aż do dnia, kiedy stąd wyjechałaś, a Duncan powitał mnie listą wyrządzonych ci krzywd, sądziłem, że twój brat po zejściu z pokładu „Arianny” wrócił do Anglii. Nie miałem pojęcia, że od jego wyjazdu mieszkałaś w Havenhurst sama i że na skutek moich postępów zostałaś skazana na ostracyzm ani że twoi rodzice nie żyją i z trudem wiążesz koniec z końcem. Musisz w to uwierzyć.

- Wierzę - odrzekła. - Lucinda w złości wyjawiała Duncanowi całą prawdę i przyjechałaś do Londynu, by mnie ratować. Rozmawialiśmy o tym przed ślubem, choć pominąłeś sprawę Roberta. Czemu mi wtedy nic nie powiedziałeś?

- Kiedy? - W jego głosie brzmiała bezradność i gniew na siebie.

- Kiedy miałem ci powiedzieć? Pamiętasz, co o mnie myślałaś, gdy przyjechałem do Londynu, by ci się oświadczyć. Podejrzewałaś, że kierują mną litość i wyrzuty sumienia. Gdybym jeszcze ci wyjawiał, że przyczyniłem się do zniknięcia Roberta, uważałabyś to za pewnik. Zresztą, niezbyt mnie lubiłaś i zbyt mi nie ufałaś. Gdybym się przyznał do uprowadzenia twojego brata, cisnęłabyś mi w twarz naszą „umowę”, nie słuchając dalszych wyjaśnień. Zataiłem to przed tobą z jeszcze jednego powodu - dodał, nie chcąc już nic ukrywać. - Chciałem, żebyś za mnie wyszła i byłem gotów niemal na wszystko, byle do tego doprowadzić.

Uśmiechnęła się lekko, jak zwykle zupełnie go tym rozbijając, a potem spoważniała.

- A później, kiedy już byłeś pewien mojej miłości, czemu się nie przyznałeś?

- Kiedy później? - spytał ze smutkiem. - Gdy w końcu wzbudziłem w tobie miłość? Po pierwsze, nie miałem ochoty dostarczać ci powodów do zmiany zdania. Po drugie, byliśmy tak niewiarygodnie szczęśliwi, że nie chciałem tego psuć, dopóki nie będę musiał. I wreszcie sam do końca nie wiedziałem, za co odpowiadam. Moi detektywi nie mogli trafić na ślad... Tak - wyjaśnił, widząc jej zaskoczenie - w tym samym czasie co ty również i ja wynająłem detektywów. Twój brat, tak jak podejrzewałaś, równie dobrze mógł się gdzieś zaszyć w obawie przed wierzycielami. Z drugiej strony nie mogłem wykluczyć, że zmarł, usiłując wrócić do kraju i wtedy musiałbym wziąć na siebie winę za to, co się stało.

- A gdybyś niczego się nie dowiedział, gdyby przepadł bez śladu, czy w ogóle byś mi się przyznał, że wyjechał z Anglii?

Ian patrzył na jej dłoń, wodząc po niej kciukiem, ale odpowiadając teraz, spojrzał Elizabeth prosto w oczy.

- Tak. Tuż przed twoim zniknięciem - dodał po chwili - zdecydowałem, że daję

detektywom pół roku. Gdyby w tym czasie nie wpadli na ślad Roberta, zamierzałem wyznać ci wszystko.

- Cieszę się. Nie chciałabym myśleć, że zamierzałeś do końca życia ukrywać przede mną prawdę.

- Nie kierowała mną wyłącznie szlachetność - przyznał się Ian.

- Pojawił się też element lęku. Żyłem w nieustannym strachu, że pojawi się Wordsworth i dostarczy ci dowodu, iż przeze mnie twojego brata spotkało nieszczęście albo też stanie się coś gorszego.

Pod koniec bywały chwile, że marzyłem, by któryś detektyw wreszcie zdobył informacje, które albo mnie pograżą, albo oczyszczą, ale za to położą kres mojej niepewności. Nie miałem pojęcia, jak zareagujesz. - Ian czekał na jej reakcję. Kiedy Elizabeth milczała, podjął: - Bardzo dużo by znaczyło dla mnie i dla naszej wspólnej przyszłości, gdybyś potrafiła mi uwierzyć. Przysięgam ci, że mówię prawdę.

Wzniosła ku niemu oczy.

- Ja naprawdę ci wierzę.

- Dziękuję.

- Nie masz mi za co dziękować - próbowała mówić lżejszym tonem. - Prawda wygląda tak, że poślubiłam geniusza, który nauczył mnie, bym zawsze wchodziła w skórę przeciwnika i oceniała sytuację z jego punktu widzenia. Zrobiłam to i dlatego już dawno się domyśliłam, czemu ukrywałeś przede mną prawdę o zaginięciu Roberta. - Spoważniała. - Dzięki temu, że postawiłam się na twoim miejscu, potrafiłam nawet odgadnąć, jak zareagujesz po moim powrocie. Jeszcze nim zobaczyłam twoją minę w Izbie Lordów, wiedziałam, że będzie ci niezwykle trudno puścić w niepamięć cierpienie i wstyd, jakie ci przyniosłam. Nie przypuszczałam jednak, że posuniesz się aż tak daleko w odpłacaniu mi pięknym za nadobne.

Ian widział ból w jej oczach i mimo przekonania, że muszą sobie wszystko wyjaśnić, z trudem się powstrzymywał, by nie utulić jej w ramionach i nie pocieszyć pocałunkiem.

- Otóż - tłumaczyła wolno Elizabeth - przewidziałam, że mnie oddalisz, dopóki nie przejdzie ci gniew, albo że będziesz ze mną mieszkał i mścił się w czterech ścianach - tak jak to czynią inni mężczyźni. Ale ani przez chwilę nie sądziłam, że będziesz próbował rozwiązać nasze małżeństwo i na trwałe wymazać mnie z pamięci! A należało się tego domyślić. Przecież Duncan mi o tobie opowiadał. Za bardzo jednak polegałam na tym, że przed moją ucieczką powiedziałeś mi, że mnie kochasz...

- I wiesz, że cię kochałem. I nadal kocham. Na miłość boską, jeśli nie wierzysz w żadne moje zapewnienia, to uwierz chociaż w to jedno.

Spodziewał się jakichś uwag, ale Elizabeth milczała. Ian uświadomił sobie, że jego żona, choć młoda i niedoświadczona, jest niezwykle mądra.

- Wiem, że mnie kochałeś - odezwała się w końcu cicho. - Gdybyś tak bardzo mnie nie kochał, nie mogłabym tak głęboko cię zranić i nie musiałbyś szukać tak drastycznych środków, by to się więcej nie powtórzyło. Zrozumiałam wszystko, kiedy przyszedłam do ciebie do gabinetu i oświadczyłeś, że się ze mną rozwodzisz. Gdyby nie ta świadomość, nie walczyłabym o ciebie tyle czasu.

- Przysięgam, że już nigdy więcej tak cię nie skrzywdzę.

- Dziękuję. Chyba drugi raz już bym tego nie zniosła.

- Zechcesz mi wyjawić, co takiego powiedział ci Duncan, że doszłaś do tych wniosków?

W uśmiechu jego żony były czułość i zrozumienie.

- Opowiedział mi, co zrobiłeś, kiedy wróciłeś do domu i okazało się, że twoja rodzina nie żyje.

- A co takiego zrobiłem?

- Rozstałeś się z istotą, którą kochałeś najbardziej po bliskich, z czarnym labradorem, Cieniem. Zdecydowałeś się na to, żeby już nikt nigdy nie mógł cię zranić, a w każdym razie nikt, kogo darzyłeś uczuciem. Właściwie to samo, choć w znacznie bardziej drastyczny sposób zrobiłeś, postanawiając się ze mną rozwieść.

- Na twoim miejscu chyba bym mnie zniecierzył - powiedział zdławionym głosem Ian, gładząc jej policzek.

Elizabeth odwróciła głowę i ucałowała wnętrze jego dłoni.

- Czy wiesz - spytała ze łzami - jak się czuję ze świadomością, że jestem aż tak bardzo kochana...? - Potrząsnęła głową, jakby szukała lepszego określenia. - Wiesz, co widzę, kiedy jesteśmy w towarzystwie?

Ian nie potrafił dłużej się powstrzymać, wziął ją w ramiona i przytulił.

- Nie - szepnął. - Co zauważyłaś?

- Patrzę, jak mężowie traktują żony, jak na nie spoglądają, jak się do nich odnoszą. I wiesz, co?

- Co?

- Jestem jedyną żoną, z wyjątkiem Aleksy, którą mąż uwielbia i nic go nie obchodzi, że wie o tym cały świat. Poza tym nie mam cienia wątpliwości - dodała z delikatnym uśmiechem - że mnie jedyną własny mąż próbował uwieść w obecności członków komitetu gromadzącego fundusze na budowę szpitala.

Ian objął ją z całej siły i ze śmiechem zaczął - zresztą skutecznie - uwodzić swoją żonę na kanapie.

Za oknami padał śnieg, w kominku przewróciła się kłoda, sypiąc iskrami. Zaspokojona i szczęśliwa Elizabeth leżała w objęciach Iana, przykryta kocem, który na nich narzucił. Pomyślała o niezjedzonym śniadaniu oraz o obfitym posiłku, który niewątpliwie by im podano, gdyby znajdowali się teraz w Montmayne. Wstała, żeby się ubrać.

Kiedy przewracała boczek, Ian od tyłu objął ją w talii i zerknął jej przez ramię.

- To wygląda na podejrzenie jadalne - zażartował. - Liczyłem raczej na nasze tradycyjne śniadanie.

Uśmiechnęła się i pozwoliła, aby ją odwrócił.

- Kiedy musimy wracać? - spytała, myśląc, jak przytulny stał się ten dom, kiedy pojawił się w nim Ian.

- Co powiesz na dwa miesiące?

- To wspaniała propozycja, ale czy na pewno nie będziesz się tu nudzić? Ani nie zaczniesz się martwić o interesy?

- Gdyby cierpiały na skutek mojego zaniedbania, najmilsza, po ostatnich trzech miesiącach zostalibyśmy bez grosza przy duszy. Najwyraźniej jednak jestem lepiej zorganizowany, niż przypuszczałem. Zresztą, Jordan mnie zawiadomi, gdyby pojawił się problem wymagający mojej interwencji.

- Duncan przyniósł mi ze sto książek - powiedziała, zastanawiając się, czym mogliby zająć czas, gdyby zostali. - Ale pewnie wszystkie już znasz, a nawet jeśli nie, to do środy byś je przeczytał. Boję się, czy nie będziesz się nudził.

- To prawdziwy dopust. Śnieg, dom i ty. Bez książek, bez interesów... Czym by tu zająć sobie czas? Ciekawe, co będę robił? - dodał znacząco.

Zalała się czarującym rumieńcem, ale mówiła i patrzyła na niego z powagą.

- Gdyby ci się nie powiodło... Gdybyś nie zgromadził takiego majątku... potrafiłbyś tu mieszkać i być szczęśliwy, prawda?

- Z tobą?

- Oczywiście. - Jego uśmiech był równie poważny jak jej. - Z całą pewnością. Chociaż - dodał, biorąc żonę za rękę i przyciągając bliżej - może nie będziesz chciała tu zostać, kiedy się dowiesz, że twoje szmaragdy wróciły do kasetek w Montmayne.

Radość i ulga zabłysły w jej oczach.

- Tak się cieszę. Kiedy się przekonałam, że Robert mnie oszukał, nie mogłam sobie darować, że je sprzedałam.

- Jeszcze bardziej nie będziesz mogła sobie darować - przekomarzał się - kiedy się dowiesz, że twój czek nie pokrył całej kwoty. Musiałem wyłożyć czterdzieści pięć tysięcy, żeby odzyskać to, co jubiler zdążył już sprzedać, i pięć tysięcy, żeby wykupić jeszcze to, co u niego zostało.

- Co... co za pozbawiony sumienia zdzierca! - oburzyła się Elizabeth. - Za całość dał mi tylko pięć tysięcy funtów. - Pokręciła głową z zalem, że Ian tak nie umiał się targować. - Okropnie cię naciągnął.

- Nie martwiłem się tym zbytnio - dalej drażnił się z nią Ian, doskonale przy tym się bawiąc - bo wiedziałem, że odzyskam to z twojego kieszonkowego. Naturalnie z procentem. Z moich obliczeń wynika... - Zaczął dodawać w pamięci sumy, których obliczenie zajęłoby żonie kilka minut i musiałyby to robić na kartce. - ...W tym momencie jesteś mi winna jakieś sto pięćdziesiąt jeden tysięcy sto dwadzieścia sześć funtów.

- Sto pięćdziesiąt... czego? - zawołała, rozbawiona i trochę zirytowana.

- Pojawił się drobiazg w postaci Havenhurst. Dorzuciłem cenę posiadłości do rachunku.

W jej cudownych oczach pojawiły się łzy radości.

- Odkupiłeś Havenhurst od tego okropnego pana Demarcusa?

- Owszem. I faktycznie jest okropny. Powinien zawrzeć spółkę z twoim stryjem. Obaj mają talent kupiecki godny handlarzy wielbłądów. Zapłaciłem sto tysięcy funtów.

Elizabeth ze zdumienia szeroko otworzyła usta, a na jej twarzy zagościł podziw.

- Sto tysięcy funtów! Och, Ianie...

- Uwielbiam, kiedy wypowiadasz moje imię.

Uśmiechnęła się, ale ciągle jeszcze myślała o świetnym interesie, jaki zrobił jej mąż.

- Nie mogłeś lepiej się spisać - pochwaliła go. - Właśnie tyle mi zapłacił. Kiedy już podpisaliśmy umowę, oświadczył, że z pewnością za rok albo więcej dostanie za Havenhurst sto pięćdziesiąt tysięcy.

- I zapewne tak by się stało.

- Ale nie od ciebie - oświadczyła z dumną.

- Nie ode mnie - zgodził się zadowolony Ian.

- A próbował?

- Kiedy tylko się zorientował, że pragnę odkupić tę posiadłość, aby ofiarować ją tobie, rzucił cenę dwustu tysięcy.

- Musiałeś się popisać niezwykłym sprytem i talentem, żeby przystał na kwotę o połowę niższą.

Ian z trudem zapanował nad śmiechem. Oparł głowę o czoło żony i potaknął.

- Niezwykłym sprytem - potwierdził zduszonym głosem.

- Ale ciągle mnie frapuje, jak go przekonałeś?

- Podejrzewam, że szalę przechyliła się na moją stronę, kiedy udowodniłem mu, że trzymam w garści coś, co jest znacznie cenniejsze od paserskiego zysku.

- Naprawdę? - spytała z podziwem Elizabeth. - A co takiego trzymałeś?

- Jego szyję!

EPILOG

Stojąc na tarasie, Ian spoglądał na cudowne ogrody Montmayne, gdzie Elizabeth wraz z ich trzyletnią córeczką, Caroline, klęczała wśród pelargonii, podziwiając ich piękne kwiaty. Stykały się głowami i nie sposób było odgadnąć, gdzie kończyły się złociste loki Elizabeth, a zaczynały włosy dziewczynki. Jakieś słowa matki musiały rozbawić małą, bo wybuchnęła radosnym śmiechem. Na twarzy Iana również zagościł uśmiech.

Za nim, przy stoliku z kutego żelaza, dziadek z Duncanem grali w szachy. Dziś wieczorem siedmiuset gości przybędzie na bal z okazji urodzin Elizabeth. Szachistom przerwał partię sześciolatek chłopczyk, który już teraz był uderzająco podobny do Iana. Za nim pojawił się guwerner, wyglądający na człowieka u kresu wytrzymałości. Najwyraźniej nie radził sobie z sześciolatkiem, który odziedziczył po ojcu nie tylko wygląd, ale także inteligencję.

- Bardzo przepraszam... - pan Twindell uklonił się graczom - ...ale prowadziliśmy z paniczem Jonathonem dyskusję i właśnie uświadomiłem sobie, że ksiądz może rozstrzygnąć nasze wątpliwości. Jeśli można prosić...

Duncan oderwał wzrok od szachownicy, a myśli od zwycięstwa, które miał już na wyciągnięcie ręki, i współczująco uśmiechnął się do biednego nauczyciela.

- Czym mogę służyć? - spytał, wodząc wzrokiem od guwenera do ładnego sześciolatka, który chwilowo skupił uwagę na szachownicy.

- Chodzi o niebo - wyjaśnił pan Twindell. - A dokładniej o opis owego miejsca, który, jak to od rana usiłuję wytłumaczyć paniczowi, nie składa się z niedorzecznych niekonsekwencji.

W tym momencie Jonathon oderwał rozbawiony wzrok od szachownicy, założył dłonie na plecy i popatrzył na wujecznego dziadka oraz pradziadka, jakby chciał się z nimi podzielić jakąś absurdalną, wyssaną z palca informacją.

- Pan Twindell twierdzi - wyjaśnił, usiłując zapanować nad śmiechem - że w niebie ulice są brukowane złotem. Ale przecież jest to niemożliwe.

- Dlaczego? - spytał zaskoczony ksiądz.

- Bo latem za bardzo by się nagrzewały i parzyły konie w kopyta. - Chłopiec wyglądał na zaskoczonego niedomyślnością pradziadka i postanowił szukać poparcia u wuja. - Wujku, a czy ty nie zgadzasz się, że jest bardzo mało prawdopodobne, by w niebie znajdowały się ulice z metalu?

Duncan, który przypominał sobie podobne dyskusje, gdy Ian był w tym samym wieku, oparł się na krześle, a na jego twarzy pojawiła się nieskrywana radość.

- Jonie - podsunął zachwycony - spytaj tatę. Stoi tam, przy balustradzie.

Chłopiec wesoło skinął głową, zatrzymał się jeszcze przy pradziadku i szepnął mu coś do ucha, po czym podszedł do ojca.

- Dlaczego nie chciałeś odpowiedzieć na pytanie Jona, Duncanie?

- zaciekał się książkę. - Opis nieba to chyba raczej twoja domena.

Duncan uniósł brwi.

- Kiedy Ian miał sześć lat - wyjaśnił - wciągał mnie w identyczne teologiczno - retoryczne dysputy i zazwyczaj wychodziłem z nich pokonany. To było ogromnie denerwujące. - Spojrzał na chłopca, który stanął przy ojcu, czekając, aż ten zwróci na niego uwagę. - Latami marzyłem o tej chwili - ciągnął z satysfakcją duchowny. - A właśnie, co Jon ci szepnął do ucha?

Książkę poczerwieniła.

- Otóż... Hm... Ostrzegł, że jeśli nie przestawię skoczka, dasz mi mata w czterech ruchach.

Wybuch śmiechu graczy przy stoliku zwrócił uwagę Iana. Obejrzał się przez ramię i dostrzegł obok siebie Jonathona. Z uśmiechem skupił uwagę na synu, który został poczęty pewnej zimowej nocy, kiedy Ian wrócił do rodzinnego domu w Szkocji.

- Wyglądasz - zażartował - jak człowiek borykający się z ważkim problemem. - Dostrzegł znękaną minę guwenera, popatrzył na syna i dodał współczującym tonem: - Zdaje się, że ty i pan Twindell znowu się w czymś nie zgadzacie. O co poszło tym razem?

Na twarzy chłopca pojawił się uśmiech ulgi. Jon skinął głową. Chociaż innych ludzi szokowały jego przemyślenia, a pytania zbijały z tropu, ojciec nie tylko go rozumiał, ale także udzielał odpowiedzi, które syn mógł zaakceptować.

- Chodzi o niebo - zwierzył mu się Jon konspiracyjnym szeptem. - Pan Twindell próbuje mi wmówić, że niebo to miejsce, gdzie ulice są brukowane złotem. Wyobrażasz sobie - parsknął śmiechem - do jakiej temperatury rozgrzałoby się czyste złoto, gdyby przez dziesięć godzin świeciło na nie mocne lipcowe słońce? Nikt by nie chciał wychodzić na ulicę.

- A co powiedział pan Twindell, gdy mu o tym wspomniałeś? - spytał Ian z udaną powagą.

- Oświadczył, że zapewne nie będziemy mieli stóp.

- To istotnie niepokojąca myśl - przyznał Ian. - A jak twoim zdaniem będzie wyglądać niebo?

- Nie mam pojęcia. A ty?

- Tak, ale to wyłącznie moje zdanie - wyjaśnił Ian zaintrygowanemu synowi.

Przykucnął, objął chłopca i pokazał mu ogród. Jak gdyby czując, że są obserwowane, Elizabeth i Caroline wyprostowały się, popatrzyły na taras i pomachały im z uśmiechem - dwie istoty o złocistych włosach i zielonych oczach, promieniejących miłością.

- Moim zdaniem - oświadczył z powagą Ian synowi - to właśnie jest niebo, tutaj.

- Ale nie ma aniołów - zauważył Jon.

- Ja widzę dwa - odrzekł cicho jego ojciec, spojrzawszy na syna i poprawił się z uśmiechem. - Nie, trzy.

Chłopczyk wolno skinął głową, a w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia. Po chwili spojrzawszy na stojącego obok wysokiego mężczyznę.

- Sądysz, że w niebie będzie to, o czym każdy z nas najbardziej marzy?

- Wydaje mi się, że to całkiem prawdopodobne.

- Też tak sądzę - zgodził się Jon po chwili namysłu. Już miał odejść, ale zauważył, że nauczyciel i szachiści patrzą na niego wyczekująco, więc zwrócił się do ojca z bezradnym uśmiechem: - Zapytaj, co mi powiedziałaś. A jeśli wyjaśnię panu Twindellowi, że niebo wygląda jak ogród Montmayne, będzie rozczarowany. Rozumiesz, liczy na złote ulice, anioły i skrzydlate konie.

- Istotnie, to może być problem - zgodził się Ian i czule pogładził syna po policzku. - W takim razie wytłumacz mu, że moim zdaniem w Montmayne jest jak w raju.

Drogi Czytelniku,

Może się zdziwisz, ale przy pisaniu moich książek wiele o Tobie myślałam, zwłaszcza nad tą. Siedziałam nad nią późno w nocy i często wyobrażałam sobie, jak śmiejesz się z jakiejś wypowiedzi bohaterów albo - oby - przeżywasz to samo, co oni. Ten cel zawsze mi przyświecał - uważam to za swój obowiązek wobec Ciebie.

Ty zaś tysiącrotnie nagrodziłeś mój wysiłek: poświęciłeś czas, by do mnie napisać, dzięki czemu czuję, że moje książki są dla ciebie ważne i wyjątkowe.

Ze względu na to wszystko można powiedzieć, że nas dwoje łączy niezwykła więź.

Obecność w tej książce Jordana i Aleksandry Townsende'ów ma bezpośredni związek z ową więzią. Tysiące czytelników, którzy sięgnęli po „Coś wspaniałego” i poznali losy tej pary, zwracało się do mnie z prośbą o poświęcenie im kolejnej powieści. Pomyślałam jednak, że sprawi wam większą przyjemność, jeśli ponownie ich spotkacie jako bohaterów drugoplanowych tutaj, w tej książce. Świadomość, że moi bohaterowie zyskali waszą sympatię i pragniecie znowu o nich czytać, to dla mnie prawdziwy komplement i niezwykła przyjemność.

Pracuję nad kolejną powieścią i już się nie mogę doczekać Twojej reakcji. To romans, o którego napisaniu marzyłam od lat!

Judith McNaught